

JAMES S. A. COREY



5 EXPANSE

GRYNE NEMESIS

5

EXPANSE

JAMES S. A. COREY

GRY  
NEMEZIS

PRZEŁOŻYŁ MAREK PAWELEC

WYDAWNICTWO MAG  
WARSZAWA 2019

Tytuł oryginału: *Nemesis Games: Book 5 of the Expanse*

Copyright © 2015 by James S. A. Corey

Copyright for the Polish translation © 2019 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Iwona Sośnicka

Korekta: Elwira Wyszynska

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Cieśliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Wydanie II

ISBN 978-83-7480-616-9

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228 134 743

[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227212519

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Skład wersji elektronicznej:

[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog Filip

Rozdział pierwszy Holden

Rozdział drugi Aleks

Rozdział trzeci Naomi

Rozdział czwarty Amos

Rozdział piąty Holden

Rozdział szósty Aleks

Rozdział siódmy Amos

Rozdział ósmy Holden

Rozdział dziewiąty Naomi

Rozdział dziesiąty Amos

Rozdział jedenasty Aleks

Rozdział dwunasty Amos

Rozdział trzynasty Holden

Rozdział czternasty Naomi

Rozdział piętnasty Aleks  
Rozdział szesnasty Holden  
Rozdział siedemnasty Aleks  
Rozdział osiemnasty Holden  
Rozdział dziewiętnasty Naomi  
Rozdział dwudziesty Aleks  
Rozdział dwudziesty pierwszy Naomi  
Rozdział dwudziesty drugi Amos  
Rozdział dwudziesty trzeci Holden  
Rozdział dwudziesty czwarty Amos  
Rozdział dwudziesty piąty Naomi  
Rozdział dwudziesty szósty Amos  
Rozdział dwudziesty siódmy Aleks  
Rozdział dwudziesty ósmy Holden  
Rozdział dwudziesty dziewiąty Naomi  
Rozdział trzydziesty Amos  
Rozdział trzydziesty pierwszy Aleks  
Rozdział trzydziesty drugi Naomi  
Rozdział trzydziesty trzeci Holden  
Rozdział trzydziesty czwarty Aleks  
Rozdział trzydziesty piąty Naomi  
Rozdział trzydziesty szósty Holden

Rozdział trzydziesty siódmy Aleks

Rozdział trzydziesty ósmy Amos

Rozdział trzydziesty dziewiąty Naomi

Rozdział czterdziesty Amos

Rozdział czterdziesty pierwszy Naomi

Rozdział czterdziesty drugi Holden

Rozdział czterdziesty trzeci Aleks

Rozdział czterdziesty czwarty Naomi

Rozdział czterdziesty piąty Amos

Rozdział czterdziesty szósty Aleks

Rozdział czterdziesty siódmy Naomi

Rozdział czterdziesty ósmy Holden

Rozdział czterdziesty dziewiąty Amos

Rozdział pięćdziesiąty Aleks

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy Naomi

Epilog Sauveterre

Podziękowania

O autorze

*Dla Bena Cooka, bez którego.*

## Prolog

### Filip

Podwójne stocznie Kallisto wznosiły się obok siebie na półkuli księżycy trwale odwróconej od Jowisza. Słońce było tu tylko najjaśniejszą gwiazdą w wiecznej nocy, a dużo więcej światła dawała szeroka smuga Drogi Mlecznej. Wszędzie wzdłuż krawędzi kraterów ostre, białe światła przemysłowe oświetlały budynki, podajniki i rusztowania. Z regolitu kamiennego pyłu i lodu sterczały wręgi budowanego właśnie statku. Dwie stocznie: cywilna i wojskowa, jedna kierowana przez Ziemiaków, druga należąca do Marsa. Obie chronione przez ten sam system przeciwmeteorytowych dział szynowych, obie specjalizujące się w budowaniu i naprawianiu jednostek, które miały zabrać ludzkość do nowych światów poza pierścieniami, gdy i jeśli wyjaśni się sytuacja na Ilusie.

I obie miały dużo większe problemy, niż przypuszczano.

Filip przesunął się do przodu, mając resztę zespołu blisko za sobą. Diody LED jego skafandra zostały



wyrwane, a ceramiczny pancerz drapano tak długo, aż nie został żaden kawałek na tyle gładki, by odbijać światło. Nawet jasność wyświetlacza przeziernego zmniejszono na minimum tak, że był prawie niewidoczny. Głosy w uszach Filipa – ruch statków, kanały ochrony, rozmowy cywilów – były odbierane wyłącznie w trybie biernym. Słuchał, niczego nie nadając. Laser celowniczy, który dźwigał na plechach, był wyłączony. Razem z zespołem byli tylko cieniami wśród cieni. Ledwie widoczny zegar odliczania z lewej części wyświetlacza zszedł poniżej piętnastu minut. Filip poklepał otwartą dłonią powietrze niewiele gęstsze od próżni, co było pasiarskim odpowiednikiem polecenia powolnego ruszenia do przodu. Jego ludzie posłuchali.

Wysoko w pustce nad nimi, zbyt daleko, by je zobaczyć, marsjańskie okręty wojenne pilnujące stoczni rozmawiały ze sobą krótkimi, profesjonalnymi frazami. Ich flota została przetrzebiona, więc na orbicie znajdowały się tylko dwie jednostki. Prawdopodobnie jedyne dwie. Istniała możliwość, że gdzieś dalej kryło się ich więcej, zamaskowanych przed radarem i gromadzących ciepło, choć nie było to zbyt prawdopodobne. A jak mawiał ojciec Filipa, życie to ryzyko.

Czternaście minut, trzydzieści sekund. Obok pojawiły się dwa dodatkowe zegary, jeden odliczający czterdzieści pięć sekund, drugi dwie minuty.

– Transportowiec *Frank Aiken*, masz zgodę na podejście.

– Wiadomość przyjęta, *Carson Lei* – zabrzmiał znajomy głos Cyna. Filip słyszał uśmiech w głosie starego Pasiarza. – Coyos sabe best ai sus bebe come na dół?

Gdzieś tam *Frank Aiken* oświetlał marsjańskie okręty niewinnymi laserami dalmierzy ustawionymi na tę samą długość fali, co laser celowniczy dźwigany przez Filipa. Kiedy odezwał się marsjański oficer łączności, w jego głosie nie było ani śladu strachu.

– Nie potwierdzam, *Frank Aiken*. Proszę powtórzyć.

– Przepraszam, przepraszam. – Cyn się roześmiał. – Czy szanowni jaśniepaństwo znają jakieś dobre bary, gdzie biedna pasiarska załoga może się napić po zejściu na powierzchnię?

– Nie pomożemy, *Frank Aiken* – odpowiedział Marsjanin. – Utrzymuj kurs.

– Sabez sa. Twardzi jak kamień, prosto jak pocisk, my.

Grupa Filipa dotarła do krawędzi krateru, patrząc w dół na tereny wokół marsjańskiej stoczni wojskowej. Wyglądała tak, jak się spodziewał: skupisko magazynów i pomniejszych budynków. Zdjął z pleców laser celowniczy, ustawił jego podstawę na brudnym lodzie i włączył go. Pozostali, rozproszeni w linii na tyle luźnej, że razem cały czas mieli na oku wszystkich strażników, zrobili to samo. Lasery były stare, a zamontowane w nich systemy śledzenia pozyskano z licznych, niezależnych źródeł. Zanim małeńka czerwona dioda na podstawie urządzenia zaświeciła na zielono, pierwszy z pomocniczych zegarów odliczania dotarł do zera.

Na kanale cywilnym rozbrzmiał trójtonowy sygnał alarmu, a zaraz po nim rozległ się przejęty kobiecy głos.

– Mamy w terenie niekontrolowanego mecha załadunkowego. On... o cholera. Idzie w stronę systemów przeciwmeteorytowych.

Filip rozmieszczał swoją grupę wzdłuż krawędzi krateru, słysząc dźwięki paniki i alarmów. Wokół nich unosiły się maleńkie chmurki pyłu, nie opadały, rozpraszały się jak mgła. Mech załadunkowy nie reagował na polecenia blokad i toczył się przez ziemię niczyją w stronę szerokich oczu dział obrony przeciwmeteorytowej, oślepiając je, nawet jeśli tylko na kilka minut. Zgodnie z procedurą z bunkra wyłoniło się czterech marsjańskich marines. Panczerze wspomagane pozwalały im sunąć nad powierzchnią, jakby ślizgali się po lodzie. Każdy z nich mógł zabić całą jego grupę i nie poczuć nic gorszego od chwili pogardy. Filip dla zasady nienawidził ich wszystkich razem i każdego z osobna. Ekipy naprawcze ruszały już w stronę uszkodzonego zestawu. Wszystko zostanie przywrócone do porządku w ciągu godziny.

Dwanaście minut, czterdzieści pięć sekund.

Rozejrzał się po swojej grupie. Dziesięciu ochotników, najlepszych żołnierzy, jakich mógł zaoferować Pas. Oprócz niego nikt nie wiedział, dlaczego misja rajdu na marsjański magazyn była ważna ani do czego miała prowadzić. Wszyscy byli gotowi zginąć, jeśli im każe, z powodu tego, kim był. Z powodu tego, kim był jego

ojciec. Filip czuł to w brzuchu i gardle. Nie strach, dumę. To była duma.

Dwanaście minut, trzydzieści pięć sekund. Trzydzieści cztery. Trzydzieści trzy. Rozstawione lasery obudziły się do życia, celując w czterech marines, bunkier ze wsparciem, płoty, warsztaty i koszary. Marsjanie odwrócili się dzięki pancerzom tak czułym, że zauważyły nawet delikatne dotknięcia niewidzialnych wiązek światła. Równocześnie unieśli broń. Filip zauważył, że jeden z nich dostrzegł grupę, przesuając broń w ich stronę. Ku niemu.

Zaparło mu dech w piersiach.

Osiemnaście dni temu lecący od strony Jowisza statek – Filip nie wiedział nawet jaki – gwałtownie przyśpieszył, osiągając dziesięć, może nawet piętnaście g. W nanosekundzie precyzyjnie określonej przez komputery statek wypuścił kilkadziesiąt prętów wolframowych z czterema jednorazowego użytku raketami w środku masy i połączonymi z nimi tanimi czujnikami na jedną długość fali. Były tak proste, że trudno byłoby je nazwać maszynami. Nawet sześciolatki codziennie budowały coś bardziej złożonego, ale przyśpieszone do stu pięćdziesięciu kilometrów na sekundę nie musiały być skomplikowane. Wystarczyło im pokazać, gdzie mają lecieć.

Było po wszystkim w czasie, którego sygnał potrzebował na przemknięcie z oka przez nerw wzrokowy do kory mózgowej. Stał się świadom uderzenia, chmur wzbitego materiału w miejscach, gdzie

przed chwilą stali marines i dwóch krótko żyjących gwiazd na niebie w miejscu marsjańskich okrętów już po tym, gdy wróg zginął. Włączył funkcję nadawczą radia skafandra.

– Ichiban – powiedział dumny, że jego głos brzmiał tak spokojnie.

Razem ruszyli w głąb krateru. Marsjańska stocznia przypominała coś ze snu, z chmurami unoszącymi się ze strzaskanych warsztatów uwalniających różnorodne gazy. Nad koszarami kłębił się łagodnie śnieg z atmosfery marznącej w prawie próżni. Marsjanie zniknęli, ich ciała zostały rozerwane i rozrzucone na dużej powierzchni. Krater wypełniała chmura pyłu i lodu, i tylko wyświetlacz przezierny wskazywał mu lokalizację celów.

Dziesięć minut, trzynaście sekund.

Grupa Filipa podzieliła się. Trzech ruszyło przez środek otwartej przestrzeni, szukając miejsca dość dużego, by rozpocząć rozkładanie cienkiej, czarnej jak węgiel struktury rusztowania ewakuacyjnego. Dwójka odpięła bezodrzutowe pistolety maszynowe, gotowa strzelać do każdego, kto wyłoni się z gruzów. Kolejna dwójka pobiegła w stronę zbrojowni, a trzech ruszyło z nim do szop magazynowych. Budynek przebijał się przez chmury pyłu, surowy i groźny. Drzwi prowadzące do środka były zamknięte. Na boku leżał przewrócony mech załadunkowy, kierowca był martwy lub umierający. Jego specjalista od techniki podszedł do panelu sterowania drzwi i wydłubał go z obudowy mechanicznymi szczypcami.

Dziewięć minut, siedem sekund.

– Josie – rzucił Filip.

– Trabajan, sa sa? – Josie odpowiedział uprzejmie.

– Wiem, że pracujesz – powiedział Filip. – Ale jeśli nie dasz rady tego otworzyć...

Wielkie drzwi szarpnęły się, zadrżały i podniosły. Josie odwrócił się i włączył światła w hełmie skafandra, żeby Filip zobaczył wyraz jego pobrużdżonej twarzy. Weszli do magazynu. Wieże z zakrzywionej ceramiki i stali tworzyły wielkie sterty, gęstsze od gór. Na plastikowych szpulach wyższych od Filipa spoczywały zwoje setek kilometrów drutów grubości włosa. Olbrzymie drukarki czekały, gotowe wypluwać płyty obejmujące pustkę, definiując objętość i tworząc bańkę powietrza, wody i złożonych związków organicznych składających się na środowisko umożliwiające życie ludziom. Migotały światła awaryjne, nadając wielkiej przestrzeni upiorny wygląd katastrofy. Ruszył przed siebie. Nie pamiętał wyciągania broni, ale miał ją w ręku. Do mecha przypinał się Miral, nie Josie.

Siedem minut.

W chaosie stoczni pojawiły się białoczerwone błyski pierwszych pojazdów reagowania kryzysowego, ich światła dochodziły zewsząd i znikąd. Filip sunął wzdłuż rzędów zestawów spawalniczych, drukarek do metalu. Zbiorników pyłu stalowego i ceramicznego, drobniejszego od talku. Spiralnych mocowań. Warstwy kevlaru i pianki przeciwwuderzeniowej wznosiły się jak największe łóżko w Układzie Słonecznym. W jednym

z rogów otwartej przestrzeni leżał rozłożony cały silnik Epsteina, wyglądał jak najbardziej skomplikowana układanka wszechświata. Filip to wszystko ignorował.

Powietrze nie było dość gęste, by przenosić dźwięki wystrzałów. Jego wyświetlacz błysnął ostrzeżeniem o szybkich obiektach w tej samej chwili, gdy na stalowej belce z prawej pojawiła się jasna plama. Filip padł, choć jego ciało przesuwało się ku powierzchni znacznie wolniej, niż robiłoby to w ciągu. Marsjanin skoczył w głębi przejścia. Nie pancerz wspomagany wartowników, a zewnętrzny szkielet techniczny. Filip wycelował w środek masy i wystrzelił pół magazynka. Pociski błyskały, opuszczając lufę, spalając własne paliwo i ciągnąc linie ognia i szaroczerwonego gazu przez rzadkie powietrze Kallisto. Cztery trafiły Marsjanina, a tryskające z niego fontanny krwi zmieniły się w czerwony, dryfujący śnieg. Egzoszkielet zabitego przełączył się w stan zagrożenia, świecąc bursztynowymi lampami. Na jakiejś częstotliwości zgłaszał służbom reagowania kryzysowego stoczni, że stało się coś strasznego. Jego bezmyślna służalczość była w tym kontekście prawie zabawna.

W jego uchu zabrzmiał cichy głos Mirala.

– Hoy, Filipito. Sa boíte sa palla?

Filip potrzebował chwili na znalezienie go. Był w swoim mechu załadunkowym, z zaczernionym skafandrem stapiającym się z wielką maszyną, jakby zostali dla siebie stworzeni. Tylko ciemny symbol rozerwanego kręgu Sojuszu Planet Zewnętrznych wciąż

widoczny pod brudem zdradzał, że Miral nie jest zaniedbanym marsjańskim operatorem mecha. Beczki, o których mówił, wciąż były zamocowane do palet. Cztery, po tysiąc litrów każda. Na ich zakrzywionej powierzchni napis: wysokiej gęstości powłoka rezonansowa. Powłoka pochłaniająca energię pomagała marsjańskim okrętom unikać wykrycia. Powłoka niewykrywalności. Znalazł ją. Zniknął lęk, z którego dotąd nawet nie zdawał sobie sprawy.

– Tak – potwierdził Filip. – To to.

Cztery minuty, trzydzieści siedem sekund.

Odgłosy silników mecha załadunkowego były odległe, ich dźwięk bardziej przenoszony przez wibrację podłogi budynku niż rzadką atmosferę. Filip i Josie ruszyli w stronę drzwi. Błyskające światła zrobiły się jaśniejsze i jakby nabrały kierunku. Radio skafandra Filipa przesiewało częstotliwości pełne krzyków i alarmów bezpieczeństwa. Marsjańska flota wojenna nakazywała cofnięcie się pojazdom z pomocą ze stoczni cywilnej, bojąc się, że ratownicy mogą być tak naprawdę zamaskowanymi terrorystami i wrogami. Całkiem słusznie. W innych okolicznościach mogłoby tak być. Wyświetlacz przezierny Filipa wskazywał obrysy budynków, częściowo wzniesione rusztowanie ewakuacyjne oraz przypuszczenia dotyczące lokalizacji pojazdów na podstawie ich emisji podczerwieni i światel zbyt słabych, by zarejestrowały je oczy Filipa. Miał wrażenie, jakby szedł przez wielki schematyczny rysunek, pełen wyraźnych krawędzi, ale prawie



pozbawiony powierzchni. Poczul przez stopy głęboke drzenie przenoszone przez grunt. Moze jakiś wybuch. Albo któryś budynek wreszcie ukończył długi, powolny upadek. W otwartych drzwiach pojawił się mech załadunkowy Mirala, podświetlony światłami magazynu. Beczki w jego szponach były anonimowe i czarne. Filip ruszył w stronę rusztowania, po drodze przełączając się na ich szyfrowany kanał.

– Status?

– Drobný problem – odpowiedział Aaman.

Był w grupie rusztowania. Filip poczul w ustach metaliczny smak strachu.

– Nie ma tu nic takiego, coyo – odpowiedział, starając się zachować spokój. – Co się dzieje?

– Śmieci wyrzucone przez wybuchy przeszkadzają w montażu. Mam brud w złączach.

Trzy minuty, czterdzieści sekund. Trzydzieści dziewięć.

– Idę – powiedział Filip.

Rozległ się głos Andrew.

– Strzelają do nas w zbrojowni, szefuńciu.

Filip zignorował zdrobnienie.

– Mocno?

– W cholere – potwierdził Andrew. – Chuchu załatwiony, a ja nie dam rady się ruszyć. Mogę potrzebować pomocy.

– Trzymaj się – rzucił Filip, jego umysł pracował na najwyższych obrotach.

Jego dwaj strażnicy stali przy rusztowaniu ewakuacyjnym, gotowi strzelać do każdego obcego. Trzech budowniczych zmagало się z klamrą. Filip skoczył do nich, chwytając się czarnego rusztowania. Andrew sapnął na linii.

Gdy tylko zobaczył zablokowane złącze pełne czarnego brudu, problem stał się jasny. W atmosferze wystarczyłoby dmuchnąć, żeby je oczyścić, ale tutaj nie było takiej możliwości. Aaman gorączkowo wydłubywał zanieczyszczenia nożem, usuwając je po kawałku i próbując oczyścić wąskie, złożone przewodnice łączące metal.

Trzy minuty.

Aaman dociągnął klamrę na miejsce i spróbował na siłę ją zablokować. Było blisko, bardzo blisko, ale gdy puścił, złącze się otworzyło. Filip zobaczył, że mężczyzna przeklina, a na wewnętrznej powierzchni jego wizjera pojawiły się kropelki śliny. Gdyby tylko zabrali ze sobą puszkę z powietrzem...

Ale przecież je mieli.

Wyjął nóż z ręki Aamana i wbił go w swój skafander przy nadgarstku, gdzie z powodu wymaganej elastyczności izolacja była najcieńsza. Ostry ból powiedział mu, że zrobił to trochę za mocno. Nic nie szkodzi. Na wyświetlaczu pojawił się alarm skafandra, ale go zignorował. Nachylił się do przodu, przystawiając mały otwór w skafandrze do zabrudzonego złącza, zdmuchując uciekającym powietrzem brud i lód. Wyleciała pojedyncza kropla krwi, zamarzając w idealną

karmazynową kulę i odbijając się od materiału. Cofnął się, a Aaman wsunął złącze. Tym razem, gdy pociągnął, wytrzymało. Uszkodzony skafander zasklepił otwór, gdy tylko wyjął z niego ostrze noża.

Filip się odwrócił. Miral i Josie odcięli beczki od palet i przymocowali jedną z nich do rusztowania. Błyski świateł awaryjnych przygasły, a pojazdy ratunkowe przejeżdżały obok nich w mgle i zamieszaniu. Prawdopodobnie kierując się w stronę strzelaniny w zbrojowni. Gdyby nie wiedział lepiej, sam też tam właśnie widziałby największe zagrożenie.

– Szefuńciu – odezwał się Andrew cienkim i przejętym głosem. – Robi się ciężko.

– No preocupes – odparł Filip. – Ge gut.

Kobieta pilnująca rusztowania położyła mu rękę na ramieniu.

– Mam to załatwić? – zapytała. Mam ich uratować?

Filip uniósł pięść i lekko nią potrząsnął. Nie. Zesztywniała, gdy dotarło do niej, co mówi, i przez chwilę sądził, że nie posłucha. Jej wybór. Bunt w tej chwili niósł ze sobą własną karę. Josie wsunął na miejsce ostatnią beczkę i dociągnął taśmy. Aaman i jego ludzie zamocowali ostatnią klamrę.

Jedna minuta, dwadzieścia sekund.

– Szefuńciu! – wrzasnął Andrew.

– Przykro mi, Andrew – odpowiedział Filip.

Przez chwilę panowała wstrząsająca cisza, a potem rozległ się strumień przekleństw i obelg. Filip zmienił częstotliwość. Służby ratunkowe stoczni wojskowej robiły

teraz mniej hałasu. Kobięcy głos mówił wyraźnym, kontrolowanym niemieckim, wydając polecenia z niemal znudzoną skutecznością kogoś przywykłego do sytuacji kryzysowych, a odpowiadające jej głosy starały się dopasować do tego poziomu profesjonalizmu. Filip wskazał na rusztowanie. Chuchu i Andrew polegli. A nawet jeśli jeszcze żyli, to i tak byli martwi. Filip podciągnął się na swoje miejsce na rusztowaniu, przypiął taśmy wokół pasa, w kroczu i przez klatkę piersiową, a potem oparł głowę na grubej wyściółce.

Pięćdziesiąt siedem sekund.

– Niban – powiedział.

Nic się nie stało. Przełączył radio z powrotem na szyfrowany kanał. Andrew teraz łkał. Wył.

– Niban! Andale! – krzyknął Filip.

Rusztowane ewakuacyjne szarpnęło i nagle zrobił się ciężki. Ziemię pod nim rozjarzyły cztery rakiety chemiczne, rozrzucając gazami puste palety i przewracając na plecy porzuconego mecha załadunkowego Mirala. Przyśpieszenie przepchnęło krew do nóg Filipa i zwęziło się jego pole widzenia. Dźwięki w radiu przycichły, zrobiły się odleglejsze, a jego świadomość na chwilę zgasła i zamigotała. Skafander ścisnął mu nogi, jakby zgniatała go jakaś olbrzymia dłoń, wyciskając z nich z powrotem krew. Częściowo wróciła mu świadomość.

Krater w dole był owalnym pęcherzem pyłu na twarzy księżyca. Błyskały w nim światła. Wieże na krawędzi krateru zgasły, ale zaczęły błyskać, w miarę jak system

próbował się zrestartować. Stocznie Kallisto zataczały się jak pijak albo człowiek uderzony w głowę.

Zegar odliczania pokazał dwie sekundy, potem jedną.

Przy zerze nastąpiło drugie uderzenie. Filip nie widział walnięcia skały. Tak jak wolframowe pręty, leciała zbyt szybko dla ludzkiego wzroku, ale zobaczył, jak chmura pyłu podskakuje jak zaskoczona, a potem olbrzymia fala uderzeniowa wykwitła tak potężnie, że była widoczna nawet w prawie nieistniejącej atmosferze księżyca.

– Trzymać się – rzucił Filip, choć nie było to potrzebne.

Wszyscy na rusztowaniu byli bezpiecznie przypięci. Gdyby atmosfera była gęstsza, wszyscy by zginęli, ale tutaj było to niewiele gorsze od silnej burzy. Aaman jęknął.

– Jakiś problem? – zapytał Filip.

– Pinché kamyk przebił mi stopę – wyjaśnił Aaman. – Boli.

Odpowiedział mu Josie.

– Gratia sa, że nie urwał ci fiuta, coyo.

– Nie narzekam – rzucił Aaman. – Żadnych skarg.

Rakiety rusztowania zgasły i ustało ciśnienie przyśpieszenia. Stocznie w dole pochłonęła śmierć. Teraz nie było już żadnych świateł, nie płonęły nawet ognie. Filip przeniósł wzrok na jasną smugę gwiazd, na oświetlający wszystko dysk galaktyki. Jedno z tych świateł nie było gwiazdą, a dyszą wylotową *Pelli*, lecącej po swoją załogę. Oprócz Chuchu. Oprócz Andrew. Filip zaczął się zastanawiać, dlaczego nie ma wyrzutów sumienia

z powodu straty dwóch ludzi pod jego rozkazami. Jego pierwszego oddziału. Dowodu, że potrafił sobie poradzić z trudną misją, z wysokimi stawkami, i wyjść z niej zwycięsko.

Wcale nie chciał niczego mówić. Może tego nie zrobił. Może to tylko westchnięcie na jego ustach. Miral się roześmiał.

– Bez jak, Filipito – skomentował starszy mężczyzna. A po chwili dodał: – Feliz cumpleaños, sabez?

Filip Inaros uniósł ręce w podzięcie. To były jego piętnaste urodziny.

## Rozdział pierwszy

### Holden

Rok po ataku na Kallisto i prawie trzy lata po tym, jak razem z załogą wyruszyli na Ilusa oraz około sześciu dni po powrocie, James Holden unosił się obok swojego statku i patrzył, jak mech rozbiórkowy rozrywa go na kawałki. Osiem napiętych cum kotwiczyło *Rosynanta* do ścian doku. Było to tylko jedno z licznych stanowisk remontowych Tycho, ta zaś sekcja remontowa była tylko jedną z wielu w olbrzymiej sferze konstrukcyjnej. Wszędzie wokół nich w szerokiej na kilometr sferze trwała aktywność przy tysiącu innych projektów, ale Holden zwracał uwagę tylko na swój statek.

Mech skończył cięcie i odsunął duży fragment zewnętrznego kadłuba. Pod spodem mieścił się szkielet statku: solidne wręgi otoczone płataniną przewodów i rur, a pod tym wszystkim druga powłoka wewnętrznego kadłuba.

– Owszem – powiedział unoszący się obok niego Fred Johnson – solidnie go obileś.

Słowa Freda, spłaszczone i zniekształcone przez system łączności ich skafandrów próżniowych, były jak kopniak w brzuch. Fakt, że Fred, formalny przywódca Sojuszu Planet Zewnętrznych i jeden z najpotężniejszych ludzi w Układzie Słonecznym osobiście interesował się stanem jego statku, powinien poprawić mu nastrój, ale zamiast tego Holden czuł się, jakby ojciec sprawdzał jego zadanie domowe, żeby się upewnić, że niczego zbytnio nie popsuł.

– Wygięte wewnętrzne mocowanie. – W głośniczkach zabrzmiał trzeci głos.

Należał do Sakai, mężczyzny o wciąż skwaszonej minie, nowego głównego inżyniera Tycho po śmierci Samanty Rosenberg podczas tego, co wszyscy nazywali teraz Incydem Powolnej Strefy. Sakai monitorował naprawy ze swojego pobliskiego biura przez zestaw kamer i skanerów rentgenowskich mecha.

– Jak wam się to udało? – Fred wskazał obudowę działa szynowego wzdłuż stępki statku.

Lufa broni biegła przez prawie całą długość jednostki, a rozpory mocujące ją do ramy były miejscami wyraźnie poodginane.

– Mówiłem wam – odpowiedział Holden – jak kiedyś użyliśmy *Rosa* do holowania ciężkiego frachtowca na wyższą orbitę planetarną za pomocą działa szynowego jako napędu odrzutowego?

– Tak, to dobra historia – odpowiedział Sakai bez rozbawienia. – Niektóre z tych rozpór może da się



naprawić, ale założę się, że znajdziemy w stopach tyle mikropęknięć, że bezpieczniej będzie je wymienić.

Fred zagwizdał.

– To nie będzie tanie.

Szef SPZ bywał patronem i sponsorem załogi *Rosynanta*. Holden miał nadzieję, że chwilowo byli w korzystniejszej fazie ich chwiejnego związku. Bez zniżki dla preferowanych klientów naprawa statku będzie wyraźnie droższa. Choć i tak było ich na nią stać.

– Mnóstwo kiepsko załatanych dziur w zewnętrznym pancerzu – wyliczał dalej Sakai. – Wewnętrzny stąd wygląda w porządku, ale uważnie mu się przyjrzymy i upewnimy się, że jest szczelny.

Holden chciał przypomnieć, że gdyby w kadłubie znajdowały się jakieś otwory, podróż powrotna z Ilusa skończyłaby się uduszeniem i śmiercią, ale się pohamował. Nie miało sensu irytować człowieka, który odpowiadał teraz za utrzymanie jego statku w dobrym stanie. Przypomniawszy sobie kpiarski uśmieszek Sam, jej zwyczaj łagodzenia krytyki żartami i poczuł, jak coś ściska go za serce. Minęły już lata, ale czasami żal dopadał go zupełnie niespodziewanie.

– Dziękuję – odpowiedział zamiast tego.

– To trochę potrwa – zwrócił uwagę Sakai.

Mech przeleciał do innej części statku, zaczepił się magnetycznymi stopami i z jasnym błyskiem zaczął rozcinać inną część zewnętrznego kadłuba.

– Chodźmy do mojego biura – zasugerował Fred. – W moim wieku skafandra nie można nosić zbyt długo.

Wiele rzeczy w naprawianiu statku robiło się dużo prostsze przy braku ciężenia i atmosfery. Z drugiej strony technicy musieli przez to pracować w skafandrach próżniowych. Holden uznał słowa Freda za wyznanie, że starszy mężczyzna chce się wysikać, a nie zadał sobie wysiłku podłączenia cewnika.

– Dobra, wracajmy.

\* \* \*

Biuro Freda było bardzo duże jak na pomieszczenie na stacji kosmicznej i pachniało starą skórą oraz dobrą kawą. Sejf kapitański w ścianie zrobiono z tytanu i szcztokowanej stali, nadając mu wygląd rekwizytu ze starego filmu. Ekran ścienny za biurkiem wyświetlał obraz trzech budowanych właśnie statków. Były duże, masywne i funkcjonalne. Jak młoty dwuręczne. Stanowiły początki budowanej dla SPZ floty wojennej. Holden wiedział, dlaczego sojusz uważa, że potrzebuje własnych sił zbrojnych, choć biorąc pod uwagę wszystko, co zaszło w ciągu ostatnich kilku lat, nie potrafił przestać myśleć, że jego zdaniem ludzkość ciągle uczyła się niewłaściwych rzeczy.

– Kawy? – zapytał Fred.

Widząc skinięcie głową Holdena, zaczął się krzątać przy ekspresie do kawy na stoliku obok, szykując dwa kubki. Ten, który podał Holdenowi, miał na sobie wytarte logo. Starty prawie do zera rozerwany krąg SPZ.

– Jak długo? – zapytał Holden po przyjęciu kawy i machnięciu w stronę ekranu.

– Według bieżących prognoz, sześć miesięcy – odpowiedział Fred, a potem z sapnięciem rozsiadł się w fotelu. – Równie dobrze mogłaby to być cała wieczność. Za półtora roku nie da się już rozpoznać ludzkich struktur społecznych w tej galaktyce.

– Diaspora.

– Jeśli tak chcesz to nazywać – potwierdził Fred skinieniem. – Ja nazywam to grabieniem ziemi. Całe mnóstwo wozów jadących ku ziemi obiecanej.

Ponad tysiąc światów do wzięcia. Ludzie z każdej planety, stacji i kamienia w Układzie Słonecznym pędzili, żeby zapewnić sobie kawałek tych skarbów. A w układzie macierzystym trzy rządy starały się zbudować dość okrętów, żeby to wszystko kontrolować.

Na powierzchni jednego ze statków zestaw spawalniczy rozbłysnął tak jasno, że monitor automatycznie przyciemnił obraz.

– Jeśli Ilus był czymkolwiek, to właśnie ostrzeżeniem, że zginie całe mnóstwo ludzi – stwierdził Holden. – Czy ktoś tego słuchał?

– Nie bardzo. Znasz historię przejmowania ziemi w Ameryce Północnej?

– Tak – potwierdził Holden, a potem napił się kawy. Była wyśmienita. Bogata, hodowana na Ziemi. Przywileje rangi. – Zrozumiałem twoją aluzję do wozów. Wiesz, dorastałam w Montanie. Ludzie wciąż opowiadają tam sobie te historie o zajmowaniu granic.

– Czyli wiesz, że mity o przeznaczeniu kryją mnóstwo ludzkich tragedii. Wiele z tych wozów nigdy nie dotarło

na miejsce. A całkiem spory procent ludzi, którzy tam dotarli, stało się tanią siłą roboczą budującą koleje, kopalnie i pracującą dla bogatych farmerów.

Holden, popijając kawę, przyglądał się budowie statków.

– Nie wspominając już o ludziach, którzy tam mieszkali, zanim dotarły tam te wszystkie wozy, przynosząc ze sobą nowe, wspaniałe choroby. Przynajmniej nasza wersja galaktycznego przeznaczenia nie niszczy niczego bardziej zaawansowanego od jaszczurki papuziej.

Fred kiwnął głową.

– Może. Przynajmniej na razie tak to wygląda. Ale nie każda z tysiąca trzystu planet została już dobrze zbadana. Kto wie, co tam znajdziemy.

– Zabójcze roboty i reaktory fuzyjne wielkości kontynentów, czekające tylko na kogoś, kto je włączy, żeby mogły wysadzić pół planety w kosmos, jeśli dobrze pamiętam.

– Sądysz tak na podstawie swojego pojedynczego doświadczenia. Tymczasem może być dużo dziwniej.

Holden wzruszył ramionami i dopił kawę. Fred miał rację. Nie dało się przewidzieć, co mogło czekać na wszystkich tych planetach. Nie wiadomo, jakie niebezpieczeństwa czekają na potencjalnych kolonistów pragnących je przejąć.

– Avasarala nie jest ze mnie zadowolona – odezwał się Holden.

– Owszem, nie jest – przyznał Fred. – Ale ja tak.

– Możesz powtórzyć?

– Słuchaj, staruszka chciała, żebyś poleciał tam i pokazał wszystkim w Układzie Słonecznym, jak źle tam jest. Przestraszył ich na tyle, żeby poczekali, aż rząd pozwoli im lecieć. Żeby stery z powrotem trafiły w jej ręce.

– To było dość przerażające – zauważył Holden. – Nie mówiłem tego dość wyraźnie?

– Jasne. Ale też dało się przeżyć. A teraz Ilus jest gotów do wysłania na tutejszy rynek frachtowców pełnych rudy litu. Staną się bogaci. Możliwe, że będzie to wyjątek, ale zanim wszyscy to wykombinują, ludzie będą już na tych wszystkich planetach, szukając następnej kopalni złota.

– Nie jestem pewien, co mogłem zrobić inaczej.

– Nic – zgodził się Fred. – Ale Avasarala i premier Smith na Marsie oraz reszta polityków chcą móc to kontrolować. A ty dopilnowałeś, żeby było to niemożliwe.

– To dlaczego ty jesteś zadowolony?

– Ponieważ – odpowiedział Fred z szerokim uśmiechem – ja nie próbuję tego kontrolować. I dlatego właśnie w końcu będę to robił. Gram w długiej perspektywie czasowej.

Holden wstał i nalał sobie kolejny kubek doskonałej kawy Freda.

– Hm, chyba będziesz musiał mi to dokładniej wytłumaczyć – stwierdził, opierając się o ścianę obok ekspresu.

– Mam stację Medyna, czyli samowystarczalną jednostkę, obok której muszą przelecieć wszyscy

przelatujący przez pierścienie, która rozdaje paczki z nasionami i namioty każdemu statkowi, jaki ich potrzebuje. Sprzedajemy ziemię doniczkową i filtry do wody po kosztach. Każda kolonia, która przetrwa, zrobi to przynajmniej w części dzięki naszej pomocy. Kiedy więc przyjdzie do zorganizowania jakiegoś typu galaktycznego ciała zarządzającego, do kogo się zwrócą? Do ludzi, którzy chcą pod bronią wymusić hegemonię, czy do gości, którzy byli tam i pomagali w potrzebie?

– Zwrócą się do ciebie – potwierdził Holden. – I dlatego budujesz statki. Musisz wyglądać pomocnie na początku, gdy wszyscy będą potrzebować pomocy, ale mieć realną siłę, gdy zaczną rozglądać się za rządem.

– Dokładnie – potwierdził Fred, odchylając się na oparcie fotela. – Sojusz Planet Zewnętrznych zawsze oznaczał wszystko za Pasem. I to nadal prawda. Po prostu... trochę się rozrósł.

– To nie może być takie proste. Nie ma mowy, żeby Ziemia i Mars po prostu się wycofały i pozwoliły ci rządzić galaktyką, bo rozdawałeś namioty i torebki ze śniadaniem.

– Nic nigdy nie jest proste – przyznał Fred. – Ale od tego zaczniemy. I jak długo będę miał stację Medyna, będę kontrolował środek planszy.

– Czy ty w ogóle przeczytałeś mój raport? – zapytał Holden niezdolny ukryć niedowierzania w głosie.

– Doceniam zagrożenia pozostawione na tych planetach...

– Zapomnij o tym, co tam zostało – wciął się Holden. Odstawił kubek z częściowo wypitą kawą i przeszedł przez gabinet, opierając się o biurko Freda. Starszy mężczyzna patrzył na niego spod zmarszczonych brwi. – Zapomnij o robotach i systemach transportu, które działają po wyłączeniu na miliard lat. O wybuchających reaktorach. Zapomnij o zabójczych ślimakach i mikrobach wchodzących do oczu, żeby cię oślepić.

– Długą masz tę listę?

Holden go zignorował.

– To, o czym powinieneś pamiętać, to magiczny pocisk, który to wszystko zatrzymał.

– Ten artefakt był dla ciebie szczęśliwym znaleziskiem, biorąc pod uwagę...

– Nie, wcale nie był. To była najbardziej kurewsko przerażająca odpowiedź na paradoks Fermiego, jaka przychodzi mi do głowy. Wiesz, dlaczego w twojej analogii ze starym Zachodem nie ma żadnych Indian? Bo już nie żyją. Cokolwiek zbudowało to wszystko, miało olbrzymią przewagę i użyło swoich protomolekularnych budowniczych wrót do zabicia wszystkich innych. Ale nawet nie to jest tak naprawdę straszne. Naprawdę przerażające jest to, że potem przyszło coś jeszcze, strzeliło tym pierwszym gościom w tył głowy i zostawiło ich trupy rozrzucone po całej galaktyce. Tak naprawdę powinieneś zadawać sobie pytanie, kto wystrzelił magiczny pocisk? I czy nie będzie im przeszkadzać, że zabierzemy rzeczy ofiary?

\* \* \*

Fred przydzielił załodze dwa apartamenty na poziomie kierowniczym pierścienia mieszkalnego stacji Tycho. Holden z Naomi zajęli jeden z nich, podczas gdy Aleks i Amos zamieszkali w drugim, choć tak naprawdę w praktyce znaczyło to, że tylko tam sypiali. Kiedy mężczyźni nie korzystali z rozlicznych opcji rozrywkowych dostępnych na Tycho, cały pozostały czas spędzali w apartamencie Holdena i Naomi.

Holden zastał Naomi w jadalni, przeglądała coś skomplikowanego na swoim terminalu ręcznym. Uśmiechnęła się do niego, nie podnosząc wzroku. Aleks rozparł się na kanapie w salonie. Ekran ścienny był włączony, wyświetlał obrazy i gadające głowy kanału wiadomości, ale dźwięk wyciszono. Pilot leżał z odchyloną głową i zamkniętymi oczami. Pochrapywał cicho.

– Teraz już nawet tu śpią? – zapytał Holden, siadając przy stole naprzeciw Naomi.

– Amos poszedł po kolację. Jak poszło twoje spotkanie?

– Chcesz złą wiadomość czy gorszą?

Naomi w końcu oderwała się od pracy. Przekrzywiła głowę na bok i zmrużyła oczy, patrząc na niego.

– Znowu nas wyrzucił?

– Nie tym razem. *Ros* jest dość poobijany. *Sakai* mówi...

– Dwadzieścia osiem tygodni – wtrąciła się Naomi.

– Właśnie. Podśluchiwałaś mój terminal?



– Patrzę na arkusze – wyjaśniła, wskazując na ekran. – Dostałam je przed godziną. On... Sakai jest całkiem niezły.

*Nie tak dobry, jak Sam*, w powietrzu zawisły niewypowiedziane słowa. Naomi spuściła wzrok na stół, ukrywając się za włosami.

– No tak, to jest zła wiadomość – potwierdził Holden. – Pół roku bez pracy, a wciąż czekam, żeby Fred powiedział, że za to zapłaci. Albo chociaż za część. Jakąkolwiek.

– Wciąż mamy dość dużo pieniędzy. Wczoraj przyszedł przelew z ONZ.

Holden przytaknął nieprzekonany.

– Ale odkładając na chwilę kwestie finansowe, wciąż nie mogę nikogo przekonać do wysłuchania mnie w sprawie artefaktu.

Naomi posłała mu pasiarski gest oznaczający wzruszenie ramion.

– Ponieważ tym razem miałyby być inaczej? Nigdy dotąd nie słuchali.

– Choć raz chciałbym zostać wynagrodzony za moją optymistyczną wizję ludzkości.

– Zrobiłam kawę – powiedziała, kiwnięciem głowy wskazując kuchnię.

– Fred poczęstował mnie swoją, na tyle dobrą, że chwilowo nie mam ochoty na nic mniej smacznego. Kolejny powód, dla którego spotkanie z nim było niezadowolające.

Rozsunęły się drzwi do mieszkania i do środka wkroczył Amos, niosąc dwie duże torby. Powietrze

wypełnił aromat curry i cebuli.

– Żarcie – rzucił, a potem głośno postawił torby na stole przed Holdenem. – Hej, kapitanie, kiedy oddadzą mi statek?

– Czy to jedzenie? – Z salonu rozległ się rozespany głos Aleksa.

Amos nie odpowiedział, wyciągał już z toreb piankowe kartony i rozstawiał je wokół stołu. Holden sądził, że jest zbyt zirytowany, żeby jeść, ale aromaty indyjskiej kuchni miały wiele wspólnego ze zmianą zdania.

– Minie jeszcze mnóstwo czasu. – Naomi odpowiedziała Amosowi z ustami pełnymi jedzenia. – Wygięliśmy mocowanie.

– Szlag – rzucił Amos, siadając i biorąc pałeczki. – Wystarczyło zostawić was samych na parę tygodni, a popsuliście mi moje cacko.

– Używano tam superbroni obcych – przepraszająco rzucił Aleks, wchodząc do jadalni z włosami sterczącymi na wszystkie strony. – Zostały zmienione prawa fizyki, popełniono pewne błędy.

– Nic nowego pod słońcem – odpowiedział Amos i podał pilotowi karton z ryżem i curry. – I włączcie dźwięk, to wygląda jak Ilus.

Naomi włączyła głos strumienia wideo i apartament wypełnił głos prezentera.

– ...częściowo przywrócono zasilanie, ale źródła na planecie twierdzą, że ta porażka...

– To prawdziwy kurczak? – zapytał Aleks, chwytając jeden z kartonów. – Trochę sobie folgujemy, co?

– Cicho – rzucił Amos. – Mówią o kolonii.

Aleks przewrócił oczami, ale nic nie powiedział, nakładając sobie na talerz pikantne paski kurczaka.

– ...z innych tematów, dotarliśmy do wstępnej wersji raportu podsumowującego śledztwo w sprawie zeszłorocznego ataku na stocznię Kallisto. Choć nie jest to jeszcze ostateczna wersja tekstu, wstępne raporty sugerują, że w ataku uczestniczyła jedna z frakcji Sojuszu Planet Zewnętrznych, obwiniając za wysoką liczbę ofiar...

Amos wyłączył głos gniewnym dźwiękiem w przyciski wbudowane w stół.

– Cholera, chciałem usłyszeć więcej o tym, co dzieje się na Ilusie, a nie o jakichś durnych kowbojach z SPZ wysadzających się w powietrze.

– Zastanawiam się, czy Fred wie, kto za tym stoi – odezwał się Holden. – Twardogłowi działacze SPZ mają problem z rezygnacją ze swojej teologii „my przeciwko Układowi Słonecznemu”.

– Czego właściwie tam szukali? – zapytał Aleks. – Na Kallisto nie było żadnej ciężkiej broni, żadnych atomówek. Nic, co byłoby warte takiej wyprawy.

– Och, teraz oczekujemy od nich jakiegoś sensu? – rzucił Amos. – Daj mi ten naan.

Holden westchnął i odchylił się na krześle.

– Wiem, że robi to ze mnie naiwnego durnia, ale po Ilusie naprawdę sądziłem, że możemy mieć chwilę pokoju. Że nikt nie będzie musiał nikogo wysadzać.

– Tak to właśnie wygląda – odpowiedziała Naomi, stłumiła beknięcie i odłożyła pałeczki. – Ziemia i Mars są

w stanie ostrożnego odprężenia, a usankcjonowane skrzydło SPZ rządzi zamiast walczyć. Koloniści na Ilusie współpracują z ONZ zamiast strzelać do siebie nawzajem. Jest tak dobrze, jak tylko może być. Nie możesz oczekiwać, że wszyscy staną po tej samej stronie. W końcu wciąż jesteśmy ludźmi. Jakiś odsetek zawsze będzie dupkami.

– Nigdy nie powiedziano nic prawdziwszego, szefowo  
– zgodził się Amos.

Dokończyli jedzenie i przez kilka minut siedzieli w przyjaznej ciszy. Amos wyciągnął piwa z małej lodówki i rozdał je wszystkim. Aleks dłużył w zębach paznokciem małego palca. Naomi wróciła do analizowania przewidywanych napraw.

– No dobrze – odezwała się po kilku minutach przeglądania arkuszy z liczbami. – Dobra wiadomość jest taka, że nawet jeśli ONZ i SPZ uznają, że sami musimy sobie opłacić rachunki za naprawy, będziemy mogli je pokryć, korzystając tylko z tego, co mamy w funduszu awaryjnym statku.

– Mnóstwo pracy z lataniem na zlecenia kolonistów kierujących się przez pierścienie – skomentował Aleks. – Gdy tylko będziemy mogli znowu latać.

– Tak, bo możemy upchać całe mnóstwo kompostu do naszej maleńkiej ładowni – prychnął Amos. – Tylko że ludzie spłukani do ostatniego centa i cholernie zdesperowani, to niekoniecznie nasza grupa docelowa.

– Powiedzmy sobie szczerze – wtrącił się Holden. – Jeśli sytuacja będzie dalej rozwijać się tak jak teraz,

znalezienie pracy dla prywatnego okrętu bojowego może zrobić się dość trudne.

Amos się roześmiał.

– Pozwolę sobie wstawić tu wyprzedzające „a nie mówiłem”. Bo kiedy okaże się to prawdą, jak zawsze, może mnie nie być na miejscu, żeby to powiedzieć.

## Rozdział drugi

### Aleks

To, co Aleks najbardziej lubił w dalekich lotach, to sposób, w jaki zmieniały odczuwanie czasu. Tygodnie – czasami miesiące – spędzone pod ciągłym byciem jak wyjście z historii w jakiś mały, odrębny wszechświat. Wszystko kurczyło się do statku i ludzi na pokładzie. Przez długi czas nie istniało nic poza podstawowymi pracami konserwacyjnymi, więc życie traciło swą pilność. Wszystko działało się zgodnie z planem, a według planu nie miało się zdarzyć nic krytycznego. Podróżowanie przez pustkę kosmosu dawało mu irracjonalne poczucie spokoju i dobrostanu. Dlatego właśnie mógł to robić.

Znał innych ludzi, zwykle młodych mężczyzn i kobiety, którzy odczuwali to zupełnie inaczej. Jeszcze w czasach, gdy latał we flocie, poznał pilota, który pracował głównie w okolicach planet wewnętrznych, latając między Ziemią, Luną i Marsem. Przeniósł się na lot na księżyc Jowisza pod nadzorem Aleksa. Mniej więcej w czasie, gdy kończyłby się lot między planetami wewnętrznymi, młody człowiek zaczął się rozpadać:

złościł się z powodu drobiazgów, jadł za dużo albo za mało, chodził niespokojnie przez cały statek, od mostka do maszynowni i z powrotem jak tygrys krążący po klatce. Zanim dotarli na Ganimedesa, lekarz pokładowy z Alekssem zgodzili się na dodawanie mu środków uspokajających do jedzenia, żeby zachować jakąś kontrolę nad sytuacją. Po zakończeniu lotu Aleks napisał rekomendację, by pilot nigdy więcej nie został przydzielony do lotu dalekiego zasięgu. Niektórych typów lotów nie dało się wyszkolić, można było je tylko przetestować.

Nie, żeby nie nosił w sobie żadnych trosk i obaw. Od czasu zniszczenia *Canterbury* Aleks miał w sobie stale pewien poziom podstawowego niepokoju. Przy załedwie czteroosobowej załodze *Rosynant* miał zdecydowane braki personelu. Amos i Holden mieli silne, męskie osobowości, które w razie konfliktu mogły całkowicie zniszczyć dynamikę interakcji w załodze. Kapitan i pierwsza oficer byli kochankami, a gdyby kiedyś się rozeszli, oznaczałoby to koniec nie tylko pracy. Tego rodzaju sprawy wciąż nie dawały mu spokoju, niezależnie od tego, z jaką załogą latał. W przypadku *Rosa* te troski trapiły go od lat, choć przez cały ten czas w zasadzie nic się nie działo, co samo w sobie było swego rodzaju stabilizacją. Tak naprawdę Aleks zawsze czuł ulgę, docierając do końca lotu, i zawsze odczuwał ulgę, rozpoczynając kolejny. A przynajmniej jeśli nie *zawsze*, to przynajmniej *przeważnie*.

Dotarcie na stację Tycho powinno było przynieść mu ulgę. Ros był tym razem wyjątkowo poobijany, a stocznie na Tycho były jednymi z najlepszych w Układzie, nie mówiąc już o tym, że jednocześnie były najbardziej przyjazne. Ostateczny los więźnia z Nowej Ziemi stał się teraz wreszcie cudzym problemem i pozbyli się go ze statku. Edward Israel, druga połowa konwoju z Nowej Ziemi, bezpiecznie leciał w stronę Słońca. Następne sześć miesięcy oznaczały wyłącznie naprawy i odpoczynek. Według wszelkich racjonalnych standardów powinien mieć mniej powodów do niepokoju.

– To co cię gryzie? – zapytał Amos.

Aleks wzruszył ramionami, otworzył małą lodówkę apartamentu, zamknął ją i powtórzył wzruszenie ramion.

– Bo pewne jak jasna cholera, że coś cię gryzie.

– Wiem.

Światła miały żółtoniebieski odcień, udający wczesny poranek, ale Aleks nie spał. A przynajmniej niewiele. Amos usiadł na blacie i nalał sobie kawę do kubka.

– Nie robimy jednej z tych rzeczy, kiedy to mam ci zadać kupę pytań, żebyś poczuł się na tyle fajnie, żeby mówić o swoich uczuciach, prawda?

Aleks się roześmiał.

– To nigdy nie działa.

– Więc tego nie róbmy.

Podczas lotu Holden i Naomi zwykli trzymać się razem, choć chyba żadne z nich tego nie zauważało. Całkiem naturalne było, że zakochani znajdowali więcej komfortu w swoim towarzystwie niż w towarzystwie



reszty załogi. W sumie gdyby było inaczej, Aleks zacząłby się o nich martwić, ale przez to w zasadzie on z Amosem mieli do towarzystwa tylko siebie. Aleks był dumny z faktu, że potrafił się dogadać prawie z każdym w załodze, a Amos nie był tu wyjątkiem. Był człowiekiem bez żadnych podtekstów. Kiedy mówił, że potrzebuje trochę czasu w samotności, znaczyło to, że potrzebuje trochę czasu w samotności. Kiedy Aleks pytał, czy chce przyjść obejrzeć ściągnięte z Ziemi nowe filmy neo-noir, które uwielbiał, odpowiedź zawsze była tylko odpowiedzią na to pytanie. Nie miało się z nim żadnego poczucia ukrytych podtekstów, gierek czy rozgrywek. Mówił jak jest, i to wszystko. Aleks zastanawiał się czasem, co by się stało, gdyby to Amos zginął na *Donnagerze* i ostatnie kilka lat Aleks spędziłby z ich medykiem, Shedem Garveyem, zamiast z Amosem.

Chyba nie byłoby tak różowo. A może po prostu by się dostosował. Trudno zgadywać.

– Miałem sny, które... mnie niepokoją – wyznał Aleks.

– Jakież koszmary?

– Nie, dobre sny. Lepsze od prawdziwego świata.

Takie, że źle się czuję, budząc się z nich.

– Hm – mruknął Amos i napił się kawy.

– Miałeś kiedyś takie sny?

– Nie.

– Problem w tym, że we wszystkich występuje Tali.

– Tali?

– Talissa.

– Twoja była żona.

– Właśnie – potwierdził Aleks. – Zawsze tam jest i wszystko zawsze jest... miłe. To znaczy, nie, że jesteśmy razem. Czasami jestem z powrotem na Marsie, czasami ona jest na statku. Po prostu tam jest i jest nam dobrze, a potem się budzę, nie ma jej tu i wcale nie jest fajnie. I...

Brwi Amosa opadły niżej, a jego nos się podniósł, ściskając jego twarz w coś mniejszego i emanującego zamyśleniem.

– Chcesz znowu zejść się ze swoją byłą?

– Nie, naprawdę nie chcę.

– Jesteś napalony?

– Nie, to nie są sny erotyczne.

– To musisz sobie sam radzić. Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

– Zaczęło się tam – powiedział Aleks, mając na myśli drugą stronę pierścieni, orbitę Nowej Ziemi. – Jej imię wyszło w rozmowie i od tamtej pory... zawiodłem ją.

– Ano.

– Spędziła wiele lat, czekając na mnie, a ja nie okazałem się człowiekiem, którym chciałem być.

– Zgadza się. Chcesz trochę kawy?

– Zdecydowanie tak – przyznał Aleks.

Amos napełnił kubek. Mechanik nie dodał cukru, ale pamiętał, żeby zostawić jedną trzecią miejsca na mleczko. Jeden z objawów bliskości życia na statku.

– Nie podoba mi się to, w jakim stanie zostawiłem naszą sytuację – powiedział Aleks.

To był proste stwierdzenie, nie objawienie, ale miało wagę wyznania na spowiedzi.

– Prawda – zgodził się Amos.

– Jest we mnie jakaś część, która widzi w tym szansę.

– W tym?

– W fakcie, że *Ros* będzie tak długo siedział w suchym doku. Mógłbym polecieć na Marsa, spotkać się z nią. Przeprzić.

– A potem ponownie ją rzucić, żeby wrócić, zanim znowu włączymy silnik statku?

Aleks popatrzył w głąb kubka z kawą.

– Trochę uporządkować naszą sytuację.

Amos mocno wzruszył ramionami.

– To jedź.

W jego myślach pojawiła się cała lista obiekcji. Ich czwórka nie rozdzielała się, od kiedy stali się załogą, a rozdzielenie grupy wydawało się nieść groźbę pecha. Ekipy naprawcze na Tycho mogły go potrzebować albo wprowadzić w statku jakąś zmianę, o której nie dowie się do chwili, gdy stanie się gdzieś po drodze krytycznym problemem. Albo gorzej, odlot mógł oznaczać odejście na zawsze. Jeśli przez ostatnie kilka lat wszechświat czegoś im dowiódł, to tego, że nic nie jest pewne.

Uratował go dzwonek ręcznego terminala. Amos wyciągnął urządzenie z kieszeni, spojrział na ekran, stuknął w niego i zmarszczył brwi.

– Będę potrzebował chwili prywatności.

– Jasne – odpowiedział Aleks. – Nie ma problemu.

Przed drzwiami apartamentu korytarz stacji Tycho rozciągał się w długich, łagodnych krzywiznach. Był to jeden z klejnotów koronnych Sojuszu Planet

Zewnętrznych. Ceres była większa, a Medyna kontrolowała dziwną strefę zerową między pierścieniami, ale to właśnie stacją Tycho SPZ pyszniło się od samego początku. Jej konstrukcja, bardziej kojarząca się z żaglowcem niż wszelkie obsługiwane przez stację jednostki, nie była tylko funkcjonalna. Uroda stacji miała zachwycać i wzbudzać podziw. Tu mieszkali ludzie, którzy rozkręcili Eros i Ceres, tu mieściły się stocznie, w których zbudowano największy pojazd w historii ludzkości. Kobiety i mężczyźni, którzy nie tak wiele pokoleń temu po raz pierwszy odważyli się wyjść w otchłań poza Marsem, byli dość mądrzy i potężni, by zbudować coś takiego.

Aleks ruszył długą promenadą. Mijali go głównie Pasiarze, wyżsi, z większymi głowami niż Ziemianie. Sam Aleks dorastał w stosunkowo niskim ciężeniu Marsa, ale nawet on nie do końca pasował wyglądem do tych, którzy spędzili dzieciństwo w nieważkości.

Wzdłuż pustych przestrzeni szerokich korytarzy rosły rośliny, z powojami rozchodzącymi się przy niskim ciężeniu wirowym tak samo, jak rosłyby przy normalnej grawitacji Ziemi. Dzieci biegały, zrywając się ze szkoły tak jak on w tym wieku, mieszkając w Londres Nova. Popijał kawę i próbował przywołać spokój ducha odczuwany podczas lotu. Stacja Tycho była równie sztuczna co *Ros*. Próżnia na zewnątrz nie była ani trochę bardziej wybacząca. Jednak spokój nie nadchodził. Stacja Tycho nie była jego statkiem, nie była jego domem. Ludzie, których mijał, gdy wszedł do obszaru

komunalnego i wyjrzał przez olbrzymie, wielowarstwowe okna z przejrzystej ceramiki na jarzące się w nocy stocznie, nie byli jego rodziną. I wciąż się zastanawiał, co pomyślałaby o tym wszystkim Tali. Czy gdyby przyleciała do tego miejsca, zobaczyłaby jego piękno tak, jak potrafiła czerpać radość z życia, którego chciała na Marsie.

Zawrócił, gdy dopił kawę. Szedł nieśpiesznie pośród innych przechodniów, ustępując miejsca wózkom elektrycznym i wymieniając drobne, cywilizowane uprzejmości w wielonarodowej katastrofie lingwistycznej tworzącej slang Pasiarzy. Właściwie nie zastanawiał się, gdzie idzie, aż dotarł na miejsce.

Ros spoczywał częściowo rozebrany w próżni. Po zdjęciu zewnętrznego kadłuba – wewnętrzny kadłub lśnił świeżością w reflektorach roboczych, przez co statek wydawał się mniejszy niż w rzeczywistości. Większość blizn powstałych podczas ich licznych przygód została na zewnętrznym pancerniu. Teraz zniknęły i pozostały tylko głębokie rany. Nie widział ich z tego miejsca, ale wiedział, gdzie się znajdują. Przebywał na *Rosynancie* dłużej niż na jakimkolwiek innym statku w swojej karierze i kochał go bardziej niż pozostałe. Nawet bardziej niż swój pierwszy.

– Wróć – powiedział do statku i jakby w odpowiedzi zestaw spawalniczy rozjarzył się przy krzywiźnie dyszy, przez chwilę świecąc jaśniej niż nieosłonięte słońce marsjańskiego nieba.

\* \* \*

Apartament dzielony przez Holdena i Naomi mieścił się tuż obok tego, w którym spał z Amosem, z drzwiami z takiego samego sztucznego drewna i numerem osadzonym na ścianie tuż obok. Aleks wszedł do środka, trafiając w środek prowadzonej właśnie rozmowy.

– ...jeśli uważasz, że to potrzebne. – Głos Naomi dobiegł z salonu apartamentu. – Ale moim zdaniem są dość silne dowody na to, że pozbyłeś się wszystkich pozostałości. Miller przecież nie wrócił, prawda?

– Owszem – potwierdził Holden, kiwając głową Aleksowi. – Ale skóra cierpnie mi na samą myśl o tym, że mieliśmy trochę tego syfu na statku przez tak długi czas. Ciebie to nie przeraża?

Aleks uniósł kubek po kawie, a Holden automatycznie wziął go i napełnił. Bez cukru, z miejscem na mleko.

– Owszem – przyznała Naomi, wchodząc do kuchni. – Ale nie dostatecznie, żeby z tego powodu ściągać wszystkie cholerne ściany. Zastępcze nigdy nie są równie mocne jak oryginały. Wiesz o tym.

Aleks poznał Naomi Nagatę podczas latania na *Canterbury*. Wciąż widział w niej kościstą, gniewną dziewczynę, którą kapitan McDowell przedstawił jako ich nową młodszą inżynier. Przez prawie rok ukrywała się za włosami. Teraz w czarnej burzy włosów pojawiło się kilka pierwszych białych nitek. Stała prościej, czując się pewniej we własnej skórze. Była pewniejsza siebie i silniejsza, niż sądził, że to potrafi. A Holden, napuszczony i zadufany w sobie pierwszy oficer, który zapadł się w cywilną pracę, nosząc swoje zwolnienie dyscyplinarne

jak powód do dumy, stał się teraz facetem, który podawał mu mleczko do kawy i z uśmiechem przyznawał się do irracjonalności własnych lęków. Chyba czas zmienił ich wszystkich. Nie był tylko pewien, w jaki sposób wpłynął na niego. Pewnie nie potrafił spojrzeć na siebie z dystansu.

No i poza Amosem. Amosa nic nie zmieniało.

– A co ty myślisz, Aleks?

Uśmiechnął się i włożył więcej emfazy w akcent z doliny Marinera.

– No wiesz, skoro nie zabiło nas, gdy jeszcze tam było, to teraz już raczej tego nie robi.

– No dobrze – ustąpił Holden z westchnieniem.

– Zaoszczędzimy sporo pieniędzy – podsunęła Naomi – i lepiej na tym wyjdziemy.

– Wiem – potwierdził Holden. – Ale i tak będę się z tym dziwnie czuł.

– Gdzie jest Amos? – zainteresowała się Naomi. – Wciąż spuszcza parę?

– Nie – zaprzeczył Aleks. – Tak intensywnie rzucił się na burdele, że zużył gotówkę przez pierwszych kilka dni pobytu. Od tamtej pory po prostu odpoczywamy.

– Trzeba będzie mu znaleźć jakieś zajęcie na czas pobytu na Tycho – stwierdził Holden. – Szlag, wszyscy będziemy musieli sobie coś znaleźć.

– Moglibyśmy pracować dla stacji – zasugerowała Naomi. – Choć nie wiem, czy kogoś potrzebują.

– Mamy oferty z całego mnóstwa miejsc na płatne spotkania w celu przedstawienia sytuacji na Nowej Ziemi

– przypomniał Holden.

– Podobnie jak każdy, kto wrócił przez Pierścień – odpowiedziała Naomi ze śmiechem w głosie. – A łączność w obie strony wciąż działa.

– Mówisz, że nie powinniśmy tego robić? – Ton Holdena sugerował lekką urazę.

– Mówię, że mogę znaleźć całe mnóstwo innych rzeczy, które wolałabym robić od mówienia o nas.

Holden odrobinę zapadł się w sobie.

– Słuszna uwaga. Ale będziemy tu tkwić bardzo długo, coś będziemy musieli zrobić.

Aleks głęboko wciągnął powietrze. To teraz. Ta chwila. Jego pewność osłabła. Wlał mleczko do kubka, rozjaśniając do brązu dotychczasową czerń kawy. Gruda w jego gardle wydawała się wielka jak jajo.

– No więc – odezwał się. – Ja... yyy... myślałem o tym...

Otworzyły się drzwi apartamentu i do środka wszedł Amos.

– Cześć, kapitanie. Będę potrzebował trochę wolnego czasu.

Naomi przechyliła głowę i zmarszczyła brwi, ale odpowiedział mu Holden.

– Wolnego czasu?

– Tak, muszę na trochę polecieć na Ziemię.

Naomi usiadła na stołku przy blacie kuchennym.

– Coś się dzieje?

– Nie wiem – odparł Amos. – Może nic, ale tak jakby muszę polecieć, żeby to sprawdzić. Mieć pewność. No wiesz.



– Stało się coś złego? – zapytał Holden. – Bo jeśli tak, to możemy poczekać na naprawienie *Rosa* i polecieć wszyscy razem. Już od dawna szukam wymówki, żeby zabrać Naomi na Ziemię, żeby mogła poznać całą rodzinę.

Irytacja, która przemknęła przez twarz inżynier, znikła niemal szybciej, niż Aleks zdążył ją zauważyć. Takie chwile sprawiały, że robił się nerwowy. To, jak Holden potrafił wypchnąć Naomi poza jej strefę komfortu i nawet nie zdawać sobie z tego sprawy. Jednak zebrała się w sobie, jeszcze zanim Amos zdążył odpowiedzieć.

– Może dalej szukaj wymówki, kapitanie. Moja sprawa nie może czekać. Nie żyje kobieta, z którą kiedyś spędzałem czas, i muszę tam polecieć, żeby się upewnić, że wszystko jest czyste.

– Och, tak mi przykro – powiedziała Naomi równocześnie z Holdenem: – Zająć się jej spadkiem?

– Jasne, coś w tym stylu – potwierdził Amos. – W każdym razie zarezerwowałem lot na *Ceres*, a potem w dół studni, ale muszę sprzedać trochę moich udziałów, żeby mieć jakąś kasę na miejscu.

W pokoju przez chwilę panowała cisza.

– Ale wracasz? – upewniła się Naomi.

– Taki jest plan – potwierdził Amos.

Aleksa uderzyło, że ta odpowiedź była dużo bardziej szczerą niż zwykle „tak”. Amos tak planował, ale różnie bywa. Przez cały czas, który spędzili razem podczas lotów na *Cancie* i *Rosie*, Aleks nigdy jeszcze nie słyszał, żeby Amos mówił o swoim życiu na Ziemi, poza bardzo luźnymi ogólnikami. Zastanawiał się, czy robił to dlatego,

że nie miał w przeszłości niczego wartego wspomnienia, czy też była ona zbyt bolesna, by o niej mówić. Choć w przypadku Amosa mogły to być obie te rzeczy równocześnie.

– Oczywiście – powiedział Holden. – Po prostu powiedz, ile potrzebujesz.

Negocjacje były krótkie, a przelew dokonano z użyciem terminali ręcznych. Amos wyszczerzył zęby w uśmiechu i klepnął Aleksa w ramię.

– W porządku. Będziesz miał całe mieszkanie dla siebie.

– Kiedy wylatujesz? – zapytał Aleks.

– Za jakąś godzinę. Powinienem już iść do kolejki.

– No dobra – odpowiedział Aleks. – Uważaj na siebie, partnerze.

– Jasne – rzucił Amos i wyszedł.

Trójka pozostałych członków załogi *Rosa* stała w milczeniu w kuchni. Holden wyglądał na zszokowanego, Naomi wyglądała na rozbawioną. Aleks miał wrażenie, że emocjonalnie znajduje się gdzieś w pół drogi między nimi.

– Cóż, to było dziwne – odezwał się w końcu Holden. – Myślisz, że nic mu nie będzie?

– To Amos – odpowiedziała Naomi. – Bardziej martwię się o ludzi, z którymi będzie miał do czynienia na miejscu.

– Racja – zgodził się Holden, a potem usiadł na blacie twarzą w stronę Aleksa. – Wracając do tematu. Chciałeś nam coś powiedzieć?

Aleks przytaknął. *Właśnie myślałem o tym, jak trudno jest rozdzielić rodzinę i o rodzinie, którą rozdzieliłem wcześniej, oraz o tym, że muszę znowu spotkać się z moją byłą żoną i spróbować w jakiś sposób wyjaśnić naszą sytuację i to wszystko, co zrobiłem.* W tej chwili wydawało się to nie na miejscu.

– No cóż, biorąc pod uwagę, że będziemy siedzieć w doku przez bardzo długi czas, pomyślałem, że może poleciałbym na Marsa. Zajrzeć w stare kąty.

– Jasne – odpowiedział Holden. – Ale wrócisz, zanim skończą naprawy, prawda?

Aleks się uśmiechnął.

– Taki jest plan.

## Rozdział trzeci

### Naomi

Stół do golgo przygotowany do otwierających rzutów z pierwszym i drugim celem nietkniętym i wciąż pustym polem. Dudniące basy z głównej sali Blauwe Blome tutaj były odczuwalne tylko jako wibrowanie pokładu i pomruk na tyle cichy, że umożliwiał rozmowę. Naomi zważyła w dłoni stalową kulę, wyczuwając subtelne związki masy i wagi, różne w każdym ciężeniu. Z drugiej strony stołu czekała Malikah i jej koledzy z ekipy remontowej. Jeden z nich popijał niebieską paskudę, a jaskrawobłękitny płyn farbował mu usta jak szminka. Minęły trzy – nie, cztery? – lata, od kiedy Naomi ostatni raz grała w golgo, a oni grywali w to w każdy czwartek. Jeszcze raz zważyła kulę, westchnęła i rzuciła. Natychmiast wystrzeliły kule przeciwników, żeby zatrzymać jej rzut, dopasować obrót i przejąć kulę dla siebie.

Tego rodzaju reakcję stosowało się, grając przeciwko nowicjuszowi. Naomi wyszła z wprawy, ale do tej kategorii już się nie zaliczała. Stół zarejestrował trafienie,

kończąc rzut, a na wyświetlaczu pojawił się znacznik Naomi, zdecydowanie za połową pola. Jej zespół wykrzyknął radośnie, ludzie Malikah jęknęli. Wszyscy się uśmiechali. To była przyjazna gra, choć nie wszystkie takie były.

– Następna, następna! – krzyknął jeden z członków nowego zespołu Naomi, machając dużą, bladą dłonią.

Nazywał się Pere albo Paar, jakoś tak. Zdjęła stalową kulę ze stołu i rzuciła do niego. Uśmiechnął się do niej szeroko i przejechał spojrzeniem po jej ciele. Żałosny gnojek. Naomi wyprostowała się. Malikah podeszła i stanęła obok niej.

– Wciąż to potrafisz – skomentowała.

Miała piękny głos, z akcentem ze stacji Ceres, łagodzącym ostrzejsze tony głębokiego Pasa.

– Dużo w to grałam, gdy byłam tu ostatnio – odpowiedziała Naomi. – Nigdy nie zapominamy tego, co robiliśmy w młodości, prawda?

– Nawet jeśli chcemy. – Malikah się roześmiała, a Naomi wraz z nią.

Malikah mieszkała w apartamencie trzy poziomy niżej i trzydzieści stopni zgodnie z kierunkiem obrotu stacji od klubu. Kiedy Naomi była tam ostatni raz, ściany obklejono jedwabiem w brązowo-złote wzory, a powietrze wypełniał bogaty aromat kadzidełka sandałowego, które nie szkodziło wymiennikom powietrza stacji. Naomi spała tam w śpiworze przez dwie noce, usypiając przy dźwiękach harfy z odtwarzacza i pomruku głosów Malikah i Sam. Tylko że Sam zginęła,

Naomi znowu była z Jimem, a ludzkość odziedziczyła tysiąc słońc odległych o dwa lata lotu. Będąc tutaj, śmiejąc się z Malikah i ekipami remontowymi, Naomi nie potrafiła stwierdzić, czy bardziej zaskakuje ją, jak bardzo, czy jak mało wszystko się zmieniło w tym czasie.

Malikah dotknęła jej ramienia, marszcząc brwi.

– Bist ajá?

– Zamyśliłam się – wyjaśniła Naomi, tylko z grubsza wpadając w rytm slangu Pasiarzy.

Golgo nie było jedynym, w czym wyszła z wprawy.

Twarz Malikah posmutniała, choć wokół stołu do golgo wybuchły okrzyki radości i niezadowolenia jednocześnie. Przez chwilę była z nimi Sam. Nie rzeczywista kobieta z rudymi włosami, radośnie obscenicznym językiem i zwyczajem używania dziecinnych zdrobnień w rodzaju „kuku” do opisywania rzeczy typu przebicie kadłuba przez meteor. Po prostu miejsce, w którym była, i dwie kobiety dzielące świadomość, że kogoś tu brakuje.

Paar albo Pere podał kulę następnemu graczowi – Sakai, nowemu głównemu inżynierowi, a ktoś z przeciwnej drużyny poklepał go drwiąco po plecach. Naomi podeszła, żeby ocenić straty. Przebywanie z Pasiarzami – samymi Pasiarzami – było dziwnie pocieszające. Kochała swoją załogę, ale było w niej dwóch Ziemiaków i Marsjanin. Pewnych tematów nigdy nie mogła z nimi poruszyć.

Bez odwracania głowy zorientowała się, kiedy przyszedł Jim. Gracze po przeciwnej stronie stołu jak

jeden mąż popatrzyli za jej plecy. Szeroko otworzyli oczy, poczuła, wyczuła przechodzącą przez nich falę podniecenia. Nikt tego nie powiedział, ale równie dobrze mogli krzyknąć. *Hej! Patrzcie! To James Holden!*

Łatwo było zapomnieć, że Jim był tym, kim był. Zaczął dwie wojny i odegrał pewną rolę w zakończeniu obu. Dowodził pierwszym statkiem, który przeleciał przez Pierścień, a przynajmniej pierwszym, który to przeżył. Odwiedził bazę obcych na środku powolnej strefy i wrócił z życiem. Przeżył stację Eros i śmierć *Agathy King*. Był na Nowej Ziemi, pierwszej ludzkiej kolonii na planecie poza Układem Słonecznym i doprowadził tam do zawarcia dziwnego, niezręcznego pokoju. Obserwowanie ludzi reagujących na tego Holdena, tego na ekranach i w wiadomościach, było prawie zawstydzające. Wiedziała, że Jim wcale nie przypomina tamtego Jamesa Holdena, ale nie miało sensu tego tłumaczyć. Niektóre rzeczy zostawały tajemnicą, nawet jeśli się je powiedziało.

– Witaj, ukochana – powiedział Jim, obejmując ją.

W drugiej ręce trzymał grapefruitowe martini.

– Dla mnie? – zapytała, biorąc koktajl.

– Mam nadzieję, ja za nic bym tego nie wypił.

– Hoy, coyo! – wykrzyknął Paar czy Pere, unosząc stalową kulę. – Chcesz rzucić?

Śmiechy wokół stołu miały różne zabarwienie. Część z nich sugerowała zachwyty – *James Holden będzie z nami grał w golgo!* – część zdradzała okrucieństwo – *patrzcie, jak ważniak się zbłąźni.* Nic z tego nie miało żadnego

związku z rzeczywistym człowiekiem. Zaciekawilo ją, czy zdawał sobie sprawę, jak bardzo zmieniał naturę pomieszczenia, po prostu do niego wchodząc. Pewnie nie.

– Nie – podziękował Jim z uśmiechem. – Jestem w tym straszny. Nawet nie wiedziałbym, od czego zacząć.

Naomi nachyliła się w stronę Malikah.

– Powinnam już iść. Dzięki za przygarnięcie.

Co znaczyło *dziękuję, że pozwoliłaś mi być tu z innymi Pasiarzami, jakby to było moje miejsce.*

– Jesteś todamas dobrze widziana, coya-mis – odpowiedziała Malikah.

Co znaczyło *śmierć Sam nie była twoją winą, a nawet jeśli, to ci wybaczam.*

Naomi ujęła Jima pod rękę i wyprowadziła go z sali do głównego baru. Po przejściu przez drzwi znacząco nasiliła się muzyka, atakując wspólnie ze światłami ich zmysły. Na parkiecie ludzie ruszali się w parach i grupach. Był taki czas, na długo przed poznaniem Jima, gdy pomysł urznięcia się i rzucenia w gęstwą ciał bywał bardzo atrakcyjny. Z rozczeniem przypomniła sobie dziewczynę, którą kiedyś była, ale nie miała ochoty odtwarzać tamtych wrażeń. Dopijała swoje martini, stojąc przy barze. Było zbyt głośno na rozmowę, więc bawiła się, obserwując ludzi rozpoznających Jima i malującą się na ich twarzach niepewność, czy to faktycznie on. Ze swej strony Jim był uroczo znudzony. Idea, że może znajdować się w centrum uwagi, była mu kompletnie obca. Było to częścią tego, co w nim kochała.



Kiedy jej kieliszek zrobił się pusty, położyła dłoń na jego dłoni i razem precyzyjnie się na korytarz przed klubem. Czekaający tam na wejście, kobiety i mężczyźni – niemal wyłącznie Pasiarze – przyglądali się, jak odchodzą. Na stacji Tycho była noc, co nie znaczyło wiele. Stację urządzono z myślą o trzech wymiennych ośmiogodzinnych zmianach: rozrywce, pracy i śnie. Krąg znajomych determinowała zmiana, w której się pracowało, jakby tę samą przestrzeń zajmowały równocześnie trzy różne miasta. Świat zawsze składający się w dwóch trzecich z nieznanym. Objęła Jima w talii i przyciągnęła go do siebie tak mocno, aż poczuła jego udo poruszające się przy swoim.

– Musimy porozmawiać – oznajmiła.

Trochę się spiął, ale utrzymał lekki i swobodny ton.

– Coś jak kobieta z mężczyzną?

– Gorzej – odparła. – Jak pierwsza oficer z kapitanem.

– Co jest?

Weszli do windy i wcisnęła przycisk ich pokładu. Rozległ się brzęk dzwonka i drzwi zaczęły się zasuwac, a ona spróbowała zebrać myśli. Właściwie nie chodziło o to, że nie wiedziała, co musi zostać powiedziane. Nie będzie mu się to podobało ani trochę bardziej niż jej.

– Musimy pomyśleć o powiększeniu załogi.

Znała rodzaje ciszy Jamesa Holdena dość dobrze, by rozpoznać i tę. Podniosła wzrok na jego neutralny wyraz twarzy i oczy mrugające odrobinę szybciej niż zwykle.

– Naprawdę? – zapytał. – Wydawało mi się, że radzimy sobie całkiem dobrze.

– Owszem. Radziliśmy sobie. *Rosa* zaprojektowano dla wojska, jest inteligentny. Mnóstwo automatyki, mnóstwo redundancji. Dlatego byliśmy w stanie latać nim tak długo, mając jedną trzecią standardowej załogi.

– Nie szkodzi też, że to najlepsza cholerna załoga w przestrzeni.

– Nie szkodzi. Patrząc na umiejętności i przebieg pracy, mamy bardzo silną grupę, ale jesteśmy wrażliwi.

Winda się przesunęła, poddawana złożonym siłom obrotu stacji i przyspieszenia ruchu, sprawiając, że jej wnętrze wydało się rozchwiane. Była pewna, że to tylko efekt ruchu.

– Nie jestem pewien, co masz na myśli, mówiąc „wrażliwi” – powiedział Jim.

– Latamy *Rosynantem*, od kiedy tylko wydobyliśmy go z *Donnagera*. Nie mieliśmy żadnych zmian personelu. Żadnej wymiany. Podaj mi nazwę choć jednego statku, na którym wygląda to tak samo. Na *Canterbury* były takie loty, gdzie jedna czwarta załogi leciała razem po raz pierwszy. I...

Rozsunęły się drzwi kabiny. Wyszli na zewnątrz, usuwając się na bok, żeby wpuścić inną parę. Gdy zamykały się drzwi, Naomi usłyszała, że tamci mówią coś do siebie cicho. Jim milczał, gdy szli w stronę swojego apartamentu. Kiedy w końcu się odezwał, mówił cicho i z namysłem.

– Myślisz, że któryś z nich może nie wrócić? Amos? Aleks?

– Myślę, że wiele może się zdarzyć. Przy locie z dużym ciągiem czasami zdarzają się udary. Koktajl pomaga, ale niczego nie gwarantuje. Zdarzało się też, że do nas strzelali. Albo lądowaliśmy z uszkodzonym statkiem na spadającej orbicie. Pamiętasz takie sytuacje, prawda?

– Jasne, ale...

– Jeśli kogoś stracimy, zamiast latania na jednej trzeciej standardowej załogi będziemy mieć jedną czwartą. Dodaj do tego utratę unikalnych umiejętności.

Holden znieruchomiał z ręką na drzwiach ich mieszkania.

– Chwila, moment. Jeśli kogoś stracimy?

– Tak.

Miał szeroko otwarte oczy wyrażające szok. W ich kącikach pojawiły się drobne zmarszczki niepokoju. Sięgnęła, by je wygładzić, ale nie ustąpiły.

– Czy ty próbujesz mnie przygotować na śmierć członka mojej załogi?

– Z perspektywy historycznej ludzie w zasadzie w stu procentach umierają.

Jim zaczął coś mówić, zrezygnował, otworzył drzwi mieszkania i wszedł do środka. Poszła za nim, zamykając za sobą drzwi. Chciała odpuścić, ale nie wiedziała, kiedy uda im się wrócić do tematu.

– Gdybyśmy mieli tradycyjną załogę, byłyby dwie osoby na każde stanowisko. W razie śmierci lub utraty zdolności do pracy, w każdej chwili dana osoba mogłaby zostać zastąpiona.

– Nie zamierzam wprowadzić na statek kolejnych czterech osób, nie mówiąc już o ośmiu – oświadczył Jim, wchodząc do sypialni. Uciekając przed rozmową. Tak naprawdę by nie wyszedł. Czekala, aż cisza, niepokój i obawa, że ją rozzłościł, sprowadzą go z powrotem. Trwało to jakieś piętnaście sekund. – Nie *postępujemy* jak zwykła załoga, bo nie jesteśmy zwyczajni. Dostaliśmy *Rosa*, gdy strzelali do nas wszyscy w całym Układzie. Niewykrywalne statki rozwaliły nam pod tyłkiem pancernik. Straciliśmy *Canta*, a potem straciliśmy Sheda. Nie można przejść przez coś takiego i być normalnym.

– Co to właściwie znaczy?

– Ten statek to nie jest załoga. Nie postępujemy jak załoga. Zachowujemy się jak rodzina.

– Racja – zgodziła się. – I na tym polega problem.

Popatrzyli na siebie przez pokój. Jim poruszał szczęką, zatrzymując cisnące się na usta protesty i argumenty. Wiedział, że miała rację, choć chciał, żeby się myliła. Zobaczyła, jak zrozumiał, że nie ma wyjścia.

– Dobrze – rzucił. – Kiedy pozostali wrócą, możemy się zastanowić nad jakimiś rozmowami. Zabrać parę osób na misję czy dwie. Jeśli się dobrze wpasują, będziemy mogli zastanowić się nad zatrzymaniem ich na stałe.

– Brzmi nieźle – powiedziała Naomi.

– To zmieni równowagę na statku – zauważył Holden.

– Wszystko się zmienia – odpowiedziała, obejmując go.

Zamówili jedzenie z indyjskiej restauracji fusion, curry ze zmodyfikowanym genetycznie ryżem i białkami z grzybów o teksturze prawie nieodróżnialnej od

wołowiny. Przez resztę wieczoru Holden próbował być radosny i ukryć przed nią niepokój. Niezbyt mu się to udawało, ale doceniała wysiłek.

Po kolacji oglądali kanały rozrywkowe, aż przyszedł czas w znajomym rytmie dnia, gdy wyłączyła ekran i zaprowadziła go z powrotem do łóżka. Seks z Holdenem zaczął się jako coś podniecającego, lata temu, gdy pierwszy raz docierało do nich, jak głupie są bliskie stosunki pierwszej oficer i kapitana. Teraz był bogatszy, spokojniejszy i bardziej radosny. Dawał też więcej komfortu.

Później, gdy Naomi leżała na dużym żelowym materacu z pościelą splątaną u stóp, jej umysł zaczął dryfować. Myślała o *Rosie* i Sam, o tomiku poezji, który czytała, będąc nastolatką, i grupie muzycznej, którą zaraził ją jeden ze starszych inżynierów na *Canterbury*. Jej wspomnienia zaczęły nabierać odrealnionego kształtu snów, gdy głos Jima ściągnął ją z powrotem do niemal pełnej przytomności.

– Nie podoba mi się, że ich nie ma.

– Hm?

– Aleksa i Amosa. Nie podoba mi się, że ich nie ma. Jeśli będą mieli jakieś kłopoty, my będziemy tutaj. Nie mogę nawet odpalić *Rosa*, żeby po nich polecieć.

– Nic im nie będzie – odpowiedziała.

– Wiem. Tak jakby. – Uniósł się na łokciu. – Naprawdę się nie martwisz?

– Może troszkę.

– No wiesz, rozumiem, że są dorośli, ale gdyby coś się stało. Gdyby nie wrócili...

– Byłoby trudno – zgodziła się Naomi. – Od lata polegamy wzajemnie właśnie na naszej czwórce.

– Właśnie – potwierdził Jim. A po chwili dodał: – Wiesz, kim była ta kobieta, w sprawie której Amos tam poleciał?

– Nie, nie wiem.

– Myślisz, że ją kochał?

– Nie wiem – powtórzyła Naomi. – Ale odniosłam raczej wrażenie, że to ktoś w rodzaju zastępczej matki.

– Hm. Może. Nie wiem, dlaczego pomyślałem o ukochanej. – Jego głos zaczął się robić niewyraźny, jak na skraju snu. – Hej, mogę cię zapytać o coś niewłaściwego?

– Jeśli będę znać odpowiedź.

– Dlaczego nigdy się nie zeszliście z Amosem? To znaczy, jeszcze na *Cancie*?

Naomi roześmiała się, przeturlała i objęła go przez pierś. Nawet po lataniu z nim przez cały ten czas wciąż lubiła zapach jego skóry.

– Poważnie? Czy ty w ogóle zwracałeś uwagę na jego seksualność?

– Nie wydaje mi się, żebyśmy powinni robić coś takiego z Amosem.

– To nie jest miejsce, w którym chciałbyś się znaleźć – zapewniła Naomi.

– Hm. Dobra. Wiesz, tak tylko myślałem. Jak bardzo się przy tobie kręcił na *Cancie*. I nigdy dotąd nie mówił

o opuszczaniu *Rosa*.

– Nie zostaje na *Rosie* dla mnie – zauważyła Naomi. – Robi to dla ciebie.

– Dla mnie?

– Używa cię jako swojego zewnętrznego sumienia z drugiej ręki.

– Wcale nie.

– Dokładnie tak. Znajduje kogoś, kto ma poczucie etyki, i postępuje tak jak ta osoba – wyjaśniła. – W ten sposób próbuje nie być potworem.

– Dlaczego miałyby próbować nie być potworem?

Nieco rozespiane słowa były jak ciepły koc.

– Bo nim jest – oświadczyła Naomi, czując, jak jej świadomość przekracza granicę. *To dlatego się dogadujemy.*

\* \* \*

Wiadomość nadeszła dwa dni później, bez żadnego ostrzeżenia. Tkwiła w skafandrze próżniowym, kontrolując postęp robót z głównym inżynierem Sakai. Właśnie wyjaśniał jej, dlaczego szukali innego typu stopu ceramicznego na złącza między kadłubem zewnętrznym i wewnętrznym, gdy na jej wyświetlaczu przeziernym pojawiło się powiadomienie o priorytetowej wiadomości. Poczowała uderzenie strachu, skutek rozmowy z Holdenem. Coś stało się Aleksowi. Albo Amosowi.

– Chwileczkę – powiedziała, a Sakai odpowiedział uniesieniem pięści.

Włączyła wiadomość. Pojawił się płaski ekran z rozerwanym kręgiem SPZ, a kiedy zniknął, zobaczyła Marco. Upływ lat nieco poszerzył jego twarz i lekko złagodził krzywiznę szczęki. Barwa skóry była dokładnie tak samo głęboka i bogata, jak pamiętała, a jego dłonie złożone na stole w miejscu nagrywania były równie delikatne. Uśmiechnął się z mieszaniną smutku i rozbawienia, co pociągnęło ją z powrotem w czasie.

Wiadomość została wstrzymana, odcięta przez systemy medyczne skafandra. Pojawiły się ostrzeżenia o podwyższonym tętnie i ciśnieniu krwi. Podbródkiem włączyła obejście i w uszach zabrzmiał jego głos, zacinając się w pierwszej chwili po wznowieniu.

– Przepraszam. Wiem, że nie chcesz żadnych wiadomości ode mnie. Jeśli to w czymś pomoże, przypomnę, że dotąd tego nie robiłem. I teraz też nie przychodzi mi to lekko.

*Wyłącz to, pomyślała. Zatrzymaj nagranie. Skasuj je. To i tak będą same kłamstwa. Kłamstwa lub tylko te części prawdy, które mu pasują. Zapomnij o tym, że to odebrałaś.* Marco spojrzał poza kamerę, jakby odczytał jej myśli albo wiedział, czego się spodziewać.

– Naomi, nie zgadzam się z twoją decyzją o odejściu, ale zawsze ją szanowałem. Nawet kiedy pokazałaś się w wiadomościach i wszyscy wiedzieli, gdzie jesteś, nie odzywałem się do ciebie. I nie robię tego teraz we własnym imieniu.

Jego słowa były wyraźne, ciepłe i ostrożne: bezbłędna gramatyka kogoś mówiącego w drugim języku tak



dobrze, że wręcz nieprzyzwoicie. Nie słyszała ani śladu gwary Pasiarzy. Czyli mijające lata zmieniły go na jeszcze jeden sposób.

– Cyn i Karal przesyłają pozdrowienia i wyrazy miłości, ale tylko oni wiedzą, że się z tobą kontaktuję. I znają powód. Są teraz na stacji Ceres, ale nie mogą tam zostać długo. Musisz się tam spotkać z ich grupą i... Nie. Przepraszam. To nie tak. Nie powinienem był tego tak formułować. Chodzi o to, że zaczynam się gubić. Nie wiem, co robić, a ty jesteś jedyną osobą, do której mogę się zwrócić. Chodzi o Filipa. Ma kłopoty.

## Rozdział czwarty

### Amos

Bolało go gardło.

Przełknął ślinę, próbując pozbyć się guli porcją śliny, ale poczuł tylko nowe dżgnięcie bólu, jakby połykał piach. Trzy miesiące temu, zgodnie z harmonogramem, ambulatorium *Rosa* wstrzyknęło mu pełną porcję szczepionek wzmacniających i profilaktyki przeciwbakteryjnej. Nie sądził, że może zachorować, a jednak. Czuł coś w gardle, jakby połknął piłeczkę golfową, która utknęła w pół drogi.

Wszędzie wokół niego mieszkańcy i podróżujący w porcie kosmicznej stacji Ceres kręcili się jak mrówki w mrowisku, nakładającymi się głosami generując ryk równie dobry, jak kompletna cisza. Amosa bawiło, że nikt na Ceres nie zrozumiałby tej metafory. On sam nie widział mrowiska od dwudziestu lat, ale wciąż doskonale pamiętał obserwowanie, jak mrówki rozprawiają się z karaluchem lub uprzątają truchło szczura. Tak jak karaluchy i szczury, mrówki nauczyły się żyć z ludzkimi sąsiadami, nie sprawiając za dużo problemów. Kiedy

ludzkie miasta z betonu rozpełzły się po całej planecie i połowa zwierząt na Ziemi trafiła na listę zagrożonych gatunków, nikt nie martwił się o mrówki. Radziły sobie doskonale, a upuszczone jedzenie z barów szybkiej obsługi było równie pożywne i obfite, jak kiedyś martwe leśne zwierzęta.

Dostosuj się lub giń.

Gdyby można było powiedzieć, że Amos ma jakąś filozofię, brzmiałaby właśnie tak. Beton zastępuje las, więc jeśli wejdiesz mu w drogę, zaleją cię. Jeśli znajdziesz sposób na życie w szczelinach, możesz rozkwitać, gdzie chcesz. Zawsze znajdą się jakieś szczeliny.

Wokół niego buzowało mrowisko Ceres. Ludzie na szczycie łańcucha pokarmowego kupowali w budkach przekąski lub bilety na promy i opuszczające stację statki dalekiego zasięgu. Byli tam też ludzie mieszkający w szczelinach. Dziewczynka mająca najwyżej dziesięć lat z brudnymi włosami i w różowym kombinezonie o dwa rozmiary za dużym przyglądała się podróżnym, nie gapiąc się na nich. Czekwała, aż ktoś odłoży bagaż lub ręczny terminal na tyle długo, by mogła go porwać. Zobaczyła, że Amos się jej przygląda i umknęła do włazu technicznego osadzonego nisko w ścianie.

Życie w szczelinach, ale życie. Dostosowywanie się, nieumieranie.

Znowu przełknął, krzywiąc się z powodu bólu. Zabrzęczał jego ręczny terminal, więc spojrzął na tablicę odlotów, która zdominowała przestrzeń publiczną stacji.

Jaskrawożółte litery na czarnym tle, czcionka zaprojektowaną z myślą o czytelności. Właśnie potwierdzono jego lot dalekiego zasięgu na Lunę – powinien wystartować za trzy godziny. Stuknął w ekran swojego terminala, informując automatyczne systemy, że będzie na pokładzie, i ruszył poszukać sposobu na spędzenie trzech godzin.

Przy bramce był bar. Łatwo poszło.

Nie chciał się upić i przegapić lotu, więc został przy piwie. Pił wolno i metodycznie, machając na barmana, gdy w szklance pokazywało się dno, dzięki czemu zaraz po skończeniu czekała na niego następna. Celował w odprężenie i lekki szum, a doskonale wiedział, jak osiągnąć ten stan w najkrótszym możliwym czasie.

Bar nie oferował wiele w zakresie rozrywek czy sposobów na odwrócenie uwagi, więc mógł się skupić na szklance, barmanie i następnym drinku. Gruda w gardle robiła się większa przy każdym przełknięciu. Ignorował ją. Pozostali klienci baru byli cicho, czytali z ręcznych terminali lub szeptali do siebie w małych grupach, popijając. Wszyscy byli w drodze. To miejsce nie było celem, było czymś, na co wpadało się w podróży, było przypadkowe i do zapomnienia.

Lydia nie żyje.

Spędził dwadzieścia lat, myśląc o niej. Oczywiście w pewnym stopniu było to związane z jej twarzą wytatuowaną nad jego sercem. Widział ją za każdym razem, gdy stanął przed lustrem bez koszuli. Ale oprócz tego każdy dzień wymagał dokonywania wyborów,

a każda podjęta decyzja zaczynała się od cichego głosu w głębi głowy pytającego, co powinien zrobić zdaniem Lydii. Kiedy dostał wiadomość od Ericha, zrozumiał, że nie widział się z nią ani nie rozmawiał od ponad dwudziestu lat. A to znaczyło, że była dwadzieścia lat starsza, niż gdy odszedł. Ile wtedy miała lat? Pamiętał siwe kosmyki w jej włosach, zmarszczki wokół oczu i ust. Była starsza od niego. Tylko że on miał piętnaście lat, więc „starsza od niego” było bardzo szeroką definicją.

A teraz nie żyła.

Może ktoś dwadzieścia lat starszy od pamiętanej przez niego kobiety był dość stary, by umrzeć z przyczyn naturalnych. Może umarła w szpitalu lub we własnym łóżku, w cieple i komforcie, otoczona przez przyjaciół. Może przy jej nogach spał kot. Amos miał nadzieję, że to prawda. Bo jeśli tak nie było – jeśli było to coś innego niż śmierć z przyczyn naturalnych – zamierzał zabić każdego, kto miał z tym choćby odległy związek. Zbadał tę myśl w głowie, obracając ją na wszystkie strony i czekając, czy Lydia go powstrzyma. Wypił kolejny długi łyk piwa i poczuł ogień w gardle. Naprawdę miał nadzieję, że nie zaczyna chorować.

*Nie jesteś chory, powiedział w jego głowie głos Lydii, jesteś smutny. W żałobie. To ściśnięte gardło, puste miejsce za mostkiem. Wrażenie pustki w żołądku, niezależnie od tego, ile wlejesz w niego piw. To żałoba.*

– Hm. – Amos odezwał się na głos.

– Czegoś ci trzeba? – zapytał barman z profesjonalnym brakiem zainteresowania.

– Jeszcze jedno – odpowiedział Amos, wskazując na w połowie pełną szklanicę w dłoni.

*Nie radzisz sobie dobrze z żalobą*, zabrzmiał kolejny głos. Tym razem Holden. Co było prawdą. Dlatego właśnie Amos ufał kapitanowi. Kiedy coś mówił, to dlatego, że w to wierzył. Nie trzeba było analizować jego słów ani zastanawiać się, co naprawdę miał na myśli. Nawet gdy kapitan coś spieprzył, to działał w dobrej wierze. Amos nie spotkał wielu takich ludzi.

Od kiedy sięgał pamięcią, jedynym naprawdę silnym uczuciem, jakiego doznawał, był gniew. Zawsze tam był, czekając na niego. Podejście do żaloby w ten sposób było proste i bezpośrednie. Mógł ją zrozumieć. Mężczyzna siedzący kilka stołków dalej przy barze miał surowy, twardy wygląd skoczka skalnego. Od godziny siedział nad jednym piwem i za każdym razem, gdy Amos zamawiał kolejne, posyłał mu spojrzenie świadczące równocześnie o irytacji i zawiści. Zazdrościł mu jego najwyraźniej bezdenne konta. Byłoby tak łatwo. Coś mu powiedzieć, coś ostrego i głośnego, postawić go w sytuacji, w której wycofanie się zawstydziloby go przed wszystkimi. Biedny skurwieli poczułby się zobowiązany złapać przynętę, a potem Amos mógłby swobodnie wyładować na nim swoją żalobę. Bójka mogłaby być nawet miłym sposobem na rozładowanie emocji.

*Ten facet nie zabił Lydii*, zabrzmiał głos Holdena. *Ale może zrobił to ktoś inny*, pomyślał Amos. *Muszę się tego dowiedzieć.*

– Pora zapłacić, amigo – zwrócił się Amos do barmana, machając w jego stronę swoim ręcznym terminalem. Wskazał na skoczka skalnego. – I dopisz do rachunku dwa następne piwa tego gościa.

Skoczek zmarszczył brwi, doszukując się obelgi, ale kiedy jej nie znalazł, powiedział tylko:

– Dzięki, bracie.

– Nie ma problemu, hermano. Trzymaj się bezpiecznie.

– Sa sa – odpowiedział skoczek, dopijając piwo i sięgając po jedno z dwóch opłaconych przez Amosa. – Ty też, sabe dui?

\* \* \*

Amosowi brakowało jego koi na *Rosie*.

Transportowiec pasażerski dalekiego zasięgu nazywał się *Leniwy ptaszek*, ale jego związki z ptakami zaczynały się i kończyły na literach na burcie. Od zewnątrz przypominał olbrzymi kosz na śmieci z dyszą napędu na jednym końcu i małym mostkiem na drugim. Za to od środka wyglądał jak wnętrze olbrzymiego kosza na śmieci, tylko że podzielono go na dwanaście pokładów, po pięćdziesiąt osób na pokład.

Jedyną prywatność zapewniały cienkie zasłonki w kabinach prysznicowych, a pasażerowie zdawali się korzystać z łazienek tylko wtedy, gdy w okolicy kręcili się umundurowani członkowie załogi.

*Ach, pomyślał Amos, zasady więzienne.*

Wybrał sobie koję, tak naprawdę pryczę przeciążeniową z małą szafką pod spodem i jeszcze mniejszym ekranem rozrywkowym na ścianie obok, jak najdalej od łazienki i kantyny. Próbował się trzymać z dala od miejsc z większym ruchem. Przestrzeń dzieliła z nim trzyosobowa rodzina z jednej strony i bardzo wiekowa starucha z drugiej.

Starucha spędziła lot naćpana białym tabletkami, całymi dniami wpatrując się w sufit, w nocy rzucając się i pocąc w gorączkowych snach. Amos się jej przedstawił. Zaoferowała mu trochę tabletek. Odmówił. Na tym skończyły się ich interakcje.

Rodzina po drugiej stronie była dużo miłsza. Dwóch mężczyzn krótko po trzydziestce z mniej więcej siedmioletnią córką. Jeden z nich był inżynierem budowlanym imieniem Rico, drugi, Jianguo, tatą siedzącym w domu. Dziewczynka miała na imię Wendy. Kiedy Amos zajął swoje miejsce, zerkali na niego z niepokojem, ale uśmiechnął się do nich, uścisnął ręce na powitanie i kupił Wendy loda z automatu w kantynie, a potem się nie narzucał, żeby nie być nieprzyjemnym. Wiedział, jak wyglądają faceci za bardzo interesujący się małymi dziećmi, dzięki czemu potrafił dopilnować, by nigdy nie zostać uznanym za jednego z nich.

Rico leciał na Lunę przyjmując pracę w stocznich orbitalnych Bush.

– Mnóstwo coyos leci w dół studni. Beaucoup pracy teraz, wszyscy próbują zgarnąć dla siebie pierścień. Nowe kolonie, nowe światy.



– To wyschnie, gdy pierwszy rzut się wyczerpie – odpowiedział Amos.

Leżał w swojej pryczy, jednym uchem słuchając Rico, częściowo oglądając strumień wideo na ekranie ściennym, z wyłączonym dźwiękiem.

Rico zrobił pasiarski gest wzruszenia ramionami i kiwnął głową w stronę śpiącej na pryczy córki.

– Dla niej, sabe? Później będzie później, na razie muszę odłożyć trochę juanów. Szkoła, wycieczki, czego będzie potrzebować.

– Rozumiem. Później będzie później.

– Och, patrz, czyszczą kible. Idę pod prysznic.

– O co z tym chodzi, stary? – zapytał Amos. – O co ten raban?

Rico przekrzywił głowę, jakby Amos zapytał, dlaczego w kosmosie jest próżnia. Szczerze mówiąc, Amos znał odpowiedź, ale ciekawe było zobaczyć, czy Rico też.

– Gangi dalekich lotów, coyo. Cena tanich tras. Biedni nie mają dobrze.

– Załoga pilnuje takich spraw, prawda? Jeśli zrobi się zamieszanie, usypiają wszystkich, a potem wiążą sprawców. Żadnych problemów.

– Nie pilnują pryszniców. Tam nie ma kamer. Jeśli nie zapłacisz, kiedy przyjdzie ekipa, tam cię dopadną. Lepiej iść, kiedy jest tam załoga.

– Bez jaj – skomentował Amos, udając zaskoczenie. – Jeszcze nie widziałem nikogo z wymuszeniem.

– Zobaczysz, hombre. Przypilnuj Jian i Wendy, gdy mnie nie będzie, dobra?

– Nie ma sprawy, będą bezpieczni, bracie.

\* \* \*

Rico miał rację. Po początkowym zamieszaniu lotu, gdy ludzie przestali już sobie szukać prycz i zmieniać miejsca, uznając, że nie zniosą sąsiada i skończyło się szukanie nowych, większość pasażerów trzymała się swoich miejsc. Pasiarze na pokładach Pasiarzy, wewnątrzni na pokładach podzielonych między Ziemię i Marsa. Amos był na pokładzie Pasiarzy, ale wyglądało na to, że jest tu jedyny.

Zdecydowanie więzienne zasady.

Szóstego dnia z windy wyszła mała grupa zbirów z pokładu wyżej i rozproszyła się między pryczami. Przy pięćdziesięciu ludziach na pokładzie obejście wszystkich chwilę im zajęło. Amos udawał, że śpi w swojej pryczy przeciążeniowej, i obserwował ich kątem oka. To była bardzo prosta operacja. Osilek podchodził do pasażera, przedstawiał mu zasady ubezpieczenia na czas lotu, a potem przyjmował transfer pieniędzy tanim, jednorazowym terminalem. Wszelkie groźby były tylko sugerowane. Wszyscy płacili. Wymuszenie było bardzo głupie, ale dostatecznie proste, by mimo wszystko działało.

W ich stronę skierował się jeden z członków grupy wymuszającej, chłopak o wyglądzie czternastolatka. Rico zaczął sięgać po swój ręczny terminal, ale Amos usiadł na łóżku i gestem kazał go schować.

– Jesteśmy na czysto – powiedział do młodego zbira. – W tym rogu nikt nie płaci.

Chłopaczek popatrzył na niego bez słowa. Amos uśmiechnął się do niego. Nie miał szczególnej ochoty zostać uśpiony gazem i związany, ale jeśli będzie trzeba, jakoś to przeżyje.

– Jesteś trupem – rzucił zbir.

Włożył w te słowa tyle przekonania i arogancji macho, ile zdołał, a Amos musiał poczuć szacunek dla jego próby, jednak próbowali go przestraszyć ludzie dużo groźniejsi od chudego pasiarskiego nastolatka. Amos kiwnął głową, jakby rozważał groźbę.

– Wiesz, kiedyś zdarzyło mi się utknąć w szybie za reaktorem, gdy wybuchła rura z chłodziwem – powiedział.

– Co? – zapytał zaskoczony chłopak.

Nawet Rico i Jianguo patrzyli na Amosa, jakby stracił rozum. Amos się przesunął, a zawiasy pryczy zaskrzypiały, zmieniając położenie.

– Widzisz, chłodziwo jest radioaktywne jak cholera. Gdy trafi w powietrze, natychmiast paruje. Jak ci trafi na skórę, to nie jest zbyt zdrowe, ale można to przeżyć. Większość da się zmyć. Ale bardzo nie chcesz tego wdychać. Jak wciągniesz trochę radioaktywnych cząstek do płuc, skąd nie da się ich wyciągnąć, to w zasadzie potem topisz się od środka.

Dzieciak obejrzał się przez ramię, szukając wsparcia w poradzeniu sobie z szalonym gawędziarzem. Reszta ekipy od wymuszeń wciąż była zajęta.

– Musiałem wtedy – kontynuował Amos – dostać się do służby technicznej, otworzyć szafkę awaryjną i założyć aparat tlenowy bez wciągania do płuc tego syfu.

– I co z tego? I tak mu...

– Puentą tej krótkiej historyjki jest fakt, że dowiedziałem się o sobie kilku rzeczy.

– Tak? – Sytuacja zrobiła się na tyle dziwna, że dzieciak zainteresował się wyjaśnieniami.

– Dowiedziałem się, że potrafię wstrzymać oddech na prawie dwie minuty, wykonując przy tym ciężką aktywność fizyczną.

– I co...

– I musisz zadać sobie pytanie, jak bardzo mogę ci zaszkodzić w ciągu dwóch minut, zanim powali mnie gaz usypiający. Bo założę się, że całkiem solidnie.

Dzieciak nie odpowiedział. Rico i Jianguo zdawali się wstrzymywać oddech. Wendy patrzyła na Amosa z szeroko otwartymi oczami i uśmiechem.

– Jakiś problem? – W końcu pojawił się jeden z kumpli młodego zbira, sprawdzając jego postępy.

– Tak, on...

– Żadnego problemu – uciął mu Amos. – Właśnie wyjaśniam twojemu kumplowi, że ten kąt sali nie płaci ubezpieczenia.

– Ty tak twierdzisz?

– Właśnie. Ja tak twierdzę.

Starszy zbir przyjrzał się Amosowi, oceniając go. Byli mniej więcej tego samego wzrostu, ale Amos miał nad nim przewagę przynajmniej dwudziestu pięciu

kilogramów. Amos wstał i naprężył się lekko, podkreślając swoje słowa.

– Z jaką załogą latasz? – zapytał starszy zbir, biorąc go za członka rywalizującego gangu.

– *Rosynant* – odpowiedział Amos.

– Nigdy o nich nie słyszałem.

– Owszem, słyszałeś, ale kontekst jest wszystkim, prawda?

– Może coś spieprzyłeś, coyo – skomentował zbir.

Amos zamasyście po pasiarsku wzruszył rękami.

– Pewnie prędzej czy później się przekonamy.

– Prędzej czy później – zgodził się zbir, a potem zgarnął chłopaka i ruszył do reszty bandy. Zjeżdżając windą na kolejny poziom, zostawili juniora na warcie. Nastolatek otwarcie gapił się na Amosa przez całą salę, niczego nie próbując ukrywać.

Amos westchnął i wyjął z torby ręcznik.

– Pójdę pod prysznic.

– Oszalałeś – rzucił Jianguo. – Tam nie ma załogi. Napadną cię.

– Tak.

– To dlaczego...?

– Ponieważ – odpowiedział Amos, wstając i zarzucając sobie ręcznik na ramię – nie lubię czekania.

Gdy tylko ruszył w stronę łazienki z wyraźnie widocznym ręcznikiem, młody wartownik zaczął rozmawiać przez ręczny terminal. Wzywał posiłki.

W łazience pod jedną ze ścian ustawiono pięć kabin prysznicowych z cienkiego plastiku, a pod drugą –

dziesięć podciśnieniowych muszli klozetowych. Na ścianie naprzeciw drzwi zamocowano umywalki. W otwartej przestrzeni na środku stały ławki przeznaczone dla czekających na prysznic i ułatwiające ubranie się po myciu. Nie było to najlepsze miejsce do walki wręcz. Mnóstwo twardych kantów, na które można się nadziać, a ławki groziły potknięciem.

Amos rzucił ręcznik na umywalkę i oparł się o nią z założonymi rękami. Nie musiał długo czekać. Kilka minut po telefonie juniora do łazienki wszedł młodzik z pięcioma zbirami z grupy wymuszającej.

– Tylko sześciu? Czuję się trochę dotknięty.

– Mały nie jesteś – odezwał się najstarszy. Czyli dowódca, skoro mówił pierwszy. – Ale duzi też giną.

– Prawda. To jak będzie? Jestem na waszym terenie, szanuję zasady gospodarzy.

Dowódca się roześmiał.

– Zabawny jesteś, chłopie. Zaraz zginiesz, ale zabawny. Twoje mięso, coyo – zwrócił się do nastolatka.

Młodzik wyciągnął z kieszeni kosę. Ochrona nie przepuszczała żadnej broni na pokłady pasażerskie, ale to był poszarpany kawałek metalu oderwany od czegoś i zaostrzony. Znowu więzienne zasady.

– Nie chcę okazać braku szacunku – odezwał się do niego Amos. – Pierwszego gościa zabiłem mniej więcej w twoim wieku. Właściwie to nawet kilku, ale nie w tym rzecz. Wiem, że muszę poważnie traktować ciebie i ten nóż.

– Dobrze.

– Nie – odpowiedział bezbarwnie Amos. – Wcale nie.

Zanim ktokolwiek zdążył się ruszyć, Amos pokonał dzielącą ich przestrzeń i chwycił rękę młodzika z nożem. Statek leciał z ciągiem około jednej trzeciej g, więc zerwał chłopaka z podłogi i zawirował, uderzając ręką nastolatka wabinę prysznicową. Jego ciało sunęło dalej, a Amos nie puszczał, więc ręka zgięła się w miejscu uderzenia. Dźwięk zrywanych ścięgien i pękającej kości przypominał odgłos uderzenia młotkiem w mokrą sklejkę. Nóż wyleciał z pozbawionych czucia palców w stronę podłogi, a Amos puścił rękę.

Przez długą sekundę pięciu zbirów patrzyło na nóż u stóp Amosa, a on patrzył na nich. Zniknęła pustka w jego brzuchu. Znikło puste miejsce za mostkiem. Przestało go boleć gardło.

– Kto następny? – zapytał, rozciągając ręce z uśmiechem, o którego istnieniu nie wiedział chwilę wcześniej.

Rzucili się na niego wszyscy jednocześnie. Amos rozłożył ręce i powitał ich jak utraconych kochanków.

\* \* \*

– Wszystko z tobą w porządku? – zapytał Rico.

Przecierał rozcięcie na głowie Amosa gazikiem nasączonym alkoholem.

– Przeważnie.

– A z nimi?

– Trochę mniej – odpowiedział Amos – ale też raczej tak. Wszyscy wyjdą stamtąd o własnych siłach, kiedy się

obudzą.

– Nie musiałeś tego dla mnie robić. Zapłaciłbym.

– Wcale nie – rzucił Amos. Widząc pytające spojrzenie Rico, wyjaśnił: – Nie zrobiłem tego dla ciebie. I Rico? Te pieniądze mają trafić na fundusz Wendy albo przyjdę też po ciebie.



## Rozdział piąty

### Holden

Jeden z dziadków Holdena za młodu brał udział w rodeo. Na wszystkich zdjęciach z tamtych czasów był wysokim, muskularnym, dobrze wyglądającym mężczyzną z dużą kłamrą pasa i w kowbojskim kapeluszu. Ale mężczyzna, którego Holden poznał jako dziecko, był chudy, blady i przygarbiony. Jakby lata odarły go ze wszystkiego nadmiarowego i przerysowały młodzieńca w szkieletową postać.

Uderzyło go, że Fred Johnson też został przerysowany.

Wciąż był wysoki, ale zniknęły jego wcześniej rozbudowane mięśnie, zostawiając po sobie luźną skórę na rękach i karku. Jego włosy zmieniły kolor z *przeważnie czarnych* na *prawie siwe*, albo też na prawie ich brak. Fakt, że wciąż emanował aurą bezwzględного autorytetu, oznaczał, że od samego początku nie miała ona prawie nic wspólnego z jego wyglądem fizycznym.

Kiedy Holden usiadł, Fred miał na biurku dwie szklaneczki i butelkę czegoś ciemnego. Ruchem głowy zaoferował drinka, a Holden potwierdził skinieniem.

– Dziękuję – powiedział, gdy Fred nalewał, i z westchnieniem odchylił się na oparcie fotela.

– Potrzebowałem okazji – wyjaśnił Fred, wzruszając ramionami.

– Nie za drinka, choć za to też. Dziękuję za pomoc z Rosem. Przyszły pieniądze od Avasarali, ale mamy uszkodzenia, o których nie wiedziałem, gdy wystawiałem rachunek. Bez zniżki dla preferowanych klientów mielibyśmy kłopoty.

– Kto powiedział, że dostajesz zniżkę? – zapytał Fred, podając Holdenowi drinka, choć uśmiechał się przy tym.

Ze stęknieniem opadł na własny fotel. Holden nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo obawiał się tej rozmowy. Nawet mając świadomość, że był to tylko element uczciwych negocjacji biznesowych, i tak miał wrażenie, że prosi o jałmużnę. Bardzo się cieszył, że odpowiedź była pozytywna, a jeszcze większą radość sprawił mu fakt, że Fred go przy tym nie wymęczył. Poczul się dzięki temu bardziej jak podczas rozmowy z przyjacielem.

– Wyglądasz starzej, Fred.

– Czuję się staro. Ale to lepsze od alternatywy.

Holden uniósł szklaneczkę.

– Za tych, których już z nami nie ma.

– Za tych, których już z nami nie ma – powtórzył Fred i obaj wypili. – Ta lista robi się dłuższa przy każdym naszym spotkaniu.

– Przykro mi z powodu Byka, ale sądzę, że uratował Układ Słoneczny. Na tyle, na ile go znałem, mogę sądzić,

uważałyby to za świetne osiągnięcie.

– Za Byka – powiedział Fred, ponownie unosząc szklaneczkę.

– I Sam – dodał Holden, unosząc swoją.

– Wkrótce odchodzę, więc chciałem jeszcze z tobą porozmawiać.

– Chwila. Odchodzisz? To znaczy odlatujesz czy odchodzisz jak Byk i Sam?

– Jeszcze się mnie nie pozbędziesz. Muszę wrócić na Medynę – wyjaśnił Fred. Nalał sobie jeszcze trochę bourbona, marszcząc się nad szklaneczką, jakby wykonywał jakąś precyzyjną operację. – Tam teraz wszystko się dzieje.

– Naprawdę? Wydawało mi się, że słyszałem coś o spotkaniu sekretarza generalnej ONZ i premiera Marsa. Sądziłem, że właśnie tam się wybierzesz.

– Mogą rozmawiać, ile chcą, ale prawdziwą władzę daje geografia. Medyna jest w centrali, gdzie spotykają się wszystkie pierścienie. Tam właśnie przez bardzo długi czas będzie władza.

– Jak sądzisz, jak długo ONZ i Mars pozwolą ci kierować tym przedstawieniem? Masz przewagę, ale jeśli uznają, że chcą twoich zabawek, mogą rzucić na ciebie mnóstwo naprawdę groźnych statków.

– Sporo z tego załatwiamy pod stołem z Avasaralą. Dopilnujemy, żeby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli. – Fred urwał i wypił większy łyk. – Ale mamy dwa duże problemy.

Holden odstawił swoją szklaneczkę. Zaczynał mieć wrażenie, że jego prośba o zniżkę i jej otrzymanie tak naprawdę wcale nie były końcem negocjacji.

– Mars – powiedział Holden.

– Tak, Mars umiera – potwierdził Fred, przytakując. – Tego nie da się zatrzymać. Ale mamy też bandę ekstremistów z SPZ, którzy potrząsają szabelką. Zeszłoroczny atak na Kallisto to ich dzieło. Zamieszki wodne na stacji Pallas. Były też inne zdarzenia. Nasiliły się napady pirackie i wcale nie podoba mi się to, ile z tych statków ma na burtach namalowane rozerwane kręgi.

– Można by pomyśleć, że wszystkie ich problemy rozwiązałyby posiadanie własnej niezależnej planety.

Zanim odpowiedział, Fred pociągnął kolejny łycezek alkoholu.

– Ich zdaniem kultura Pasiarzy jest dostosowana do życia w przestrzeni. Perspektywa nowych kolonii z powietrzem i ciężeniem ogranicza podstawy ekonomiczne bytu Pasiarzy. Zmuszenie wszystkich do zejścia do studni grawitacyjnych jest moralnym odpowiednikiem ludobójstwa.

Holden zamrugał.

– Niezależne planety to ludobójstwo?

– Twierdzą, że dostosowanie do niskiego ciężenia nie jest kalectwem, tylko ich istotą. Nie chcą przenieść się do życia na planetach, więc ich zabijamy.

– Dobra, rozumiem, że nie chcą spędzać sześciu miesięcy, pompując się sterydami i stymulatorami wzrostu kości. Ale jak ich zabijamy?

– Po pierwsze, nie wszyscy mogą to tolerować. Ale tak naprawdę wcale nie o to chodzi. Rzecz w tym, że to – powiedział Fred, wskazując na otaczającą ich stację kosmiczną – w zasadzie się skończy, gdy wszyscy będą mieli swoje planety. Przynajmniej na wiele pokoleń, może na zawsze. Nie ma powodu pakować zasobów w planety zewnętrzne lub wydobywanie surowców z Pasa, gdy to samo można znaleźć w studni i dostać do tego darmowe powietrze i wodę.

– Czyli gdy przestaną mieć cokolwiek, co mogą zaoferować innym, wszyscy tu po prostu umrą z głodu?

– Tak to widzą – potwierdził Fred.

Przez chwilę obaj milczeli, popijając.

– Cóż – odezwał się w końcu Holden. – Mają trochę racji. Ale nie bardzo widzę, co mogą z tym zrobić.

– Są ludzie, którzy nad tym pracują. Ale problem się nasila.

– Kallisto i Pallas.

– A niedawno wyprowadzili atak na Ziemię, używając starego ciężkiego frachtowca.

Holden się roześmiał.

– Nie słyszałem, żeby Ziemia została zbombardowana, więc chyba im się nie udało.

– Cóż, to był atak samobójczy i ta część z samobójstwem wyszła całkiem dobrze. Flota ONZ na wysokiej orbicie patrolowej zmieniła frachtowiec w chmurę gazu jedną dziesiątą jednostki astronomicznej od planety. Żadnych strat, nie było o czym mówić. Ale możliwe, że to dopiero wstęp, że planują jakąś wielką,

widowiskową akcję, która dowiedzi, że Pasiarzy nie można zignorować. Cholernie przeraża mnie fakt, że nikt nie potrafi wykombinować, co to będzie.

\* \* \*

Łagodnie zakrzywiony główny korytarz pierścienia mieszkalnego stacji Tycho był pełen robotników. Holden nie zwracał zbytnej uwagi na harmonogram stacji, ale uznał, że otaczające go tłumy oznaczają porę zmiany. Albo ktoś zarządził ewakuację, nie włączając alarmów.

– Yo! Holden – odezwał się ktoś z przechodzących.

– Hej – odpowiedział Holden, nie mając pewności, do kogo mówi.

Ciągle jeszcze nie przyzwyczyił się do swojego statusu celebryty. Ludzie wskazywali go palcami, gapili się i szeptali do siebie, gdy przechodził. Zasadniczo zdawał sobie sprawę, że nie zamierzali go w ten sposób obrażać, po prostu tak objawiało się zaskoczenie odczuwane przez ludzi, gdy na żywo spotykali kogoś z ekranów. Przeważnie, gdy udało mu się usłyszeć prowadzone ściszym głosem rozmowy, ich treść sprowadzała się do: *czy to James Holden? To chyba James Holden.*

– Jak leci, Holden – odezwała się kobieta idąca w jego stronę korytarzem.

Podczas trzech zmian na stacji Tycho pracowało piętnaście tysięcy osób. Stacja była jak małe miasto w kosmosie. Nie pamiętał, czy odzywająca się do niego kobieta jest kimś, kogo powinien znać, więc tylko się uśmiechnął i odpowiedział niezobowiązująco.

– Cześć, co u ciebie?

– Po staremu – rzuciła, przechodząc obok.

Kiedy dotarł do drzwi apartamentu, poczuł ulgę, że jedyną osobą w środku jest Naomi. Siedziała przy stole w jadalni, trzymając przed sobą parujący kubek herbaty. Miała nieobecne spojrzenie. Nie potrafił stwierdzić, czy to melancholia, czy zaprzęta ją jakiś złożony problem techniczny. W obu sytuacjach wyglądała zdumiewająco podobnie.

Nalał sobie kubek wody z kranu, a potem usiadł naprzeciw niej, czekając, aż się odezwie. Popatrzyła na niego zza włosów i posłała mu smutny uśmiech. Czyli melancholia, nie problem techniczny.

– Cześć – rzuciła.

– Cześć.

– Mam sprawę.

– Czy to coś, w czym mogę pomóc? – zapytał Holden. – Wprowadź mnie w temat.

Naomi napiła się herbaty, kupując czas. Co nie było dobrą wróżbą, ponieważ oznaczało, że nie jest pewna, jak podejść do tematu. Holden poczuł, że napinają mu się mięśnie brzucha.

– Właściwie to część problemu – powiedziała. – Muszę polecić coś zrobić, ale nie mogę pozwolić, żebyś się w to zaangażował. W ogóle. Ponieważ jeśli tak się stanie, spróbujesz to naprawić, a tego nie zdołasz zrobić.

– Nie rozumiem – wyznał Holden.

– Obiecuję absolutnie wszystko wyjaśnić po powrocie.

– Chwila. Po powrocie? Gdzie się wybierasz?

– Na początek na Ceres – odpowiedziała Naomi. – Ale to może być coś więcej. Nie jestem pewna, jak długo mnie nie będzie.

– Naomi – powiedział Holden, sięgając przez stół, by ująć jej dłoń. – W tej chwili cholernie mnie przerażasz. Nie ma mowy, żebyś poleciała stąd na Ceres beze mnie. Zwłaszcza jeśli to coś złego, a zaczynam mieć wrażenie, że to coś bardzo złego.

Naomi odstawiła herbatę i ujęła jego dłoń obiema swoimi. Palce dłoni trzymającej kubek były ciepłe, druga dłoń chłodna.

– Tylko że tak właśnie będzie. To nie podlega negocjacji. Czyli albo polecę, ponieważ zrozumiesz i dasz mi swobodę do załatwienia tego samodzielnie, albo polecę, bo ze sobą zerwiemy i nie będziesz miał już nic do powiedzenia w moich sprawach.

– Co takiego?

– Zerwaliśmy ze sobą? – zapytała Naomi.

Ścisnęła jego dłoń.

– Nie, oczywiście, że nie.

– W takim razie dziękuję za zaufanie, że poradzę sobie z tym sama.

– Czy to właśnie powiedziałem? – zapytał Holden.

– Tak, w zasadzie tak. – Naomi wstała. Na podłodze obok jej krzesła leżała spakowana torba podróżna, której wcześniej nie zauważył. – Będę dzwonić, gdy tylko będę mogła, ale jeśli nie, nie doszukuj się w tym niczego. Dobrze?

– Dobrze – odpowiedział Holden.



Cała scena zaczęła przypominać sen. Naomi stojąca przy drugim końcu stołu z oliwkowozieloną torbą wydawała się być bardzo daleko. Pokój zdawał się większy niż w rzeczywistości, a może to Holden się skurczył. On też wstał i zakreśliło mu się w głowie.

Naomi upuściła torbę na stół i objęła go.

– Wróć – wyszeptała z podbródkiem na wysokości jego czoła. – Obiecuję.

– Dobrze – powtórzył.

Jego mózg stracił zdolność tworzenia innych słów.

Po ostatnim ciasnym uścisku podniosła torbę i ruszyła do drzwi.

– Poczekaj! – rzucił.

Obejrzała się.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też – odpowiedziała i wyszła.

Holden usiadł, żeby nie upaść na podłogę. W końcu zdołał się podnieść z krzesła minutę albo godzinę później, nie potrafił stwierdzić, ile faktycznie tak siedział. Prawie zadzwonił do Amosa, żeby spotkać się z nim na drinka, gdy przypomniał sobie, że Amos i Aleks także odlecieli.

Wszyscy odeszli.

\* \* \*

Dziwne, jak wszystko mogło być takie samo, choć wszystko się zmieniło. Wciąż wstawał co rano, szczotkował zęby, zakładał czyste ubranie i jadł śniadanie. Przychodził do stoczni remontowej o dziewiątej lokalnego czasu, zakładał skafander

próżniowy i dołączał do ekipy pracującej nad *Rosynantem*. Przez osiem godzin pełzał przez szkielet swojego statku, mocując przewody, instalując nowe silniki manewrowe, łątał dziury. Nie potrafił robić wszystkiego, co wymagało zrobienia, ale chciał się nauczyć, więc obserwował techników wykonujących naprawdę skomplikowane czynności.

To wszystko wydawało się bardzo normalne, bardzo rutynowe, prawie jakby wciąż miał swoje dawne życie.

Tylko że po ośmiu godzinach wracał do swojego apartamentu i nikogo tam nie było. Po raz pierwszy od lat był naprawdę sam. Nie pojawiał się Amos z propozycją wypadu do baru. Aleks nie oglądał strumieni wideo, siedząc na kanapie i rzucając sarkastyczne komentarze w stronę ekranu. Nie było tam Naomi pytającej go o dzień i porównującej notatki na temat postępów prac. Pokoje nawet pachniały pusto.

Nigdy dotąd tego nie zauważył, ale teraz zaczynał rozumieć, jak bardzo potrzebuje rodziny. Dorastał z ośmioma rodzicami i, zdawało się, nieskończoną liczbą dziadków, cioć, wujków i kuzynów. Kiedy opuścił Ziemię i wstąpił do floty, spędził cztery lata w akademii, mając nieustanne towarzystwo kolegów z pokoju i z roku oraz mnóstwo dziewczyn. Nawet po zwolnieniu dyscyplinarnym od razu zatrudnił się w Pur’N’Kleen i latał na *Canterbury*, gdzie trafił do nowej, choć znacznie mniej ścisłej, rodziny współpracowników i kolegów. A jeśli nie rodziny, to przynajmniej ludzi.

Jedynymi dwoma osobami, z którymi był blisko na Tycho, był Fred, tak zajęty swoimi machinacjami politycznymi, że ledwie miał czas oddychać, i Sam, która lata temu zginęła w powolnej strefie. Nowy Sam – Sakai – był kompetentnym inżynierem i wydawał się bardzo poważnie traktować naprawę jego statku, ale nie wyraził najmniejszego zainteresowania kontaktami pozazawodowymi.

Holden zaczął więc spędzać dużo czasu w barach.

Blauwe Blome był zbyt głośny i za dużo było tam ludzi, którzy znali Naomi, a jego nie. Miejsca bliżej doków były pełne rozhukanych techników kończących zmianę, a szarpanina ze sławnym facetem wydawała się świetnym sposobem na spuszczenie pary. Każde inne miejsce, w którym siedziały więcej niż cztery osoby, zmieniało się w proszę się ustawić w kolejkę do zdjęcia z Jamesem Holdenem, a potem zadawać mu osobiste pytania przez godzinę. Znalazł więc małą restauracyjkę w bocznym korytarzu między częścią mieszkalną a sekcją ze sklepami. Jej specjalnością było coś, co Pasiarze nazywali kuchnią włoską, a na tyłach mieścił się mały bar, który wszyscy zdawali się ignorować.

Holden mógł siedzieć tam przy maleńkim stoliku, oglądając najnowsze wiadomości na terminalu ręcznym, czytając listy i w końcu zająć się tymi wszystkimi książkami, które pobrał w ciągu ostatnich sześciu lat. Bar serwował te same dania, co restauracja z przodu, i choć nikt z Ziemi nie uznałby ich za włoskie, były zjadliwe. Koktajle były średniej jakości, ale tanie.

Wszystko byłoby prawie do zniesienia, gdyby nie fakt, że zdawało się, że Naomi zniknęła ze świata. Aleks wysyłał regularne aktualizacje na temat tego, gdzie jest i co robi. Amos skonfigurował terminal do automatycznego wysyłania wiadomości z informacjami, że wylądował na Lunie, a potem w Nowym Jorku. Od Naomi nie dostał niczego. Wciąż istniała, a przynajmniej istniał jej terminal ręczny. Wysyłane przez niego wiadomości gdzieś docierały. Nigdy nie dostał z sieci informacji o nieudanym doręczeniu, ale udane wysłanie wiadomości było jedyną odpowiedzią.

Po kilku tygodniach spędzania wieczorów nad kiepskim włoskim jedzeniem i z tanimi koktajlami jego terminal ręczny w końcu zadzwonił połączeniem głosowym. Wiedział, że nie mogło pochodzić od Naomi. Opóźnienie czasu przelotu światła czyniło połączenie na żywo niepraktycznym dla osób, które nie znajdowały się na tej samej stacji. Mimo wszystko wyciągnął terminal z kieszeni tak szybko, że urządzenie upadło i odjechało po podłodze.

– Za dużo mojej margarity? – spytał Chip, miejscowy barman.

– Już pierwsza to było za dużo – odpowiedział Holden, a potem schylił się pod stół, szukając terminala. – A nazywanie tego margaritą powinno być zakazane.

– Nie zrobisz lepszej margarity z wina ryżowego i koncentratu aromatu z limonki – obruszył się lekko Chip.

– Halo? – Holden krzyknął do terminala, dźgając ekran dotykowy, by odebrać połączenie. – Halo?

– Cześć, Jim – zabrzmiał kobiecy głos.

Ani trochę nie przypominał Naomi.

– Kto mówi? – zapytał, a potem uderzył się w kant blatu, wychodząc spod stołu. – Szlag!

– Monika – wyjaśnił głos z drugiej strony. – Monika Stuart. Czy to niedobry moment?

– Trochę jestem teraz zajęty, Monika – odpowiedział Holden.

Chip przewrócił oczami. Holden posłał mu obraźliwy gest, więc barman zaczął szykować kolejnego drinka. Prawdopodobnie jako karę za obelgę.

– Rozumiem – stwierdziła Monika. – Ale mam coś, co bardzo bym chciała z tobą omówić. Moglibyśmy się gdzieś spotkać? Na kolację, na drinka, cokolwiek?

– Obawiam się, Monika, że w przewidywalnej przyszłości będę uziemiony na stacji Tycho. *Ros* przechodzi teraz generalny remont, więc...

– Och, wiem. Ja też jestem na Tycho. Dlatego dzwonię.

– No tak – rzucił Holden. – Oczywiście.

– Może dziś wieczór?

Chip postawił drinka na tacy, a do baru wszedł kelner z restauracji z przodu i zabrał tacę. Chip zobaczył, że Holden na niego patrzy i bezgłośnie wypowiedział do niego *chcesz jeszcze jednego?* Perspektywa kolejnego wieczoru z tym, co restauracja nazywała lazanią, i z dostateczną ilością „margarit” Chipa, by zabić posmak dania – wydała się nagle jak powolna śmierć.

Prawdę mówiąc, był znudzony i samotny. Monika Stuart była dziennikarką, której poważnym problemem było to, że pokazywała się tylko wtedy, gdy czegoś chciała. Zawsze kierowała się własnymi motywami. Z drugiej strony dowiedzenie się, czego chciała, a potem odmówienie jej, było niezłą perspektywą na spędzenie wieczoru trochę inaczej niż spędzał je od czasu odlotu Naomi.

– Tak, Monika, kolacja brzmi nieźle. Ale nic włoskiego.

\* \* \*

Jedli sushi z łososi hodowanych w zbiornikach na stacji. Było niemożliwie drogie, ale płaciła Monika z budżetu na wydatki. Holden opychał się, aż ubranie zrobiło się za ciasne.

Monika jadła oszczędnie, drobnymi precyzyjnymi ruchami pałeczek, prawie podnosząc po jednym ziarenku ryżu na raz. Całkowicie ignorowała wasabi. Od czasu ostatniego spotkania trochę się też zestarzała. W przeciwieństwie do Freda, dodatkowe lata wyglądały na niej dobrze, dodając do wyglądu gwiazdy filmowej wrażenie doświadczenia i powagi.

Wieczór zaczęli od rozmowy o błahostkach: postępie napraw statku, o tym, co działo się z ekipą, którą zabrała ze sobą na *Rosynanta* w czasach, gdy Pierścień był jeszcze nowością, gdzie polecieeli Aleks, Amos i Naomi. Stwierdził, że mówi więcej, niż zamierzał. Nie czuł niechęci do Moniki, ale z drugiej strony nie ufał jej też przesadnie. Ale z drugiej strony ona go znała, spędzili ze sobą mnóstwo

czasu na statku, a był bardzo spragniony rozmowy z kimś, kogo przynajmniej trochę znał.

– Jest taka jedna dziwna sprawa – powiedziała, a potem wytarła chusteczką kąciki ust.

– Dziwniejsza niż jedzenie surowej ryby na stacji kosmicznej z jedną z najsłynniejszych dziennikarek w Układzie Słonecznym?

– Pochlebiasz mi.

– Stary zwyczaj. Nic specjalnego nie miałem na myśli.

Monika grzebała przez chwilę w swojej torbie i wyciągnęła z niej rozwijany ekran video na folii. Odsunęła talerze i rozłożyła ekran płasko na stole. Kiedy się włączył, wyświetlił ciężki frachtowiec, masywny i gruby, skierowany w stronę jednego z pierścieni wewnątrz powolnej strefy.

– Obejrzyj to.

Obraz ożył, frachtowiec sunął w stronę wrót pierścieniowych z niskim ciągiem. Uznał, że to wrota prowadzące z Układu Słonecznego do powolnej strefy i stacji Medyna, choć równie dobrze mogły to być każde inne wrota. Wszystkie wyglądały praktycznie tak samo. Kiedy statek przeleciał przez nie, obraz zamigotał i zafalował, gdy sprzęt nagrywający został zaatakowany falą cząsteczek wysokoenergetycznych i zmiennym polem magnetycznym. Obraz się ustabilizował, ale nie było już na nim statku. Co nie znaczyło wiele. Światło przechodzące przez wrota zawsze zachowywało się dziwnie, zakrzywiając obrazy jak refrakcja w wodzie. Nagranie się skończyło.

– Już go widziałem – skomentował Holden. – Niezłe efekty specjalne, ale gorzej z fabułą.

– Tak naprawdę to nie widziałeś. Zgadnij, co stało się z tym statkiem? – powiedziała Monika z twarzą zaczerwienioną z przejęcia.

– Co?

– Nie, serio, zgadnij. Czekam na propozycje. Podaj hipotezę. Bo nie pojawił się z drugiej strony.



## Rozdział szósty

### Aleks

– Cześć, Bobbie – powiedział do kamery swojego terminala ręcznego. – Będę na dole w Marinerze na tydzień lub dwa, zamieszkać u kuzyna. Zastanawiałem się, czy nie chciałabyś się spotkać na lunch, gdy będę w mieście.

Zakończył wiadomość i wysłał ją, schował terminal z powrotem do kieszeni, chwilę poruszał nerwowo palcami i wyjął go z powrotem. Zaczął przeglądać listę kontaktów, szukając kolejnego sposobu na odwrócenie uwagi. Z każdą minutą coraz bardziej zbliżał się do egzosfery domu. Byli już wewnątrz orbity Fobosa i niewidocznego teraz, cienkiego pierścienia żwiru, który ludzie nazwali pierścieniem Deimosa. Prom nie miał ekranów, ale z tego miejsca powinien już móc zobaczyć olbrzymie stalowe konstrukcje bazy Hekate rozłożone na boku Olympus Mons. Przechodził tam szkolenie po wstąpieniu do floty.

Dolina Marinera była jednym z pierwszych dużych osiedli na Marsie. Pięć połączonych skupisk wydrążonych

w bokach olbrzymich kanionów, kryjącymi się pod skałami i regolitem. Sieć łączących je mostów i rur nazywano Haizhe, ponieważ struktury od zachodu i okoliczne rury wyglądały jak komiksowa meduza. Późniejsza szybka linia do Londres Nova była włóczęwą przebijającą meduzę.

Trzy fale kolonistów z Indii i Chin wkopały się tam głęboko w suchą ziemię, prowadząc mizerną, ryzykowną egzystencję na granicach zdolności dostosowania ludzkich organizmów. Tam właśnie mieszkała jego rodzina. Był jedynym dzieckiem starszych rodziców. Nie miał bratanków ani siostrzeńców, ale dość kuzynów w całej dolinie, by mógł miesiącami przenosić się z jednego pokoju gościnnego do następnego, nie nadwyrężając w żadnym gościnności.

Prom zadygotał, trafiając w atmosferę dość gęstą, by wywoływała turbulencje. Przyjemnie zadźwięczał alarm przyspieszenia i nagrany głos polecił pasażerom sprawdzenie taśm pasów bezpieczeństwa prycz żelowych oraz schowanie w szafkach na ścianach wszystkich przedmiotów o wadze powyżej dwóch kilogramów. Hamowanie rozpocznie się za trzydzieści sekund i osiągnie maksymalne przeciążenie trzech g. Troska w automatycznym głosie sugerowała, że to dużo, więc pewnie niektórzy pasażerowie będą pod wrażeniem.

Schował do szafki swój ręczny terminal, zamknął ją i czekał, aż rakiety wcisną go w pryczę. W innym przedziale płakało dziecko. Zaczęło się odliczanie z muzyką podkreślającą odstępy rozumiane w każdym

języku. Gdy tony połączyły się w łagodny i uspokajający akord, włączyły się silniki, wciskając go w żel. Drzemał w trzęsącym się i szarpiącym statku. Atmosfera Marsa nie była dość gęsta, by używać jej do hamowania aerodynamicznego na stromej trajektorii lotu, ale i tak mogła generować sporo ciepła. Na wpół przytomny przeliczył w głowie podejście do lądowania, z liczbami robiącymi się coraz bardziej nierealnymi w miarę, jak ogarniał go lekki sen. Gdyby coś poszło nie tak – zmiana ciągu, przebiegające przez statek drżenie uderzenia, przesunięcie zawiasów kardanowych prycz żelowych – obudziłby się w jednej chwili. Ale nic takiego się nie stało. Jak na powroty do domu, nie było źle.

Sam port mieścił się na dnie doliny. Nad płytami lądowisk wznosiły się ponadsześciokilometrowe skalne ściany, a pasek nieba w górze nie rozciągał się nawet na trzydzieści stopni. Terminal przylotów był jednym z najstarszych budynków w Marinerze, z olbrzymią przezroczystą kopułą zbudowaną z myślą o ochronie przed promieniowaniem i zapewnieniu widoku wzbudzającego wrażenie swoją skalą. Kaniony rozciągały się na wschód, poszarpane, skaliste i piękne. Światła błyskały na ścianach urwisk w miejscach, gdzie ze skał wystawały osiedla mieszkalne, domy bogaczy przedkładających świadectwo statusu w postaci okna na zewnątrz nad bezpieczeństwo głębokiego kamienia. Przeleciał transportowiec, trzymając się nisko nad ziemią, gdzie stosunkowo gęste powietrze dawało lepsze podparcie jego delikatnym skrzydłom.

Według odkryć naukowców Mars miał kiedyś własną biosferę. Padał tu deszcz, płynęły rzeki. Może nie w geologicznym mrugnięciu okiem, jakim była era ludzkiej historii, ale kiedyś. A terraformerzy obiecywali, że będzie tak znowu. Nie za życia ich ani ich dzieci, ale kiedyś. Aleks czekał w kolejce do odprawy i spoglądał w górę. Przyciąganie planety, tylko około jednej trzeciej g, sprawiało dziwne wrażenie. Niezależnie od tego, co twierdziła fizyka, ciężenie ciągu czuło się inaczej niż pobyt w studni grawitacyjnej. Zachwycony kanionami i zmieszany zaburzonym odczuwaniem wagi Aleks poczuł rosnący w piersi niepokój.

Dotarł tu. Był w domu.

Mężczyzna sprawdzający podróżnych miał gęste wąsy ze śladem rudej barwy. Do tego zaczerwienione oczy i ponury wyraz twarzy.

– W interesach czy dla przyjemności?

– Żaden z wymienionych powodów – odpowiedział Aleks z silnym akcentem. – Przyleciałem na spotkanie z byłą żoną.

Mężczyzna posłał mu uśmiech.

– To będzie spotkanie w interesach czy dla przyjemności?

– Powiedzmy, że nie w interesach – ustąpił Aleks.

Urzędnik dotknął ekranu terminala i kiwnął głową w stronę kamery. Kiedy system potwierdzał jego tożsamość Aleks zaczął się zastanawiać, dlaczego tak powiedział. Nie powiedział, że Tali jest ksantypą, nie obraził jej, ale dla żartu zasugerował coś w tym stylu.

Miał wrażenie, że zasługiwała na coś lepszego z jego strony. Pewnie faktycznie tak było.

– Miłego pobytu – mruknął urzędnik i Aleks mógł wejść do opuszczonego kraju.

Kuzynka Min stała w poczekalni. Była o ponad dziesięć lat młodsza od niego, z ostatnimi śladami młodości i pierwszymi oznakami średniego wieku. Jej uśmiech pasował do dziewczyny, którą kiedyś znał.

– Cześć, kuzynie – rzuciła na powitanie z akcentem chyba o pół stopnia silniejszym niż zwykle. – Co cię sprowadza na stare śmieci?

– Więcej sentymentu niż rozsądku – odpowiedział Aleks, otwierając ramiona.

Przez chwilę się obejmowali.

– Masz jakiś bagaż? – zapytała Min.

– Tylko to, co przy sobie.

– W porządku. Mam wózek przed wejściem.

Aleks uniósł brew.

– Nie musiałaś tego robić.

– Są tańsze niż kiedyś. Dzieciaki nie wrócą ze szkoły jeszcze przez cztery godziny. Chcesz zrobić coś konkretnego, zanim zaczną się nam kręcić pod nogami?

– Nie mogłem się doczekać tylko dwóch rzeczy: spotkania z ludźmi i miski makaronu Hassana.

Wyraz zawstydzenia na twarzy Min zniknął w ułamku sekundy.

– Jest świetna knajpa z makaronem na południowej ścianie. Mają sos czosnkowy, od którego się przewrócisz, ale Hassan zwinął interes jakieś cztery lata temu.

– Ach. Nie, wszystko w porządku. Wiesz, makarony Hassana wcale nie były dobre.

– Cóż, to prawda.

– Chodziło o to, że były jego.

Wózek był typowym elektrykiem, szerszym i wytrzymalszym niż te używane na stacjach. Opony zrobiono z przezroczystego polimeru, który nie zostawiał śladu na podłogach korytarzy. Aleks zajął miejsce pasażera, a Min siadła za sterami. Rozmawiali o drobiazgach – kto w rodzinie wychodził za mąż lub się żenił, kto się rozwodził, kto się przeprowadzał skąd i dokąd. Zdumiewająco duża liczba rodzeństwa Min trafiła na statki lecące w stronę Pierścienia i choć nie powiedziała tego wprost, miał wrażenie, że bardziej interesowały ją jego opowieści o tym, co zobaczył po drugiej stronie, niż on sam.

Przejechali przez długi tunel dostępowy, a potem przez jeden z mostów do Bunker Hill. Aleks dorastał w tej okolicy. Prochy jego ojca spoczywały w krypcie synagogi, prochy matki rozrzuciono nad Ophir Chasmata. Pierwsza dziewczyna, którą pocałował, mieszkała dwa korytarze od miejsca, gdzie osiadła teraz rodzina Min. Jego najlepszym przyjacielem w dzieciństwie był chłopak pochodzenia chińskiego imieniem Johnny Zhou, mieszkający ze starszym bratem i siostrą po drugiej stronie kanionu.

Podczas jazdy korytarzami zalewały go wspomnienia. Zakręt korytarza, gdzie Sharabaghar Samotnej Gwiazdy urządzał cotygodniowe zawody taneczne i popijawy.

Dzień, w którym został złapany na kradzieży gumy do żucia w sklepiku na rogu korytarza Dallas i Nu Ren Jie, gdy miał dziewięć lat. Bardzo silne problemy żołądkowe w łazienkach w centrum handlowym Alamo Mall Toll Plaza. Każdego dnia zdarzały się pewnie tysiące takich rzeczy i jedyne, co wyróżniało doświadczenia Aleksa, to fakt, że były jego.

Przez dłuższą chwilę nie potrafił sprecyzować, z jakiego powodu czuje się nieswojo. Podobnie do różnicy między ciągiem a ciążeniem planety, pustka korytarzy była prawie zbyt subtelna, by szybko ją zauważyć. Nawet gdy Min wjechała głębiej w jego okolicę, najpierw zauważył światła, dopiero potem kłódki. Wszędzie wzdłuż korytarzy, rozrzucone jak garść piasku, pokoje i lokale handlowe były pozamykane, w oknach było ciemno. Samo w sobie nie znaczyło to wiele, ale Aleks zauważył najpierw jedną, potem kilka, a później – jak kwiaty na łące – nagle mnóstwo niezgrabnych zewnętrznych blokad zakładanych przez właścicieli i ochronę na drzwi nieużywanych pomieszczeń. Dalej prowadził rozmowę z kuzynką, ale zaczął liczyć mijane lokale. W ciągu następnej setki drzwi – mieszkań, szkół, sklepów i lokali usługowych – dwadzieścia jeden było zamkniętych.

Wspomniał o tym, gdy Min zatrzymała wózek przed swoimi drzwiami.

– Owszem – odpowiedziała z nieco wymuszoną lekkością. – Robi się pusto.

\* \* \*

W którymś momencie podczas lat jego nieobecności Talissa się przeprowadziła. Stare pokoje, w których mieszkali razem, znajdowały się w Ballard, upchnięte między stacją floty a placówkę przetwarzania wody. Zgodnie z miejscowym katalogiem, teraz mieszkała w Galveston Shallow. Nie była to okolica, która mu do niej pasowała, ale sytuacja się zmieniała. Może zarobiła większe pieniądze. Miał taką nadzieję. Był za wszystkim, co poprawiało jej komfort życia.

Korytarze Galveston Shallow były szerokie. Połowa światła docierała przez szyby z powierzchni, z rzeczywistym światłem słońca przepuszczanym przez serię przezroczystych ekranów ograniczających promieniowanie do minimum. Szerokie, zakrzywione sufity nadawały temu miejscu poczucie naturalności, niemal organiczne, a zapach mechanicznych wymienników powietrza prawie całkowicie krył się pod bogatym aromatem roślin. Szerokie połacie zieleni zapełniały obszary komunalne pnączami epipremnum i gąszczem sansewierii, roślinami produkującymi dużo tlenu. Wilgoć w powietrzu była dziwna i kojąca. Aleks uświadomił sobie, że to zrealizowane na małą skalę marzenie o prawdziwym Marsie. Jeśli projekt terraformacji zadziała, kiedyś cała planeta będzie właśnie taka. Rośliny, zwierzęta, powietrze i woda. Któregoś dnia, stulecia po jego śmierci, ludzie będą mogli chodzić po powierzchni Marsa otoczeni roślinami takimi jak te. Będą mogli poczuć na skórze prawdziwe słońce.



Starał się odwrócić uwagę od myśli o spotkaniu. Sprawdził na terminalu swoją pozycję względem nowego adresu Tali. Jego serce biło szybciej niż zwykle i nie był pewien, co powinien zrobić z rękami. Zastanawiał się, co powie, jak na niego spojrzy. I złość, i radość byłyby równie uzasadnione, choć wolałby radość.

Jego plan – odszukać miejsce, zebrać się, zadzwonić – zawiódł, ponieważ zobaczył ją, gdy tylko pokonał ostatnią krzywiznę korytarza prowadzącego do jej pokojów. Klęczała pośród roślin na terenie komunalnym z ogrodniczą łopatką w dłoni. Miała na sobie pobrudzone ziemią spodnie robocze, z grubego materiału, i jasnobrązową koszulę z mnóstwem kieszeni i uchwytów na narzędzia ogrodnicze, w większości pustych. Kolor jej brązowych włosów był tak intensywny i wolny od siwizny, że musiały być farbowane. Twarz miała szerszą, policzki pulchniejsze. Czas był dla niej łaskawy. Nie była piękna. Chyba nigdy taka nie była, ale była ładna i była Talissą.

Aleks poczuł, jak unoszą się kąciki jego warg, bardziej z niepokoju niż radości. Wbił ręce do kieszeni i ruszył w jej stronę, starając się wyglądać niedbale. Tali podniosła wzrok znad pracy, potem znowu spuściła oczy. Jej ramiona się spięły i popatrzyła ponownie, prosto na niego. Uniósł rękę, dłonią w jej stronę.

– Aleks? – powiedziała, gdy dotarł do brzegu ogródka.

– Cześć, Tali – odpowiedział.

Kiedy się odezwała, w jej głosie usłyszał tylko czyste niedowierzenie.

– Co ty tu robisz?

– Miałem trochę wolnego czasu podczas naprawy statku, więc pomyślałem, że zajrzę na stare śmieci. Spotkam się z ludźmi. No wiesz.

Talissa kiwnęła głową, nierówno wykrzywając usta w sposób znaczący, że intensywnie myśli. Może powinien był do niej napisać, zanim przyszedł. Tylko że miał głębokie przekonanie, że najpierw powinni się spotkać twarzą w twarz.

– No cóż – powiedziała. – No dobrze.

– Nie chcę ci przeszkadzać, ale może gdy skończysz, mógłbym cię zaprosić na herbatę?

Tali przechyliła się do tyłu i przekrzywiła głowę.

– Przestań, Aleks. Co ty tu robisz?

– Nic – zapewnił.

– Nie. Coś. Po coś tu przyszedłeś.

– Naprawdę, wcale nie. Ja tylko...

– Nie – powiedziała konwersacyjnym tonem. – Nie wciskaj mi kitu. Nikt nie pojawia się tak po prostu przed drzwiami byłej żony tylko po to, żeby ją zaprosić na herbatę.

– No dobrze – ustąpił Aleks. – Ale pomyślałem...

Tali pokręciła głową i wróciła do kopania w czarnej glebie.

– Co pomyślałeś? Że się razem napijemy, porozmawiamy o dawnych czasach, poprzytulamy się? Może z racji nostalgii wylądujemy w łóżku?

– Co? Nie, ja nie...

– Proszę, nie rób ze mnie czarnego charakteru. Mam bogate, pełne i złożone życie, którego ty postanowiłeś nie być częścią. Mam w tej chwili na głowie mnóstwo spraw, którymi wcale nie chcę się z tobą dzielić, a pocieszenie faceta, który ode mnie odszedł naście lat temu, bo jest... nie wiem, ma kryzys wieku średniego? To nie jest moim priorytetem ani czymś, czego uczciwie można ode mnie oczekiwać.

– Och – rzucił Aleks.

Jego brzuch sprawiał wrażenie, jakby połknął wolframowy pocisk. Poczuł, że się zaczerwienił. Westchnęła, podnosząc na niego wzrok. Nie miała okrutnego wyrazu twarzy. Nawet nie była nieprzyjemna. Może zmęczona.

– Przepraszam – powiedziała. – Jesteśmy dwójką ludzi, którzy kiedyś się znali. W tej chwili właściwie to nawet może mniej niż tyle.

– Rozumiem. Przepraszam.

– To nie ja postawiłam cię w tej sytuacji, tylko ty mnie. Ja tylko zajmowałam się roślinami.

– Wiem. Nie chciałem stawiać cię w nieprzyjemnej sytuacji. Ani teraz, ani wtedy.

– Ani wtedy? Wtedy, gdy ode mnie odszedłeś?

– Wcale nie chciałem, żeby to się stało i nie chodziło o ciebie albo...

Gwałtownie pokręciła głową, krzywiąc się przy tym.

– Nie. Nie będziemy tego robić. Aleks, rozmawiamy o przeszłości. *Właśnie powiedziałam*, że nie chcę takich rozmów. Rozumiesz?

- Rozumiem.
- Dobrze.
- Przepraszam, jeśli sytuacja jest... trudna.
- Nic mi nie będzie – odpowiedziała.

Znowu uniósł dłoń w tym samym geście, który wykonał, podchodząc do niej, ale tym razem znaczył coś innego. Odwrócił się. Odszedł. Upokorzenie było jak ciężar na piersi. Chciał się odwrócić, spojrzeć jeszcze raz na wypadek, gdyby patrzyła na niego i prawie uległ tej pokusie.

Prawie.

Miała rację. To dlatego pojawił się na jej progu bez ostrzeżenia. Po prostu wiedział, że jeśli odmówi, będzie musiał to uszanować, a gdzieś w głębi umysłu sądził, że jeśli zjawi się tam osobiście, jeśli będą oddychać tym samym powietrzem, będzie jej trudniej go odsunąć. I może tak było. Może faktycznie pogorszył dla niej sytuację.

Pierwszy bar, na jaki trafił, nazywał się Los Compadres, a powietrze w środku pachniało chmielem i przegrzonym serem. Chłopak stojący za barem wyglądał, jakby sam jeszcze nie mógł pić, a na jego jasnej skórze silnie odcinały się rude włosy i coś, co mogło być zapowiedzią wąsa. Aleks usiadł na wysokim stołku i zamówił whisky.

– Trochę wcześniej na świętowanie – skomentował barman, nalewając alkohol. – Z jakiej to okazji?

– Okazało się – odpowiedział Aleks, przesadnie akcentując słowa na sposób doliny Marinera – że czasem

jestem dupkiem.

– Bolesna prawda.

– Owszem.

– Sądzi pan, że picie to poprawi?

– Nie. Po prostu zachowuję tradycje wyalienowanego męskiego cierpienia.

– W porządku – rzucił barman. – Chce pan do tego coś na ząb?

– Spojrzę na menu.

Pół godziny później miał za sobą dopiero połowę drinka. Bar zaczynał się zapełniać, co znaczyło, że było tam może dwadzieścia osób w sali mieszczącej siedemdziesiąt. Z ukrytych głośników rozbrzmiewały meksykańskie rytmy. Myśl o powrocie do mieszkania kuzynki i udawaniu radosnego była tylko odrobinę gorsza od dalszego siedzenia w barze i czekania, aż przestanie się nad sobą użalać. Wciąż próbował wymyślić, co mógł powiedzieć lub zrobić inaczej, co zrobiłoby jakąś różnicę. Jak na razie najlepsze, co przyszło mu do głowy, to *nie odchodzić od swojej żony*, co nie różniło się zbyt wiele od *być kimś innym*.

Zabrzączał jego ręczny terminal. Wyciągnął go. Tekstowa wiadomość od Bobbie Draper.

CZEŚĆ ALEKS. PRZEPRASZAM, ŻE TYLKO CZEKAŁEŚ NA ODPOWIEDŹ, ALE SPORO SIĘ TU DZIEJE. TAK, JEŚLI JESTEŚ W OKOLICY, CHĘTNIE SIĘ SPOTKAM. MOŻE NAWET POPROSZĘ CIĘ O PRZYSŁUGĘ, JEŚLI BĘDZIESZ ZAINTERESOWANY. WPADNIJ W KAŻDEJ CHWILI.

Adres w Londres Nova. Aleks wywołał na ekranie mapę tego miejsca. Nie był daleko od stacji metra, mógł do niej dotrzeć na kolację. Dotknął blatu baru swoim terminalem, zapłacił za drinka i przeciągnął się. Na korytarzu zepsuł się wózek i zebrało się przy nim z sześciu techników. Przechodząca obok kobieta o skórze koloru mleka otrząsnęła się dyskretnie, gdy Aleks się jej ukłonił. Pewnie się zastanawiała, czy jest pilotem Jamesa Holdena. Poszedł dalej, zanim zdążyła się zapytać.

Tak. Dobrze będzie spotkać się z Bobbie.

## Rozdział siódmy

### Amos

Port kosmiczny zbudowano przed wiekiem kilometr od granic Lovell City. Teraz był geograficznym środkiem największego miasta na Lunie, choć nie dało się tego stwierdzić, patrząc na niego z przestrzeni. Na Lunie wzniesiono bardzo niewiele kopuł. Ciągły deszcz mikrometeorytów zmieniał kopuły w konstrukcje losowo wypuszczające atmosferę. Podczas lądowania promu jedynym widocznym znakiem miasta w dole były rozmieszczone w różnych miejscach powierzchniowe punkty dostępu i sam port kosmiczny. Doki nie były oryginalne, ale i nie były też bardzo stare. Pokład kiedyś był biały. Szare ścieżki wyznaczały trasy, na których buty i wózki wytarły ślady. Biuro związku miało upstrzone plamami okna, które wychodziły na długi korytarz, a powietrze pachniało podobną do prochu wonią księżycowego pyłu.

Chłopaki od wymuszeń pojawili się całą grupą podczas wysiadania, patrząc gniewnie na Amosa opuszczającego statek. Uśmiechnął się do nich

i pomachał, trzymając Rico, Jianguo i Wendy blisko siebie, aż opuścili terminal lotów długodystansowych.

– Hermano – powiedział Rico, ściskając dłoń Amosa. – Gdzie się teraz wybierasz?

– W głąb studni – odpowiedział Amos. – Uważajcie na tę małą dziewczynkę, dobra? I powodzenia w nowej pracy.

Jianguo mocno przytulił Wendy.

– Będziemy. Xie xie usted ha hecho.

Rico i Jianguo patrzyli na niego, jakby spodziewali się czegoś jeszcze, ale Amos nie miał im nic więcej do powiedzenia, więc odwrócił się i ruszył w stronę terminala lotów na planetę. Poczekalnia mieściła się pod dużą, fałszywą kopułą, która miała robić wrażenie na turystach. Wszystko znajdowało się pod powierzchnią, ale wielką komorę pokryto od podłogi po sufit ekranami ultrawysokiej rozdzielczości, pokazującymi widok na zewnątrz. We wszystkie strony rozciągały się wzgórza i kratery powierzchni Księżyca, lecz uwagę przyciągał głównie wiszący na niebie niebieskozielony półksiężyc. Z tej odległości był piękny. Miasta były ledwie iskrami świetlików na ciemnej stronie. Tam, gdzie Słońce uderzało w Ziemię, z orbity Księżyca nie było widać niemal żadnego dzieła ludzkich rąk. Planeta wyglądała na czystą, niezepsutą.

Co było gładkim kłamstwem.

Zaczynał mieć wrażenie, że to jakieś prawo natury: im bliżej czegoś się znajdujesz, tym gorzej to wygląda. Gdyby wziąć najpiękniejszą osobę w Układzie Słonecznym



i powiększyć w dostatecznym stopniu, zmieniłaby się w apokaliptyczny krajobraz pełen kraterów i pełzających koszarów. Tym właśnie była Ziemia. Błyszczącym klejnotem, gdy oglądało się ją z kosmosu, a z bliska była zniszczonym krajobrazem, pokrytym roztoczami pożerającymi umierających.

– Jeden do Nowego Jorku – powiedział w automatycznej kasie biletowej.

\* \* \*

Przelot na Ziemię był na tyle krótki, że nikt nie próbował żadnych wymuszeń, co było miłe. Sam lot był nierówny i przyprawiał o mdłości, co zdecydowanie miłe nie było. Przestrzeń kosmiczna może i była dużą, pełną promieniowania pustką, która mogła zabić w ułamku sekundy, jeśli było się nieuważnym, ale przynajmniej nie było w niej turbulencji. Prom nie miał żadnych okien, ale z przodu kabiny zainstalowano duży ekran pokazujący lot przez zamontowane z przodu zewnętrzne kamery. Nowy Jork urósł z szarej plamy w widoczne miasto. Port kosmiczny na sztucznej wyspie na południe od Staten Island zmienił się ze srebrnego znaczka pocztowego w olbrzymią sieć platform lądowisk, otoczonych przez Ocean Atlantycki tuż za wejściem do zatoki dolnego Nowego Jorku. Drobne zabawkowe stateczki wielkości odpowiadającej dziecięcej wannie rozrosły się do potężnych, zasilanych energią słoneczną frachtowców pełzających we wszystkie strony przez oceany. Wszystko

widoczne podczas lotu w dół było czyste i eleganckie technologicznie.

Co też było kłamstwem.

Do czasu, gdy prom wylądował, był gotów zanurzyć się w miejski brud choćby po to, żeby zobaczyć coś szczerze przyznającego się do swojej natury. Kiedy wstał w pełnym ciężeniu Ziemi, by wyjść z promu, chciał poczuć się niewłaściwie, przytłaczająco po tych wszystkich latach z dala stąd, ale tak naprawdę coś głęboko w nim, może na poziomie genetycznym, skakało z radości. Jego przodkowie spędzili kilka miliardów lat, rozwijając struktury wewnętrzne przy stałym ciężeniu jednego g, więc jego organizm odetchnął z ulgą na zdumiewającą *słuszność* tego ciężenia.

– Dziękujemy za lot naszymi liniami – powiedziała z ekranu przy wyjściu przyjemnie pozbawiona charakteru twarz. Głos także starannie dobrano, by nie miał żadnych regionalnych akcentów ani brzmienia określonej płci. – Mamy nadzieję wkrótce znowu pana zobaczyć.

– Pieprz się – odpowiedział do ekranu z uśmiechem.

– Dziękuję panu – odparła twarz, zdając się patrzeć mu w oczy. – TransWorld Interplanetary bardzo poważnie traktuje pańskie komentarze i uwagi.

Krótką jazdą tunelem z lądowiska do terminalu przylotów doprowadziła go do kolejki przed stanowiskami celników i już wkrótce mógł wkroczyć na teren Nowego Jorku i oficjalnie chodzić po Ziemi po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat. Terminal przylotów

śmierdział z powodu obecności zbyt wielu ludzkich ciał stłoczonych na zbyt małej przestrzeni, jednak pod tym wszystkim wyczuwał nie całkiem nieprzyjemną woń gnijących wodorostów i soli. Zapach oceanu był wszechobecny. Zapachowe przypomnienie dla wszystkich przechodzących przez wyspę Ellis ery kosmicznej, że Ziemia jest absolutnie unikalnym miejscem dla rasy ludzkiej. Kolebką wszystkiego. Słona woda płynąca w żyłach ich wszystkich pierwotnie pochodziła z tych samych oceanów, które teraz szumiały tuż za ścianami budynku. Morza były tu dłużej niż ludzie, pomogły ich stworzyć, a gdy wszyscy zginą, bez chwili namysłu z powrotem przyjmą ich wodę.

Przynajmniej to nie było kłamstwem.

– Dokumenty obywatelstwa, gildii lub związku – powiedział urzędnik o znudzonym siedzący w budce celnika.

Wyglądało na to, że to jedyna praca w budynku, której nie przejęły roboty. Komputery można było zaprogramować do wszystkiego, poza wyczuciem, czy ktoś nie planuje czegoś nieprzyjemnego. Amos nie miał wątpliwości, że był teraz w polu widzenia skanera analizującego jego ciało, mierzącego puls, wilgotność skóry i szybkość oddechów, ale wszystkie te parametry można było oszukać z pomocą farmaceutyków lub szkolenia. Człowiek za ladą szukał czegoś, co wydawało się niewłaściwe.

Amos się do niego uśmiechnął.

– Jasne – powiedział i wywołał na terminalu dokumenty obywatelstwa ONZ, które zostały odczytane przez komputer urzędnika i porównane z bazą danych.

Urzędnik odczytał informacje z ekranu z twarzą niezdradzającą niczego. Amos nie był w domu od prawie trzech dziesięcioleci. Czekał na skierowanie do kolejki dodatkowej kontroli bezpieczeństwa. Nie byłby to pierwszy raz, gdy ktoś dokładnie go obmaca.

– W porządku – rzucił celnik. – Życzę miłego pobytu.

– Miłego dnia – odpowiedział Amos, nie do końca potrafiąc ukryć wyraz zaskoczenia na twarzy.

Celnik machnął na niego niecierpliwie, żeby zwolnił miejsce dla następnej osoby, która w tym samym czasie głośno odchrząknęła.

Amos wzruszył ramionami i przekroczył żółtą linię na podłodze, formalnie oddzielającą Ziemię od reszty wszechświata.

– Amos Burton? – zapytał ktoś. Starsza kobieta w niezbyt drogim szarym kostiumie. Był to rodzaj stroju noszony przez urzędników średniego szczebla i policjantów, więc nie zdziwił się, słysząc jej następne słowa. – Proszę z nami.

Uśmiechnął się do niej i rozważył swoje opcje. Wokół siebie zobaczył sześciu policjantów w pancerzach taktycznych, noszonych przez oddziały uderzeniowe. Trzech miało wyciągnięte tasery, pozostali trzej pistolety automatyczne. Cóż, przynajmniej traktowali go poważnie. W zasadzie mu to schlebiało.

Amos uniósł ręce nad głowę.

– Poddaję się, szeryfie. O co jestem oskarżony?

Oficer w cywilnym ubraniu nie odpowiedziała, a dwóch członków oddziału taktycznego ściągnęło mu ręce za plecy i skuło go.

– Zastanawiam się – powiedział Amos – bo właśnie tu przyleciałem. Wszelkie przestępstwa, jakie zamierzam popełnić, są na razie czysto teoretyczne.

– Cicho – rzuciła kobieta. – Nie jest pan aresztowany. Przejdziemy się.

– A jeśli nie będę chciał?

– Wtedy pana aresztujemy.

\* \* \*

Komisariat policji lotniskowej był praktycznie identyczny jak każdy inny komisariat, na którym Amosowi zdarzało się spędzać czas. Czasami ściany miały kolor przemysłowo brązowy, czasami urzędowo zielony, ale betonowe ściany i szklane fronty wychodzące na zatłoczone pomieszczenia z biurkami były równie wygodne na Ceres, jak tu, na Ziemi. Taki sam był nawet zapach przypalonej kawy.

Policjantka w cywilnych ciuchach przeprowadziła go za oficera dyżurnego z kiwnięciem głowy i doprowadziła go do małego pomieszczenia nieprzypominającego pokojów przesłuchań, do których był przyzwyczajony. Poza stołem i czterema krzesłami umieszczono tu jeszcze tylko wielki ekran zajmujący większość jednej ze ścian. Kobieta posadziła go na krześle naprzeciw ekranu, a potem wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– Hm – rzucił Amos, zastanawiając się, czy to jakaś nowa technika przesłuchań policji. Odchylił się na oparcie krzesła, żeby usiąść wygodniej i może zdrzemnąć się chwilę po nieprzyjemnym locie z Luny.

– Co to ma być? Drzemka? Niech ktoś go, do cholery, obudzi – zabrzmiał znajomy głos.

Na ekranie pojawiła się twarz Chrisjen Avasarali, cztery razy większa niż w rzeczywistości, patrzyła na niego z góry.

– Albo nie mam żadnych kłopotów, albo mam ich całe góry – odpowiedział Amos z krzywym uśmiechem. – Jak leci, Chrissie?

– Ciebie też miło widzieć. Nazwij mnie tak jeszcze raz, a każę policji pobić cię łagodnie pałką elektryczną – rzuciła Avasarala, choć Amos miał wrażenie, że widzi ślad uśmiechu na jej twarzy.

– Oczywiście, pani nadsekretnarz. To rozmowa towarzyska czy...?

– Dlaczego – zapytała Avasarala całkowicie poważnie – jesteś na Ziemi?

– Przyleciałem złożyć wyrazy szacunku zmarłej przyjaciółce. Zapomniałem wypełnić jakiś formularz czy coś?

– Komu? Kto zmarł?

– Nie twój pieprzony interes – odpowiedział Amos z udawaną uprzejmością.

– Nie wysłał cię Holden?

– Nie – zapewnił Amos, czując, że złość zaczyna mu rozgrzewać wnętrzności jak szklaneczka dobrej whisky.

Sprawdził wytrzymałość kajdanek, oceniając swoją szansę na uwolnienie się z nich. Albo przebicie się przez salę pełną gliniarzy. Podświadomie się uśmiechnął.

– Jeśli przyleciałeś tu z powodu Murtry’ego, nie ma go teraz na Ziemi – oświadczyła Avasarala. – Twierdzi, że pobijeś go prawie na śmierć w służbie *Rosynanta* podczas lotu z powrotem. Chcesz to dokończyć?

– Murtry uderzył pierwszy, więc technicznie rzecz biorąc, to była samoobrona. I nie sądzisz, że gdybym chciał jego śmierci, to by zginął? Przecież nie przestałem go bić, bo się zmęczyłem.

– W takim razie o co chodzi? Jeśli masz dla mnie wiadomość od Holdena, wyduś ją z siebie. Jeśli Holden przesyła wiadomość dla kogoś innego, natychmiast powiedz mi, do kogo i co.

– Holden do niczego mnie nie wysłał – burknął Amos.  
– Czy ja się powtarzam? Bo mam wrażenie, jakbym się powtarzał.

– On... – zaczęła Avasarala, ale Amos jej uciął.

– On jest kapitanem statku, na którym latam, ale nie kieruje moim pieprzonym życiem. Mam coś osobistego do zrobienia i po to tu przyleciałem. A teraz albo mnie za coś wsadź, albo mnie wypuść.

Amos nawet nie zdawał sobie sprawy, że Avasarala nachyliła się do przodu na fotelu, dopóki nie odchyliła się z powrotem do tyłu. Wypuściła powietrze w sposób, który zmienił się w westchnięcie.

– Mówisz kurewsko poważnie, prawda?

– Nie jestem znany z poczucia humoru.

– W porządku. Ale chyba rozumiesz mój niepokój.

– Że Holden coś kombinuje? Spotkałaś go kiedyś? On przez całe życie nigdy niczego nie zrobił w tajemnicy.

Avasarala się roześmiała.

– Prawda. Ale jeśli wysyła na Ziemię swojego najemnego zabójcę, musimy...

– Chwila, co?

– Jeśli Holden...

– Zapomnij o Holdenie. Nazwałaś mnie jego najemnym zabójcą. Tak właśnie o mnie myślicie? Zabójca na usługach Holdena?

Avasarala zmarszczyła brwi.

– A nie?

– No cóż, głównie jestem mechanikiem. Ale myśl, że ONZ ma gdzieś na mnie teczkę, w której napisano, że jestem zabójcą z *Rosynanta* – to w zasadzie zajebiste.

– Wiesz, kiedy słyszę, jak to mówisz, wcale mnie nie przekonujesz, że się mylimy.

– No dobrze. – Amos wzruszył ramionami jak Ziemianin, wciąż mając ręce skute za plecami. – Skończyliśmy?

– Prawie – potwierdziła Avasarala. – Jak wyglądali inni, gdy odlatywałeś? Dobrze?

– Ros został cholernie poobijany podczas tej sprawy z Ilusem. Ale z załogą wszystko w porządku. Aleks spróbuje spotkać się ze swoją byłą, a kapitan i Naomi nadal regularnie się o siebie trą. W zasadzie wszystko po staremu.

– Aleks jest na Marsie?



– Tam mieszka jego była. Zakładam, że tam właśnie poleciał, ale ostatnio widzieliśmy się na Tycho.

– To ciekawe – skomentowała Avasarala. – Choć nie ta część ze spotkaniem z byłą żoną. Każdy, kto tego próbuje, zachowuje się jak dupek.

– No nie?

– Cóż – rzuciła Avasarala, a potem spojrzała gdzieś poza ekran. Uśmiechnęła się i przyjęła parującą filiżankę od jakiejś bezcielesnej ręki, a potem upiła łyk i westchnęła z przyjemnością. – Dziękuję za spotkanie, panie Burton.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Pamiętaj proszę, że moje nazwisko jest teraz dość ściśle powiązane z *Rosynantem*, kapitanem Holdenem i jego załogą.

– I co? – zapytał Amos, znowu wzruszając ramionami.

– I to – odparła Avasarala, po czym odstawiła parującą filiżankę i znowu nachyliła się w stronę kamery. – Jeśli zamierzasz zrobić coś, co potem będę musiała tuszować, doceniłabym, gdybyś najpierw zadzwonił.

– Masz to jak w banku, Chrissie.

– Poważnie. Skończ z tym, do cholery.

Ekran zgasł, a po chwili do środka weszła ta sama kobieta, która zatrzymała go w porcie. Amos wskazał głową w stronę ekranu.

– Ona chyba mnie lubi.

\* \* \*

Widok Nowego Jorku z poziomu ulicy nie różnił się zbyt od ulic Baltimore, gdzie Amos dorastał. Dużo

wysokich budynków, sporo automatycznego ruchu ulicznego, mnóstwo ludzi podzielonych na dwie odrębne kategorie: tacy, którzy gdzieś się śpieszyli, i ci, którzy krążyli bez celu. Zatrudnieni maszerowali szybkim krokiem z transportu publicznego do budynków biurowych i z powrotem w porze zmiany. Kupowali różne rzeczy od ulicznych sprzedawców, a oznaką ich statusu był sam fakt posiadania pieniędzy. Ci na podstawowym utrzymaniu dryfowali i prowadzili handel wymienny, żyli z nadmiaru generowanego przez produktywnych, dodając do niego, gdzie mogli, szarą strefę ekonomiczną o skali zbyt małej, by zauważał ją rząd.

Między nimi wszystkimi dryfowała jeszcze trzecia grupa, niewidoczna dla nikogo spoza ich świata. Żyjący w szczelinach. Złodzieje szukający łatwego łupu. Dilerzy i oszuści, prostytutki z każdego przedziału wiekowego i wszystkich możliwych orientacji seksualnych i zakresu płci. Ludzie, do których kiedyś należał Amos. Stojący na rogu diler zobaczył, że mu się przygląda i zmarszczył brwi, widząc w Amosie kogoś swego pokroju, choć go nie rozpoznał. To nie miało znaczenia. Nie zostanie w mieście dość długo, by trafić na kogoś, kto będzie się domagał informacji, gdzie jest jego miejsce w ich ekosystemie.

Po kilku godzinach chodzenia i przyzwyczajania się do ciężenia i betonu pod stopami, Amos zatrzymał się w losowo wybranym hotelu i wynajął pokój. Jedno się dla niego zmieniło: pieniądze. Latanie na *Rosynancie*, pomimo wszystkich niebezpieczeństw i dramatyzmu,

okazało się całkiem dochodowe. Dzięki sprzedanym udziałom Amos nie musiał się martwić o cenę hotelu, po prostu poprosił o pokój i polecił swojemu terminalowi zapłacenie kwoty zażądanej przez hotel.

W pokoju wziął długi prysznic. Z łazienkowego lustra podczas szczotkowania zębów i golenia krótkiej szczeciny na głowie patrzyła na niego twarz Lydii. Oczyszczanie się miało w sobie coś z rytuału. Coś w rodzaju przygotowań kapłana przed przeprowadzeniem świętego obrzędu.

Kiedy skończył, usiadł nago na środku dużego łóżka w pokoju i wyszukał klepsydrę Lydii.

LYDIA MAALOUF ALLEN, ZMARŁA W ŚRODĘ, 14 KWIETNIA W...

Allen. Nie znał tego nazwiska. Jako przydomek nie było zbyt dobre, bo zawsze znał ją jako Lydię Maalouf. Czyli nie przydomek. Nazwisko męża? Ciekawe.

ZOSTAWIŁA MĘŻA, Z KTÓRYM POZOSTAWAŁA W ZWIĄZKU JEDENAŚCIE LAT, CHARLESA JACOBA ALLENA...

Ponad dziesięć lat po jego odejściu Lydia wyszła za mąż za mężczyznę imieniem Charles. Amos obmacał tę myśl, jakby obmacywał palcem ranę, sprawdzając, czy jest zakażona. Żeby sprawdzić, czy boli. Jediną reakcją była ciekawość.

ODESZŁA W POKOJU W SWOIM DOMU W FILADELFI, Z CHARLESEM U BOKU...

Czyli Charles był ostatnim, który widział ją żywą, a więc pierwszą osobą, którą musiał znaleźć Amos. Po kilkakrotnym przeczytaniu całej klepsydry zalogował się

na stronę transportu publicznego i kupił bilet na ten wieczór na szybki pociąg do Filadelfii. A potem położył się na łóżku i zamknął oczy. Był dziwnie podniecony ideą spotkania męża Lydii. Jakby jej rodzina była też jego rodziną, a Charles był kimś, kogo powinien był znać od zawsze, choć dopiero teraz spotka go pierwszy raz. Sen nie chciał przyjść, ale miękkie łóżko rozluźniło mięśnie spięte na plecach i przynajmniej pozbył się resztek mdłości po locie promem. Jego droga wydawała się jasna.

Jeśli Lydia rzeczywiście zmarła spokojnie we własnym łóżku z kochającym mężem przy boku, to spotka się z nim. Zobaczy dom, w którym mieszkała. Położy kwiaty na jej grobie i pożegna się z nią. Jeśli nie, kogoś zabije. Żadna z tych możliwości nie podniecała go bardziej niż druga. Obie były dobre.

Usnął.

## Rozdział ósmy

### Holden

Holden przewinął nagranie i obejrzał je ponownie. Statek, brzydka metalowa skrzynia z dodatkowymi kontenerami zamocowanymi do boków, nasuwał mu skojarzenia z wozami ze starych westernów, obładowanymi zapasami. Co nie było bardzo odległe od prawdy. Zarejestrowany na kapitana Erika Khana z Pallas frachtowiec *Rabia Balkhi* był pełen towarów i ludzi lecących na granicę, by zgarnąć ziemię. Może mieli mniej koni, ale za to więcej reaktorów fuzyjnych.

Statek znowu przeleciał przez wrota, obraz zamigotał i skoczył, a *Balkhi* zniknął.

– I co? – zapytała Monika głosem pełnym przejęcia. – Co o tym myślisz?

Podrapał się po rękę, próbując zdecydować, jak brzmi jego odpowiedź.

– Jest milion powodów, dla których taki stary grat jak ten może tam zniknąć – powiedział. – Utrata pola magnetycznego, utrata ciśnienia atmosferycznego, zderzenie ze śmieciami. Szlag, może nawet po prostu

siadło im radio i żyją sobie wygodnie na nowej planecie, mając nadzieję, że ktoś przyleci i sprawdzi, co u nich.

– Może – zgodziła się Monika, kiwając głową. – Gdyby to był jedyny taki przypadek. Ale w ciągu ostatniego roku przez wrota do nowych układów słonecznych przeleciało czterysta trzydzieści siedem statków. A trzynaście z nich zniknęło. Puf! – Rozłożyła palce, imitując wybuch.

Holden dokonał obliczeń w głowie. Uzyskał wartość rzędu trzech procent strat. Kiedy jeszcze służył we flocie, budżet dopuszczał około pół procenta strat z powodu awarii mechanicznych, zderzeń z asteroidami, sabotażu lub wrogich działań. Ta wartość była sześciokrotnie wyższa.

– Hm – rzucił. – Wydaje się to dużą wartością dla statków, które dały radę lecieć przez półtora roku w drodze do Pierścienia.

– Zgadzam się. Zdecydowanie za dużą. Gdyby statki tak często wybuchały bez wyjaśnienia, nikt by nimi nie latał.

– No dobrze – powiedział Holden, a potem urwał, żeby zamówić jeszcze jednego drinka z menu stołu. Miał wrażenie, że będzie go potrzebował. – Czy ktoś o tym rozmawia? Kto zbiera te liczby?

– Nikt! – oznajmiła Monika triumfalnie. – W tym właśnie rzecz. Nikt tego nie pilnuje. Z naszego układu wylatują tysiące statków, lecą w stronę wrót. Należą do obywateli trzech rządów, a także do ludzi, którzy nie uznają się za obywateli *żadnego* państwa, nie podlegają żadnemu rządowi. Większość tych ludzi nigdy nie

zgłosiła planu lotu, po prostu wrzucili walizki na byle jaki statek i polecili w stronę nowych światów.

– Chyba zwykle tak wyglądają próby zajęcia nowych terenów.

– Lecą więc sobie, samotnie lub grupami, a wszyscy z zamiarem trafienia jako pierwsi w nowe miejsca. Tylko że coś ich zatrzymuje. Sprawia, że znikają. A przynajmniej niektórzy z nich.

– Ewidentnie – odezwał się Holden – masz jakąś teorię.

– Myślę, że to protomolekuła.

Holden westchnął i potarł twarz dłońmi. Pojawił się jego drink, przez minutę go popijał. Jego usta wypełniło zimno lodu i ostrość ginu. Monika patrzyła na niego, prawie podskakując z niecierpliwości.

– Nie, to nie protomolekuła – odpowiedział w końcu. – Jej już nie ma. Zginęła. Ostatni węzeł przetwarzania wystrzeliłem w gwiazdę.

– Skąd wiesz? Nawet gdyby był to ostatni element broni budującej pierścienie, to wiemy, że jej twórcy zrobili to wszystko protomolekularnymi narzędziami. I co innego mogłoby to być? Czytałam raporty. Te wszystkie roboty i rzeczy, które obudziły się na Ilusie? To protomolekuła atakuje nas za zabieranie jej rzeczy.

– Nie, wcale nie – zaprotestował Holden. – Wcale nie to się tam stało. Nieświadomie sprowadziłem tam ze sobą ognisko pierwotnego zakażenia, które wciąż próbowało się połączyć z tym, co ją do nas wysłało. A przy okazji obudziło całe mnóstwo rzeczy. Zniszczyliśmy to i wiesz,

posłaliśmy do gwiazdy, żeby nic takiego się już nie powtórzyło.

– Jak możesz być taki pewny?

Przy barze sushi jeden z kucharzy coś oznajmił, a kilka osób w pobliżu zaczęło bić brawo. Holden głęboko wciągnął powietrze i wypuścił je powoli przez zęby.

– Chyba nie mogę. Jak można dowieść nieistnienie?

– Znam sposób, w jaki może się da – powiedziała Monika. Wyraz jej twarzy nasunął Holdenowi myśl, że to, co zamierza powiedzieć, może być właśnie zasadniczym powodem ich rozmowy. Przypominało to obserwowanie kota, który zasadza się na kawał mięsa. – Fred Johnson wciąż ma coś, co może być ostatnią istniejącą próbką protomolekuły. Tę, którą zabrałeś z tajnego statku Mao-Kwikowski.

– Tę, którą... hej, skąd to wiesz? – zapytał Holden. – I kto jeszcze o tym wie?

– Nie ujawniam swoich źródeł, ale uważam, że powinniśmy ją zdobyć i zobaczyć, czy zdołamy ją obudzić. Ściągnąć z powrotem twojego ducha Millera i dowiedzieć się, czy to protomolekuła używa wrót do niszczenia naszych statków.

W głowie Holdena zderzyło się kilka różnych odpowiedzi, od *to najgorszy pomysł, o jakim słyszałem do czy ty w ogóle słuchasz własnych słów?* Potrzebował kilku sekund na wyłonienie zwycięzcy.

– Chcesz, żebym wywołał ducha?

– Nie nazwałabym tego...

– Nie – oznajmił Holden. – Po prostu nie.



– Nie mogę tego zostawić. Jeśli nie pomożesz...

– Nie mówiłem, że nie pomogę. Powiedziałem, że nie zamierzam nawiązywać połączenia z kawałkiem morderczej, obcej mazi w nadziei, że zaczniesz mi opowiadać stare policyjne historie. Nie chcemy tego ruszać. Powinniśmy to zostawić w spokoju.

Twarz Moniki wyrażała otwartość i zainteresowanie. Nawet gdyby wiedział, czego szukać, nie zobaczyłby na niej irytacji i rozczarowania.

– To co w takim razie? – zapytała.

– Znasz stary dowcip o odgłosach kopyt, prawda?

– Chyba nie.

– To długa historia, ale puenta jest taka, że gdy słyszysz w oddali tętent kopyt, to najpierw przychodzą ci na myśl konie, nie zebry. A ty słyszysz tętent kopyt i twoje myśli skaczą od razu do jednorożców.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że zanim zaczniemy polować na jednorożce, powinniśmy najpierw zobaczyć, czy nie znajdziemy jakichś koni albo zebr.

\* \* \*

Nowa intrygująca tajemnica nie oznaczała, że Holden przestał zajmować się dotychczasową pracą, ale dała mu coś, na czym mógł skupić myśli, zamiast ciągle myśleć o braku Naomi. I Amosa. Oraz Aleksa. Ale głównie Naomi. Wędrując wzdłuż odsłoniętych wręg na boku *Rosynanta* z palnikiem plazmowym w dłoni w poszukiwaniu pęknięć, zastanawiał się, co mogło się dzieć ze

znikającymi statkami. Monika miała rację, liczba zaginięć była zbyt duża, by przypisać ją losowym awariom. Jednak nawet odrzucając jej teorię protomolekularnego jednorożca, istniało sporo innych możliwości. Z drugiej strony Holden przestał wierzyć w przypadki mniej więcej wtedy, gdy zaczął spędzać czas z detektywem Millerem. A drugą, równocześnie dziejącą się sprawą był fakt, że radykalne frakcje SPZ zaczęły atakować tereny należące do planet wewnętrznych, takie jak Kallisto. A nawet Ziemię.

Bojowa frakcja SPZ była aktywnym przeciwnikiem kolonizacji, a teraz statki kolonijne pełne ludzi zaczęły znikać bez śladu. Na dodatek stacja Medyna – wcześniej *Behemot*, wcześniej *Nauvoo*, znajdująca się w centrum wszystkich wrót pierścieni – pozostawała pod całkowitą kontrolą SPZ. Wyjaśnienie nasuwało się samo, nawet jeśli nie istniały żadne dowody, które by je potwierdzały.

W tym scenariuszu statki byłyby atakowane przez pirackie załogi SPZ, obrabiane z zasobów, a koloniści... wyrzucani w próżnię? Ponura wizja, gdyby była prawdziwa, a jednak wciąż nie najgorsza z rzeczy, które robili sobie wzajemnie ludzie. Tylko że wtedy zostawałyby statki. Statki by zatrzymali, ale wtedy musieliby sprawić, że znikają. To oznaczało zmianę kodów transponderów. Fakt, że *Rosynant* nie nazywał się już *Tachi*, był najlepszym dowodem na to, że SPZ potrafiło to robić.

– Sakai – odezwał się Holden, podbródkiem zmieniając częstotliwość na prywatny kanał dzielony z głównym

inżynierem. – Hej, jesteś gdzieś w okolicy?

– Jakiś problem? – odpowiedział zapytany tonem sugerującym wyzwanie.

Holden nauczył się już nie traktować tego jak obrazy. Niecierpliwość była domyślnym stanem Sakai.

– Bardziej zagadka.

– Nie znoszę zagadek – rzucił Sakai.

– Powiedzmy, że próbujesz odkryć, czy ktoś ukradł trochę statków i zmienił ich kody transponderów. Jak znalazłbyś te statki, gdybyś musiał się za to zabrać?

Inżynier sapnął z namysłem.

– Nie szukam zaginionych statków – odpowiedział po chwili. – Szukam nowych, które pojawiają się znikąd.

– Świetnie. To – powiedział Holden – bardzo dobra odpowiedź. Dzięki.

Zatrzymał się przy pękniętym spawie między kadłubem wewnętrznym a wręgami statku i zaczął go korygować palnikiem. Jego przyłbica pociemniała, zmieniając świat w czarną głębię z tylko jednym punktem światła. Pracując, zastanawiał się, w jaki sposób można by wysledzić magicznie pojawiające się statki. Publiczny rejestr jednostek był dobrym punktem wyjścia, ale próba zrobienia tego ręcznie skończyłaby się utonięciem w danych. Gdyby Naomi tu była, niewątpliwie potrafiłaby napisać program do znalezienia tego, czego szukał w ciągu dziesięciu minut na ręcznym terminalu. On sam niestety nie potrafił programować, ale Fred zatrudniał programistów, i gdyby...

– Dlaczego? – zapytał Sakai.

Od czasu ostatniej wypowiedzi inżyniera minęło tyle czasu, że Holden potrzebował chwili na przypomnienie sobie kontekstu pytania.

– Co dlaczego? Dlaczego chcę wiedzieć, jak znaleźć zaginione statki?

– Właśnie.

– Mam taką znajomą reporterkę, która bada sprawę zaginionych jednostek. Obiecałem jej pomóc. I właśnie próbuję wymyślić sposób, w jaki mógłbym to zrobić.

– Stuart – rzucił Sakai. Było to w połowie stwierdzenie, w połowie pytanie. – Słyszałem, że jest na stacji.

– Tak, moja stara znajoma Monika. Tak naprawdę uważam, że poluje na jednorożce, ale obiecałem pomóc. I muszę się zająć czymś innym niż tylko siedzenie w samotności i uzalanie się nad sobą.

– No tak – powiedział Sakai, a po dłuższej chwili dodał.

– Czyli sytuacja jeszcze nie jest tak dziwna, żebyś uwierzył w jednorożce?

\* \* \*

Na domowej konsoli mrugała kontrolka wiadomości wideo. Holden ze wszystkich sił próbował nie mieć nadziei, że to od Naomi, ale i tak poczuł olbrzymie rozczarowanie, gdy na ekranie pojawiła się okrągła twarz Aleksa.

– Cześć, szefie – powiedział pilot. – Ta sprawa, gdzie spotykam się z moją byłą żoną i robimy łzawe pojednanie? To była totalna porażka. Pewnie powinienem był trochę lepiej to przemyśleć. Ale zanim

odlecę, planuję się spotkać z Bobbie, więc mam się na co cieszyć. Jak mój statek? Szykujecie go i zdobicie na mój powrót? Zgłoszę się znowu, gdy tylko będę mógł. Rozłączam się.

Holden prawie zaczął odpowiedź od pytania o szczegóły sytuacji z byłą żoną, ale cichy głos Naomi w głębi jego głowy powiedział *nie bądź wścibski*, więc odpowiedział inaczej.

– Dzięki za wiadomość. Pozdrów serdecznie Bobbie. Ros będzie naprawiany jeszcze całe miesiące, więc nie musisz się śpieszyć.

Siedział przez minutę, próbując wymyślić jeszcze coś sensownego do powiedzenia, a potem po prostu skasował ciszę na końcu wiadomości i wysłał ją. Dziwne, jak człowiek mógł być tak niezwykle ważny w czyimś życiu, a jednak nie miało mu się nic do powiedzenia, gdy nie przebywało się w tym samym miejscu. Normalnie rozmawiałby z Aleksem o statku, o pozostałej dwójce członków załogi, o pracy. Gdy wszyscy się rozdzielili, a Ros tkwił w suchym doku, nie zostało wiele do powiedzenia przy zachowaniu prywatności. Myślenie o tym zaczęło wyglądać na początki długiej mrocznej drogi do gorzkiej samotności, więc postanowił zamiast tego zająć się śledztwem.

Prawie pożałował, że nie ma kapelusza.

\* \* \*

– Już z powrotem? – przywitał go Fred, gdy Holden został wpuszczony do jego biura przez jednego

z pracowników SPZ. – Wiem, że moja kawa jest świetna, ale...

Holden siadł na krześle i przeciągnął się, podczas gdy Fred zajął się ekspresem do kawy.

– Na Tycho jest Monika Stuart.

– Owszem. Myślisz, że ktoś taki może wylądować na tej stacji bez mojej wiedzy?

– Nie – przyznał Holden. – Ale czy znasz powód jej przylotu?

Ekspres do kawy zaczął syczeć, wypełniając biuro bogatym, gorzkim aromatem. Podczas gdy kawa się parzyła, Fred nachylił się nad biurkiem, stukając w terminal.

– Coś w związku z zaginionymi statkami, tak? Przynajmniej tak twierdzi nasz wywiad.

– Czy wasi ludzie się temu przyglądali?

– Szczerze? Nie. Słyszałem jakieś pogłoski, ale jesteśmy tu przysypani. W stronę wrót leci prawie każdy statek z działającym silnikiem Epsteina. Mamy ręce pełne roboty, pilnując, żeby na siebie nie wpadały, gdy przelatują przez pierścienie. Większość kieruje się do niezbadanych systemów bez innych statków albo stacji. Jeśli niektóre się potem nie zgłaszają, to wydaje się, że dzieje się coś oczywistego.

Holden z wdzięcznością przyjął od Freda dymiący kubek i wypił łyk. Kawa staruszka nie rozczarowywała.

– Rozumiem – powiedział po kolejnym łyku. – I uważam, że jej teoria jest trochę naciągana, ale to jedna

z tych rzeczy, które zaczną się robić popularne wśród ludzi, jeśli nie znajdziemy najpierw lepszej odpowiedzi.

– Ona ma już jakąś teorię?

– Uważa, że to protomolekuła. Jej punktem danych są roboty i sprzęt, który obudził się na Ilusie.

– Powiedziałaś mi, że to było coś jednorazowego – odpowiedział Fred, marszcząc się nad swoją kawą. Kiedy znowu się odezwał, jego słowa zdmuchnęły parę, niczym smużki smoczego ognia. – Miller wrócił?

– Nie, nie wrócił. Na ile wiem, w całym wszechświecie nie istnieje żadna aktywna kultura protomolekuły. Ale...

– Ale ja mam nieaktywną próbkę od ciebie.

– Właśnie, a Monika w jakiś sposób się o niej dowiedziała.

Po tych słowach zmarszczki na czole Freda się pogłębiły.

– Mam gdzieś przeciek.

– Owszem, zdecydowanie, ale nie to mnie martwi.

Brwi Freda powędrowały do góry w niewypowiedzianym pytaniu.

– Monika – kontynuował Holden – uznała, że powinniśmy wyciągnąć tę maź i użyć jej w charakterze planszy Ouija do przywołania ducha Millera.

– Ale to głupie – zaprotestował Fred.

– No nie? Uważam więc, że powinniśmy najpierw wyczerpać wszystkie możliwości, zanim przejdziemy do grzebania przy wirusach obcych.

– Pewnie na wszystko jest pierwszy raz – skomentował Fred, tylko nieznacznie przyprawiając swe słowa

sarkazmem. – Masz alternatywne teorie?

– Owszem – potwierdził Holden – ale ci się nie spodobają.

– Mam też bourbona, jeśli ta operacja wymaga znieczulenia.

– Może do tego dojdziemy – zgodził się Holden, a potem wypił resztę kawy, żeby dać sobie trochę czasu. Niezależnie od tego, na ile Fred postarzał się w ciągu ostatnich pięciu lat, Holden wciąż czuł przed nim pewien lęk. Trudno było mu poruszać temat, który mógł obrazić Freda.

– Jeszcze? – zapytał Fred, wskazując pusty kubek.

Holden odmówił, kręcąc głową.

– No więc jest ta radykalna, ekstremistyczna frakcja SPZ, o której wspominałeś – powiedział.

– Nie sądzę...

– Dokonali przynajmniej dwóch publicznych ataków. Jeden na posiadłości Marsa, jeden na samą Ziemię.

– Oba były nieudane.

– Może – odpowiedział Holden. – Ale zakładamy, że znamy ich cele, a to wydaje się złe założenie. Może wysadzenie sporego kawałka marsjańskiej stoczni i zmuszenie floty ONZ pilnującej domu do wystrzelenia paru rakiet w antyczny frachtowiec było dla nich sukcesem.

– No dobrze. – Fred niechętnie kiwnął głową. – Możesz mieć rację.

– Ale jest tu jeszcze trzecia możliwość. Jasne, radykaliści uważają, że Ziemia i Mars porzucą ich, gdy



tylko zostaną skolonizowane nowe światy, ale to oznacza, że częścią problemu są sami koloniści.

– Zgadza się.

– A więc co by było, gdyby to radykalne skrzydło SPZ uznało, że oprócz niszczenia własności planet wewnętrznych mogą wysłać wiadomość, niszcząc część statków kolonizacyjnych?

– No cóż – odpowiedział powoli Fred, jakby jeszcze zastanawiał się nad odpowiedzią – podstawowy problem, biorąc pod uwagę to założenie, to lokalizacja ataków.

– Bo dochodzi do nich po drugiej stronie wrót.

– Dokładnie – potwierdził Fred. – Gdyby statki były wysadzane podczas przelotu przez Pas, to byłoby jedno, ale po drugiej stronie wrót? Kto ma tam dostęp? Chyba że twoim zdaniem na statkach dochodzi do jakiegoś sabotażu. Bomba z bardzo długim opóźnieniem zapalnika?

– Jest jeszcze jedna alternatywa – zasugerował Holden.

– Nie, nie ma – odpowiedział Fred, przewidując jego następny argument.

– Słuchaj, Fred, wiem, że nie chcesz myśleć o tym, że możesz mieć na Medynie ludzi działających przeciw tobie. Może fałszujących rejestry. Wyłączających czujniki, gdy dzieją się rzeczy, których nikt nie powinien zobaczyć. I rozumiem, dlaczego byłoby to trudne do przełknięcia.

– Medyna jest kluczowa dla naszych długoterminowych planów – przypomniał Fred głosem twardym jak stal. – Umieściłem na tej stacji wszystkich swoich najlepszych i najbardziej lojalnych ludzi. Jeśli

radykaliści mają tam swoją piątą kolumnę, to oznacza to, że nie mogę ufać nikomu w mojej organizacji. Równie dobrze mógłbym się spakować i iść na emeryturę.

– Na Medynie mieszkają tysiące ludzi i wątpię, żebyś mógł osobiście zaręczyć za każdego z nich.

– Nie, ale stacją kierują moi ludzie. Najlojalniejsi, jakich mam. Nie ma mowy, żeby coś takiego mogło się tam dziać bez ich wiedzy i współpracy.

– To przerażająca myśl.

– To by znaczyło, że nie mam stacji Medyna – potwierdził Fred. – Że wąskie gardło całej galaktyki jest kontrolowane przez najgroźniejszą, najbardziej ekstremalną frakcję naszej grupy.

– No dobrze – powiedział Holden – to jak byś się zabrał do sprawdzenia tego?

Fred odchylił się na oparcie fotela, westchnął i posłał Holdenowi smutny uśmiech.

– Wiesz, co myślę? Że jesteś znudzony, samotny i szukasz czegoś, czym mógłbyś się zająć. Nie demontuj organizacji, na której budowanie poświęciłem całe życie, tylko po to, żeby mieć jakieś zajęcie.

– Ale statki znikają. Nawet jeśli nie porywa ich Medyna, robi to coś innego. Nie wiem, jak możemy po prostu to ignorować w nadziei, że problem sam zniknie.

– Napraw swój statek, Jim. Napraw go i zbierz z powrotem załogę. Ta sprawa z ginącymi statkami to nie twój problem.

– Dzięki za kawę – powiedział Holden, wstając do wyjścia.

– Nie zamierzasz tego zostawić, prawda?

– A jak myślisz?

– Myślę – odpowiedział Fred – że jeśli zepsujesz moje rzeczy, będziesz musiał za to zapłacić.

– Przyjąłem – Holden odpowiedział z uśmiechem. – Będę cię informował.

Wychodząc przez drzwi, prawie zobaczył uśmiechniętego Millera, który mówił *widać, że trafiłeś na bardzo ciekawe pytanie, skoro nikt nie chce, żebyś na nie odpowiadał.*

## Rozdział dziewiąty

### Naomi

Dawno, dawno temu była sobie pasiarska dziewczyna, która nazywała się Naomi Nagata, która teraz była kobietą. Choć różnice między nimi powstawały tylko przez dni, godziny i minuty, ich diagramy Venna prawie wcale się nie nakładały. Co tylko dało się odciąć, odcięła lata temu. Reszta pozostała pomimo jej wysiłków. Przeważnie potrafiła obchodzić te pozostałości.

– Miłego pobytu na Ceres – powiedział celnik, przenosząc już spojrzenie na stojącego za nią mężczyznę.

Kiwnęła głową z uprzejmym uśmiechem zza grzywy włosów i weszła w szerokie korytarze portu kosmicznego. Kolejna twarz pośród milionów.

Stacja Ceres była największym miastem Pasa. W wydrążonej asteroidzie o średnicy setek kilometrów mieszkało około sześciu milionów ludzi. Słyszała, że ruch w porcie każdego dnia dodawał do tej liczby nawet milion tymczasowych gości. Przez większość jej życia był to symbol kolonializmu planet wewnętrznych. Wieża wroga na jej rodzimym terenie Pasiarzy.

Poza samym portem korytarze były ciepłe, prawie gorące, ogrzewane ciepłem miasta, uwięzionym w działającej niczym termos próżni kosmosu. Powietrze było gęste od wilgoci, a woń ludzkich ciał i wyschniętego moczu była jak widok uśmiechu starego przyjaciela. Wysokie na trzy metry ekrany krzyczały reklamami biżuterii i modnej odzieży, bił od nich hałas będący tylko jednym z wątków stałej, ogłuszającej symfonii głosów, wózków i maszyn. Publiczny kanał wiadomości pokazywał zdjęcia z walk prowadzonych gdzieś na Ziemi. Kolejny zbuntowany ruch powstańczy lub odwieczny konflikt etniczny domagający się daniny z krwi, ważny tylko dlatego, że działo się na Ziemi. Nawet dla Pasiarzy, którzy od pokoleń uznawali pustkę za swój dom, Ziemia miała duże symboliczne znaczenie. Matka ludzkości z butami twardo zginającymi karki Pasiarzy. Na ekranie jasnoskóry mężczyzna z krwią spływającą pomiędzy włosów unosił w górę książkę. Pewnie świętą księgę. Krzyczał coś ustami wykrzywionymi wściekłością. Gdyby tyle samo ludzi zginęło w Pasie, nie trafiłoby to do wiadomości. Nawet teraz.

Skręciła w stronę kierunku obrotu, szukając budki z jedzeniem serwującej coś apetycznego. Były tam zwykle produkty korporacyjne, takie same na każdej stacji, ale teraz, gdy Ceres kierował SPZ, pojawiły się też inne opcje. Djejet i curry jajeczne, miski z makaronem, czerwone kibble. Jedzenie jej dzieciństwa. Dania Pasiarzy. Kuchnię na *Rosynancie* zaprojektował ktoś z marsjańskiej floty i oferowane przez nią dania były zawsze pożywne,

zwykle smaczne, a niektóre wręcz doskonałe. Ale to nie były jej dania.

Wybrała czerwone kibble z podniszczonej budki oklejonej wieloma warstwami reklam nocnych klubów. Danie podano w brązowym pojemniku z recyklingu, mieszczącym się w jej lewej dłoni, z plastikową łopatką podobną do spłaszczonej łyżki. Pierwszy kęs wypełnił jej usta kuminem, przywołując zakurzone wspomnienia. Na chwilę znowu znalazła się na swojej pryczy na statku Tio Krizteca, skulona nad zapomnianą od lat, a wtedy jej ulubioną ceramiczną miską, jedząc cicho, gdy inni śpiewali w kambuzie. Nie mogła mieć wtedy więcej niż sześć lat, ale wspomnienie było świeże i jaskrawe. Wzięła kolejny kęs, ciesząc się jego smakiem. Zauważyła też śledzącego ją mężczyznę.

Był chudy, nawet jak na miejscowego. Miał brudne, szare włosy, które zwisały mu z tyłu głowy jak złożone skrzydła ptaka. Stał może piętnaście metrów od niej, z umiarkowanym znudzeniem oglądając wiadomości na ekranie. Nie potrafiłaby powiedzieć, co przyciągnęło do niego jej uwagę i wzbudziło pewność, że jest tu z jej powodu. Może coś w niedbałym sposobie, w jaki nie patrzył w jej stronę, albo w kącie, pod jakim stał.

Naomi znowu skręciła w kierunku obrotu, idąc szybko i zmuszając go, by za nią nadażał. Idąc, rozglądała się po otaczającym ją tłumie. Jeśli miała rację, mogli z nim współpracować kolejni ludzie. Bez problemu przemykała się przez szczeliny w gęstwie ciał, znajdując miejsca otwierające się na chwilę, w miarę jak ludzie wchodzili

sobie wzajemnie w drogę. Spędziła na Ceres sześć miesięcy w wieku trzynastu lat i między statkami, ale stacja zdecydowanie nie była jej rodzimym terenem. Robiła, co mogła, kierując się do bocznego korytarza, co do którego była prawie pewna, że prowadzi do kolejnego, szerszego przejścia.

Ale może się myliła. Może mężczyzna, kimkolwiek był, po prostu przypadkiem stanął tam, gdy czuła się szczególnie niepewnie. Nie obejrzała się do czasu, aż boczny korytarz wyszedł na większy tunel pełen pieszego ruchu z innej bramki portu. Rozejrzała się szybko i znalazła miejsce, którego szukała. Kantor wymiany walut cztery metry dalej z nieprzezroczystymi ściankami zapewniającymi prywatność tworzył małą wyrwę w przepływie ludzkiego strumienia, jak kamień w rzece. Nie zatrzymując się nawet na chwilę, podeszła do pustej przestrzeni po jego drugiej stronie i oparła się o budkę, czując łopatkami chłód metalu. Powietrze było na tyle gęste, że zaczęła się trochę pocić, czując wilgoć na mostku i u podstawy włosów. Spróbowała wyglądać na małą i nie rzucać się w oczy. Powoli odliczała do zera od stu.

Przy trzydziestu dwóch obok niej pośpiesznie przeszedł Skrzydlaty, z wysoko uniesionym podbródkiem, rozglądając się po tłumie przed sobą. Poczowała w ustach metaliczny smak strachu. Odwróciła się do budki i przeszła obok niej w przeciwną stronę, w głąb korytarza, z którego przed chwilą przyszła. Wracając po własnych śladach, w myślach rozważała możliwości. Marco w końcu postanowił zakończyć ich patową

sytuację i zagrożenie dla Filipa było tylko przynętą w pułapce. Albo ochrona czekała na nią przez cały ten czas i miała właśnie w końcu zostać złapana. Może szedł za nią po prostu ktoś, kto naoglądał się za dużo wiadomości z Ilusa? Albo Marco wysłał swoich ludzi, żeby jej pilnowali. To ostatnie wcale nie było najmniej prawdopodobne.

Po powrocie do głównego korytarza zatrzymała wózek i zapłaciła za podróż trzy poziomy wyżej, do publicznego parku. Kobieta za kierownicą nie przyglądała się jej uważnie, co było miłą odmianą. Naomi rozsiadła się na twardym tłoczonym plastiku i dokończyła swoje chrupki. Opony syczały na pokładzie podczas wjeżdżania na rampy, zbliżając się do osi obrotu i oddalając od portu.

– Jedziesz du-es w jakieś konkretne miejsce? – zapytała kobieta prowadząca taksówkę.

– Nie wiem, gdzie jadę – odpowiedziała Naomi. – Poznam, kiedy tam trafię.

\* \* \*

Marco poznała, gdy miała szesnaście lat i kończyła rozproszony odpowiednik szkoły na stacji Hygeia. Na Lunie jej praca zaliczeniowa zapewniłaby jej stanowiska inżynierskie w dowolnej dużej stoczni, ale ponieważ był to tylko odpowiednik, wiedziała, że będzie musiała zaliczyć jeszcze trzy albo cztery semestry, zanim dostanie pracę, nawet jeśli wiedziała już, jak ją wykonywać.

Marco był członkiem załogi odzyskiwaczy i górników, dokonującej napraw na stacji Hygeia, a potem lecącej



przez Pas w poszukiwaniu rzadkich metali i czasami zajmującej się starymi wrakami, które trafiły się na ich trasie. A jeśli wierzyć plotkom, czasami opiekowali się też bardzo, bardzo świeżymi wrakami. Jego kapitanem był starszy mężczyzna imieniem Rokku, który nienawdził planet wewnętrznych z intensywnością typową dla Pasa. Jego załoga tworzyła najgłębszą z istniejących odmianę SPZ, choć nie komórkę bojową, bo nikt ich jeszcze nie zaprosił. Naomi mieszkała z Tią Margolis, kolejną adoptowaną ciotką, pracując bez licencji w rafinerii za powietrze, wodę, żywność, dostęp do sieci i miejsce do snu. Z jej perspektywy Marco wydawał się wtedy bastionem stabilizacji. Załoga pracująca razem na jednym statku od siedmiu misji była dla niej niczym rodzina.

A i sam Marco był fantastyczny. Ciemne oczy, ciemne, miękkie włosy, ładnie zarysowane wargi i broda. Dotykając jej, wyobrażała sobie, że tak można się poczuć, głaskając dzikie zwierzę. Kręcił się w korytarzach przed barem stacji, wciąż zbyt młody, by kupować, ale dostatecznie uroczy, by namawiać starszych do kupowania dla niego, jeśli czasem zdarzyło się, że nie zdołał przekonać barmanów do bezpośredniego nagięcia zasad. Pozostali członkowie załogi Rokku – Duży Dave, Cyn, Mikkam, Karal – choć na statku byli od niego starsi stopniem, na brzegu słuchali właśnie jego. Trudno było znaleźć jakąś określoną chwilę, gdy stała się częścią ich załogi. Po prostu zaczęła się z nimi kręcić, przebywać w tych samych miejscach, śmiać się z tych samych żartów, a potem od któregoś momentu była już

oczekiwana. Kiedy zerwali plombę na bramie magazynowej i dotarli do tymczasowego klubu wyłącznie za zaproszeniem, została zaproszona. A niedługo potem pomagała zrywać plomby.

W tamtych czasach stacja Hygeia miewała lepsze dni. Sojusz Ziemi i Marsa wydawał się nierozzerwalny, podatki i cła na podstawowe zaopatrzenie były tuż poniżej poziomu uniemożliwiającego życie. A czasem powyżej. Latające tu statki miały atmosferę tak rzadką, że załoga była na granicy niedotlenienia, doskonale też radził sobie czarny rynek sprzętu hydroponicznego. Stacja Hygeia, choć formalnie była własnością grupy firm bazujących na Ziemi, w praktyce stanowiła autonomiczną strefę utrzymywaną siłą przyzwyczajenia, desperacji i wrodzonego Pasiarzom szacunku do infrastruktury.

W obecności Marco nawet stare, popękane ceramiczne pokłady wydawały się trochę mniej odrapane. Był typem osoby, która zmieniała znaczenie wszystkiego wokół siebie. Była tam dziewczyna imieniem Naomi, która mogłaby przysiąc, że pójdzie za nim wszędzie. Teraz była już kobietą i powiedziałyby, że to nieprawda.

A jednak.

Bistro Rzhavchina mieściło się wysoko, niedaleko osi obrotu. Drogę do środka blokowały drzwi z podrdzewiałej stali, pomalowanej pianką uszczelniającą, a kiedy przez nie przechodziła, ponuro obserwował ją bramkarz wyższy od niej o pół głowy i dwa razy szerszy w barach. Nie próbował jej zatrzymać. Tak daleko od powierzchni miało się wrażenie, że ruch

wirowy stacji bardziej pcha w poziomie, niż dociska w dół. Woda leciała skosem. Nie tylko tanie lokale sprawiały, że w tych korytarzach było gęsto od Pasiarzy. Siła Coriolisa działała tu już bardzo wyraźnie, a nie było to coś, z czym radzili sobie za dobrze Ziemianie czy Marsjanie. Życie w obrocie było powodem dumy Pasiarzy, oznaką tego, kim byli i czym różnili się od pozostałych.

Przestrzeń wypełniała mroczna muzyka z rytmem przypominającym stały atak na podświadomość. Tam, gdzie nie pokrywały jej łupinki z fistaszków, podłoga była lepka, a w powietrzu unosił się zapach soli i taniego piwa. Naomi przeszła na tyły, zajmując miejsce w najmniej widocznym miejscu, jakie zdołała znaleźć. W lokalu stało i siedziało jakieś piętnaście, dwadzieścia osób. I tak czuła na sobie ich spojrzenia. Wysunęła nieco szczękę do przodu, nadając ustom gniewny wyraz będący bardziej próbą odstraszenia niż oznaką faktycznego niezadowolenia. Ściana, o którą się opierała, wibrowała od basów.

Zamówiła drinka przez system stołu i zapłaciła przedpłaconą kartą. Zanim barman o szczupłej twarzy podał go Naomi, otworzyły się metalowe drzwi na korytarz i do środka wszedł Skrzydlaty. Jego ruchy zdradzały napięcie i niepokój, wyraz twarzy – złość. Nie przyszedł tu za nią, tu właśnie zgłosił się po porażce. Naomi zapadła się o centymetr głębiej.

Skrzydlaty usiadł przy barze, wstał, usiadł znowu. Otworzyły się drzwi ukryte w cieniach na tyłach klubu.

Mężczyzna, których się z nich wyłonił, był olbrzymi. Mięśnie na jego karku i torsie były tak duże i wyraźnie zarysowane, że można by go było używać jako pomoc w lekcjach anatomii. Stalowszare włosy miał przycięte krótko przy głowie, z białymi kreskami blizny wychodzącymi zza lewego ucha jak mapa delty rzeki. Bok jego szyi zdobił olbrzymi tatuaż rozerwanego kręgu SPZ. Podszedł do siedzącego Skrzydlatego. Ten już rozłożył ręce w geście przeprosin. Naomi nie słyszała ich rozmowy, ale nietrudno było zgadnąć, co mówi. Widział ją. Zgubił. Bardzo przeproszał. Może dałoby się uniknąć wrywania rzepek z kolan? Pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

Wielkolud przekrzywił głowę, przytaknął i powiedział coś, co sprawiło, że Skrzydlaty poczuł ulgę na tyle, że zdołał się uśmiechnąć. Olbrzym odwrócił się powoli, patrząc w mrok klubu. Kiedy jego spojrzenie dotarło do niej, zatrzymało się. Chłopak przy barze ruszył z jej drinkiem na tacy. Wielkolud wysunął rękę, położył ją na piersi chłopaka i pchnął do tyłu. Naomi nieco się wyprostowała, patrząc w oczy podchodzącego do stołu wielkoluda. Były równie blade, jak zapamiętała.

– Kostki – powiedział.

– Cyn – odparła Naomi, a potem jego olbrzymie ramiona objęły ją i uniosły. Oddała uścisk. Przez zapach i ciepło jego skóry poczuła się, jakby obejmowała niedźwiedzia. – Boże, w ogóle się nie zmieniłeś, prawda?

– Zrobiłem się jeszcze lepszy, uhkti. Większy i mądrzejszy.

Odstawił ją z tupnięciem. Na całej jego twarzy uśmiech wykreślił linie, które wyglądały jak fale w stawie. Poklepała go po ramieniu, a jego uśmiech się nasilił. Oczy siedzącego przy barze Skrzydlatego zrobiły się wielkie jak spodki. Pomachała mu. Mężczyzna, który miał ją śledzić, zawahał się, a potem odpowiedział tym samym.

– To co mnie ominęło? – zapytała Naomi, gdy Cyn poprowadził ją do drzwi z tyłu klubu.

– Tylko wszystko, sa sa? – zagrzemiał Cyn. – Ile powiedział ci Marco?

– Cholernie mało.

– Z nim tak zawsze. Zawsze w ten sposób.

Za cienkimi drzwiami korytarz wcinał się zakrętami w surową skałę asteroidy. Izolacja była stara, szara i odpadała, a ze skały promieniował chłód. O ścianę opierało się trzech ludzi z bronią. Najstarszym był Karal, dwóch młodszych nie znała. Przechodząc, pocałowała Karala w policzek. Pozostali dwaj popatrzyli na nią z mieszaniną nieufności i zachwytu. Ukryty korytarz kończył się stalowymi drzwiami.

– Skąd te tajemnice? – zapytała. – Przecież teraz SPZ rządzi Ceres.

– Jest SPZ i SPZ – odpowiedział Cyn.

– A wy jesteście ci drudzy – uzupełniła, ale z ciepłem w głosie, maskującym jej niepokój.

– Zawsze – potwierdził Cyn.

Drzwi odsunęły się i Cyn schylił się, przechodząc przez nie. Nie potrafiła niczego zobaczyć przez jego wielkie

ciało. Weszła za nim.

– Dotarliśmy tutaj i ani trochę dalej – rzucił Cyn przez ramię. – I lepiej nie zostawać tu za długo. Zgodnie z planem mieliśmy wrócić do Marco miesiąc temu.

– Marco tu nie ma?

– Nie ma tu nikogo poza nami, kurczętami.

Usłyszała śmiech w jego głosie.

Komora, do której weszli, była szeroka i zimna. Przenośna płuczka poruszała zatechłym powietrzem, nadając mu woń gumy. Na półkach z tłoczonego plastiku stały racje żywnościowe i woda. Wokół stołu z cienkiego laminatu rozstawiono pięć stołków, a na haku zaczepiony za kable zwisał stary monitor sieciowy. O jedną ze ścian opierał się czteropiętrowy zestaw prycz. Pod kocami ktoś leżał, ale nawet jeśli spali, Cyn nie zwracał na nich uwagi. Jego głos zachował tę samą głośność.

– Wiesz jak jest, lepiej, żeby nie było nas w miejscu, gdzie ktoś może nas sięgnąć, kiedy wszystko się rypnie, sa sa?

– Kiedy się rypnie? – zapytała Naomi.

Cyn usiadł przy stole, wyciągnął długą rękę i wziął z półki butelkę bez etykiety. Zębami wyciągnął korek z szyjki.

– Ay, Kostki – powiedział ze śmiechem. – Nie kłamałaś, mówiąc, że nic ci nie powiedział, prawda?

Naomi usiadła na jednym ze stołków, gdy Cyn nalewał bursztynowy płyn do dwóch szklanek. Opary pachniały alkoholem, masłem i przypalonym cukrem. Poczwała, jak jej usta reagują na zapach. Smak powrotu do domu.

– Nie ma to jak brandy Tii Margolis – skomentował Cyn z westchnieniem.

– I nigdy nie będzie – potwierdziła Naomi. – To skoro już tu jestem, może mnie wprowadzisz?

– Cóż – powiedział Cyn. – To te pinché pierścieniowe wrota. Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny. Kolejny tysiąc planet wewnętrznych i całkiem nowy zestaw powodów, żeby równie dobrze pieprzyć Pas, que si? A połowa Pasa ssie fiuta Rzeźnika i robi z siebie szlachetnych, oficjalnych i politycznych. No więc my, a przez my rozumem Marco, nie? Jakies dwa, trzy lata temu postanowiliśmy...

– Nie rozmawiamy o tym – zabrzmiał ostro młody głos.

Cyn spojrział w stronę drzwi. Naomi też się obejrzała, nagle pełna strachu. Chłopak wyglądał równocześnie bardzo staro i bardzo młodo. Skórę miał ciemniejszą niż Marco i bardziej kręcone włosy. Ale miał takie same oczy. I usta. W jej piersi poruszyło się coś wielkiego, większego od oceanów. Obudziły się pogrzebane emocje, grożąc jej rozerwaniem na strzępy. Próbowwała to ukryć, ale musiała oprzeć dłoń na stole, żeby się opanować.

Wszedł do sali. Jego piaskowej barwy koszula była za duża, ale dostrzegła, że jego ciało jest w pół drogi między niezdarnym wzrostem nastolatka a rosnącymi mięśniami mężczyzny. Jedna z postaci na pryzkach poruszyła się i obróciła, ale poza tym nie zareagowała.

– Nie rozmawiamy o tym aż do bezpiecznego powrotu. Nawet tutaj. W ogóle. Sabez?

– Savvy mé – odpowiedział Cyn. – Pomyślałem po prostu, że skoro...

– Wiem, co pomyślałeś. Rozumiem, ale nie rozmawiamy o tym.

Spojrzenie młodego mężczyzny napotkało wreszcie jej oczy. Zobaczyła w nich odbicie własnych zmagań. Zastanawiała się, jak dla niego wygląda. Co działo się w jego umyśle i sercu, gdy ona czuła radość, poczucie winy i jadowity żal. Nie pozwoliła sobie dotąd czekać na tę chwilę, choć wiedziała, że nastąpi, od kiedy tylko wiadomość Marco dotarła na Tycho. Nie była na nią gotowa. Uśmiechnął się szybko w jej stronę i kiwnął głową.

– Filip – powiedziała ostrożnie, jakby to słowo było ze szkła.

Kiedy odpowiedział, jego głos mógłby być jej echem.

– Mamo.



## Rozdział dziesiąty

### Amos

Stacja szybkiej kolei w Filadelfii mieściła się blisko centrum komercyjnego dla średniozamożnych. Po ulicach między sklepami spacerowali ludzie zarabiający pensje, kupując umiarkowanie modne ubrania i pomniejsze towary luksusowe dostępne tylko dla osób z gotówką. Ale nie za dużą jej ilością. Sklepy wysokiej klasy były gdzieś indziej, chronione w sposób zaprojektowany tak, by nie wpuszczać ludzi takich jak ci.

Nawet na Ziemi byli ludzie z pieniędzmi i ludzie z prawdziwymi pieniędzmi.

Dla Amosa dziwna była myśl, że ma na koncie dość, by kwalifikować się do tej drugiej grupy. Rozbawiła go myśl o pokręceniu się po jakimś wysokiej klasy centrum handlowym w swoich zwyczajnym pasiarskim ubraniu tylko po to, by wywołać szok u sprzedawców, gdy wyda kilka tysięcy na coś kompletnie bezużytecznego. Może ładny shaker do drinków z litej platyny. Na te okazje, raz czy dwa razy do roku, gdy miał ochotę na martini.

Może później. Potem.

Wyszedł z centrum handlowego, idąc w stronę dzielnicy mieszkalnej, gdzie według mapy na jego terminalu znajdował się dom Lydii. Przy krótkim, podobnym do tunelu wyjściu zaczepił go jedenasto- czy dwunastoletni chłopiec w papierowym kombinezonie wydawanym za darmo przez budki dla ludzi na podstawowym utrzymaniu, trzeba było tylko zeskanować linie papilarne. Chłopiec zaoferował mu różnorodne usługi seksualne za dumpingowe ceny. Amos złapał chłopca za podbródek i podniósł jego twarz do góry. Na jego policzku zobaczył blednące żółte ślady po biciu, a wokół powiek charakterystyczne zaróżowienie świadczące o przyjmowaniu magicznego pyłu.

– Kto cię pilnuje? – zapytał Amos.

Chłopiec wyrwał mu się z ręki.

– Nie dotykaj za darmo.

– Żadnych problemów, nie jestem obmacywaczem. Po prostu mi powiedz, kto cię pilnuje? Jest w okolicy?

– Nie wiem, o czym pan mówi. – Chłopiec zaczął się rozglądać za drogą ucieczki.

– Dobra, w porządku. Spadaj. – Amos przyglądał się, jak chłopiec ucieka i poczuł coś napierającego mu na żołądek, jak przed skurczem.

Nie mógł pomóc każdemu dzieciakowi z ulicy, jakiego napotka. Było ich zbyt wiele, a miał coś innego do zrobienia. Ale i tak czuł frustrację. Może chłopak znajdzie swojego sutenera i powie mu o wielkim, groźnym facecie, który złapał go za twarz. Wtedy sutener będzie go szukać, żeby dać mu lekcję na temat nietykania towaru. Ta myśl

z powrotem przywołała uśmiech na twarzy Amosa i sprawiła, że skurcz żołądka minął.

Dom Lydii stał trzydzieści siedem przecznic od stacji kolejowej w niezbyt zamożnej okolicy, ale nie był to blok mieszkań rządowych. Ktoś płacił za to miejsce pieniędzmi, co było interesujące. Amos nie sądził, żeby Lydia zdołała wyczyścić swoje akta na tyle, by zakwalifikować się do szkolenia w jakiejś pracy. Może jej mąż był uczciwie pracującym obywatelem z wykształceniem i czystą kartoteką. To też było ciekawe. Jakiego typu facet prowadzący życie uczciwego obywatela żeni się z podstarzałą gangsterką pokroju Lydii?

Amos szedł nieśpiesznie, wciąż mając lekką nadzieję na spotkanie sutenera, który zechciałby mu udzielić lekcji. Półtorej godziny później terminal poinformował go, że dotarł na miejsce. Dom nie wyglądał imponująco, po prostu mały jednopiętrowy budynek, który z ulicy wyglądał niemal identycznie jak wszystkie pozostałe jednopiętrowe domy w sąsiedztwie. Wąską przestrzeń między domem a chodnikiem zajmował maleńki ogród. Wyglądał na bardzo zadbane, choć Amos nie pamiętał, by Lydia kiedyś miała jakąś roślinę.

Przeszedł wąską ścieżką przez ogródek do frontowych drzwi i zadzwonił. Po chwili drzwi otworzył drobny, starszy mężczyzna z resztkami siwych włosów.

– Mogę w czymś pomóc, synu?

Amos uśmiechnął się i coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że mężczyzna nerwowo cofnął się o pół kroku.

– Dzień dobry, jestem starym znajomym Lydii Maalouf. Dowiedziałem się właśnie, że zmarła, i chciałem jej złożyć wyrazy szacunku. – Przez chwilę pracował nad swoją twarzą, starając się znaleźć wersję uśmiechu, który nie straszyłby staruszka.

Mężczyzna – według klepsydry Charles – po minucie wzruszył ramionami i gestem zaprosił Amosa do domu. Wnętrze dało się rozpoznać jako należące do Lydii. Pluszowe meble i jaskrawe ozdoby ścienne oraz zasłony przypomniały Amosowi mieszkanie, które zajmowała w Baltimore. Na półkach i stolikach ustawiono zdjęcia. Migawki z życia, jakie prowadziła po odejściu Amosa. Dwa psy na łące, szczerzące się i wystawiające języki do kamery. Charles, z większą ilością włosów na głowie, choć i tak siwy, kopiący w ogródku. Lydia i Charles razem w restauracji, świece na stole, oboje uśmiechnięci nad kieliszkami z winem.

Wyglądało to na dobre życie, a Amos na widok zdjęć poczuł, jak coś w jego wnętrzu się rozpręży. Nie był pewien, co to znaczyło, ale prawdopodobnie było dobrym znakiem.

– Pan się nazywa...? – zapytał Charles. – Napije się pan herbaty? Właśnie parzyłem, gdy pan zadzwonił.

– Tak, z przyjemnością napiję się herbaty – odpowiedział Amos, ignorując pierwsze pytanie. Został w przytulnym salonie, gdy Charles tłukł się po kuchni.

– Od pogrzebu minęło kilka miesięcy – odezwał się Charles. – Był pan poza planetą?

– Tak, ostatnio pracuję w Pasie. Przepraszam, że tyle trwało, zanim tu dotarłem.

Charles wyszedł z kuchni i podał mu parujący kubek. Sądząc po smaku, była to zielona herbata, bez cukru.

– Timothy, prawda? – odezwał się Charles tonem, jakby pytał o pogodę.

Amos poczuł, jak zaciskają mu się szczęki. Do krwi trafił zastrzyk adrenaliny.

– Już od bardzo dawna nie – odpowiedział.

– Czasami opowiadała o pańskiej mamie – kontynuował Charles.

Wydawał się odprężony. Jakby wiedział, że to, co nastąpi, jest nieuniknione.

– Mojej mamie?

– Lydia zajmowała się panem po śmierci pańskiej matki, prawda?

– Tak – potwierdził Amos. – Opiekowała się.

– No dobrze – rzucił Charles, a potem wypił łyk herbaty. – Jak się to potoczy?

– Zapytam, czy mogę zabrać trochę róż z ogródka, żeby położyć na jej grobie...

– Albo?

– Albo zabiorę je, bo nikt tu już nie będzie mieszkał.

– Nie chcę żadnych kłopotów.

– Muszę wiedzieć, co się stało.

Charles spuścił wzrok, odetchnął głęboko i kiwnął głową.

– Miała coś, co nazwali tętniakiem aorty wstępującej. Któregoś wieczoru poszła spać i już się nie obudziła.

Następnego dnia wezwałem karetkę, ale powiedzieli, że nie żyła już od kilku godzin.

Amos kiwnął głową.

– Byłeś dla niej dobry, Charles?

– Kochałem ją, chłopcze – odpowiedział ze śladem stali w głosie. – Możesz tu zrobić, co chcesz, nie powstrzymam cię, ale nie pozwolę ci tego kwestionować. Kochałem ją od chwili pierwszego spotkania do ostatniego pocałunku na dobranoc. Nadal ją kocham.

Głos staruszka nie zadrżał nawet na moment, ale w jego oczach pojawiły się łzy, a ręce zadrżały.

– Mogę usiąść? – zapytał Amos.

– Proszę. I powiedz, jeśli będziesz chciał więcej herbaty. Dzbanek jest pełny.

– Dziękuję panu. Przepraszam, że tak pana przestraszyłem, ale kiedy się dowiedziałem, bałem się...

– Wiem, kim była Lydia, zanim się poznaliśmy – wyjaśnił Charles, siadając na małej kanapie naprzeciw niego. – Zawsze byliśmy ze sobą szczerzy. Ale nikt nigdy nie robił nam tu problemów. Miała po prostu słabą tętnicę, która pewnej nocy pękła we śnie. Nic więcej.

Amos przez chwilę pocierał skórę głowy, czekając, czy uwierzy staruszkowi. Wyglądało na to, że owszem.

– Dzięki. I jeszcze raz przepraszam za ostre wejście – powiedział. – To mógłbym zabrać kilka tych róż?

– Oczywiście – potwierdził Charles z westchnieniem. – I tak niedługo przestanie to być moim ogrodem. Bierz, co chcesz.

– Przeprowadza się pan?

– No cóż, facet, który płacił Lydii, przestał, gdy zmarła. Mielśmy trochę odłożonych pieniędzy, ale niewiele. Wkrótce przejdę na podstawę, a to oznacza rządowe mieszkania.

– Kto ją opłacał? – zapytał Amos, choć znał odpowiedź.

– Dzieciak imieniem Erich. Kieruje bandą w starym mieście Lydii. Pewnie go znałeś.

– Kiedyś, owszem – potwierdził Amos. – Wie o panu? Że Lydia wyszła za mąż?

– Jasne. Utrzymywali kontakty. Czasami sprawdzał, co u nas słychać.

– Ale odciął pana, gdy umarła.

To nie było pytanie, a Charles nie odpowiedział, tylko napił się herbaty.

– No dobrze – odezwał się Amos, wstając. – Muszę się jeszcze gdzieś wybrać. Proszę się jeszcze nie wyprowadzać. W taki czy inny sposób dopilnuję, żeby miał pan pieniądze na zachowanie tego miejsca.

– Nie musisz tego robić.

– Tak jakby muszę.

– Dla niej – powiedział Charles.

– Dla niej.

\* \* \*

Szybki pociąg do Baltimore jechał krócej, niż trwał marsz pieszo na stację. Samo miasto w ogóle nie zmieniło się przez dwie dekady podczas nieobecności Amosa. To samo skupisko drapaczy chmur, te same osiedla bloków dla osób z niskimi dochodami i na podstawowym

utrzymaniu, rozciągające się aż do porządných bloków domów klasy średniej na przedmieściach. I ta sama woń gnijących wodorostów docierająca ze wschodniego brzegu, z rozpadającymi się skorupami na wpół zatopionych przez rosnący poziom wody budynków, niczym sterczące z wody żebra martwego morskiego potwora.

Choć wywołało to w nim niepokój, Amos musiał przyznać, że poczuł się jak w domu.

Wziął automatyczną elektryczną taksówkę ze stacji do swojej starej okolicy. Nawet z poziomu ulicy miasto wyglądało mniej więcej tak samo. Lampy uliczne wymieniono na nowszy, bardziej kanciasty model. Niektóre ulice przerobiono – już nie były przeznaczone wyłącznie dla pieszych, teraz mogły się po nich poruszać również małe pojazdy. Zbiry, dilerzy i prostytutki mieli inne twarze, ale wszyscy stali praktycznie na tych samych miejscach, gdzie pracowali ich poprzednicy. W szczelinach miasta rosły nowe chwasty, ale same szczeliny się nie zmieniły.

Polecił taksówce zatrzymać się przy narożnym bufecie z kawą, licencjonowanym do przyjmowania kart podstawowego wyżywienia. Było to dokładnie to samo miejsce, w którym jadł ostatni raz w Baltimore przed wyjazdem. Budka i marka sieci były inne, ale oferta bułek i ciastek wyglądała tak samo.

– Duża kawa i muffin – powiedział do pracującej tam dziewczyny.



Wyglądała na tak zdziwioną, gdy terminal płatniczy przelał pieniądze zamiast kredytów na podstawowe racje, że prawie upuściła jego zamówienie. Zanim nowe juany z Ceres przeszły przez sieć i zostały przeliczone na dolary ONZ z opłatami na każdym etapie podróży z jego banku, zapłacił za przekąskę trzy razy więcej, niż powinien.

Muffin smakował, jakby zrobiono go przez przetworzenie resztek starych, zjedzonych wcześniej muffinów. Kawa z kolei mogłaby udawać produkt na bazie ropy, ale mimo wszystko oparł się o ścianę przy stoisku i nieśpiesznie zjadł i wypił. Rzucił resztki do kosza na odpady do recyklingu i podziękował dziewczynie. Nie odpowiedziała. Jego pieniądze z kosmosu i obce ubranie sprawiły, że patrzyła na niego jak na jakąś obcą istotę. I właściwie w dużym stopniu właśnie kimś takim był.

Nie miał pojęcia, gdzie powinien zacząć szukać Ericha, ale też nie musiał iść daleko, zanim z ciemnego zaułka wyłoniła się nastolatka ze splecionymi z maszynową precyzją warkoczykami i w drogich bawełnianych spodniach.

– Cześć – rzucił. – Masz wolną chwilę?

– Dla ciebie, Mongo?

– Nie nazywam się Mongo – odparł z uśmiechem Amos.

Zobaczył w jej oczach strach, choć był dobrze ukryty. Przywykła do niebezpiecznych obcych, ale elementem przystosowania była umiejętność rozpoznawania niebezpieczeństwa.

– Powinieneś, przy takim wyglądzie.

– Jesteś miejscowa, możesz mi pomóc.

– Szukasz zioła? Pyłu? Mam neurale, jeśli chcesz. Odleczisz po nich z tej dziury.

– Nie potrzeba mi twojego towaru do latania, ptaszyno. Tylko pytanie.

Roześmiała się i posłała mu wystawiony środkowy palec. Nie płacił, więc nic nie dostanie. Odwracała się już, by z powrotem ukryć się w mrocznej bramie. Amos złapał ją za ramię, łagodnie, ale mocno. W jej oczach pojawił się prawdziwy strach.

– Zapytam, ptaszyno. Ty odpowiesz. Potem sobie odleczisz.

– Pieprz się, Mongo. – Splunęła na niego i próbowała wyrwać rękę z uścisku.

– Przestań, tylko sobie zrobisz krzywdę. Chcę tylko wiedzieć, kto kieruje twoją bandą? Chcę porozmawiać z gościem imieniem Erich. Ma zniekształconą rękę. Jeśli twoja grupa nie ma z nim kontaktu, to skieruj mnie do kogoś, kto ma, sabe?

– *Sabe?* – Przestała się wyrywać. – Mów po angielsku, dupku.

– Erich. Szukam Ericha. Skieruj mnie we właściwą stronę, to odejdę.

– Albo cię skrwawię – powiedział nowy głos. Z drzwi, z których wcześniej wyłoniła się drobna kobieta nazywana ptaszyną, wyszedł ktoś duży. Mężczyzna wielki jak góra, z bliznami wokół oczu i prawą ręką w kieszeni obszernej bluzy. – Puść ją.

– Jasne – odpowiedział Amos i wypuścił małego ptaszka.

Wbiegła po schodach do swoich drzwi. Facet-góra posłał mu paskudny uśmiech. Uznał posłuszeństwo Amosa za oznakę strachu.

– A teraz spadaj.

– Nie – odparł Amos, też z uśmiechem. – Muszę znaleźć Ericha. Z tego, co słyszałem, jest teraz wielkim szefem. On tobą rządzi? Skierujesz mnie do ekipy, która dla niego pracuje?

– Powiedziałem ci, kurwa, że...

Cokolwiek facet-góra miał powiedzieć, zmieniło się w charkot, gdy Amos uderzył go w gardło. Gdy olbrzym próbował sobie przypomnieć, jak się oddycha, Amos szarpnął za jego bluzę i wyciągnął schowany za paskiem pistolet. Kopnął tył nogi wielkoluda, żeby powalić go na kolana. Nie wycelował do niego z pistoletu, po prostu trzymał go swobodnie w dłoni.

– Więc będzie tak – powiedział głosem na tyle cichym, żeby usłyszał go tylko olbrzym, nikt więcej. Wstyd był jednym z podstawowych powodów, dla których ludzie walczyli. Zmniejszenie zawstydzienia olbrzyma zmniejszało ryzyko, że będzie dalej próbował walczyć. – Muszę znaleźć Ericha, a ty albo okażesz się pomocny, albo nie. Chcesz być moim kumplem?

Olbrzym przytaknął, choć jeszcze nie mówił.

– Widzisz, lubię zdobywać nowych kumpli – powiedział Amos i poklepał olbrzyma po masywnym

ramieniu. – Możesz pomóc nowemu kumplowi znaleźć jego innego kumpla, Ericha?

Człowiek-góra znowu przytaknął i tym razem zdołał coś wycharczeć.

– Chodź ze mną.

– Dzięki! – odpowiedział Amos i puścił go.

Wielkolud posłał spojrzenie na mroczne drzwi, pewnie sygnalizując ptaszynie, by do kogoś zadzwoniła – miał nadzieję, że do ekipy Ericha – z ostrzeżeniem. Nie przeszkadzało mu to. Chciał, żeby Erich czuł się bezpiecznie podczas ich spotkania. Jeśli będzie miał ze sobą dużo gości z bronią, była większa szansa, że się odpręży i wysłucha argumentów.

Człowiek-góra poprowadził go przez jego stare okolice i w stronę doków oraz rozpadającego się kamiennego monolitu nieudanego projektu arkologii. Trochę utykał, jakby dokuczało mu kolano. Kiedy wchodzili do środka, kiwnęło mu głowami paru facetów w obszernych płaszczach, takich, pod jakimi ukrywało się ciężką broń, a potem zaczęli iść za nimi.

– Eskorta i wszystkie honory – rzucił Amos do jednego z nich.

– Nie rób żadnych głupstw – usłyszał w odpowiedzi.

– Chyba jestem już na to zdecydowanie za stary, ale rozumiem, co chcesz powiedzieć.

– Broń – warknął inny strażnik, wyciągając rękę.

Amos bez słowa oddał mu pistolet zabrany wielkoludowi.

Z zewnątrz stara struktura arkologii wyglądała na rozpadającą się, ale w środku jej wygląd zdecydowanie się zmienił. Ktoś wymienił uszkodzone przez wodę podłogi na nowe kafelki. Ściany były pomalowane i czyste. Drzwi z gnijącego drewna prowadzące z głównego korytarza zastąpiono panelem z kompozytów i szkła, któremu nie szkodziło wilgotne powietrze. Wszystko to zaczynało sprawiać wrażenie wysokiej klasy budynku korporacyjnego.

Czymkolwiek zajmował się Erich, wyraźnie nieźle mu się powiodło.

Zatrzymali się przed windą.

– Jest na najwyższym piętrze. Ja się zmyję, dobra? – powiedział wielkolud.

Wciąż chrypiał, choć brzmiał już dużo lepiej.

– Wielkie dzięki za pomoc – odpowiedział Amos bez sarkazmu. – I zajmij się gardłem. Obłóż lodem, kiedy wrócisz i spróbuj nie mówić za dużo. A jeśli dalej będzie cię bolało za trzy dni, sprawę załatwi steryd w aerozolu.

– Dzięki – chrypnął wielkolud i odszedł.

Zadzwoniła winda i otworzyły się jej drzwi, a jeden z dwóch pozostałych strażników wskazał do środka.

– Ty pierwszy.

– Gracias – rzucił Amos i oparł się o tylną ścianę kabiny.

Strażnicy weszli za nim, a potem jeden z nich włożył metalową kartę do czytnika i wcisnął przycisk najwyższego piętra.

Podczas jazdy w górę Amos zabawiał się, rozważając sposób na to, jak zabrać broń stojącemu bliżej strażnikowi i zabić drugiego. Wypracował sobie całkiem dobrą strategię, gdy drzwi windy znowu zadzwoniły i się otworzyły.

– Tędy – rzucił jeden ze strażników i wskazał w głąb korytarza.

– Poziom klubu – odpowiedział Amos. – Nieźle.

Najwyższe piętro urządzone pluszowymi meblami i wyłożono grubą, kasztanową wykładziną. Na końcu korytarza strażnicy otworzyli drzwi wyglądające na drewniane, choć wydawały się na tyle ciężkie, że prawdopodobnie w środku ukrywały stal. Nadal elegancko, ale nie kosztem bezpieczeństwa.

Po luksusowym wyglądzie korytarza – biuro za drzwiami wydawało się prawie surowe. Metalowe biurko z dużymi ekranami różnorodnych terminali sieciowych i pulpity, ekran ścienny z udającym okno widokiem na ocean i duża gumowa piłka zamiast biurowego fotela.

Erich zawsze był zbyt nerwowy, żeby za długo siedzieć bez ruchu.

– Timmy – odezwał się Erich, stojąc za biurkiem, jakby było barykadą.

Strażnicy odsunęli się na boki, stając przy drzwiach.

– Ludzie teraz mówią na mnie Amos.

Erich się roześmiał.

– Chyba to wiedziałem, nie?

– Chyba tak – zgodził się Amos.

Erich dobrze wyglądał. Zdrowo w sposób, w jaki nigdy nie wyglądał jako dziecko. Na wysokości brzucha miał nawet zapasową oponę gościa w średnim wieku. Jego lewa ręka nadal była drobna, pokurczona. A sądząc po sposobie, w jaki stał, prawdopodobnie dalej utykał. Jednak teraz, gdy stał otoczony oznakami sukcesu i dobrze wykarmiony, jego ułomności sprawiały bardziej wrażenie trofeów przeszłości niż kalectwa w bieżącym życiu.

– No tak – powiedział Erich. – Zastanawiałem się, co robisz w mieście.

– Pobił Troya – rzucił jeden ze strażników. – A Laci mówiła, że ją szarpał.

– Zabił kogoś? – zapytał Erich.

Gdy żaden ze strażników nie odpowiedział, stwierdził:

– Czyli jest uprzejmy.

– Zgadza się – potwierdził Amos, przytakując dobrotliwie. – Nie chcę tu mieszać, tylko porozmawiać.

– No dobrze. – Erich usiadł na swojej gumowej piłce. – To porozmawiajmy.

## Rozdział jedenasty

### Aleks

Trzy dni po spotkaniu z Talissą – jak teraz sądził, jego ostatnim – i późniejszym spotkaniu z Bobbie Draper Aleks uznał, że przyszedł czas na powrót do domu. Spotkał się przy posiłkach z członkami rodziny i kilkoma starymi znajomymi, zobaczył, jak jego rodzinne miasto się zmieniło. A może nie. I jeszcze raz przekonał się, że czasami nie dało się naprawić czegoś, co się zepsuło. Że nie zdoła zrobić niczego, żeby sytuacja zrobiła się lepsza.

Jednak zanim odleci, będzie musiał rozczarować jeszcze jedną osobę.

Ekspresowe metro do Londres Nova szumiało cicho, z reklamami nad fotelami obiecującymi uczynić życie pasażerów lepszym na sto różnych sposobów: dyplomami technicznymi, lepszą bielizną, wybielaniem zębów. Oprogramowanie do rozpoznawania twarzy wydawało się nie wiedzieć, co z nim zrobić. Żadne reklamy do niego nie przemawiały. Najbliższa była szczupła prawniczka w oliwkowym kostiumie, oferująca ludziom pomoc w znalezieniu miejsc na statkach lecących do nowych



układów poza Pierścieniem. *Zacznij nowe życie na pozaplanetarnych koloniach! Możemy pomóc!*

Siedzący naprzeciw niego mniej więcej siedemnastoletni chłopak patrzył spokojnie w przestrzeń, z na wpół otwartymi oczami, w pół drogi między znużeniem a snem. Kiedy Aleks był w jego wieku, decydował właśnie, czy wstąpić do floty, czy startować na studia. Spotykał się z Kerry Trautwine pomimo tego, że jej ojciec był fanatykiem religijnym nienawidzącym go za to, że nie należał do właściwej sekty. Wieczory spędzał, grając w symulacje bitew z Amalem Shahem i Korolem Nadkarni.

Siedzący naprzeciw niego chłopak wędrował tymi samymi korytarzami, co Aleks, jadał w tych samych restauracjach, pewnie w bardzo podobny sposób myślał o seksie, a jednak żył w innym wszechświecie. Aleks próbował sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby wśród dostępnych mu w wieku siedemnastu lat opcji znalazła się podróż na inną planetę. Czy zgłosiłby się do wojska? Czy spotkałby Talisnę?

Łagodny, mechaniczny głos oznajmił przybycie do terminalu Aterpol. Chłopak otworzył oczy, wyrwany z powrotem do pełnej przytomności, i posłał Aleksowi nieufne spojrzenie. Hamowanie pchnęło Aleksa do tyłu, sprawiając wrażenie podobne do ciągu silników manewrowych. Podobne, ale nie do końca.

Aterpol był centrum Londres Nova, jedyną stacją przesiadkową do wszystkich osiedli składających się na miasto. Nad publicznymi obszarami wznosiły się

sklepione sufity, a drzwi w ścianach wyposażono w podwójne uszczelki, żeby powietrze nie uciekało do próżniowych rur tuneli. Sam terminal wychodził na duży park z prawdziwymi drzewami wyrastającymi z gleby ku sztuczemu zmierzchowi. Przy wijących się ścieżkach porozstawiano ławki, które wyglądały jak z żelaza i drewna, a staw napelniał powietrze zapachami alg i wilgoci. Pod tym wszystkim cichy szum i powiew z wymienników powietrza, jak stała i wiecznie powtarzana modlitwa. Na ścianach wokół parku umieszczono okna, z niektórych biło światło, inne były ciemne. Dla idącego nieśpiesznie Aleksa pomieszczenia za oknami wyglądały na lokalne firmowe mieszkania, restauracje i pomieszczenia techniczne.

Przeszedł przez park do jednej z dalszych bram, gdzie lokalne tunele metra łączyły stację z innymi częściami miasta. Innis Shallow, gdzie mieszkała Bobbie, nie miało najlepszej reputacji. Z drugiej strony nawet najgorsze, co oferował Mars, zdecydowanie nie było tak złe jak podejrzany sektor stacji Ceres, a każdy, kto miał złe zamiary wobec Bobbie, i tak powinien mieć wsparcie jakiejś armii.

Na stacji Innis Shallow Aleks wbił się w kurtkę i ruszył pieszo. Co prawda stały tu wózki do wynajęcia, a na rogu w rikszy czekała dziewczyna, która nie mogła mieć więcej niż czternaście lat, ale nie miał daleko, a poza tym Aleksowi wcale nie śpieszyło się do rozmowy czekającej go u celu.

\* \* \*

Szedł do mieszkania Bobbie zgodnie z wytycznymi ręcznego terminala. Tę samą trasę pokonał trzy dni temu, wciąż przeżywając swoje nieudane spotkanie z Tali. Nie widział byleż marine od czasu tej nocy na Lunie, gdy Pierścień uniósł się z ruin na Wenus i poleciał ku zewnętrznej granicy Układu Słonecznego, więc bardzo cieszył się na cokolwiek, co odwróci jego uwagę od niepowodzeń tego dnia.

Bobbie mieszkała w bardzo przyjemnym bocznym korytarzu, mieszkanie miało własny klomb na środku i lampy udające latarnie z kutego żelaza z dziewiętnastowiecznego Londynu. Załedwie kilka sekund stał przez jej drzwiami, zanim mu otworzyła.

Bobbie Draper była dużą kobietą i choć lata w cywilu nieco złagodziły jej sylwetkę, promieniowała kompetencją i siłą jak ogień promieniował żarem. Za każdym razem, gdy ją widział, przypominał sobie opowieść z historii o tym, jak Samoaniecy uzbrojeni w kamienie i włócznie przegnali do morza hiszpańskich konkwistadorów z muszkietami. Bobbie była kobietą, która czyniła tę historię prawdopodobną.

– Aleks! Wchodź. Przepraszam, że mam tu taki bałagan.

– Nie wygląda gorzej od mojej kabiny pod koniec długiego lotu.

Główny pokój był szerszy od mostka na *Rosie* i urządzony w odcieniach terakoty i szarości, które nie powinny do siebie pasować, ale pasowały. Stół nie

pomieściłby więcej niż czterech osób, ale stały przy nim tylko dwa krzesła. Przez łuk naprzeciw frontowych drzwi zobaczył ekran ścienny wyświetlający powoli zmieniające się barwne plamy, które kojarzyły się z animowanymi liliami wodnymi Moneta. Tam, gdzie w większości mieszkań stałaby kanapa, znajdowało się urządzenie do ćwiczeń z ustawionym obok stojakiem na hantle. W kącie spiralne schody prowadziły do góry, stopnie z laminatu bambusowego jarzyły się ciepło w świetle.

– Fajna chata – skomentował Aleks.

Spojrzenie, którym Bobbie przejechała po mieszkaniu, zdawało się prawie przepaszające.

– To więcej, niż mi potrzeba. Dużo więcej, niż potrzebuję. Ale wydawało mi się, że będę chciała przestrzeni. Miejsca na rozciągnięcie się.

– Sądziłaś, że będziesz chciała?

Wzruszyła ramionami.

– To więcej, niż mi trzeba.

Założyła profesjonalnie wyglądającą brązową kurtkę ze skóry, która optycznie zwężyła jej ramiona i zaprowadziła go do knajpy z rybami, gdzie zjadł jednego z najlepszych w życiu pstrągów w ciemnym sosie. Podawali do tego zimne lokalne piwo. W ciągu spędzonych tam dwóch godzin ból po głosie Talissy i jego uczucie odrazy do siebie złagodniały, choć nie ustąpiły do końca. Bobbie opowiadała historie z pracy w ośrodku pomocy dla weteranów. O kobiecie, która przyszła po pomoc psychiatryczną dla syna – od czasu wyjścia

z wojska nie przestawał grać w gry konsolowe. Bobbie spotkała się z pierwszym sierżantem musztry chłopaka i teraz dzieciak pracował w stoczni. Albo o mężczyźnie, który zgłosił się do nich, twierdząc, że zabawka erotyczna tkwiąca w jego okrężnicy miała związek ze służbą. Gdy Bobbie się śmiała, Aleks śmiał się z nią.

Z wolna zaczął też opowiadać – o tym, co było po drugiej stronie Pierścienia. O tym, jak obserwował Ilusa, Nową Ziemię czy jak tam w końcu nazwą tę planetę. Jak lecieli z powrotem z więźniem, co doprowadziło do wspomnień o pierwszym locie z więźniem – Clarissą Mao, córką Julesa-Pierre’a i siostrą pacjentki zero protomolekuły – oraz o tym, co teraz porabiali Holden, Amos i Naomi.

Wtedy właśnie poczuł prawdziwy ból. Tęsknotę za załogą i ich statkiem. Towarzystwo Bobbie sprawiało mu ogromną przyjemność, zarówno jej inteligencja, jak i obecność fizyczna, ale tak na prawdę chciał – teraz i od tamtej pory – wrócić na *Rosynanta*. I dlatego właśnie koniec ich rozmowy był dla niego tak niezręczny.

– No dobrze, Aleks – powiedziała Bobbie, choć jej próba uczynienia tych słów równie swobodnymi, jak wszystko, co do tej pory opowiadała, spaliła na panewce – wciąż masz kontakty z ludźmi pracującymi w stoczni wojskowej?

– Jasne, znam paru gości służących w Hekate.

– Zastanawiałam się, czy mógłbyś mi wyświadczyć drobną przysługę.

– Jasne, czemu nie – zgodził się Aleks. A po chwili dodał: – O co chodzi?

– Mam takie jakby hobby – odparła z lekkim cierpieniem na twarzy. – To... nieoficjalne.

– Czy to coś dla Avasarali?

– Tak jakby. Spotkałyśmy się na kolacji, gdy była tu ostatnio i to, co powiedziała, skłoniło mnie do myślenia. Przy tych nowych światach otwartych na kolonizację zmienia się mnóstwo rzeczy. Zmieniają się strategie, takie sprawy. A jednym z dużych zasobów posiadanych przez Marsa, jedną z rzeczy, na którą będzie teraz rynek, jest flota.

– Nie rozumiem – odpowiedział Aleks, odchylając się na oparcie krzesła. – Chodzi ci o najemnych żołnierzy?

– Raczej o znikające rzeczy. Czarny rynek. W ciągu ostatnich kilku lat zaliczyliśmy kilka całkiem sporych wojen, zniszczono sporo statków. Wydaje się, że niektóre z nich po prostu zaginęły. A sama flota nie ma za dużo zasobów. Nie wiem, ile energii wkładają teraz w odszukiwanie zgubionych rzeczy. Wiesz, że doszło do ataku na stocznię na Kallisto?

– Tak, widziałem coś na ten temat.

– To tylko jeden z przykładów. Dochodzi do dużego zdarzenia i pierwsza reakcja sprowadza się do zidentyfikowania tego, kto za tym stał i odbudowania obrony.

– Jasne – potwierdził Aleks. – Przecież to normalne, że chcemy to zrobić.

– A w związku z tym stwierdzenie, co dokładnie stracono podczas tego ataku, co prawda znajduje się na czyjeś liście zadań, ale raczej gdzieś niżej, nie u góry. A przy tym wszystkim, co się tu dzieje, może nigdy nie trafić na pierwsze miejsce. I wszyscy to wiedzą, nawet jeśli nie mówią tego na głos.

Aleks napił się piwa, odstawił butelkę i wytarł usta wierzchem dłoni.

– Czyli jeśli w bazie są jacyś spekulanci, mogą skorzystać z okazji na zwinięcie jakiegoś ocalałego sprzętu, sprzedać go na czarnym rynku i przypisać stratę zniszczeniom.

– Dokładnie. No wiesz, do pewnego stopnia coś takiego zawsze było możliwe, ale teraz, przy coraz dziwniejszej i chaotycznej sytuacji?

– Oraz Marsie tracącym mnóstwo ludzi na rzecz statków kolonizacyjnych.

– Tak, to też – zgodziła się Bobbie.

Na jej twarzy nie było ani śladu ciepła. Aleks nachylił się do przodu, opierając łokcie na stole. W powietrzu wciąż unosił się zapach pstrąga w sosie, choć zabrano już ich talerze po daniu. Na ekranie z przodu restauracji młoda kobieta w parodii garnituru tańczyła do generowanej komputerowo popowej melodii. Aleks nie potrafił rozpoznać języka piosenki, przy pewnej prędkości wszystkie języki wydawały się w równym stopniu bez sensu.

– Chcesz mi powiedzieć, że prowadzisz śledztwo w sprawie źródeł czarnorynkowego sprzętu wojskowego

wyciekającego z Marsa.

– Broń – odparła Bobbie. – Środki medyczne. Amunicja. Panczerze wspomagane. Nawet statki.

– I robisz to na własną rękę, dla rozrywki, z powodu czegoś, co powiedziała ci Chrisjen Avasarala.

– Tak jakby dla niej pracuję.

Aleks się roześmiał.

– Prawie boję się o tym przypominać, ale zaczęłaś od stwierdzenia, że potrzebujesz przysługi. Jeszcze nie powiedziałaś, na czym miałyby polegać.

– Wielu gości w Hekate nie chce ze mną rozmawiać. Jestem marine, oni są z floty. Tutaj to poważna różnica. Ale ty ich znasz, a nawet jeśli nie, jesteś jednym z nich w sposób, którego mnie nigdy nie uda się osiągnąć. Zastanawiałam się, czy w ramach przysługi mógłbyś mi pomóc trochę pogrzebać.

– Zastanowię się nad tym – odparł Aleks, kiwając głową.

A teraz, ponieważ chodziło o Bobbie i potrzebował w swoim życiu czegoś, co pozwoli mu poczuć rzeczywiste zamknięcie pewnego rozdziału, zamierzał spotkać się z nią po raz ostatni i powiedzieć, że odpowiedź brzmi nie. Musiał wrócić na swój statek. Jeśli było coś, co mógł zrobić dla niej stamtąd, z przyjemnością pomoże. Jego podstawowym priorytetem było wydostanie się z Marsa i niewracanie tu.

\* \* \*



Dotarł do końca korytarza. Żelazne latarnie świeciły, tworząc złudzenie ulicy typowej dla Ziemi stulecia temu. Echo miejsca, w którym żadne z nich nigdy nie było, a mimo tego zdumiewająco przyjemne i dające poczucie komfortu. Szedł powoli, wsłuchując się w prawie bezgłośnie stuki wymienników powietrza, jakby tuż gdzieś pod nimi mógł usłyszeć szum płynącej Tamizy.

W pobliżu rozległ się krótki męski krzyk. W końcu był w Innis Shallow. Aleks ruszył trochę szybciej. Znieruchomiał przed drzwiami Bobbie.

Były zamknięte, ale luźno. W miejscu, gdzie zatrask stykał się z futryną, zobaczył czarną smugę, idealnie okrągłą i wgniecioną w powierzchnię panelu. Cienka linia na brzegu drzwi zdradzała, gdzie odgięła się framuga i strzaskała ceramika. Znowu usłyszał męski głos, ciche mamrotanie narastające do silnego wrzasku. Odgłosy dochodziły z mieszkania Bobbie.

Serce Aleksa zaczęło bić trzykrotnie szybciej. Wyciągnął swój ręczny terminal i szybko stuknął, cicho wybierając połączenie alarmowe. Wystukał wezwanie o pomoc i potwierdzenie, ale nie wypełnił ekranu ze szczegółowymi informacjami. Nie było na to czasu. Stał przed drzwiami, zaciskając dłonie w pięści i gorąco pragnął, żeby był tam z nim też Amos.

Pchnął drzwi i wbiegł do środka.

Bobbie zobaczył przy stole, siedziała na jednym z dwóch krzeseł. Ręce miała za plecami, a nogi rozciągnięte przed sobą, były zbyt długie, by zmieściły się przy krześle. Miała krew na ustach i z boku szyi.

Mężczyzna w szarym kombinezonie celował z pistoletu w tył jej głowy.

W stronę Aleksa obróciło się dwóch kolejnych, w identycznych strojach. Obaj ściskali w dłoniach pistolety automatyczne. Czwarty mężczyzna, ten dla odmiany w garniturze koloru popiołu i w jasnoniebieskiej koszuli, obrócił się w jego stronę z wyrazem twarzy w pół drogi między zaskoczeniem a irytacją. Na widok Aleksa szeroko otworzył oczy.

– Kurwa! – rzucił, choć jego głos prawie utonął w trzasku pękającego drewna.

Bobbie ruszyła się szybciej, niż Aleks potrafił nadążyć, rozrywając na kawałki krzesło, do którego została przywiązana i chwytając stojącego za nią zbira za nadgarstek. Krzyknął i coś stało się z jego ręką.

Jeden z ludzi z pistoletami wystrzelił, nie celując, a huk wystrzału boleśnie ogłuszył Aleksa. Rzucił się z krzykiem do przodu, wpadając na mężczyznę w garniturze. Razem polecieeli do tyłu. Kolano mężczyzny wbiło się w krocze Aleksa i świat zmienił się w oślepiającą błyskawicę bólu. Osunął się na kolana, próbując trzymać przeciwnika za marynarkę. Pistolety dalej strzelały, a powietrze wypełnił smród spalonego prochu.

Mężczyzna w garniturze sięgnął do kabury pod pachą, więc Aleks złapał go za rękę. Trzymanie jego nadgarstka przypominało objęcie betonu. W jego dłoni pojawił się pistolet. Ktoś krzyknął i ryk wystrzałów stał się rykiem kogoś innego, głębszym i bardziej zwierzęcym. Aleks

rzucił się do przodu. Ból jąder osłabł, był teraz zaledwie przytłaczający. Ugryzł nadgarstek, wbijając zęby w rękaw z jedwabiu i zaciskając je, aż siekacze się zetknęły. Mężczyzna w garniturze nawet nie krzyknął, tylko mocno uderzył go drugą ręką w skroń.

Wszystko zrobiło się nieco cichsze i odleglejsze. Aleks poczuł, że traci chwyt na ręce mężczyzny, poczuł, że pada, twardo lądując na kości ogonowej. Ciągłe czuł ból, ale za mgłą. Mężczyzna w garniturze uniósł pistolet, celując w niego. Lufa wydawała się wielka jak tunel metra.

*Och, pomyślał Aleks, tak zginę.*

Głowa mężczyzny skoczyła do przodu w uprzejmym skinięciu, a potem padł.

A potem zobaczył przed sobą Bobbie z sześciokilowym ciężarkiem w dłoni. Jego metalowa powierzchnia była pobrudzona krwią i chyba włosami. Nikt już nie strzelał.

– Hej – odezwał się Aleks.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Bobbie, siadając obok niego.

Jeden z ludzi w kombinezonach zatoczył się za jej plecami, trzymając się za rękę, i pobiegł do drzwi. Nie goniła go.

– Trochę obolały – przyznał Aleks, a potem obrócił się na bok i zwymiotował.

– Już w porządku – odpowiedziała Bobbie. – Naprawdę świetnie się spisałeś.

– Minęło dużo czasu, od kiedy ostatnio się biłem wręcz. Pewnie poradziłbym sobie lepiej, gdybym miał

trochę wprawy.

– No cóż. Było ich czterech z bronią i nas dwoje bez broni. W tych warunkach poradziliśmy sobie całkiem nieźle.

Odetchnęła głęboko, nisko opuszczając głowę. Aleks spróbował usiąść.

– Wszystko w porządku?

– Dostałam kilka kul – przyznała. – Gnoje.

– Cholera. Jesteś ranna?

– Tak. Za chwilę podejść do tamtej konsoli. Wezwę pogotowie i policję, zanim stracę za dużo krwi.

– Już to zrobiłem – powiedział Aleks. – Zanim tu wszedłem.

– Dobre planowanie.

– Nie jestem pewien, czy miało to coś wspólnego z planowaniem – odpowiedział Aleks. – Bobbie? Zostań ze mną.

– Jestem tu – odparła sennym głosem. – Nic mi nie jest.

Aleks usłyszał dobiegający z oddali dźwięk syreny. Z każdą chwilą była coraz bliżej. Przez długi moment miał wrażenie, że podłoga się trzęsie, a potem dotarło do niego, że to jego ciało. Z boku pokoju jeden z napastników leżał skulony pod ścianą. Głowę miał zgiętą pod dziwnym kątem, a na jego piersi zasychała krew. Choć nie krwawił. Czyli trup. Mężczyzna w garniturze zakaszał i zacharczał, dławiąc się. Syreny robiły się głośniejsze. Rozbrzmiały też nowe głosy. Za drzwiami słyhać było kobietę, która twierdziła, że jest z policji i ostrzegała, że zaraz do środka wejdą jej ludzie.

– Przyszedłem ci powiedzieć – stwierdził Aleks. – Zostanę. Pomogę.

– Dzięki.

– To było w związku z tą sprawą z czarnym rynkiem, prawda? – zapytał Aleks. – Chyba zadawałaś właściwe pytania.

Bobbie zdołała się uśmiechnąć. Patrząc na nią teraz, zauważył, że ma na koszuli mnóstwo krwi.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Pytali tylko o ciebie.

## Rozdział dwunasty

### Amos

– Chcesz koki? – zapytał Erich. – Nie syntetyk, tylko prawdziwy towar z żywej rośliny.

– Nie. Ale chętnie się napiję, jeśli coś masz – odparł Amos.

Uprzejmości były tylko rytuałem, ale rytuały były ważne. Z doświadczenia Amosa wynikało, że im niebezpieczniejsi byli dwaj ludzie, tym uprzejmiej zachowywali się podczas rozmowy. Głośni, wrzaskliwi, próbowali wymusić na rozmówcy ustępstwa i poddanie. Nie chcieli dopuścić do walki. Cisi zastanawiali się, jak ją wygrać.

– Tatu, przynieś El Charros – polecił Erich i jeden ze strażników wyszedł z pomieszczenia. – Ostatnio mam fazę na tequilę – wyjaśnił Amosowi.

– Ja nie – odparł Amos. – Ziemia to wciąż jedyne miejsce, gdzie można dostać dobrą tequilę. To, co robią Pasiarze, nie nadaje się do picia.

– Pewnie nie ma tam za wiele niebieskiej agawy.

Amos wzruszył ramionami i czekał. Tatu wrócił z wysoką, cienką butelką i dwoma wąskimi kieliszkami. Erich napełnił oba i uniósł jeden w toaście.

– Za starych przyjaciół.

– Za starych przyjaciół – odpowiedział Amos i wypił alkohol.

– Jeszcze jeden? – zapytał Erich, wskazując butelkę.

– Jasne.

– Zwiedziłeś trochę okolicę?

– Tylko tyle, co stąd do stacji kolejowej.

– Wiele się nie zmieniło – skomentował Erich, a potem urwał, gdy obaj pili. Znowu napełnił kieliszki. – Twarze się zmieniają, ale narożniki zostają te same.

– Zabawne, właśnie o tym myślałem po drodze. Choć dla ciebie sytuacja się zmieniła.

– Nie to, co najważniejsze – zapewnił Erich z uśmiechem i pomachał małą, zniekształconą ręką.

Amos szerokim gestem wskazał pokój, strażników i otaczający ich, odnowiony budynek.

– Kiedy wyjeżdżałem, uciekałeś przed śmiercią. Więc przynajmniej to się zmieniło.

– Możecie wyjść. – Erich zwrócił się do Tatu i jego partnera.

Wyszli cicho i zamknęli za sobą drzwi. Co wydawało się dobrym znakiem. Albo znaczyło, że Erich nabrał przekonania, że Amos nie planował go zabić, albo też miał sposób na obronienie się, który nie wymagał obecności innych ludzi. To nie byłby pistolet pod biurkiem. Coś takiego byłoby zbyt infantylne dla Ericha.

Amos zaczął się luźno rozglądać w poszukiwaniu kabli lub podejrzanych nierówności na swoim krześle lub podłodze pod nim.

Erich nalał dwa kolejne szoty tequili.

– Kiedy odszedłeś, nauczyłem się od ciebie czegoś ważnego.

– Tak?

– Nigdy nie będę najtwardszym facetem w żadnym pokoju, chyba że zostanę sam – wyjaśnił Erich, znowu machając zniekształconą ręką. – Ale zwykle jestem najbystrzejszy. Wykonanie planu można zlecić, ale jego przygotowanie nie za bardzo.

– Prawda – zgodził się Amos. – To dlatego nigdy nie będę kapitanem statku.

Erich zareagował na te słowa. Nie zmienił wyrazu twarzy ani nie drgnął, ale Amos zauważył, że jego słowa zostały usłyszane i zarejestrowane jako ważne.

– Ale zawsze jesteś przydatny – odpowiedział Erich. – Zawsze taki byłeś. Jesteś teraz w jakiejś załodze?

– Nie widziałeś mnie w wiadomościach?

– Widziałem. Wyglądasz inaczej. Ogoliłeś głowę, zaliczyłeś kilka nowych złamań na nosie. Ale nigdy nie zapominał imienia.

– Cóż, przynajmniej nie tego – rzucił Amos, a potem wypił swojego szota, unosząc go w toaście do Ericha. – A swoją drogą, dzięki za nie.

– Wciąż jesteś z tą załogą? – zapytał Erich.

– Jestem. Dlaczego pytasz?



– Bo w tej chwili siedzisz w moim biurze i pijesz moją tequilę. Wciąż słyszę te słowa w głowie. Przydatny facet twojego pokroju zawsze znajdzie pracę. Jeśli tego chcesz, możesz ją dostać. Ale jeśli nie przyszedłeś tu po pracę, to czego tu szukasz?

Amos chwycił butelkę i nalał sobie jeszcze jednego drinka. Erich bardzo się starał nie wyglądać na zdenerwowanego. Miał dużo wprawy, bo prawie mu się to udało. Czas może sporo zmienić. Erich zmienił się z nerwowego, drobnego hackera z ceną na swoją głowę w szefa sporej części terenów nadmorskich Baltimore. Jednak pewne rzeczy się nie zmieniały, pewne oznaki zostawały na zawsze. Gdy Erich siedział bardzo nieruchomo i patrzył mu w oczy, nie mrugając, drobna dłoń zdeformowanej lewej ręki otwierała się i zamykała jak u dziecka próbującego złapać zabawkę poza zasięgiem.

– Byłem w domu Lydii – powiedział Amos, powoli popijając tequilę.

– To już nie jest dom Lydii, ona nie żyje – odpowiedział Erich. – O to właśnie chodzi? Po tym, jak odszedłeś, traktowałem ją tak, jak ty byś to robił.

– Tak? – zapytał Amos, unosząc brwi.

– No. – Erich przyznał z zawstydzonym spojrzeniem w bok. – Niezupełnie tak, jak ty.

– Za to też ci dziękuję – rzucił Amos.

– Kiedyś mnie nie zabiłeś, choć miałeś ku temu wszelkie powody, a potem nie mogłeś tu zostać – powiedział Erich, nachylając się do przodu. Jego lewa

dłoń przestała się zaciskać. – Odejście od niej było częścią przysługi, którą mi oddałeś. Nigdy o tym nie zapomniałem. A ona z początku mi pomogła. Pomogła stworzyć to, co teraz mam. Nauczyła mnie używać mózgu do pokonania mięśni. Nigdy nie brakowało jej niczego, co mogłem jej dać.

– I bardzo to doceniam – zapewnił Amos.

Słyszając to, Erich zmrużył oczy, a jego prawa ręka wyłoniła się spod biurka z krótkolufowym pistoletem automatycznym. Amos poczuł zaskoczenie, ale i dumę z powodu zachowania przyjaciela. Erich oparł dłoń o biurko z bronią nie skierowaną w Amosa, to było bardziej ostrzeżenie niż groźba.

– Jeśli przyszedłeś tu wyrównać jakieś rachunki – powiedział Erich – nie będziesz pierwszym, który opuści to biuro w worku.

Amos uniósł ręce w udawanym poddaniu się.

– Nie jestem nawet uzbrojony, szefie. Przyszedłem porozmawiać.

– To rozmawiaj.

– To, co zrobiłeś dla Lydii, było naprawdę miłe – powiedział Amos, powoli opuszczając ręce i nie spuszczać wzroku z broni. – Ale mylisz się. Ona nie całkiem zginęła. Coś z niej pozostało.

Erich przechylił głowę na bok, marszcząc czoło.

– Chyba będziesz mi to musiał lepiej wyjaśnić.

– Jest staruszek, który ją kochał, żył z nią i pocałował ją na dobranoc, zanim umarła. Mały domek z ogrodem

z różami, przy których razem pracowali. Może jakieś psy. Widziałem zdjęcie, choć nie wiem, czy ciągle tam są.

– Wciąż nie rozumiem – rzucił Erich.

Amos potarł kostkę dłoni kciukiem, szukając właściwych słów. Nie była to myśl, którą wcześniej wypowiadał na głos, a jeśli coś zepsuje i Erich go źle zrozumie, była spora szansa, że skończy się to na wzajemnym zabójstwie. A więc warto było się chwilę zastanowić.

– Jest tak. Staruszek zatrzyma dom do śmierci. On jest jedynym, co po sobie zostawiła. Jej ostatnim kawałkiem. Zatrzyma dom.

Erich położył pistolet na biurku i nalał sobie kolejnego drinka. Odchylił się do tyłu, trzymając kieliszek w prawej dłoni. Nie zdołałby złapać pistoletu bez upuszczenia kieliszka i nie dałby rady zrobić tego, zanim Amos by po niego sięgnął. To był sygnał i Amos poczuł, jak rozluźniają się mięśnie jego karku i pleców.

– To bardziej sentymentalne, niż mogłem się spodziewać – skomentował Erich.

– Nie jestem sentymentalny w wielu sprawach – zgodził się Amos. – Ale w tych nielicznych jestem żarliwy.

– Dobrze, słyszałem prośbę. Co z tego będę miał? Miałem coś w rodzaju długu względem Lydii, ale staruszkowi nic nie jestem winien. Co na tym zyskam, jeśli będę mu dalej płacił zasiłek?

Amos westchnął i posłał uśmiech swojemu najstarszemu przyjacielowi.

– Poważnie?

– Poważnie.

– Nie zabiję ciebie ani tych dwóch gości na zewnątrz. Nie rozwalę twojej organizacji z góry na dół i nie odbuduję z kimś, kto będzie moim dłużnikiem.

– Ach – stwierdził Erich. – Jest wreszcie.

Amos musiał przyznać, że Erich dorobił się jaj. Słyszając groźbę, nawet nie spojrział na leżący na biurku pistolet, tylko posłał Amosowi własną wersję tragicznego uśmiechu.

– Kto jest? – zapytał Amos.

– Timmy.

– Pewnie tak. Ale wolałbym tego nie robić. To jak będzie?

– Utrzymanie domu staruszka nie kosztuje mnie prawie nic – powiedział Erich, a potem pokręcił głową, jakby sam ze sobą się zgadzał. – Ale nawet gdyby kosztowało, i tak bym to zrobił. Żeby utrzymać Timmy’ego z dala od moich ulic.

– Jeszcze raz, dzięki.

Erich odrzucił wdzięczność machnięciem zdrowej ręki, a potem wstał i podszedł do dużego biurowego ekranu udającego okno. Pistolet wciąż leżał na biurku, teraz zignorowany. Amos przyglądał mu się przez chwilę, a potem odchylił się bardziej na oparcie krzesła i złożył ręce z tyłu głowy.

– Zabawne, nie? – powiedział Erich, wskazując przez fałszywe okno na coś, czego Amos nie widział. – Te wszystkie nowe twarze i stare rogi. Nic się nie zmienia i wszystko jest inne. Ja się zmieniłem, ty nie.

– Mieszkam na statku kosmicznym i czasem walczę z potworami z kosmosu – odpowiedział Amos, wzruszając ramionami. – To się zmieniło.

– Czy jest tam coś straszniejszego niż ćpun bez pieniędzy, gdy trzymasz jego dawkę? Straszniejszego niż uliczny szef, któremu podebrałeś kasę? – Erich roześmiał się i odwrócił, stając plecami do okna. – Pieprzyć. Coś straszniejszego niż życie na podstawie?

– Nie – przyznał Amos.

– No to dostałeś, czego chciałeś – powiedział Erich głosem, który nagle zrobił się martwy i bez wyrazu. – Wynoś się w cholerę z mojego miasta albo ogłoszę polowanie.

Amos wstał. Był teraz bliżej pistoletu niż Erich. Czuł jego przyciąganie, prawie jak grawitację. Mógł go podnieść, zabić Ericha i dwóch strażników stojących na zewnątrz. Do wieczora przejąłby kontrolę nad sporym kawałkiem terenu Ericha i miałby dość siły i reputacji, by zdobyć resztę. Cały scenariusz błyskawicznie przewiął mu się przez głowę.

Jednak zamiast tego zaczepił kciuki o kieszenie spodni i ruszył w stronę drzwi.

– Dzięki za drinka – rzucił. – Zapomniałem, jak dobrze smakuje tequila.

– Powiem Tatu, żeby dał ci parę butelek, gdy będziesz wychodził. Zabierz je ze sobą – odpowiedział Erich.

– Cholera, nie odmówię.

– Dobrze było cię widzieć – dodał Erich, a potem umilkł na chwilę. – Pistolet jest pusty.

– Tak?

– Wyrzutnia strzałek ukryta w lampie – wyjaśnił Erich, rzucając spojrzenie na obudowę oświetlenia diodowego w górze. – Zatrute. Wystarczy słowo, a zabija tu wszystkich oprócz mnie.

– Zgrabne. Dzięki, że go nie powiedziałeś.

– Dzięki, że wciąż jesteś moim przyjacielem.

Zabrzmiało to jak pożegnanie, więc Amos posłał Erichowi ostatni uśmiech i wyszedł. Tatu czekał na korytarzu ze skrzynką pełną butelek z tequilą. Strażnicy musieli monitorować całą ich rozmowę.

– Potrzebujesz pomocy przy wyjściu? – zapytał mężczyzna.

– Nie – odparł Amos i oparł sobie skrzynkę na ramieniu. – Jestem dobry w wychodzeniu.

\* \* \*

Amos polecił terminalowi zaprowadzić się do najbliższej noclegowni i wynajął pokój. Rzucił alkohol i torbę na łóżko, a potem wyszedł na ulicę. U sprzedawcy ulicznego kupił coś optymistycznie podpisanego jako „belgijskie kiełbaski”. I o ile Belgowie byli znani ze swoich dosmaczanych wyrobów z masy fasolowej, optymizm wydawał się przesadzony. Nie, żeby to miało znaczenie. Amos uświadomił sobie, że choć zna na pamięć okresy orbit wszystkich księżyców Jowisza, nie miał pojęcia, gdzie znajduje się Belgia. Nie sądził, żeby mieściła się na terenie Ameryki Północnej, ale na tym kończyły się jego

domysły. A w związku z tym trudno było mu krytykować twierdzenia dotyczące ich kuchni.

Poszedł w stronę starych, gnijących nabrzeży, gdzie bawił się jako dziecko, kierowany wyłącznie potrzebą jakiegoś celu oraz faktem, że wiedział, jak tam dojść. Dokończył kielbaskę, a potem, nie widząc nigdzie kosza na śmieci, przeżuł i połknął opakowanie. Zrobiono je z włókna ze skrobi kukurydzianej i smakowało jak zwietrzałe płatki śniadaniowe.

Minęła go mała grupka nastolatków, którzy po chwili zatrzymali się i ruszyli jego śladem. Byli w tym niezręcznym wieku, gdy trudno określić, czy są bardziej chodzącymi ofiarami, czy dorosłymi zdolnymi do popełnienia prawdziwych zbrodni. Wiek odpowiedni do drobnych przestępstw i pracy dla dilerów łączył się z okazjonalnym rozbojem, gdy trafiła się okazja dopuszczenia się go bez zbytniego ryzyka. Amos ich zignorował i wspiął się na rdzewiejącą stal starego portowego falochronu.

Nastolatki trzymały się z tyłu, kłócąc się między sobą cichymi, spiętymi głosami. Prawdopodobnie decydując, czy nagroda w postaci bilansu kredytowego obcego – oparta na wierze, że każdy żyjący poza dokami Baltimore miał więcej pieniędzy od ludzi, którzy w nich mieszkali – była warta ryzyka atakowania mężczyzny jego rozmiarów. Dobrze znał tego typu obliczenia, kiedyś sam uczestniczył w takich sporach. Dalej ich ignorował i zamiast nich, wsłuchiwał się w łagodne dźwięki wody uderzającej o molo.

Niebo w oddali rozjarzyło się linią ognia przypominającą uderzenie pioruna wykreślonego od linijki. Kilka chwil później przez zatokę przetoczył się grzmot naddźwiękowy i Amosa dopadło nagle i intensywne wspomnienie siedzenia w tych samych dokach z Erichem, gdy przyglądali się wystrzeliwaniu na orbitę towarów z działła szynowego i omawiali możliwość opuszczenia planety.

Dla wszystkich spoza studni grawitacyjnej Amos był z Ziemi, ale to nie była prawda. Nie w sposób, który się liczył. Amos był z *Baltimore*. Całą jego wiedzę o planecie poza kilkoma osiedlami biednych dzielnic miasta można by spisać na serwetce. Pierwsze kroki poza miastem zrobił, wychodząc z szybkiego pociągu w Bogocie, maszerując do promu lecącego na Lunę.

Usłyszał na molo za sobą ciche kroki. Rozmowa się skończyła. Entuzjaści wygrali z wątpięcymi. Amos odwrócił się i stanął naprzeciw nadchodzących nastolatków. Kilku trzymało improwizowane maczugi, jeden miał nóż.

– Nie warto – rzucił. Nie napiął mięśni ani nie uniósł pięści, tylko pokręcił głową. – Poczekajcie na następnego.

Nastąpiła pełna napięcia chwila, gdy oni patrzyli na niego, a on na nich. A potem ruszając jakby kierowani wspólnym, telepatycznym porozumieniem, całą grupą zaczęli się cofać.

Erich mylił się, twierdząc, że się nie zmienił. Człowiek, którym był kiedyś, stanowił zbiór cech charakteru. Był rzeczami, które znał, swoimi pragnieniami, posiadanymi



umiejętnościami. Osoba, którą był, zanim stąd odszedł, wiedziała, gdzie pędzi się dobry bimber, którzy dilerzy mają stałe dostawy wysokiej jakości czarnorynkowej marihuany i tytoniu. Znał burdele obsługujące miejscowych i takie, które zajmowały się tylko obrabianiem turystów szukających dreszczyku emocji. Tamten człowiek wiedział, gdzie tanio wypożyczyć pistolet i wiedział, że trzeba było zapłacić potrójną stawkę, jeśli faktycznie się go użyło. Wiedział, że bardziej opłacało się zapłacić za czas w warsztacie i zrobić sobie własną broń. Tak jak w przypadku strzelby, której użył do pierwszego zabójstwa.

Jednak człowiek, którym był teraz, wiedział, jak utrzymać przy pracy reaktor fuzyjny, jak dostroić cewki magnetyczne tak, by zapewnić maksymalną energię wylotową zjonizowanym cząstkom i jak naprawić przebicie kadłuba. Ten człowiek nie interesował się ulicami ani oferowanymi przez nie zagrożeniami i przyjemnościami. Baltimore mogło wyglądać dokładnie tak samo, a równocześnie być dla niego równie obce jak mityczna Belgia.

Zrozumiał wtedy, że to jego ostatnia wizyta na Ziemi. Nie zamierzał tu wracać.

\* \* \*

Następnego ranka obudził się w wynajętym pokoju z połową butelki tequili na szafce nocnej i pierwszym kacem, jakiego miał od lat. Przez chwilę sądził, że upił się przed snem, ale potem zrozumiał, że wysoka temperatura

panująca w pokoju sprawiła, że wypocił przynajmniej litr wody. Zaschło mu w gardle, a język wydawał się obrzmiały.

Zmył z siebie nocny pot i wypił gorącą wodę prosto z prysznicą, odchylając głowę, by leciała mu do ust. Po dziesięcioleciach filtrowanej i sterylizowanej wody na statkach i stacjach kosmicznych zdumiały go wszystkie jej smaki. Miał nadzieję, że nie za wiele z nich pochodzi od bakterii i metali ciężkich.

Wyciągnął ze skrzynki pozostałe butelki tequili i schował do swojej torby, owijając w ubrania, żeby się nie stłukły. Potem włączył terminal ręczny i zaczął szukać połączeń z powrotem na Lunę i lotu na Tycho. Pożegnał się z Lydią, a przynajmniej z tymi jej częściami, które po sobie pozostawiła. Tak jakby pożegnał się z Erichem. Na całej planecie nie został już żaden człowiek, który by go choć trochę obchodził.

Hm, nie. To nie była prawda. Może pół człowieka.

Zadzwoił pod numer używany przez Avasaralę, a na ekranie pojawił się elegancki młodzieniec z idealną fryzurą, bladą skórą i wielkimi zębami. Wyglądał jak manekin z bardzo drogiego sklepu.

– Biuro sekretarz Avasarali.

– Daj mi Chrissie, chłopcze, i to szybko.

Manekinowi z wrażenia na chwilę zaparło dech.

– Przepraszam, ale sekretarz nie...

– Chłopcze. – Amos przerwał mu z pogardliwym uśmiechem. – Właśnie zadzwoniłem na jej prywatny numer, nie? Nazywam się Amos Burton. – Kłamstwo, ale

powtarzane na tyle często, że prawie stało się prawdą. – Pracuję dla Jamesa Holdena. Założę się, że jeśli nie powiesz jej natychmiast, że jestem na linii, to przed wieczorem wylądujesz na podstawowym.

– Jedną chwilę – powiedział manekin, a potem na ekranie pojawiło się niebiesko-białe logo ONZ.

– Burton – warknęła Chrisjen Avasarala, pojawiając się na ekranie niecałe trzydzieści sekund później. – Co ty, do cholery, jeszcze robisz na mojej planecie?

– Szykuję się do odlotu, szefowo, ale pomyślałem, że mam jeszcze jedną osobę do odwiedzenia przed odlotem.

– Czyżby mnie? Bo nie lubię cię dostatecznie, by uznać to za czarujące. Na lądowisku czeka na mnie prom na Lunę, żebym mogła się tam zająć urządzaniem przyjęcia z okazji przylotu premiera Marsa.

– Kazali ci się tym zająć?

– Robię tu wszystko, a każda sekunda rozmowy z tobą kosztuje dziesięć tysięcy dolarów.

– Serio?

– Nie, właśnie wymyśliłam tę liczbę. Ale kurewsko nie znoszę latać na Lunę, więc i tak to odkładałam, aż skończę inne sprawy. Chcesz się zabrać? Mogę to zrobić, jeśli pozbędę się ciebie z mojej planety. Co? Powiedziałem coś śmiesznego?

– Nie, po prostu kogoś mi przypomniałaś – odpowiedział Amos. – W każdym razie, mam wrażenie, że to jedyna podróż w głąb studni, jaką kiedykolwiek odbędę.

– Jestem wstrząśnięta.

– Ale skoro już tu jestem, to pomyślałem, że lepiej zaliczyć wszystko, co mógłbym chcieć zrobić na dole. Wiesz, odwiedzić wszystkich – wyjaśnił Amos. – To gdzie właściwie zamknęliście Złotko?

– Złotko?

– Dziewczynę Mao. Clarissę. Leciała z nami przez kilka miesięcy po tym, jak przestała próbować zabić kapitana, i muszę przyznać, że trochę ją polubiłem.

– Pieprzyłeś swoją więźniarkę? – zapytała Avasarala z wyrazem twarzy sugerującym w równym stopniu rozbawienie, co niesmak.

– Nie – zaprzeczył Amos. – Zwykle nie robię tego ludziom, których lubię.

## Rozdział trzynasty

### Holden

Układy gwiazdne udostępnione przez system wrót były rozrzucone po całej galaktyce, która zdaniem wszystkich była Mleczną Drogą. Kartografowie wciąż ustalali ich względne położenia, ale nawet początkowe wartości umieszczały niektóre z nowych układów dziesiątki tysięcy lat świetlnych od Ziemi, z pewnymi dziwnymi aspektami czasu i położenia. Wobec tak niewyobrażalnie wielkich odległości łatwo było zapomnieć, ile przestrzeni jest w zaledwie jednym Układzie Słonecznym. Do czasu, aż próbowano się w nim coś znaleźć.

Formalnie każdy lecący statek kosmiczny był zobowiązany do zgłoszenia planu lotu i posiadania aktywnego transpondera. Dzięki temu stosunkowo łatwo było śledzić jednostki lecące z miejsca na miejsce. Dzięki sygnałom transpondera wiadomo było też, gdzie skierować teleskop, a aktywny silnik można było wypatrzyć przez cały Układ Słoneczny. Jednak statki były dezaktywowane na czas napraw w doku, więc

transpondery bardzo często przestawały być aktywne. Statki wycofywano z użycia, więc transponder mógł zostać wyłączony i nigdy nie wrócić z całkiem prawidłowych powodów. Nowo zbudowane jednostki pokazywały się z nowiutkimi nazwami, a statki sprzedawane rejestrowano pod nowymi nazwami. Niektóre klepano z odpadów, inne budowano w stocznicach, zdarzały się odzyski. A wszystko to działo się na przestrzeni z grubsza stu trylionów kilometrów kwadratowych przestrzeni, plus minus kilka biliardów. Na dodatek tylko przy zignorowaniu faktu, że przestrzeń miała trzy wymiary.

Tak więc przy przechodzeniu przez wrota zniknęło siedemnaście statków i jeśli Holden miał rację, prawdopodobnie wróciły do rodzimego układu z nowymi nazwami. W teorii istniała ścieżka do uzyskania pożądanых informacji, ale o ile nie był zainteresowany spędzeniem kilku tysięcy lat na przeglądaniu surowych danych, potrzebował pomocy.

Konkretnie, potrzebował komputera, który przesieje dane z różnych, wielkich baz danych nowych statków, jednostek wycofanych z obsługi, sprzedanych, naprawionych i utraconych, w poszukiwaniu czegoś, co nie będzie pasować. Nawet z dobrym komputerem i bardzo inteligentnym oprogramowaniem do sortowania danych było to coś, co programista nazwałby nietrywialnym zadaniem.

Niestety, najlepsza znana Holdenowi programistka polecała w nieznane i nie odpowiadała na jego

wiadomości. Nie potrafił zrobić tego sam, nie miał czasu na naukę, nie miał załogi, która by mu pomogła. Za to miał pieniądze.

Po zmianie spędzonej na pracy przy remoncie *Rosa* z ludźmi Sakai znowu zadzwonił do Freda.

– Cześć, Fred. Mam problem dotyczący oprogramowania. Czy mógłbym wynająć twoich ekspertów na krótkoterminowe zlecenie?

– Twój statek potrzebuje aktualizacji? – zapytał Fred. – Czy to coś, co mnie wkurzy?

– Coś, co cię wkurzy. To kogo byś polecił do napisania paru skryptów?

\* \* \*

Paula Gutierrez miała wydłużone ciało i nieco powiększoną głowę świadczącą o dzieciństwie w niskim ciężeniu. Uśmiechała się ostro i profesjonalnie. Była niezależną programistką, która pięć lat temu przyjęła sześciomiesięczny kontrakt na *Tycho*, a potem została na stacji, wykonując różne zlecenia. Na ręcznym terminalu Holdena jej twarz wypełniała ekran ciemnymi, gęstymi brwiami i oślepiająco białymi zębami.

– Tego właśnie szukam i potrzebuję tego najszybciej, jak to możliwe – powiedział Holden po wyłożeniu swoich potrzeb. – Da się zrobić?

– Zdecydowanie – potwierdziła Paula. – *Tycho* trzyma lokalne kopie wszystkich baz danych ruchu, więc nawet nie trzeba uwzględniać opóźnień. Ale szybkość będzie pana kosztować.

– Ile?

– Pięćset za godzinę, minimum dziesięć godzin. Proszę przyjąć do wiadomości, że nie negocjuję stawek i nie oferuję zniżek.

– To – odpowiedział Holden – wydaje się całkiem sporo.

– To dlatego, że panu się śpieszy. Mam możliwość wymuszenia.

– No dobrze, to ile potrwa, zanim zacznę dostawać jakieś wyniki?

Paula wzruszyła brwiami, a potem spojrzała na coś poza kamerą.

– Powiedzmy, że dane zaczną docierać do pana za jakieś dwadzieścia godzin. Mam je zbierać czy wysyłać strumieniem na bieżąco?

– Proszę słać jak leci. Nie zapyta mnie pani, po co mi to?

Paula się roześmiała.

– Nigdy nie pytam.

\* \* \*

Monika wynajmowała mały apartament na poziomie gościnnym Tycho. Pomieszczenia były drogie i ku zaskoczeniu Holdena wcale nie lepsze niż kwatery firmowe przydzielone przez Freda jemu i załodze. Niewiele firm traktowało swoich ludzi równie dobrze, jak gości. Jednak uprzejmość wymagała, by zachowywał się, jakby jej mieszkanie było czymś wyjątkowym, by Monika poczuła się zadowolona z inwestycji, więc wydał trochę



dźwięków świadczących o zachwycie otwartą przestrzenią i jakością wyposażenia.

– To co powiedział Fred? – zapytała Monika, gdy usiadł za jej stołem i napił się zrobionej przez nią herbaty.

– Szczerze mówiąc, nie sądzi, żeby było na czym opierać śledztwo.

– Chodziło mi o użycie próbki protomolekuły, żeby spróbować skontaktować się z detektywem Millerem.

– No tak – odpowiedział Holden, odstawiając herbatę na stół i odsuwając ją od siebie. Pierwszy łyk sprawił, że poparzył sobie język. – Wspomniałem o tym, ale tylko po to, żeby wiedział, że ma gdzieś przeciek. To od początku nie miało sensu jako środek w śledztwie. Nikt nie zamierza wypuszczać tego dzina z butelki.

– W takim razie chcesz mi powiedzieć, że tylko marnuję czas.

– Nie – odpowiedział Holden. – Wcale nie. Myślę, że sprawa zaginionych statków jest całkiem poważna, po prostu nie dopatruję się w niej działania obcych. Znacznie bardziej prawdopodobne, że to efekt działań twarogłowego skrzydła SPZ. Zająłem się sprawdzaniem tego, jeśli temat cię interesuje.

Monika zakreśliła swoim terminalem ręcznym na stole, zirytowana tym, że zmienił temat.

– Wyrobiłam sobie nazwisko historią z *Behemota*. Obcy, wrota nadprzestrzenne i duch protomolekuły, który rozmawia tylko z najślawniejszym człowiekiem w Układzie Słonecznym. Nie sądzę, żeby kontynuacją mogło być *Ludzie wciąż są dla siebie wredni*. Brak polotu.

– To właściwie chodzi ci o znalezienie tych zaginionych statków czy o kolejną porcję dziwnych obcych, pozwalającą ci rozdmuchać przygasłą sławę?

– To zabrzmiało nieprzyjemnie oceniająco jak na gościa, który zdołał wcisnąć się do każdego istotniejszego wiadomości w ciągu ostatnich sześciu lat.

– Auć – rzucił Holden, a potem pozwolił, by nieprzyjemna cisza rozciągnęła się na chwilę. Monika dalej obracała swój terminal, ale nie patrzyła mu w oczy.

– Przepraszam – powiedziała w końcu.

– Nic nie szkodzi. Słuchaj, przechodzę teraz przez trudny okres pustego gniazda i zrobiłem się trochę niespokojny. A ponieważ szukam jakiegoś zajęcia, zamierzam znaleźć te zaginione statki. To prawdopodobnie nie będzie spisek obcych, ale i tak chcę to zrobić. Chcesz mi pomóc?

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, jak to ma wyglądać. Prawdę mówiąc, liczyłam na wszechmocnych obcych. Wiesz, jak wielki jest kosmos?

– Trochę o tym myślałem – przyznał Holden. – Mam pewien plan. Rozmawiałem z Fredem o możliwym udziale SPZ, ale ten pomysł mu się nie podoba, więc od razu go odrzucił. Mimo wszystko skłoniło mnie to do myślenia. SPZ nie pozbyłoby się takiej liczby statków, Pasiarze po prostu nie myślą w ten sposób. Wszystko odnawiają.

– I co?

– To jak znaleźć statki przejęte przez piratów? Główny inżynier Sakai zasugerował szukanie nowych statków,

które pojawiają się znikąd, zamiast szukać zaginionych.

– Sakai zasugerował...

– To gość, z którym pracuję nad remontem *Rosa*. W każdym razie pomyślałem, że to świetny pomysł, więc wynająłem lokalną specjalistkę od danych do napisania skryptów grzebiących w bazach danych w celu wyśledzenia wszystkich nowych nazw statków pojawiających się w rejestrach i spróbowania znalezienia ich pochodzenia.

– Specjalistkę od danych.

– Niezależną programistkę. Wszystko jedno jak nazywa się tego rodzaju praca. W każdym razie niedługo powinienem zacząć odbierać strumień danych obejmujący statki o tajemniczym pochodzeniu. Nasza brakująca siedemnastka powinna być wśród nich. Przynajmniej będzie to mniej statków niż, no wiesz, wszystkie.

Monika wstała i bez słowa przeszła kilka kroków. Holden podmuchał na herbatę i czekał. Kiedy w końcu się odwróciła, na jej twarzy rysowało się starannie kontrolowane niedowierzanie.

– Zaangażowałeś w to wszystko Freda Johnsona, jakiegoś inżyniera tu na Tycho i pieprzoną hakerkę? Jesteś aż tak głupi?

Holden westchnął i wstał.

– Usłyszałem o tym wszystkim od ciebie, więc uprzejmość wymagała, żebym powiedział ci, w którą stronę toczy się śledztwo...

– A teraz wychodzisz? – Niedowierzenie na twarzy Moniki jeszcze się pogłębiło.

– Zabawne. Nie muszę wysłuchiwać, jak ktoś, komu próbuję pomóc, wyzywa mnie od idiotów.

Monika uniosła dłonie w łagodzącym geście, którego – jak podejrzewał – nie traktowała szczerze.

– Przepraszam – powiedziała – ale zaangażowałeś w moje... nasze śledztwo trzy nowe osoby, z których jedna jest wysoko postawionym członkiem SPZ. Dlaczego, na niebiosa, uznałeś, że to dobry pomysł?

– Przecież mnie znasz, prawda? – powiedział Holden, nie siadając, ale też nie ruszając do drzwi. – Nie jestem kimś, kto wierzy w tajemnice. Nie uważam Freda za złego człowieka, ale jeśli nim jest, to jego reakcja na nasze poszukiwania coś nam powie. Skrytość to gleba, na której wyrastają te wszystkie konspiracyjne gówna. Wierz mi, karaluchy nie lubią, gdy zaczyna się na nie świecić.

– A co będzie, jeśli postanowią pozbyć się gościa z latarką?

– No cóż – odpowiedział Holden z uśmiechem. – To też będzie ciekawe. Nie będą pierwszymi, którzy tego spróbują, a wciąż tu jestem.

\* \* \*

Następnego dnia zaczęły docierać dane z programu Pauli. Autoryzował swój terminal do przelania pozostałej części płatności za jej usługi i zaczął przegryzać się przez listę.

Mnóstwo nowych statków pojawiało się w okolicach Marsa i Ziemi, ale tego należało się spodziewać. Stocznie wypuszczały nowe i wyremontowane statki najszybciej, jak inżynierowie i mechanicy mogli je produkować. Każdy, kto miał choć trochę juańców, próbował lecieć do wrót i światów za nimi, a największe grupy ludzi lubiących życie na planetach i dostosowanych fizjologicznie do ich warunków pochodziły z dwóch planet wewnętrznych. Tylko niewielka część tych statków miała niejasności w dokumentacji, wyłapanie przez program Pauli, ale nawet pobieżne wyszukiwanie doprowadziło Holdena do przekonania, że było to spowodowane głównie błędami księgowości, nie piractwem.

Trochę podejrzanych jednostek pojawiało się też w Pasiu. Te były dużo bardziej interesujące. Jeśli SPZ kradł statki, logicznym miejscem na ich ukrycie był rejon przestrzeni z mnóstwem jednostek i innych metalowych obiektów. Holden zaczął pojedynczo analizować statki z listy Pasa.

*Gozerian* pojawił się znikąd w dokach rafinerii Pallas we właściwym zakresie dat. Zgodnie z dokumentacją był to poświadczony spadek, ale brakowało szczegółów dotyczących tego, kto zmarł i jaki był jego związek z nowym właścicielem. Holden podejrzewał, że odpowiedź na te pytania brzmiała osoba, która była właścicielem statku, oraz *osoba, która go zabiła i przejęła*. Przeniesienie własności było na tyle podejrzane, że prawie na pewno wynikało z piractwa, ale *Gozerian*

według dokumentacji nie miał napędu Epsteina. Coś do latania między skałami w Pasie. Potwierdzała to dokumentacja z Pallas, a przeszukanie listy siedemnastu brakujących statków nie dało niczego, co pasowałoby do opisu. Nikt nie próbowałby lecieć na sam skraj Układu Słonecznego, a potem całą drogę na nową planetę w czymś, co nie miało silnika Epsteina. Były znacznie wygodniejsze miejsca na śmierć ze starości.

Holden skreślił *Gozeriana* z listy i przeszedł do następnego statku. Kiedy wreszcie skończył przeglądać całą początkową listę od Pauli, była trzecia nad ranem czasu Tycho, a jego zmiana na *Rosie* zaczynała się o ósmej, więc przespał kilka godzin i spędził żaloszny poranek, próbując układać przewody silników manewrowych pomimo koszmarne go niewyspania.

Zanim jego zmiana dobiegła końca, potrafił myśleć tylko o kolacji i śnie, ale czekał na niego strumień danych obejmujący prawie pięćdziesiąt nowych statków. Po drodze do domu kupił więc makaron w kartonowym kubku i spędził resztę wieczoru, analizując listę.

*Ciasto z myszy* był gazowcem i nie pasował do listy zaginionych. *Vento* po raz pierwszy pojawił się przed zakresem interesujących go dat, a zapytanie wysłane do ostatniego portu, który odwiedził, potwierdziło, że daty były prawidłowe. *Bluźnierczy błazen* według dokumentacji miał silnik Epsteina, ale przeszukanie danych serwisowych wykazało, że nie działał już od lat. Ktoś pewnie od tamtego czasu używał go jako promu do krótkich lotów w trybie czajniczka.

I tak dalej, i tak dalej przez nazwy. W pewnym momencie jego terminal zabrzączał powiadomieniem o wiadomości. Pochodziła od Amosa i nie była zbyt obszerna.

– Odwiedziłem grób znajomej. Poszło nieźle, ale mam jeszcze coś do zrobienia. Zgłoszę się później. – Holden wciągnął kolejną porcję dawno wystygłego makaronu, który nabrał konsystencji dżdżownic.

Zaczął się zastanawiać, jak Miller potrafił w ten sposób zarabiać na życie. Zszokowało go, gdy uświadomił sobie, jak wiele z prowadzenia śledztwa sprowadzało się do rozwiązań siłowych. Przeglądania niekończących się list w poszukiwaniu jednej niepasującej pozycji. Ciągłych rozmów z każdym potencjalnym świadkiem. Wydeptywanie chodników, jak mogliby powiedzieć gliniarze z filmów neo-noir Aleksa.

Na wspomnienie Aleksa coś poruszyło się w jego pamięci i zaczął z powrotem przeglądać listę, aż dotarł do statku o nazwie *Pau Kant*. Jego ostatnie położenie oznaczono jako 434 Hungaria. Skała o wysokim albedo w grupie Hungarii, asteroid na orbicie stosunkowo bliskiej Marsowi, ale z dużą inklinacją. Kontrola przestrzeni Marsa złapała sygnał z *Pau Kanta*, a potem znowu go straciła. Oznaczyli statek jako zaginiony.

Tylko że przed tą krótką, pojedynczą oznaką istnienia *Pau Kant* wydawał się nie istnieć w żadnych rejestrach. Holden nie potrafił znaleźć żadnego opisu jego typu kadłuba ani napędu. Nie dotarł też do żadnej dokumentacji właściciela. Przeniósł statek na listę tych,

którym chciał się przyjrzeć później, ale coś dotyczącego Marsa i asteroid pasa wewnętrznego nie dawało mu spokoju.

Grupa Hungarii nie była złym miejscem na ukrywanie różnych rzeczy. 434 Hungaria miała około dwudziestu kilometrów średnicy. Całkiem sporo masy do ukrycia statków przed radarem, a wysokie albedo grupy utrudniałoby znalezienie czegoś za pomocą teleskopu. Sama lokalizacja też była intrygująca. Gdyby radykaliści z SPZ zbierali statki do pirackich ataków na transportowce kolonizacyjne, wewnętrzny Pas wcale nie był złym miejscem na ich ukrycie. Całkiem niedawno wyprowadzili też atak na Ziemię. Fakt, że był nieudany, nie znaczył, że nie mogli planować kolejnych. Grupa skradzionych statków ukrywających się w pierścieniu wewnętrznym była dokładnie rodzajem pierwszego kroku, jakiego mogła wymagać kolejna próba.

Asteroidy Hungarii znajdowały się bardzo daleko od bieżącej lokalizacji Tycho, a Holden nie miał statku. Za to były dość blisko Marsa, gdzie właśnie przebywał Aleks. Jeśli miał dostęp do statku, wycieczka w tamte okolice nie zajęłaby dużo czasu. Mógłby sprawdzić, czy *Pau Kant* jeszcze tam jest, przycumowany do skały i wygaszony. A gdyby pasował do któregoś z zaginionych statków Moniki? Cóż, ciekawie byłoby zanieść tę informację Fredowi.

Holden postawił terminal na stole tak, by kamera widziała jego twarz i włączył nagrywanie.



– Aleks. Cześć, mam nadzieję, że dobrze ci się tam wiedzie i z Bobbie wszystko w porządku. Wiesz, zająłem się tą sprawą z zaginionymi statkami i trafiłem na coś podejrzanego przy 434 Hungarii. Miałbyś może dostęp do jakiegoś statku? Gdyby trzeba było go wynająć, możesz pobrać fundusze z mojego konta. Chciałbym, żebyś poleciał i sprawdził, czy nie siedzi tam zaparkowany na zimno statek *Pau Kant*. Specyfikację kodu transpondera dołączam do wiadomości.

Zapisał w pliku wszystkie posiadane informacje na temat Pau i jego ostatniej lokalizacji z kontroli ruchu Marsa. Nie było tego wiele i wydawało się trochę naciągane, ale Aleks z przyjemnością skorzysta z okazji do lotu, a Holden był gotów za to zapłacić, więc nie czuł się zbyt nieprzyjemnie, prosząc go o tę przysługę.

Był przekonany, że napływ energii wynikający z poczucia postępów w sprawie będzie krótkotrwały, ale chciał się podzielić swoim sukcesem i czuł się obudzony, więc zadzwonił do Moniki. Został przełączony na automatyczną sekretarkę. Zostawił jej wiadomość z prośbą o oddzwonienie, zjadł resztę zimnego, paskudnego makaronu i natychmiast usnął na kanapie.

Następnego dnia nie miał zaplanowanej pracy przy *Rosie*, a Monika nie oddzwoniła, więc zadzwonił ponownie. Nie odebrała. Po drodze na śniadanie wstąpił do jej apartamentu, ale tam też jej nie było. Była na niego trochę obrażona, ale nie sądził, żeby wycofała się z całej sprawy zaginionych statków, niczego mu nie mówiąc. Zadzwonił pod inny numer.

– Ochrona Tycho – zabrzmiał młody męski głos.

– Hej, mówi Jim Holden. Chciałbym sprawdzić status dziennikarki, Moniki Stuart. Czy opuściła stację?

– Chwileczkę. Nie. Według systemu jest wciąż na pokładzie. Jej apartament znajduje się...

– No właśnie? Stoję przed jej drzwiami i nie reaguje na pukanie ani nie odbiera na ręcznym terminalu.

– Według naszych rejestrów jej terminal nie łączył się z siecią Tycho od wczorajszego południa.

– Hm – powiedział Holden, marszcząc brwi. Cisza panująca po drugiej stronie nabrała złowieszczonego zabarwienia. A co, jeśli postanowią pozbyć się gościa z latarką? Nie był jedynym, który pasował do tego opisu. – Widzę też, że przez ostatni dzień nie wykazała żadnej aktywności, nawet nie zapłaciła za kanapkę. To nie wygląda dobrze. Mam wysłać patrol?

– Proszę.

Do czasu, gdy patrol ochrony przyszedł i otworzył drzwi do apartamentu Moniki, Holden spodziewał się już najgorszego. Niestety, miał rację. Jej pokoje zostały metodycznie przeszukane. Ubrania i rzeczy osobiste Moniki leżały rozrzucone na podłodze, ręczny terminal używany przez nią do wywiadów został rozbity czymś obcasem, ale ekran zamigotał pod dotykiem Holdena. Patrol nie znalazł żadnych śladów krwi, co było chyba jedynym dobrym znakiem.

Kiedy policja kończyła sprawdzać pomieszczenia, Holden zadzwonił do Freda.

– To ja – powiedział, gdy tylko szef SPZ odebrał połączenie. – Masz większy problem niż radykaliści na Medynie.

– Doprawdy? – odpowiedział Fred znużonym głosem. –  
A na czym polega?

– Masz ich na Tycho.

## Rozdział czternasty

### Naomi

Śluza Terryona miała być nową jakością w pustce układu Jowisza. Ojczyznę Pasiarzy. Modułową, żeby mogła się rozrastać lub kurczyć według potrzeb, poza kontrolą Ziemi, Marsa czy kogokolwiek. Wolnym miastem w przestrzeni, z własnym rządem i własną kontrolą środowiska. Naomi oglądała plany, gdy pierwszy raz pojawiły się w sieci. Rokku wydrukował je na cienkim plastikowym arkuszu i przyczepił do ścian statku. Śluza Terryon była nową Jerozolimą do chwili, gdy została zamknięta przez siły bezpieczeństwa z Ganimesesa. Żadnych kolonii bez pozwolenia, żadnych domów. Żadnych bezpiecznych przystani, nawet jeśli zbudują je sami.

Kiedy to się stało, nie była nawet jeszcze w ciąży i nie wiedziała, że to ją ukształtuje.

\* \* \*

Filip miał osiem miesięcy, gdy doszło do katastrofy *Augustína Gamarra*. *Gamarra* wyleciał z Ceres, kierując

się do stacji badawczej floty Koalicji na Oshimie z ładunkiem materiału organicznego i sprzętu hydroponicznego. Po dziesięciu godzinach od wylotu, przy leniwej jednej czwartej g, butelka magnetyczna statku zawiodła, wylewając rdzeń fuzyjny do wnętrza statku. Przez ułamek sekundy *Gamarra* był jasny jak słońce, w którym zginęły dwieście trzydzieści cztery osoby. Nic nie ocalało z katastrofy i nigdy nawet nie zamknięto oficjalnego śledztwa w tej sprawie, ponieważ nie dało się sformułować żadnych wniosków. Wypadek lub sabotaż. Pech lub morderstwo.

Przeszli z ukrytej komory na tyłach klubu do prywatnego mieszkania jeszcze bliżej osi obrotu. Powietrze miało zbyt czysty, ozonowy zapach niedawno wymienionego filtra do wymiennika. Filip siedział ze złożonymi rękami przy małym stole, Naomi na brzegu maleńkiej sofy z pianki i żelu. Wpatrywała się w ciemne oczy chłopaka i próbowała połączyć je w myślach z tymi, które zapamiętała. Jego usta z pełnym zachwytem, bezzębnym uśmiechem. Nie potrafiła stwierdzić, czy faktycznie widzi jakieś podobieństwo, czy to tylko jej wyobraźnia. Jak bardzo ktoś zmieniał się między jeszcze prawie niemowlęciem a jeszcze prawie nastolatkiem? Czy to naprawdę mógł być ten sam chłopiec? To nie był nikt inny.

Mieszkanie nie było opuszczone: w szafce leżały ubrania, a w małej lodówce chłodziło się piwo. Na jasnych ścianach przy rogach widać było zagłębienia

i otarcia pozostałe po latach drobnych wypadków. Nie powiedział, do kogo należy mieszkanie, a ona nie pytała.

– Dlaczego nie sprowadziłaś *Rosynanta*? – zapytał Filip.

Jego głos brzmiał trochę niepewnie, jakby to pytanie tylko zastępowało inne, które naprawdę chciał zadać. Na które chciałaby móc odpowiedzieć. Dlaczego odeszłaś? Nie kochałaś nas?

– Jest w doku, przechodzi naprawy. I potrwa to jeszcze całe miesiące.

Filip kiwnął głową, raz, ostro. Zobaczyła w tym ruchu Marco.

– To trochę skomplikuje sytuację.

– Marco nie powiedział mi, że chcesz statku – powiedziała Naomi, nienawidząc implikowanych tymi słowami przeprosin. – Powiedział tylko, że masz kłopoty, że unikasz policji i że ja mogę... mogę pomóc.

– Będziemy musieli coś wymyślić – odparł.

\* \* \*

Gdy zbliżał się termin porodu Naomi, szpitale na Ceres należały do najlepszych w Pasie. Żadne z nich nie miało dość pieniędzy, by polecieć na Europę czy Ganimesa na czas ciąży, a Ceres była bliżej okolic pracy Rokku niż stacja Tycho. Poród był dla Pasiarek znacznie trudniejszy niż dla kobiet żyjących w stałym ciążeniu, a w trakcie ciąży Naomi przeżyła już dwie niebezpieczne sytuacje. Razem z Marco zamieszkali w tanim, wynajętym mieszkaniu blisko szpitala, jednego z wielu obsługujących

Pasiarzy, którzy przybywali w poszukiwaniu opieki medycznej. Warunki wynajmu nie określały konkretnej daty zakończenia, dzięki czemu mogli zostać tak długo, aż nie będą potrzebować pomocy lekarzy, pielęgniarek, systemów eksperckich i leków, którymi chwalił się kompleks medyczny.

Naomi wciąż pamiętała kształt łóżka w tamtym pokoju i tanie plastikowe zasłonki z wydrukowanymi konstelacjami, które Marco zawiesił nad drzwiami. Ich zapach sprawiał, że robiło jej się niedobrze, ale Marco był taki z siebie dumny, że je tolerowała. Zresztą nawet tak późno w ciąży niedobrze robiło się jej od bardzo wielu rzeczy. Spędzała dni, śpiąc i czując w sobie ruchy dziecka. Jako płód Filip był bardzo niespokojny. Wcale nie czuła się wtedy, jakby miała urodzić, czuła się jak kobieta kontrolująca swój los.

\* \* \*

– Ilu ludzi musisz stąd wydostać? – zapytała Naomi.

– Łącznie piętnastu.

– Razem z tobą?

– Szesnastu.

Kiwnęła głową.

– Jakiś ładunek?

– Nie – odpowiedział.

Wyglądał, jakby miał coś dodać, ale po chwili odwrócił wzrok.

\* \* \*

W tamtych czasach Ceres wciąż była pod kontrolą Ziemi. Większość mieszkających w bazie ludzi stanowili Pasiarze, którzy przyjęli kontrakt, pracując dla jednej z korporacji z Ziemi lub Marsa. Ziemską ochrona zapewniana przez Pasiarzy, ziemską kontrola ruchu w wykonaniu Pasiarzy. Marsjańskie badania biotechnologiczne prowadzone przez Pasiarzy. Marco śmiał się z tego wszystkiego, ale w śmiechu pobrzmiwała desperacja. Nazywał stację Ceres największym pomnikiem syndromu sztokholmskiego.

Wszyscy latający z Rokku oddawali część swoich udziałów na rzecz SPZ, włącznie z Naomi. Z kolei SPZ opiekowało się nimi, włącznie z ostatnimi dniami jej ciąży: miejscowe kobiety przynosiły jedzenie do ich dziury, miejscowi mężczyźni zabierali Marco do barów, żeby mógł porozmawiać z kimś oprócz niej. Naomi czuła olbrzymią wdzięczność. W te wieczory, gdy Marco wychodził, pijąc z miejscowymi mężczyznami, a ona leżała sama w łóżku z Filipem, jej umysł rozszerzał się w ciszy i czuła niemal transcendentne zadowolenie. A przynajmniej tak to teraz pamiętała. Wtedy, gdy nie wiedziała jeszcze, co się wydarzy, mogła tego doświadczać inaczej.

\* \* \*

– Gdzie chcecie się znaleźć?

– O tym nie rozmawiamy – oświadczył Filip.

Naomi odgarnęła włosy sprzed oczu.



– Sprowadziłeś mnie tutaj, bo to bezpieczne miejsce, sa sa? To w końcu nie chcesz, żeby ktoś cię podsłuchał, czy uważasz, że jeśli mi powiesz, to zagrozę twojemu bezpieczeństwu? Bo jeśli nie ufasz mi na tyle, żeby poprosić o to, czego chcesz, to nie ufasz mi dość, żebym tu była.

Jej słowa zdawały się nieść więcej znaczeń, niż mogły pomieścić, jakby proste fakty dotyczące logistyki znaczyły też coś na temat powodów jej odejścia. O tym, kim dla siebie byli. Miała wrażenie, że czuje, jak słowa trzeszczą, ale nie wiedziała, czy Filip też to słyszy, ani jak mogłaby coś powiedzieć inaczej. Przez chwilę coś się poruszyło w jego twarzy. Żal, nienawiść czy ból – uczucia zniknęły za szybko, żeby je zidentyfikować. Osiadła w niej nowa warstwa poczucia winy, przygniatając ją. Choć w porównaniu z wcześniejszymi ta była trywialna.

– Powiedział, że mam ci to zdradzić dopiero po opuszczeniu stacji – wyjaśnił Filip.

– Najwyraźniej nie wiedział, że będę musiała zorganizować lot na innym statku. Plany się zmieniają, tak to działa.

Filip skupił na niej spojrzenie oczu twardych jak kamień. Dotarło do niej, że nieświadomie zacytowała Marco. Może Filip uznał to za policzek, że używając jego słów, próbuje mu odebrać ojca. Nie wiedziała. Nie знаła go. Musiała sobie to ciągle przypominać.

– Mamy punkt spotkania.

– Jakiś konkretny czas?

– Tak.

– Jak długo?

W jego oczach zobaczyła niewypowiedziane *nie rozmawiamy o tym*. Odpowiedział cichszym, młodszym głosem. Bardziej wrażliwym.

– Niedługo.

– Jak bardzo?

Odwrócił wzrok.

– Bardzo niedługo.

\* \* \*

Wiedziała wtedy, że na Ceres działają ekstremistyczne frakcje SPZ, ale jej to nie przeszkadzało. Radykalne SPZ wciąż było SPZ, a to czyniło z nich rodzinę. Może to jak z tym szalonym wujkiem, który się upijał i wywoływał burdy, ale przy Ziemi podwyższającej stawki cła i Marsie obniżającym ceny, jakie był gotów płacić za rudę, poczucie funkcjonowania w stanie obłąkania sprawiało, że Pasiarze byli najważniejsi. Na dodatek po dłuższym lataniu z Rokku hasła o zabijaniu Ziemiaków i Marsjan stały się prawie szumem tła.

Poród był trudny. Trwał trzydzieści godzin. W trakcie porodu rozerwały się jej mięśnie ściany jamy brzusznej, osłabione życiem w niskim ciężeniu. Gdyby byli na statku Rokku lub nawet na stacji Hygeia, mogłaby umrzeć, zabierając ze sobą dziecko, ale kompleks medyczny na Ceres stykał się już nawet z gorszymi przypadkami. W jej sali przez cały czas przebywała siwowłosa kobieta z fantastycznie wytatuowanymi dłońmi i rękami, śpiewając cicho piosenki w suahili i po arabsku. Choć

Naomi zapomniała jej imienia, wciąż pamiętała jej wygląd i głos. Jeśli w ogóle знаła jej imię.

Filip wciągnął pierwszy, wymęczony i gniewny oddech o piątej rano następnego dnia po tym, jak zgłosiła się do szpitala. Automatyczny lekarz pediatryczny zeskanował go, oceniał przez najdłuższe pięć sekund w życiu Naomi i oznajmił, że dziecko mieści się bezpiecznie w granicach odchylenia standardowego. Siwowłosa kobieta ułożyła go na piersi Naomi i wyśpiewała błogosławieństwo.

Nie zastanawiała się, gdzie jest Marco. Uznała, że gdzieś czeka, gotowy do rozdawania jakiegoś odpowiednika cygar, gdy tylko dowie się o wyniku porodu. O niej i o ich synu. Może nawet było to prawdą.

\* \* \*

– Musimy gdzieś dolecieć czy wystarczy wy dostać się ze stacji? – zapytała Naomi.

– Wydostanie się ze stacji to warunek konieczny. Lepiej tam dolecieć, ale zdecydowanie nie tutaj.

– A gdzie lecimy?

– Grupa Hungarii. – Grupa pomniejszych asteroid o wysokim albedo. Żadnej stacji, ale otwarty dla wszystkich magazyn. Na tyle blisko planet wewnętrznych, na ile zbliżały się skały Pasiarzy.

– Spotkamy się tu z kimś?

– Nie tu. Kilka dni drogi w stronę Słońca jest statek. Ale zacumowany do Hungarii. Nazywa się Pella.

– A co potem?

Filip wykonał dłońmi pasiarskie wzruszenie ramion. Najwyraźniej mogła się dowiedzieć tyle, ale nie więcej. Zastanawiała się, co by się stało, gdyby napierała, ale wiedziała, że nie wykona tego eksperymentu. *Przepraszam, pomyślała. Kocham cię bardziej niż cokolwiek innego, co kochałam w życiu. Zostałabym, gdybym mogła. Zabrałabym cię ze sobą.*

Filip spojrzał na nią i odwrócił wzrok.

\* \* \*

Kilka tygodni po porodzie spędziła na dochodzeniu do siebie. Dziecko nie pozwalało jej spać za długo, ale poza tygodniem, kiedy dostał piekielnej kolki, nie był ani trudniejszy, ani łatwiejszy, niż jej mówiono. Najgorsze, czego doznawała, to nuda, ale Marco zaradził temu. W lokalnej grupie, z którą pijał, byli mechanicy i technicy z portu, więc Marco zaczął jej przynosić problemy techniczne, które próbowali rozwiązać. Były to sprawy, które konsultanci techniczni rozwiązaliby za połowę ich miesięcznej płacy. Zajmowała się nimi z dobrej woli i potrzeby robienia czegoś, co stanowiłoby wyzwanie intelektualne. Kiedy Filip drzemał w plastikowej kołysce, ona modyfikowała programy diagnostyczne do recyklerów wody. Tworzyła wirtualne sekwensery do jednostek wykrywających naprężenia ścinające. Projektowała obejścia programowe do testowania wartości granicznych magnetycznych pól ograniczających.

Takich jakie niedługo później zawiodły na *Gamarrze*.

\* \* \*

– No dobrze – odpowiedziała Naomi. – Zobaczę, co da się zrobić.

– Masz dostęp do innego statku? – zapytał Filip.

– Może uda mi się coś wynająć.

– Nie możesz po prostu wynająć czarteru. To musi być coś nie do wyśledzenia.

Wiedziała, że to znaczyło, że po tym, co się stanie, na poszukiwanie Filipa, Cyna i pozostałych wyruszą ludzie z bronią. Może policja, może rywalizująca frakcja, może jeszcze coś innego, czego nie przewidziała. Jednak będą konsekwencje. I przemoc.

– Może uda mi się coś wynająć dyskretnie – zasugerowała. – Jeśli to się nie uda, dopilnuję, żeby nie dało się tego powiązać z tobą.

Filip przełknął ślinę. Przez chwilę dostrzegła w nim przebłysk strachu. Miał teraz szesnaście lat. O rok mniej niż ona, gdy poznała jego ojca. Był trzy lata młodszy, niż ona, kiedy pierwszy raz przystawiła go do piersi, by go nakarmić.

– Szukałabym cię, gdyby on mi pozwolił – powiedziała Naomi. Słowa wypłynęły z potrzeby, której nie potrafiła kontrolować. Był chłopcem, a już nosił ciężar, złożony na niego przez Marco. Czynienie go odpowiedzialnym za jej uczucia nie było objawem współczucia. Wstała. – Nie musisz niczego robić w tej sprawie. Ja bym to zrobiła. Gdyby mi pozwolił.

*Gdyby mi pozwolił. Te słowa były ciężkie i toksyczne jak ołów. Zrobiłabym, co chciałam, tylko że on wciąż mnie kontrolował. Nadal to robi. Po tych wszystkich latach, wszystkich zmianach i wszystkim, co zrobiłam i kim się stałam, nie zostawiłabym mu cię, tylko że Marco nadal mnie kontroluje. Ogranicza. Karze za to, że nie pozwalam mu jawnie rządzić.*

– Dobrze – odpowiedział Filip.

Jego twarz niczego nie wyrażała.

Naomi kiwnęła głową. Zaciskała dłonie w pięści tak mocno, że rozboleły ją kostki. Zmusiła się do rozluźnienia.

– Daj mi dzień, będę wiedzieć więcej.

– Przyjdź do klubu – rzucił Filip. – Jeśli nas tam nie będzie, poczekaj, skontaktujemy się z tobą. Musimy być w ruchu.

*Myślałam, że będę mogła z tobą zostać, pomyślała, a potem poczuła nienawiść do siebie za odczuwane rozczarowanie. To nie było połączenie rodziny, jej niedokończone sprawy z Filipem mogły ją tu sprowadzić, ale on robił coś innego. Coś, co z powrotem sprowadziło do jego świata dawno utraconą matkę. Jeśli chciała z nim siedzieć, jeść słodczyce i wymieniać opowieści, jak nigdy tego nie robiła, to był jej problem.*

– Dobrze – zgodziła się.

Zawahała się, a potem odwróciła do drzwi. Gdy do nich dotarła, znowu się odezwał, ściśniętym głosem. Jakby trudno było mu wymówić te słowa.

– Dziękuję, że przyleciałaś.

Poczuła to w mostku, jakby ktoś uderzył młotem w kości chroniące jej serce. Filip przyglądał się jej znad stołu. Był tak podobny do swojego ojca. Spróbowała sobie wyobrazić, że nigdy sama nie była tak młoda. Wyobrazić sobie, że w tym wieku potrafiłaby dobrać słowa tak całkowicie puste, pocieszające i okrutne. Poczuła, jak jej usta unoszą się na milimetr w uśmiechu. Był to bardziej wyraz żalu niż radości.

– Kazał ci to powiedzieć – odparła. – Prawda?

Milczenie chłopca można było zinterpretować na tysiąc sposobów.

\* \* \*

Po *Gamarrze* Marco przyszedł do domu pijany i szczęśliwy po zakończonym świętowaniu. Kazała mu być cicho, żeby nie budził dziecka. Marco chwycił ją w ramiona i zakręcił w ich małym pokoju, aż uderzyła kostką w łóżko i krzyknęła z bólu. Postawił ją i rozmasował uraz. Całował. Popatrzył na nią z uśmiechem, który był w równym stopniu pytaniem co obietnicą, a ona zaczęła się zastanawiać, czy potrafili się kochać na tyle cicho, żeby nie obudzić Filipa. O tym właśnie myślała, gdy ją zniszczył.

– Zrobiliśmy to my. Ty, que si?

– Co zrobiliśmy? – zapytała, opierając się o żel na łóżku.

– Wyrównaliśmy rachunki za Śluzę Terryon – wyjaśnił Marco. – Powstaliśmy dla Pasa. Dla nas, dla niego.

Marco kiwnął głową w stronę dziecka. Filip trzymał kciuk w ustach, oczy miał zaciśnięte tak mocno, jakby nigdy więcej nie miały się otworzyć. Wiedziała, zanim zrozumiała, co właściwie wie. Silny prąd przebiegł przez jej serce, brzuch, całe ciało. Marco to wyczuł. W głowie wciąż miała wypalone wspomnienie jego dwuznacznego uśmiešku.

– Co takiego zrobiłam? – zapytała.

– Zbrodnię doskonałą – wyjaśnił. – Pierwszą z wielu.

Zrozumiała. *Gamarra* został zniszczony jej kodem. Wszyscy, którzy zginęli na tym statku, nie żyli przez nią, a wszystkie rozmowy i przechwałki Rokku przestały być pustymi słowami. Marco był teraz zabójcą. Ona też. I tak się kochali: on był zbyt rozpalony i niebezpieczny, by mu odmówić, ona zbyt pogrążona w szoku, by choćby zrozumieć, jak bardzo chciała zaprotestować. Nienawidziła tego, ale to zrobili. To był początek mrocznej ery, choć z perspektywy czasu cała reszta – depresja, strach, utrata Filipa, nieudana próba samobójcza – wynikały właśnie z tamtej nocy.

Drobny druk nad bramą do piekieł.

\* \* \*

Wynajęcie dziury blisko portu było łatwe. Miała dość pieniędzy, żeby kupić anonimowy kredyt, przekierować fundusze przez platformę wymiany poza stacją i ściągnąć z powrotem na tymczasowe konto. Robienie tego wszystkiego wydawało się dziwne tylko dlatego, że dawno tego nie ćwiczyła. Od czasu, gdy zaciągnęła się na



*Canterbury*, a miała wrażenie, że było to siedem długości życia temu.

Siedziała na łóżku z cienkim żelowym materacem i czekała, aż miną mdłości i łkanie. W końcu miną, choć w najgorszych chwilach wydawało się, że będą trwać w nieskończoność. Potem wzięła długi prysznic i przebrała się w czyste ubranie kupione w pobliskim sklepiku. Przyglądanie się, jak twardej krążek skompresowanej tkaniny rozwija się w kombinezon, skojarzyło się jej z owadem wypełzającym ze skorupy. Miała wrażenie, że to powinna być metafora czegoś.

Jej terminal ręczny pokazywał kilka kolejnych nowych wiadomości od Jima. Nie odtworzyła ich. Gdyby to zrobiła, mogłaby ulec pokusie odpowiedzi, przyznania mu się i wyzalenia się, wygadania się komuś, komu całkowicie ufała. A potem on czułby się zobowiązany do zrobienia czegoś. Przybycia i naprawienia sytuacji. Wkroczenia w ten bajzel, w który się wpakowała, i w to wszystko, co zrobiła. Dystans między tutaj i tam, między Marco i *Rosynantem* był zbyt cenny, by go utracić. Czas na pocieszenie przyjdzie później, gdy zrobi już to wszystko, co musi. Kiedy uratuje Filipa. Gdy ucieknie od Marco. Tak więc nie odtworzyła wiadomości, ale też ich nie skasowała.

\* \* \*

Nawet po powrocie do Rokku Marco zaczął się stylizować na lidera. Był w tym dobry. Niezależnie od tego, jak fatalnie wyglądała sytuacja, zawsze potrafił

przedstawić każdą nową trudność jako coś, co uwzględnił w swoich planach, a każde rozwiązanie – nawet takie, z którymi logicznie nie miał nic wspólnego – w jakiś sposób świadczyło o jego geniuszu. Kiedyś wyjaśnił, jak mu się to udaje.

Według niego sztuczka polega na tym, by opracować prosty plan, który w zasadzie nie może się nie udać, dzięki czemu zawsze będzie się coś miało, a potem na tym opierać dodatkowe ryzyko. Mieć kolejną alternatywę, której szanse powodzenia wynosiły może jeden na sto, a jeśli się uda, tym lepiej dla niego. A potem taką, której szanse sukcesu wynosiły może jak jeden do dwudziestu i jeśli to się udało, wyglądał na najbystrzejszego w pokoju. A do tego taką z szansą jeden na pięć, choć należało wyglądać, jakby się wiedziało, że da radę to zrobić. A nawet jeśli wszystko inne zawiedzie, i tak zostanie ten podstawowy plan, z którym zawsze można było wygrać.

Jeśli istniał jeden zwrot definiujący Marco, to właśnie ten: zawsze wygrać.

Przez kolejne lata nie raz zastanawiała się, gdzie ona mieściła się na tej skali. Czy była jego jedną szansą na sto, czy pewnym zwycięstwem? Nigdy nie wiedziała i nie było mowy, żeby się dowiedziała. Teraz nie miało to już nawet dla niej znaczenia, może na poziomie swędzenia miejsca, którego nie dało się podrapać.

A teraz znowu wylądowała tutaj, robiąc to, czego chciał. Uczynił ją częścią swoich planów, niezależnie od tego, jak wyglądały. Choć tym razem wiedziała, z kim ma

do czynienia. Nie była już dziewczyną, którą oszustwem skłonił do sabotażu *Gamarry*. Nie była zakochaną nastolatką w sytuacji, której nie rozumiała, a Filip nie był niemowlęciem, którego można było porwać i trzymać jako zakładnika gwarantującego jej dobre zachowanie. Jej milczenie.

Więc może – może – to była chwila, której chciała. Może wezwanie jej było błędem Marco. Odsunęła od siebie tę myśl. Była zbyt niebezpieczna, zbyt skomplikowana. Za bardzo kojarzyła się z czymś, czego Marco się po niej spodziewał.

Przeglądając katalog stacji, potrzebowała prawie godziny na znalezienie adresu pomimo tego, że wiedziała, czego szukać. Nie wiedziała, czym zajmuje się firma Przewozy na obrzeża poza tym, że byli dostatecznie podejrzani, by nie chciała z nimi pracować, ale równocześnie dość kompetentni, że dowiedzieli się o marsjańskich roszczeniach i wezwaniu do sądu w sprawie *Rosynanta*, zanim dowiedziała się o nim załoga. Naomi znalazła ich fizyczny adres – inny niż odwiedzony poprzednim razem – i skorzystała z wózka.

Magazyny blisko portu nieustannie zmieniały właścicieli. Wymogi handlu i wydajności wymuszały wykorzystanie każdego kawałka przestrzeni z minimalnym czasem między umowami wynajmu, ładowania i rozładunku. Tabliczka na drzwiach z matowanego szkła głosiła PRZEWOZY NA OBRZEŻA, choć za tydzień, dzień czy godzinę mogła zostać zmieniona na coś innego.

Uśmiechnął się do niej młody mężczyzna stojący za ladą. Miał krótko ścięte włosy i skórę kilka odcieni ciemniejszą niż ona. Okulary w drucianych oprawkach mogły być ozdobą lub interfejsem komputerowym. Nigdy wcześniej go nie widziała.

– Witam panno Nagata – powiedział, jakby byli starymi znajomymi. – Minęło trochę czasu. Bardzo mi przykro, ale chwilowo nie mamy żadnej oferty pracy odpowiedniej dla pani statku.

– Nie w tej sprawie tu przyszedłam – odpowiedziała. – Chciałabym wynająć statek, i to zdecydowanie dyskretnie.

Wyraz twarzy mężczyzny nie uległ zmianie.

– To może być kosztowny problem.

– Nie musi pomieścić więcej niż dwadzieścia osób.

– Na jak długo pani go potrzebuje?

– Nie wiem.

– Czy będzie przewoził ładunek?

– Nie.

Spojrzenie mężczyzny na chwilę straciło skupienie. Czyli okulary faktycznie były interfejsem. Naomi złożyła ręce na piersiach.

*Jeden na sto, pomyślała. Przylatuję własnym okrętem wojennym, gotowa zabrać ludzi z Ceres. Jeden na dwadzieścia, znam kogoś, kto to robi.* Zastanawiała się, jak wyglądał plan jeden na pięć. Co było pewnikiem.

Mężczyzna z powrotem skupił na niej spojrzenie.

– Chyba będziemy mogli pomóc – oznajmił.

## Rozdział piętnasty

### Aleks

Jazda do szpitala była czystym koszmarem. W miarę jak pojazd pokonywał kolejne korytarze, zaczęły powoli działać środki przeciwbólowe. Połączenie otępienia i ostrości w ciele zmieniło się w głębokie i niepokojące poczucie, że coś jest nie tak. Raz, gdy byli blisko wjazdu na oddział ratunkowy, czas przeskoczył: jego świadomość na chwilę odpłynęła i wróciła. Żaden z ratowników nie zwracał na niego szczególnej uwagi, wszyscy skupiali się na Bobbie.

Duża kobieta miała zamknięte oczy, a z jej ust wystawała prawie przezroczysta plastikowa rurka, trzymając rozchylone szczęki. Z zajmowanego miejsca Aleks widział tylko część odczytów jej noszy i nie był pewien, jak interpretować wyświetlane dane. Ratownicy mówili krótkimi frazami, które wypowiadali pełnymi napięcia głosami. Słowa i zwroty w stylu *próbuję nadęcia* oraz *stabilizuję i utrzymywanie ciśnienia* wzbudzały w Aleksie panikę. Na ile widział ze swojego miejsca, ciało Bobbie było bezwładne. Powtarzał sobie, że nie umarła,

że gdyby nie żyła, nie próbowaliby jej ratować. Miał nadzieję, że to prawda.

Na oddziale ratunkowym został posadzony na wózek i zawieszony na automatyczne łóżko chirurgiczne podobne do tego, które mieli na *Rosynancie*. Skan trwał pewnie tylko półtorej minuty, ale wydawało mu się, że to wieczność. Wciąż obracał się na bok, rozglądając się za Bobbie, a potem przypominał sobie, że jest teraz w innej sali. Nawet wtedy nie rozumiał, do jakiego stopnia rany i leki przeciwbólowe wpłynęły na jego umysł – do momentu, aż przyszli policjanci i próbował wytłumaczyć, co zaszło.

\* \* \*

– To gdzie w tym wszystkim mieści się kobieta z pancerzem wspomaganym? – zapytała Bobbie.

Siedziała w swoim łóżku szpitalnym. Miała na sobie grubą, jednorazową koszulę szpitalną z papieru, z wydrukowaną na niej nazwą Szpitala Bhamini Pal, tworzącą granatowe wzory na błękitnym tle. Włosy ściągnęła w luźny kucyk, a sińce zaciemniały jej lewy policzek i kostki rąk. Poruszała się bardzo ostrożnie. Tak jak Aleks, gdy się przepracował i czuł się trochę obolały. On nie został dwukrotnie postrzelony – raz przez płuco, raz w prawą nogę – a mimo to poważnie rozważał skorzystanie z wózka w celu przedostania się ze swojej sali do jej.

– Chodziło mi o ciebie – wyjaśnił. – Miałem problem z przypomnieniem sobie twojego imienia.

Bobbie się roześmiała.

– Tak, będą chcieli z tobą porozmawiać jeszcze raz. Chyba to, co od ciebie usłyszeli, było trochę niejasne.

– Myślisz... może nie powinniśmy rozmawiać?

– Nie jesteśmy aresztowani – zauważyła Bobbie. – Jedyne z tych gości, który jeszcze żyje, obstawił się prawnikiem, zanim tu dotarł. Jestem pewna, że jeśli będą szukać kogoś do wsadzenia do więzienia, nie będą patrzeć w naszą stronę.

– Co im powiedziałaś? – zapytał Aleks.

– Prawdę. Że do mojego domu włamała się banda zbirów, związała mnie i zaczęła mnie na zmianę bić i wypytywać, dlaczego spotykam się z Alekssem Kamalem.

Aleks przycisnął górną wargę kciukiem tak, że aż zaczęła go boleć. Uśmiech Bobbie niósł sporo współczucia.

– Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobili – powiedział. – Nie mam żadnych wrogów na Marsie. O których bym wiedział.

Bobbie pokręciła głową i Aleks znowu zauważył, że jest zdumiewająco atrakcyjną kobietą. Odkaslnął i w duchu sklasyfikował tę myśl jako *koszmarnie nieodpowiednią w obecnych okolicznościach*.

– Przypuszczam – odpowiedziała Bobbie – że chodzi nie tyle o to, kim jesteś, ile o twoje powiązania.

– Holden?

– I Fred Johnson. A może nawet zdołali nas powiązać z Avasaralą. W końcu przez jakiś czas latała na *Rosynancie*.

– Przez jakieś półtorej minuty, lata temu.

– Pamiętam. Byłam tam – przypomniała Bobbie. – Mimo wszystko, najrozsądniejszy scenariusz, jaki wymyśliłam, jest taki, że sądzili, iż przekazuję ci jakieś informacje albo ty coś przekazujesz mnie. I, co jeszcze lepsze, że ta idea ich przestraszyła.

– Nie zamierzam zaglądać w zęby darowanemu koniowi, ale ta definicja „jeszcze lepsze” może mieć trochę długie zęby – skomentował Aleks. – Mówiłaś im o naszym śledztwie?

– Nie, nie jestem na to gotowa.

– Ale sądzisz, że miało to jakiś związek.

– O cholera, tak. Ty nie?

– Właściwie to miałem na to nadzieję – odparł Aleks i westchnął.

Ktoś po drugiej stronie korytarza krzyknął coś, czego Aleks nie zrozumiał. Obok przeszła pielęgniarka, marszcząc brwi.

– To co z tym zrobimy?

– Jedyne, co możemy – odparła Bobbie. – Będziemy dalej grzebać.

– Słusznie. No dobrze, to z czym właściwie mamy do czynienia?

Rysy twarzy Bobbie się wyostrzyły. Problemem, według jej słów, były statki. Flota marsjańska miała najnowsze, najlepsze statki w Układzie Słonecznym. Ziemia miała więcej jednostek, ale ich flota się starzała, posiadali sprzęt sprzed wielu generacji albo montowali w stare kadłuby nowe wyposażenie. W ciągu ostatnich



kilku lat obie floty poniosły spore straty. Niezależnie od tego, czy wpływy Avasarali należało uznać za wysłanie z misją, czy zachęcenie do działania, Bobbie zaczęła się przyglądać sytuacji, która okazała się interesująca.

Bardzo łatwo było prześledzić siedem dużych okrętów klasy *Donnagera*, ale flota przenoszonych przez nie korwet, jednostek typu *Rosynanta*, była dużo trudniejsza do upilnowania. Bobbie zaczęła od przejrzania danych dotyczących bitwy nad Io, poza Pierścieniem, z incydentu w powolnej strefie. Jeśli chciało się czytać raporty strat, było z czego wybierać.

I z początku liczby zdawały się pasować. Sześć statków straconych tutaj, kilka tam, wycofane kody transponderów. Jednak kiedy zaczęła się temu przyglądać uważniej, pojawiły się rozbieżności.

Tsuchi, korweta przydzielona do Bellaire, została po Io wycofana ze służby i rozebrana. Tyle że rok później pojawiła się w raporcie z działań niewielkiej grupy w okolicy Europy. Statek zaopatrzeniowy Apalala został wycofany ze służby, a potem, siedem miesięcy później, odebrał ładunek wysyłany na Ganimedesa. Ładunek leków utracony w wypadku pojawił się na krótko w manifeście załadunkowym towarów wysyłanych na Ceres, a potem znowu zniknął. Broń stracona w walce wokół tego, co było teraz stacją Medyna, pojawiła się jeden raz w audycie bazy Hekate, a potem zniknęła.

Bobbie sądziła, że ktoś przeszedł przez stare raporty i zmodyfikował je, fałszując zniszczenie statków, a potem usuwając je, a przynajmniej próbując usunąć

z późniejszych dokumentów. Znalazła blisko dziesięć poważnych rozbieżności w danych, ale nie miała szans zobaczyć śladów po skutecznie wymazanych jednostkach. A to znaczyło, że uczestniczył w tym ktoś postawiony na tyle wysoko w strukturze dowodzenia floty, by mieć dostęp do dokumentacji.

Oczywiście istniały procedury opisujące uprawnienia dostępu do archiwów, ale kiedy Aleks skontaktował się z nią, sugerując spotkanie, zajmowała się właśnie odkrywaniem, jak to faktycznie wyglądało w praktyce.

– Jeśli się na to piszesz – powiedziała Bobbie – chciałabym, żebyś właśnie temu się przyjrzał. Po prostu kto mógł zmodyfikować informacje. Wtedy będę mogła to sprawdzić.

– Czyli iść dalej tą samą drogą, którą już się wybrałaś – odpowiedział Aleks.

– Tylko może z jakimiś życzliwymi ludźmi z Floty.

– To jeden ze sposobów podejścia do sprawy. Ale nie jedyny.

Bobbie wyprostowała się na łóżku, ostro wciągnęła powietrze i odchyliła się z powrotem.

– Co jeszcze masz na myśli?

– Ktoś wynajął tych gości, którzy spieprzyli robotę. Wydaje mi się, że warto byłoby też spróbować dowiedzieć się więcej na ten temat.

Bobbie się uśmiechnęła.

– Zamierzałam się właśnie tym zająć.

– No dobrze – zgodził się Aleks, a wtedy w drzwiach pojawił się mężczyzna.

Był olbrzymi. Jego ramiona otarły się równocześnie o framugę z obu stron, a twarz o grubych rysach była spięta od uczucia, które mogło być strachem lub złością. Bukiet żonkili w jego dłoni wydawał się bardzo mały i pozostało tak, aż wylądowały w wazonie.

– Cześć – powiedział. – Ja tylko...

– Wejdz – ucięła mu Bobbie. – Aleks, to mój brat Ben. Benji, to Aleks Kamal.

– Miło mi cię poznać – powiedział olbrzym, obejmując dłoń Aleksa w uścisku i potrząsając nią delikatnie. – Dziękuję za wszystko, co zrobiłeś.

– Jasne – odparł Aleks.

Łóżko zatrzeszczało, gdy brat Bobbie usiadł w jego stopach. Popatrzył na siostrę ciełym wzrokiem. Teraz, gdy go przedstawiła, Aleks dostrzegł w nich pewne podobieństwo. Choć Bobbie lepiej prezentowała wspólne dziedzictwo.

– Lekarz mówi, że dobrze się goisz – odezwał się Ben. – David prosił o przekazanie, że o tobie myśli.

– To urocze, ale tak naprawdę David nie myśli o niczym poza terraformacją i cyckami – odparła Bobbie.

– Posprzątałem nasz pokój gościnny – powiedział Ben.

– Kiedy zwolnią cię ze szpitala, przyjdiesz mieszkać z nami.

Uśmiech Bobbie zrobił się ostrzejszy.

– Nie wydaje mi się, żeby tak miało być.

– Nie – rzucił jej brat. – To nie podlega dyskusji. Od początku mówiłem ci, że Innis Shallow to niebezpieczne

miejsce, zwłaszcza dla kogoś mieszkającego samotnie. Gdyby Aleks cię nie uratował...

– Nie jestem pewien, czy kogoś ratowałem – wtrącił się Aleks, ale Ben posłał mu gniewne spojrzenie i mówił dalej.

– ...mogłabyś zginąć. Albo jeszcze gorzej.

– Gorzej niż zginąć? – zapytała Bobbie.

– Wiesz, o co mi chodzi.

Bobbie nachyliła się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

– Owszem, wiem, i uważam, że to też bzdura. W Innis Shallow nie grozi mi większe niebezpieczeństwo niż w Breach Candy.

– Jak możesz tak mówić? – obruszył się jej brat, wysuwając szczękę do przodu. – Po tym, co właśnie przeszłaś, powinno być oczywiste, że...

Aleks ostrożnie ruszył w stronę drzwi. Bobbie spojrzała mu w oczy i uśmiech, który pojawił się na jej twarzy i zaraz zniknął, mówił bardzo wiele. Przepraszam oraz dziękuję i porozmawiamy o ważnych sprawach, gdy sobie pójdzie. Aleks przytaknął i wycofał się na korytarz, ścigany ostrymi głosami kłócącego się rodzeństwa.

Kiedy wrócił do swojego łóżka, czekała już na niego policja i tym razem złożył zeznania, które były przynajmniej spójne. Nawet jeśli niektóre kwestie ogólne zostały poruszone dość ogólnie.

\* \* \*

Na statkach dalekiego zasięgu rodzina była przeważnie metaforą. Co jakiś czas zdarzały się grupy z faktycznym, fizycznym pokrewieństwem, choć składały się niemal zawsze z Pasiarzy. Podczas lotów korporacyjnych i wojskowych mogły się zdarzać małżeństwa i czasami nawet latał ktoś z dzieckiem. Bywało, że na tej samej jednostce lądowali kuzyni. Jednak tak naprawdę były to wyjątki i w zasadzie rodzina była sposobem mówienia o potrzebie. Potrzebie przyjaźni, zażyłości, ludzkiego kontaktu tak głęboko zakorzenionych w ludzkim genomie, że każdy bez niej wydawał się nie być do końca człowiekiem. Generalnie sprowadzało się to do poczucia koleżeństwa, będąc synonimem lojalności o znaczeniu głębszym niż pojęcie opisywane tym słowem.

Doświadczenia Aleksa z prawdziwą rodziną – osobami z nim spokrewnionymi – przypominało raczej spotkanie mnóstwa ludzi, którzy trafili na to samo forum sieciowe, nie do końca wiedząc, dlaczego się do niego zapisali. Kochał swoich rodziców, gdy jeszcze żyli, i wciąż kochał ich wspomnienie. Jego kuzyni zawsze chętnie się z nim spotykali, a on cieszył się z ich życzliwości i lubił ich towarzystwo. Z drugiej strony zobaczenie Bobbie z bratem i poczucie nawet przez krótką chwilę głębokiej i niedającej się pokonać rozbieżności charakterów między nimi coś Aleksowi uświadomiło.

Matka mogła kochać swoje dziecko najbardziej na świecie, ale mogła go też serdecznie nienawidzić. Albo

obie rzeczy na raz. Siostra i brat mogli się dogadywać, walczyć ze sobą lub mijać się w niezręcznej obojętności.

A skoro prawdziwe pokrewieństwo krwi dzięki wspólnym przodkom mogło znaczyć dowolną z tych rzeczy, to może rodzina zawsze była metaforą.

Wciąż nad tym myślał, gdy dotarł do mieszkania Min. Byli tam jej wszyscy chłopcy i dziewczynka, którą adoptowali z mężem, jedząc wspólnie kolację, na którą składały się makaron i ryby, a wszyscy przywitali go, jakby dobrze go znali, jakby jego rany były dla nich ważne, jakby był im bliski. Siedział z nimi przez chwilę przy stole, wymieniając się żartami i minimalizując napad i jego skutki, choć tak naprawdę chciał – co zrobił, gdy tylko pozwoliła na to uprzejmość – wymówić się i ruszyć do przydzielonego mu pokoju gościnnego.

Czekała na niego wiadomość z *Rosa*. Od Holdena. Widok znajomych błękitnych oczu i zmierzwionych brązowych włosów był dziwnie oszałamiający. Aleks poczuł się, jakby jakaś jego część była już w drodze z powrotem na *Rosynanta*, i właściwie zaskoczyło go, że jeszcze go tam nie ma.

– Aleks. Cześć, mam nadzieję, że dobrze ci się tam wiedzie i z Bobbie wszystko w porządku.

– Owszem – odpowiedział Aleks do nagrania. – Zabawne, że o tym mówisz.

– Wiesz, zająłem się tą sprawą z zaginionymi statkami i trafiłem na coś podejrzanego przy 434 Hungarii. Miałbyś może dostęp do jakiegoś statku? Gdyby trzeba było go wynająć, możesz pobrać fundusze z mojego

konta. Chciałbym, żebyś poleciał zobaczyć, czy nie siedzi tam zaparkowany na zimno statek *Pau Kant*. Specyfikację kodu transpondera dołączam do wiadomości.

Aleks wstrzymał nagranie, czując mrowienie na karku. Zaginione statki zdawały się być tematem przewodnim tego dnia i poczuł się nerwowo. Odtworzył resztę wiadomości Holdena, pocierając przy tym podbródek. Było w niej znacznie mniej, niż chciałby wiedzieć. Rejestry dotyczące *Pau Kanta* nie twierdziły, że był jednostką marsjańską czy w ogóle czymś szczególnym. Aleks ustawił swój terminal na nagrywanie, zobaczył, jak wygląda na ekranie, przeczesał włosy palcami i zaczął rejestrację.

– Cześć, kapitanie. Dostałem twoją wiadomość o Pau Kancie. Zastanawiałam się, czy mógłbym dostać trochę więcej informacji na ten temat. Sam też pracuję nad pewną dość dziwną sprawą.

Opisał, co stało się jemu i Bobbie, nieco bagatelizując sytuację, choć naprawdę nie tak to odczuwał. Nie chciał przestraszyć Holdena w sytuacji, gdy ten nie mógł zrobić nic, by zapewnić bezpieczeństwo jemu i Bobbie. Poza informacją, że napastnicy wydali się przestraszeni obecnością Aleksa na miejscu przestępstwa, nie wspominał o szczegółach dotyczących śledztwa Bobbie i udziale Avasarali. Można to było przypisać paranoi, ale przesyłanie takich informacji bez kilku dodatkowych poziomów szyfrowania wydawało się proszeniem się o kłopoty. Z drugiej strony zapytał, jakie jeszcze statki zaginęły i czy może to mieć jakiś związek z Marsem.

Może sprawa, którą zajmował się Holden, była tylko przypadkowo podobna. Może *Pau Kant* i zaginione marsjańskie okręty nie miały ze sobą żadnego związku. Choć gdyby miał obstawiać, Aleks raczej nie na taką wersję postawiłby swoje pieniądze.

Sprawdził, czy dostał coś od Amosa lub Naomi, i poczuł lekkie rozczarowanie, gdy niczego nie znalazł. Nagrał krótkie wiadomości do obojga i wysłał je.

Z głównego pokoju mieszkania dobiegały głośnie tony dzieci prowadzących równocześnie trzy rozmowy, każde starało się, by jego głos był słyszany przez pozostałe. Aleks je zignorował, wywołując lokalny katalog i szukając starych nazwisk. Ludzi, których pamiętał z czasów służby wojskowej. Były ich dziesiątki. Marian Costlow. Hannu Metzinger. Aaron Hu. Zaczął szukać w katalogu starych przyjaciół, znajomych i wrogów, sprawdzając, kto wciąż siedzi na Marsie, wciąż we flocie i może go pamiętać na tyle dobrze, by spotkać się na kilka piw i rozmowę.

Do wieczora wytypował trzy osoby, wysyłając wiadomość każdej z nich, a potem poprosił o połączenie z Bobbie. Pojawiła się na jego ekranie po kilku sekundach. Gdziekolwiek była, nie wyglądało to na szpital. Zamiast niebieskiej koszuli szpitalnej miała na sobie bluzkę z zielonym kołnierzem, a włosy umyła i zaplotła z tyłu głowy.

– Aleks – powiedziała na przywitanie. – Przepraszam za brata. Ma dobre intencje, ale jest strasznym palantem.

– Każdy ma jakichś krewnych – odpowiedział. – Wróciłaś do siebie czy wylądowałaś u niego?



– Żadna z tych opcji. Musiałam wynająć ekipę sprzątającą, żeby usunęli krew z podłogi, i prowadzę audyt zabezpieczeń w celu sprawdzenia, jak dostali się do środka.

– No tak, nie czułbym się bezpiecznie przed zrobieniem czegoś takiego – zgodził się Aleks.

– Prawda? A jeśli ma dojść do kolejnego ataku, to zdecydowanie nie zamierzam siedzieć gdzieś, gdzie Ben i jego żona mogą się stać kolejnymi ofiarami. Wynajęłam pokój w hotelu. Mają własną ochronę i mogę zapłacić za dodatkowy monitoring.

W tle zabrzmiał głos Min, która nakazywała dzieciakom, żeby się uspokoiły. W jej głosie słyszał śmiech, odbity echem w protestach dzieci. Coś, niczym czyjaś dłoń, ścisnęło go za serce. Nie pomyślał o możliwości kolejnego ataku. A powinien.

– Mają tam jeszcze jakieś wolne pokoje? – zapytał.

– Prawdopodobnie. Mam sprawdzić?

– Nie, po prostu się spakuję i przyjadę tam, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Jeśli nie tam, to znajdę inne miejsce. *I ktokolwiek to zrobi, nie będzie to Min*, pomyślał, ale tego już nie powiedział. – Znalazłem kilka osób, z którymi spróbuję porozmawiać w ciągu następnych dni. Zobaczymy, czy coś z tego wyjdzie.

– Naprawdę to doceniam, Aleks – zapewniła Bobbie. – Powinniśmy porozmawiać o tym, jak bezpiecznie poruszać ten temat. Nie chcę, żebyś wszedł w jakąś pułapkę.

– Mnie też by się to nie podobało. A przy okazji, nie masz czasem dostępu do statku?

Bobbie zamrugała, zbita z tropu.

– Jakiego statku?

– Czegoś małego i szybkiego – wyjaśnił Aleks. – Może będę musiał podskoczyć do Pasa, rzucić okiem na coś dla Holdena.

– No cóż, właściwie to owszem – stwierdziła Bobbie. – Avasarala dała mi ten stary ścigacz rajdowy, który zabraliśmy Julesowi-Pierre’owi Mao. W zasadzie tylko zjada opłaty portowe, ale pewnie mogłabym go wypolerować.

– Żartujesz. Dała ci *Finwala*?

– Nie żartuję. Chyba to był jej sposób na zapłacenie mi bez faktycznego płacenia. Pewnie nie zrozumiałaby, z jakiego powodu jeszcze go nie sprzedałam. A dlaczego pytasz? Co się dzieje?

– Powiem ci, kiedy sam dowiem się więcej – zapewnił Aleks. – Może coś, może nic.

*Ale tak czy tak, pomyślał, zabierze nas to w miejsce, gdzie cholernie trudno będzie komuś wyprowadzić kolejny atak.*

## Rozdział szesnasty

### Holden

Nagrania monitoringu stacji Tycho obejmowały prawie wszystkie przestrzenie publiczne. Szerokie, otwarte korytarze, węższe przejścia, rusztowania i korytarze techniczne. Wydawało się, że jedynymi miejscami, gdzie nie sięgały oczy ochrony, były lokale firmowe i mieszkania prywatne. Nawet przy szafkach i warsztatach umieszczono kamery rejestrujące wszystkich, którzy z nich korzystali. To powinno ułatwić sprawę. Ale wcale tak nie było.

– To musi być to – oświadczył Holden, stukając palcem w ekran. Otworzyły się drzwi do mieszkania Moniki.

Wyszło z niego dwóch ludzi. Mieli na sobie lekkie kombinezony bez żadnych oznaczeń, dopasowane czapki i rękawiczki. Skrzynka, którą prowadzili na wózku między sobą, była wykonana z takiego samego tłoczonego plastiku i ceramiki, jakich służby żywnościowe i środowiskowe używały do transportu materiałów biologicznych (surowej masy grzybowej do teksturowania i dosmaczania, a potem wykonanej z niej

żywności oraz – w razie potrzeby – przetworzonych odchodów używanych jako nawóz dla grzybów). Skrzynię na wózku trzymały zaciski magnetyczne, a wskaźnik na boku dowodził, że jest uszczelniona. Była spora, być może dość duża, by pomieścić kobietę. Albo kobiece ciało.

Do środka weszli godzinę wcześniej, dwadzieścia minut po Monice. Cokolwiek się z nią stało, musiała być w tej skrzyni.

Fred zmarszczył czoło i pochylił się nad ekranem, po czym oznaczył skrzynię jako obiekt zainteresowania i kazał komputerowi ją śledzić. Holden nie potrafił się domyślić, o czym myśli starszy mężczyzna, ale jego oczy sugerowały gniew. Gniew i coś jeszcze.

– Poznajesz ich? – zapytał Holden.

– Nie ma ich w systemie.

– To jak dostali się na stację?

Fred posłał mu spojrzenie.

– Pracuję nad tym.

– Racja. Przepraszam.

Dwaj mężczyźni na ekranie – Holden był przekonany, że to mężczyźni – zawieźli skrzynię do korytarza technicznego, automatycznie śledzeni przez przełączany obraz z kolejnych kamer. W wąskiej przestrzeni skrzynia uderzała o ściany i próbowała się zaklinować na zakręcie.

– Drzwi i kąty – skomentował Holden.

– Co takiego?

– Nic.

Obraz z kamer pokazał, że mężczyźni z wózkiem weszli do magazynu. W środku stały całe palety

identycznych skrzyń. Mężczyźni podprowadzili wózek do częściowo wypełnionej palety, odblokowali magnesy i umieścili skrzynię na palecie z bliźniakami. Fred podzielił ekran, na połowie śledząc wózek, ale dodając okna dla każdego z mężczyzn. Jeden panel pokazywał magazyn, drugi śledził dwie postaci wychodzące na komunalne korytarze.

W magazynie pojawiło się dwóch operatorów meków, zgłosili w komputerze powrót z przerwy obiadowej i zajęli się zestawianiem skrzyń. Mężczyźni na korytarzu weszli do publicznej toalety i więcej z niej nie wyszli. Ekran z ich obrazem przyspieszył odtwarzanie aż do wyświetlenia czerwonego obramowania oznaczającego podgląd na żywo. Rozmowa telefoniczna z kierownikiem magazynu potwierdziła, że mężczyźni się tam nie ukryli, po prostu zniknęli. Wózek, wciąż wyświetlany na starszych nagraniach, został pogrzebany pośród innych, identycznych. Fred przyspieszył odtwarzanie. Operatorzy meków przychodzili i odchodzili. Palety były napełniane i ustawiane w stertach.

– Stan obecny – polecił Fred i obraz z kamer przeskoczył do przodu, nie zmieniając obiektu śledzenia. Cokolwiek było w skrzyni, nie zmieniło lokalizacji.

– No cóż – skomentował Fred, wstając. – Zaraz zmieni się to w bardzo nieprzyjemny dzień. Idziesz?

Kontrola środowiska w magazynie nie wykazała żadnych nieprawidłowości, ale Holden nie potrafił nie wyobrazić sobie, że wyczuł coś pod wonią oleju i ozonu.

Coś przypominającego zapach śmierci. Operatorką mecha była młoda kobieta o prostych, brązowych włosach w kolorze takim samym, jak jej skóra. Wyraz jej twarzy podczas przenoszenia skrzyń z palet świadczył o podnieceniu, ciekawości i ledwie hamowanym niepokojem. Z każdą zdjętą z palety skrzynią kamień w brzuchu Holdena robił się coraz cięższy. Monika powiedziała mu, że angażowanie innych ludzi w śledztwo jest niebezpieczne. Nie potrafił nie myśleć o tym, że cokolwiek znajdą za kilka minut w pojemniku, będzie to jego winą.

I będzie odpowiedzialny za naprawienie sytuacji. Przy założeniu, że da się ją naprawić.

– To ta – Fred zwrócił się do operatorki mecha. – Postaw ją tutaj.

Zgodnie z poleceniem kobieta ustawiła skrzynię na pustym pokładzie. Jej klamry magnetyczne zaskoczyły z głębokim stukiem. Kontrolka wskazywała, że skrzynia nadal jest szczelna. Nawet jeśli Monika została w niej umieszczona żywa, powietrze musiało się jej skończyć parę godzin temu. Mech się wycofał, osiadając na tytanowo-ceramicznych pośladkach. Fred podszedł, uniósł swój ręczny terminal i wystukał kod obejścia blokady. Kontrolka skrzyni zmieniła kolor. Fred otworzył pokrywę.

Woń była intensywnie organiczna. Holdena dopadło nagle, silne wspomnienie z rodzinnej farmy na Ziemi, gdy miał czternaście lat. Mama Sophie miała przy kuchni ogródek z ziołami, a gdy go przekopywała, pachniał tak

samo. Skrzynię po brzegi wypełniało miękkie, beżowe, surowe białko grzybowe. Fred pochylił się i głęboko wcisnął dłoń do środka. Szukając ukrytego ciała. Kiedy wyciągnął rękę, rękaw miał ubrudzony drobinkami materii. Pokręcił głową. Typowy gest Ziemianina.

– Jesteś pewien, że to właściwa skrzynia? – zapytał Holden.

– Tak – potwierdził Fred. – Ale i tak sprawdzimy.

Przez następną godzinę coraz bardziej zdezorientowana operatorka mecha wyciągała z palety skrzynie, a Fred z Holdenem je otwierali. Kiedy kłębki pyłu białkowego dwukrotnie aktywowały alarm zawieszony pyłu, Fred zrezygnował.

– Nie ma jej tutaj – oświadczył.

– Widziałem nagranie. To trochę dziwne, prawda?

– Owszem.

Fred potarł oczy kciukiem i palcem wskazującym. Wyglądał na starego. Zmęczonego. Kiedy się w sobie zebrał, wróciło emanujące z niego poczucie władzy i autorytetu.

– Albo gdzieś po drodze zamienili skrzynie, albo zmodyfikowali zapis z kamer.

Obie te opcje nie byłyby dobre.

Fred popatrzył na operatorkę mecha ustawiającą z powrotem w stosie otwarte skrzynie do przetworzenia. Odpowiedział cichszym głosem, tak, żeby usłyszał go tylko Holden.

– Obie te opcje oznaczałyby, że dysponują dobrą znajomością systemu bezpieczeństwa, ale nie dość

wysokim poziomem dostępu, żeby całkowicie skasować nagrania.

– To zawęży krąg podejrzanych?

– Może trochę. Mogłaby to być grupa infiltracyjna ONZ. Oni potrafiliby zrobić coś takiego. Albo Marsa.

– Ale nie sądzisz, żeby to byli oni, prawda?

Fred zagryzł wargę. Wyciągnął swój ręczny terminal i ostrymi, zdecydowanymi stuknięciami wpisał serię kodów. Rozbrzmiał klakson alarmu i na każdym wyświetlaczu pojawiły się złoto-zielone ikony ostrzeżenia, od ręcznego terminala Holdena po panele sterowania drzwi i panel stanu mecha. Fred z zadowolonym sapnięciem wbił rękę do kieszeni.

– Czy ty właśnie zablokowałeś całą stację? – zapytał Holden.

– Owszem – potwierdził Fred. – I zostanie zablokowana do czasu, aż uzyskam jakieś odpowiedzi. Oraz Monikę Stuart.

– Świetnie – pochwalił Holden. – Trochę ekstremalne, ale świetne.

– Mogę być trochę wkurzony.

\* \* \*

Zawartość apartamentu Moniki rozłożono na szarozielonych ceramicznych blatach laboratorium ochrony. Żadnej krwi, żadnych zdjęć, a w tle mieszanka DNA pochodzącego od tysięcy ludzi, którzy stykali się z tymi przedmiotami w ciągu ubiegłego tygodnia, zwykle z próbkami zbyt małymi, by zidentyfikować poszczególne



osoby. Tylko tyle zostało. Torba na ubranie z rozerwanym zamkiem zwisającym w głupkowskim uśmiechu. Bluzka, którą miała na sobie podczas spotkania z Holdenem kilka dni temu. Rozbity ręczny terminal z potrzaskanym wyświetlaczem. Wszystkie rzeczy, które nie należały do stacji, gdy wynajmowała apartament. Wydawało się, że jest tego bardzo mało, jakby nie wszystko tam było. Uświadomił sobie, że myśli o tych przedmiotach jak o kolekcji z całego życia. Prawdopodobnie swoje rzeczy trzymała gdzieś indziej, ale może wcale nie. Jeśli nie znajdą jej żywej, może tylko tyle po sobie pozostawi.

– Nie mówisz tego na poważnie – Sakai powtórzył chyba trzeci albo czwarty raz. Główny inżynier był zaczerwieniony i mocno zaciskał szczęki. Przyszedł na komisariat ochrony kilka minut po Fredzie i Holdenie, a ten ostatni trochę się dziwił, że Fred go jeszcze nie wyrzucił. – W ciągu tego tygodnia mam osiem przylatujących statków. Co mam z nimi zrobić? Kazać zaparkować na orbicie do czasu, aż zdecydujemy, czy wolno im zadokować?

– To całkiem niezły początek – odpowiedział Fred.

– W ramach pół tuzina kontraktów jesteśmy zobowiązani do wysłania towarów.

– Zdaję sobie z tego sprawę, panie Sakai.

Fred nie podniósł głosu, w jego słowach nie było złości. Jego chłodna uprzejmość sprawiła, że Holdenowi zaczęły się jeżyć włosy na karku. Sakai chyba w końcu też to poczuł. Nie powstrzymało go to, ale ton jego głosu zmienił się z oskarżającego na prawie błagalny.

– Mam do wysłania towary w ramach ponad dwudziestu zleceń. Liczy na nas bardzo dużo ludzi.

Przez chwilę barki Freda zdawały się opadać, ale odpowiedział równie pewnym głosem.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Wznowimy działalność najszybciej, jak będziemy mogli.

Sakai się zawahał, miał ochotę dodać coś jeszcze. Zamiast tego jednak tylko sapnął niecierpliwie i wyszedł z pokoju, a na jego miejsce weszła szefowa ochrony. Miała szczupłą twarz i Fred zwracał się do niej Drummer, choć Holden nie wiedział, czy to jej imię, nazwisko czy też tylko jakiś przydomek.

– Jak wam idzie? – zapytał Fred.

– Poradzimy sobie – zapewniła. W jej głosie brzmiał wyraźny akcent, którego Holden nie potrafił zlokalizować. Zerknęła na niego, ukłoniła się lekko i zwróciła się z powrotem do Freda. – Czy mamy jakieś informacje do przekazania, ile może potrwać ta blokada?

– Powiedz im, że przerwa w działalności będzie możliwie najkrótsza.

– Tak jest, sir. Dziękuję, sir – odpowiedziała Drummer i odwróciła się.

– Drummer. Zamknij drzwi, gdy będziesz wychodzić, dobrze?

Błysnęła białkami oczu, zerkając w stronę Holdena. Nic nie powiedziała, ale po wyjściu faktycznie zasunęła za sobą drzwi. Fred posłał Holdenowi zmęczony uśmiech.

– Sakai ma rację. Właśnie zamknąłem odpowiednik dużego miasta portowego z powodu jednej zaginionej

kobiety. Każda godzina blokady kosztuje Tycho tysiące kredytów w kilkunastu walutach.

– Czyli musimy ją znaleźć szybko.

– Jeśli nie wsadzili jej już do recyklerów i nie zmienili na wodę i kilka aktywnych cząsteczek – odparł Fred. – Poleciałem zestawom czujników skanowanie najbliższej okolicy – dodał po chwili. – Jeśli została wyrzucona w przestrzeń, niedługo się dowiemy.

– Dziękuję – powiedział Holden, opierając się o blat. – Wiem, że nie mówię tego często, ale naprawdę to doceniam.

Fred kiwnął głową w stronę drzwi.

– Widziałeś ją? Drummer?

– Jasne.

– Pracuję z nią bezpośrednio od trzech lat. A znam ją od dziesięciu.

– Rozumiem – odpowiedział Holden.

– Gdybyś zapytał mnie o to wczoraj, odpowiedziałbym, że zaufałbym jej swoim życiem.

– A teraz?

– A teraz jest na tej stacji dokładnie jedna osoba, co do której jestem pewien, że nie strzeli mi w tył głowy, jeśli będę dalej w tym grzebał, a tą osobą jesteś ty.

– To musi być nieprzyjemne.

– Zdecydowanie. Chcę przez to powiedzieć, James, że choć cieszę się, że doceniasz, co dla ciebie robię, od tej chwili zatrudniam cię też jako mojego osobistego ochroniarza. W zamian dopilnuję, żeby nikt nie zastrzelił ciebie.

Holden powoli kiwnął głową. Coś poruszało się w głębi jego głowy, jakby nie do końca uformowana myśl. Ogarnęła go fala zawrotów głowy, jakby stanął nad wysokim urwiskiem.

– Nas dwóch przeciwko głębokiej konspiracji SPZ.

– Aż do zebrania dowodów przeciw tej tezie.

– To naprawdę nieprzyjemna pozycja, prawda?

– Sam bym jej nie wybrał – potwierdził Fred. – Ale ktoś wie, jak obejść moje systemy zabezpieczeń, i niezależnie od tego, co robiła twoja koleżanka, wystraszyło ich to na tyle, że podjęli bezpośrednie działania i ujawnili swoje możliwości.

– Zaginione statki – przypomniał Holden. – Wspomniałem o tym kilku osobom.

– Tego się nie robi.

– Z perspektywy czasu żałuję, że nie trzymałem kart trochę bliżej piersi, ale...

– Nie tego – uciął Fred. – Jeśli wniknąłeś do systemów zabezpieczeń przeciwnika, nie robisz niczego, co zdradza, że ci się to udało. Elementarne zasady wojny informacyjnej. Jak długo przeciwnik nie wie, że jego systemy zostały naruszone, możesz dalej zbierać informacje wywiadowcze. Nie rezygnujesz z tego, chyba że stawka jest niewyobrażalnie wysoka albo...

– Albo?

– Albo przeciwnik, którego zinfiltrowałeś, i tak nie pozostanie długo w grze. Nie wiem, czy sprawa tych zaginionych statków wystraszyła kogoś na tyle, żeby

popęłnił głupi błąd, czy też moja pozycja na Tycho jest na tyle nietrwała, że już nie ma znaczenia, czy wiem.

– Wydajesz się to całkiem dobrze znosić.

Fred uniósł brew.

– W środku panikuję – odpowiedział z kamienną twarzą.

Holden popatrzył na rozłożone rzeczy Moniki, jakby miały coś do dodania w sprawie bieżącej rozmowy. Ręczny terminal migał żałośnie. Bluzka zwisała luźno i smutno.

– Wyciągnęliście coś z jej terminala? – zapytał.

– Nie potrafimy się z nim połączyć – odparł Fred. – Wszystkie procedury diagnostyczne zostały wyłączone lub ekranowane niezależnym szyfrowaniem. Dziennikarze.

Holden podniósł uszkodzone urządzenie. Strzaskany wyświetlacz błyszczał setką pęknięć. Jedyne elementy, które zawierały coś zbliżonego do rozpoznawalnego obrazu to migający czerwony przycisk w jednym rogu i kilka liter w wyjątkowo dużym odłamku: CY SYG. Holden dotknął czerwonego przycisku, a terminal rozbłysnął. Przycisk zniknął, a litery zostały zastąpione czymś bladobrazowym przeciętym linią, z jednym kawałkiem puzzli unoszącym się w morzu bezsensownego światła.

– Co zrobiłeś? – zapytał Fred.

– Tam był przycisk – wyjaśnił Holden. – Wcisnąłem go.

– Jezu Chryste. Ty naprawdę dokładnie tak idziesz przez życie, prawda?

– Ale słuchaj... chyba mogłem przyjąć nadchodzący sygnał.

– Skąd?

Holden pokręcił głową. Potem obrócił się do rzeczy Moniki, wreszcie formułując myśl, która do tej pory nie dawała mu spokoju w głębi głowy. Poczuł prawie ulgę.

– Jej sprzęt do rejestracji – powiedział. – Ona ma mały zestaw, który nosi na sobie. Jest celowo zaprojektowany tak, żeby nie rzucał się w oczy, żeby osoba, z którą prowadzi wywiad, mogła zapomnieć, że jest filmowana.

– I?

Holden rozłożył ręce.

– Nie ma go tu.

Fred podszedł do blatu z wargami zaciśniętymi w kreskę, przyglądając się światłu bijącemu z rozbitego ekranu. Holden doznał wrażenia ruchu, jakby obraz się przesunął. Z drugiej strony drzwi biura rozległy się głosy. Głośny, gniewny męski, a po nim krótka, spokojna odpowiedź Drummer.

– Jesteś pewien, że nie damy rady podpiąć się do jej terminala ręcznego? – zapytał Holden.

– Zdecydowanie – potwierdził Fred. – Ale może być inny sposób. Chodź. Jeśli mamy to rozwiązać, potrzebujemy astronoma.

\* \* \*

Gdy Fred wyjaśnił problem, potrzeba było trzech godzin na zmontowanie sprzętu, który rejestrował światło dochodzące z potrzaskanego ekranu i jeszcze

godziny na wyjaśnienie komputerowi jego zadania. Najwyraźniej charakterystyka światła przechodzącego przez międzygwiazdne chmury pyłu nie była tak bardzo różna od tego, co emitował rozbity ekran. Gdy udało się już przekonać systemy eksperckie, że problem mieścił się w opisie ich pracy, laboratorium zajęło się dopasowywaniem polaryzacji i kątów, mapując pęknięcia w powierzchni wyświetlacza i generując soczewkę obliczeniową, która nie mogłaby istnieć w świecie fizycznym.

Fred opróżnił laboratorium i zapieczętował je. Holden siedział na krześle, słuchając popiskiwań skanerów rejestrujących fotony i obserwując powoli nabierający spójności obraz na ekranie. Fred nucił pod nosem cichą, powolną melodię, która zdawała się równocześnie smutna i groźna. Puste konsole i biurka podkreślały, jak bardzo byli samotni na stacji pełnej ludzi.

Zakończył się cykl obliczeń. Obraz został zaktualizowany. Wciąż nie był idealny. Zawierał mnóstwo tęczyowych zniekształceń, a niektórych części całkowicie brakowało i właściwie wyglądał jak początki migreny.

Ale wystarczył. Kilka metrów pustej przestrzeni zakończonej prostokątnymi metalowymi drzwiami z mechanizmem przemysłowego zamka. Ściany, sufit i podłoga oznaczona startą żółtą farbą oraz pełna otworów do zaczepiania palet i skrzyń.

– To kontener towarowy – stwierdził Fred. – Jest w kontenerze.

– Zwróć uwagę na to, jak rusza się obraz. Czy to ona?  
Czy ona się rusza?

Fred wzruszył ramionami.

– Bo jeśli się rusza, to chyba wciąż żyje, prawda?

– Możliwe. Jeśli żyje, to dlatego, że chcą jej żywej.

I poza Tycho. Popatrz na to.

Holden popatrzył na miejsce wskazane palcem Freda.

– Chodzi ci o krawędź drzwi?

– Drzwi są uszczelnione. Nie robi się tego, aż kontener jest gotowy do wysłania. Na stacji jest pewnie jakieś ćwierć miliona takich kontenerów, ale założę się, że nie więcej niż parę tysięcy jest hermetycznie zamkniętych i gotowych do wysłania. Ktokolwiek jej chce, zamierza ją wysłać gdzieś, gdzie już jej nie zobaczymy.

Holden poczuł, że coś w jego brzuchu się rozluźnia. Była gdzieś tutaj i żyła. Nie bezpieczna, jeszcze nie. Ale żyła. Nie zdawał sobie sprawy, do jakiego stopnia jego barki przytłaczało poczucie winy, aż do chwili, gdy uniosła je nadzieja.

– Co? – zapytał Fred.

– Niczego nie mówiłem.

– Ale wydałeś ten dźwięk.

– Och – rzucił Holden. – Tak, właśnie do mnie dotarło, jak wyjazd wszystkich osób, na których mi zależy, sprawił, że bardzo ważne stało się dla mnie to, żeby nie zepsuć rzeczy, nad którymi mam jakąś kontrolę.

– Słuszna myśl. Dobra robota.

– Czy ty się ze mnie nabijasz?



– Odrobinę. Ale prowadzę też skan bezpieczeństwa kontenerów przewozowych w nieważkości. I wiesz co? – Fred wskazał na ekran biurkowy przed sobą. Wielką pustkę sfery roboczej Tycho przedstawiono czystymi, schematycznymi liniami. Spojrzenie Holdena odruchowo powędrowało do *Rosynanta*. Fred wskazał poza niego, na grupę metalowych kontenerów. – Jeden z nich jest ciepły.

## Rozdział siedemnasty

### Aleks

Sporą część okresu szkolenia Aleks spędził w bazie Hekate i powrót do tego miejsca po tylu latach był dziwny na kilka sposobów. Zobaczył zmiany, do których zaczął się już przyzwyczajać na Marsie – zniknęły stare bary, pojawiły się nowe restauracje, kiepski ośrodek sportowy został zastąpiony przez ośrodek administracyjny. Tego typu rzeczy. Jednak kiedy jechał szerokimi korytarzami, najbardziej uderzyło go, jak młodzi byli wszyscy wokół. Kadeci kręcili się przed barem, który kiedyś nazywał się Grill Meksykański Stalowy Kaktus, a teraz serwował tajskie potrawy w kubelkach na wynos. Ich podbródki i piersi wyglądały tak, jakby tylko przebierali się za dorosłych. Na ekranach widniały reklamy broni i kościołów, serwisów dla singli skierowanych do wojskowych i ubezpieczenia na życie dla pozostawionych w domu rodzin. Były to rzeczy obiecujące kontrolę i komfort w bardzo niepewnym wszechświecie. Pamiętał tego typu reklamy sprzed dziesięcioleci. Ich styl się

zmienił, ale potrzeby i zasilające je, ukrywane lęki pozostały bez zmian.

Aleks też nosił mundur i powtarzał dowcipy. Przynajmniej podobne do obecnych. Z mieszaniną nadziei i lęku zastanawiał się, czy gdy przejdzie do służby, trafi do walki. Udawał twardszego niż był w rzeczywistości w nadziei stania się twardszym. Pamiętał, jak poważnie to wszystko wtedy traktował. Jak wtedy, gdy Preston się upił i wdał się w bójkę z Gregorym. Aleks został wciągnięty do walki i wszyscy wyładowali przed żandarmerią wojskową przekonani o tym, że ich kariery się skończyły. Albo gdy Andrea Howard została przyłapana na oszukiwaniu i dyscyplinarnie zwolniona ze służby. Odebrał to wtedy tak, jakby zginęła.

Teraz, patrząc na dzieciaki, zobaczył w nich oczywistą brawurę i głupie decyzje. Byli dziećmi. On też nim był, gdy tu wstąpił i jego wybory zostały podjęte przez kogoś, kto nie miał więcej rozumu. Mniej więcej w tym wieku ożenił się z Talissą. Tworzyli plany na czas, gdy po służbie wróci do domu. Wszystkie ich wizje zostały stworzone przez tak młode dzieciaki. Patrząc na nie z tej perspektywy, wcale się nie zdziwił, że nic z nich nie wyszło.

Jeszcze bardziej zaskoczyło go, że wszyscy zdawali się go znać.

Zaparkował swój wózek przed herbaciarnią Poush, która istniała od czasu, kiedy był tu ostatnio. Niebiesko-złota markiza rzucała łagodny cień na oszklone drzwi.

Sztucznie podstarzona farba na oknie w ramie ukształtowanej w stylu art nouveau z jakimiś słowami po francusku. Aleks sądził, że zamiarem było wywołanie wrażenia przebywania w paryskiej kawiarni sprzed paru stuleci – dla ludzi, którzy nigdy nawet nie chodzili po planecie, na której znajdowała się Francja. Dziwne, jak dobrze działały te obrazy.

Wewnątrz stało kilkanaście stolików przykrytych obrusami z prawdziwego lnu. Powietrze było gęste od lokalnej kawy parzonej z migdałami, cynamonem i cukrem. Kapitan Holden uwielbiał kawę i Aleks przez chwilę poczuł żal, że jest na stacji Tycho i nie może poczuć tego aromatu. Zanim ta myśl wybrzmiała, z krzesła podniósł się Fermín, obejmując go na powitanie.

– Aleks! – krzyknął Fermín. – Dobry Boże, człowieku. Strasznie się spasz.

– Ależ skąd. – Aleks odpowiedział uściskiem, a potem się odsunął. – To raczej ty.

– Ach – rzucił jego stary przyjaciel, kiwając głową. – Masz rację, to ja. Zapomniałem. Siadaj.

Kelner, może osiemnastoletni chłopak, wyjrzał zza kuchennych drzwi i szerzej otworzył oczy. Jego uśmiech miał udawać zwykłą uprzejmość, ale gdy schował się z powrotem za drzwi, Aleks usłyszał, że z kimś rozmawia. Wydawał się podniecony. Aleks próbował nie czuć się niezręcznie z tego powodu.

– Dzięki za spotkanie – rzucił. – Staram się nie być gościem, który nie utrzymuje kontaktów aż do chwili, gdy potrzebuje przysługi.

– A jednak – stwierdził Fermín. Upływ lat wybielił jego zarost i dorobił mu obwisłe policzki. Aleks miał wrażenie, że gdyby zmrużył oczy, wciąż zobaczyłby ukrytego gdzieś pod spodem młodzieńca o ostrych rysach, tego, z którym kiedyś służył. Łatwiej było zobaczyć go w gestach, gdy machnięciem zbył niepokój Aleksa. – Drobiazg. Z przyjemnością wyświadczę przysługę przyjacielowi.

Kelner wyszedł z kuchni i ukłonił się. Szeroka filiżanka w jego dłoniach parowała. Niemal nieśmiało postawił ją przed Alekssem.

– Specjalność lokalu – powiedział chłopak. – Dla pana, panie Kamal.

– Ach – odpowiedział Aleks. – Dziękuję.

Chłopak znowu się ukłonił i uciekł. Aleks zaśmiał się niezręcznie, patrząc na filiżankę, a Fermín uśmiechnął się szeroko.

– Daj spokój. Chyba jesteś już do tego przyzwyczajony, nie? Jesteś Aleks Kamal, pierwszy pilot, który przeleciał przez Pierścień.

– Nie, tylko pierwszy, który przeżył.

– Wychodzi na jedno.

– I zdecydowanie wcale tego nie chciałem – dodał Aleks. – Strzelali do mnie.

– Myślisz, że to czyni całą sprawę mniej romantyczną?

Aleks podmuchał na powierzchnię filiżanki i napił się z niej. Herbata z miodem, kardamonem i jeszcze czymś, czego nie potrafił rozpoznać.

– Tę podróż można opisać na wiele sposobów – odpowiedział, przeciągając słowa. – Ale „romantyczna”

zdecydowanie do nich nie należy. I zwykle od tamtego czasu mam w okolicy kapitana, który ściąga na siebie całą uwagę.

– Pewnie gdzie indziej jest inaczej, ale tutaj jesteś miejscowym. Jednym z nas, który się wybił i świetnie sobie radzi.

– Tak właśnie mnie tu widzą?

Fermín rozłożył ręce w geście obejmującym herbaciarnię, korytarz na zewnątrz, bazę Hekate i Marsa.

– Ja przez cały cholerny czas siedziałem tutaj. Dorobiłem się stopnia starszego bosmana. Zaliczyłem dwa rozwody i mam dzieciaka, który dzwoni do mnie dwa razy do roku, żeby pożyczyć pieniądze na swoje studenckie życie.

– Ale pewnie mniej ludzi do ciebie strzelało. To wcale nie jest takie fajne, jak mogłoby się wydawać.

– Pewnie tak – zgodził się Fermín. – Trawa jest zawsze zieleńsza...

Przez mniej więcej godzinę siedzieli, popijając herbatę i jedząc ciastka migdałowe, choć tych ostatnich mniej, niż kiedy byli młodszy. Fermín opowiedział mu o losach kilku innych wspólnych przyjaciół z dawnych czasów. Herbata była bardzo dobra, a Fermín był ewidentnie w dobrym nastroju. Trudno było stwierdzić, dlaczego właściwie Aleks odczuwał taką melancholię. Na koniec wizyty chłopak nie chciał od niego przyjąć pieniędzy.

– Na koszt firmy – oświadczył, gdy Aleks próbował zapłacić.

Punkt kontrolny prowadzący do właściwej bazy był obsadzony przez strażników, którzy polecieli Fermínowi spojrzeć w obiektyw sprzętu do rozpoznawania twarzy. Kiedy uzyskał przepustkę, sprawdzili Aleksa pod kątem broni i kontrabandy, a potem wydali mu przepustkę tymczasową. Cała procedura zajęła mniej niż pięć minut, choć wcale się nie śpieszyli. Aleks wszedł za Fermínem na ruchomy chodnik i oparł się o poręcz, dając się wieść głębiej w zbocza Olympus Mons.

– To ten gość – odezwał się Aleks.

– Komandor Duarte? Polubisz go. Wszyscy go lubią. Jest adiutantem admirała Long, pełni tę funkcję od dziesięciu lat.

– Long nie przeszła jeszcze na emeryturę?

– Umrze przy biurku – skomentował Fermín.

Brzmiał, jakby miał jej to za złe, ale jego uśmiech ukrył potencjalne prawdziwe uczucia.

– Dziękuję, że nas umówiłeś.

– To nie jest żaden problem. Duarte bardzo się ucieszył, że będzie mógł cię poznać.

– Doprawdy?

– Skąd to zaskoczenie? Jesteś pilotem *Rosynanta*. Jesteś sławny.

\* \* \*

Biuro Winstona Duarte'go było urządzone skromnie i wygodnie. Biurko wykonano z prostego prasowanego poliwęglanu, choć może było trochę większe niż u recepcjonisty w lobby. Ekran na ścianie ustawiono na

wyświetlanie spokojnej, na wpół abstrakcyjnej animacji w sepii i brązach, kojarzącej się mniej więcej po równo ze spadającymi liśćmi i równaniami matematycznymi. Jediną oznaką luksusu była półka zastawiona wyglądającymi na prawdziwe, drukowanymi książkami na temat strategii. Gospodarz wypełniał przestrzeń, jakby został do niej zaprojektowany. O pół głowy niższy od Aleksa, z pobrużdżonymi przez opryszczkę policzkami i ciepłymi brązowymi oczami, Duarte emanował uprzejmością i kompetencją. Uścisnął dłoń Aleksa i usiadł obok niego przy stoliku, zamiast wrócić za swoje biurko.

– Muszę powiedzieć, że jestem nieco zaskoczony pańską wizytą – powiedział Duarte. – Większość moich kontaktów z SPZ jest ściśle formalna.

– Ros nie należy do SPZ.

– Doprawdy? – Brwi Duarte uniosły się o milimetr.

– Jesteśmy bardziej niezależnym wykonawcą. Zdarzało się nam przyjmować zlecenia od SPZ, ale niektóre nasze rachunki opłaciła Ziemia. Oraz firmy prywatne, jeśli zlecenie ma właściwy profil.

– Przyjmuję do wiadomości. I czuję się zaszczycony. Co mogę dla pana zrobić, panie Kamal?

– Na początek zwracać się do mnie po imieniu. Jestem tu nieoficjalnie. To znaczy, mam urlop ze statku, przyleciałem odwiedzić stare śmieci i trafiłem na starą znajomą, która potrzebowała pomocy w pewnej sprawie. I tak się to jakoś potoczyło.

– I to wszystko doprowadziło cię do mnie. – Uśmiech Duarte był nieoczekiwany i ciepły. – Uważam się za



szczęściarza. Co takiego chodzi po głowie twojej znajomej?

– Zaginione statki.

Duarte znieruchomiał, wciąż z uśmiechem na ustach. Przez chwilę można było mieć wrażenie, że zmienił się w pomnik. Kiedy znowu się poruszył, rozsiadł się nieco wygodniej na fotelu z nieznacznie przesadzoną niedbałością, która wzbudziła czujność Aleksa.

– Nie wiem nic na temat żadnych zaginionych statków. Czy to coś, o czym powinienem wiedzieć?

Aleks złożył ręce na kolanie.

– Moja znajoma jest marine. Właściwie teraz już była marine. Zaczęła się interesować czarnym rynkiem.

– Dziennikarka?

– Marsjańska patriotka – skorygował Aleks. – Nie chce robić żadnego szumu, podobnie jak ja, ale odkryła pewne rzeczy, które się jej nie spodobały.

– Jakiego typu rzeczy?

Aleks uniósł palec.

– Za chwilę do tego dojdę. Rzecz w tym, że ona nie jest z floty, nie ma przyjaciół ani kontaktów po naszej stronie. Zapytała więc, czy popytam, a kiedy to zrobiłem...

– Starszy bosman Beltran przysłał cię do mnie – podsumował Duarte. – Rozumiem.

– Czy popełnił błąd?

Duarte milczał przez dłuższą chwilę, spojrzenie utkwił w pustce. Aleks poruszył się na fotelu. Tego typu rozmowy nie były elementem jego zwykłych obowiązków

i nie potrafił stwierdzić, czy dobrze mu idzie. Duarte westchnął.

– Nie, nie popełnił.

– Pan... też coś zauważył, prawda?

Duarte wstał i podszedł do drzwi, nie dotykając ich, ale odrobinę wychylił za nie głowę.

– To nie jest coś, o czym rozmawiamy. Nie łamię struktury dowodzenia.

– Szanuję to – zapewnił Aleks. – Nie proszę, żeby był pan nielojalny w stosunku do kogokolwiek. Rzecz w tym, że mam pewne informacje i może pan też jakimiś dysponuje. Powiem panu to, czym mogę się podzielić, a pan może zrobić to samo. Może wzajemnie sobie pomożemy.

– Mam trwające śledztwo.

– Nie mam nic przeciwko wykorzystaniu przez pana przekazanych przeze mnie informacji – zapewnił Aleks. – I może lepiej byłoby, gdyby z pańskiej strony też tak to wyglądało.

Duarte zastanawiał się chwilę, zaciskając wargi.

– No dobrze. Co dla mnie masz?

– Niezgodności w ewidencji. Rzeczy, które zaginęły lub zostały zniszczone, znowu pojawiają się później. Broń. Środki medyczne.

– Statki?

– Owszem – potwierdził Aleks. – Statki.

– Podaj mi jakąś nazwę.

– Apalala.

Duarte zachował się, jakby zeszło z niego powietrze. Podszedł do swojego biurka i usiadł na fotelu, ale kiedy się odezwał, jego głos wydał się rozluźniony, przywodząc Aleksowi na myśl zdany test. Jakby opadła fałszywa maska życzliwości, od której zaczęło się spotkanie.

– Też zajmowałem się tą sprawą – powiedział Duarte.

– Co pan znalazł?

– Nie wiem. Nie do końca. Mamy mało zasobów. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Ludzie lecą na inne planety.

– Inwentaryzacje idą bardzo wolno. Sądzę, że całkiem sporo robionych jest pod biurkiem, choć nikt się do tego nie przyznaje. Próbowałem przekonać admirała o istnieniu tego problemu, ale albo tego nie rozumie, albo...

– Albo?

Duarte nie dokończył swojej myśli.

– Występuje też pewien wzór ataków. Mogą być motywowane politycznie, ale też mogą być tylko kradzieżami lub aktami piractwa. Słyszałeś o ataku na Kallisto?

– Słyszałem.

– Trafiłeś na coś konkretnego związanego z tym atakiem?

– Nie.

Duarte z rozczarowaniem zacisnął szczęki.

– Było w nim coś, co nie daje mi spokoju, ale nie potrafię tego uściślić. Precyzyjnie dobrano czas. Atak był

bardzo dobrze skoordynowany. I po co? Żeby obrabować stocznię?

– Co zabrali?

Duarte utkwił spojrzenie w oczach Aleksa. Uśmiechnął się smutno.

– Nie wiem. Nikt tego nie wie. I sędzę, że nikt nigdy się tego nie dowie, ponieważ nie potrafię się nawet dowiedzieć, co tam było. Tak źle to wygląda.

Aleks zmarszczył brwi.

– Chce mi pan powiedzieć, że marsjańska flota nie wie, gdzie znajdują się jej własne okręty?

– Mówię ci, że śledzenie zapasów, okrętów i materiałów praktycznie przestało funkcjonować. Nie wiemy, czego brakuje, ponieważ nie wiemy. I mówię ci, że dowództwo jest tak bardzo skupione na próbach zachowania twarzy przed Ziemią i SPZ, że wszyscy bagatelizują ten problem.

– Ukrywają go.

– Bagatelizują – powtórzył Duarte. – Premier Smith w tej chwili robi wielkie przedstawienie, lecąc konwojem na Lunę, żeby spotkać się z sekretarzem generalną ONZ i przysięgać, że wszystko jest w najlepszym porządku, a robi to właśnie dlatego, że to nieprawda. Gdybym był kryminalistą i działał na czarnym rynku, to wszystko wyglądałoby jak nieustające Boże Narodzenie.

Aleks skomentował to wulgarnym słowem. Duarte otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej notatnik i srebrne pióro. Przez chwilę coś pisał, a potem oddał kartkę i podał ją przez biurko. Precyzyjnym, eleganckim

pismem napisał KAARLO HENDERSON-CHARLES i adres w osiedlach bazy. Fakt fizycznego zapisania informacji zamiast przekazania jej transferem elektronicznym wydał się albo rozsądnym zabezpieczeniem, albo oznaką paranoi. Aleks nie był pewien, które z tego było właściwym wytłumaczeniem.

– Skoro już tu jesteś, sugeruję porozmawianie z Kaarlo. Jest starszym programistą pracującym nad projektem. Jego zadaniem miało być skoordynowanie baz danych. To on pierwszy przyszedł do mnie z informacją, że widzi pewne problemy. Jeśli masz jakieś szczegółowe pytania, może będzie mógł udzielić ci odpowiedzi. Albo też skierować w miejsce, gdzie można ich szukać.

– Pomoże mi?

– Może to zrobić – odpowiedział Duarte. – Jak ja.

– Czy mógłby pan... dać mu przykrywkę?

– Nie – odpowiedział Duarte ze swym smutnym uśmiechem. – Nie każę nikomu zrobić niczego dla ciebie. Bez urazy, ale nie służysz już we flocie. Cokolwiek robimy, ty i ja, robimy to w ramach mojego śledztwa. I wszystko, co do litery, przekazuję wyżej, do admirała.

– Chroniąc własny tyłek.

– Cholera, tak – potwierdził Duarte. – Ty powinienes robić to samo.

– Tak jest, sir – odpowiedział Aleks.

Kiedy wyszedł z pokoju, w poczekalni nie było już Fermína, więc Aleks złapał jeden z ruchomych chodników prowadzących na wschód, w stronę części

mieszkalnej bazy. Trochę kręciło mu się w głowie, jakby za długo ograniczał stężenie tlenu w atmosferze statku.

Flota zawsze była jedyną niezmienną rzeczą w jego życiu. Stałym elementem. Jego związek z nią mógł się zmieniać, odrabiał swoje służby, zwolnił się, ale to wszystko dotyczyło tylko jego. Jego życia, jego kruchości, śmiertelności i braku trwałości. Pomysł, że sama flota może być wrażliwa, że rząd Marsa może się potknąć i upaść, był jak stwierdzenie, że Słońce może zgasnąć. Jeśli to nie było pewnikiem, to nic nim nie było.

I może faktycznie tak to wyglądało.

Dziura Kaarla Hendersona-Charlesa mieściła się korytarzu z setkami podobnych pomieszczeń, była skromna, niemal spartańska. Na zielono-szarych drzwiach poza numerem nie było żadnych elementów identyfikujących lokatora. Żadnych kwiatów w doniczce, tylko wyschnięta ziemia. Aleks zadzwonił. Kiedy zapukał, drzwi otworzyły się pod jego palcami. Usłyszał kogoś mamroczącego gniewnie pod nosem. Nie, nie człowieka. Pracujące na wysokich obrotach wymienniki powietrza. Wychwycił ślad woni prochu i czegoś podobnego do gnijącego mięsa.

Ciało znalazł w kuchni, ubrane w mundurowy kombinezon. Krew zebrała się pod krzesłem, ślady widoczne były też na ścianach i suficie. W bezwładnej dłoni wciąż zwisał pistolet. Aleks wybuchł śmiechem, w równym stopniu z rozpaczy i niedowierzania, a potem wyciągnął ręczny terminal i wezwał żandarmerię.

\* \* \*

– I co było potem? – zapytała Bobbie.

– A jak myślisz? Przyszła żandarmeria.

Hol hotelu urządzone w purpurze i złocie. Za kanapami bulgotała i szemrała fontanna ścienna, zapewniając im coś w rodzaju prywatności. Aleks napił się swojego ginu z tonikiem. Alkohol nieco zapiekł. Bobbie przycisnęła kostki palców do warg i zmarszczyła czoło. Wyglądała bardzo dobrze jak na kogoś, kto jeszcze niedawno był torturowany i został postrzelony, a jednocześnie bardzo słabo jak na Bobbie. Bandaże osłaniające rany postrzałowe z lewej strony ciała tworzyły niezdarną wypukłość pod jej bluzą, ale nic więcej.

– Przesłuchiwali cię? – odezwała się, prawie nie robiąc z tego pytania.

– Przez jakieś osiem godzin. Na szczęście Duarte zapewnił mi solidne alibi, więc nie wylądowałem w więzieniu.

– Drobne uprzejmości. A twój przyjaciel? Fermín?

– Podobno jego terminala nie ma w sieci. Nie wiem, czy zabił tego faceta, czy też ten, kto to zrobił, dopadł również jego, albo... cokolwiek. Nic nie wiem. – Znowu się napił, tym razem więcej. – Może wcale nie jestem dobry w tym prowadzeniu śledztwa.

– Ja nie jestem wiele lepsza – odparła Bobbie. – Przeważnie po prostu potrząsam drzewami i patrzę, co spada. I jak na razie jedyną rzeczą, której jestem naprawdę pewna, jest fakt, że coś się dzieje.

– Oraz że ludzie są gotowi w związku z tym zabijać – dorzucił Aleks.

– A teraz, gdy zaangażowała się w to żandarmeria wojskowa, zamkną śledztwo jak materiał na bombę jądrową. Nie będę w stanie zrobić absolutnie niczego.

– Wygląda na to, że skończył się czas detektywów-amatorów – zgodził się Aleks. – To znaczy, mogę dalej próbować pytać.

– Nie, zrobiłeś już dość – odparła Bobbie. – W ogóle nie powinnam była cię w to angażować. Po prostu nie chciałabym rozczarować staruszki.

– Szanuję to, ale w zasadzie to chciałbym wiedzieć, co się tu dzieje.

– Ja też.

Aleks dopił swojego drinka, uderzając kostkami lodu w zęby. Poczul w brzuchu przyjemne ciepło. Popatrzył na Bobbie i zauważył, że mu się przygląda.

– Wiesz – odezwał się ostrożnie – fakt, że wszystko tu zostało zablokowane, nie oznacza, że wszędzie tak jest.

Bobbie zamruwała. Jej wzruszenie ramion nie zdradzało wiele, ale w jej oczach pojawił się błysk.

– Myślisz o tej asteroidzie na zadupiu, o którą pytał Holden?

– Masz statek, a tutaj niczego nie osiągniemy – stwierdził Aleks. – Wydaje się, że to coś, co moglibyśmy zrobić.

– A jeśli ktoś zacznie do nas strzelać, przynajmniej zobaczymy pociski – dodała Bobbie, a spod jej nonszalancji promieniowało podniecenie. A może po



prostu alkohol i perspektywa wylądowania w fotelu pilota sprawiały, że Aleks widział to, co chciał zobaczyć.

– Moglibyśmy polecieć – rzucił. – Rozejrzeć się. Pewnie i tak nic nie znajdziemy.

## Rozdział osiemnasty

### Holden

Sfera konstrukcyjna stacji Tycho jarzyła się wokół Holdena jaśniej niż gwiazdy. Statki wisiały na swoich stanowiskach we wszystkich stadiach demontażu, z *Rosynantem* będącym po prostu jednym z wielu. Inne jednostki wisiały w środku sfery, czekając na pozwolenie wylotu. Iskry zestawów spawalniczych i białe chmury silników manewrowych rozbłyskiwały jak świetliki. Jednym słyszczanym przez niego dźwiękiem był jego własny oddech, jedynym zapachem zbyt czysta woń powietrza z butli. Brudnozielono-szary skafander próżniowy miał na ramieniu wypisane pomarańczowymi literami OCHRONA TYCHO, a karabin w jego dłoniach pochodził z prywatnego schowka Freda.

Ochronę stacji postawiono w stan najwyższej gotowości, z Drummer i jej ludźmi pilnującymi się wzajemnie przy założeniu – a Holden był boleśnie świadom, że nie chodziło o nic innego – że gdyby wśród nich znajdowała się frakcja odszczepieńców, przewagę liczebną mieliby ludzie lojalni Fredowi. Po wyjściu ze

śluzy powietrznej Holden włączył system wyświetlania zagrożeń. Na wyświetlaczu hełmu podświetliło mu się ponad tysiąc możliwych stanowisk snajperskich. Wyłączył system.

Fred unosił się przed nim, przypięty do jaskrawożółtego mecha ratowniczego. Zestaw ratunkowo-naprawczy wyglądał jak wielki plecak założony na barki mecha. Z lewej strony urządzenia wytrysnął pióropusz białego gazu i Fred przesunął się elegancko w prawo. Przez chwilę mózg Holdena interpretował dziesiątki kontenerów transportowych, zebranych w pustej przestrzeni przed wielką bramą magazynu, jak coś znajdującego się pod nimi, jakby razem z Fredem byli nurkami w bezkresnym beztlenowym morzu, a potem obraz przeskoczył i Holden unosił się ku kontenerom stopami do przodu. Znowu włączył wyświetlacz przezierny, resetując jego ustawienia, i jeden z kontenerów został obrysowany na zielono. Cel. Więzienie Moniki Stuart lub jej grobowiec.

– Jak ci tam idzie? – zabrzmiało mu w uszach pytanie Freda.

– W porządku – zapewnił Holden, a potem wykrzywił wargi z irytacją i włączył mikrofon. – W porządku, tylko to nie jest mój zwykły opancerzony skafander. Przyciski sterowania w tym są trochę nie w tych miejscach.

– Przynajmniej w tym trudniej będzie cię zabić, jeśli zaczną do nas strzelać.

– Jasne, chyba że będą w tym dobrzy.

– Możemy liczyć na to, że nie są – odpowiedział Fred. – Przygotuj się, wchodzę.

Gdy tylko zidentyfikowali kontener, Holden sądził, że wyślą do niego mecha, ściągną do magazynu i otworzą go. Możliwość założenia pułapek nie przyszła mu w ogóle do głowy, powiedział o nich dopiero Fred. Dane kontenera wskazywały, że oczekuje na zabranie, ale pole, które powinno zawierać informacje o podejmującej go jednostce, zawierało uszkodzone dane. Obraz nadawany przez Monikę nie pokazywał niczego poza drzwiami wejściowymi. Z tego, co wiedzieli, równie dobrze mogła siedzieć na butlach z tlenem i acetylenem podłączonych do tych samych obwodów, co zaciski blokujące. Z całą pewnością wiedzieli tylko, że główne drzwi zostały zamknięte i uszczelnione, ale nawet tam mógł się znajdować zapalnik. Według Freda najmniej ryzykowną opcją było wycięcie dziury w widocznej ramie drzwi i wysłanie kogoś do środka, żeby się przyjrzał. A jedynym kimś, komu Fred mógł zaufać, był Holden.

Fred ustawił się przed drzwiami kontenera i potężne ramiona mecha sięgnęły do tyłu, uwalniając zestaw ratunkowy. Rozpakował go sprawnymi ruchami, co wyglądało, jakby robił to bardzo często. Cienka plastikowa śluza awaryjna, jednorazowy palnik do cięcia, dwa ratunkowe skafandry próżniowe, boja ratunkowa i mała, hermetyczna torba ze środkami medycznymi: wszystko to zawisło w próżni wokół niego, jakby zostało tam zawieszane na sznurkach. Holden spędził dość lat na

wożeniu lodu, by docenić, jak minimalny dryf wykazywały poszczególne przedmioty.

– Życz mi szczęścia – rzucił Fred.

– Nie wybuchnij – odpowiedział Holden.

Mikrofon Freda wyłączył się przy jego śmiechu i ramiona mecha poruszyły się z chirurgiczną precyzją i szybkością. Rozbłysnął palnik spawalniczy, przecinając metal, a podajnik piany uszczelniającej sunął tuż za nim, nie pozwalając na ucieczkę powietrza ze środka. Holden otworzył połączenie z laboratorium i wyświetlił obraz nadawany przez Monikę. Jarzył się tam blask jak gwiazda.

– Mamy potwierdzenie – oznajmił. – To ten właściwy.

– Widziałem – rzucił Fred, kończąc cięcie. Wygładził śluzę nad blizną, przyciskając warstwę samoprzylepną do powierzchni, a potem otworzył zewnętrzny zamek. – Twoja kolej.

Holden ruszył do przodu. Fred wyciągnął masywny, trójpalczasty szpon mecha, a Holden podał mu karabin, zgarniając z przestrzeni torbę medyczną i skafander ratunkowy.

– Jeśli coś będzie wyglądać podejrzanie, po prostu się wycofaj – polecił Fred. – Zaryzykujemy z prawdziwym technikiem od bomb.

– Tylko wsadzę głowę – zapewnił Holden.

– Jasne – rzucił powątpiewająco Fred.

Kąt wizjera hełmu sprawił, że nie zobaczył jego twarzy, ale ton głosu był jednoznaczny. Holden osłonił się zewnętrzną warstwą śluzy, zamknął ją, napompował

pęcherz i otworzył folię wewnętrzną. Cięcie było kwadratowe, metr w każdą stronę, z czarnymi śladami spalenizny i z beżową pianką między nimi. Zaczepił się magnesami stopy o metal obok cięcia i kopnął drugą nogą. Pianka ustąpiła i zerwała się, a wycięty panel wleciał do kontenera. Ze środka wylało się przytłumione białawe światło.

Monika Stuart leżała przypięta do pryczy przeciążeniowej. Oczy miała otwarte, ale szklane, usta bezwładne. Na rozcięciu na policzku pojawił się już ciemny strup. Do ściany przyczepiono taniego automatycznego lekarza, z którego do jej szyi ciągnęła się rurka wyglądająca jak smycz. Chyba nie było tam nic więcej. W każdym razie niczego z dużym znakiem UWAGA, MATERIAŁY WYBUCHOWE.

Gdy Holden chwycił brzeg pryczy przeciążeniowej, poruszyła się na przegubach. Jej spojrzenie utkwilo na nim i miał wrażenie, że zobaczył w nich przebłysk emocji – zmieszanie i może ulgę. Ostrożnie wyjął z jej szyi igłę. Z końcówki wypłynęła kropla przejrzystego, błyszczącego płynu, który unosił się w powietrzu. Otworzył zestaw medyczny i przypiął go jej do ramienia. Czterdzieści sekund później urządzenie zgłosiło, że pacjentka wydaje się uśpiona, ale stabilna, i zapytało, czy Holden chce interweniować.

– Jak ci tam idzie? – zapytał Fred i tym razem Holden pamiętał o włączeniu mikrofonu.

– Mam ją.

\* \* \*

Trzy godziny później siedzieli w ambulatorium we wnętrzu stacji Tycho. Pokój został odcięty – przed drzwiami stało czterech strażników, a wszystkie połączenia sieciowe fizycznie odłączone. Trzy pozostałe łóżka były puste, ich pacjenci – jeśli w ogóle jacyś byli – przeniesieni do innych sal. Była to w połowie sala szpitalna, w połowie areszt tymczasowy i Holden zastanawiał się, czy Monika rozumie, ile z tych zabezpieczeń było tylko na pokaz.

– To nie było fajne – powiedziała Monika.

– Wiem – potwierdził Holden. – Sporo przeszłaś.

– Właśnie – mówiła niewyraźnie, jakby była pijana, ale jej oczy patrzyły ostro i z przenikliwością, do której Holden się przyzwyczył.

Stojący u stóp łóżka Fred złożył ręce na piersi.

– Przykro mi, Monika, ale będę musiał ci zadać kilka pytań.

Jej uśmiech dotarł do oczu.

– Zwykle działa to w drugą stronę.

– Tak, ale ja zwykle nie odpowiadam. Mam nadzieję, że ty będziesz.

– Dobrze. – Odetchnęła głęboko. – Co tam masz?

– Może zaczniemy od tego, jak trafiłaś do tego kontenera – zasugerował Fred.

Jej wzruszenie ramion sugerowało, że wciąż jest obolała.

– Nie mam za wiele do powiedzenia. Byłam w swoim apartamencie, gdy otworzyły się drzwi. Do środka weszło

dwóch facetów. Wysłałam sygnał alarmowy do ochrony, dużo krzyczałam i próbowałam im uciec, ale puścili mi w twarz jakiś aerozol i straciłam przytomność.

– Otworzyły się drzwi – powtórzył Fred. – Nie otwierałaś im?

– Nie.

Wyraz twarzy Freda nie uległ zmianie, ale Holden miał wrażenie, że ciężar na jego barkach się powiększył.

– Mów dalej.

– Oprzytomniałam, gdy ładowali mnie na prycę przeciążeniową. Nie mogłam się za bardzo ruszać – mówiła dalej Monika – ale udało mi się włączyć kamerę mojego zestawu.

– Czy słyszałaś, żeby coś mówili?

– Tak – potwierdziła. – Byli Pasiarzami. O to ci chodzi, prawda?

– To jedna z rzeczy. Możesz mi powiedzieć, co mówili?

– Użyli wobec mnie bardzo nieprzyjemnych określeń – wyjaśniła Monika. – I mówili też coś o wyzwalaczu. Nie bardzo potrafiłam ich zrozumieć.

– Czasem trudno nadążyć za gwarą Pasiarzy.

– A ja zostałam uśpiona i zaatakowana – dodała Monika ze śladem gniewu w głosie.

Fred uniósł dłonie w łagodzącym geście.

– Nie chciałem cię dotknąć – zapewnił. – Czy pamiętasz coś konkretnego, co...

– Tu chodzi o te zaginione statki kolonizacyjne, prawda?



– Trochę jeszcze za wcześnie, żeby mówić „o co” chodzi – stwierdził Fred, ale po chwili dodał niechętnie: – choć to zdecydowanie jedna z możliwości.

– Czyli to dzieło SPZ. Tylko że ty o tym nie wiedziałeś.

– W tej chwili niczego nie potwierdzam ani niczemu nie zaprzeczam.

– W takim razie ja też nie – oświadczyła Monika, krzyżując ręce na piersi.

– Hej, hej, jej – odezwał się Holden. – Oboje wrzućcie na luz. Jesteśmy po tej samej stronie, prawda?

– Nie bez ustalenia warunków – odparła Monika.

Fred mocno zacisnął szczęki.

– Właśnie uratowaliśmy ci życie.

– Bardzo dziękuję – rzuciła Monika. – Zostanę włączona do śledztwa. Pełny dostęp. Wywiady na wyłączność z wami dwoma. Przekażę wam wszystko, co mam na temat statków kolonizacyjnych i mojego porwania. Nawet to, co ukryłam przed Holdenem. I ostrzegę, zanim ujawnię publicznie jakąkolwiek tego część.

– Chwila – obruszył się Holden. – Jest coś, czego mi nie powiedziałaś?

– Ostateczne zatwierdzenie, zanim cokolwiek zostanie opublikowane – powiedział Fred.

– Nie ma mowy – zaprzeczyła Monika. – A ty mnie potrzebujesz.

– Ostateczne zatwierdzenie wyłącznie w sprawach dotyczących bezpieczeństwa i ochrony. – Fred nie ustępował. – I dwa tygodnie wyprzedzenia.

Oczy Moniki błyszczały i zdradzały nienasycenie. Holden leciał z nią wiele tygodni podczas pierwszej podróży do Pierścienia i miał wrażenie, że ją zna, ale bezwzględność, którą w niej teraz zobaczył, całkowicie go zaskoczyła. Fred wydawał się nią tylko rozbawiony.

– Jeden tydzień wyprzedzenia i nie zostanie zatrzymane nic, co nie będzie miało rozsądnego uzasadnienia – oświadczyła, kierując oskarżycielsko palec w stronę Freda. – Zaufam ci w tej sprawie.

Fred spojrział na Holdena z wąskim uśmiechem bez śladu rozbawienia.

– No cóż, teraz mam dwie osoby o których wiem, że nie pracują dla drugiej strony.

\* \* \*

To, czego Holden nie wiedział... nie, to nie była prawda. To, co Holden wiedział, ale nie doceniał, to liczba statków przelatujących przez pierścienie do rozlicznych, udostępnionych ludzkości planet. Pełny rejestr Moniki zawierał prawie pięćset statków, które przeleciały przez wrota. Wiele było nawet mniejszych od *Rosynanta*, leciały w grupach, by zgłosić roszczenie do nowego i nieznanego świata lub chciały dołączyć do nowo utworzonych osiedli na planetach o nazwach w rodzaju Paryż, Nowy Mars i Firdaws. Inne statki były większe – prawdziwe jednostki kolonizacyjne, obładowane takiego samego typu wyposażeniem, jakie pokolenia wcześniej ludzkość wiozła na Lunę, Marsa i księżycę Jowisza.

Jako pierwszy zniknął *Sigyn*. Był to przerobiony lodowcowiec, niewiele nowszy od *Canterbury*. Potem Wyżynny Swing, skoczek skalny prawie opróżniony do zera, żeby pomieścić napęd Epsteina o mocy trzykrotnie większej, niż mógł wykorzystać tego typu statek. *Rabia Balkhi*, którego przejście było najlepiej widoczne na nagraniu, wcale nie był ani pierwszym, ani ostatnim zaginionym statkiem. Oglądając listę, zapisywał typy i profile brakujących jednostek do przekazania Aleksowi. *Pau Kant* mógł być dowolnym z nich.

W znikaniu statków dało się też zauważyć pewien wzór. Jednostki znikły w sytuacji dużego ruchu, gdy uwaga stacji Medyna była podzielona między pięć albo sześć statków. A później – co było interesujące – pierścień, przez który przelatował zaginiony statek, wykazywał nie podwyższone promieniowanie, a nieciągłość – chwilę, w której gwałtownie zmieniały się poziomy tła. Czegoś takiego nie zauważyli podczas innych przejść. Monika interpretowała to jako dowód obcej technologii robiącej coś niezrozumiałego i upiornego. Z obecną wiedzą Holden dopatrywał się w tym raczej problemów z nie do końca umiejętnym tuszowaniem danych. Jak przy zamianie skrzyni, w której została wywieziona Monika. Lub jak wejście do łazienki i zniknięcie za drzwiami – ktoś musiał ukryć „zaginione” statki wylatujące po drugiej stronie pierścieni. Jeśli podobny sygnał występował w danych z czujników pierścienia prowadzącego z powrotem do macierzystego układu ludzkości...

– Holden?

Biuro ochrony wokół niego było puste. Fred zagarnął je na „użytek osobisty”, co świadczyło o tym, jak głęboko w tym śledztwie zostało naruszone jego zaufanie do własnych ludzi. Personel ochrony, który Holden mijał, idąc tu, wydawał się skonsternowany faktem wyrzucenia z własnego biura, ale nikt nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń. Przynajmniej żadnych nie słyszał.

Fred stał w zwieńczonych łukiem drzwiach otwierających się na krótki korytarz, który prowadził do pokojów przesłuchań. Miał na sobie dobrze uszyte cywilne ubranie. Na brodzie i policzkach widać było ślady białej szczeciny, a oczy miał zaczerwienione i żółte jak stara kość słoniowa. Jednak stał wyprostowany, a z jego pozy emanowała ostrość.

– Dowiedziałeś się czegoś? – zapytał Holden.

– Odbyłem rozmowę z pewnym bardzo starym znajomym. Opóźnienie w komunikacji czyni takie wymiany boleśnie powolnymi, ale... trochę lepiej się orientuję w tym, z czym mam tu do czynienia. Przynajmniej jest to jakiś punkt wyjścia.

– Możesz mu zaufać?

Uśmiech Freda świadczył o zmęczeniu.

– Jeśli Anderson Dawes jest przeciwko mnie, to i tak nie mam żadnych szans.

– Rozumiem – odparł Holden. – To od czego zaczynamy?

– Mogę cię poprosić na parę minut? – zapytał Fred, kiwając głową w stronę pokojów przesłuchań.

– Chcesz mnie przesłuchać?

– Bardziej użyć jako rekwizytu w urządzanym przedstawieniu.

– Poważnie?

– Jeśli się uda, oszczędzi nam to trochę czasu.

Holden wstał.

– A jeśli nie?

– To nie.

– W porządku.

Pokój do przesłuchań był goły, zimny i nieprzyjazny. Przynitowany do podłogi stalowy stół oddzielał pojedynczy stołek bez oparcia od trzech krzeseł z wyściółką żelową. Na jednym z nich siedziała już Monika. Rozcięcie na jej twarzy wyglądało dużo lepiej, jak długa czerwona kreska. Bez makijażu wyglądała twardziej. Starzej. Pasowało jej to. Fred wskazał gestem krzesło po drugiej stronie dla Holdena, a potem usiadł na środku.

– Po prostu wyglądaj poważnie i pozwól mi mówić – powiedział.

Holden rzucił spojrzenie Monice i unióśł brwi. *Co to ma być?* Posłała mu krzywy uśmiezek. *Pewnie się przekonamy.*

Otworzyły się drzwi i do środka weszła Drummer, a tuż za nią Sakai. Spojrzenie głównego inżyniera skoczyło na Holdena, Monikę i z powrotem. Drummer doprowadziła go do stołka.

– Dziękuję – rzucił Fred.

Drummer kiwnęła głową i wyszła z pokoju. Mogła być wkurzona z powodu wykluczenia z udziału w przedstawieniu. Albo chodziło o coś innego. Holden potrafił zrozumieć, jak coś takiego mogło całkiem szybko doprowadzić do rozwoju uniemożliwiającej działanie paranoi.

Fred westchnął. Kiedy się odezwał, jego głos był miękki i ciepły jak flanela.

– No dobrze. Chyba wiesz, o co chodzi.

Sakai otworzył usta, potem je zamknął. A potem można było odnieść wrażenie, jakby opadła z niego maska. Na jego twarzy odmalowała się czysta, żywa nienawiść.

– Wiesz co? – powiedział Sakai. – Pierdol się.

Fred siedział nieruchomo z kamiennym wyrazem twarzy. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie usłyszał tych słów. Sakai zacisnął szczęki i patrzył gniewnie w milczeniu, aż napięcie narosło na tyle, że nie potrafił go dłużej znieść.

– Wy pierdoleni aroganccy Ziemianie. Wy wszyscy. Tu, w Pierścieniu, uważacie się za tych, którzy prowadzą biednych chuderlaków ku zbawieniu? Macie w ogóle jakieś pojęcie, jacy jesteście protekcyjnalni? Wy wszyscy. Wszyscy. Pas nie potrzebuje ziemskich kurew waszego pokroju, żeby nas uratować. Sami się uratujemy, a wy dupki za to zapłacicie!

Holden poczuł wzbierający mu w piersiach gniew, ale głos Freda był spokojny i cichy.

– Z tego, co słyszę, masz do mnie pretensje, że pochodzę z Ziemi. Zgadza się?

Sakai odchylił się do tyłu na stołku, złapał równowagę, a potem odwrócił się i splunął na podłogę. Fred znowu czekał, ale tym razem Sakai pozwolił, by cisza się przeciągała. Po kilku chwilach Fred wzruszył ramionami, a potem westchnął i wstał. Gdy się nachylił i uderzył Sakai, był to tak prosty, zwyczajny ruch, że Holden nawet nie był wstrząśnięty do chwili, gdy Sakai upadł na podłogę. Z wargi inżyniera popłynęła krew.

– Poświęciłem swoje życie i życie ludzi, na których mi zależy o niebo bardziej niż na tobie, żeby chronić i bronić Pas – warknął Fred. – Nie jestem w nastroju na wysłuchiwanie obelg od jakiegoś niedorobionego terrorystycznego gnojka.

– Nie boję się ciebie – odpowiedział Sakai głosem, który Holdenowi jasno zasugerował, że potwornie się boi.

Sam Holden czuł pewien niepokój. Widywał już rozgniewanego Freda Johnsona, ale emanująca teraz z niego biała furia była czymś zupełnie innym. Fred nawet nie mrugnął. To był człowiek, który prowadził armie i masakrował tysiące. Zabójca. Sakai skurczył się, wyrwany ze swojej pogardy, jakby oberwał fizyczny cios.

– Drummer!

Szefowa ochrony otworzyła drzwi i weszła do środka. Jeśli była zaskoczona, nie było tego widać na jej twarzy. Fred na nią nie spojrział.

– Pani Drummer, proszę zabrać tę gnidę do aresztu, wsadzić go do izolatki i dopilnować, by miał dość

jedzenia i wody, żeby nie umarł. Żadnych odwiedzin. I chcę pełnego audytu jego obecności na stacji: z kim rozmawiał, z kim wymieniał wiadomości, jak często robił kupę. Wszystko przechodzi przez analizę kodów.

– Tak jest, sir – odpowiedziała Drummer i zawahała się. – Czy mam anulować blokadę stacji?

– Nie – odpowiedział Fred.

– Tak jest, sir – powtórzyła Drummer, a potem pomogła Sakai wstać i wyprowadziła go za drzwi. Holden odchrząknął.

– Musimy skontrolować wszystkie prace wykonane przy *Rosynancie* – oświadczył – bo nie ma mowy, żebym polecał coś, czego kontrole bezpieczeństwa robił ten facet.

Monika zagwizdała cicho.

– Rozłamowa frakcja SPZ? – powiedziała. – No cóż. To nie byłby pierwszy przypadek w historii, gdy przywódca rewolucyjny został zaatakowany przez ekstremistyczną frakcję z jego strony.

– Nie byłby – zgodził się Fred. – Najbardziej niepokoi mnie fakt, że czują się na tyle bezpiecznie, by odsłonić swoją rękę.



## Rozdział dziewiętnasty

### Naomi

Piwo uwarzono w kadzi: było bogate i drożdżowe, z lekkim posmakiem grzybowym od sztucznie stworzonych organizmów odcinających szyszki chmielu. Karal smażył cousa na cienkim cieście, dodając mnóstwo zasmażki i cebuli. Przy Cyn, Naomi i Miralu oddychającymi tym samym powietrzem z Karalem i zapiekanką, wymienniki pracowały na najwyższych obrotach, by oczyścić powietrze. Ciepło i pachnące przyprawami powietrze, bliskość ciał i lekkie odprężenie zapewniane przez alkohol przypominało cofanie się w czasie. Tak jakby po otwarciu drzwi nie trafiła na korytarze portowe stacji Ceres, a na statek Rokku lecący w stronę następnego potencjalnego znaleziska lub kolejnego portu.

– No więc Josie – powiedział Cyn, machając potężną dłonią. Urwał i obrócił się, zerkając na Naomi. – Kennst Josie?

– Pamiętam, który to – potwierdziła Naomi.

– Dobra, to Jossie ustawił sobie tam budkę, sa sa? Zaczął pobierać od Ziemiaków opłaty za przejście korytarzem. Nazwał to... – Cyn trzy razy strzelił palcami, próbując sobie przypomnieć puentę historii – nazwał to miejską płatną drogą. Płatną drogą!

– I jak długo to trwało? – zapytała Naomi.

– Na tyle długo, że musieliśmy uciekać ze stacji, zanim złapała nas ochrona – przyznał Cyn z uśmiechem. A potem spoważniał. – Ale to było przedtem.

– Przedtem – zgodziła się Naomi, unosząc szkło. – Po Erosie wszystko się zmieniło.

– Wszystko zmieniło się po tym, jak skurwiele zniszczyli *Canta* – powiedział Miral, mrużąc oczy i patrząc na Naomi, jakby chciał powiedzieć *to był twój statek, prawda?*

Kolejne zaproszenie do opowieści.

Pochyliła się trochę do przodu, kryjąc się za zasłoną włosów.

– Wszystko zmieniło się po bazie Metis. Wszystko zmieniło się po stacji Anderson. Wszystko zmieniło się po Śluzie Terryon. Wszystko zmieniło się po wszystkim.

– *Ez maldecido igaz* – przytaknął Cyn, kiwając głową. – Wszystko zmieniło się po wszystkim.

Karal podniósł wzrok. Wyraz jego twarzy stanowił mieszaninę poczucia koleżeństwa i żalu znaczącego wszystko zmieniło się po *Gamarrze*.

Naomi uśmiechnęła się do niego. To było prawdą i ona też żałowała. Bycie tutaj, z tymi ludźmi, przywoływało nostalgię przesączającą się do wszystkiego. Wszyscy

chcieliby posłuchać jej opowieści – o byciu na Eroze, locie pierwszym statkiem, który przeleciał przez wrota, wyprawie do pierwszej kolonii na nowych światach. Cyn i Karal nie chcieli prosić, więc nowy trzymał się ich przykładu. A ona trzymała się z boku.

Filip spał w sąsiednim pokoju, zwinięty w kłębek, miał ledwie przymknięte powieki. To już nie były kurczowo zaciśnięte oczy śpiącego niemowlęcia. Reszta komórki siedziała w innych kryjówkach. Mniejsze grupy przyciągały mniej uwagi, a nawet gdyby stracili jedną z nich, pozostali mogli działać dalej. Nikt nie powiedział tego na głos. Strategia była równocześnie znajoma i obca, jak ulubiona kiedyś piosenka usłyszana ponownie po latach zapomnienia. Karal zgarnął cousa, podnosząc je z płytki grzejnej i obracając w palcach jednym płynnym ruchem. Naomi wyciągnęła rękę, więc położył jej palec na dłoni, dotykając swoimi palcami jej. Prosta fizyczna zażyłość bliskiego towarzystwa. Rodziny. Kiedyś było to prawdą, a fakt, że teraz w mniejszym stopniu zostało wybaczone przez fakt, że wszyscy wiedzieli, że to już nie to samo. Od kiedy przybyła, uważali, żeby ich rozmowy nie zeszły na żadne tematy, które za bardzo podkreślałyby przerwę w jej obecności.

A kiedy naruszała tę niewypowiedzianą zasadę, wiedzieli, że wcale tego nie chciała. Z drugiej strony choć bardzo nie chciała naruszać tej chwiejnej równowagi, jedyną rzeczą gorszą od rozmowy o tym było pozostawienie tego wszystkiego niewypowiedzianego.

– Filip dobrze wygląda – rzuciła, jakby jej słowa nie niosły żadnego dodatkowego znaczenia. Wgryzła się w placek, czując, jak zasmażka i cebula napełniają jej usta solą, słodyczą i goryczą. Mówiła z pełnymi ustami. – Wyrósł.

– Owszem – potwierdził Cyn ostrożnym głosem.

Naomi poczuła, jak gardło ściskają jej lata żalu i złości, utraty i zdrady. Uśmiechnęła się. Jej głos nie zadrżał.

– Jak sobie radzi?

Spojrzenie, które Cyn posłał Karalowi, było prawie niezauważalne, prawie za szybkie. Wkroczyli na niebezpieczny teren. Nie wiedziała, czy chcieli chronić ją przed prawdą, czy Filipa i Marco przed nią. Czy też po prostu nie chcieli uczestniczyć w dramacie rozgrywającym się wciąż między nią, jej dawnym kochankiem i ich synem.

– Filipito jest dobry – powiedział Karal. – Bystry chłopak, skupiony. Very skupiony. Marco miał na niego oko. Pilnował, żeby był bezpieczny.

– Na tyle bezpieczny, na ile ktoś z nas może być – skomentował Miral, próbując nadać słowom lekki ton.

Głód niezaspokojonej ciekawości emanował z jego twarzy. Nie było go z nimi w czasach, gdy Naomi i Marco byli parą. Dla niego musiało to wyglądać tak, jakby nie słyszał połowy słów prowadzonej rozmowy.

– Que a mí? – zapytała Naomi.

– Wszyscy mówiliśmy mu prawdę – oświadczył Karal twardym tonem. – Nie będziemy kłamać swoim.

Cyn odkasznął. Spojrzał na nią z ukosa, jak pies z poczuciem winy.

– Gdy dorósł na tyle, żeby zapytać, Marco powiedział mu, jak to sytuacja zrobiła się trudna. Za trudna. Jego matka musiała się do tego zdystansować, odejść. Ustawić *ellas kappa* do kupy.

– Ach – odpowiedziała Naomi.

Czyli tak wyglądała opowieść o tym, kim była. Tej, która była zbyt wrażliwa. Za słaba. Z perspektywy Marco to mogło nawet wyglądać na prawdę.

Ale w takim razie jak musiał odebrać to, kim się stała? Pierwszą oficer *Rosynanta*, ocalałą ze stacji Eros, podróżniczką do nowych światów. Z tej perspektywy „za trudna” było dziwne. Chyba że znaczyło, że nie kochała swego syna dostatecznie, by z nim zostać. Chyba że uciekła właśnie od niego.

– Filipito jest twardy – rzucił Cyn. – Bądź z niego dumna.

– Wyłącznie – zapewniła Naomi.

– No tak – odezwał się Miral głosem, którym bezskutecznie próbował udawać swobodę. – Twój statek *sui James Holden*, nie? Jak to jest?

– Stała praca, żadnych szans na awans – odpowiedziała Naomi, a Cyn się roześmiał.

Po chwili Miral dołączył do śmiechu. Tylko Karal milczał, ale mogło to być wynikiem skupienia się na kucharzeniu.

Zadzwoił ręczny terminal Naomi. Podniosła go. Kolejne dwie wiadomości od Jima. Czubek jej palca

znalazł się centymetr od przycisku ich otwarcia. Jego głos był odległy o zaledwie kilka sekund, a ta myśl przyciągała ją jak magnes. Usłyszenie go teraz, nawet tylko nagranego głosu, byłoby jak długi prysznic w czystej wodzie. Przerzuciła wiadomości do kolejki nieotwartych. Już niedługo, a wtedy przesłucha wszystkie. Ale jeśli zacznie go słuchać teraz, nie przestanie, a jeszcze nie skończyła. Zamiast tego wywołała połączenie z adresem otrzymanym od przedstawiciela Przewozów na obrzeża. Po kilku sekundach jej połączenie zostało odebrane, z czerwonym obramowaniem informującym o bezpiecznym kanale.

– Pani Nagata – zabrzmiał młody męski głos. – Jak mogę dzisiaj pani pomóc?

– Czekam na statek – odpowiedziała. – Muszę wiedzieć, na czym stoję.

Spojrzenie mężczyzny na chwilę straciło skupienie, potem jego uśmiech się wyostrzył.

– Czekamy, aż przeniesienie prawa własności zostanie wpisane do rejestru.

– Czyli płatność przeszła?

– Tak. Jeśli pani chce, może pani od razu przejąć go w posiadanie, ale proszę pamiętać, że nie otrzyma pani zgody na opuszczenie portu do czasu aktualizacji rejestru.

– W porządku – rzuciła, wstając. – Gdzie stoi?

– Dok szósty, stanowisko dziewiętnaste. Czy chce pani, żeby nasz przedstawiciel był obecny przy przekazaniu?

– Nie – odparła. – Po prostu zostawcie kluczyk w stacyjce, a my sami zajmiemy się resztą.

– Oczywiście. Interesy z panią to czysta przyjemność.

– Wzajemnie – odpowiedziała Naomi. – Miłego dnia.

Rozłączyła się. Cyn i Miral zaczęli już zbierać swój skromny dobytek. Karal zdjął z płytki grzejnej ostatnie cousa, drugą ręką odłączając zasilanie. Nie musiała im mówić, żeby powiadomili pozostałych, Cyn już się tym zajmował. W jednej chwili powietrze w pomieszczeniu zrobiło się nagle zbyt gęste, a żar płyty grzewczej oraz ich ciał – przytłaczający. Naomi weszła do pokoju, gdzie spał Filip.

– Już czas – powiedziała łagodnym głosem. Przypomniały jej się wszystkie strumienie serialowe i filmy, w których matka budzi dziecko do szkoły. To było najbliższe czemuś takiemu i syciła się tą chwilą wbrew wszelkim racjonalnym zastrzeżeniom. – Filip. Możemy już iść.

Otworzył oczy i przez chwilę nie był jeszcze do końca obudzony. Wyglądał na zmieszanego. Wrażliwego. Młodego. A potem oprzytomniał i znowu był sobą. Nowym sobą, tym, którego nie znała.

Otworzyli frontowe drzwi i wyszli na korytarz. Chłodna bryza obrotu pachniała wilgocią i ozonem. W ręce wciąż trzymała niedojedzoną couse Karala. Ugryzła kęs, ale danie wystygło i zasmażka zaczęła się robić grudkowata. Wyrzuciła resztkę do recyklera i spróbowała nie zobaczyć w tym metafory niczego innego.

Z drzwi wyłonił się Cyn z malującą się na twarzy domyślną ponurością. Wyglądał starzej. Twardziej. Zateęskniła za tym, kim był, kiedy oboje byli młodszy. Zateęskniła za tym, kim sama była.

– Gotowa do drogi, Kostki? – zapytał Cyn.

– Cholera, tak – odpowiedziała, a on przyjrzał się jej uważniej.

Być może słysząc w słowach coś więcej niż tylko potwierdzenie.

\* \* \*

Statek był prostą szalupą transportową, tak małą, że trzymające go uchwyty dokowe wyglądały, jakby w każdej chwili miały go zmiążdżyć. Nie miał silnika Epsteina, więc większość kadłuba zajmowała masa odrzutowa. Będzie musiał lecieć czajniczkiem, a nawet wtedy większość drogi spędzą w nieważkości. Tak naprawdę był tylko o krok wyżej od zdobycia skafandrów próżniowych i zapasu dodatkowych butli z tlenem, ale zrobi to, czego potrzebowali. Naomi kupiła go za stawki złomowe, przekierowując pieniądze z jej udziału w *Rosynancie* przez dwa anonimowe konta, jedno na Lunie, drugie na Ganimesie. Zarejestrowanym właścicielem była spółdzielnia Nieznacznna Redukcja Ryzyka Edwarda, firma nieistniejąca, zanim pojawiła się na formularzach rejestracyjnych, która zniknie znowu, gdy pozbędą się statku. Według transpondera nazywał się *Chetzemoka*. Generalnie stanowił mniej więcej połowę



wszystkiego, co Naomi mogła nazwać swoją własnością, choć jej nazwisko nie widniało w żadnym formularzu.

Wydawało się, że to za mało. I równocześnie za dużo. Nie wiedziała, jak się z tym czuła.

Filip zatrzymał się w hangarze przed trapem, więc ona też stanęła. Cyn, Karal i Miral stanęli trochę dalej, dając im odrobinę prywatności. Stanowisko postojowe było wynajęte, czerwony zegar na ścianie wyświetlał minuty pozostałe do końca wykupionego czasu. Ściany z metalu i ceramiki miały przymglony wygląd izolacji rozpadającej się od ciągłego promieniowania kosmicznego. Powietrze śmierdziało olejem. Ktoś zostawił na ścianie stary plakat, rozerwany krąg SPZ z kręgiem tworzonym przez półkule Marsa i Ziemi. Nie tylko SPZ, SPZ walczący.

Kiedyś to byli jej ludzie.

Dotarli pozostali. Josie i Stary Sandy. Skrzydlaty, jakkolwiek naprawdę się nazywał. Grubokoścista kobieta o smutnym spojrzeniu i bez jednego zęba, Naomi wcześniej jej nie widziała. Mężczyzna z wygoloną na łyso głową i siatką blizn na głowie, utykający z powodu niewygojonej rany na stopie. I kolejni. Każdy przechodzący kiwał głową Filipowi, a na ich twarzach rysował się szacunek i zadowolenie. Wszyscy znali go lepiej niż ona. Wszyscy latali z nim po tym, jak ona odeszła. W każdej innej sytuacji zaniepokoiłby ją odczuwany ból za mostkiem, ale teraz wiedziała, skąd się bierze.

W jej oczach zaczęły wzbierać łzy, ale pozbyła się ich mruganiem. Ugryzła się w język, żeby je zatrzymać.

– Wszystko w porządku? – zapytał Filip.

Roześmiała się, a uścisk wokół serca jeszcze się nasilił.

– Dostatecznie. Gdy tylko zaktualizują rejestr, możemy zgłosić plan i lecieć.

– Dobrze.

– Masz wolną chwilę?

Spojrzał na nią i zobaczyła w nim coś w rodzaju niepokoju. Uderzenie serca później kiwnął głową i wskazał podbródkiem kątek hangaru. Przeszli tam razem, pozostali nie próbowali im przeszkadzać. Serce Naomi waliło, jakby groziło jej niebezpieczeństwo. Czuła pulsowanie w szyi.

Zatrzymała się przy ścianie hangaru. Filip odwrócił się do niej. Jej myśli przejęło silne wspomnienie jego jako bezzębego niemowlęcia, chwytającego jej palec z uśmiechem dumy, i musiała potrząsnąć głową, żeby się go pozbyć.

– Dobrze było cię zobaczyć – powiedziała.

Przez chwilę myślała, że nie odpowie, ale w końcu to zrobił.

– Ciebie też.

– Statek – dodała. – Kiedy będzie po wszystkim, jest twój, dobrze?

Filip obejrzał się przez ramię w stronę trapu.

– Mój?

– Chcę, żebyś go miał. Sprzedaj go i zatrzymaj pieniądze albo zatrzymaj statek, jeśli wolisz. Ale jest twój,

nikogo innego.

Przekrzywił głowę.

– Nie lecisz z nami?

– Nie przyleciałam tu, żeby znowu dołączyć – odpowiedziała i westchnęła. – Przyleciałam, bo powiedział, że masz kłopoty. Przyleciałam dla ciebie. Cokolwiek on robi, cokolwiek tobie każe robić, nie mogę w tym uczestniczyć. Ani wtedy, ani teraz.

Przez dłuższą chwilę Filip się nie ruszał. Jej gardło wydawało się za wąskie, jakby nie mogła wciągnąć przez nie dość powietrza.

– Rozumiem – odpowiedział jej syn.

Jej syn, który znowu odchodził. Który wracał do Marco i wszystkiego, czym był.

– Twój ojciec nie jest dobrym człowiekiem – powiedziała, czując, jak wylewają się z niej słowa. – Wiem, że go kochasz, ja też go kiedyś kochałam, ale on nie jest...

– Nie musisz tego usprawiedliwiać – stwierdził Filip. – Zrobiłaś to dla nas i doceniam to. To wszystko, co jesteś gotowa zrobić, i to rozczarowuje, ale powiedział mi, że może tak właśnie być.

– Mógłbyś polecieć ze mną – nie chciała tego mówić, ale gdy tylko to zrobiła, prawdę tych słów poczuła do szpiku kości. – Statek, którym latam, potrzebuje załogi. Jesteśmy niezależni i mamy solidne zaopatrzenie. Zrób ze mną turę, co? Może... może się poznamy?

Po raz pierwszy przez opanowanie jej syna przebiło się prawdziwe uczucie. Między jego brwiami pojawiły się

trzy cienkie, pionowe linie, a jego uśmiech mógł świadczyć o zmieszaniu lub żalu.

– Mam coś do zrobienia – powiedział.

Miała ochotę błagać, Chciała go chwycić i wynieść. Chciała go odzyskać. Fakt, że nie mogła go mieć, bolał bardziej niż choroba.

– W takim razie może później – zasugerowała. – Gdy tylko będziesz chciał, wystarczy jedno słowo. Na *Rosynancie* zawsze będzie dla ciebie miejsce.

*Jeśli Marco cię wypuści, pomyślała, ale nie powiedziała tego. Jeśli nie skrzywdzi cię tylko po to, żeby ukarać mnie. A po chwili: Boże, cholernie trudno będzie to wszystko wyjaśnić Jimowi.*

– Może później – zgodził się Filip, przytakując.

Wyciągnął rękę i przez chwilę trzymali się wzajemnie za nadgarstki. On odwrócił się pierwszy, odchodząc z rękami w kieszeniach.

Poczucie straty było potężne i przytłaczające. I jeszcze gorsze przez to, że nie traciła go w tej chwili, to działo się każdego dnia, odkąd odeszła. Każdego dnia, w którym prowadziła życie wybrane przez siebie, zamiast tego, którego chciał dla niej Marco. W tej chwili bolało tak mocno tylko dlatego, że widziała, w co składały się te wszystkie dni, i czuła tragizm sytuacji.

Nie zauważyła podchodzących Cyna i Karala do chwili, aż znaleźli się przy niej. Wytarła dłonią oczy, gniewna, zawstydzona. Bała się, że ciepłym słowem rozbiją jej resztki opanowania. Ciepłym lub okrutnym.

– Hoy, Kostki – odezwał się Cyn cichym i łagodnym głosem olbrzymia. – To co, nie ma szansy, żebyś kommt mit? Filipito to nie byle kto. Wiem, że w tej chwili jest spięty, ale wciąż jest na misji. Kiedy nie dowodzi grupą, może być zabawny. I uroczy.

– Miałam powody do odejścia – odparła Naomi, czując głębię i prawdę swoich słów. – Nie zmieniły się.

– Twój syn, on – powiedział Karal, a jego oskarżycielski ton uspokajał, bo wiedziała, jak na niego odpowiedzieć.

– Znasz te historie o uwięzionym wilku, który odgryza sobie łapę, żeby się uwolnić? – zapytała. – Ten chłopak to moja łapa. Bez niego nigdy nie będę cała, ale nie zrezygnuję z wolności.

Cyn się uśmiechnął i zobaczyła żal w jego oczach. Coś w niej pękło. Dokonało się. Skończyła. Chciała teraz tylko wysłuchać kolejno wszystkich wiadomości wysłanych jej przez Jima i znaleźć najszybszy możliwy transport z powrotem na Tycho. Była gotowa wrócić do domu.

Cyn rozłożył ramiona, a ona objęła go po raz ostatni. Wielkolud ją objął, położyła głowę na jego ramieniu. Rzuciła coś wulgarnego, a Cyn zachichotał. Poczwała jego pot i kadzidło.

– Ach, Kostki – zaburczał Cyn. – To nie musiało się tak potoczyć. Suis désolé, nie?

Objął ją mocniej, unieruchamiając ramiona przy bokach i cofnął się, unosząc ją. Coś dźgnęło ją w udo i Karal się odsunął, wciąż trzymając igłę w dłoni. Naomi zaczęła się szarpać, wbijając kolano w Cyna. Potężny

uścisk pozbawił ją powietrza. Ugryzła ramię Cyna w miejscu, gdzie mogła sięgnąć, i poczuła smak krwi. Głos wielkoluda w jej uszach brzmiał cicho i uspokajająco, ale nie potrafiła już rozróżnić słów. Odrętwienie rozchodziło się wzdłuż jej nogi, docierając do brzucha. Cyn zdawał się upadać z nią w ramionach, ale nigdy nie wylądował, tylko zawirował w przestrzeni, choć jego nogi w ogóle nie oderwały się od pokładu.

– Nie rób tego – wydyszała, ale jej głos zdawał się dochodzić gdzieś z oddali. – Proszę, nie rób tego.

– Musiałem, Kostki – odpowiedział Cyn. – Taki był plan immer i zawsze, sa sa? O to tu chodziło.

Przyszła jej do głowy myśl, a potem uciekła. Próbowwała go uderzyć kolanem w krocze, ale nie była już pewna, gdzie ma nogi. Oddychała głośno i ciężko. Nad ramieniem Cyda zobaczyła pozostałych stojących przy pomoście na statek. Jej statek. Filipa. Wszyscy patrzyli w jej stronę. Filip był pośród nich, patrzył na nią pustym wzrokiem. Miała wrażenie, że płakał, ale to mogło być tylko coś, co sobie wyobraziła. A potem jej umysł zgasł jak zgaszone światło.

## Rozdział dwudziesty

### Aleks

Zawsze, kiedy pilotował statek – dowolny – przychodziła taka chwila, gdy Aleks miał wrażenie, że jego ciało rozszerza się subtelnie, obejmując cały pojazd. Poznanie tego, jak wyczuwało się każdy statek podczas manewrów; jak ustawało ciśnienie ciągu przy wyłączeniu określonego silnika; ile czasu potrzeba było na zwrot w połowie lotu – wszystko to tworzyło coś w rodzaju głębokiej więzi ze statkiem. Nie było to nic racjonalnego, ale zmieniało sposób, w jaki Aleks o sobie myślał. Jego poczucie tego, kim był. Kiedy przeszedł z pilotowania olbrzymim, statecznym statkiem kolonizacyjnym, przerobionym na lodowcowiec *Canterbury*, na sterowanie szybką fregatą bojową, znaną później jako *Rosynant*, poczuł się, jakby odmłodził o dwadzieścia lat.

Ale nawet *Ros* dźwigał tony metalu i ceramiki. Potrafił wirować ostro i szybko, jednak za jego ruchami krył się pewien autorytet. Siła. Pilotowanie ścigacza, którym był *Finwal*, przypominało przypięcie sobie ptasich skrzydeł podczas burzy. Statek składał się w zasadzie tylko

z kabiny wielkości mostka *Rosynanta*, zamocowanej do silnika fuzyjnego. Nawet maszynownia była hermetycznie zamkniętym pomieszczeniem dostępnym tylko dla techników w doku. Nie był to rodzaj jednostki, w której sprawami technicznymi zajmowała się załoga, od tego byli wynajęci ludzie. Dwie prycze przeciążeniowe umieszczono blisko siebie, a za nimi mieściła się tylko ubikacja, dozownik żywności i za mała na Bobbie prycza. Nie było nawet układu recyklingu żywności, tylko wody i powietrza. Silnik manewrowy mógł obrócić cały statek dwa razy w dziesięć sekund przy wydatku mocy, który *Rosa* obróciłby o pięć stopni w dwukrotnie dłuższym czasie.

Jeśli pilotowanie *Rosynanta* wymagało od Aleksa traktowania statku jak rycerskiego rumaka, *Finwal* domagał się uwagi jak szczeniak. Ekrany tworzyły łuk wokół foteli i pokrywały ściany, wypełniając całe jego pole widzenia gwiazdami, odległym Słońcem, wektorem oraz informacjami o względnej prędkości każdego statku w promieniu jednej czwartej jednostki astronomicznej. Dane sprawności maszyny wyświetlane były tak, jakby statek się chwalił. Nawet pomimo niemodnego od dziesięciu lat wzoru wyściółki przeciwuderzeniowej oraz brudu i śladów zużycia na brzegach prycz statek sprawiał wrażenie młodego. Idealistycznego, nieodpowiedzialnego i trochę nieopanowanego. Wiedział, że jeśli spędzi dość czasu, przyzwyczajając się do niego, *Ros* po powrocie wyda mu się ociężały i nudny. Ale, jak sobie powiedział, tylko przez jakiś czas. Aż znowu się do niego



przyzwyczajai. Dzięki tej myśli nie czuł się niełojalny. Łatwo byłoby się zakochać w *Finwalu*, choćby tylko dla jego mocy i rozbuchania, ale nie zbudowano go z myślą o prywatności.

– ...jako społeczność Mars tak mocno zacisnął swoją kolektywną dupę, że aż zagina światło – kontynuowała za nim Chrisjen Avasarala. – Ale przynajmniej wystartował w końcu konwój premiera. Mam nadzieję, że kiedy dotrze na Lunę, zdołam skłonić go do powiedzenia czegoś, co nie zostało wcześniej przeżute przez pół tuzina chroniących swoje tyłki dyplomatów. Przynajmniej dotarło do niego, że istnieje problem. Uświadomienie sobie, że ma się gówno na palcach, jest pierwszym krokiem do umycia dłoni.

Nie widział staruszki od czasu Luny, ale potrafił ją sobie wyobrazić. Jej babciną twarz i błyszczące pogardą oczy. Emanowała zmęczeniem i rozbawieniem, będącymi elementem jej bezwzględności, i nie miał wątpliwości, że Bobbie ją lubiła. Więcej, ufała jej.

– A na razie nie pakuj się w kłopoty. Nikomu nie przydasz się martwa. A jeśli ten dureń Holden ciągnie za kolejną nitkę w tym samym węźle, Bóg jeden wie, jak to wszystko spieprzy. No dobrze. Zgłoś się, gdy tylko będziesz mogła.

Nagranie kliknęło i ucichło.

– No cóż – odezwał się Aleks. – Brzmi tak samo, jak zawsze.

– To trzeba jej przyznać – zgodziła się Bobbie. – Nie zmienia się.

Aleks obrócił pryczę, żeby na nią spojrzeć. W stosunku do jej ciała prycza Bobbie wydawała się mała, choć była dokładnie tej samej wielkości co jego. Ścigacz leciał ze stosunkowo łagodnym ciągiem trzech czwartych g. Było to ponad dwukrotnie więcej niż ciążenie na Marsie, ale Bobbie wciąż ćwiczyła pod kątem działania w pełnym ziemskim ciążeniu, tak samo jak za czasów służby w marines. Zaoferował zmniejszenie ciągu z uwagi na jej obrażenia, ale tylko się roześmiała. Mimo wszystko nie musiał lecieć bardzo szybko.

– Mówiłaś, że pracujesz z nią... – Aleks powiedział to tak, by nie zabrzmiało jak oskarżenie. – Czym to się różni od pracy dla niej?

Śmiech Bobbie przypominał kaszel.

– Chyba po prostu mi nie płacą.

– Pomijając statek.

– I inne rzeczy – dodała Bobbie. Jej głos był starannie radosny w sposób sugerujący, że ćwiczyła ukrywanie własnego dyskomfortu. – Ma sporo sposobów na przemycenie mi marchewki, jeśli tego chce. Pracuję w ośrodku pomocy dla weteranów. Te inne sprawy...

– Wydaje się to skomplikowane.

– Bo jest – potwierdziła Bobbie. – Ale to wszystko trzeba zrobić, a ja mogę się tym zająć. Czuję się z tym, jakbym coś znaczyła, a to już coś. Choć wciąż brakuje mi tego, kim byłam. Wcześniej.

– A-kurwa-men – skomentował Aleks. Uniesienie jej brwi zdradziło, że powiedział więcej, niż zamierzał. – Nie chodzi o to, że nie kocham *Rosa*. To świetny statek,

a pozostali są rodziną, po prostu... Sam nie wiem. Wszedłem w to wszystko, patrząc, jak sporo ludzi, których znam i lubię, jest wysadzanych w powietrze. Mógłbym żyć bez tego.

Bobbie przybrała skupiony, spokojny i odległy wyraz twarzy.

– Wciąż ci się to śni?

– Owszem – przyznał Aleks. To słowo miało wagę spowiedzi. – A tobie?

– Rzadziej niż kiedyś. Ale czasami... Właściwie tak jakby się z tym pogodziłam.

– Naprawdę?

– Przynajmniej spokojniej podchodzę do idei, że się z tym nie pogodzę. A to prawie to samo.

– Tęsknisz za byciem marine?

– Tak. Byłam w tym dobra.

– Nie mogłabyś wrócić?

– Nie.

– No tak – rzucił Aleks. – Ja też.

– Mówisz o flocie?

– O wszystkim. Wszystko się zmienia i nie wraca do początku.

Westchnienie Bobbie zabrzmiało jak potwierdzenie. Wielka pustka między Marsem a Pasem, między ich dwojgiem i odległymi gwiazdami, była tylko złudzeniem tworzonym przez zakrzywione ekrany i dobre kamery zewnętrzne. Dużo bardziej rzeczywisty był sposób, w jaki przestrzeń ograniczała ich głosy. Oboje siedzieli w maleńkiej bańce powietrza w morzu

nieporównywalnie większym od zwykłych oceanów. Pozwalało im to na swobodne rozmowy o rzeczach, o których normalnie Aleksowi trudno było nawet myśleć. Sama Bobbie znajdowała się w tej dziwnej przestrzeni w pół drogi między obcą a towarzyszką ze statku, która pozwalała na to, aby jej zaufał, ale też żeby nie odczuwał odpowiedzialności za ochronę przed tym, co czuł i myślał. Dni spędzone na locie do Hungarii przypominały siedzenie w barze i rozmawianie przy piwie.

Opowiedział jej o swoich lękach dotyczących romansu Holdena i Naomi oraz o atakach paniki, których doznawał w drodze na Ziemię z Nowej Ziemi. O tym, jak kogoś zabił, i o koszmarach, które z czasem zastąpiły poczucie winy. Opowiedział o czasach, gdy zmarł jego ojciec, potem matka. O krótkim romansie, na który pozwolił sobie, latając we flocie, i poczuciu winy, które odczuwał z tego powodu do tej pory.

Bobbie opowiadała mu o swojej rodzinie. O braciach, którzy ją kochali, ale zdawali się nie mieć pojęcia, kim albo czym jest. O podejmowanych przez nią próbach spotykania się z mężczyznami po powrocie do cywila i o tym, jak kiepsko wychodziły. O bratanku, którego chciała powstrzymać od zaangażowania się w handel narkotykami.

Zamiast próbować zmieścić się na koi, Bobbie spała na swojej pryczy. Kierowany poczuciem solidarności Aleks robił to samo. A to oznaczało, że spali równocześnie. Co było złym pomysłem z perspektywy zamiennych wacht, ale dobrze robiło na długie rozmowy.

Rozmawiali o pierścieniach i protomolekule, pogłoskach, które docierały do Bobbie w sprawie nowych metamateriałów odkrywanych w laboratoriach na Ganimesdesie na podstawie obserwacji Pierścienia i danych z marsjańskich sond mówiących o tym, co działo się na Wenus. Podczas długich godzin przyjaznej ciszy jedli spakowane racje żywnościowe i oglądali na obrazach z lunet inne statki lecące w swoich sprawach: parę poszukiwaczy minerałów zmierzających do niezajętej asteroidy, małą flotyllę eskortującą marsjańskiego premiera w drodze na Lunę, lodowcowa, który leciał do Saturna, żeby zebrać lód dla stacji Ceres, uzupełnić tlen i wodór zużyte przez ludzkość do nadania ruchu wirowego największemu miastu portowemu w Pasie. System śledzenia generował maleńkie kropki na podstawie danych transponderów, bo same statki były zbyt małe i znajdowały się za daleko, żeby zobaczyć je bez powiększenia. Nawet wysokie albedo grupy Hungarii znaczyło tylko, że czujnikom było trochę łatwiej je znaleźć. Aleks nie potrafiłby stwierdzić, że ten centymetr usłanego gwiazdami nieba różni się od pozostałych, gdyby nie powiedział mu tego statek.

Bliskość na pokładzie *Finwala*, krótki czas podróży były niczym weekendowy romans bez seksu. Aleks żałował nawet, że nie pomyśleli o zabraniu paru butelek wina.

Pierwszy znak, że nie są sami, pojawił się, gdy wciąż znajdowali się kilkaset tysięcy kilometrów od Hungarii. Czujniki zewnętrzne *Finwala* rozbłysły i zamrugały,

wyświetlając odczyt zbliżenia. Aleks wyłączył fałszywe gwiazdy i wywołał zamiast nich dane taktyczne i czujników.

– Co się dzieje? – zapytała Bobbie.

– O ile dobrze to odczytuję, to wygląda mniej więcej tak, jak okręt wojenny informujący nas, że ktoś tam nas namierza.

– Lasery celownicze?

– Owszem – potwierdził Aleks, czując mrowienie wzdłuż kręgosłupa. – Co jest ździebko bardziej prowokacyjne, niż się spodziewałem.

– Czyli jest tam statek, który się ukrywa.

Aleks przejrzał bazę danych i pasujące procedury, ale nie znalazł niczego nowego. Nie spodziewał się zresztą znaleźć czegoś innego.

– Brak sygnału transpondera. Chyba znaleźliśmy *Pau Kanta*. To znaczy, zakładając, że zdołamy go odszukać. Sprawdźmy, co widzimy.

Zaczął aktywne przeczesywanie czujnikami w dziesięciostopniowym łuku i włączył nadajnik na otwarty kanał.

– Hej, wy tam. Tu prywatny statek *Finwal* z Marsa. Trudno nie zauważyć, że wskazujecie nas palcem. Nie szukamy żadnych kłopotów i poczułbym się spokojniej, gdybyście nam odpowiedzieli.

*Finwal* był statkiem wyścigowym, zabawką bogacza. W czasie, którego jego systemy potrzebowały na zidentyfikowanie namierzającej ich jednostki, *Ros* miałby już pełny profil statku i własny zamiar, żeby podkreślić

słowa. *Finwal* poinformował sygnałem akustycznym, że zebrał dane profilu i szuka dopasowań. Po raz pierwszy od czasu opuszczenia Marsa Aleks poczuł głębokie pragnienie znalezienia się w fotelu pilota *Rosynanta*.

– Nie odpowiadają – zauważyła Bobbie.

– Ale też nie strzelają – skomentował Aleks. – Jak długo będą uważać, że jesteśmy tylko jakąś przypadkową wycieczką bogacza, nic nam nie będzie. Prawdopodobnie.

Prycza Bobbie zasyczała na przegubach, gdy się na niej poprawiła. Ona też w to nie wierzyła. Chwila się przeciągała. Aleks znowu otworzył kanał.

– Hej tam, niezidentyfikowany statek. Wyłączę ciąg do czasu, aż coś odpowiecie. Wolę wam powiedzieć, żeby nikogo nie przestraszyć. Naprawdę doceniłbym jakiś sygnał, żeby było jasne, że nic się nie dzieje. Bez urazy.

Wyłączył silnik i zelżał dotychczasowy chwyt ciężenia ciągu. Żel pryczy pchnął go łagodnie na pasy. Poczuł na szyi bicie serca. Pracowało dość szybko.

– Podejmują decyzję, co z nami zrobić – rzuciła Bobbie.

– Też tak sędzę.

– Nie śpieszą się.

*Finwal* poinformował o dopasowaniu wizualnym, ale nie z danymi, które przesłał im Holden. Statek na ekranie nie był żadnym ze statków kolonizacyjnych, które zaginęły podczas przelotu przez wrota. Z prawdopodobieństwem wynoszącym dziewięćdziesiąt osiem procent była to marsjańska korweta bojowa.

Siedząca za nim Bobbie zobaczyła tą samą informację i doszła do tych samych wniosków.

– No cóż – powiedziała. – Kurwa.

Po zakończeniu dopasowywania profilu *Finwal* powrócił do skanowania zadanego łuku. Kolejny pasywny kontakt. Jeśli *Pau Kant* był korwetą, to nie był tu sam. A potem pojawiły się jeszcze dwa statki. Sześć. *Finwal* skupił się na najbliższym i radośnie zaczął dopasowywać jego profil. Aleks odruchowo sięgnął, by włączyć działka obrony punktowej. Oczywiście, żadnych nie miał.

– Może będą rozmawiać – rzuciła Bobbie.

W jej głosie usłyszał, że wcale na to nie liczyła. On też nie. Pół sekundy później *Finwal* poinformował o dwóch szybkich obiektach wylatujących z korwety.

Wykręcił ścigacz w przeciwną stronę i włączył silnik. Prycza z dużą siłą walnęła go w plecy. Bobbie z tyłu stęknęła. Wypowiadając w duchu przeprosiny, wdusił dziesięć g, a ścigacz radośnie skoczył do przodu.

To nie wystarczy.

Choć *Finwal* był lekki, pociski miały o rząd wielkości mniej masy do przyśpieszenia. I nie niosły niczego tak delikatnego jak ludzkie ciało. Mogły lecieć ze znacznie większym przyśpieszeniem i pokonać odległość dzielącą je od celu w ciągu kilku godzin. Nie miał niczego, czym mógłby je zestrzelić i nie było za czym się schować. Nie miał nawet żadnego ładunku, który mógłby wyrzucić w nadziei, że pociski mogą w niego wlecieć.



Zaczął mu się zwężać pole widzenia, gasnąc na brzegach, a w środku pojawiły się tańczące złote kropki. Poczul, jak w jego szyję i plecy wbijają się igły z pryczy, wstrzykując mu w żyły koktajl niczym lodowatą wodę. Serce pracowało z wysiłkiem i zmagał się z płucami w walce o oddech, ale widział wyraźnie. Umysł też miał czysty. Musiał myśleć. Miał statek tak szybki, jak to tylko możliwe, choć nie potrafił prześcignąć rakiety. Nie istniała żadna osłona, za którą mógłby się ukryć na czas, a jeśli pociski były choć w połowie tak dobre, jak statek, który je wystrzelił, będą w stanie nakierować się na jego dyszę, niezależnie od tego, za czym się ukryje.

Nie mógł uciec, odciągnąć napastników w jedną linię, a potem zrzucić rdzeń. Wyrzucona z reaktora fuzyjnego plazma prawdopodobnie zniszczyłaby przynajmniej pierwszy pocisk. Może oba. Ale wtedy zostaliby bez napędu, zdani na łaskę drugiej salwy.

Cóż, zły plan był lepszy niż brak planu. Jego palce drgnęły nad przyciskami. Jeszcze nie znał ich układu na pamięć, a strach, że koduje niewłaściwe informacje tylko dlatego, że to nie jego cholerna łajba, był jak kółek w wbity w serce.

Bobbie stęknęła. Nie miał dość sił, żeby się na nią obejrzeć. Miał nadzieję, że to nie ból. Duże przyśpieszenia nie były dobre dla kogoś, komu niedawno zrobiono kilka dziur w ciele. Powiedział sobie, że to tylko reakcja na igły podające koktajl.

Na jego ekranie pojawiło się okienko alertu z konsoli Bobbie. PREMIER. STATKI ESKORTY.

Przez leki, panikę i zaburzony dopływ krwi do mózgu Aleks potrzebował kilku chwil na zrozumienie, o co jej chodziło. *Finwal* nie miał działek obrony punktowej ani pocisków przechwytyjących, ale miała je flotylla lecąca w stronę Luny. Wywołał dane, wprowadzając je do systemu nawigacyjnego. Nie było mowy, żeby mogli dotrzeć do marsjańskich statków, zanim dogonią ich rakiety, ale istniała szansa – niewielka – że wleczą w zasięg ich obrony przeciwrakietowej. Jeśli od razu zmieni kurs. Jeśli Marsjanie zorientują się, co się dzieje i prawie natychmiast wystrzelą. A ciąg będzie na górnej granicy tego, co on i Bobbie mogli wytrzymać.

Prawie bez namysłu aktywował silniki manewrowe, a prycze przeciążeniowe skrzypnęły, dopasowując się do nowego wektora. Zdawało się, że pociski skoczyły bliżej, korygując kurs i przewidując, gdzie znajdzie się ścigacz. Wysłał szerokokresowy sygnał ratunkowy, na wszystkich standardowych częstotliwościach z nadzieją, że ktokolwiek zobaczy go w konwoju, wykaże się szybkim myśleniem. Dwie sfery – czas do zderzenia i zasięg marsjańskich pocisków – nie nakładały się na siebie, ale było między nimi zaledwie kilkaset kilometrów. Ledwie mrugnięcie przy ich względnych prędkościach. Przełączył się na panel medyczny i przestawił Bobbie z koktajlu na procedurę podtrzymywania życia.

Przepraszam, Bobbie, pomyślał. Ostrzegłbym cię, gdybym miał czas, ale będziesz potrzebować tej drzemki, żebyś się nie wykrwawiła. Zobaczył, jak jej parametry czynności życiowych skaczą w górę, a potem spadają,

ciśnienie i temperatura ciała poleciały w dół jak kamień spadający z orbity. Zwiększył przyśpieszenie do piętnastu g.

Bolała go głowa. Miał nadzieję, że to nie oznaka udaru, ale w sumie nie byłoby to dziwne. Dłuższy lot z przyśpieszeniem piętnastu g był głupotą i ocierał się o samobójstwo. Czuł, jak powietrze jest wyciskane z jego piersi pod wagą żeber i skóry. Dźwięk chrapliwego oddechu przypominał dławienie się. Ale sfery zaczęły się dotykać. Minuty ciągnęły się w nieskończoność. A potem pojawiły się szybkie obiekty wystrzelone z marsjańskiej floty. Zajęło im to cholernie dużo czasu, ale obrona była w drodze. Spróbował wpisać wiadomość, ostrzegając Marsjan, że jest tam więcej statków, ukryta flota. Nie potrafił utrzymać spójności myśli dość długo, żeby ją wysłać. Jego świadomość ciągle zanikała, jakby wszechświat się zacinał.

System medyczny błysnął ostrzeżeniem i pomyślał, że to Bobbie, że w końcu otworzyły się jej rany. Tylko że alarm dotyczył jego. Rozerwało mu się coś w brzuchu. Anulował alarm i wrócił do obserwowania, jak zbliża się śmierć.

Nie uda im się. Pocisk na przedzie był za blisko. Zniszczy *Finwala*, zanim nadejdzie ratunek. Czy nie miał jakiegoś pomysłu na taką sytuację? Coś...

Nie był świadomy zmiany kursu, jego palce same to zrobiły. Sfery już się nie stykały, dopiero gdy przełączył na śledzenie drugiej rakiety. Wt

edy może. Może.

Czekał. Pierwszy pocisk zmniejszyła odległość. Pięć tysięcy kilometrów. Cztery tysiące. Wyrzucił rdzeń.

Dwieście kilometrów...

Ustało miażdżące ciśnienie. Wciąż pędzący przez kosmos *Finwal* przestał przyśpieszać. Pierwszy pocisk zginął z tyłu w nuklearnym żarze szybko rozprzestrzeniającej się plazmy. Druga rakietka zmieniła kurs, by uniknąć rozszerzającej się chmury gorącego gazu, a przed nim zapłonęły cztery światła, mknąc przez ekrany tak szybko, że zidentyfikował je tylko na podstawie powidoku.

Ułamek sekundy później marsjańska obrona przeciwrakietowa zniszczyła ścigającą go torpedę, ale Aleks stracił już przytomność.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

### Naomi

– Bist bien, Kostki? – zapytał Karal.

Wąski, prowizorycznie urządzony kambuz był za duży dla tak małej załogi. Kiepski projekt, marnowanie przestrzeni. Nie był zużyty, tylko tani. Popatrzyła na niego zza zasłony włosów i się uśmiechnęła.

– W porządku, uwzględniając wszystko – odpowiedziała żartobliwie. – Como sa?

Karal wykonał gest będący pasiarskim odpowiednikiem wzruszenia ramionami. Jego włosy posiwiały przez te lata. Tak samo jak krótka broda. Kiedyś była czarna jak przestrzeń między gwiazdami.

Popatrzył jej w oczy, a ona nie drgnęła.

– Coś do powiedzenia, ja.

– Teraz nie ma między nami tajemnic – odpowiedziała, a on się roześmiał.

Posłała mu uśmiech. Więźniarka flirtująca ze strażnikiem w nadziei na wzbudzenie życzliwości, która później zaowocuje. Może tak będzie.

Najbardziej przerażał ją fakt, że doskonale wiedziała, jak to rozgrywać. Od chwili, gdy odzyskała przytomność, rozmawiała, gdy ktoś się do niej odzywał, i śmiała się, gdy ktoś opowiedział żart. Zachowywała się, jakby jej porwanie było po prostu jedną z tych rzeczy, które się zdarzają, jak użycie czyichś narzędzi bez wcześniejszego poproszenia o zgodę. Udawała, że śpi. Jadła, ile mogła, pomimo kamienia w żołądku. A oni wszyscy traktowali ją, jakby była tą samą dziewczyną, co kiedyś, jakby mogli zignorować lata i różnice, wpasować ją w swoją rzeczywistość tak, jakby nigdy nie odeszła. Jakby nigdy nie była nikim innym. Ukrywanie jej strachu i wściekłości okazało się tak łatwe, jakby nigdy nie przestała tego robić.

Zaczęła się zastanawiać, czy może faktycznie nie przestała.

– To właśnie ja byłem – powiedział. – Pomagałem Filipito. Zajmowałem się.

– Dobrze.

– Nie – odpowiedział Karal. – Wcześniej. Czasami był ze mną.

Naomi się uśmiechnęła. Próbowwała nie pamiętać tamtych pełnych desperacji dni po tym, jak powiedziała Marco, że odchodzi. Tych dni, gdy zabrał Filipa. Żeby, jak twierdził, zapewnić mu bezpieczeństwo. Aż opanuje swoje emocje, powiedział. Poczowała uścisk w gardle, ale uśmiechnęła się pomimo niego.

– Tamte dni. Ty go miałeś?

– Immer, nie. Ale czasem. Hijo przenosił, nie? Noc tu, dwie noce tam.

Jej dziecko było przekazywane pośród ludzi, których znała. Ta manipulacja była genialna. Marko używał swego dziecka jako wyznacznika poziomu pokładanego w nich zaufania, równocześnie przedstawiając ją jako szaloną. Niebezpieczną. Dopilnował, że opowieść w społeczności dotyczyła tego, że jest solidny, a ona znalazła się na granicy ześwirowania. Przypomniała sobie nagle scenę, gdy Karal patrzył na nią z kuchni, gdy ona rozsypała się kompletnie w ramionach jego żony. Miała na imię Souja. Jak musiały wtedy wyglądać dla niego jej łzy i przekleństwa?

– Gdybyś nie powiedział – stwierdziła Naomi – nie dowiedziałbym się. Więc dlaczego to mówisz?

Karal znowu wykonał gest odpowiadający wzruszeniu ramionami.

– Nowy dzień. Nowy początek. Zdarłbym trochę starej rdzy.

Spróbowała wyczytać z jego twarzy, czy to prawda, czy też było to tylko kolejne drobne okrucieństwo w postaci, której nie mogła nazwać, nie wychodząc na szaloną. Gdyby znalazła się z powrotem na *Rosie*, wiedziałyby, ale tutaj, teraz, równowaga między strachem, gniewem i próbą opanowania się przytłoczyła takie drobiazgi jak wyczucie prawdy. Tak wyglądało piękno sposobu, w jaki Marco ustawił ją przeciw niej samej. Powiedział jej, że jest popsuta, żeby ją popsuć, a teraz proszę, minęło piętnaście lat, a to wciąż działało.

A potem na chwilę pojawił się tu Amos, w jej pamięci bardziej rzeczywisty od statku, na którym była. *Nie liczy się to, co w środku, szefowo. Obchodzi ich tylko to, co robisz.* Nie wiedziała, czy to wspomnienie, czy też jej umysł po prostu sięgnął po jakiś pewnik w otoczeniu, w którym na niczym nie mogła polegać.

*Jeśli Amos stał się moim osobistym filarem mądrości, mam przesrane,* pomyślała i roześmiała się. Karal zaryzykował uśmiech.

– Dziękuję, że mi to powiedziałeś – rzuciła Naomi. – Nowy początek. Zedrzyć rdzę.

*A jeśli kiedyś będę miała szansę zostawić cię w ogniu, Karal, to na Boga, alez będziesz płonął.*

Zabrział dzwonek, a potem zostało wyświetlone ostrzeżenie o przyśpieszeniu. Nie zauważyła, gdy statek wykonał obrót. Równie dobrze mogła wtedy spać, albo robił to tak powoli w ciągu paru godzin, że nie potrafiła wyczuć rotacji. To nie miało znaczenia. Była tu ładunkiem. Nikogo nie obchodziło, co wie.

– Przypnij się, co? – zasugerował Karal.

– Już lecę – odparła, odbijając się łagodnie do sufitu, a potem z pokładu do pryczy przeciążeniowej między Cynem i Skrzydlatym.

Okazało się, że Skrzydlaty tak naprawdę nazywa się Aleks, ale ponieważ to imię w jej głowie było już zajęte, na zawsze został dla niej Skrzydlatym. Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała tym samym, przypinając się do pryczy.



Ostrzeżenie zmieniło się z bursztynowego światła na odliczanie od dziesięciu w bursztynowych cyfrach, a przy zero prycza uderzyła ją w plecy, wgniatając na kilka centymetrów. Zaczął się ciąg hamowania. Kiedy się skończy, znajdą się tam, gdzie Marco.

\* \* \*

Po przejściu przez połączone śluzy spodziewała się, że nastąpią jakieś pożegnania. Uściski i kłamstwa, te wszystkie rzeczy, które ludzie robią, rozstając się po długiej podróży. Gdy nic takiego się nie stało, zrozumiała, że ta podróż była długa tylko dla niej. Lot z Ceres do pustej przestrzeni po słonecznej stronie Marsa i asteroid Hungarii był dla nich jak przejście z pryczy do łazienki.

Filip wyłonił się ze stanowiska dowodzenia, wyglądał ostro i twardo. Nie, to nieprawda. Wyglądał jak chłopiec próbujący wyglądać ostro i twardo.

– Sprawdźcie, czy nie ma broni – polecił Filip, przygryzając słowa.

Cyn przeniósł wzrok z Filipa na Naomi i z powrotem.

– Verdad? Kostki nosi, jest tu bardzo długo. Nie wydaje się...

– Żadnych więźniów na *Pelli* bez kontroli – powiedział Filip, wyciągając z kieszeni pistolet na strzałki i nie celując z niego do niej. – Takie zasady, nie?

Cyn wzruszył ramionami i odwrócił się do niej.

– Takie zasady.

Filip popatrzył na nią, mocno ściskając wargi. Jego palce nazbyt świadomie szukały spustu trzymanego

pistoletu. Powinien wyglądać groźnie, ale głównie wydawał się przestraszony. I zły. Wysłanie syna z zadaniem porwania było dokładnie tym, czego mogła się spodziewać po Marco. Nie chodziło o to, że to okrutne, choć takie było. Nie chodziło o to, że zniszczy to wszelkie związki, które mogli nawiązać, choć oczywiście taki był skutek. Chodziło o to, że to zadziała. Teraz nawet umieszczenie Filipa na Ceres wyglądało na manipulację. *Tu jest twój syn, tam, gdzie go zostawiłaś. Wejź do pułapki i zabierz go.*

I dokładnie to zrobiła. Nie wiedziała, czy bardziej była zawiedziona Filipem, czy sobą. Były to dwa bardzo różne rodzaje rozczarowania, a ten wskazujący na nią niósł w sobie więcej jadu. Filipowi mogła wybaczyć wszystko, był chłopcem żyjącym z Marco, który mieszał mu w głowie. Wybaczenie sobie będzie trudniejsze i nie miała w tym zakresie dużej wprawy.

Kiedy otworzyła się śluza, nagle poczuła się dezorientowana. Korytarz był typową konstrukcją z nadmuchanego mylaru i tytanowych wzmocnień. Nie było w nim nic dziwnego. Dopiero kiedy prawie dotarli na drugi koniec, rozpoznała jego zapach: ostry, głęboki i prawdopodobnie rakotwórczy. Lotne cząsteczki organiczne uwalniane z materiału.

– Jest nowy? – zapytała.

– Nie rozmawiamy o tym – rzucił Filip.

– Nie mamy za wiele tematów do rozmów, prawda? – warknęła, a on się na nią obejrzał, zaskoczony jadem

w jej głosie. *Wydaje ci się, że wiesz, kim jestem, pomyślała, ale tak naprawdę znasz tylko opowieści.*

Śluza statku była dziwne znajoma. Krzywizna ścian była taka jak w śluzie *Rosa*, tak samo wyglądało też zamknięcie. Marsjański projekt. Co więcej, marsjańska flota. Marco zdobył okręt wojenny. Wewnątrz czekali żołnierze. W przeciwieństwie do obszarpanej grupy na *Ceres*, ci mieli na sobie coś w rodzaju mundurów: szare kombinezony z rozerwanym kręgiem na ramionach i piersiach. Na tle eleganckich linii korytarza statku wyglądali jak złe kostiumy w filmie z dobrze zaprojektowanymi wnętrzami. Choć ich broń była bardzo prawdziwa i nie wątpiła, że mogli jej użyć.

Mostek wyglądał jak młodszy brat *Rosynanta*. Po taniej, ledwie byle jakiej estetyce *Chetzemoki*, wojskowej klasy prycze przeciążeniowe i wyświetlacze terminali wyglądały pewnie i uspokajająco. W samym środku tego wszystkiego, jakby specjalnie ustawił się właśnie tam, unosił się Marco. Miał na sobie coś w rodzaju munduru wojskowego, ale bez żadnych insygniów.

Był piękny jak posąg. Nawet teraz musiała mu to przyznać. Wciąż pamiętała czasy, gdy jego wargi i łagodność w spojrzeniu sprawiały, że czuła się bezpieczna. Choć było to w innym życiu. Teraz się uśmiechnął, a ona poczuła dziwną ulgę. Znowu była z nim i bez żadnej wątpliwości w jego mocy. Jej koszmar się ziścił, więc przynajmniej nie musiała już się go obawiać.

– Sprowadziłem ją, sir – powiedział Filip słowami ostrymi tak, że mogłyby ciąć. – Zadanie wykonane.

– Nigdy w to nie wątpiłem – odpowiedział Marco. Na żywo jego głos rozbrzmiewał bogactwem tonów, które gubiło się w nagraniach. – Dobra robota, mijo.

Filip zasalutował i odwrócił się, żeby wyjść.

– Ach! – rzucił Marco, zatrzymując chłopaka. – Nie bądź nieuprzejmy, Filip. Pocałuj matkę, zanim wyjdiesz.

– Nie musisz tego robić – odezwała się Naomi, ale – z pustym spojrzeniem – Filip podleciał do niej i pocałował ją w policzek suchymi wargami, a potem oddalił się razem z dwoma strażnikami.

Zostało tylko dwóch, którzy zajęli pozycje za jej plecami.

– Minęło sporo czasu – powiedział Marco. – Dobrze wyglądasz. Czas był dla ciebie łaskawy.

– Ty też – odpowiedziała. – I mówisz inaczej. Kiedy przestałeś mówić jak Pasiarz?

Marco rozłożył ręce.

– Aby zostać usłyszonym przez klasę uciskającą, trzeba mówić tak jak jej członkowie. Nie tylko słownictwo, ale i dykcja. Oskarżenie o tyranie, niezależnie od tego, jak dobrze oparte na faktach, zostanie odrzucone, jeśli nie przedstawi się go w sposób, który władza uzna za władczy. Dlatego właśnie Fred Johnson był przydatny. Był już ikoną autorytetu rozumianą przez władze.

– Czyli sporo ćwiczyłeś – skomentowała, składając ręce.

– To moje zadanie. – Marco wyciągnął rękę, odpychając się czubkami palców od sufitu i podpłynął w dół, do prycz przy pulpitych. – Dziękuję, że przyleciałaś.

Naomi nie odpowiedziała. Czuła, jak już zaczął zmieniać historię. Traktując ją, jakby przybyła do niego z własnej woli. Jakby była odpowiedzialna za to, że tu jest. Zamiast tego kiwnęła głową w stronę stanowiska dowodzenia.

– Niezła bryka. Gdzie ją zdobyłeś?

– Od dobrze ustawionych przyjaciół – odpowiedział Marco i roześmiał się. – Oraz dzięki dziwnym, bardzo dziwnym soюзom. Zawsze są ludzie, którzy rozumieją, że gdy świat się zmienia, zasady zmieniają się wraz z nim.

Naomi pociągnęła za włosy, opuszczając je sobie na oczy, a potem, zezłoszczona na siebie, odsunęła je z powrotem.

– No dobrze. Czemu zawdzięczam tę gównianą pułapkę?

Wyraz dotknięcia na twarzy Marco mógłby ujść za prawdziwy.

– Żadnej pułapki. Filip miał kłopoty, a ty mogłaś wyciągnąć naszego syna ze złej sytuacji, która potencjalnie mogła się zrobić dużo gorsza.

– I zapłacić za to porwaniem na twój statek wbrew własnej woli? Raczej nie mogę ci za to podziękować.

– A powinnaś – rzucił Marco. – Sprowadziliśmy cię tutaj, bo jesteś jedną z nas. Żeby zapewnić ci

bezpieczeństwo. Gdybyśmy mogli to wszystko wyjaśnić, zrobilibyśmy to, ale sytuacja jest delikatna, a nie zatrzymujesz się, żeby wyjaśnić, dlaczego kogoś ochraniaś, gdy niebezpieczeństwo jest blisko. Stawką jest życie milionów Pasiarzy i...

– Och, proszę – wtrąciła się Naomi.

– Nie uważasz tak? – zapytał Marco ostrzejszym tonem. – To ty nas zabiłaś. Ty i twój nowy kapitan. Gdy tylko otworzyły się wrota, my wszyscy staliśmy się trupami.

– Wciąż oddychasz – rzuciła Naomi, choć jej gniew nawet dla niej zabrzmiał jak nadąsanie. On też to tak usłyszał.

– Nie dorastałaś na dnie studni. Wiesz, jak mało obchodzimy wewnętrznych. Chesed. Stacja Anderson. Pożar kopalni Cielo. Życie Pasiarzy dla wewnętrznych nic nie znaczy. Nigdy nie znaczyło. Dobrze o tym wiesz.

– Nie wszyscy tacy są.

– Niektórzy udają, że są inni, tak? – W jego głosie zabrzmiał akcent Pasa. I nieukrywany gniew. – Ale oni wciąż mogą zejść do studni. Jest tysiąc nowych planet i są miliardy wewnętrzniaków, którzy mogą po prostu na nich wylądować. Żadnego ćwiczenia, rehabilitacji czy leków. Wiesz, ilu Pasiarzy potrafi wytrzymać pełne ciążenie? Nawet jeśli dać im wszystko, całą opiekę medyczną, egzozkielety zewnętrzne, domy opieki? Dwie trzecie. Dwie trzecie z nas może zostać kalekami na tych wspaniałych *néo* światach, gdyby wewnętrzni się zebrali i wydali na to swoje pieniądze. Myślisz, że to się stanie?

Nigdy tak nie było. W zeszłym roku fabryki farmaceutyczne przestały nawet produkować swoje tańsze mieszanki na wzmocnienie kości. Nie udostępniły patentów. Nie przeprosiły żadnych statków, które nie miały budżetu na towar z wyższej półki. Po prostu przestały. Potrzebowały mocy produkcyjnych dla statków kolonizacyjnych i wszystkich nowych środków, które robią dzięki danym wracającym z pierścieni. Jesteśmy śmieciami, Naomi. Ty, ja, Karal i Cyn. Tia Margolis. Filip. Oni idą dalej i zapominają o nas, bo mogą. To oni napiszą historię i wiesz, czym w niej będziemy? Akapitem o tym, jak jest niefajnie, gdy jakaś rasa ludzi stanie się przestarzała i o ile bardziej humanitarne byłoby nas odstrzelić. No, powiedz mi, że nie mam racji.

To była ta sama tyrada, którą wygłaszał wcześniej, tyle że dopracowana przez lata. Nowa odmiana tych samych argumentów, które wygłaszał na Ceres. Prawie spodziewała się usłyszeć *Gamarrze się należało. To jest wojna i każdy, kto pomaga zdławić przeciwnika, jest żołnierzem, czy zdaje sobie z tego sprawę, czy nie.* Miała wrażenie, że jej brzuch wypełnia woda. Pamiętała to uczucie z mrocznych czasów. Coś poruszyło się w głębi jej umysłu. Z długiego snu zaczął się budzić wąż wyuczonej bezradności. Udawała, że go tam nie ma w nadziei, że jeśli dostatecznie mocno będzie zaprzeczać jego istnieniu, przestanie istnieć.

– Co to ma wspólnego ze mną? – zapytała z mniejszą siłą, niż zamierzała.

Marco się uśmiechnął. Kiedy odpowiedział, znowu usłyszała głos wykształconego przywódcy, za którego maską ukrył się niezgrabnie ociosany zbir z Pasa.

– Jesteś jedną z nas. Owszem, w separacji, ale mimo wszystko jedną z nas. Jesteś matką mojego syna. Nie chciałem, żeby stała ci się krzywda.

Powinna zapytać, co to miało znaczyć. Jasno nakreślił jej ścieżkę, którą powinna podążać. *Co to znaczy, stała się krzywda?* powiedziałyby, a on by jej wytłumaczył. Przyglądał się, jak szerzej otwiera oczy. Zobaczył w niej strach.

Pieprzyć.

– Wcale nie chciałeś mnie – warknęła. – Chciałeś *Rosynanta*, tylko że nie wyszło. Chodziło ci o statek czy o Holdena? Możesz im powiedzieć. Chciałeś się popisać przed moim nowym facetem? Bo to byłoby dość żałosne.

Poczuła, jak przyśpieszył jej oddech napędzany wstrzykniętą w krew adrenaliną. Twarzą Marco zeszywniała, ale zanim się odezwał, zabrzmiał interkom i na pokładzie echem odbił się nieznany jej głos.

– Hast kontakt – oznajmiła kobieta.

– Que?

– Mały. Ścigacz z Marsa. Rozmawia z *Andreasem Hoferem*.

– Statek zwiadowczy? – warknął Marco.

Pauza rozciągnęła się na kilka sekund.

– Wygląda raczej na jakiegoś pinché dupka w niewłaściwym miejscu. Ale zobaczył jednego, to widział całą grupę uderzeniową, nie?



– Ile zostało czasu do uderzenia?

– Dwadzieścia siedem minut.

Nie było ani chwili wahania. Ktokolwiek znajdował się po drugiej stronie interkomu, wiedział, że usłyszy to pytanie. Marco zmarszczył czoło nad panelem.

– Mogli poczekać chwilę dłużej, bez tego byłoby ładniej. Ale dobrze, zestrzelcie ścigacz.

– Toda?

Marco spojrzał Naomi prosto w oczy. Na jego ustach pojawił się uśmiech. Strasznie teatralny dupek.

– Nie. No es toda. Wypuście też atak na statek marsjańskiego premiera. I powiedzcie grupie łowczej, żeby się przygotowali, żeby załatwić piaskarza, gdy zacznie uciekać.

– Sabez – powiedziała kobieta. – Rozkazy wysłany.

Marco czekał, z ręką wysuniętą jak wyzwanie.

– Tak należy – powiedział. – Zrobić tak, żeby nie mogli o nas zapomnieć. Zdjąć łańcuchy przygotowane przez nich do skrępowania nas i użyć ich jak batów. Nie odejdziemy w mrok, będą nas teraz szanować.

– I co takiego zrobią? Wyłączą Pierścień? – zapytała Naomi. – Znowu zaczną robić tanie leki na kości? Jak myślisz, co takiego marsjański polityk zrobi dla „naszego ludu”? Jak to komukolwiek pomoże?

Marco nie roześmiał się, złagodniał. Miała wrażenie, że powiedziała coś głupiego, co sprawiło mu satysfakcję. Pomimo wszystkiego poczuła ukłucie zawstydzenia.

– Przepraszam, Naomi. Będziemy musieli wrócić do tego później. Ale naprawdę cieszę się, że wróciłaś. Wiem,

że jest między nami dużo złych emocji i nie patrzymy na świat w ten sam sposób, ale zawsze będziesz matką mojego syna i zawsze będę cię za to kochał.

Uniósł pięść do strażników.

– Dopilnujcie, żeby była bezpieczna, potem przygotujcie się na ostry ciąg. Lecimy walczyć.

– Sir – rzucił jeden ze strażników, a drugi złapał Naomi za łokieć.

W pierwszej chwili chciała się opierać, wyszarpnąć rękę, ale co by tym osiągnęła? Odepchnęła się w stronę windy z zębami bolącymi od zaciskania szczęki.

– Jeszcze jedno – powiedział Marco, więc się odwróciła, myśląc, że mówi do niej. Pomyliła się. – Kiedy ją zamkniecie, dopilnujcie, żeby mogła oglądać wiadomości. Dzisiaj wszystko się zmieni, nie chcielibyśmy, żeby ją to ominęło, nie?

## Rozdział dwudziesty drugi

### Amos

– W tej chwili z raportów wynika, że w północną Afrykę uderzył duży meteoryt. Ośrodek Oxford Center w Rabacie, pięćset kilometrów na zachód od miejsca zdarzenia, szacuje siłę wstrząsu w epicentrum na osiem koma siedemdziesiąt pięć w skali Richtera.

Amos znowu spróbował odchylić się na krześle. Mebel był wyjątkowo niewygodny, po prostu lekki kawałek plastiku uformowany w fabryce przez maszynę, która nie musiała na nim siedzieć. Podejrzewał, że krzesło zaprojektowano specjalnie, by było niewygodne i nieskuteczne, gdyby próbować nim kogoś uderzyć. A potem zostało jeszcze przykręcone do podłogi. Mniej więcej co pięć minut wysuwał nogi na nierówny beton i odpychał się do tyłu, nawet nie do końca zdając sobie sprawę z tego, że to robi. Krzesło ugięło się nieco pod naporem, ale nie zrobiło się ani trochę wygodniejsze, a kiedy się poddał, natychmiast wróciło do starego kształtu.

– ...niespotykane od czasu Krakatau. Ruch powietrzny został mocno ograniczony, ponieważ chmura pyłu zagraża pojazdom cywilnym i komercyjnym. Łączymy się teraz z Kivrin Althusser w Dakarze, która przedstawi nam sytuację na miejscu. Kivrin?

Na ekranie pojawiła się kobieta o oliwkowej skórze w hidżabie w piaskowym kolorze. Oblizwała wargi, kiwnęła głową i zaczęła mówić.

– Fala uderzeniowa dotarła do Dakaru niecałą godzinę temu, a władze wciąż szacują rozmiary zniszczeń. Z tego, co widzę, miasto zostało kompletnie zniszczone. Według raportów wiele, bardzo wiele miejscowych struktur nie przetrwało pierwszego wstrząsu. Nie działa też sieć zasilania. Szpitale i wszystkie ośrodki medyczne są zatłoczone. Właśnie zarządzono ewakuację osób przebywających w wieżach Elkhashab, mówi się, że konstrukcja północnej wieży również została naruszona. Niebo... niebo tutaj...

Amos spróbował odchylić się na krześle, westchnął i wstał. Poczekalnia była pusta, poza nim była tu jeszcze tylko starsza kobieta, która ciągle pokasływała w zgięciu łokcia. Pomieszczenia nie można było nazwać dużym. Okna wychodziły na mało ciekawe dwieście metrów Północnej Karoliny, nagie od wejścia do placówki aż po zewnętrzną bramę. Drogę do dwupiętrowego betonowego muru blokowały dwa rzędy monofilamentowych płotów odpornych na huragany. W każdym rogu muru umieszczono stanowiska strzeleckie z automatyczną bronią nieruchomą bardziej

niż gałęzie drzew. Budynek był niski – z ziemi wystawało jedno piętro z biurami administracyjnymi i wielką bramą serwisową. Większość tutaj działa się pod ziemią. Było to dokładnie takiego typu miejsce, jakiego Amos miał nadzieję nigdy nie odwiedzać.

Cóż, przynajmniej tym razem będzie mógł wyjść po spotkaniu.

– Dziś powiemy także o wezwaniu pomocy, odebranych z konwoju wiozącego marsjańskiego premiera. Apel wydaje się autentyczny. Grupa niezidentyfikowanych statków...

Otworzyły się drzwi administracyjne za jego plecami. Stojący w nich mężczyzna wyglądał jak sto kilo rzeźbionych mięśni. Bardzo znudzonych.

– Clarke!

– Tutaj! – odpowiedziała kaszłująca kobieta, wstając. – Ja jestem Clarke!

– Tędy, proszę pani.

Amos podrapał się po szyi i wrócił do oglądania więziennego placu. Wiadomości dalej podniecały się głównianymi sprawami. Zwracałby na nie większą uwagę, gdyby z tyłu głowy nie planował sposobów na wydostanie się stąd, w przypadku gdyby został tu osadzony. Zastanawiał się, gdzie zginąłby podczas próby ucieczki. Choć sądząc po docierających do niego skrawkach informacji, dziennikarze mieli wielki dzień.

– Burton!

Podszedł powoli. Duży facet sprawdził swój ręczny terminal.

- Pan Burton?
- Dzisiaj tak.
- Tędy, proszę pana.

Zaprowadził go do małego pokoju z kolejnymi krzesłami przykręconymi do podłogi i tak samo zamocowanym stołem. Przynajmniej stół wyglądał na solidny.

- To co, odwiedziny?
- Tak – potwierdził Amos. – Szukam Clarissy Mao. Umieśniony facet spojrzał na niego spod byka.
- Nie mamy tu nazwisk.

Amos włączył swój terminal.

- Szukam numeru 42-82-4131.

– Dziękuję. Będzie pan musiał złożyć do depozytu wszystkie rzeczy osobiste, włącznie z jedzeniem i napojami, terminalem ręcznym i wszelkimi elementami odzieży zawierającymi więcej niż siedem gram metalu. Żadnych suwaków, fiszbinów, nic w tym stylu. Podczas przebywania na terenie więzienia przysługują panu ograniczone prawa obywatelskie, zgodnie z opisem w kodeksie Gormana. Na życzenie może pan otrzymać kopię kodeksu. Czy chce pan otrzymać jego kopię?

- Nic nie szkodzi.

– Przepraszam pana, ale muszę usłyszeć odpowiedź, tak lub nie.

- Nie.

– Dziękuję. Podczas pobytu w więzieniu ma pan obowiązek wykonywać polecenia wszystkich strażników lub pracowników ośrodka bez wahania i pytań. To dla

pana bezpieczeństwa. Jeśli się pan nie podporządkuje, strażnicy i pracownicy więzienia mają prawo użyć wszelkich środków, jakie uznają za konieczne, w celu zapewnienia bezpieczeństwa pańskiego i innych osób. Czy pan to rozumie i wyraża zgodę?

– Jasne – stwierdził Amos. – Czemu nie?

Mężczyzna pchnął ku niemu terminal ręczny przez stół, a Amos dotknął kciukiem do ekranu, czekając aż zostanie zeskanowany. Mała kontrolka z boku formularza zmieniła kolor na zielony. Mężczyzna zabrał terminal wraz z terminalem Amosa i jego butami. Kapcie zrobiono z papieru.

– Witamy w Dole – rzucił wielki mężczyzna, po raz pierwszy z uśmiechem.

\* \* \*

Windę zrobiono ze stali i tytanu, ostre reflektory u góry migają trochę zbyt szybko, by mieć pewność, że rzeczywiście migają. Wyglądało na to, że mieszka w niej dwóch strażników, którzy jeżdżą w górę i w dół. Robota wydawała się gówniana. Wypuścili go dziesięć poziomów niżej, gdzie czekała już eskorta: siwowłosa kobieta o szerokiej twarzy w lekkim pancerzu. Nie rozpoznał trzymanej przez nią w kaburze broni. Coś zapiszczało dwukrotnie, gdy wyszedł na korytarz, ale ponieważ żaden strażnik nie rzucił się do strzelania, uznał, że to normalne.

– Tędy, proszę pana – powiedziała strażniczka.

– Dobra. W porządku – odpowiedział Amos.

Ich kroki odbijały się echem od polerowanej podłogi i sufitu. Światła osadzone w metalowych klatkach rzucały na wszystko siatkę cieni. Amos stwierdził, że zaciska dłonie w pięści, myśląc o tym, jak uderzyć głową strażniczki o ścianę tak, żeby najszybciej zabrać jej broń. W zasadzie robił to tylko z przyzwyczajenia, ale miejsce budziło w nim takie myśli.

– Pierwszy raz na dole? – zapytała kobieta.

– Widać?

– Trochę.

Z głębi korytarza rozległ się krzyk mężczyzny. Ogarnął go znajomy spokój. Strażniczka uniosła brwi, a on się do niej uśmiechnął. Kąciki jej ust uniosły się do odpowiedzi, ale tym razem usłyszał inną ocenę.

– Poradzi pan sobie – stwierdziła. – Tędy proszę.

Korytarze wykonano z prostego betonu, a zielonoszare metalowe drzwi z rzędem identycznych okien z grubego, lekko zabarwionego na zielono szkła nadawały celom za nimi wygląd morskiego dna. W pierwszej celi czterech strażników w pancerzach takich samych, jakie miała eskorta Amosa, przypierało do ziemi mężczyznę. Kobieta z poczekalni skuliła się w rogu z zamkniętymi oczami. Wyglądała, jakby się modliła. Więzień – wysoki, szczupły mężczyzna z długimi włosami i brodą koloru żelaza – ryknął ponownie. Jego ręka wystrzeliła, szybciej niż Amos potrafił nadążyć za nią wzrokiem, chwytając jedną z trzymających go osób za kostkę i ciągnąc. Strażniczka przewróciła się, ale dwóch innych trzymało coś, co wyglądało na pałki elektryczne.



Jedna z nich wylądowała na plecach więźnia, druga u podstawy czaszki. Mężczyzna padł na ziemię z ostatnią obelgą. Przewrócona strażniczka wstała, krwawiąc z nosa, a pozostali chyba się z niej naśmiewali. Staruszka opadła na kolana, ruszając ustami. Głęboko i chwiejnie wciągnęła powietrze, a potem zaczęła zawodzić. Jej głos brzmiał, jakby dochodził z dużej odległości.

Eskortująca Amosa kobieta zignorowała zajście, więc on zrobił to samo.

– Pańska jest tutaj. Żadnej wymiany towarów, a jeśli poczuje się pan zagrożony, proszę podnieść rękę. Będziemy obserwować.

– Dziękuję – powiedział Amos.

Dopiero kiedy ją zobaczył, Amos zrozumiał, jak bardzo to miejsce przypominało mu szpital dla ludzi na podstawowym. Tanie plastikowe łóżko szpitalne, stalowa ubikacja na ścianie, bez żadnej osłonki, wysłużony medyczny system ekspercki, zamocowany na ścianie ekran ustawiony na pustą, jasną szarość i Clarissa z trzema długimi plastikowymi rurkami podłączonymi do żył. Była chudsza niż podczas lotu z Medyny, zanim jeszcze została stacją Medyna. Łokcie miała grubsze od rąk. Oczy wydawały się olbrzymie na drobnej twarzy.

– Cześć, Złotko – powiedział Amos, siadając na krześle przy jej łóżku. – Wyglądasz jak gównno na patyku.

Uśmiechnęła się.

– Witaj w Bedlam.

– Myślałem, że to się nazywa Betlejem.

– Bedlam nazywało się też Betlejem. To co cię sprowadza do mojego małego mieszkanka na koszt państwa?

Po drugiej stronie okna dwóch strażników przeciągnęło bezwładnego mężczyznę. Clarissa podążyła wzrokiem za spojrzeniem Amosa i uśmiechnęła się krzywo.

– To Konecheck – wyjaśniła. – Jest ochotnikiem.

– Co to znaczy?

– Może wyjść, jeśli zechce – wyjaśniła, unosząc rękę, żeby pokazać rurki. – Wszyscy tu jesteśmy zmodyfikowani. Jeśli pozwoli im wyciągnąć swoje modyfikacje, może zostać przeniesiony do Angoli albo Newport. Nie będzie to wolność, ale przynajmniej da szansę na oglądanie nieba.

– Nie mogą ich tak po prostu wyjąć?

– Prywatność ciała zapisano w konstytucji. Konecheck jest bardzo, bardzo złym człowiekiem, ale i tak wygrałby pozew.

– A co z tobą? Twoimi... no wiesz. Rzeczami?

Clarissa spuściła głowę. Jej śmiech wstrząsnął rurkami.

– Poza faktem, że za każdym razem, gdy ich używam, ląduję rzygając i płacząc potem przez kilka minut, mają też kilka innych wad. Gdyby je wyciągnąć, przeżyłabym, ale byłoby jeszcze mniej przyjemnie niż teraz. Okazuje się, że są powody, dla których tego sprzętu nie ma w powszechnym użyciu.

– Cholera. To musi być cholernie niefajne.

– Pomijając inne kwestie, oznacza to, że zostanę tu aż do... cóż. Aż przestanę być. Każdego ranka dostaję swoje blokery, jem lunch w kafeterii, pół godziny ćwiczeń, a potem mogę siedzieć w celi albo na bloku z dziewięcioma innymi więźniami przez trzy godziny. I tak w kółko. To sprawiedliwe. Zrobiłam złe rzeczy.

– Wszystkie te bzdety, które kapłanka wygłaszała o odkupieniu, odnowie...

– Czasami nie zostajesz odkupiony – odpowiedziała, a ton jej głosu jasno dał do zrozumienia, co myśli o tym pytaniu. Głos miała równocześnie zmęczony i silny. – Nie wszystkie plamy da się wywabić. Czasem robisz coś na tyle złego, że dźwigasz konsekwencje przez resztę życia, a i tak żal zabierasz ze sobą do grobu. Tak wygląda twoje szczęśliwe zakończenie.

– Hm – rzucił. – Właściwie to chyba wiem, co masz na myśli.

– Mam szczerą nadzieję, że nie wiesz – odpowiedziała.

– Przepraszam, że nie strzeliłem ci w głowę, gdy miałem okazję.

– Przepraszam, że nie rozumiałam dość, by o to poprosić. A swoją drogą, co cię tu sprowadza?

– W zasadzie byłem w okolicy, żegnając się z częścią swojej przeszłości. Jakoś nie sędzę, żebym jeszcze kiedyś miał tu trafić, więc pomyślałem, że lepiej wpadnę się przywitać, jeśli w ogóle mam to zrobić.

W jej oczach zebrały się łzy i ujęła jego dłoń. Kontakt był dziwny. Jej palce wydawały się za cienkie, woskowe. Uznał jednak, że odepchnięcie jej byłoby nieuprzejme,

więc spróbował sobie przypomnieć, jak zachowywali się ludzie w tego typu chwilach bliskości. Udał, że jest Naomi i ścisnął dłoń Clarissy.

– Dziękuję. Za pamiętanie o mnie – powiedziała. – Opowiedz mi o reszcie. Co robi Holden?

– O cholera – rzucił Amos. – Ile wiesz o tym, co stało się na Ilusie?

– Cenzorzy nie pozwalają mi oglądać niczego, co go dotyczy. Albo ciebie. W zasadzie niczego, co ma związek z Mao-Kwikowski, protomolekułą i pierścieniami. To może źle na mnie wpływać.

Amos poprawił się na krześle.

– No dobrze. No więc jakiś czas temu kapitan dostał telefon...

Przez jakieś czterdzieści pięć minut albo godzinę opowiadał jej o wszystkim, co wydarzyło się, od kiedy *Rosynant* przekazał Clarissę Mao władzom. Nie miał zbyt wielkiego doświadczenia w opowiadaniu historii bez puent, więc podejrzewał, że jego opowieść była dość beznadziejna. Z drugiej strony ona chłonęła ją jak plażowy piasek wodę. System medyczny piszczał co jakiś czas, reagując na to, co działo się w jej krwi.

Jej oczy zaczęły się zamykać, jakby zapadała w sen, ale palce wciąż trzymała mocno zaciśnięte na jego dłoni. Zaczęła też głębiej oddychać. Nie był pewien, czy to element medycznego syfu, który jej podawali, czy czegoś innego. Przestał mówić, a ona zdawała się tego nie zauważać. Dziwnie poczułby się, wychodząc bez pożegnania, ale też nie chciał jej budzić tylko po to, żeby

to zrobić, więc przez chwilę siedział tylko i patrzył na nią, bo nie było nic innego, na co mógłby patrzeć.

Najdziwniejsze było to, że wyglądała młodziej. Żadnych zmarszczek w kącikach ust lub oczu. Żadnych obwisłych policzków. Jakby czas spędzony w więzieniu się nie liczył. Jakby nigdy nie miała się zestarzeć ani umrzeć, jakby miała tu po prostu zostać i pragnąć śmierci. Zapewne był to po prostu jakiś skutek uboczny syfu, który w nią pompowali. Choć podobne były też skutki różnego rodzaju zatrucí środowiskowych, ale nie znał szczegółów. Zabiła mnóstwo ludzi, ale w taki czy inny sposób zrobił to i on. Wydawało mu się trochę dziwne, że ona tu zostanie, a on wyjdzie na zewnątrz. Żałowała tych wszystkich rzeczy, które zrobiła, może na tym polegała różnica. Żal i kara: druga strona karmicznej monety. A może po prostu wszechświat był aż tak cholernie losowy. Konecheck nie wyglądał, jakby żałował czegokolwiek, a przecież też tu siedział.

Amos właśnie zaczął się przymierzać do uwolnienia dłoni, gdy zabrzmiały alarmy. Clarissa gwałtownie otworzyła oczy i usiadła, przytomna, czujna i bez śladu rozespania, więc może jednak wcale nie spała.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Właśnie miałem ciebie pytać.

Pokręciła głową.

– Tego tu jeszcze nie słyszałam.

Uznał, że to właściwa chwila na zabranie dłoni. Podszedł do drzwi, ale jego eskorta już wchodziła do środka. Wyciągnęła broń, ale w nikogo nie celowała.

– Przykro mi, proszę pana – powiedziała głosem wyższym niż wcześniej. Strach? Może podniecenie. – Ośrodek został zablokowany. Obawiam się, że będę musiała poprosić, żeby na razie pan tu został.

– Na razie? To znaczy jak długo?

– Nie znam odpowiedzi, sir. Do czasu cofnięcia blokady.

– Jakiś problem? – zapytała Clarissa. – Czy coś mu grozi?

To był bardzo dobry ruch. Żaden strażnik nigdy nie przejmował się, czy coś może grozić więźniom, więc zapytała o cywila. Mimo wszystko strażniczka mogła nie odpowiedzieć, chyba że będzie chciała.

Okazało się, że chce.

– Jakieś trzy godziny temu w okolicach Maroka zleciała skała – powiedziała, podnosząc na koniec głos, jakby zadawała pytanie.

– Widziałem coś na ten temat – stwierdził Amos.

– Jak się przedostała? – zapytała Clarissa.

– Leciała bardzo, bardzo szybko – wyjaśniła strażniczka. – Została przyśpieszona.

– Jezu – rzuciła Clarissa, jakby ktoś uderzył ją w pierś.

– Ktoś celowo zrzucił skałę? – zapytał Amos.

– Skały. Liczba mnoga – skorygowała strażniczka. – Kolejna spadła jakieś piętnaście minut temu na środku Atlantyku. Wszędzie od Grendlandii po pieprzoną Brazylię ryczą alarmy przed tsunami i powodziami.

– Baltimore? – rzucił Amos.

– Wszędzie. Absolutnie wszędzie. – Oczy strażniczki robiły się błyszczące od wilgoci i dzikie. Może z paniki, może z rozpacz. Machnęła dłonią z pistoletem, ale wyglądało to na gest zniecierpliwienia. – Do czasu wyjaśnienia mamy zakaz wychodzenia.

– Do czasu wyjaśnienia czego? – zapytał Amos.

Odpowiedziała mu Clarissa.

– Czy to był ostatni, czy będą spadać kolejne.

W ciszy, która zapadła po tych słowach, nie byli już więźniarką, strażniczką i cywilem, stali się po prostu trójką ludzi w pokoju.

Chwila minęła.

– Wrócę z nowymi informacjami, gdy tylko je dostanę, proszę pana.

Mózg Amosa prześwietlił wszystkie łatwe scenariusze i nie zobaczył wielu opcji.

– Hej, proszę poczekać. Wiem, że to nie miejsce na przyjemności czy coś takiego, ale czy na tym ekranie można wyświetlić wiadomości?

– Więźniowie mają do nich dostęp tylko w świetlicy.

– Jasne – zgodził się Amos. – Ale ja nie jestem więźniem, prawda?

Kobieta spuściła wzrok, a potem wzruszyła ramionami. Wyciągnęła swój ręczny terminal, wstukała kilka wierszy tekstu i pusty szary prostokąt ożył. Błady mężczyzna z szerokimi, miękkimi ustami był w środku relacji.

– ...niewykryte przez systemy radarowe, dostajemy raporty, że stwierdzono anomalię temperaturową, która

mogła być powiązana z atakiem.

Strażniczka kiwnęła mu głową i zamknęła drzwi. Nie słyszał kliknięcia blokad, ale był pewien, że zostały włączone. Opadł z powrotem na swoje krzesło i oparł nogi o bok szpitalnego łóżka. Clarissa usiadła na łóżku, splatając kościste dłonie. Strumień przełączył się na siwowłosego mężczyznę, który opowiadał z przekonaniem o znaczeniu niewyciągania pochopnych wniosków.

– Czy wiemy, gdzie uderzył pierwszy? – zapytała Clarissa. – Pamiętasz coś z wiadomości?

– Nie zwracałem szczególnej uwagi. Chyba mówili coś o Krakatau... To jakieś miejsce?

Clarissa zamknęła oczy. Może nawet zrobiła się trochę bledsza.

– Niezupełnie. To wulkan, który wybuchł dawno, dawno temu. Wysłał popiół na osiemdziesiąt kilometrów do góry. Fale uderzeniowe obieły planetę siedem razy.

– Ale to nie w północnej Afryce?

– Nie – odparła. – Nie mogę uwierzyć, że naprawdę to zrobili. Zrzucają kamienie. No wiesz, kto mógłby to zrobić? Przecież nie da się... nie można zastąpić Ziemi.

– Może teraz tak jakby można – odpowiedział Amos. – Jest tam teraz mnóstwo planet, których wcześniej nie było.

– Nie mogę uwierzyć, że ktoś mógłby to zrobić.

– No tak, ale to zrobili.

Clarissa przełknęła ślinę. Gdzieś tutaj musiały być jakieś schody. Będą zablokowane, żeby więźniowie nie



mogli się do nich dostać, ale Amos sądził, że schody muszą być. Podszedł do okna na korytarz i przycisnął do niego głowę. Nie widział niczego w obie strony korytarza. Kopanie w szkło też nie wróżyło powodzenia. W sumie wcale tego nie chciał próbować, tylko myślał.

Na ekranie nad potężnym i pustym morzem wznosiła się chmura w kształcie grzyba. Potem, przy akompaniamencie spokojnego kobiecego głosu mówiącego o megatonach i mocy niszczącej, wyświetlono mapę z jaskrawoczerwoną kropką w Afryce północnej i drugą na oceanie.

Clarissa syknęła.

– Tak? – zapytał Amos.

– Jeśli odstępów są równe – powiedziała Clarissa – i leci kolejny, to będzie blisko.

– Trudno – odpowiedział Amos. – Ale nic z tym nie zrobimy.

Zawiasy znajdowały się po drugiej stronie drzwi, co przecież było oczywiste. Przecież to cholerne więzienie. Uderzył językiem o zęby. Może anulują blokadę i pozwolą mu stąd wyjść. Całkiem możliwe. Ale jeśli nie... cóż, będzie to bardzo głupi sposób na śmierć.

– O czym myślisz? – zapytała.

– No cóż, Złotko. Myślę, że za długo zostałem na tej kuli błota.

## Rozdział dwudziesty trzeci

### Holden

Holden siedział z oczami utkwionymi w ekran i lekkim zawrotem głowy. Niezwykłość wiadomości sprawiła, że biuro Freda wydało się nowe i nieznajome: biurko z lekkimi czarnymi śladami zużycia w rogu, kapitański sejf osadzony w ścianie jak małe okienko do innego świata, przemysłowa wykładzina. Poczul się, jakby pierwszy raz zobaczył Freda, który opierał się na łokciach z cierpieniem w oczach. Niecałą godzinę temu pojawiły się wiadomości z czerwonymi ramkami wokół obrazu strumieni, by wskazać, jak poważne są ich treści. Zapomniano o wcześniejszych tytułach, głoszących o uderzeniu w Północną Afrykę meteorytu lub małej komety. Do okrętów wiozących premiera Republiki Marsjańskiej zbliżały się niezidentyfikowane i najwyraźniej wrogie jednostki, a jego eskorta reagowała wyjściem na pozycje bojowe. Wiadomość roku.

A potem w Ziemię uderzył drugi kamień i to, co mogło być katastrofą naturalną, okazało się atakiem.

– To wszystko jest powiązane – powiedział Holden. Słowa wypowiadał powoli. Myślał powoli. Miał wrażenie, jakby szok wcisnął jego umysł w żel oporowy. – Atak na premiera. To. Są powiązane, prawda?

– Nie wiem. Może – przyznał Fred. – Prawdopodobnie.

– To właśnie planowali. Twoja dysydencka frakcja SPZ – stwierdził Holden. – Powiedz mi, że o tym nie wiedziałeś. Powiedz mi, że w tym nie uczestniczysz.

Fred westchnął i odwrócił się do niego. Na jego twarzy malowało się przemożne zmęczenie.

– Pierdol się.

– Dobra. W porządku. Po prostu musiałem zapytać. – A po chwili: – Kurwa mać.

Na ekranie zdjęcia górnej atmosfery Ziemi prezentowały uderzenie jak siniaka. Chmura pyłu rozprzestrzeniała się na zachód w miarę, jak planeta w dole się obracała. Pióropusz pyłu będzie się rozszerzał, aż pokryje całą północną półkulę – a może więcej – choć na razie był tylko czarną plamą. Jego umysł wciąż odbijał się od tego obrazu, odrzucając go. Jego rodzina mieszkała na Ziemi – matki, ojcowie, tereny, na których dorastał. Nie był tam od bardzo dawna, a teraz...

Nie potrafił dokończyć tej myśli.

– Musimy wyjść temu naprzeciw – odezwał się Fred, w równym stopniu do siebie, co do Holdena. – Musimy...

Z boku ekranu wyskoczyło powiadomienie o nadchodzącym połączeniu i Fred je odebrał. W małym okienku pojawiła się twarz Drummer.

– Mamy problem, sir – zgłosiła. – Jeden ze statków zaparkowanych w oczekiwaniu na dokowanie właśnie namierzył nasze główne silniki i główny pierścień mieszkalny.

– Sieć obronna włączona?

– Na tym polega problem, sir. Mamy tu...

Otworzyły się drzwi do biura. Do środka weszło troje ludzi w mundurach ochrony stacji Tycho. Jeden niósł dużą torbę, a kobiety trzymały w rękach przyrządy, w których Holden nie potrafił dopatrzeć się sensu. Dziwne terminale ręczne lub jakiegoś typu kompaktowe narzędzie.

Albo broń.

W chwili, gdy pierwsza kobieta wystrzeliła, w głowie Holdena zabrzmiały słowa, jakby ktoś wypowiadał je przez radio *To skoordynowany atak obejmujący cały układ*. Sam dźwięk był jak uderzenie i Fred poleciał do tyłu za fotel. Holden sięgnął po pistolet, ale druga kobieta już w niego wymierzyła. Spróbował paść, schować się za biurkiem, tylko że obie kobiety wystrzeliły prawie równocześnie. Zaparło mu dech w piersiach. Coś walnęło go tuż pod żebrem i nie wiedział, czy uderzył w kant biurka, czy został postrzelony. Strzelił na ślepo i mężczyzna upuścił swoją torbę. Pierwsza kobieta gwałtownie obróciła głowę, a potem opadła na kolana. Strzelał ktoś jeszcze i choć faktycznie zajęło to pewnie poniżej sekundy, we własnym odczuciu Holden potrzebował całych minut na zorientowanie się, że to Fred leżący na plecach za biurkiem i strzelający między

nogami. Holden nie miał pojęcia, skąd tamten wyciągnął pistolet w ciągu tych kilku sekund od rozpoczęcia ataku.

Druga kobieta skierowała pistolet w stronę Freda, ale Holden odetchnął, przypomniał sobie, jak się strzela, i trafił ją między zębra. Mężczyzna uciekł przez drzwi biura. Holden zrezygnował z gonienia go i osunął się na podłogę. Nie wyglądało na to, żeby miał na sobie krew, ale wciąż nie był pewien, czy nie oberwał pociskiem. Pierwsza kobieta dźwignęła się na kolana, przyciskając do ucha zakrwawioną dłoń. Fred strzelił do niej jeszcze raz. Padła. Jak we śnie Holden zauważył, że torba porzucona na podłodze jest otwarta. W środku znajdowały się skafandry ratunkowe.

Kiedy Fred krzyknął, jego głos był dziwnie wysoki i dobiegał z bardzo dużej odległości. Wystrzały prawie ich ogłuszyły.

– Gówniany z ciebie ochroniarz, Holden, Wiesz?

– Nie przeszedłem szkolenia – odkrzyknął Holden.

Słowa zdawały się głośniejsze w jego gardle, niż zabrzmiały w uszach. Dotarło do niego, że krzyczy ktoś jeszcze, ale nie wiedział skąd dobiega głos. Z biurkowej konsoli. Drummer. Zignorował ją i nachylił się nad Fredem. Miał zakrwawiony bok, ale Holden nie widział, gdzie znajduje się rana.

– Dobrze się czujesz? – krzyknął Holden.

– Fantastycznie – warknął Fred, podnosząc się.

Skrzywił się, zacisnął zęby i usiadł w fotelu. Drummer na monitorze zbladła.

– Będziesz musiała mówić głośniej – stwierdził Fred. – Trochę nam tu huczało. Holden! Zabezpiecz te cholerne drzwi.

– Drzwi i kąty – rzucił Holden, przechodząc nad ciałami. – Zawsze drzwi i kąty.

Biuro ochrony przed drzwiami było puste. Na ścianach błyskały wszystkie lampy ostrzegawcze. Jakiś sygnał alarmowy. Teraz, gdy wiedział, czego nasłuchiwać, dotarł do niego dźwięk alarmu. Ostrzeżenie o ewakuacji. Ktoś prowadził ewakuację pierścienia stacji. To nie wyglądało dobrze. Zaczął się zastanawiać, czy alarm włączyła dobra strona, czy też stanowi element planu. Odwrócenie uwagi na czas, gdy będzie się działo coś jeszcze gorszego. Miał problemy z opanowaniem oddechu. Ciągle musiał się obmacywać, sprawdzając, czy nie został postrzelony.

Spojrzał na trzymany w dłoni pistolet. Chyba właśnie kogoś zabiłem, pomyślał. A ktoś rzucił kamieniem w Ziemię. I próbowali zabić Freda. Źle to wyglądało. Bardzo źle.

Nie zauważył, że Fred do niego podchodzi, aż ten złapał go za łokieć i oparł się o niego, równocześnie pchając go do przodu.

– Zachowuj się jak żywy – powiedział Fred. – Musimy iść. Wystrzelili w nas torpedę, a jakiś skurwiel uszkodził naszą sieć obronną. – Fred klął bardziej niż zwykle.

Stres walki wyraźnie budził w nim od dawna uśpionego żołnierza marine.

– Strzelają do pierścienia? – zapytał Holden.

– Tak. A konkretnie, to w moje biuro. Zaczynam podejrzewać, że mnie nie lubią.

Ruszyli przed siebie, wzajemnie się podpierając. Na szerokim korytarzu ludzie uciekali do wzmocnionych schronów i punktów ewakuacji.

Starszy mężczyzna z krótko ostrzyżonymi włosami i ustami wykrzywionymi w trwały grymas zobaczył Freda i krew. Bez słowa zarzucił sobie na ramię jego drugą rękę.

– Idziemy do ambulatorium czy do punktu ewakuacyjnego? – zapytał Grymas.

– Ani tam, ani tam – odpowiedział Fred. – Bandyci próbują przejąć maszynownię. Moi ludzie zostali zaskoczeni. Są unieruchomieni, a w stronę stacji lecą dwie torpedy wycelowane w silniki. Musimy uwolnić naszych ludzi i włączyć z powrotem systemy obronne. Zobaczymy, czy uda się nam odpowiedzieć ogniem.

– Żartujesz? – zapytał Holden. – Zostałeś postrzelony, krwawisz.

– Zdaję sobie z tego sprawę – potwierdził Fred. – Tu w lewo jest winda ochrony. Możemy nią pojechać, dostać się do kuli konstrukcyjnej. Jak się nazywacie, szefie?

Grymas spojrzał na Holdena, wyrazem twarzy pytając, do kogo zwracał się Fred. Holden pokręcił głową. Fred dobrze go znał.

– Starszy elektryk Garret Ming, sir. Pracuję dla pana od dziesięciu lat na różnych stanowiskach.

– Przykro mi, że dotąd się nie spotkaliśmy – odpowiedział Fred. – Wiesz, jak używać broni?

– Szybko się uczę, sir.

Twarz Freda robiła się szara. Holden nie wiedział, czy to wynik utraty krwi, szoku czy pierwsze objawy głębszej rozpacz.

– To dobrze.

\* \* \*

Stację Tycho zbudowano jako półkilometrowej średnicy kulę. Sfera konstrukcyjna była dość duża, by pomieścić w środku prawie każdy statek mniejszy od pancernika. W spoczynku dwa umieszczone na równiku kuli pierścienie zapewniały ciężenie wirowe najlepszym inżynierom i technikom Pasa mieszkającym tu w liczbie odpowiadającej niedużemu miastu. Wielkie silniki u podstawy kuli mogły przemieszczać stację w dowolne miejsce Układu. A teraz również poza niego. Tycho nadzorowała rozkręcanie Ceres i Pallas, była bijącym sercem Pasa i jego najgłośniejszym osiągnięciem. *Nauvo*, statek, który miał zabrać ludzkość do gwiazd, był zbyt duży, by zmieścić się w kuli konstrukcyjnej, ale został zbudowany w przestrzeni tuż obok olbrzymiej stacji. Nie było lepszego od Tycho miejsca na budowanie wielkich marzeń. Wraz z terraformacją Marsa i farmami na Ganimesie było to żywe świadectwo ludzkiej ambicji i umiejętności.

Holden nigdy dotąd nie sądził, że może się w nim czuć tak niepewnie.

Przejście z pierścienia do kuli konstrukcyjnej przypominało wejście do wyjątkowo niewygodnej windy.



Zaczęli przy pełnej jednej trzeciej g ciężenia stacji, szarpnęło nimi, a potem ciężenie zaczęło zanikać. Gdy znowu otworzyły się drzwi, znajdowali się w nieważkości. Krew, która wcześniej kapała z barku Freda, tworzyła teraz ciekłą pokrywę, z płynem trzymanym na ręce przez napięcie powierzchniowe, gęstniejąc stopniowo w coś w rodzaju żelu. Garret był nim cały umazany, Holden zresztą też. Spodziewał się, że Fred w każdej chwili może zemdleć, ale staruszek nie stracił skupienia ani determinacji.

Widziana z długiego przejrzystego korytarza dostępowego sfera konstrukcyjna wyglądała jak sieć czystej funkcjonalności. Inne korytarze wykrzywiały się między stanowiskami statków, ze ścianami przechylnymi nieznacznie z subtelnie powtarzającym się wzorem paneli dostępowych, złącz zasilania, magazynków i szafek na sprzęt oraz płyt do parkowania mechów. Wszędzie widać było stalowo-ceramiczne kości stacji, a światło było tak jasne i ostre jak słoneczny blask w próżni. Powietrze w korytarzu był słodkie od woni smaru węglowego i wyładowań elektrycznych. Wspólnie ich trójka przeciągnęła się głowami do przodu w stronę południowego bieguna stacji, gdzie mieściły się maszynownie i olbrzymi reaktor fuzyjny. Ciało Holdena nie potrafiło się zdecydować, czy spada w głąb długiej, powyginanej studni, czy płynie w podziemnej rzece powietrza.

– Drummer! – warknął Fred. – Raport.

Przez chwilę dźwięki z jego terminala ręcznego stanowiły istną kakofonię, a potem zabrzmiał kobiecy głos, z przyciętymi sylabami, spokojny i odmierzony, brzmiał jak profesjonalna wersja czystej paniki.

– Zrozumiano. Główna maszynownia została wyłączona przez wrogie siły. Około dwudziestu dobrze uzbrojonych ludzi zajęło siłą maszynownię pomocniczą, sir. Wzajemnie trzymamy się w szachu.

– Możecie się od nich oderwać?

– Nie da się tego zrobić bezpiecznie, sir. Nie mogą się ruszyć, ale my też nie.

– Czy wiemy...

Po drugiej stronie terminala zdarzyło się coś głośnego, a sekundę później korytarzem wstrząsnęło bardzo głębokie dzwonienie. Garret zaklął pod nosem.

– Uderzyła pierwsza torpeda, sir – poinformowała Drumer.

– Pierścień?

– Nie, sir. To dysza silnika. Torpeda wycelowana w pierścień uderzyła kilka minut temu, ale nie wybuchła.

– Drobne uprzejmości. Czy znamy uzbrojenie buntowników?

– Ręczna broń automatyczna, trochę granatów.

– Możesz odciąć powietrze na dole?

– Jest ręczne odcięcie, ale nie miałam jeszcze wolnych ludzi.

– Mam ze sobą starszego elektryka – poinformował Fred. – Powiedz mi, gdzie go zaprowadzić.

– Zrozumiano. Szukamy panelu na czwartym pokładzie technicznym. Panel sterowniczy środowiska Delta-Fokstrot-Whiskey-ukośnik-sześć-jeden-cztery-osiem.

– Oni mieli skafandry próżniowe – przypomniał Holden. – Ci w twoim biurze. Mieli w torbie skafandry ratunkowe. Wyłączenie powietrza może niczego nie zmienić.

Z ręcznego terminala Freda zabrzmiała odpowiedź.

– Jeśli będzie trzeba, zatrzymamy ich na miejscu, aż skończy im się powietrze w butlach.

– Dobrze – pochwalił Fred. – Lecimy.

– Proszę się nie zatrzymywać na piwo, sir – rzuciła Drummer i ucichł szum tła połączenia.

Fred sapnął z satysfakcją i pchnął się dalej w głąb korytarza.

– To się nie uda – odezwał się Holden. – Domyślą się, co robimy, i wytną sobie drogę przez ściany czy coś takiego.

– Czy znasz różnicę między szyfrem a kodem, Holden?

– Co?

– Szyfr i kod. Szyfr działa tak, że modyfikujesz tekst w taki sposób, żeby nikt nie potrafił odczytać jego słów. W kodzie mówisz słowa zupełnie jawnie, ale zmieniasz ich znaczenie. Szyfr może zostać złamany przez każdego z dobrym komputerem i dużą ilością czasu, ale nikt nie da rady złamać kodu.

Holden pchnął się przez szerokie skrzyżowanie, gdzie zbiegały się trzy korytarze. Przez chwilę stacja rozciągała

się wokół niego we wszystkich trzech osiach. Fred i Garret unosili się blisko za nim, ale pchnęli się mocniej, więc na drugą stronę dotarli pierwsi. Fred odwrócił się i gestem kazał lecieć za sobą.

– Czwarty pokład techniczny jest w drugą stronę, sir – odezwał się Garret.

– Ale tam siedzi czterech ludzi w pułapce – odpowiedział Fred. Jego słowa zaczęły się robić niewyraźne. – Poziom szósty, sekcja czternasta, stanowisko ósme. Gdy znajdziemy się na pozycji, spróbuję wyciągnąć bandytów i zaatakujemy ich z boku.

Holden zastanawiał się przez chwilę.

– Miałeś cały system przygotowany na wypadek czegoś takiego. Ale co by było, gdyby Drummer była jedną z nich?

– Miałem inne systemy przygotowane z Olivierem, Chu i Stavrosem – wyjaśnił Fred. – Bezpieczna, otwarta łączność z tym, kto zostanie.

– Skomplikowane – skomentował Holden.

– Robię takie rzeczy już od dłuższego czasu.

Grupa siedząca w pułapce była dokładnie tam, gdzie powiedział Fred: trzech Pasiarzy i kobieta o masywnej budowie Ziemiarki, wszyscy w lekkich pancerzach z pistoletami do tłumienia zamieszek i granatami hukowymi. Fred dał Garretowi krótkolufową strzelbę i ustawił go na tyłach, gdzie mógł być równocześnie bezpieczny i użyteczny. Elektryk próbował opatrzyć ranę postrzałową Freda, ale ten kazał mu ją zostawić.

Blisko dna stacji krzywizna korytarzy była wyraźniejsza, a horyzont bliższy. Byli niecałe dziesięć metrów od drzwi do pomocniczej maszynowni, ukryci za zagięciem korytarza. Gdy nadejdzie czas, będą musieli podejść jeszcze bardziej.

W kieszeni Holdena zawibrował jego ręczny terminal. Obrysowana czerwoną ramką wiadomość o trzeciej skale, jaka uderzyła w Ziemię. Holden wyłączył urządzenie. Jeśli pozwoli sobie na myślenie o tym, co dzieje się teraz w reszcie Układu Słonecznego, nie będzie umiał się skupić na tym, co ma się wydarzyć w tym korytarzu. Mimo wszystko ścisnęło go w gardle i poczuł drżenie rąk, którego nie potrafił do końca opanować. Na Ziemi mieszkała jego rodzina. Na Ziemi był Amos. A Aleks siedział w małym statku gdzieś niezbyt daleko od konwoju marsjańskiego premiera. Naomi była... gdzieś. Fakt, że nie wiedział gdzie, tylko pogarszał sytuację.

– Będzie dobrze – mruknął pod nosem. – Wszystko będzie dobrze.

– Co? – zapytał Fred.

– Nic. Jestem gotowy.

Fred otworzył połączenie.

– Drummer. Wyłączenie powietrza się nie uda. Będziemy musieli ściągnąć ciężką artylerię. Mam oddział marines, których znalazłem w barze po drodze. Idą do ciebie z odsieczą.

– Zrozumiano – odparła Drummer. Holden miał wrażenie, że usłyszał uśmiech w jej głosie. – Tylko niech

się pośpieszą, straciliśmy dwóch ludzi. Nie jestem pewna, czy długo jeszcze wytrzymamy.

– Dziesięć minut – rzucił Fred, unosząc zakrwawioną lewą rękę w pasiarskim geście przygotować się.

Czekający w pułapce przygotowywali broń. Holden zrobił to samo. Ludzie siedzący w dodatkowej maszynowni potrzebowali prawie pięciu minut na zdecydowanie, że powinni jednak stamtąd uciekać.

Drzwi się otworzyły i ze środka wyleciało pierwszych pięć czy sześć osób. Byli ubrani całkiem zwyczajnie: mundury ochrony, kombinezony techników – normalne ubrania, które Holden widywał na korytarzach i w barach. To byli po prostu ludzie, obywatele Tycho. Pasa. Zajęli stanowiska, które zapewniły im osłonę przed ogniem ludzi Drummer, z początku nie zdając sobie sprawy z obecności drugiej grupy. Na sygnał Freda cała szóstka otworzyła ogień, choć Holden zdawał sobie sprawę, że nie wkłada szczególnego wysiłku w trafienie kogoś. Druga fala próbowała wydostać się z maszynowni właśnie wtedy, gdy pierwsza usiłowała się tam z powrotem wycofać. Oddział Drummer ruszył, strzelając salwami pocisków żelowych i granatów unieruchamiających, które wybuchały pianą, niemal natychmiast zastygającą na kamień.

Walka skończyła się w pół minuty. Piętnaście minut później sieć obrony została ponownie włączona, a atakująca łódź torpedowa leciała z dużym przyspieszeniem gdzieś pomiędzy asteroidy Trojan.

Minęła prawie godzina, zanim stało się jasne, jak wyglądały prawdziwe straty.

Po zapewnieniu względnego bezpieczeństwa stacji Fred pozwolił zaprowadzić się do ambulatorium. Łagodne ciśnienie pierścienia wystarczyło, żeby zdradzić, jak bardzo opadł z sił. System ekspercki wprowadził cztery igły, napompował go sztuczną krwią i na twarzy mężczyzny z powrotem pojawiły się kolory. Siedzący przy łóżku Holden patrzył na odczyty, tak naprawdę wcale ich nie widząc. Chciał sprawdzić wiadomości z Ziemi, ale tego też nie zrobił. Im dłużej mógł to odsuwać, tym dłużej nie musiał o tym wszystkim myśleć. Kiedy przyszła Drummer z raportem o zniszczeniach, prawie poczuł ulgę. Kolejna rzecz do odwrócenia uwagi.

– Torpeda uszkodziła dyszę silnika – zgłosiła.

– Jak bardzo? – zapytał Fred.

– Chce pan latać tą stacją na łatanej dyszy? Na tyle mocno, że będziemy musieli wyprodukować nową.

– Racja – przyznał Fred.

– Przynajmniej nie wysadzili pierścienia – skomentował Holden. – Gdyby ta nie okazała się niewybuchem...

Twarz Drummer stężała.

– W tej sprawie. Myliliśmy się. Wróg wystrzelił broń z kadłubem i silnikiem torpedy, ale na dziobie zamontowali mecha ratowniczego. Podleciał do pańskiego biura, wyciął sobie drogę przez zewnętrzny pancierz i zabrał ze sobą połowę ściany.

Fred zamrugał.

– To dlatego potrzebowali skafandrów próżniowych – odezwał się Holden. – Zastanawiałem się nad tym. Ale wydaje się to dość dziwnym sposobem na dorwanie cię. Otwarcie biura jak puszki z sardynkami.

– Nie chodziło im o mnie – rzucił Fred, a potem zaklął z uczuciem.

– Co? – zapytał Holden. – O co chodzi?

Odpowiedziała mu Drummer. Jej głos brzmiał tym samym profesjonalnym spokojem, którego używała podczas strzelaniny.

– Wróg zabrał ścianę, w której znajdował się sejf pułkownika Johnsona. Otwarcie go nie będzie łatwe, ale gdy będą mieć dość czasu i zasobów, zapewne im się to uda.

– Ale przecież dostali się już do struktury dowodzenia, prawda? Chyba mają już wszystkie wrażliwe informacje, które mogą tak zdobyć?

Holden zrozumiał, zanim Fred mu odpowiedział, ale chciał dać wszechświatowi szansę na dowiedzenie mu, że się myli. Sprawienie, że nie zdarzyła się najgorsza możliwa rzecz.

– Mają próbkę – powiedział Fred, czyniąc z tej możliwości fakt. – Ktokolwiek to zrobił... Teraz ma protomolekułę.



## Rozdział dwudziesty czwarty

### Amos

– Czy gęstość nie będzie miała znaczenia? – zapytała Clarissa.

Wyraźnie skończyło się paskudztwo, które podawali jej do krwi. Zaczęła wyglądać trochę lepiej. Wciąż widział żyły pod jej cienką jak papier skórą, ale na jej policzkach znowu pojawiło się trochę koloru.

– Jasne, ale chodzi o całą tę energię, którą włożysz w rozpędzenie kamieni. Niezależnie od tego, czy wyrzucasz ze statku wolframowy pocisk, czy pieprzoną puchową poduszkę, i tak musisz nadać statkowi wymaganą prędkość. Energetycznie rzecz ujmując, musisz zapłacić z góry.

– Ale poduszka spaliłaby się przed dotarciem do powierzchni.

– Dobra, to jest bardzo słuszna uwaga.

Wiadomości na ekranie pokazywały uderzenia wciąż na nowo, ściągając nagrania ze wszelkich możliwych źródeł – terminali, kamer monitoringu, satelitów łączności. Smuga zjonizowanego powietrza zaświeciła się

jak ślad po strzale z działa szynowego, i Północna Afryka wykwitła wielką różą ognia. Obraz był powtarzany wciąż na nowo. Kolejny podobny do promienia ślad pojawił się w powietrzu i Ocean Atlantycki zmienił się z wielkiego bezmiaru szaroniebieskiej wody w rozszerzający się krąg upiornej zieleni, plując do nieba czernią i bielą. Można było odnieść wrażenie, że zdaniem reporterów, jeśli widzowie obejrzą to dostatecznie dużo razy, obrazy nabiorą sensu.

Zginęły miliony ludzi i to samo czeka kolejne miliony w ciągu następnych kilku godzin, gdy uderzą tsunami i powodzie. Przez następne tygodnie i miesiące zginą miliardy. Od kiedy zjechał pod powierzchnię, Ziemia stała się inną planetą. Nie było to coś, co mogło nabrać sensu od przyglądania się uderzeniom, ale też nie potrafili oderwać wzroku od ekranu. Mógł tylko rozmawiać ze Złotkiem o drobnostkach i czekać, co będzie dalej.

Mężczyzna komentujący to, co działo się na ekranie, miał łagodny europejski akcent i emanował poczuciem spokoju, co prawdopodobnie znaczyło, że połknął sporo prochów. Albo jego głos został zmodyfikowany przez techników dźwiękowych.

– Broń pozostała niewykryta przez radary aż do chwili wejścia do atmosfery, niecałą sekundę przed uderzeniem.

Na ekranie pojawił się apokaliptyczny obraz z satelity: puszczane w pętli pięć klatek pokazujących uderzenie w Atlantyk i falę uderzeniową toczącą się przez ocean. Skala była olbrzymia.

– Widzisz – stwierdził Amos, wskazując kciukiem na ekran – stąd wiadomo, że pokryli kamienie powłoką pochłaniającą promieniowanie radarowe. Spaliło się i przestało działać po uderzeniu w atmosferę, nie? W każdym razie pewnie przeleciało z jonosfery na poziom morza w jakieś pół sekundy, co daje jakieś dwieście kilometrów na sekundę. Biorę te wyliczenia z głowy, ale przy takiej energii, o jakiej mówią, można by osiągnąć podobny efekt za pomocą bloku węgliku wolframu o szerokości może trzy i pół do czterech metrów. To wcale nie dużo.

– Potrafisz liczyć takie rzeczy w głowie?

Amos wzruszył ramionami.

– Od wielu lat moja praca polega na zabawie z reaktorami fuzyjnymi, ograniczonymi polami magnetycznymi. To z grubsza ten sam rodzaj obliczeń. Nabiera się wprawy.

– Widzę – potwierdziła. – Myślisz, że zginiemy? – zapytała po chwili.

– Tak.

– Przez to?

– Może.

Na ekranie odtwarzano właśnie w pętli pięciosekundowe nagranie z żaglówki. Błysk idealnie prostej błyskawicy, dziwnie zniekształcająca soczewka fali uderzeniowej zginającej światło i powietrze, a potem obraz zniknął. Ktokolwiek był na tym statku, zginął, zanim zrozumiał, na co patrzy. Zapewne najczęstsze tego dnia ostatnie słowa będą brzmieć Hm, to dziwne. Albo

O cholera. Amos w odległy sposób zdawał sobie sprawę, że boli go brzuch, jakby zjadł trochę za dużo. Pewnie był to strach, wstrząs czy coś takiego. Clarissa wydała cichy dźwięk z głębi gardła. Amos odwrócił się w jej kierunku.

– Chciałabym jeszcze raz zobaczyć się z ojcem.

– Tak?

Przez chwilę milczała.

– Gdyby to zrobił... Gdyby wymyślił sposób na kontrolowanie protomolekuły... Wszystko wyglądałoby inaczej. To by się nie zadziało.

– Ale działałoby się coś innego – odpowiedział Amos. – A gdybyś kiedyś zobaczyła to coś z bliska, nie myślałabyś, że tak jest lepiej.

– Czy myślisz, że kapitan Holden mógłby...

Podłoga podskoczyła, uderzając Amosa w nogi. Odruchowo spróbował się odtoczyć, ale atak był zbyt szeroki, nie dało się od niego odsunąć. Ekran się roztrzaskał, zgasły światła. Stało się coś głośnego. Przez kilka chwil był rzucony po całej celi jak kostka w kubku, nie wiedział, co go uderzało. Wszystko zrobiło się czarne.

Po niekończącej się chwili rozjarzyły się bursztynowe światła awaryjne. Łóżko Clarissy było przewrócone, a dziewczyna wypadła z niego na podłogę. Wokół eksperckiego systemu medycznego rosła kałuża przejrzystego płynu, wypełniając powietrze ostrym zapachem podobnym do płynu chłodzącego i alkoholu. Gruba kuloodporna szyba popękała w ramie i była teraz nieprzezroczysta jak śnieg. Na ścianie zobaczył sieć pęknięć. W rogu zabrzmiał na wpół paniczny śmiech

Clarissy, Amos poczuł, że odpowiada tym samym. Alarm był rosnąco, potem ustawał i rósł ponownie. Nie wiedział, czy alarm powinien tak właśnie brzmieć, czy też wstrząs uszkodził system.

– Jesteś w jednym kawałku, Złotko?

– Nie jestem pewna. Bardzo boli mnie ręka. Może sobie coś złamałam.

Wstał. Wszystko go bolało, ale ponieważ znał dobrze swoje ciało, wiedział, że nie miał żadnych poważnych uszkodzeń, więc odsunął ból na bok, zignorował go. Albo ziemia wciąż jeszcze się trzęsła, albo to on dygotał.

– Hm, jeśli to prawda, to niefajnie.

Drzwi na korytarz były zamknięte, ale wyglądały niewłaściwie. Jakby futryna się odkształciła. Zaczął się zastanawiać, czy w ogóle uda się je jeszcze otworzyć.

– Jesteśmy dziesięć pięter pod ziemią – przypomniała Clarissa.

– Owszem.

– Jeśli my tak odczuliśmy atak, to jak źle było na górze?

– Nie wiem – odparł Amos. – Chodźmy zobaczyć.

Usiadła. Jej lewa ręka zdążyła już spuchnąć do średnicy mniej więcej dwukrotnie większej od prawej, czyli coś musiało się złamać. W więziennym stroju wyglądała jak duch. Coś już martwego, co jeszcze nie przestało się ruszać. Co, jego zdaniem, mogło być dość prawdziwe.

– Jesteśmy na blokadzie – przypomniała. – Nigdzie nie pójdziemy.

– Wiesz, żeby być na blokadzie, musielibyśmy być w więzieniu. A żeby to było więzienie, to na zewnątrz musiałyby być, no wiesz, cywilizacja. Wydaje mi się, że to miejsce zmieniło się w dużą dziurę w ziemi z grupą niebezpiecznych ludzi. Powinniśmy sobie iść.

Kopnął w drzwi. Efekt był taki, jakby uderzył w ścianę gołą pięścią. Przeszedł w bok i spróbował z roztrzaskanym oknem. Było tylko odrobinę lepiej. Spróbował jeszcze trzy razy, zanim przerwał mu głos krzyczący z drugiej strony.

– Natychmiast przestań! Jesteśmy w trybie blokady!

– Ktoś nie wie, że to już nie jest więzienie – odezwała się Clarissa.

Brzmiała, jakby była nieco pijana. Możliwe, że poza złamaną ręką miała też wstrząśnienie mózgu.

– Tutaj! – krzyknął Amos. – Hej! Utknęliśmy tu!

– Podlegamy blokadzie, proszę pana. Musi pan tam zostać do czasu...

– Ściana pękła – odkrzyknął Amos. – Zawali się.

Co mogło nawet być prawdą.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, a potem usłyszał kliknięcie od wejścia. Drzwi przesunęły się kilka centymetrów i zablokowały się. Do środka zajrzała strażniczka. Słabe oświetlenie awaryjne zmieniło ją w kontur w odcieniach szarości. Mimo tego zobaczył strach na jej twarzy. Za nią stali jeszcze jacyś ludzie, ale nie potrafił ich wyraźnie zobaczyć.

– Przepraszam pana – powiedziała – ale ten ośrodek jest...

Amos oparł się ramieniem o drzwi, nie pchając, ale też nie pozwalając im z powrotem zamknąć.

– Blokada. Słyszałem – potwierdził. – Ale wie pani, jest tak. Musimy się ewakuować.

– Nie może pan, sir, to...

– Nie tylko my – uciął jej Amos. – Wy też. Wy także musicie się stąd wydostać. Chyba że bardzo chce pani zginąć w pracy, co uznałbym za rozczarowujące.

Strażniczka oblizwała wargi. Jej spojrzenie uciekło w prawo. Próbował wymyślić, co przekonałoby ją do końca, ale najlepsze, co wykombinował, to walnięcie jej w szczękę w nadziei, że zdoła się przecisnąć przez drzwi, zanim ktoś go zastrzeli. Zaczął się przygotowywać do wprowadzenia w życie swojego pomysłu, gdy Clarissa położyła mu rękę na ramieniu.

– Masz jakichś ludzi na górze, prawda? – powiedziała – Przyjaciół? Rodzinę?

Spojrzenie strażniczki odpłynęło, widziała coś innego. Kogoś innego. Prawdopodobnie kogoś martwego, choć jeszcze nie zimnego.

– Ja nie... nie mogę teraz o tym myśleć.

– Zgodnie z przepisami więziennymi ma pani obowiązek zapewnić bezpieczeństwo podlegającym pani więźniom – powiedziała Clarissa. – Nie będzie pani miała żadnych kłopotów za poprowadzenie ewakuacji, zostanie pani bohaterką.

Strażniczka oddychała ciężko, jakby robiła coś bardzo wyczerpującego fizycznie. Amos widywał już ludzi robiących takie rzeczy, gdy byli czymś bardzo

zdenerwowani, choć tak naprawdę tego nie rozumiał. Clarissa delikatnie odsunęła go na bok, a potem nachyliła się w stronę strażniczki.

– Nie będzie pani mogła uczestniczyć w akcji ratunkowej tam na górze, jeśli zostanie pani pogrzebana żywcem tutaj – powiedziała cicho. Jakby za coś przepraszała. – Mogą nastąpić wstrząsy wtórne. Mogą się zawalić ściany. Ewakuacja nie będzie plamą na honorze.

Strażniczka przełknęła.

Clarissa nachyliła się bardziej, prawie szepcząc.

– Tu jest cywil.

Strażniczka rzuciła coś cicho, czego Amos nie dosłyszał, a potem odwróciła się, zwracając się do kogoś przez ramię.

– Pomóż mi otworzyć te cholerne drzwi, Sullivan. Struktura jest naruszona, a mamy tam pieprzonego cywila, którego trzeba wyprowadzić na powierzchnię. Morris, jeśli ten drań czegoś spróbuje, powal go bez litości. Rozumiesz, dupku? Jeden zły ruch, to z tobą skończymy.

Ktoś w korytarzu się roześmiał, co zabrzmiało jak groźba. Amos i Clarissa odsunęli się od drzwi. Na ich brzegu pojawiły się dwie nowe dłonie i zaczęły ciągnąć je na zewnątrz.

– Zapewnić cywilowi bezpieczeństwo? To do niej dotarło? – zapytał Amos.

Clarissa wzruszyła ramionami.

– To wymówka, której potrzebowała. Choć jesteś cennym kwiatuszkiem.



– No jasne. Po prostu nie jestem przyzwyczajony, żeby ludzie to doceniali.

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem, odchyliły się tylko do połowy na korytarz, zanim utknęły na dobre. Prawdopodobnie na trwałe. W korytarzu zniszczenia były bardziej spektakularne. Środkiem podłogi biegło pęknięcie, podłoga po jednej stronie pęknięcia była o trzy albo cztery centymetry niżej niż z drugiej strony. Powietrze wydawało się bardziej gęste, niż kiedy tu zjechał. Amos poczuł odruchową potrzebę sprawdzenia wymienników powietrza. Może nawet się nie mylił. Siedzenie ponad trzydzieści metrów pod powierzchnią ziemi nie różniło się tak bardzo od siedzenia w statku w próżni. Jeśli sprzęt został dostatecznie zniszczony, atmosfera będzie stanowić problem.

Drugi więzień – Konecheck – klęczał na ziemi, a strażnik – Morris – stał trzy kroki za nim z bronią wycelowaną w jego plecy. Jeśli był to pistolet, Amos nie rozpoznał modelu. Więzień miał wielką opuchliznę na całej lewej stronie twarzy, jakby przegrał pojedynek bokserski z bardzo powolnym sędzią. Strażniczka, dwóch strażników, Złotko i ten gość.

Konecheck popatrzył zza strąków długich, szarordzawych włosów i wykonał bardzo nieznaczne skiniecie. Amos poczuł, jak ogarnia go fala czegoś przypominającego komfort – rozluźnienie ramion i ciepło w brzuchu. Zanim będzie po wszystkim, zrobi się bardzo nieprzyjemnie, ale była to skala przemocy, którą dobrze rozumiał.

– Nowy plan – oznajmiła strażniczka. – Ewakuujemy tych więźniów i cywila na powierzchnię.

Strażnik, który otworzył drzwi – Suliman? Sullivan? Jakoś tak – był barczystym facetem o byczym karku z jedną linią brwi biegnącą przez całe czoło. Morris, ten z bronią, był chudszy, starszy, miał kiepskie zęby i brakowało mu ostatniego segmentu małego palca lewej dłoni.

– Jesteś pewna, że nie chcesz wsadzić więźniów do schowka, zanim pójdziemy? – zapytał Morris. – Czułbym się znacznie lepiej, wychodząc stąd, gdybyśmy nie mieli na karku tych pieprzonych psycholi.

– Złotko idzie ze mną – oświadczył Amos, wzruszając ramionami. – Tak to działa.

– Możecie potrzebować pomocy w usuwaniu gruzu – odezwał się Konecheck.

To on się wcześniej roześmiał. Choć jego słowa wydawały się niewinne, kryła się w nich groźba, której pozostali zdawali się nie słyszeć. Amos zastanawiał się, dlaczego tak jest.

– Windy nie działają, więc musimy się dostać do schodów – stwierdziła strażniczka. – To pozwoli się nam stąd wydostać. Na górze będziemy mogli zabezpieczyć więźniów.

– A co z opadem? – zapytał gruby strażnik.

Amos był już prawie pewien, że nazywa się Sullivan.

– To przy jądrówkach, dupku – warknął Konecheck.

– Rona, czy nie powinniśmy zapytać kapitana, zanim to zrobimy? – zapytał Morris.

Ani na chwilę nie przestał wpatrywać się w plecy Konechecka. Kompetentny, pomyślał Amos, i zapisał sobie tę informację na później.

– Kapitan nie odpowiada – stwierdziła strażniczka, Rona. Mówiła napiętym głosem, zbyt kontrolowanym, by zdradzać panikę. Pozostali dwaj ucichli, więc Amos domyślił się, że o tym nie wiedzieli. – Chodźmy na schody. Morris, ty pierwszy, potem więźniowie, za nimi ja i Sully. Pan będzie musiał iść na końcu, proszę pana.

– Pójdę z nimi – zaproponował Amos.

– Nie ufacie mi, ty i twoja dziewczyna? – zawarczał Konecheck.

Amos uśmiechnął się szeroko.

– Nie.

– Ruszajmy – rzuciła Rona. – Zanim nastąpią pieprzone wstrząsy wtórne.

Strach był czymś bardzo interesującym. Amos widział go we wszystkich strażnikach, choć nie potrafiłby powiedzieć, w czym dokładnie. Może w tym, jak Morris ciągle oglądał się przez ramię. Albo jak Rona i Sullivan szli dokładnie krok w krok za nimi, jakby próbowali się ze sobą zgodzić choćby dzięki takiej samej długości kroku. Złotko zdawała się skupiona i pusta, ale to w zasadzie było dla niej typowe. Konecheck, idący z lewej strony Amosa, pociągał się za brodę i odgrywał twardziela, co byłoby zabawniejsze, gdyby nie miał układu nerwowego przeprojektowanego pod kątem przemocy. Tacy ludzie albo byli przez cały czas przestraszeni, albo tak zepsuci, że się nie liczyli. Amos

zastanawiał się, czy sam się boi. Nie wiedział, jak to stwierdzić. Zastanawiał się też, czy będą spadać kolejne kamienie, ale z drugiej strony nie wyglądało na to, żeby miał coś w tej sprawie do powiedzenia.

Więzienie wokół nich było całkowicie zdemolowane. Wzdłuż ścian biegły pęknięcia, jakby podłogę przesunięto o kilka centymetrów a potem dopchnięto z powrotem na miejsce. Skądś dobiegał odgłos wody lejącej się z rur. Świeciło oświetlenie awaryjne, ale miejscami niektóre lampy zawiodły, tworząc kałuże ciemności. Nawet gdyby windy działały, nie chciałby ryzykować korzystania z nich. Jedną z rzeczy, o które wzbogacił się dzięki wieloletniemu mieszkaniu na statkach, było wyczucie, jak działa cały statek na podstawie kilku miejscowych wskaźników. I gdyby Dół znajdował się na orbicie, spałby w skafandrze próżniowym, żeby nie dać się nieprzyjemnie zaskoczyć obudzeniem w próżni.

– Przestań, kurwa, gwizdać – warknął Konecheck.

– Gwizdałem? – zapytał Amos.

– Owszem – potwierdziła Clarissa, wciąż tuląc opuchniętą rękę.

– Hm – sapnął Amos i zaczął gwizdać, tym razem całkowicie świadomie.

– Powiedziałem, żebyś przestał – warknął nieprzyjemnie Konecheck.

– Owszem. – Amos zgodził się z przyjaznym potaknięciem. – Powiedziałeś.

– Więźniowie mają zachowywać ciszę – krzyknęła za nimi Rona. – A cywil też niech będzie uprzejmy stulić

pysk.

Amos zerknął na Konechecka kątem oka. Wciąż było za wcześnie, by mieć pewność, ale obstawiał sześćdziesiąt do czterdziestu, że jeden z nich będzie musiał zabić drugiego. Nie teraz, ale jeszcze zanim będzie po wszystkim. Mógł mieć nadzieję na czterdzieści.

Przez podłogę przebiegł dreszcz, jak przy odpalaniu źle dostrojonego silnika. Z lamp poleciał betonowy pył, co wyglądało jak bursztynowy śnieg. Morris rzucił przekleństwem.

– Wstrząs wtórny – stwierdziła Rona. – To tylko wstrząs wtórny.

– Możliwe – zgodziła się Clarissa. – Ale może to też być fala uderzeniowa z Afryki. Nie pamiętam, jak szybko taka energia przemieszcza się przez płaszcz.

– Żadna pieprzona Afryka Północna – zaprotestował Konecheck. – Nie ma mowy, żebyśmy to poczuli.

– Kiedy wybuchła elektrownia w Galveston, falę uderzeniową dało się zmierzyć przy trzecim okrążeniu planety – odpowiedziała Clarissa.

– Och, suka będzie nas teraz uczyć historii?

– Więźniowie mają zachowywać ciszę! – krzyknęła Rona.

Wydawała się dużo bardziej poruszona. Za rogiem na zielono jarzyła się ikona człowieka wchodzącego po schodach. Zaciekawilo go, ile jeszcze ludzi jest na tym poziomie, wciąż w zablokowanych celach, czekających na ratunek. Ilu wbiegało już po schodach, żeby się stąd wydostać. Strażnicy trzymali karty przy piersi, ale

mógłby postawić spore pieniądze, że było tu całe mnóstwo ludzi samodzielnie podejmujących teraz decyzje.

Morris zatrzymał się przy drzwiach na schody. Odczyt na ścianie przy wejściu pokazywał czerwony symbol zamkniętej kłódki, dopóki nie przesunął przed nim swoim ręcznym terminalem i nie wystukał czegoś na aktywowanym wyświetlaczu. Symbol zmienił kolor na zielony i drzwi się rozsunęły. Amos pomyślał, że umieszczenie zamków na obwodzie awaryjnym było w więzieniu oczywistym rozwiązaniem. Zastanawiał się, co jeszcze było tu zablokowane.

Na korytarz wyleciała mała lawina błota, wody, kamieni, betonu i elementów zbrojenia. Morris krzyknął i odskoczył do tyłu, a potem upadł na ziemię, chwytając się za goleń. Miał rozdarte spodnie i Amos zauważył między jego palcami błysk mokrej czerwieni. Krew.

– Morris! – krzyknęła Rona. – Raport!

– Będę potrzebował szwów.

– Idę do przodu spojrzeć na to – powiedział Amos, zostawiając niewypowiedziane więc nie strzelajcie do mnie.

Schody za drzwiami przepadły. Gruz i ziemia były tak gęste, że nawet nie potrafił stwierdzić, czy schody wciąż tam jeszcze były. Nie widział też, skąd leci woda, ale pachniała jak czysta woda pitna. Kolejne drżenie uwolniło kilka kamieni i kawał betonu wielkości głowy.

Sullivan mamrotał pod nosem ciąg przekleństw brzmiący nie jak objaw złości, a bardziej jak pierwsze

oznaki paniki. Amos pokręcił głową.

– Nikt się tędy nie wydostanie – oświadczył. – Do tego trzeba będzie kilku miesięcy i mecha koparkowego. Będziemy musieli znaleźć inną drogę na górę.

– Nie ma żadnej innej cholernej drogi na górę – rzuciła Rona. – To droga ewakuacyjna. Właśnie tu.

– Złotko?

Głos Clarissy brzmiał spokojnie, choć wciąż był trochę niewyraźny.

– Trudno powiedzieć, Amos. To więzienie o podwyższonym poziomie zabezpieczeń. Nie umieszczają w nim łatwych dróg wyjścia.

– Racja – zgodził się Amos. – Ale gdybyś musiała zaproponować coś pomysłowego?

– Strażnicy mają obejścia. Jeśli zdołamy się dostać do szybu windy i nie blokuje go kabina, może zdołamy się wspiąć na górę.

– Dziesięć pięter przy pełnym ciężeniu ze złamaną ręką? – Nie wspomniał o możliwym wstrząśnięciu mózgu, które prawdopodobnie zaburzało jej poczucie równowagi.

– Nie mówiłam, że to będzie bułka z masłem.

– Wszystkie drabiny zejściowe są zablokowane – skomentował strażnik. – Umieszczają je za drzwiami, żeby nikt nie mógł wyjść do góry bez pozwolenia.

Konecheck roześmiał się głośno bez śladu rozbawienia, a Sullivan wycelował w niego z następnego nie-do-końca pistoletu.

– Złotko?

– Nie wiem. Może znajdziemy coś innego.

Amos rozciągnął szyję, słysząc kręgi strzelające jak fajerwerki.

– To będzie cholernie długi dzień – podsumował.



## Rozdział dwudziesty piąty

### Naomi

Godzina za godziną działa się historia, z każdą kolejną chwilą pogarszając sytuację. Wiadomości z Ziemi i Marsa, a potem raporty ze stacji Tycho i Ganimedesa pełne bladych z szoku lub płaczących dziennikarzy. Większość pasma zajmowały uderzenia spadające na Ziemię: obrazki z apokalipsy. Miasta na całym wybrzeżu Atlantyku z gigantycznymi falami rozbijającymi okna na czwartych i piątym piętrach. Armia małych tornad tworzących się za czołem fal uderzeniowych. Gasnąca w mroku planeta, którą przyzwyczała się oglądać rozjaśnioną blaskiem miejskich świateł. Szpital polowy w Dakarze, gdzie pył i kamienie spadały na niezliczone rzędy trupów. Trzęsący się rzecznik ONZ potwierdził śmierć sekretarza generalnego. Pustka międzyplanetarna pełna była rozmów i spekulacji, raportów i teorii, a potem sprzecznych raportów i teorii. Przy złożoności opóźnień przesyłania światła prawie niemożliwe było zebranie wydarzeń we właściwej kolejności. Wszystko wydawało się dziać równocześnie.

I, jak podejrzewała, dokładnie tego chciał Marco.

Zdarzenia w innych miejscach – rzeczy, które każdego innego dnia same z siebie byłyby wstrząsające – wydawały się zaledwie przypisami do wielkiego dzieła zniszczenia rozgrywającego się na Ziemi. Owszem, doszło do próby zamachu stanu na stacji Tycho, ale Ziemia umierała. Tak, komórka SPZ przejęła kontrolę nad portami na Ganimesesie, ale Ziemia umierała. Prawda, trwała bitwa między marsjańskimi okrętami eskorty a nieznanymi siłami w pobliżu asteroid Hungarii, ale Ziemia umierała. Nie dało się uniknąć poczucia, że na całą ludzkość spadło coś potężnego.

Na zewnątrz, we wspólnej sali, słychać było radosny aplauz po każdym nowym raporcie. W przydzielonej jej kabynie patrzyła na wszystko z rosnącym otępieniem. A pod tym wszystkim czaiło się coś jeszcze. Wyłączyła ekran już jakiś czas temu. W czerni zgaszonego ekranu odbijająca się w nim jej twarz wyglądała jak kolejny wstrząśnięty reporter bezskutecznie szukający słów. Zebrała się z pryczy przeciążeniowej i poszła do wspólnej sali. Pomieszczenie tak bardzo przypominało kambuz *Rosa*, że jej mózg ciągle próbował go rozpoznać, zawodził i próbował na nowo. Kompletnie nieznanne miejsce byłoby dla niej dużo łatwiejsze do zniesienia niż coś tak podobnego do jej domu.

– Hoy, Kostki – odezwał się Cyn, wstając spomiędzy siedzących. – A que gehst, nie?

Odruchowo wykonała pasiarskie wzruszenie dłońmi, ale Cyn nie usiadł z powrotem. Nie było to pytanie

przyjaciela zaciekawionego, gdzie się wybiera, tylko strażnika domagającego się informacji od więźniarki. Staranniej opanowała wyraz twarzy.

– To właśnie dlatego, prawda? Dlatego mnie chciał?

– Marco son Marco – rzucił Cyn dziwnie łagodnym głosem. – Uznał, że powinniśmy cię ściągnąć, więc to zrobiliśmy, nie? Czy powody mają znaczenie? Teraz to i tak najbezpieczniejsze miejsce w całym Układzie.

Naomi głęboko wciągnęła powietrze i powoli je wypuściła.

– Dużo do wchłonięcia – stwierdziła. – Wielkie.

– To fakt – zgodził się Cyn.

Naomi popatrzyła na swoje dłonie ze splecionymi palcami. *Zachowuj się jak jedna z nich*, pomyślała. Co by zrobiła, gdyby znowu była jedną z nich? Odpowiedź nasunęła się sama. Jakby była jedną z nich. Jakby zawsze nią była.

– Statek ma ewidencję – powiedziała. – Mogę zrobić inwentaryzację. Przydać się.

– Przyłączę się – stwierdził, dołączając do niej.

Wiedziała, gdzie iść, jak zabierze ją winda, gdzie znajduje się warsztat. W ciągu lat spędzonych na *Rosie* nie zdawała sobie sprawy, że wbudowała sobie logikę projektów marsjańskiej floty, choć faktycznie tak się stało. Kiedy dotarli do warsztatu, wiedziała, gdzie szukać zestawów diagnostycznych, choć była w tym miejscu pierwszy raz w życiu.

Cyn zawahał się chwilę przed otwarciem szafek, ale trwało to moment. Sprawdzanie sprzętu, testowanie

baterii i przekaźników oraz baniek magazynowych było czymś, czym w wolnym czasie zajmowali się wszyscy dorastający w Pasie. Było to równie naturalne jak picie wody, a gdy ona wzięła zestaw, on zrobił to samo. Drzwi do ładowni były zablokowane, ale otworzyły się przed Cynem.

Wnętrze było mocno zastawione, pełne magnetycznych palet zamocowanych do pokładu i ścian w równych rzędach. Zastanawiała się luźno, skąd to wszystko się tu wzięło i jakie obietnice złożono w zamian. Podeszła do najbliższej palety, podłączyła do niej zestaw diagnostyczny i otworzyła ją. Skrzynie się rozłożyły. Baterie. Wzięła do ręki pierwszą i wpięła ją do zestawu. Wskaźnik zaświecił na zielono, więc wyjęła baterię, odłożyła na miejsce i wzięła następną.

– Wszystkie będą dobre – rzucił Cyn. – Sprzęt wojskowy.

– I dzięki Bogu, że wojsko nigdy niczego nie psuje.

Wskaźnik zaświecił na zielono. Odłożyła baterię i sięgnęła po kolejną. Cyn podszedł do następnej skrzyni, otworzył ją i zaczął robić to samo, co ona.

Rozpoznała w tym uprzejmość. Nie przyszedł tu jako jej przyjaciel, ale jako więzienny strażnik. Z łatwością mógł ją zaprowadzić z powrotem do kabiny i zamknąć drzwi, żeby tam siedziała, ale tego nie zrobił. Mógł stać na straży nad nią w czasie, gdy ona zajmowała się sprawdzaniem baterii, ale tego nie zrobił. Udawał, że razem zajmują się tym samym zadaniem, równi sobie. Nawet jeśli oznaczało to utratę piwa i oglądania

armagedonu z kumplami. Wbrew sobie Naomi poczuła iskierkę wdzięczności.

– Wielki dzień – odezwała się.

– Szykował się od dawna – odparł Cyn.

– Od dawna – zgodziła się automatycznie.

– Dziwne musi być znowu go widzieć.

Wyciągnęła kolejną baterię, sprawdziła ją, odłożyła, sięgnęła po następną. Cyn odchrząknął.

– Mé falta – powiedział. – Nie powinienem był tego mówić.

– Nie, w porządku – odparła Naomi. – Tak, to dziwne znowu go widzieć. Poprzednim razem zrobiłam bardzo dużo, żeby od niego uciec. Nie spodziewałam się, że kiedyś wrócę.

– Złe czasy.

– Te czy tamte?

Cyn parsknął śmiechem i obejrzał się na nią z pytającym wyrazem twarzy.

– Te? Esá ziemia obiecana. Pas się buntuje. Wiesz, jak było wcześniej. Pamiętasz latanie na rzadkim powietrzu, bo nie mogliśmy dostać dość tlenu. Łamanie kości, bo na leki był za duży podatek.

– Wiem – potwierdziła, ale Cyn już się nakręcił i niełatwo było go zatrzymać.

Odłożył zestaw pomiarowy i wbił w nią wzrok. Wypaliło się z niego całe współczucie i w jego oczach zobaczyła wściekłość. Nie na nią, na coś większego.

– Trzech moich kuzynów zginęło, bo ziemskie korporacje nie chciały sprzedawać Pasiarzom dobrych

leków nowotworowych. Dawali nam tylko resztki pozostałe z farm na Ganimesie. Tylko że ludzi nie da się wyleczyć odpadami, nie? Nie działają tak samo, ale kogo to obchodzi? Tio Bennettowi zabrali statek, bo spóźnił się z ratą. Nie był nawet w pinché ziemskim doku, ale nie zapłacił, więc weszli mu na pokład, wyrzucili go na Ceres i sprzedali jego sprzęt. I po co? Żeby chronić nas przed piratami? Chronią nas przed byle jakimi podróbkami od firm, które sprzedają stare skafandry jako nowe? Obchodzi ich, jeśli ktoś do nas strzeli? Jeśli zginiemy?

– Wiem, że nie.

– Nie obchodziło ich, Kostki. Czas przeszedł. Bo przeszłość to teraz przeszłość. Dzisiaj – powiedział Cyn, dźgając kciukiem powietrze. – Latałaś po ich stronie przez wiele lat i może to nie tu falta. Rzeczy, które działy się wcześniej, odebranie ci Filipito, może wszyscy zrobiliśmy źle, nie? Ale zaczynam myśleć, że tak długo dzielilaś pryczę z ziemskim coyo, że zapomniałaś, kim jesteś. Zaczęłaś myśleć, że może jesteś jak oni.

Nie, chciała zaprotestować. *Nie, nigdy nie zapomniałem.* Ale nawet formułując te słowa, nie była pewna, czy są prawdziwe. Kiedyś była dziewczyną o jej imieniu, która należała do tego miejsca. Która czuła tę samą furję, jaką widziała w Cynie i Filipie. Był czas, gdy mogłaby się cieszyć ze śmierci na Ziemi. Ale Jim był z Ziemi. I Amos. Aleks z Marsa, który z perspektywy Pasa był prawie tym samym. A kim była ona? Ich oswojoną

Pasiarką? Tą, która tam nie należała? Nie sądziła. A zatem była kimś innym.

A jednak, na ile dobrze ją tak naprawdę znali? Było tyle rzeczy, których im nie powiedziała. Nie wiedziała, co by się zmieniło, gdyby to zrobiła.

Cyn patrzył na nią gniewnie z zaciśniętą szczęką. Próbowwała schować się z powrotem za swoją grzywkę, ale to nie wystarczało. Nie tutaj, nie teraz. Musiała coś powiedzieć, musiała zareagować, albo brak reakcji będzie się równał wyznaniu, a miała dość przyjmowania odpowiedzialności za rzeczy, o których nie decydowała. Spróbowała pomyśleć o tym, co powiedziałby Jim, ale wyobrażenie go sobie było jak dotknięcie otwartej rany. Poczucie winy z powodu ukrycia przed nim swojej przeszłości, żal i tęsknota z powodu tak długiej rozłąki oraz lęk, że na Tycho stało mu się coś złego. Albo właśnie się działo, w tej chwili, gdy ona nic nie mogła z tym zrobić. Nie wiedziała, co zrobiłby Jim, i nie miała odwagi go sobie wyobrazić.

*No dobrze. W takim razie Amos. Co zrobiłby Amos?*

Odetchnęła głęboko i wypuściła powietrze. Kiedy podniosła wzrok, odsunęła włosy z czoła. Uśmiechnęła się.

– Cóż, Cyn. To jeden sposób patrzenia na sprawy – odpowiedziała, pochylając się. – Prawda?

Cyn zamrugął. Zdecydowanie nie tego się spodziewał. Sprawdziła ostatnią baterię w swojej palecie, włożyła ją na miejsce i z powrotem zamknęła skrzynię. Cyn dalej się

jej przyglądał z głową przechyloną nieco w lewo. Nadało mu to wygląd czujnego.

Dobrze.

Kiwnęła głową w stronę otwartej palety przed nim.

– Będziesz je sprawdzał? – zapytała. – Czy potrzebujesz z tym pomocy?

\* \* \*

Do kolacji wyglądało na to, że ataki się skończyły. Z drugiej strony strumienie wiadomości nakręciły się na całego. Siedziała przy stole, który jak wszystko na statku wydawał się nazbyt znajomy. Cyn siedział z jej prawej strony, po lewej miała nieznaną sobie kobietę. Na talerzu leżały smażone grzyby w ostrym sosie, tak jak zwykle przyrządzał je Rokku. Jadła jedną ręką, jak pozostali, i zastanawiała się, czy ktoś rozglądający się po kambuzie potrafiłby ją wyłować jako kogoś, kto tu nie pasował.

Ekran ustawiono na wiadomości ze stacji Tycho. Oglądała je i próbowała niczego nie czuć. Kiedy pojawiła się Monika Stuart, poczuła uderzenie strachu, którego nie potrafiła wyjaśnić. Kobieta zrobiła wprowadzenie, które nie powiedziało Naomi niczego nowego, a potem zwróciła się do siedzącego sztywno naprzeciw niej Freda Johnsona. Wyglądał staro. Wyglądał na zmęczonego. Nie oglądała go i ledwie słuchała jego słów, przyglądając się brzegom ekranu na wypadek, gdyby był tam Jim. Pozostali naśmiewali się z niego i gwizdali. Docierały do niej fragmenty.

– Czy uważa pan, że był głównym celem ataku?



– Tak się wydaje.

– Pieprzony kłamca! – krzyknął ktoś z drugiego końca kambuza, a pozostali chóralnie potwierdzili.

Włącznie z Cynem.

Fred poruszał się ostrożnie, a kamera trzymała się jego twarzy. To znaczyło, że został ranny i ukrywał to. Słyszała kiedyś, że ptaki na Ziemi robiły wszystko, co mogły, by ukryć swoją chorobę. Każda widoczna słabość była zaproszeniem do ataku. Porównanie z Fredem Johnsonem sprawiło, że wydał się bardzo wrażliwy. Może wszystko było teraz wrażliwe.

– Napastnicy zostali zamknięci i mamy nadzieję, że wkrótce jednoznacznie dowiemy się, kto za tym stoi. – Coś w jego słowach zwróciło jej uwagę.

Znając Marco, bardzo dziwne było, że nie chwalił się tym atakiem. Sprowadził ją tutaj, żeby się popisywać, prawda?

Czy na pewno? Miała sprowadzić ze sobą *Rosynanta* i byli wyraźnie zawiedzeni, gdy tego nie zrobiła. Czy naprawdę chcieli statku? Czy może Jima? Z niepokojem zaczęła się zastanawiać, co by się stało, gdyby nie przyleciała sama.

A potem, jakby myślenie o nim go przywołało, Monika Stuart zakończyła wywiad z pułkownikiem Fredem Johnsonem, głosem SPZ i dyrektorem stacji Tycho, zwracając się do kapitana Jamesa Holdena.

Na chwilę zapało jej dech w piersi.

– Rozumiem, że pełnił pan rolę ochroniarza pułkownika Johnsona – powiedziała Monika.

– Tak, zgadza się – potwierdził Jim, krzywiąc się lekko. Najwyraźniej nie poszło mu najlepiej. – Tak naprawdę nie było to potrzebne. Okazało się, że ludzie, którzy przeniknęli do oddziałów ochrony, stanowią bardzo niewielką mniejszość. Nic poważnego mu nie groziło.

Kłamał. Naomi odsunęła od siebie jedzenie.

– Czy to prawda, że istniał też dodatkowy cel? Niektórzy donoszą, że atak naprawdę mógł być tylko przykrywką do jakiejś kradzieży.

W oczach Jima mignęła irytacja. Zastanawiała się, czy ktoś jeszcze to zobaczył. Monika prawdopodobnie wdzierała się na tereny, których mieli nie ruszać. Albo zgodzili się unikać.

– Nic takiego nie słyszałem – odpowiedział Jim. – Na ile wiem, poza pewnymi uszkodzeniami stacji, przewrót był totalną porażką.

Kolejne kłamstwo.

– Przełącz kanał! – krzyknął ktoś.

Rozbrzmiał chór potwierdzeń. Ktoś nazwał Jima obelżywie, a Cyn zerknął na nią i zaraz odwrócił wzrok. Naomi z powrotem zajęła się jedzeniem. Ostry sos piekł ją w wargi, ale jej to nie przeszkadzało. Ekran przełączył się na jedną z dużych stacji z Ziemi. Reporterem był młody mężczyzna w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym. Według podpisu było to jakieś miejsce o nazwie Porto. Budynki za jego plecami stanowiły mieszankę starych i nowych, gęsta, błotnista woda opływała je wszystkie. Na wyższym terenie za reporterem ustawiono rzędy worków. Z ciałami.

– To był on, prawda?

Nie wiedziała, od jak dawna Filip za nią stoi. Dziewczyna siedząca z jej lewej strony kiwnęła głową Filipowi i wyszła. Chłopak zajął zwolnione miejsce. Wzdłuż jego szczęki rozciągały się pasemka włosków, czarnych na tle złotobrazowej skóry. Odwrócił się w jej stronę, a jego oczy potrzebowały chwili na znalezienie jej, jakby był pijany.

– To był mężczyzna, dla którego nas opuściłaś, si no?

Cyn sapnął, jakby został uderzony. Naomi nie wiedziała, dlaczego. Pytanie było tak niewłaściwe, że aż zabawne.

– Nie było tak – odpowiedziała. – Ale owszem, latam z nim.

– Przystojny – skomentował Filip. Zastanawiała się, czyje słowa powtarza. To nie brzmiało na coś, co powiedziałby Marco. – Chciałem powiedzieć, o tym, że tu jesteś? Chciałem powiedzieć.

Ale nie dokończył tej myśli. Zaciekawilo ją, czy faktycznie zobaczyła w jego oczach żal, czy było to coś innego, a ona tylko chciała go tam zobaczyć. Nie wiedziała, co powiedzieć, jak zareagować. Miała wrażenie, jakby istniało wiele jej wersji – porwana, kolaborantka, odzyskana matka, matka, która uciekła – i wszystkie mówiły inaczej. Nie miała pojęcia, która z nich jest jej prawdziwą wersją. Jeśli w ogóle któraś z nich.

Może była nimi wszystkimi.

– Nie był to mój wybór – powiedziała ostrożnie, jakby słowa mogły ciąć. – Ale to prawda w wielu sytuacjach, nie?

Filip przytaknął ze spuszczonego wzrokiem. Przez chwilę myślała, że sobie pójdzie i nie wiedziała, czy tego chce, czy wolałaby, żeby został.

– To ja tam teraz jestem, wiesz? – Powiedział w końcu. – W wiadomościach. To ja.

Reporter był starszy od Filipa, miał szerszą twarz i ramiona. Przez chwilę próbowała doszukać się podobieństwa między nimi, a potem, jakby weszła do zamrażarki, zrozumiała.

– Twoje dzieło – powiedziała.

– Dał mi to jako prezent – wyjaśnił Filip. – Ta powłoka maskująca na kamieniach? To ja dowodziłem akcją, w której ją zdobyliśmy, ja. Beze mnie by tego nie było.

Przechwalał się. W kącikach jego oczu i napięciu warg widziała, jak bardzo chciał zrobić na niej wrażenie. Zyskać pochwałę. W jej trzewiach poruszyło się coś podobnego do furii. Reporter wiadomości wymieniał organizacje i grupy religijne udzielające pomocy. Ludzie próbowali organizować jakąś pomoc dla uchodźców. Jakby ktoś na planecie nie był teraz uchodźcą.

– Mnie też to zrobił – odpowiedziała. Na twarzy Filipa odmalowało się pytanie. – Twój ojciec. Mnie też umazał ręce krwią. Uczynił współwinną zabijania ludzi. Chyba uważał, że tak łatwiej będzie mnie kontrolować.

To nie była właściwa odpowiedź. Chłopak się szarpnął, zwijając się w sobie jak ślimak napotykający sól. Obraz na

ekranie się zmienił. Liczba ofiar i zaginionych na Ziemi przekroczyła dwieście milionów. W kambuzie rozległ się radosny krzyk.

– To dlatego odeszłaś? – zapytał Filip. – Nie potrafiłaś tego robić?

Przez dłuższą chwilę siedziała, milcząc.

– Tak – odpowiedziała w końcu.

– To w takim razie lepiej, że odeszłaś – rzucił Filip.

Powiedziała sobie, że wcale tak nie myślał. Że powiedział to tylko, żeby ją zranić. Ale udało mu się. Jednak co więcej, poczuła przemożny żal z powodu tego wszystkiego, kim mogło się stać jej dziecko, a kim nie było. Za dzieckiem, jakie mogła w nim mieć, gdyby tylko był na to sposób. Jednak zostawiła swoje dziecko w rękach potwora, więc zakażenie się rozprzestrzeniło. Rodzina potworów: ojciec, matka i syn.

Tak było łatwiej.

– Ciężyli mi – odezwała się. – Ci wszyscy ludzie, którzy zginęli przez to, co zrobiłam. Próbowałam odejść. Powiedziałam mu, że go nie wydam, jeśli tylko pozwoli mi cię zabrać i odejść. Zamiast tego zabrał ciebie. Powiedział, że świruję i nie ufa mi. Że jeśli ktoś zostanie wydany, to właśnie ja.

– Wiem – rzucił Filip. Splunął. – Powiedział mi.

– I miałam robić to znowu. I znowu. I znowu. Zabijać dla niego kolejnych ludzi. I nawet próbowałam to zrobić. Próbowałam się przez to przebić. Pozwolić im ginąć. Mówił ci, że próbowałam się zabić?

– Tak – potwierdził Filip.

Powinna przestać. Nie musiała tego przed nim wylewać. Na jej chłopczyka. Jej chłopczyka, który właśnie pomógł zniszczyć świat.

Boże, wciąż chciała go chronić. Czy mogło być coś głupszego? Był teraz mordercą. Musiał wiedzieć.

– To było w śluzie na stacji Ceres. Zmodyfikowałam ją, żeby się otworzyła. Wystarczyło, żebym do niej weszła. To była jedna z tych śluz starego typu, szara i niebieska. I pachniała sztucznymi jabłkami. Coś w tamtejszym wymienniku. W każdym razie, zrobiłam to. Wcisnęłam przycisk. Tylko że stacja umieściła tam zabezpieczenie, o którym nie wiedziałam. I tak. – Wzruszyła ramionami. – Wtedy zrozumiałam.

– Co rozumiałaś?

– Że nie mogłam cię uratować. Mogłeś mieć matkę, która odeszła, albo matkę martwą. To były jedyne opcje.

– Niektórym nie jest pisane bycie żołnierzem – rzucił Filip.

To miało zboleć, ale teraz już jej nie dotykało.

– Jedyne prawo, jakie masz do życia kogoś innego, to prawo do odejścia. Zabrałabym cię ze sobą, gdybym tylko mogła. Ale nie mogłam. Zostałabym, gdybym mogła. Ale nie mogłam. Uratowałabym cię, gdybym mogła.

– Nie potrzebowałam ratunku.

– Właśnie zabiłeś ćwierć miliarda ludzi – powiedziała.

– Ktoś powinien był to powstrzymać.

Filip wstał, poruszał się drewnianymi ruchami. Przez chwilę zobaczyła, jak będzie wyglądał jako mężczyzna. I jak wyglądał jako dziecko. W jego oczach widniał

głęboki ból. Nie taki, jak jej. Jego ból był tylko jego i mogła jedynie mieć nadzieję, że go poczuje. Że nauczy się odczuwać żal.

– Przyjdź do mnie – powiedziała – zanim się zabijesz.

Cofnął się o centymetr, jakby krzyknęła.

– Con que miałbym robić coś tak głupiego? Soy nie tchórz, ja.

– Kiedy cię dopadnie – odpowiedziała – odszukaj mnie. Nic nigdy tego nie cofnie, ale pomogę, jeśli zdołam.

– Jesteś dla mnie merde, puta – warknął Filip i odszedł.

Pozostali w kambuzie gapili się na nią lub udawali, że tego nie robią. Naomi pokręciła głową. Niech sobie patrzą. Już jej to nie obchodziło. Nawet nie cierpiała. Jej serce było wielkie, puste i suche jak pustynia. Po raz pierwszy od chwili odebrania wiadomości od Marco na Tycho miała czysty umysł.

Prawie zapomniała o Cynie, ale się odezwał.

– Ostre słowa jak na taki wielki dzień.

– Życie takie jest – odparła.

Ale naprawdę pomyślała to nie wielki dzień.

W jej wspomnieniach odezwał się Marco. *Aby zostać usłyszonym przez klasę uciskającą, trzeba mówić tak, jak jej członkowie. Nie tylko słownictwo, ale i dykcja.* A jednak nie ogłosił jeszcze swego komunikatu. Żadnymi słowami. Nie znała jego planów, zapewne tylko on sam znał wszystkie.

Jednak cokolwiek ostatecznie zamierzył, jeszcze nie było po wszystkim.

## Rozdział dwudziesty szósty

### Amos

Sullivan zginął, gdy pokonali mniej więcej piętnaście metrów szybu.

Plan, jeśli w ogóle zasługiwał na to miano, polegał na otwarciu drzwi szybu windy, a potem wejściu piętro wyżej i rozsunięciu drzwi. Każdy poziom mógł być miejscem przygotowania do wejścia na kolejny, a gdy dotrą wreszcie do kabiny zablokowanej na najwyższym poziomie, poznają układ na tyle dobrze, że może uda im się znaleźć sposób na jej obejście lub uda im się skłonić pilnujących jej strażników do przepuszczenia ich. W każdym razie był to problem do rozwiązania, gdy już tam dotrą.

Otwarcie pierwszych drzwi zajęło im prawie godzinę. Po pierwsze, domyślnie były zamknięte, a po drugie masa drzwi była dużo większa niż zwykle w przypadku wind. W końcu Amos, Sullivan i Morris wspólnie naparli na jedno skrzydło, a Konecheck ze swoimi modyfikacjami na drugie i dopiero wtedy rozsunęli je na tyle, żeby się precisnąć. Ziemia drżała dwukrotnie, za drugim razem



mocniej niż za pierwszym. Cały cholerny płaszcz Ziemi wibrował jak uderzony dzwon. Pod koniec Amosowi zachciało się pić, ale nie widział sensu wspomniania o tym.

Szyb pogrążony był w ciemności, czego Amos się spodziewał, ale był też mokry, co było niespodzianką. Z góry spadały czarne krople jak brudny deszcz, rozmazując się na ścianach, przez co robiły się śliskie. Nie potrafił stwierdzić, czy woda spływa z jednego z pięter powyżej, czy też zerwało budynek na poziomie ziemi. Strażnicy mieli latarki, ale wiązki światła ukazały tylko brudne stalowe ściany i zagłębioną szynę, po której poruszała się kabina. Wzdłuż szyny znajdował się zestaw powtarzających się paneli dostępowych, wyglądały jak szafki ustawione w nieskończoność jedna na drugiej, ginąc gdzieś w mroku.

– To drabina techniczna – wyjaśniła Rona, obrysowując kręgiem światła drzwiczki szafy. – Drzwiczki się odsuwają, a pod nimi są uchwyty.

– Świetnie – skomentował Amos, wychylając się w pustą przestrzeń.

Szyb schodził w dół na jakieś trzy metry. Czarna zupa w dole mogła być jeszcze głębsza, ale miał nadzieję, że tego nie sprawdzi. Powietrze pachniało popiołem i farbą. Nie chciał myśleć o tym, co właściwie spływało do szybu ani skąd pochodziło. Nawet jeśli całe to miejsce było pełne toksycznego syfu, nie zmieniało to faktu, że musieli się z niego wydostać.

Przerwa między piętrami miała może pół metra. Wykrzywiając szyję, zobaczył obrys drzwi windy spasowanych ze ścianą szybu. Nie było tam nawet miejsca na palce. Pomyślał, że może dostrzeże coś daleko w górze szybu – plama światła, która pojawiła się i błyskawicznie zniknęła.

– Damy radę dostać się do następnych drzwi? – zapytała zza jego pleców Clarissa. – Jak to wygląda?

– Wygląda, jakbyśmy potrzebowali planu C – odpowiedział Amos, wracając na więzienny korytarz.

Konecheck zachichotał, a Sullivan obrócił się do niego, unosząc podobny do pistoletu przedmiot na wysokość jego głowy.

– Myślisz, że to zabawne, dupku? Myślisz, że to wszystko jest takie cholernie śmieszne?

Amos zignorował zabójcze napięcie w powietrzu i przyjrzał się broni. Nie przypominała niczego, co dotąd trzymał w rękach. Rękojeść wykonano z twardej ceramiki z interfejsem stykowym biegnącym wzdłuż spojenia, a lufa była krótka, kanciasta i miała szerokość jego kciuka. Konecheck stał nad Sullivan ze spuchniętą twarzą wykrzywioną furią i buntem, co mu nie przeszkadzało, o ile Konecheck na tym poprzestanie.

– Użyjesz tego, człowieczku?

– Czym to strzela? – zapytał Amos. – Powiedzcie mi, że to nie jest jeden z tych sprzętów do zwalczania zamieszek. Dają wam tu na dole prawdziwe pociski, prawda?

Sullivan obrócił się do niego, wciąż celując w Konechecka. Amos uśmiechnął się i bardzo powoli, delikatnie przesunął rękę strażnika w dół.

– O czym ty, u diabła, mówisz? – zapytał Sullivan.

– Plan C – odpowiedział Amos. – Ta broń. Strzela prawdziwymi pociskami, prawda? Nie żelowymi albo innymi tego typu bzdetami?

– To prawdziwe pociski – potwierdził Morris. – Dlaczego pytasz?

– Myślałem właśnie, jak to pistolet jest kiepskim przebijakiem do metalu.

– Co sugerujesz? – zapytała Clarissa.

– Myślę, że skoro mamy trzy kiepskie przebijaki – wyjaśnił Amos – to może zdołamy przebić trochę metalu.

Pistolety były powiązane biometrycznie ze strażnikami na wypadek, gdyby dostały się w ręce kogoś takiego jak Złotko lub Konecheck, więc Amos musiał się opuścić do wody razem z Roną, zamiast iść tam sam. Czarny szlam sięgnął Amosowi do kostki, był zimny i śliski. Krawędź najniższych, kojarzących się z szafką drzwi znajdowała się pod powierzchnią cieczy. Amos postukał w metal kostkami, wsłuchując się w dźwięk. Powierzchnię przed nim rozświetlił promień z latarki, rozjaśniając nieco wewnątrz szybu.

– Strzel tutaj – powiedział Amos, zostawiając na stali mokry ślad palca. – I tutaj. Zobaczmy, czy uda się zrobić uchwyty na palce.

– A co będzie, jeśli pociski zrykoszetują?

– Będzie niefajnie.

Pierwszy pocisk zrobił w stali otwór średnicy może centymetra, drugi trochę mniejszy. Amos obmacał krawędzie czubkami palców. Były ostre, ale nie miały brzegów jak nóż. Czarny deszcz zmoczył mu ramiona koszuli, a jej tył zaczął się lepić do pleców.

– Hej, Chudy – zawołał. – Możesz tu na chwilę zejść?

Po krótkiej ciszy na dół dotarł warkot Konechecka.

– Jak mnie nazwałś?

– Chudy. Zejdź tu i rzuć na to okiem. Zobacz, czy coś nam to da.

Konecheck wylądował z pluskiem, pryskając błotem na Amosa i Ronę. Nic nie szkodzi. Więzień popisowo zaczął napinać mięśnie pleców i rozciągać ręce, a potem wcisnął dwa palce do otworów po kulach, zaparł się drugą ręką o ścianę i pociągnął. Normalny człowiek niczego by nie osiągnął, ale Dołu nie zbudowano dla normalnych ludzi. Metal się naprężył, zgiął i oderwał, odsłaniając rząd szczelbi. Zakrzywione metalowe pręty z chropowatą teksturą dla lepszego chwytu. Konecheck wyszczerzył zęby, co dzięki opuchliznie uszkodzonej twarzy i sterczącej brodzie nadało mu wygląd kogoś z koszmaru. Czubki palców miał zaczerwienione i naciągnięte, ale Amos nie zobaczył na nich żadnej krwi.

– No dobrze – powiedział. – Jest paskudny jak diabli, ale wygląda na to, że mamy plan. Wynośmy się stąd.

Drabina była wąska i surowa, a spędzanie wielu godzin na niej nie miało żadnego sensu, jeśli nie było to niezbędne. Sullivan i Konecheck ruszyli przodem – strażnik z pistoletem, żeby wybijać otwory na palce,

a potwór, by odrywać stal. Amos siedział na betonowej podłodze w korytarzu, zwieszając nogi w głąb szybu. Morris i Rona stali za nim, mając między sobą Clarissę. Amosowi zaburczało w żołądku. Dziesięć metrów w górę drabiny rozległy się dwa strzały, oddzielone niewielką przerwą.

– Dziwię się, że znalezienie drogi na zewnątrz nie okazało się trudniejsze – odezwała się Clarissa.

– Wiesz, to nie jest zadanie więzienia – odpowiedział Amos – żeby cię trzymać w środku w samotności. Wystarczy, że tylko spowolni cię na tyle mocno, żeby ktoś mógł cię zastrzelić. W zasadzie spełnia wówczas swoje zadanie.

– Spędziłeś czas za murami? – zapytała Rona.

– Nie – odparł Amos. – Po prostu znam ludzi.

Kolejne dwa wstrząsy wtórne nadeszły i minęły bez zrzucania kogokolwiek z drabiny czy zawalenia szybu. Godzinę później umilkły syreny alarmowe, a cisza, która zapadła, była nagła i równie niepokojąca jak wcześniejszy ciągły alarm. Bez tego hałasu usłyszeli dźwięki z oddali. Gniewne głosy. Dwa strzały, które nie dochodziły z szybu windy. Amos nie wiedział, ile osób siedzi w Dole: osadzonych, strażników i innych ludzi. Może setka, może więcej. Spodziewał się, że więźniowie siedzieli w celach, zamknięci. Jeśli byli tam inni strażnicy, podejmowali własne decyzje i nikt nie zasugerował, żeby iść ich poszukać.

Kolejne dwa strzały z szybu, wymiana słów, a potem krzyk. Amos zerwał się na nogi, zanim ciało Sullivana

przeleciało obok. Wylądował w szlamie na dnie szybu. Rona krzyknęła bez słowa, zeskakując do niego, podczas gdy Morris skierował latarkę w górę drabiny. Stopy Konechecka były dwoma bladymi kropkami, a twarz cieniem nad nimi.

– Pośliznął się – zawołał Konecheck.

– Jak cholera! – odkrzyknęła Rona. Pistolet trzymała w dłoni i kierowała się do drabiny.

Amos zeskoczył w dół i wszedł jej w drogę z szeroko rozłożonymi rękami.

– Hej, hej, jej. Nie wariujmy. Potrzebujemy tego gościa.

– Dochodzę do poziomu czwartego – z góry zawołał Konecheck. – Zaczynam widzieć światło z góry. Słyszę wiatr. Prawie wyszliśmy.

Sullivan leżał w szlamie z nienaturalnie zgiętą pod sobą nogą, bezwładny jak szmata. Wciąż ścisnął w dłoni pistolet. Żółty wskaźnik na boku zdradzał, że skończyły mu się naboje. Sullivan przeżył tak długo, aż przestał być przydatny, a wtedy Konecheck go zamordował. Dupek nie mógł poczekać, aż dotrą na sam szczyt.

– Pośliznął się – stwierdził Amos. – Takie rzeczy się zdarzają. Nie rób niczego głupiego.

Zęby Rony klekotały z furii i strachu. Amos uśmiechnął się do niej i kiwnął głową, bo chyba tego rodzaju rzeczy ludzie robili, żeby uspokoić innych. Nie potrafił stwierdzić, czy przyniosło to oczekiwany skutek.

– Ktoś wejdzie tu, żeby pomóc? – zawołał Konecheck. – Czy mam sobie z tym sam radzić?

– Weź Morrisa – zasugerowała Clarissa. – Dwa pistolety, jeden do metalu, drugi do pilnowania go. To był błąd, drugi raz się nie powtórzy.

– I zostawić ciebie bez straży? – zza jej pleców odezwał się Morris. – Nie ma mowy. Nikt nie zostanie bez straży.

– Przypilnuję, żeby w nic się nie wpakowała – zaproponował Amos, ale strażnik zdawał się go nie słyszeć.

– Wszyscy na górę – zdecydowała Rona. – Wszyscy. A jeśli ktoś zrobi coś choćby trochę wyglądającego na zagrożenie, przysięgam na Boga, że pozabijam wszystkich.

– Jestem cywilem – przypomniał Amos.

Rona ruchem podbródka wskazała na szczeble.

– Wspinaj się.

Tak więc wspięli się w ciemność, ręka za ręką. Dziesięć metrów w górę, może dwanaście. Najpierw Morris, potem Clarissa, Amos i na koniec Rona, z latarką wsuniętą za pas i z pistoletem w dłoni. Konecheck wyrwał osłonę następnej sekcji drabiny, tłukąc się, klnąc i krzycząc z wysiłku. Z góry wciąż kapał czarny szlam, od którego wszystko robiło się śliskie. Amos zaczął się zastanawiać, czy Sullivan faktycznie się nie pośliznął, a potem roześmiał się cicho pod nosem, żeby nikt go nie usłyszał. Stojący na górnym końcu drabiny Konecheck odsunął się na bok, pozwalając Morrisowi wspiąć się nad siebie. Potem zabrzmiały kolejne dwa wystrzały i mężczyźni znowu zamienili się miejscami. Amosa zaciekawilo, czy szczeble zaprojektowano do utrzymania

masy dwóch ludzi na raz. Z drugiej strony nie wyglądały na powyginane, co było dobrym znakiem. Spędził sporo czasu, przyglądając się kostkom Clarissy, ponieważ w zasadzie było to jedyne, na co mógł patrzeć. Były chude z atrofii, z bladą i pobrudzoną skórą. Zauważył, gdy zaczęły drżeć. Jeśli złamana ręka jej dokuczała, nie powiedziała tego.

– Dobrze się czujesz, Złotko?

– Dobrze – odpowiedziała. – Po prostu robię się zmęczona, to wszystko.

– Trzymaj się, pomidorku – rzucił. – Prawie już wyszliśmy.

Szyb w górze robił się krótszy. Nie było widać żadnego śladu po kabinie windy ani służących w niej strażnikach, tylko bladyszary kwadrat i narastające wycie wiatru. Raz, gdy zostało im może z pięć metrów do pokonania, Rona pod nim wydała dźwięk przypominający łkanie, ale tylko raz. Nie zapytał jej o to.

A potem Konecheck dotarł do krawędzi, podciągając się z Morrisem tuż za nim. Wciąż padał czarny deszcz, robił się tylko zimniejszy. Clarissa trzęsła się już cała, dygotała jakby była zbyt lekka i wiatr mógł ją porwać i ponieść ze sobą.

– Dasz radę, Złotko.

– Wiem – odpowiedziała. – Wiem, że dam.

Podciągnęła się do góry i przyszła kolej na Amosa. Szyb windy kończył się równym ścięciem, jakby ręka Boga opadła i zgarnęła wszystko. Budynek wejściowy zniknął, poza roztrzaskanym betonem i kawałkami



drewna rozrzuconymi po nagim polu. Zniknął płot. Drzewa na horyzoncie zostały zgolone do szczeciny. Jak daleko sięgał wzrokiem, widział tylko nagą ziemię i skały. Niebo było ciemne i bardzo niskie, z olbrzymimi chmurami pędzącymi z jednej strony świata na drugą jak odwrócone fale. Wiatr wiejący ze wschodu śmierdzał czymś, czego nie potrafił zidentyfikować. Świat wyglądał tak, jak wyobrażał sobie pole po bitwie. Tylko gorzej.

– Rusz się – powiedziała Rona, pchając jego nogę.

A wtedy, bez ostrzeżenia, Konecheck ryknął, a Morris wrzasnął. Strzał z pistoletu zabrzmiał w chwili, gdy Amos dotarł na górę i udało mu się stanąć. Konecheck trzymał Morrisa nad ziemią. Głowa strażnika wisiała bezwładnie w sposób, który jasno zdradzał jego śmierć. Clarissa leżała bez sił u stóp siwowłosego więźnia.

Na ułamek sekundy Konecheck utkwiał spojrzenie w jego oczach. Amos zobaczył w nim prymitywną, zwierzęcą przyjemność. Radość chłopca spalającego mrówki szkłem powiększającym. Szybciej niż powinno być możliwe dla człowieka, Konecheck puścił martwego strażnika i rzucił się do przodu, wbijając stopy w śliskie błoto. Amos wyszedł naprzeciw atakowi, czego przeciwnik się nie spodziewał, i solidnie walnął go pod żebra. Ale wtedy znikąd pojawił się łokieć Konechecka, uderzając go w ucho na tyle mocno, że świat zaczął wirować. Amos się zatoczył, a przeciwnik chwycił go za pas i rękę. Mechanik poczuł, że jest unoszony nad głowę Konechecka. Spojrzał w dół szybu i zobaczył patrzącą na niego z dołu Ronę, z szeroko otwartymi oczami i ustami.

Czerń na dnie była bardzo daleko. Zaczął się zastanawiać, czy kiedy tam dotrze, znowu zobaczy Lydię. Pewnie nie, ale była to przyjemna ostatnia myśl.

Wystrzał sprawił, że Konecheck się zachwiał, a Amos wykręcił się w osłabionym uchwycie, boleśnie spadając do tyłu. Clarissa leżała nad ciałem Morrisa z dwoma rękami na dłoni trupa, znowu celując. Z piersi Konechecka płynęła krew, ale zanim zdążył rzucić się na dziewczynę, nad brzegiem szybu pojawiła się dłoń Rony i chwyciła go za kostkę. Konecheck kopnął, spinając mięśnie zbyt szybko, by nadążyć za ruchem, a Rona krzyknęła, ale do tego czasu Amos znowu zerwał się na nogi, mocno zginając kolana, by obniżyć środek ciężkości. Świat wciąż wirował. Nie mógł zaufać, że jego ucho wewnętrzne pokaże mu pion. Ale przecież spędził wiele lat w nieważkości, ignorowanie zawrotów głowy było jego chlebem powszednim.

Wyprowadził celne kopnięcie w krocze Konechecka, co prawdopodobnie go wykastrowało, a uderzony cofnął się z szeroko otwartymi oczami. Miał może jedną dziesiątą sekundy na wyraz zaskoczenia na twarzy, a potem poleciał w dół otchłani szybu windy. Ta część dobiegła końca.

Amos usiadł, pocierając bolące ucho, a Rona wypełzła z dołu w ponure półświatło dnia. Płakała, obracając się powoli, z niedowierzaniem i grozą oglądając zniszczenia wokół. Machała rękami przy bokach, jakby udawała, że jest pingwinem. Jej udręka byłaby zabawna, gdyby nie

była tak szczerą. Utrata wszystkiego mogła przynajmniej oszczędzić godność.

– Gdzie to się podziało? – wykrzyczała przez świst wiatru, jakby ktoś mógł jej odpowiedzieć. – O mój Boże – dodała po chwili. – *Esmé*.

Clarissa przeturlała się na plecy z rękami rozłożonym pod brudnym deszczem, opierając głowę na martwym mężczyźnie, jakby był poduszką. Miała zamknięte oczy, ale widział, że jej klatka piersiowa się porusza. Amos obejrzał się na Ronę.

– *Esmé*? To ktoś z twojej rodziny?

Kiwnęła głową, nie oglądając się na niego.

– No tak – powiedział Amos. – Słuchaj, jeśli musisz iść jej poszukać, nie mam nic przeciwko.

– Więźniarka... muszę...

– Wszystko w porządku. Dopilnuję, żeby Złotko nie narobiła żadnych kłopotów. No wiesz. Aż wrócisz.

Absurd tego stwierdzenia wydawał się nie docierać do kobiety. Chwiejnie ruszyła przed siebie, kierując się w stronę niskiego wzgórza na horyzoncie. Nie wróci tu. Nikt nie wróci. Nie było do czego wracać.

Clarissa otworzyła oczy. Kiedy na nią patrzył, jej usta rozsunęły się w uśmiechu i sięgnęła do góry, przeczesując włosy mokrymi dłońmi. Jej śmiech zabrzmiał jak radość.

– Wiatr – powiedziała. – O mój Boże, nie sądziłam, że jeszcze kiedyś poczuję wiatr. Nie spodziewałam się, że wyjdę na zewnątrz. Jak tu pięknie.

Amos zerknął na ruiny i wzruszył ramionami.

– Pewnie dużo zależy od kontekstu.

Był głodny i spragniony. Mokry. Nie mieli schronienia ani ubrań, a ich jedyny pistolet do działania wymagał dźwigania trupa. Przynajmniej do czasu, aż jego ciało wystygnie.

– No żesz kurwa – rzucił bez emocji. – I gdzie teraz, co?

Clarissa wyciągnęła chudą rękę, wskazując bladym palcem w stronę nieba. Tam, pośród pędzących chmur i śmieci w stratosferze chwilami przeświecał idealny, blady krąg.

– Luna – powiedziała. – Pozostanie na planecie będzie oznaczało śmierć, gdy skończy się jedzenie. I woda.

– Też o tym myślałem.

– Są prywatne jachty. Wiem, gdzie rodzina je trzymała. Ale to port kosmiczny dla bogaczy, z bardzo silną ochroną. Możemy potrzebować pomocy do włamania się.

– Znam trochę ludzi – rzucił Amos. – To znaczy, wiesz. Jeśli wciąż jeszcze żyją.

– No to mamy plan – odpowiedziała, ale się nie ruszyła.

Mówiła trochę wyraźniej, co chyba znaczyło, że nie krwawiła do mózgu. Czyli jeden problem mniej. Amos przesunął się, opierając głowę na piersi trupa, czubkiem głowy stykając się z jej głową. Odrobina odpoczynku zdawała się dobrym pomysłem, ale wkrótce będą musieli ruszać. Cekał ich długi marsz to Baltimore. Zaczął się zastanawiać, czy uda im się znaleźć samochód. A jeśli nie, to może choć dwa rowery. Powoli ustępowało pulsowanie w uchu. Pewnie niedługo będzie mógł znowu chodzić.

Błady krąg na niebie zbladł za grubszą warstwą pyłu i chmur, potem na chwilę całkiem zniknął, zanim pojawił się znowu.

– Zabawne – odezwała się Clarissa. – Przez większość historii ludzkości lot na księżyc był niemożliwy. Sen ponad ludzkie wyobrażenia. A potem, na chwilę, stał się przygodą. Potem był czymś trywialnym. Jeszcze wczoraj był trywialny. A teraz znowu stał się niemożliwy.

– No tak – skomentował Amos. – Cóż...

Poczuł, że dziewczyna się porusza, obraca głowę, jakby chciała go lepiej widzieć.

– Co?

Wskazała do góry, na niebo.

– Jestem przekonany, że to słońce. Ale rozumiem, co chcesz powiedzieć.

## Rozdział dwudziesty siódmy

### Aleks

Bolała go głowa. Bolały go plecy. Nie czuł nóg. Co było bardzo niepokojące do czasu, aż jego umysł oprzytomniał na tyle, by uświadomił sobie, że to wszystko znaczy, że nie zginął. Rozbrzmiał jakiś sygnał ambulatorium, coś chłodnego popłynęło do jego żyły i znowu odpłynął.

Kiedy obudził się ponownie, czuł się prawie jak człowiek. Ambulatorium było olbrzymie. Przynajmniej pięć razy większe od tego na *Rosynancie*, ale mniejsze od pełnego, wieloodziałowego szpitala na *Behemocie*. Przeciwuderzeniowa powłoka na ścianach miała brązową barwę skórki od chleba. Spróbował usiąść, ale zmienił zdanie.

– Ach, pan Kamal. Lepiej się pan czuje?

Lekarka była kobietą o jasnej cerze, szczupłej twarzy i oczach koloru lodu. Miała na sobie mundur FMRK. Kiwnął głową, kierując się bardziej odruchami społecznymi niż faktycznie lepszym samopoczuciem.

– Będzie ze mną dobrze? – zapytał Aleks.

– To zależy – odparła. – Jeśli dalej będzie pan jadł jak dwudziestolatek, to w końcu pan to odczuje.

Aleks roześmiał się i poczuł ostry ból w brzuchu. Lekarka skrzywiła się i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Kiedy był pan nieprzytomny, przeprowadziliśmy operację. Ten ciąg, z którym pan leciał, zaostrzył pański wrzód.

– Mam wrzód?

– Miał pan. Teraz ma pan tam przeszczep rekonstrukcyjny, ale wciąż osadza się na miejscu. Proszę poczekać parę dni, a poczuje się pan dużo lepiej.

– No tak – odpowiedział Aleks, z powrotem opuszczając głowę na poduszkę. – Ostatnio działałem w sporym stresie. Co z Bobbie?

– Wszystko w porządku. Przesłuchiwali ją. Podejrzewam, że z panem też będą chcieli porozmawiać, skoro odzyskał pan przytomność.

– Co z moim statkiem?

– Wciągnęliśmy go do hangaru, uzupełniamy paliwo. Może go pan odzyskać, gdy sytuacja się uspokoi.

To go oprzytomniło.

– Uspokoi?

– Ci ludzie, którzy do was strzelali? Nasza eskorta poleciała dopilnować, żeby odechciało im się za nami lecieć. Spodziewam się, że będzie pan mógł odlecieć, gdy dotrą tu statki z odsieczą.

– Czyli coś do was leci?

– Ojej, tak – potwierdziła lekarka z westchnieniem. – Pół tuzina najlepszych jednostek. To pewnie więcej, niż

potrzeba, ale w tej sytuacji nikt nie chce ryzykować.

– Całkowicie się z nimi zgadzam – przyznał Aleks, zamykając oczy. Cisza sprawiała dziwne wrażenie. Znowu otworzył oczy.

Lekarka wciąż stała tam, gdzie wcześniej, z niezmienionym uśmiechem, z dłońmi złożonymi lekko przed sobą. Tylko że w oczach miała łzy.

– Coś się stało, kiedy był pan nieprzytomny – powiedziała. – Chyba powinien pan o tym wiedzieć.

\* \* \*

Bobbie wstała i uścisnęła go, gdy tylko wszedł do sali odpraw. Miała na sobie taki sam kombinezon, jaki dostarczono jemu. Z początku się nie odzywali. Dziwnie się czuł objęty jej ramionami. Była dużo większa od niego, także silniejsza. Sądził, że takie objęcie przez atrakcyjną kobietę będzie miało w sobie jakiś element erotyzmu, ale odczuwał tylko głębokie poczucie wspólnej dla nich obojga wrażliwości.

Nigdy nie był na Ziemi, nie wiedział, jak tam jest. Aż do tej pory nie powiedziałby, że odczuwa jakąś więź z tym miejscem. Objawieniem był fakt, że mylił się w tej sprawie. Ćwierć miliarda ofiar uderzeń i tsunami. A wkrótce liczby będą większe. Wiadomości były już pełne informacji o zawodzącej infrastrukturze, a pod olbrzymimi chmurami pyłu, wody i zanieczyszczeń temperatura na powierzchni spadała poniżej zera pomimo panującej na północnej półkuli wiosny. Większe miasta dysponowały zasilającymi je własnymi



reaktorami fuzyjnymi, ale wszystkie miejsca, które wciąż polegały na rozproszonych bateriach słonecznych, zaczynały wyczerpywać energię. Gasły kolejne miliardy światel. Sekretarz generalny zginął, podobnie jak nieznaną liczbą członków Zgromadzenia. Flota ściągała statki ze wszystkich części Układu Słonecznego, tworząc kordon wokół planety z obawy przed kolejnymi uderzeniami. Nieudany przewrót na Tycho i czarna flota, na którą się natknęli, zdawały się zaledwie wstępem do tego, co stało się z ojczyzną ludzkości.

A najgorsze było to, że nikt nie wiedział, kto to zrobił. Ani dlaczego.

Bobbie puściła go i cofnęła się. Zobaczył, że w jej oczach odbija się odczuwana przez niego pustka.

– Cholerny świat – rzucił.

– Owszem.

Wszystko w sali odpraw sugerowało bezpieczeństwo i komfort. Oświetlenie było pośrednie i nie rzucało cieni, ściany miały ten sam ciepły, brązowy kolor, co w ambulatorium. Zamiast biurka stał tu nieduży, zamocowany na trwale do podłogi stół z rozstawionymi wokół niego pryzkami przeciążeniowymi. Miejsce kojarzyło się Aleksowi z widywanymi na filmach gabinetami psychiatrów. Bobbie też rozejrzała się wokół, po przyjsciu Aleksa zobaczyła to miejsce na nowo. Kiwnęła głową w stronę niewielkiej niszy naprzeciw drzwi.

– Chcesz herbaty? Mają herbatę.

– Jasne – potwierdził Aleks. – Czemu nie. Dobrze się czujesz?

– W porządku. To znaczy, jestem trochę wstrząśnięta, ale nie położyli mnie na szpitalnym łóżku – odpowiedziała. – Jaką chcesz? Mają orange pekoe, ulung, rumiankową...

– Nie znam takich herbat.

– Ja też nie. No dobrze. To dostaniesz ulung.

Automat zasyczał, a po chwili podała mu bańkę. Była ciepła w dotyku i rozstaczała delikatną woń dymu i wody. Aleks usiadł przy stole i wypił odrobinę, ale była za gorąca. Bobbie usiadła obok niego.

– Fantastycznie pilotowałeś – skomentowała. – Choć szkoda, że sama tego nie widziałam.

– Ostrzegłbym cię, ale wiesz. Trochę dużo się działo.

Pokręciła głową.

– Nie protestuję. Gdybym się spinała, pewnie otworzyłaby mi się stara rana i dostałabym udaru czy czegoś takiego. Oglądałam dane lotu. Poważnie, byłam w tym pokoju w świeżym kombinezonie i patrząc na nagrania przez parę chwil, nie sądziłam, że nam się uda.

Podziw w jej głosie wydawał się cieplejszy od herbaty. Był pewien, że się zaczerwienił, ale miał nadzieję, że zbytnio tego nie widać.

– No cóż, było blisko. Dobrze, że przypomniałaś sobie o tym konwoju, mnie nic nie przychodziło do głowy. Wiemy coś o tym, do kogo, u diabła, należą te statki?

– Nie. Większość eskorty odleciała, żeby nas osłaniać, i na razie chyba to działa, ale tamci nie mają żadnych

sygnałów transponderów. Żadnych gróźb, żądań, niczego.

– Dość upiorne. – Herbata ostygła na tyle, by dało się ją pić. – Jest szansa, że pozwolą mi wysłać wiadomość do kapitana?

Bobbie westchnęła i rozłożyła ręce.

– Kiedyś tak. Traktują nas przyjaźnie, ale może chwilę potrwać, zanim pozwolą nam na dostęp do łączności. Wciąż uczestniczymy w walce, nawet jeśli nie jesteśmy w jej epicentrum.

– Co im powiedziałaś?

Bobbie zmarszczyła brwi.

– Prawdę, choć nie zabrzmiało to zbyt dobrze.

– To znaczy?

– Powiedziałam, że poleciliśmy tam, szukając zaginionych statków, które używają nowych kodów transponderów i że kierowaliśmy się sugestią otrzymaną od Jamesa Holdena.

– Hm. Tak, kiedy wypowie się to na głos, brzmi to faktycznie trochę dziwnie, prawda?

– Pytali, skąd wiedzieliśmy, żeby szukać właśnie tam, i co mnie łączy z Holdenem. No wiesz, w zasadzie wiedzieli o tobie, więc raczej chodziło im o to, dlaczego z tobą polecałam.

– I co im powiedziałaś?

– Że poleciliśmy razem, bo jesteśmy starymi znajomymi. Poza tym byłeś we flocie, znasz się na statkach, a ja jestem tylko piechociarką. Ale to doprowadziło do tego, że musiałam opowiedzieć, jak zaczęłam się przyglądać problemom z czarnym rynkiem

w domu i o twoich pytaniach w bazie Hekate, zadawanych w moim imieniu, oraz o trupie i tych facetach, którzy na mnie napadli.

– Czyli o pozostałych trupach.

– No tak. A później, gdy powiedziałam, że nic nie wiem, zaczęli mnie traktować podejrzliwie.

Aleks nachylił się nad stołem. Jego ciało wciąż było słabe i rozdygotane.

– Przynajmniej nie uważają, że jesteśmy częścią... no wiesz. Tego.

Drzwi otworzyły się cicho, prawie przepaszająco. Do środka wszedł starszy mężczyzna ze starannie ułożonymi siwymi włosami. Zamiast kombinezonu miał na sobie garnitur i wyglądał jak wyjątkowo dobroduszny prawnik. Zaraz za nim do środka weszło dwóch marines w pełnym opancerzeniu. Nie zareagowali w żaden sposób na Aleksa i Bobbie, po prostu zajęli pozycje po obu stronach drzwi. Siwowłosy mężczyzna uśmiechnął się promiennie do Aleksa, potem do Bobbie i znowu do Aleksa.

– Panie Kamal! – odezwał się. Jego głos pasował do wyglądu. – Tak się cieszę, że pan tu jest. Miałem nadzieję na rozmowę z panem o tej nieprzyjemnej sytuacji.

Aleks zerknął na Bobbie. Jej wzruszenie ramion było prawie niewidoczne. Nie znała tego człowieka.

– Oczywiście – zgodził się Aleks. – Jakkolwiek mogę pomóc.

– Dobrze, bardzo dobrze – powiedział mężczyzna, a potem uniósł palec. – Ale najpierw...

Usiadł przy stole i na jego twarzy pojawił się dziwnie łagodny grymas. Aleks poczuł się, jakby miał właśnie zostać łagodnie zbesztany przez dyrektora szkoły.

– Sierżant Draper, chciałbym zapytać, dlaczego rząd Ziemi domaga się rozmowy z panią. Czy kontaktowała się pani z nimi?

Bobbie zbladła i zszarzała. Uniosła rękę do ust.

– Och, tak mi przykro. Na ekranie wygląda pan zupełnie inaczej, nie poznałam pana. Aleks, to premier Smith.

Aleks zerwał się na nogi.

– Och! Przepraszam. Przy tym wszystkim, co działo się na Ilusie i całej reszcie, nie śledziłem ostatnich wyborów.

Jeden z wartowników przy drzwiach zakaszłał w sposób, który mógł maskować śmiech. Grymas na twarzy premiera Smitha zmienił się w coś odrobinę bardziej szczerzego i skonsternowanego. Gestem polecił Aleksowi, żeby usiadł.

– No tak, cóż. Oczywiście nic się nie stało. Ale wracając do pytania, czy współpracowała pani z rządem Ziemi?

– Nie – odpowiedziała Bobbie. – Odbyłam parę rozmów i znam osobiście jedną osobę. Chrisjen Avasaralę. Ale to wszystko.

Premier kiwnął głową, marszcząc brwi.

– Tak, rozumiem. Po śmierci sekretarza generalnego i przy chaosie panującym w Zgromadzeniu Chrisjen Avasarala stała się de facto prawowitym rządem Ziemi. I zagroziła, że każe... pozwolę sobie zacytować...

wymasować mi jaja szczotką do metalu, jeśli coś się pani stanie.

– To wygląda na jej typowe słownictwo – skomentował Aleks.

– Tak, jest dość barwna. Upiera się też, że powinniśmy jej pozwolić na rozmowę z panią. Zastanawiałem się, co takiego by jej pani powiedziała?

– Nic, czego nie powiedziałabym w pańskiej obecności – zapewniła Bobbie. – Nie jestem szpiegiem. Podniosła pewne kwestie i zadała pytania, które wydały się uzasadnione i interesujące, więc z własnej inicjatywy zajęłam się ich badaniem. Jeśli pan chce, z przyjemnością zrelacjonuję wszystko, co zrobiłam i czego się dowiedziałam.

– Jest pani bardzo blisko zaprzyjaźniona z Chrisjen Avasaralą. Leciała z członkiem załogi *Rosynanta*. Wydaje się pani mieć dużo kontaktów na Ziemi i w Pasie, sierżancie.

– Tak jest, sir – odpowiedziała Bobbie, patrząc przed siebie i nieco w dół. – To dobrze, że jesteśmy po tej samej stronie.

Cisza trwała dłużej, niż chciałby Aleks. Premier splótł palce na kolanie.

– Zapewne ma pani rację – odpowiedział w końcu. – W takim razie może proszę mi opowiedzieć, czego dokładnie się pani dowiedziała, i jak możemy produktywnie włączyć w to wszystko naszą drogą Chrisjen.

\* \* \*

Przesłuchanie trwało cztery godziny. Zabrali go do osobnego pokoju, gdzie zrelacjonował im wszystko, co stało się od powrotu z Ilusa. Przyszła inna kobieta i powtórzył jej to samo. Potem zaprowadzili go z powrotem do Bobbie i zadawali im pytania, na które przeważnie żadne z nich nie potrafiło odpowiedzieć. W sumie jak na przesłuchania potraktowano ich dość łagodnie, ale i tak Aleks czuł się wyczerpany.

Tej nocy spał w osobnej, przydzielonej mu kabinie. Była w niej szafka, prycza przeciążeniowa, miał dostęp do ekranu. Odzyskał nawet swój ręczny terminal. Pomieszczenie było nieco większe niż jego kajuta na *Rosie*, choć maleńkie w porównaniu z apartamentem na *Tycho* i nieco lepsze niż to, co miał w czasach, gdy jeszcze służył we flocie. Pozwolili mu nawet nagrać wiadomości dla Holdena, Amosa i Naomi, choć przed wysłaniem zostały sprawdzone przez systemy statku. Po tym wszystkim obiecał sobie, że nie będzie oglądał żadnych wiadomości.

Minęło wiele lat, od kiedy ostatnio czuł zapach okrętu FMRK. Ostra woń wymienników powietrza wzbudziła żywe wspomnienia. Jego pierwsza tura, jego ostatnia. Ogarnęło go narastające poczucie melancholii, którego z początku nie rozpoznał. Żal. I strach. Ze stukrotną siłą wróciły wszystkie jego wcześniejsze obawy o załogę *Rosa*. Wyobraził sobie powrót na statek bez Amosa. Albo bez Naomi. Albo sytuację, gdy nigdy więcej nie zobaczy statku, nigdy nie usłyszy głosu Holdena. Godzinę po tym,

jak postanowił iść spać, poddał się wreszcie, zapalił światło i włączył wiadomości.

Mars oferował zrzuty żywności i sprzętu ratunkowego. Ganimedes, po odzyskaniu kontroli nad swoimi portami, przesyłał plony z powrotem na Ziemię. Grupa nazywająca się Frontem Akadiańskim ogłosiła, że odpowiada za ataki, ale została zdyskredytowana niemal natychmiast po proklamacji. Na Ziemi zaczęły się zamieszki. Plądrowanie. Znowu wyłączył ekran i ubrał się.

Otworzył połączenie do Bobbie, które odebrała prawie natychmiast. Gdziekolwiek się znajdowała, nie była to prycza. Ściany za nią znajdowały się zbyt daleko, by była to kabina, a jej głos odbijał się lekkim echem. Miała związane włosy, zaczerwienione policzki i mocno się pociła.

– Cześć – rzuciła, ostro kiwając głową.

– Hej. Nie mogłem usnąć i pomyślałem, że sprawdzę, co robisz.

– Właśnie skończyłam sparing. Porucznik pozwolił mi trochę poćwiczyć.

– Ale oni wiedzą, że niedawno zostałam postrzelona, prawda?

– Myślisz, że kilka dziur po kulach zwalnia z ćwiczeń?

– zapytała z żarem, od którego nabrał wątpliwości, czy miał to być żart. – Pożyczyli mi nawet skafander.

– Siedziałaś w pancerzu wspomaganym od czasu Io?

– Nie. I to będzie... nie wiem. Albo coś super fajnego, albo źródło koszmarów.



Amos się roześmiał, a ona posłała mu uśmiech. Zadział na niego jak strumień zimnej wody na oparzenie.

– Idziesz prosto do pryczy czy wstąpisz najpierw do mesy?

– Pewnie mogłabym coś teraz zjeść. Spotkamy się tam?

O tej porze mesa była prawie pusta. Zmiana alfa skończyła już kolację, a lunch zmiany beta przypadał dopiero za godzinę. Bobbie siedziała sama przy stole pod dalszą ścianą, na stole leżał włączony terminal ręczny. Niedaleko od niej siedziała grupa składająca się z trzech mężczyzn i kobiety, rzucali na nią spojrzenia i rozmawiali przyciszonymi głosami. Aleks natychmiast poczuł chęć chronienia jej, jakby znowu był w liceum i ktoś z jego przyjaciół był wyśmiewany przez inną klikę.

Wziął sobie kanapkę z serem i bańkę wody, a potem podszedł i usiadł koło niej. Na jej talerzu zobaczył pozostałości pulpeta z sosem, który wyraźnie zjadła, a z terminala rozbrzmiewał znajomy głos.

– ...będą monitorować każde nasze pieprzone słowo. Gdybyś chciała obszernie i z detalami porozmawiać na temat menstruacji, to chyba najlepsza ku temu okazja. Zawsze czuł się nieswojo przy kobietach, a nikt nie lubi podglądaczy, nawet jeśli są premierami.

– Jak się trzyma? – zapytał Aleks, wskazując na ręczny terminal.

Bobbie wyłączyła nagranie i zmarszczyła czoło, patrząc na pusty ekran.

– Chyba jest zrozpaczona. Wstrząśnięta. Ale nigdy tego po sobie nie pokaże. Tego właśnie zawsze najbardziej się

bała, a teraz, gdy do tego doszło, nie może nawet odwrócić wzroku, bo to ona musi... to naprawić. Tylko że tego nie da się naprawić, prawda?

– Owszem, chyba nie.

– Zabierają nas na Lunę.

– Domyśliłem się – przyznał Aleks.

Coś w jego głosie zwróciło uwagę Bobbie.

– Nie chcesz?

– Szczerze? Chciałabym wrócić do domu. Wrócić na *Rosa* z moją załogą, a potem już dużo mniej będzie mnie obchodziło, gdzie polecimy. Choć byłoby miło, gdybyśmy trafili w jakieś miejsce, gdzie nie będą do nas strzelać.

– To zdecydowany plus – zgodziła się Bobbie. – Choć nie wiem, gdzie to może być.

– Jest tam teraz mnóstwo planet. Moje doświadczenia z koloniami są trochę, hm, nierówne, ale widzę pewne plusy nowego początku.

– To nie zawsze są nowe początki – odparła Bobbie. – Wszyscy nowi przywożą ze sobą stare bagaże. Jeśli kiedyś naprawdę zaczniemy od zera, będzie to oznaczało brak historii. Nie wiem, jak to zrobić.

– Mimo wszystko, można pomarzyć.

– Absolutnie się zgadzam.

Dwóch z siedzących przy innym stole mężczyzn wstało, odnosząc swoje tace do recyklera. Pozostali przy nim kobieta i mężczyzna obejrzeli się na Aleksa i Bobbie, a potem udawali, że wcale tego nie zrobili. Aleks ugryzł kęs kanapki. Tłusty ser i sztuczne masło przypomniały

mu młodość. A raczej to, ile czasu minęło, od kiedy faktycznie był młody.

– Jakież wieści o tych dupkach, którzy do nas strzelali?

– Wciąż walczą ze statkami eskorty. Wycofują się, ale nie uciekają. Eskorta nie zamierza się angażować, jak długo będą mogli powstrzymać drani przed zbliżeniem się do nas.

– Rozumiem, w porządku.

– Tobie też wydaje się to dziwne?

– Trochę – przyznał Aleks. – Wydaje się to kiepską pułapką, jeśli tak naprawdę nikogo nie zaskakujesz.

– To przez nas – stwierdziła Bobbie. – Ciebie i mnie. Znaleźliśmy się we właściwym miejscu o właściwym czasie. Zmusiliśmy bandytów do zbyt wczesnego ujawnienia się. Gdybyśmy tego nie zrobili, zmarłoby nie tylko sekretarz generalny. Szczerze myślę, że to dlatego tak dobrze nas tu traktują. Smith wie, że sytuacja mogła wyglądać dużo gorzej.

– Pewnie masz rację, po prostu...

– Czekasz na prawdziwe uderzenie.

– Właśnie.

– Ja też. Jesteśmy nerwowi, ale to chyba nie jest dziwne? W ciągu jednego dnia ktoś zniszczył praktycznie całą ludzką cywilizację.

Te słowa uderzyły Aleksa jak cios. Odłożył kanapkę.

– Właśnie to zrobili, prawda? Nie wiem, kim teraz jesteśmy. Nie wiem, jak to ma działać.

– Ja też. Ani nikt inny. Ale coś wymyślimy. I ktokolwiek to zrobił, znajdziemy go. Nie pozwolimy im

wygrać.

– Niezależnie od tego, w co grają.

– Niezależnie od wszystkiego – potwierdziła Bobbie.

W tej chwili umierały miliardy i nie było sposobu, żeby ich uratować. Ziemia była zniszczona i nawet jeśli przetrwa, nigdy nie będzie taka, jak kiedyś. Mars zmienił się w wymarłe miasta, a będący jego sercem projekt terraformacji rozpadał się. Obcy, którzy wysłali protomolekułę, nie musieli niszczyć ludzkości. Wystarczyło, że dali jej okazję do zniszczenia się samodzielnie, a nasz gatunek ochoczo z niej skorzystał. Aleks gniewnie starł z policzka łzę, a Bobbie udała, że tego nie widziała.

– Właśnie – powiedział. – Ale mimo wszystko poczuje się dużo lepiej, gdy faktycznie dotrą tu statki eskorty.

– Amen – potwierdziła Bobbie. – Choć wolałabym, żeby leciało tu więcej niż sześć jednostek. No, właściwie to siedem. Albo sześć i pół.

Sześć i pół?

– Statki odsieczy zgarnęły gdzieś po drodze komercyjny transportowiec. Niewojskowy. Nazywa się chyba *Chetzemoka*.

## Rozdział dwudziesty ósmy

### Holden

– Przykrywką do jakiejś kradzieży – powtórzył Holden.  
– Co to, do cholery, było?

Fred Johnson szedł dalej. Łagodnie zakrzywiony korytarz z widokiem na kulę konstrukcyjną wyglądał tak, jakby całkowitą prawdą było stwierdzenie, że stacja Tycho nie ucierpiała. Mijani na korytarzu ludzie kłaniali się Fredowi i Holdenowi. Niektórzy w geście solidarności nosili zielone opaski, a niejedną zdołał też rozerwany krąg SPZ z dodatkową przerwą pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do pierwszej. Inny mieli na opaskach stylizowany glob ze słowami JEDNA LUDZKOŚĆ: SPZ I ZIEMIA. Fizyczne uszkodzenia stacji ograniczały się głównie do maszynowni i poziomów napędu na dole kuli oraz biura Freda w pierścieniu, ale Holden nie potrafił się pozbyć wrażenia, że głębszą raną była opowieść Tycho na swój własny temat. Jeszcze całkiem niedawno Tycho – jak Ceres – była jednym z klejnotów koronnych planet zewnętrznych. Częścią większego argumentu na rzecz niezależności Pasa.

A teraz została zaatakowana przez Pasiarzy i stała się czymś innym. Poczucie jedności z Ziemią było nie tyle prawdziwym wyrazem współczucia dla rządu, który jeszcze niedawno był wrogiem, co deklaracją separacji od SPZ. Stacja Tycho dla stacji Tycho i pieprzyć wszystkich, którzy wejdą im w drogę.

A może tylko narzucał im własne uczucia, ponieważ tak właśnie się czuł.

– Zachowała się jak dziennikarka – rzucił Fred. – Takie rzeczy? Tak właśnie robią.

– Dopiero co uratowaliśmy jej życie. Gdyby nie my, zostałaby wywieziona ze stacji Bóg wie gdzie i... no nie wiem. Torturowana czy coś takiego.

– To prawda – zgodził się Fred.

Dotarli do windy i przeszli przez drzwi, które automatycznie się przed nimi otworzyły. Fred wciąż miał przysługujące mu z racji rangi przywileje, a jednym z nich był priorytet w korzystaniu z wind. – Ale też ją okłamaliśmy, a ona o tym wie.

Holden stłumił cisnący mu się na usta protest, ponieważ w zasadzie sprowadzał się do słów wcale nie, a wiedział, że to nie prawda. Jeszcze kilka lat temu nie pozwoliłby sobie na coś takiego. Wtedy powiedziałby prawdę, całą, i pozwoliłby, żeby kości upadły, jak chcą. Nie wiedział, czy bardziej martwił go fakt, że się zmienił, czy też to, że tego nie zauważył do chwili, aż ktoś zwrócił mu na to uwagę.

Fred obejrzał się na niego ze zmęczonym uśmiechem.

– Złość się na słońce za zachód, jeśli to budzi twój gniew. To słowa poety, niejakiego Jeffersa.

– Prawda, ale czy on mówił o wzajemnie okłamujących się politykach i dziennikarzach?

– Tak się składa, że owszem.

Kabina przesunęła się i opadła. Fred z jękiem oparł się o tylną ścianę.

– Nie musieliśmy tego robić – powiedział Holden.

– Owszem, musieliśmy – odparł Fred. – Po przegranej najważniejsze, co musi zrobić dowódca, to się pokazywać. I być widzianym, jak chodzi o własnych cholernych siłach. To odpowiednio ustawia przekaz.

– Ale mimo wszystko...

– To coś, co wciąż mogę robić – stwierdził Fred. – I pewne jak diabli, że będę.

Stare biuro Freda wciąż było naprawiane i do czasu, aż jego ściany i podłoga nie przestaną wychodzić na próżnię, Drummer urządziła dla niego miejsce w pobliżu przepelnionego aresztu. Pokój był mniejszy, mniej wygodny i nie robił takiego wrażenia. Wchodząc do niego, Holden nie potrafił pozbyć się uczucia, że Fred sam siebie zdegradował. Albo przyjął bez narzekania degradację otrzymaną od wszechświata.

Fred usiadł za biurkiem i potarł oczy podstawami dłoni.

– Prawda jest taka, że wszystko, co tu robimy, nie stanie się nawet przypisem w podręcznikach historii.

– Tego nie wiesz. Po prostu czujesz się zdołowany – odpowiedział Holden, ale Fred wywoływał już pracę na

biurkowym monitorze.

– Dostałem wczoraj dwie wiadomości. Oczywiście, tak naprawdę dużo więcej, ale te dwie były ciekawe. Pierwszą wysłano z Ziemi. Kiedy to wszystko się stało, Avasarala była na Lunie i szykuje reakcję.

– Reakcję?

– Konferencję dyplomatyczną. Premier Marsa i tak już był w drodze. Chce, żebym ja też się tam pojawił, aby reprezentować nieco mniej odjechane skrzydło SPZ. Jeśli przyszłość ludzkości naprawdę zależy od umiejętności dyplomatycznych tej kobiety, to... cóż, będzie ciekawie.

– Jaki jest najgorszy możliwy scenariusz? Wojna?

Fred roześmiał się ponuro.

– Rozmawiałem już z Drummer. Jest gotowa przejąć kierowanie Tycho pod moją nieobecność.

– Czyli wybierasz się tam?

– Nie wiem, czy tam polecę, ale tu nie zostanę. Chciałem ci jeszcze coś pokazać.

Fred otworzył wiadomość i gestem zaprosił Holdena do ekranu. Ekran wyświetlał jasnoskórego mężczyznę z krótko obciętymi włosami i zmarszczkami walczącymi o pierwszeństwo z bliznami po opryszcze z dawno minionej młodości. Wskaźnik czasu w lewym dolnym rogu sugerował, że wiadomość wysłano ze stacji Pallas.

– Anderson Dawes – przedstawił Fred. – Słyszałeś o nim?

– To jakaś gruba ryba w SPZ, prawda?

– Człowiek, który kiedyś wyciągnął do mnie rękę. Uczynił ze mnie zwróconą w stronę wewnętrznych planet



twarcz Pasa. Odegrał dużą rolę w przekazaniu Ceres pod kontrolę SPZ. Przez ostatnie dwa lata agitował za tym, by SPZ uzyskała udziały w Ganimesesie równe udziałom Ziemi i Marsa.

– W porządku – odpowiedział Holden.

Fred włączył nagranie i mężczyzna ożył. Głos miał chropawy i niski, jakby wiele razy uderzono go w gardło.

– Fred. Wiem, że to musi być dla ciebie trudny czas. O ile to ma jakieś znaczenie dla ciebie, to sytuacja wstrząsnęła nami wszystkimi. Ale tak to już jest, historia pełna jest niespodzianek, które z perspektywy czasu wydają się oczywiste. Chcę, żebyś wiedział, że nie usankcjonowałem żadnych takich działań. Ale znam ludzi, którzy to zrobili, i choć możesz mówić różne rzeczy o ich metodach, są niewątpliwie prawdziwymi patriotami.

– Co to, kurwa, jest? – warknął Holden.

– Poczekaj – rzucił Fred.

– Zwracam się do ciebie, żebyś pogodził się z organizacją. Wiem równie dobrze jak ty, ile poświęciłeś i jak ciężko pracowałeś przez lata na rzecz SPZ. To nie zostanie zapomniane, ale weszliśmy teraz w nową erę, która niesie ze sobą własną logikę. Wiem, że jesteś człowiekiem wystarczająco wielkim, by rozpoznać różnicę między sprawiedliwością a rzeczami, które musiały się stać. Ustawię cię z powrotem wysoko, przysięgam. Ale będę potrzebował gestu. Czegoś, co mogę zanieść nowym potęgom, by pokazać, że jesteś rozsądnym człowiekiem. Że można z tobą negocjować.

Masz więźnia. Nie kogoś, kto uczestniczył w faktycznym buncie. Nawet oni wiedzą, że to byłoby proszeniem o zbyt wiele, ale mimo wszystko to więzień. Nazywa się William Sakai. Proszę, żebyś w geście dobrej woli przekazał mi go na stacji Pallas, a w zamian za to gwarantuję ci miejsce przy stole, gdy...

Fred zatrzymał nagranie, unieruchamiając Andersona Dawesa z na wpół otwartymi ustami i oczami.

– Chyba sobie jaja robisz – rzucił Holden.

– Nikt się nie śmieje.

Holden usiadł na brzegu biurka, wpatrując się w znieruchomiałego mężczyznę, czuł w piersi kotłujące się emocje: gniew, zaskoczenie, wściekłość, rozbawienie i rozpacz.

– Mógłbyś mu odpowiedzieć, że już wyrzuciliśmy go przez służbę.

– Miałbym to zrobić przed faktycznym wyrzuceniem czy po?

– Mnie to nie robi różnicy.

Fred uśmiechnął się i wyłączył ekran.

– Mówisz tak, ale byś tego nie zrobił. Nawet rozgniewany, jesteś zbyt przyzwoitym człowiekiem. I okazuje się, że ja też.

– Serio?

– Na starość zrobiłem się miękki. Wszystko teraz... wydaje mi się delikatne. Stacja wciąż jest zablokowana, ale muszę ją otworzyć. Przywrócić stan podobny do normalności. Ale nie w tym rzecz. Mam zaproszenia do dwóch stołów. Planety wewnętrzne się wycofują,

przegrupowują. A radykałowie w SPZ stają się nowymi przywódcami.

– Ale to przecież szaleni zbrodniarze.

– Tak – potwierdził Fred. – I nie wiemy, kim są. Dawes wie, ja nie.

– Chwila – obruszył się Holden. – Poczekaj. Czy ty chcesz właśnie zaproponować oddanie Sakai temu Dawesowi, żeby w zamian dostać nazwiska ludzi, którzy odpowiadają za zrzucenie kamieni na Ziemię, i przekazać je Avasarali? Ile razy chcesz w swojej karierze zmieniać strony?

– Nigdy nie zmieniłem stron – odpowiedział Fred. – To strony zmieniają się wokół mnie. Ja zawsze byłem człowiekiem, który chciał porządku. Pokoju. Nawet sprawiedliwości. To, co stało się na stacji Anderson, otworzyło mi oczy na rzeczy, których wcześniej nie dostrzegałem. Albo wolałem ich nie widzieć. Teraz to...

– To miało taki sam skutek.

– Nie wiem, co to zrobiło. Właśnie próbuję podjąć jakąś decyzję w tej sprawie. W SPZ zawsze byli radykałowie. Kolektyw Voltaire, Marco Inaros, Cassandra Lec. Ale siedzieli na marginesie, gdzie, jak sądziliśmy, możemy ich kontrolować. Trzymać ich w szeregu, a jeśli nie tyle, to przynajmniej myśleliśmy, że możemy wykorzystać nadmiar ich energii tak, by główne ośrodki w rodzaju Ceres i stacji Tycho wyglądały na najmniejsze możliwe zło. A teraz to oni chwycili za stery. Nie wiem, czy najlepiej będzie zadeklarować się ich przeciwnikiem,

czy stanąć przy nich i spróbować kontrolować upadek. – Pokręcił głową.

– Twój kumpel Dawes wydaje się już siedzieć z nimi w łóżku.

– On jest lojalny względem Pasa. Kiedy najlepszą rzeczą było zdobywanie szacunku i równego traktowania przez planety wewnętrzne, do tego właśnie dążył. Ja jestem lojalny względem... wszystkich. Bardzo długo oznaczało to stawanie w obronie ludzi, którzy sami nie mogli się bronić. Potem przyszła protomolekuła i zmieniła zasady gry, a teraz, jeśli trzymanie się radykałów zapewni mi największe wpływy... Jak długo moi ludzie trzymają Medynę, nikt nie będzie mógł mnie ignorować. Mogę postawić na tę stronę, która moim zdaniem na dłuższą metę uczyni najwięcej dobrego.

– To brzmi trochę jak tworzone po fakcie bzdury racjonalizujące realpolitik – skomentował Holden. A po chwili dodał: – Sir.

– To prawda – zgodził się Fred. – Ale tylko to mam do dyspozycji. Jeśli zlecę Rosynantowi zabranie mnie na Lunę na spotkanie z Avasaralą, przyjmiesz pracę?

– Jeśli skończymy sprawdzać całą robotę Sakai i zapewnisz własną załogę, to jasne. Albo jeszcze lepiej, zgarniemy moją po drodze, gdziekolwiek są.

– A jeśli wynajmę cię do zabrania mnie z więzieniem na Pallas?

– Wtedy możesz iść się pieprzyć.

Fred roześmiał się i wstał, sprawdzając swój pistolet.

– Zawsze lubiłem te nasze pogawędki, kapitanie. Weź wolny dzień, skontaktuję się z tobą, gdy podejmę decyzję. Taką czy inną.

– A gdzie teraz idziesz?

– Porozmawiać z Sakai – wyjaśnił Fred. – Zobaczą, czy zdołam od niego coś wyciągnąć. Perspektywa niewyrzucenia przez służbę może go uczynić nieco bardziej skłonny do współpracy. – Spojrzał na Holdena, a wyraz jego twarzy zmienił się na coś pomiędzy żalostí a błaganiem. – Próbuję postępować słusznie, Holden, ale są takie chwile, kiedy wcale nie jest oczywiste, na czym to polega.

– Zgadza się – zapewnił Holden. – Aż do tej chwili, gdy mówisz mi, że to jedna z nich.

\* \* \*

Holden siedział w tajskiej restauracji, jedząc curry z orzeszkami ziemnymi, które, na ile sięgał pamięcią do dzieciństwa na Ziemi, w niczym nie przypominało dania serwowanego na powierzchni planety. Na szczycie *nie-curry* unosił się kawałek *nie-kurczakaa*, a Holden odsuwał go pałeczkami, obserwując, jak z powrotem wypływa na powierzchnię. Jedząc, odebrał dwie wiadomości. Pierwszą wysłała mama Elise. Jak na razie jego rodzina miała się dobrze. Ogłoszono alarm środowiskowy, ale jeszcze nie ewakuację. Nie, jak powiedziała z uniesioną brwią, żeby było jakieś miejsce na ewakuację lepiej przygotowane i wyposażone niż ich ranczo. Wysyłali właśnie zapasowy reaktor, żeby pomóc w zasilaniu

miejscowej sieci w Three Forks i czekali na wiadomość od Jacksonów, żeby sprawdzić, czy czegoś potrzebują. Znał ją dość dobrze, by dostrzec głęboki niepokój objawiający się tym wszystkim, czego nie powiedziała. Ale żegnając się, obiecała pozostać w kontakcie. Pociecha była niewielka, ale zawsze coś.

Drugą wiadomość wysłał Aleks.

Razem z Bobbie Draper znajdowali się na pokładzie statku premiera i lecieli w stronę Luny, mając za plecami eskortę. Wszyscy byli mocno wystraszeni, ale uważali, że na razie nic im nie grozi. Statki z pomocą były w drodze i miały ich dogonić za dzień lub dwa. Nie miał żadnych wiadomości od Naomi, gdziekolwiek była. Ani, co nawet istotniejsze, od Amosa. Zażartował, że Amos przeżyje wszystko i że to nie pierwsza planeta, która wybuchła mu pod nogami, ale jego humor ukrywał taki sam niepokój i strach, jaki odczuwał Holden. Kiedy Aleks się odmeldował, odtworzył całą wiadomość od początku jeszcze trzy razy, tylko po to, żeby posłuchać znajomego głosu.

Zaczął przygotowywać odpowiedź, ale restauracja nie była najlepszym miejscem do nagrania tego, co chciał powiedzieć, więc obiecał sobie dokończyć nagranie, gdy dotrze do mieszkania. Dojadł tyle curry, ile zdołał, a w tym czasie restauracja powoli zmieniła oświetlenie z żółtego na złote, udając zachód słońca na planecie, którą większość jej klientów oglądała tylko na ekranach. Zapłacił rachunek, a wtedy pojawił się kelner, oferując różnorodne desery i drinki. Jego spojrzenie utrzymało się

na Holdenie na tyle długo, że choć wszystko pozostawało w granicach uprzejmości, stało się jasne, że klient może poprosić też o różne inne rzeczy.

Umysł Holdena analizował nasuwające się pytania. Więcej jedzenia, więcej alkoholu, więcej snu, więcej seksu. Jakikolwiek seks. Był świadom potężnej i oceanicznej otchłani pragnienia w jego trzewiach. Czegoś przypominającego głód lub pragnienie, wyczerpanie lub żądzę, ale nie dało się go zaspokoić. Nie miał na to słów poza tym, że uczucie to czyniło go drażliwym i łatwo popadającym w rozpacz. A czający się za tym wszystkim strach, że nigdy nie odzyska na statku swojej załogi, sprawiał, że czuł się jak po uderzeniu w brzuch.

Aż w końcu znalazł właściwe słowa. Tęsknota za domem, a *Rosynant*, choć był wspaniały, nie był domem bez Aleksa, Amosa i Naomi. Zaczął się zastanawiać, jak długo by się tak czuł, gdyby już nigdy nie wrócili. Jak długo by na nich czekał, wiedząc, że się nie pojawią. Kelner uśmiechnął się do niego łagodnie.

– Nic – powiedział Holden. – Dzięki.

Wyszedł na główny korytarz, w duchu układając sobie to, co chciał powiedzieć Aleksowi, i jak to zrobić. Wszystko, co powie, zostanie przeanalizowane przez marsjańskie służby łączności, więc nie chciał powiedzieć niczego, co pozostawiałoby pole do interpretacji. Problemem było to, że zawsze dobrze wiedział, co chciał powiedzieć, i nie dostrzegał innych możliwych interpretacji, dopóki nie zostały mu wskazane przez

innych. Może mógłby rzucić po prostu kilkoma żartami i powiedzieć, że jest gotów na ponowne spotkanie ze wszystkimi.

Kiedy jego terminal zabrzączał informacją o połączeniu, przyjął je, odruchowo spodziewając się Aleksa, choć rozmowa była niemożliwa z powodu opóźnienia łączności. Z ekranu krzywiła się do niego Drummer.

– Panie Holden, zastanawiałam się, czy mógłby pan wstąpić do pomocniczego biura ochrony?

– Pewnie tak. – W Holdenie obudziła się nagła czujność. Wciąż podskórnie spodziewał się, że Drummer prowadzi jakąś własną grę. – Czy to coś, o czym powinienem wiedzieć już teraz?

W tle rozbrzmiał ciąg obelg przybierających na sile. Drummer odsunęła się w bok i na ekranie zobaczył Freda.

– Gdybyśmy rozmawiali o tym przez sieć, nie przychodziłby pan tutaj.

– Rozumiem – rzucił Holden. – Już idę.

Kiedy Holden dotarł do biura ochrony, zastał tam Freda chodzącego w kółko z rękami złożonymi za plecami. Kiwnął mu ostro głową na powitanie. Siedząca za swoim biurkiem Drummer była wzorem profesjonalizmu, nie dającym szefowi żadnego powodu do złości. Co było słuszne. Holden nie miał nic przeciwko temu, żeby to na niego krzyczano.

– Co się dzieje?



– Medyna przestała odpowiadać – rzucił Fred. – Miała przesłać raport dziś rano, ale przy tym wszystkim, co się tu działo, nie przejmowałem się zbytnio. Od tego czasu nie wykorzystali już dwóch okien. I... Drummer? Pokaż mu.

Szefowa ochrony wywołała schemat Układu Słonecznego. W wyświetlonej skali nawet Jowisz i Słońce były ledwie trochę jaśniejszymi pikselami. Tysiące kropek obrazowały ruch w Układzie: statki i bazy, satelity, sondy i boje nawigacyjne. Cała ludzkość na jednym schemacie. Jeden ruch i krótka komenda wystarczyły, by większość tego zniknęła. Zostało kilkadziesiąt zielonych kropek ze słowem NIEOKREŚLONY w miejscu, gdzie powinny znajdować się ich kody identyfikacyjne. Czyjeś obliczenia statystyczne prowadzone z małą, ale istotną korelacją.

– Gdy tylko stacja przestała odpowiadać – wyjaśniła Drummer – zobaczyliśmy to. Dwadzieścia pięć nowych strug. Wszystkie mają charakterystyki silników pasujące do marsjańskich okrętów bojowych i wszystkie lecą z dużym ciągiem w stronę Pierścienia.

– Duży ciąg?

– Osiem do dziesięciu g na początku z tendencją spadkową, co oznacza, że lecą na granicy możliwości silników.

Holden zagwizdał. Fred przestał krążyć i przybrał łagodny wyraz twarzy, co na kilometr dało się odczytać jako furia.

– Na Medynie siedzą moi ludzie. Jeśli stacja została przejęta albo jeśli te statki lecą, żeby zrobić tam coś

gwałtownego, będzie to stanowiło poważną przeszkodę do mojego udziału w nowym kierunku, w jakim uda się SPZ.

– Czyli pieprzyć ten szum?

– Tak.

– Do stacji długa droga – zauważył Holden. – Nawet przy takim ciągu trochę będą tam lecieć. Ale nie sądzę, żebyśmy mogli ich wyprzedzić.

– Nawet, gdybyśmy to zrobili, i tak nic by to nie dało. Gdybym zebrał wszystkie statki, jakimi dysponuję, wystarczyłaby jedna marsjańska fregata, żeby je pokieroszować. Tu nawet *Rosynant* miałby problem z uzyskaniem przewagi w walce.

– Nie sposób się nie zastanawiać, gdzie zdobyli marsjańskie okręty wojenne – rzucił Holden.

– Z pewnością zapytam o to Dawesa, gdy tylko powiem mu, co myślę o jego przekazaniu więźnia w dobrej wierze. Ile czasu potrzeba, żeby *Rosynant* był gotów do lotu?

– Jeśli się pośpieszymy, to możemy ukończyć remont w ciągu pięciu najbliższych dni.

– Pani Drummer, proszę skierować wszystkie dostępne zespoły do ukończenia napraw i audytu bezpieczeństwa *Rosynanta*.

– Tak jest, sir – odpowiedziała Drummer i przełączyła ekran na harmonogram prac w kuli konstrukcyjnej.

Fred spuścił wzrok, a po chwili znowu na niego spojrział.

– Przez kilka następnych dni będę zajęty, porządkując Tycho dla Drummer. Chciałbym, żebyś nadzorował ekipy na *Rosie*.

– Nie zamierzałem robić niczego innego.

– W porządku – rzucił Fred. – Dobrze będzie znowu zobaczyć Lunę – dodał po chwili prawie tęsknie.

Holden próbował odczekać z nagrywaniem wiadomości, aż wróci do swojego mieszkania, ale stracił cierpliwość po wejściu do windy. Otworzył wiadomość od Aleksa i ustawił kamerę do nagrania odpowiedzi.

– Cześć, Aleks. Wiesz, zabawne. Wygląda na to, że spotkamy się szybciej, niż sądziliśmy...

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

### Naomi

Wiedziała, że powinna się tego spodziewać. Mroczne myśli nadeszły jak powrót do niezdrowych przyzwyczajeń: w których rynienkach biegły przewody pod napięciem dostatecznym, by zatrzymać pracę serca, które kabiny były dość małe, by je uszczelnić i opróżnić, jak można było oszukać ambulatorium tak, by przedawkowało leki. Oraz śluzy. Zawsze śluzy. Pomysły nie były kompulsjami, jeszcze nie. Po prostu jej mózg zauważał ciekawe dla niej rzeczy. Najgorsze przyjdzie później. Jeśli do tego dopuści.

Zamiast tego odwracała swoją uwagę. Nie wiadomościami, które leciały nieustannie z innych ekranów. One sprawiały tylko, że czuła się bardziej bezradna. Nie rozmowami ze starymi przyjaciółmi. Po nich w najlepszym razie czuła się, jakby kłamała, a w najgorszym – jakby stawała się wcześniejszą wersją siebie samej, dla której myśli depresyjne były dużo bardziej naturalne. Zajęła się pracą. Miała do dyspozycji tylko proste zadania w rodzaju sprawdzania magazynów

i wymiany filtrów powietrza, na dodatek zawsze pod czujnym okiem strażnika. Rozmawiała tylko uprzejmie i o błahostkach, rodzaj powierzchownych rozmów prowadzonych przez wszystkich w załodze. Dawało to reszcie załogi złudzenie, że była jedną z nich w sposób, którego nie zapewniłoby jej ponure przesiadywanie w pryczy. Jeśli w ogóle miała jakąś nadzieję, rodziła się ze znajdowania sposobów na wykorzystywanie swojego dziwnego braku statusu w grupie. I wobec Marco.

Z początku próbowała myśleć o swojej prawdziwej załodze. O Aleksie i Amosie. O Jimie. Jednak nawet jej najlepsze ich wspomnienia przenikały teraz poczucie winy i ból, więc zamiast tego skupiała się na problemach technicznych. W mesie, gdy inni wykrzykiwali radośnie na widok obrazów zniszczenia, spekulowała na temat mocy reaktora, wychodziła od rozmiarów kambuza, a potem zgadywała wymogi systemów recyklingu powietrza i wody, znając zgrubny procent mocy wydatkowany na nie przez *Rosa*. W porze snu leżała niespokojnie na swojej pryczy przeciążeniowej, czując jak stałe przyspieszenie jednej trzeciej g wpycha ją w żel niczym ręką napierającą na pierś. Analizując układ sieci zasilania *Rosa*, próbowała dojść, jak logika jej statku przekładała się na tę jednostkę. Myślała o tym jak o medytacji, ponieważ zbyt niebezpiecznie było przyznać – nawet przed sobą samą – że planuje.

A jednak drobiazgi składały się w coś większego. Skrzynka z narzędziami w warsztacie miała zgięty zatrzask i mając kilka minut, mogłaby ją otworzyć.

Znajdujące się w środku klucze imbusowe otwierały panel dostępowy na ścianie windy między pomieszczeniami załogi a służą, gdzie przechowywano zapasowy zestaw diagnostyczny do sprzętu łączności. Mając kilka minut, zapewne można było nadać wiadomość szerokopasmową. Krótką. Jeśli miałoby coś do powiedzenia i miałoby się ją komu przekazać.

Wymyśliła kilka podobnych scenariuszy. Sposób na dostanie się między kadłuby i przejęcie kontroli nad działkiem obrony punktowej. Metodę ukradnięcia ręcznego terminala w celu zrobienia kopii oprogramowania maszynowni. Jak wymusić otwarcie śluzy przez sfałszowanie kodów awaryjnych z ambulatorium. Większość z nich to były fantazje możliwe do realizacji w teorii, ale w praktyce miałyby z nimi problem. Kilka było nawet dość wiarygodnych, ale wszystkie rozbijały się o jeden, bardzo prosty fakt: pierwsza warstwa ochrony zawsze była fizyczna. Nawet gdyby znalazła sposób przejęcia kontroli nad całym statkiem za pomocą magnesu i kawałka taśmy rzepowej, nie miałyby to znaczenia, bo Cyn, Aaman lub Bastien wpakowaliby jej kulkę w głowę, zanim by to osiągnęła.

Mogła więc nazywać to medytacją i odsuwać od siebie mrok. A czasami – będąc cicho, nie robiąc szumu i uważnie wszystkiego nasłuchując – słyszała rzeczy, których nie powinna była usłyszeć.

Pilnujący jej podczas tej zmiany Karal rozmawiał z kobietą imieniem Sárta, Naomi szorowała wtedy pokład w pobliżu. Prawdę mówiąc, statek był na tyle nowy, że

wcale tego nie potrzebował, ale było to jakieś zajęcie. Skrzydlaty, który pierwszy zauważył ją na Ceres, wyszedł ze swojej kajuty w mundurze marsjańskiej floty. Naomi patrzyła spod włosów, jak mężczyzna zobaczył stojących razem Karala i Sárte. Błysk zazdrości, który przebiegł przez jego twarz, był niezmienny od czasów, gdy ludzie zeszli z drzew.

– Cześć wam – rzucił Skrzydlaty z udawanym marsjańskim akcentem. – Víse mé! Bin Marteño, sa sa? Howdy, howdy, howdy!

Karal się zaśmiał, ale Sárta wyglądała na zniesmaczoną. Skrzydlaty przeszedł przez wąski korytarz przesadzonym krokiem marynarza. Naomi odsunęła się, żeby go przepuścić.

– Nie masz nic lepszego do roboty niż przebieranki? – zapytała Sárta.

– Nie czekaj pod wodą – rzucił Karal. – Słyszałem, że najpierw weźmiemy więźniów. Liano rozmawiał z Ceres. Wiązką kierunkową. Hamechie o więźniach.

– Nie tak to słyszałem – odpowiedział za szybko Skrzydlaty, zwracając się bardziej do Sárty niż Karala. – Ponoć jest tylko jeden, Sakai. I nawet to... – wzruszył rękami.

– Nawet to? – zapytała Sárta i sparodiowała jego gest. Skrzydlaty zaczerwienił się ze złości.

– Wszyscy wiedzą, jak to jest – odparł Skrzydlaty. – Czasem mówią trupowi, że będzie żył. Byłeś tam, Karal. Andrew i Chuchu? To wszystko o tym, jak nadchodzi pomoc, a potem tak mi przykro, taka szkoda?

– Esa zginęli jak żołnierze – odpowiedział Karal, ale przekaz dotarł.

Zobaczyła to w jego rękach i kącikach ust. A potem, jakby zrozumiał swój błąd, obejrzał się na Naomi. Utrzymała pusty i znudzony wyraz twarzy, skupiając uwagę na spoinie na podłodze i cienkiej plastikowej szpatułce, której używała do czyszczenia. Ich słowa nie mogły wypłynąć na wyraz jej twarzy.

Nowy główny inżynier na Tycho nazywał się Sakai i jeśli chodziło o tego samego człowieka, to znaczyło, że należał do Marco. I został złapany, bo inaczej nie nazywaliby go więźniem. Zdmuchnęła włosy z oczu, przesunęła się do kolejnej spoiny i zaczęła od początku.

– Z powrotem do pracy, nie? – rzucił Karal.

Skrzydlaty sapnął szyderczo, ale wrócił do kajuty zrobić to, co mu polecono. Karal i Sárta z powrotem zajęli się flirtowaniem, ale nastrój prysł i wkrótce został sam Karal z Naomi.

Wciskając plastik w wąskie spojenia, wydrapując to, co się tam dostało i robiąc to od nowa przy każdej następnej spoinie, próbowała dopasować nowe informacje do wiedzy o ogólnej sytuacji. Marco liczył na to, że sprowadzi *Rosynanta* na Ceres. Ale Sakai wiedział, że statek wymagał napraw, i musiał przekazać tę informację swoim szefom.

Myślała, że Marco chciał jej statku ze względu na to, kim i czym była ona. I może w części chodziło także o to. A może tak naprawdę chciał wyłącznego dostępu do statku, który byłby zawsze oczekiwany i przyjaźnie



witany na Tycho. Choć nie wiedziała, w jakim celu. Biorąc pod uwagę fakt, jak Marco zagnieźdżał plany w planach, równie dobrze mógł zaplanować kilka różnych zastosowań dla *Rosa* i dla niej. Co więcej, była też kwestia tego, czy Sakai groziło niebezpieczeństwo. Bali się, że Fred go zgładzi? Może. A może chodziło o coś jeszcze.

Tak czy inaczej wiedziała teraz więcej niż wcześniej, co – podobnie jak odgięty zatrząsk na skrzynce z narzędziami – dało jej opcje, jakich nie miała poprzednio. Zastanawiała się, co na jej miejscu zrobiłby Jim, Amos lub Aleks, jak oni przyjęliby tę informację i jak by ją wykorzystali. Właściwie była to kwestia akademicka, bo wiedziała, co zrobiłaby Naomi Nagata, a czegoś takiego nie zrobiłby żaden z nich.

Kiedy wyczyściła pokład, wrzuciła szpatułkę do recyklera, wstała i przeciągnęła się. Od ciężenia ciągu bolały ją kolana i kręgosłup; pomyślała, że dobrze byłoby, gdyby nie śpieszyli się tak do celu, niezależnie od tego, gdzie był. To nie miało znaczenia.

– Idę pod prysznic – powiedziała. – Powiedz mu, że chcę rozmawiać.

– Komu...? – zapytał Karal.

Naomi uniosła brew.

– Powiedz mu, że chce z nim rozmawiać matka jego syna.

\* \* \*

– Wysłałeś go na front? – zapytała Naomi. – Tym właśnie jesteśmy? Dziećmi-żołnierzami?

Uśmiech Marco wyglądał na prawie smutny.

– Uważasz go za dziecko?

Pozostałe maszyny treningowe były puste. Podczas lotu w nieważkości wszyscy spędzaliby całe godziny w żelu oporowym lub przypięci do jednego z mechów, ale w locie z ciągiem załoga miała aż nadto wysiłku od własnej wagi. Jednak Marco był tam w koszulce do ćwiczeń, z taśmami owiniętymi wokół rąk, naciągał stawiające mu opór pasy. Mięśnie na jego plecach napinały się przy każdym pociągnięciu i Naomi była pewna, że jest tego świadom. Znała w życiu wielu silnych ludzi, potrafiła odróżnić mięśnie powstałe na skutek pracy od takich, które były objawem próżności.

– Uważam, że przechwala się, twierdząc, że odpowiada za kamienie zrzucone na Ziemię – odparła. – Jakby to było coś, z czego powinien być dumny.

– Bo jest. To więcej niż ty czy ja moglibyśmy zrobić w jego wieku. Filip jest bystry i jest przywódcą. Daj mu jeszcze dwadzieścia lat, a będzie mógł rządzić Układem Słonecznym. Może czymś więcej.

Naomi podeszła i wyłączyła urządzenie do ćwiczeń. Szerokie taśmy w dłoniach Marco obwisły bezwładnie z ledwie słyszczanym sykiem.

– Nie skończyłem – rzucił.

– Powiedz mi, że to nie dlatego mnie tu sprowadziłeś – zażądała. – Powiedz mi, że nie porwałeś mnie po to, żeby pokazać, jakim byłeś dobrym ojcem i jak dobrze wychowałeś naszego syna. Bo tak naprawdę go zdradziłeś.

Śmiech Marco był cichy, ciepły i trwał długo. Zaczął się wyplątywać z taśm. W tej chwili bardzo łatwo byłoby go skrzywdzić, więc była pewna, że ma jakiś ukryty sposób na obronę. A nawet jeśli nie, to obroną mogło być wrażenie, że coś takiego ma. Nie przyszła tu, żeby go zabić, tylko wyciągnąć z niego jakieś informacje.

– Tak myślisz? – zapytał.

– Nie – odparła. – Myślę, że zrobiłeś to, żeby się popisać. Odeszłam od ciebie, a ty jesteś takim małym chłopczykiem, że wciąż nie potrafisz tego znieść. Kiedy więc nadeszła twoja wielka chwila, musiałeś mnie tu ściągnąć, żebym to zobaczyła.

I było to prawdą, nawet jeśli nie całą. Widziała zadowolenie wypływające ze świadomości, że ma nad nią władzę. Częścią tej gry był nawet jej dziwny, częściowy status wśród załogi. Zamknięcie jej w klatce byłoby otwartym przyznaniem się do porażki, więc chciał, by widziała, że jest bezradna, żeby sama sobie wzniosła mury. Był taki czas, że to by się udało, choć mogła się założyć, że nie wiedział, że te czasy już minęły.

Stawiała na to, że te czasy już minęły. Kiedy pokręcił głową i zmrużył oczy i tak poczuła w gardle ucisk upokorzenia, znajomy jak stary nawyk. Czyli być może prawda była trochę bardziej skomplikowana.

– Sprowadziłem cię do domu zwycięskiej strony, ponieważ jesteś matką mojego syna i zawsze nią będziesz. Wszystko ponadto jest szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Fakt, że mamy szansę na zamknięcie dzielących nas...

– Bzdura. Zamknięcie? Przegrałeś. Sprawa zamknięta. Mówisz, że tak nie jest tylko dlatego, że jeszcze nie wygrałeś. Odeszłam. Poświęciłam wszystko, ponieważ nieposiadanie niczego z dala od ciebie było lepsze od posiadania wszystkiego jako twoja marionetka.

Uniósł ręce dłońmi na zewnątrz w udawanym geście pokoju. Nie zadziało. Jeszcze nie.

– Rozumiem, że ty zrobiłabyś to wszystko inaczej. Nie winię cię za to. Nie wszyscy mają siłę, by być żołnierzami. Sądziłem, że ty ją masz, myślałem, że mogę na tobie polegać. A kiedy ciężar cię przygniótł, owszem, zabrałem naszego syna w miejsce, o którym wiedziałem, że będzie w nim bezpieczny. Obwiniasz mnie o zabranie ci syna, ale ty zrobiłabyś dokładnie to samo, gdybyś tylko mogła.

– Zrobiłabym – przyznała. – Zabrałabym go ze sobą i nigdy więcej nie zobaczyłbyś żadnego z nas.

– W takim razie czym się różnimy? – Na jego skórze zbierały się krople potu.

Wziął ręcznik ze stojaka, wytarł twarz i ramiona. Intelktualnie wiedziała, że jest piękny, tak jak piękne mogły być lśniące skrzydła padlinożernej muchy. Poczowała obrzydzenie do siebie za to, że dopuściła, by ten mężczyzna stał się tym, czym dla niej był i wiedziała, że po części tego właśnie chciał. W głębi jej myśli obudziły się mroczne myśli. Nie miały znaczenia, przyszła tu, by rozwiązać układankę.

Odłożył ręcznik.

– Naomi...

– Chodzi o Holdena, prawda? Ściągnąłeś mnie tu jako... co? Polisę ubezpieczeniową?

– Nie boję się twojego ziemskiego ruchasia – rzucił Marco, a Naomi usłyszała szorstkość w jego głosie niczym u zwierzęcia wyczuwającego odległy ogień.

– Chyba się boisz – rzuciła. – Myślę, że chciałeś zdjąć go z planszy, zanim zacząłeś to wszystko, a ja miałam go zaprowadzić w pułapkę. Bo nie potrafiłeś sobie wyobrazić, że przylecę sama. Że nie zabiorę ze sobą mężczyzny, który będzie za mnie silny.

Marco zaśmiał się, ale usłyszała w tym nerwowość. Przeszedł przez matę do ćwiczeń, podnosząc ciemny szlafrok. Założył go.

– Próbujesz się do czegoś nakręcić słowami, Kostki.

– Wiesz, dlaczego z nim jestem?

Gdyby Marco był mądry, nie złapałby przynęty. Odszedłby, zostawiając ją samą wśród maszyn. Choć jeśli zdołała go rozzłościć, choćby tylko odrobinę...

– Zakładam, że masz fetysz na punkcie potężnych mężczyzn – odpowiedział.

– Bo on jest tym, kogo ty udajesz.

Zobaczyła, że trafiła. Nie potrafiłaby nawet powiedzieć, co takiego zmieniło się w nim, ale Marco, którego widziała, od kiedy ją tu sprowadzono – gładki, światowy i pewny siebie przywódca największego przewrotu w ludzkiej historii – zniknął, odrzucony jak maska. W jego miejscu stał pełny furii chłopak, który kiedyś ją prawie zniszczył. Jego śmiech nie był niski, ciepły ani płynny.

– Tylko poczekaj trochę, a zobaczymy, co mu to da. Wielki pan Holden uważa się za niezniszczalnego, ale każdy krwawi.

Jest. To była jakaś informacja. To działało. Choć mogła to być tylko figura retoryczna w ramach kłótni albo pusta groźba. Albo mógł jej właśnie powiedzieć, że jego plany wciąż obejmowały *Rosynanta*.

– Niczego mu nie zdołasz zrobić – powiedziała.

– Nie? – rzucił Marco, szczerząc zęby jak szympans. – No cóż, może ty zrobisz.

Odwrócił się gwałtownie i wyszedł z sali. Zostawił ją samą tak, jak powinien był to zrobić kilka minut wcześniej. Albo piętnaście lat temu.

\* \* \*

– Skończyłaś? – zapytał Cyn, wskazując na niedojedzony brykiet z soczewicy i ryżu na jej talerzu.

Na ekranie w mesie marsjański generał walił pięścią w stół, czerwony z emocji, które dziwnie przypominały strach. Opisywał tchórzostwo osoby lub osób, które popełniły tę zbrodnię wobec nie tylko Ziemi, ale całej ludzkości. Mniej więcej co trzecie zdanie ktoś na jednym z końców stołu powtarzał słowa generała wysokim, skrzekliwym głosem, jak z dziecięcej kreskówki.

Oderwała kolejny kawałek brykietu i włożyła sobie do ust.

– Prawie – odpowiedziała z pełnymi ustami.

Odłożyła talerz z resztą brykietu do recyklera i ruszyła w stronę windy. Cyn podążył za nią. Była tak pogrążona

we własnych myślach, że prawie go nie zauważała, dopóki się nie odezwał.

– Słyszałem, że kłóciłaś się z el jefe – powiedział. – Etwas á Filipito?

Naomi wydała niezobowiązujący dźwięk z głębi gardła.

Cyn podrapał się po bliźnie za lewym uchem.

– Es un bon coyo, twój syn. Wiem, że to nic, co ty byś wybrała, ale... Filipito, on też słyszał. Źle to zniósł.

Winda się zatrzymała, więc wysiadła, a Cyn tuż za nią.

– Źle to zniósł?

– Nie wtrącam się – powiedział Cyn. – Tylko wiem. Mężczyzna, nasz Filipito, ale nie aż tyle, żeby nie chciał twojego zdania, nie? Jesteś jego matką.

Najgorsze było to, że rozumiała. Tylko kiwnęła głową.

Na pryczy, z palcami splecionymi za głową, wbiła wzrok w czerń sufitu. Ekran interfejsu z boku nie działał. Nie brakowało jej go. Powoli składała strzępki wiedzy.

Marco próbował zabić przywódców Ziemi, Marsa i SPZ, ale udało mu się zabić tylko sekretarza generalnego ONZ. Próbował zdobyć *Rosynanta*, jeszcze zanim doszło do tych zamachów. Wywołał na Ziemi najgorszą katastrofę od czasu zagłady dinozaurów. Miał marsjańskie okręty i broń, ale nie wykazywał żadnych oznak współpracy z marsjańskim rządem lub flotą. To wszystko już wiedziała, to nie było nic nowego. To co było nowe?

Trzy informacje, i może nic więcej. Po pierwsze, Skrzydlaty sądził, że próba odzyskania Sakai mogła być

bardziej pomyślana jako sposób na uspokojenie więźnia niż faktyczne odzyskanie go. Po drugie, Marco zasugerował, że Holdenowi wciąż grozi niebezpieczeństwo, a po trzecie, że to ona może mu zaszkodzić.

A pod tym wszystkim kryła się jej pewność, że do czasu, aż Marco wygłosi swoje przemówienie, ustawi się w centrum uwagi całej ludzkości, atak nie został przeprowadzony do końca. A jeśli Sakai sądził, że pozostanie więźniem, to wszystko mogło się nie udać. Co było ciekawe. Co Sakai mógł wiedzieć takiego...

Och.

Fred Johnson żył, a stacja Tycho nie znajdowała się w rękach Marco. Holdenowi groziło niebezpieczeństwo. To ona go skrzywdzi.

A to znaczyło, że *Ros*, podobnie jak wcześniej Augustín *Gamarra*, został skonfigurowany na awarię pola magnetycznego reaktora. Prawdopodobnie w doku. Fred Johnson, James Holden i zupełnym przypadkiem również główny inżynier Sakai oraz wszyscy przebywający na stacji – wszyscy zginą w kuli ognia, gdy tylko program napisany przez nią w innym życiu uzna, że przyszła na to pora.

To znów się działo i nie miała żadnego sposobu, żeby to powstrzymać.



## Rozdział trzydziesty

### Amos

Szli pieszo. Chmury nie były prawdziwymi chmurami, a spadający na nich deszcz składał się nie tylko z wody, lecz także z pyłu i sadzy. Wszędzie rozchodził się smród poruszonej ziemi i zgnilizny, ale chłód tłumiał go na tyle, że głównie czuli zimno. Sądząc po sposobie, w jaki wszystkie drzewa zostały powalone w tym samym kierunku – gałęzie skierowane z grubsza na północny wschód, korzenie na południowy zachód – miał nadzieję, że idą w stronę mniej zniszczonych terenów. Przynajmniej do czasu, aż dotrą w pobliże wybrzeża i terenów powodzi.

Uznał, że w Baltimore najmniejsze problemy mieli mieszkańcy arkologii pośrodku miasta. Zaprojektowano ją do pomieszczenia całego ekosystemu wewnątrz potężnych ścian ze stali i ceramiki. Fakt, że to się nie udało, nie liczył się tak bardzo jak to, że budynek był bardzo wysoki i wytrzymały. Nawet jeśli dolne piętra zostały zalane, na górnych będzie dość ludzi, którzy mogli

przetrwać najgorsze. Jeśli Baltimore stało się morzem, arkologia została wyspą.

Na dodatek arkologia była gównianą okolicą i przynajmniej część należała do Ericha i jego zbirów. A tak długo, jak reszta nie była kontrolowana przez jednego z większych graczy – Loca Griega albo Złotą Gałąź – prawdopodobnie mogli zająć całość jedną zdecydowaną akcją. A nawet gdyby Erich tego nie zrobił, byłby tam ktoś, z kim można by negocjować. Po prostu wolałby, żeby nie była to Złota Gałąź. Na podstawie wcześniejszych doświadczeń uważał ich za pieprzonych dupków.

Jednak na razie mieli dużo bardziej prozaiczne problemy. Dotarcie tam było celem, a jeśli wykonanie polegało na stawianiu jednej nogi przed drugą od Dołu w Bethlehem do arkologii w Baltimore, w planie wyraźnie widać było dziury. Rozszerzony dystrykt stawiał między nim a miejscem docelowym jakieś trzy miliony ludzi, i to tylko, jeśli będą szli najprostszą drogą. Gęsto zaludnione ośrodki mieszkalne nie wydawały się dobrym pomysłem. Miał nadzieję, że uda im się zostać trochę na zachód i obejść większe miasta. Był prawie pewien, że jest tam strefa parku narodowego, wzdłuż której mogli wędrować. Choć nie miał wielkiego doświadczenia w poruszaniu się po niezamieszkałych terenach na Ziemi. Ale i tak musiał wybrać tę drogę. I pewnie by sobie poradził, gdyby szedł sam.

– Jak się trzymamy, Złotko?

Clarissa kiwnęła głową. Jej szpitalna więzienna koszula była ubłocona od ramion do obrąbka, a włosy zwisały jej w długich strąkach. Była cholernie chuda i blada. Wyglądała jak duch.

– W porządku – odpowiedziała.

Co było bzdurą, ale co miał z tym zrobić? W ogóle nie powinien był pytać.

Tak więc szli, próbowali oszczędzać energię i szukali miejsc, w których mogła być świeża woda. Wzdłuż drogi wzniesiono kilka punktów pomocy, mężczyźni i kobiety z opaskami medycznymi posiadali generatory zasilające światła. Nawet w południe panował w najlepszym razie półmrok. Chmury zatrzymywały część ciepła, które inaczej zostałoby wypromieniowane w przestrzeń, ale też blokowały słońce. Wydawało się, że jest wczesna zima, choć powinny panować prawie letnie upały. Co jakiś czas napotykali nowe ruiny: wypatroszone budynki ze ścianami zerwanymi ze stalowych i ceramicznych rusztowań, szybkobieżny pociąg wywrócony na bok jak gąsienica. Ciała leżące przy drodze wyglądały, jakby były ofiarami pierwotnego uderzenia.

Większość spotykanych na drogach wstrząśniętych uciekinierów o martwym spojrzeniu zdawała się kierować do punktów pomocy, ale Amos starał się ich unikać. Po pierwsze, Złotko nie powinna pokazywać się przestrzegającym prawa obywatelom Ziemi, a Amos wcale nie miał ochoty prowadzić długich rozmów na temat dalszego obowiązywania prawa po apokalipsie. Zresztą i tak nie mogli tam dostać tak naprawdę

potrzebnych im rzeczy. Więc miał oczy szeroko otwarte i kierował się na północny zachód.

Minęły trzy dni, zanim znalazł to, czego szukał.

\* \* \*

Namiot ustawiono jakieś siedem metrów od drogi. Właściwie nie był to prawdziwy namiot, a płachta brezentu zawieszona na linie między słupem energetycznym a niewielkim drzewkiem. Przed namiotem płonęło ognisko, nad którym pochylał się mężczyzna, wrzucając w dymiące płomienie gałązki i patyki. Obok słupa energetycznego stał motocykl elektryczny z czarnym ekranem, co świadczyło o oszczędzaniu energii lub całkowitym jej zużyciu. Amos podszedł, uważając, by jego ręce cały czas były widoczne, i zatrzymał się jakieś cztery metry od mężczyzny. Złotko zatrzymała się chwiejnie przy jego boku. Stwierdził, że każdy, kto jej nie znał i nie wiedział, kim jest, uzna, że dziewczyna nie wygląda groźnie.

– Cześć – rzucił Amos.

Mężczyzna kiwnął głową po dłuższej chwili.

– Cześć.

– W którą stronę się kierujesz? – zapytał Amos.

– Na zachód – odparł mężczyzna. – Wszystko na wschód stąd aż do wybrzeża jest rozpieprzone. Może na południe też. Zobaczę, czy znajdę jakieś ciepłe miejsce.

– Tak, wszędzie wygląda gównianie – zgodził się Amos, jakby stali przy kiosku z kawą i rozmawiali o pogodzie. – My idziemy na północny wschód. Okolice Baltimore.

– Chyba to, co z niego zostało – odpowiedział tamten. – Bez urazy, ale moim zdaniem twój plan jest do niczego.

– Nic nie szkodzi. To samo uważam na temat twojego.

Mężczyzna uśmiechnął się i nie sięgnął po broń. Jeśli ją miał. Wśród przestrzegających prawa mieszkańców Ziemi nie było tyle broni, co w Pasie. A skoro facet był gotów znosić rozmowę tak długo bez eskalowania lub gwałtownych ruchów, prawdopodobnie nie był drapieżnikiem. Po prostu kolejny księgowy czy technik medyczny wciąż na drodze do odkrycia, jak niewiele jest teraz wart jego dyplom.

– Zaoferowałbym podzielenie się – stwierdził Amos – ale niczego nie mamy.

– Pomógłbym, ale w tym namiocie zmieści się tylko jeden człowiek.

– Mała jestem – zażartowała Złotko, choć tylko częściowo.

Biorąc pod uwagę, jak była chuda, musiała dużo dotkliwiej odczuwać zimno, a Amos musiał przyznać, że robi się cholernie mroźno.

– Drobną radą. Zanim pójdziecie dalej na wschód, sugeruję przejść najpierw kilka kilometrów na północ.

– Dlaczego? – zapytał Amos.

– Kurewska milicja. Znaki NIE WCHODZIĆ i tym podobne. Strzelili w moją stronę, gdy podszedłem zapytać o wodę. Pewnie jakiś rodzaj dupka, który szcza z radości, że świat poszedł w diabły, więc będzie mógł się pobawić zabunkrowaną bronią.

Amos poczuł, jak coś w jego piersiach się rozluźnia i rozgrzewa i pomyślał, że to może być ulga.

– Dobrze wiedzieć. No to trzymaj się.

– Pokój z tobą.

– I z tobą – odpowiedziała Złotko.

Amos kiwnął głową i ruszył na północ. Jakieś pół kilometra dalej zatrzymał się, przykucnął przy drzewie i zaczął obserwować drogę, którą właśnie przebyli. Złotko skuliła się przy nim, dygocząc.

– Co robimy?

– Sprawdzamy, czy pójdzie za nami – wyjaśnił Amos. – Wiesz. Na wypadek.

– Myślisz, że to zrobi?

– Nie wiem. – Amos wzruszył ramionami. – Cywilizacja sprawia, że ludzie zachowują się w cywilizowany sposób. Jeśli jej nie ma, nie można liczyć na to drugie.

Uśmiechnęła się. Naprawdę nie wyglądała za dobrze. Przemknęło mu przez myśl, co zrobi, jeśli umrze. Pewnie coś wymyśli.

– Mówisz, jakbyś robił już takie rzeczy – zauważyła.

– Cholera, dorastałem w ten sposób. Wszyscy ci ludzie próbują teraz nadrobić braki. Wiesz, jesteśmy ludźmi, żyjemy w plemionach. Im bardziej jesteśmy osiadli, tym większe twoje plemię. Wszyscy ludzie z twojego gangu, wszyscy z twojego kraju. Wszyscy z twojej planety. A potem przychodzi młyn i plemię znowu robi się małe.

Machnął ręką na ciemnoszary krajobraz. W tej okolicy drzewa nie były już poprzewracane, ale krzaki i zielsko

zaczynały wymierać z powodu ciemna i zimna.

– W tej chwili – powiedział – nasze plemię składa się z nas dwojga.

Zadrżała na tę myśl albo po prostu jeszcze mocniej odczuła zimno. Wstał, wpatrując się w drogę. Facet od namiotu nie zbliżał się. Co było dobre.

– W porządku, Złotko. Chodźmy. Na trochę będziemy musieli zejść z drogi.

Wyraźnie zmieszana spojrzała na północ, wzdłuż drogi.

– Gdzie idziemy?

– Na wschód.

– Czyli tam, gdzie nie powinniśmy iść z powodu ześwirowanego dupka strzelającego do ludzi?

– Właśnie.

\* \* \*

Tydzień temu miasto było całkiem spore. Tanie małe domki przy wąskich ulicach, panele słoneczne na wszystkich dachach, zbierające światło słońca w czasach, gdy jeszcze było. Miejscami wciąż jeszcze byli tam ludzie. Może w jednym domu na pięć lub sześć, gdzie mieszkańcy wciąż czekali na dotarcie pomocy, tak głęboko nieprzyjmujący do wiadomości rozmiaru katastrofy, że wciąż liczyli na jej przybycie. Albo po prostu uznali, że wolą umrzeć w domu. Biorąc pod uwagę sytuację, była to decyzja równie racjonalna, jak wszystkie inne.

Szli po chodnikach, choć samochodów nie było wiele. Kilka przecznic przed nimi przejechał radiowóz. Obok przeturlał się statecznie sedan ze starszą kobietą skuloną na przednim siedzeniu, starannie ich ignorując. Po wyczerpaniu baterii nie było prądu w sieci, żeby je naładować, więc wszystkie jazdy były krótkie albo tylko w jedną stronę. Na ścianie jednego z domów namalowano napis: WSZYSTKO W TYM DOMU STANOWI WŁASNOŚĆ RODZINY TRAVISÓW. ZŁODZIEJE ZOSTANĄ ODSZUKANI I ZABICI. Śmiał się z tego jeszcze kilka przecznic dalej. Supermarket w centrum miasteczka był ciemny i ograbiony do gołych półek. Czyli ktoś w tym miejscu zrozumiał powagę sytuacji.

Dom znajdował się na wschodnim skraju miasta. Martwił się, że mogą go ominąć, nie zauważając, ale stał blisko drogi, a oznakowanie było jasne. TEREN PRYWATNY. NIE WCHODZIĆ. UZBROJONA OCHRONA. Jego faworytem stało się hasło NIE UDZIELAMY POMOCY.

Szerokie, płaskie podwórko prowadziło do modułowego domu. Pojazd zaparkowany przed wejściem wyglądał jak coś wyprodukowanego na wzór sprzętu wojskowego. Amos mieszkał w pojazdach zaprojektowanych dla prawdziwego wojska na tyle długo, by rozpoznać różnicę.

Zostawił Złotko na skraju posiadłości, a potem obszedł ją całą dookoła, przyglądając się jej dokładnie. Płot obłożono ze wszystkich stron drutem kolczastym, ale ogrodzenie nie było podłączone do prądu. Obstawiał pół na pół, że na strychu urządzono gniazdo snajpera, ale



mógł tam też urzędować zwykły ptak. Łatwo było zapomnieć, że nawet przy olbrzymim obciążeniu ludzkością, na Ziemi wciąż żyły dzikie stworzenia. Sam dom prawdopodobnie wzniesiono z prefabrykatów lub wydrukowano na miejscu, trudno było to stwierdzić. Zobaczył też wystające z ziemi trzy rury, które mogły służyć do wentylacji. W korze drzew na skraju posiadłości zauważył dziury po kulach, a w jednym miejscu coś, co mogło być krwią na liściach umierających krzewów.

Tu właśnie chciał trafić.

Stanął na brzegu posiadłości, złożył dłonie wokół ust i zawołał.

– Hej! Tam w domu! Jesteś tam?

Czekał długą minutę, wypatrując wszelkich oznak ruchu. Coś za zasłonami we frontowym oknie. Nic w gnieździe snajpera. Czyli może jednak to były tylko wróble.

– Hej! Tam w domu! Nazywam się Amos Burton i chcę handlować!

– To teren prywatny! – Usłyszał męski głos, wysoki i gniewny.

– Dlatego stoję tutaj i zdzieram sobie gardło, zamiast użyć pieprzonego dzwonka. Słyszałem, że przygotowałeś się na to łajno, a mnie złapało ze spuszczoneymi gaciami. Chciałbym kupić broń.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Miał nadzieję, że drań go nie zastrzeli, choć nie było pewności. Życie to ryzyko.

– Co oferujesz?

– Recykler wody – odkrzyknął Amos. – Mam go z tyłu na furze.

– Mam jeden.

– Może się przydać drugi. Nie sędzę, żeby szybko wypuścili kolejne. – Czekał, odliczając cicho do dziesięciu.

– Podejdę do domu, żebyśmy mogli porozmawiać.

– To teren prywatny! Nie przekraczaj linii!

Amos otworzył bramę, uśmiechając się w najszerszy możliwy sposób.

– Wszystko w porządku! Gdybym był uzbrojony, nie próbowałbym kupić broni, prawda? Proszę do mnie nie strzelać, chcę tylko porozmawiać.

Przekroczył wykreśloną na ziemi linię, zostawiając za sobą otwartą bramę. Dłonie trzymał w powietrzu z rozsuniętymi palcami. Widział, jak jego oddech zamarza w powietrzu. Zrobiło się naprawdę zimno. I nieprędko robi się cieplej. Zaczął się zastanawiać, czy nie powinien był powiedzieć, że ma grzejnik.

Otworzyły się frontowe drzwi i stanął w nich mężczyzna. Był wysoki i chudy, z głupią, okrutną twarzą i karabinem szturmowym o długiej lufie, którą wycelował w środek piersi Amosa. W ramach przepisów ONZ dotyczących broni musiała być nielegalna jak cholera.

– Cześć – powiedział, machając ręką. – Jestem Amos.

– Mówiłeś.

– Nie usłyszałem twojego imienia.

– Nie podałem go.

Mężczyzna przeszedł i zajął miejsce za udawanym pojazdem wojskowym.

– Ładny karabin – rzucił Amos, ciągle trzymając ręce w górze.

– I dobrze strzela – odpowiedział mężczyzna. – Rozbieraj się.

– Słucham?

– Słyszałeś. Chcesz ze mną handlować, to udowodnij, że nie ukrywasz żadnej broni. Rozbieraj się!

Tego nie przewidział, ale co mu tam. Nie byłby to pierwszy facet, który podniecał się poczuciem władzy. Amos zdjął koszulę, a potem buty, po jednym na raz, a w końcu rozpiął spodnie i je spuścił. Zimne powietrze szczypało w skórę.

– Dobra! – rzucił Amos. – O ile nie trzymam pistoletu w tyłku, to chyba możemy się zgodzić, że niczego nie noszę, co?

– Zgoda – odpowiedział tamten.

– Słuchaj, jeśli wciąż się o to niepokoisz, to możesz zawołać kogoś z domu, żeby przyszedł i sprawdził moje ubranie. Będziesz we mnie celował i dopilnujesz, żebym niczego nie próbował.

– Nie mów mi, co mam robić.

To był dobry znak. Było coraz bardziej prawdopodobne, że facet jest tu sam. Zerknął na strych. Jeśli był tu ktoś jeszcze, to byłoby logiczne miejsce na umieszczenie go. Jak odpowiedź na jego pytanie na strychu załopotwały drobne, szarobrązowe skrzydła.

– Gdzie ten recykler?

– Jakieś cztery kilometry dalej przy drodze – odpowiedział Amos, wskazując kciukiem. – Mogę go tu bez problemu sprowadzić w godzinę.

– Nie trzeba – rzucił mężczyzna, unosząc karabin do ramienia i celując w Amosa. Lufa wydawała się wielka niczym jaskinia. – Sam mogę go ściągnąć.

Zanim zdążył pociągnąć za spust, coś przemknęło przez plac jak podmuch wiatru. Tylko że ten wiatr miał kły. Mężczyzna zatoczył się do tyłu, a potem krzyknął z zaskoczenia i bólu. Chemiczne blokady, które podawano Złotku, wyczerpały się w ciągu dnia od czasu opuszczenia Dołu, a bez nich dziewczyna poruszała się tak szybko, że Amos nie nadążał za nią spojrzeniem. Wrażenie było takie, jakby nagle zmieniła się w gniewnego kolibra. Mężczyzna padł na kolana, puszczając karabin szturmowy, ze złamanym i krwawiącym palcem. Gdy zwijał się wokół uszkodzonej dłoni, karabin zaszczekał, otwierając dziury w jednym z jego boków.

A potem Złotko znieruchomiała, koszula więzienna łopotała wokół niej na wietrze, była opryskana krwią na całym ciele, karabin trzymała w jednej ręce. Powoli opadła na ziemię. Do czasu, gdy Amos zdołał podciągnąć spodnie i podbiec do niej, wywróciła oczami i zwymiotowała. Okrył ją swoją koszulą i poczekał, aż atak minie. Nie trwało to dłużej niż pięć minut, a ponieważ w tym czasie nikt nie wyszedł z domu zbadać hałasy lub się zemścić, Amos był prawie pewien, że zabity mężczyzna był kawalerem.

Zadygotała jeszcze raz, znieruchomiała, a potem popatrzyła na niego normalniejszym wzrokiem.

– Hej – wychrypiała. – Wygraliśmy?

– Pierwszą rundę – potwierdził Amos, kiwając głową. – Zawsze tak to wygląda?

– Owszem – potwierdziła. – To naprawdę nie jest dobry projekt.

– Choć przydaje się, gdy się przydaje.

– To fakt. Wszystko z tobą w porządku?

– Trochę zmarzłem – odparł Amos. – Ale nie umrę od tego. Zostań tu na chwilę, dobrze? Pójdę się rozejrzeć w środku.

– Pójdę z tobą – odpowiedziała, próbując usiąść.

Położył jej dłoń na ramieniu. Nie musiał naciskać, żeby ją zatrzymać.

– Pójdę pierwszy. Zdziwiłbym się, gdyby nie było tam żadnych pułapek.

– Dobrze – zgodziła się cicho. – W takim razie zaczekam tutaj.

– Dobry plan.

\* \* \*

Następnego dnia opuścili budynek o świcie. Oboje mieli na sobie dobrej klasy odzież termiczną, choć jego była trochę za ciasna, a ona musiała podwijać rękawy. Bunkier pod domem zawierał dość zapasów do przeżycia roku lub dwóch: sprzęt kempingowy, broń, amunicję, wysokokaloryczną żywność, zestaw zdumiewająco nudnej pornografii i kolekcję pięknych, ręcznie

rzeźbionych szachów. Jednak najlepszego odkrycia nie dokonali w bunkrze. W garażu stało sześć nieużywanych, ale dobrze zakonserwowanych rowerów, włącznie z torbami na bagażnik. Nawet z długimi karabinami przewieszonymi przez ramiona i torbami obładowanymi wodą i jedzeniem w pół godziny pokonali trasę z domu przez miasto. Do południa przebyli dystans większy niż przez trzy dni przebyli na piechotę. Z Dołu do biura Ericha było zapewne około siedmiuset kilometrów, a na piechotę pokonali zaledwie niecałe trzydzieści. Dzięki rowerom podwoili ten dystans z okładem. Przy założeniu, że nic nie wejdzie im w drogę, mogli dotrzeć na miejsce w dziewięć dni. Choć biorąc pod uwagę okoliczności, wydawało się to mało prawdopodobne. A jednak.

W południe zatrzymali się na posiłek. Było na tyle ciemno, że równie dobrze mogłoby być tuż przed świtem. Jego oddech tworzył białe pióropusze, ale dzięki wysiłkowi i ubraniu termicznemu Amos nie czuł zimna. Złotko też wyglądała jakieś tysiąc razy lepiej. Uśmiechała się, a jej policzki się zaróżowiły. Siedzieli na starej ławce przy drodze, patrząc na wschód. Widok obejmował błoto i porozrzucane śmieci.

A na horyzoncie blask czegoś wielkiego – miasta lub pożaru – rozświetlał chmury od dołu, złoto na szarości. Czyli może nawet koniec świata miał piękne chwile.

Złotko ugryzła kęs batonu i napiła się wody z filtrującej manierki.

– Czy to cię męczy?

– Co?

– To, co zrobiliśmy.

– Nie jestem pewien, co masz na myśli, Złotko.

Popatrzyła na niego, mrużąc oczy, jakby próbowała zdecydować, czy żartuje.

– Wdarliśmy się do czyjegoś domu, zabiliśmy gospodarza i zabraliśmy jego rzeczy. Gdybyśmy się tam nie zjawili, może by przetrwał. Dożył do powrotu słońca. Przeżył.

– Zamierzał mnie zastrzelić tylko dlatego, że miałem coś, czego chciał.

– Nie zrobiłby tego, gdybyśmy tam nie poszli. I okłamaliśmy go, mówiąc, że chcemy handlować.

– Mam wrażenie, że chcesz coś powiedzieć, Złotko.

– Gdyby nie był gotów pociągnąć za spust, odpuściłbyś mu? Czy i tak byłibyśmy tutaj, z tą bronią i jedzeniem?

– Och, zdecydowanie zabralibyśmy jego rzeczy. Po prostu zwracam uwagę, że obie strony tego sporu miały taki sam plan.

– W takim razie trudno nas nazwać dobrymi ludźmi, prawda?

Amos zmarszczył brwi. Nie było to pytanie, które do tej pory przeszło mu przez głowę. I zmartwiło go, że nie zmartwiło go to bardziej. Podrapał się po piersi i spróbował wyobrazić sobie Holdena robiącego to, co oni. Albo Naomi. Albo Lydię.

– Owszem – powiedział. – Naprawdę powinienem szybko wracać na statek.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

### Aleks

– Masz dobry nastrój – rzuciła Bobbie, gdy Aleks usiadł naprzeciw niej.

Jej śniadanie składało się z owsianki z kawałkami białka udającymi jajka, kiełbaski i ostrego sosu. Włosy, ściągnięte w ciasny ogon, miała mokre od potu, a policzki zaczerwienione od niedawnego wysiłku. Samo patrzenie na nią sprawiało, że czuł się nie w formie. Ale miała rację. Miał dobry nastrój.

– Kapitan sprowadza moją zabawkę na Lunę.

Bobbie zmarszczyła czoło.

– Twoją... zabawkę?

– *Rosa.*

– Och! Ach... – rzuciła. – Przez chwilę myślałam... jasne. Dobrze będzie też spotkać Holdena. I Avasaralę.

– Dobrze będzie siedzieć na moim własnym cholernym statku – stwierdził Aleks, sypiąc pieprz na talerz odtworzonych jajek. – Gdybym jeszcze mógł odzyskać Amosa i Naomi. Hej. Coś powiedziałem?



Cień, który przemknął przez twarz Bobbie, szybko zniknął i pokręciła głową.

– Nic takiego. Po prostu... sama nie wiem. To chyba zazdrość. Minęło trochę czasu, od kiedy miałam swoją grupę.

Dźgnęła widelcem jedną z kiełbasek i jedząc ją, rozglądała się po miesie. Przyniesione przez Aleksa jajka miały suchą teksturę i smakowały bardziej drożdżami niż czymś, co wyszło z kury, co przywołało dziesięciolecia wspomnień.

– Obracanie się w towarzystwie ludzi w aktywnej służbie trochę utrudnia cieszenie się życiem w cywilu?

– Mniej więcej.

– Wszystko się zmienia – skomentował Aleks.

– I nie wraca do początku – odparła, cytując mu jego własne słowa.

Aleks oderwał kawałek tosta, włożył sobie do ust i odezwał się z pełnymi ustami.

– Wciąż mówimy o wojsku?

– Nie, chyba nie. – Bobbie się uśmiechnęła. – Wciąż nie mogę tego pojąć. Ziemia już nigdy nie będzie Ziemią. Nie taką, jak była.

– Owszem, nie będzie.

– Mars też nie – dodała Bobbie. – Myślę o moim bratanku. To bystry dzieciak. Taki książkowo mądry. Tak naprawdę jeszcze nie widział świata poza uniwersytetem i projektem terraformacyjnym. To całe jego życie. Był jedną z pierwszych poznanych przeze mnie osób, które

naprawdę zrozumiały, co kolonie na innych planetach znaczą dla wszystkich na Marsie.

– No tak. To wszystko zmienia – potwierdził Aleks.

– Poza tym, jak sobie z tym radzimy – odpowiedziała, a potem przeładowała wyobrażoną strzelbę i wystrzeliła z niej pykając.

– Zdumiewające, ile zdołaliśmy zrobić, jeśli weźmie się pod uwagę, że robimy to wszystko z nieco rozwiniętymi naczelnymi i zachowaniami ewolucyjnymi wprost z plejstocenu.

Bobbie się roześmiała i miło było usłyszeć ten dźwięk. W poprawianiu nastroju otaczających go ludzi było coś takiego, od czego jemu też robiło się lżej na duszy. Jakby poprawienie nastroju załogi oznaczało, że jakkolwiek wyglądała ich sytuacja, nie mogło być aż tak źle. Rozumiał błąd logiczny w swoim rozumowaniu: jeśli poprawianie ich nastroju poprawiało go i jemu, może poprawianie nastroju jemu dobrze działało i na nich, a w takiej wzajemnej adoracji mogli wpakować statek w jakąś skałę.

– Słyszałem, że doganiają nas statki ze wsparciem – powiedział Aleks.

– Tak, choć może to wcale nie być tak dobre, jak myśleliśmy – odpowiedziała Bobbie z ustami pełnymi kiełbaski. – Dziś rano mówili coś o ćwiczeniach. Okręty wsparcia lada chwila znajdą się w zasięgu operacyjnym, ale podobno ich załogi są zielone jak diabli. Jakby lecieli na pierwszą misję.

– Wszyscy? – zapytał Aleks.

– Dobre załogi siedzą przy Hungarii i osłaniają nasze tyłki.

– No cóż. Lepiej mieć ze sobą bandę nastolatków niż tylko dwie fregaty – skomentował Aleks. – Choć musisz mi wybaczyć fakt, że liczyłem na bardziej doświadczoną kawalerię wyłaniającą się zza wzgórza.

– Pewnie o nas mówili to samo, gdy zaczynaliśmy.

– Dobrze wiesz, że tak było. Podczas mojej pierwszej misji solowej prawie zrzuciłem rdzeń przez pomyłkę.

– Poważnie?

– Wytrącono mnie z równowagi.

– To musiało być wytrącenie klasy wojskowej – skomentowała Bobbie. – No cóż, miejmy nadzieję, że lot na Lunę nie będzie krył żadnych niespodzianek.

Aleks przytaknął i wypił łyk kawy z bańki.

– Myślisz, że tak będzie? Naprawdę uważasz, że już po wszystkim?

Za odpowiedź musiało mu wystarczyć milczenie Bobbie.

Resztę posiłku spędzili, rozmawiając o lżejszych kwestiach: czym różniło się szkolenie marines i floty i które było lepsze, opowieściach Aleksa z Ilusa i powolnej strefy, spekulacjach o tym, co właściwie zamierzała zrobić Avasarala, gdy już dowiozą premiera na Lunę. Wszystko to były tematy, na które bardzo łatwo było rozmawiać. Nie leciał z nią od lat, ale dobrze się z nią rozmawiało, miło spędzał czas w jej towarzystwie. W innym życiu mógł sobie wyobrazić latanie z nią. A przynajmniej w wojsku. Nie bardzo potrafił ją sobie

wyobrazić na lodowcowcu w rodzaju *Canterbury* i zastanawiał się, jaki byłby skutek jej przebywania na *Rosie*. Częścią tego, co czyniło *Rosynanta* domem, był fakt, że jego załoga była tak mała i dzieliła tyle wspólnej przeszłości. Tak długie wspólne mieszkanie z garstką ludzi rodziło bliskość trudną do przecenienia. Każdy, kto by do nich dołączył – nawet ktoś tak kompetentny, inteligentny i łatwy w pożyciu jak Bobbie – musiałby się z tym pogodzić, a nie było nic, co bardziej psuło załogę, niż osoba, która czuła się wykluczona.

Wciąż o tym myślał, przeżuwając przedostatnią porcję tak zwanych jajek i słuchając Bobbie opowiadającej o wspinaniu się na powierzchni Marsa, gdy zabrzmiały syreny alarmowe.

– Wszyscy na stanowiska bojowe – zabrzmiał spokojny, rzeczowy głos. – To nie są ćwiczenia.

Aleks zerwał się i ruszył w stronę swojej pryczy przeciążeniowej, zanim do końca do niego dotarło, co się dzieje. Bobbie szła obok niego. Oboje wrzucili swoje tace ze śniadania i bańki z napojami do recyklera, dzięki długoletniemu szkoleniu mieli wpojone, że wszystko, co nie jest zamocowane, może stać się pociskiem przy gwałtownej zmianie wektora statku. Pokłady wibrowały już w rytm szybkich wystrzałów działek obrony punktowej, choć Aleks nie potrafił sobie wyobrazić, co mogło zbliżyć się dostatecznie blisko na tego rodzaju walkę w zbliżeniu bez wcześniejszego wykrycia. Alarmy wciąż rozbrzmiewały, gdy wyszli na korytarz i zgarnął ich jeden z marines, sierżant Park.

– Nie ma czasu na dotarcie do waszych kajut. Tutaj są zapasowe prycze, do których możecie się przypiąć.

– Co się dzieje? – zapytał Aleks, biegnąc, żeby nadażyć.

– Okręty ze wsparciem zaczęły do nas strzelać – wyjaśnił Park.

– Co? – krzyknęła Bobbie z niedowierzaniem.

Park nie zwolnił. Dobiegł do wjazdu w pustej sali odpraw i zagonił ich do środka. Aleks zapadł się w objęcia pryczy przeciążeniowej, przypinając się ze sprawnością wieloletniego przyzwyczajenia i głębokiego przeszkolenia. Jego myśli nie nadażały za usłyszaną właśnie informacją.

– Jakies fałszywe kody transponderów wojskowych? – zapytał.

– Nie, to nasze ptaszki – odpowiedział Park, sprawdzając pasy Aleksa.

– To jak...

– Mamy nadzieję wydusić z nich tę odpowiedź, gdy przyjdzie czas, sir – zapewnił Park. Obrócił się do fotela Bobbie i mówiąc, jednocześnie sprawdzał jej pasy. – Proszę pozostać w pryczach aż do uzyskania informacji, że można się bezpiecznie odpiąć. Nie jestem pewien, z czym mamy do czynienia, ale spodziewam się, że może się zro...

Statek ostro szarpnął, zginając zawieszona prycz pod kątem czterdziestu pięciu stopni względem pokładu. Park przesunął się, zapierając się tuż przed uderzeniem w ścianę.

– Park! – krzyknęła Bobbie, sięgając do trzymających ją taśm. – Raport!

– Zostać w pryczy! – krzyknął marine z za pleców i poniżej Aleksa.

Napór ciężenia ciągu wcisnął go głęboko w żel. W nogę wbiła mu się igła, pompując do krwi koktajl leków redukujących ryzyko udaru. *Jezu, to poważniejsze, niż myślałem.*

– Park! – powtórzyła Bobbie, a potem rozbrzmiała seria przekleństw marine, który z trudem wydostał się na korytarz, zostawiając ich samych. – To wszystko jest posrane. Tak strasznie posrane.

– Możesz coś wyświetlić? – krzyknął Aleks, choć był tylko metr od niej. – Mój panel sterowania jest zablokowany.

Usłyszał odgłos jej oddechu przez odległe wibracje działek i głębsze tony wystrzeliwanych rakiet.

– Nie, Aleks. Dostaję tylko ekran gotowości.

Przez pokład przebiegł długi świdrujący jęk, wstrząsając pryczami znowu zmieniającymi kierunek. Ktokolwiek siedział za sterami, wyciskał ze statku wszystko, co mógł. Oprócz głębokich, rozpoznawalnych dźwięków broni statku słyszeli też inne, mniej znajome. Umysł Aleksa przypisał je wszystkim zniszczeniom wywołanym bronią wroga i przynajmniej w niektórych przypadkach był pewien, że się nie myli. Miał ściśnięte gardło i bolał go żołądek. Wciąż czekał na przelot przez statek pocisku z działła Gaussa i każda sekunda, gdy to nie

następowało, zwiększała prawdopodobieństwo, że do tego dojdzie.

– Radzisz sobie? – zapytała Bobbie.

– Tak, tylko chciałbym wiedzieć, co się dzieje. Albo móc coś z tym zrobić. Nie mam nic przeciwko walce, ale nie znoszę bycia mięsem w puszcze.

Jego żołądek skoczył i przez dłuższą chwilę mylił nagłą nieważkość z mdłościami. Jego prycza przeciążeniowa przesunęła się w lewo, a prycza Bobbie w prawo, aż prawie mogli się zobaczyć.

– No cóż – rzuciła Bobbie. – Trafili w silnik.

– Owszem. No więc ta sprawa, że ty i Avasarala uważałyście, że ktoś może przejmować okręty i wyposażenie FMRK?

– Teraz to wygląda na całkiem mądre, nie?

Prycze znowu się przesunęły wskutek walki silników manewrowych na powierzchni statku z olbrzymią inercją stali i ceramiki. Pulsowanie działek obrony punktowej i dudnienia wystrzeliwanych rakiet tworzyły nierówną muzykę w tle, ale uwagę Aleksa zwróciła cisza.

– Bandyci – powiedział. – Przestali strzelać.

– Hm – rzuciła Bobbie. – To znaczy abordaż, prawda? – dodała po chwili.

– Tak właśnie myślałem.

– No cóż. Jak długo chcesz zostać w tych pryczach, zanim pójdziemy poszukać jakieś broni?

– Pięć minut?

– Może być – zgodziła się Bobbie i wyciągnęła swój ręczny terminal. – Ustawię odliczanie.

Drzwi do sali odpraw otworzyły się po trzech minutach i dwudziestu pięciu sekundach. Do środka wleciało trzech marines w lekkich pancerzach bojowych, zapierając się przy framudze. Trzymali karabiny szturmowe przy bokach. Pierwszy z nich – mężczyzna o szczupłej twarzy z blizną z boku nosa – ruszył do przodu. Do Aleksa dotarło, że jeśli napastnicy, kimkolwiek byli, mieli marsjańskie okręty wojenne, zapewne mieli też marsjańskie pancerze, ale mężczyzna o szczupłej twarzy zatrzymał się przy biurku.

– Panie Kamal. Sierżant Draper. Jestem porucznik de Haan. Ten statek będzie dalej manewrował, więc wymagane jest zachowanie ostrożności, ale musicie ze mną iść.

– Tak jest, sir – odpowiedziała Bobbie, rozpinając klamrę pasów i przesuważąc się, by odepchnąć się w stronę drzwi. Aleks był tylko pół ruchu za nią.

Marines sunęli przez nieważkie korytarze z wyćwiczoną sprawnością, od osłony do osłony, jeden zawsze znajdował się w pozycji strzeleckiej z tyłu, jeden z przodu. Bobbie i Aleks byli w środku tej formacji. Dwa razy statek szarpnął, Aleks był wtedy w trakcie skoku od jednego uchwytu do następnego. Za pierwszym razem złapał się za inny uchwyt, ale za drugim uderzył w nagi pokład, wirując w powietrzu, aż jeden z marines złapał go i zaciągnął w bezpieczne miejsce. Jednostronne odgłosy bitwy zrobiły się najpierw głośniejsze, potem osłabły. Jeden z włazów nie otworzył się, zgłaszając próżnię po drugiej stronie i musieli się cofnąć. Jak



w nieprzyjemnym śnie, podróż zdawała się ciągnąć w nieskończoność, a równocześnie dobiegła końca niemal zaraz po rozpoczęciu.

Na mostku kapitan siedziała przypięta do swojej pryczy, premier na stanowisku obok niej. Wszędzie wokół załoga siedziała na miejscach, przekazując sobie informacje, a Aleks wyłapywał ich strzępy, tworząc obraz sytuacji. Niemal nie wiedział, od kogo co usłyszał. Główny silnik został uszkodzony. Anteny łączności nie mogły nadawać szerokopasmowo albo wiązki kierunkowej. Doszło do przebicia kadłuba w pobliżu maszynowni, zbrojowni i w magazynie rufowym. Wciąż mogli strzelać raketami, ale wysiadły systemy naprowadzania. Nikt nie wspomniał o dwóch fregatach lecących ze statkiem, od kiedy została odciągnięta główna eskorta. Aleks domyślił się, że zostały zniszczone.

– Jesteśmy atakowani i trwa akcja abordażowa – powiedziała kapitan zdumiewająco spokojnym głosem. – Nasza pierwotna eskorta jest teraz atakowana dużymi siłami i nie będzie w stanie przyjść nam z pomocą. Wysłaliśmy wołanie o pomoc, ale wydaje się wyjątkowo mało prawdopodobne, by ktokolwiek mógł tu dotrzeć na tyle szybko, by wpłynąć na wynik starcia. Przygotowujemy się do intensywnej obrony, jednak jeśli nie zdołamy wam zapewnić bezpieczeństwa, konieczna może być wasza ewakuacja.

– W sam środek strzelaniny? – zapytał Aleks.

– To nie jest optymalne – stwierdziła kapitan. – Ale z całym należnym szacunkiem, moim głównym

priorytetem jest bezpieczeństwo premiera.

– Oczywiście, kapitanie – powiedziała Bobbie równocześnie ze słowami Aleksa:

– To brzmi trochę złowieszczo.

Kapitan zignorowała oboje.

– Przygotowaliśmy sześć kapsuł ratunkowych. Według procedury każde z was powinno otrzymać w kapsule uzbrojoną eskortę i powinniśmy je wystrzelić równocześnie w nadziei rozproszenia uwagi przeciwnika i zapewnienia każdemu z was największej możliwej szansy na przeoczenie.

– To kiepski plan – odpowiedział Aleks kapitan, a potem zwrócił się do premiera. – Wie pan, że to kiepski plan, prawda?

Smith przytaknął. Miał zaczerwienioną twarz, a na jego policzkach i szyi lśniła warstwa potu, utrzymywana na miejscu napięciem powierzchniowym.

– Właśnie – odezwała się Bobbie. – Kapsuły nie mają Epsteina. Będziemy bezbronnymi celami. A przecież mamy tu jacht wyścigowy. *Finwala* zbudowano do szybkich lotów.

Kapitan podniosła rękę, żądając ciszy.

– Nie dajcie mi skończyć. Możemy zarekwirować *Finwala* dla premiera, dać mu pilota i eskortę, ale i tak będzie to oznaczało wrzucenie dwójki cywilów do wyżymaczki.

– Dlaczego miałyby to pani robić? – przerwała jej Bobbie. – Przecież ma pani przed sobą pilota i eskortę, prawda? Możemy położyć premiera Smitha na koi, a sami

zająć prycze. Aleks ma więcej doświadczenia w pilotowaniu tego statku niż ktokolwiek z tu obecnych, a – z całym szacunkiem dla porucznika de Haana – ja potrafię strzelać równie dobrze, jak pani ludzie. Będzie ciasno, ale zdecydowanie do zrobienia.

– Owszem, do tego właśnie zmierzałam. – Głos kapitan wyraźnie zdradzał zirytowanie. – Na dodatek premier jasno dał do zrozumienia, że z powodów politycznych obecność sierżant Draper jest wymagana na Lunie, więc...

– Zgodzili się, kapitan Choudhary – warknął premier. – Nie musi pani tego kontynuować.

– Poruczniku? – odezwała się Bobbie. – Jeśli będę pełniła rolę ochroniarza, to przydałaby mi się jakaś broń.

Mężczyzna o szczupłej twarzy uśmiechnął się, a jego oczy błysnęły lodem.

– Mogę coś zorganizować, Gunny. Kapitanie?

Kapitan ostro kiwnęła głową, a porucznik de Haan odbił się w stronę windy, mając Bobbie blisko za sobą. Serce Aleksa biło jak oszałałe, ale strach ustępował rosnącemu podnieceniu. Owszem, groziła mu śmierć. Tak, nieznanemu przeciwnik otoczył ich i prawdopodobnie lada chwila wejdzie na pokład okrętu. Jednak znowu będzie mógł lecieć w ogniu bitwy i jakaś niedojrzała, młodzieńcza część jego duszy nie mogła się tego doczekać.

– Użyjemy naszych działek do zapewnienia wam osłony najdłużej, jak będziemy mogli – powiedziała kapitan, ale Aleks znowu jej przerwał.

– To nie wystarczy. Jeśli polecimy pełnym ciągiem do Ziemi, pewnie uda nam się uciec przed okrętami przeciwnika, ale ich pociski nie muszą się martwić o niedopuszczenie do zmiżdżenia tkanki przez ciąg. A nie wydaje mi się, żeby było tu coś, za czym można się schować.

– Będzie pan musiał coś wymyślić – stwierdziła kapitan.

– No dobrze – odpowiedział Aleks. – Proszę ustawić trochę pocisków na częstotliwość lasera łącznościowego *Finwala* i wystrzelić razem z nami tyle, ile pani może, a Bobbie może użyć naszego lasera do namierzania torped przeciwnika. Uciekniemy przed ich statkami i zestrzelimy rakiety. O ile nie ma kogoś między nami a Luną i nie skończą się nam pociski, powinniśmy dolecieć.

*O ile tylko nie zostaniemy zestrzeleni natychmiast po starcie, ale tego już nie dodał.*

Kapitan zamrugła i obejrzała się na premiera. W oczach polityka widać było pytanie. Kapitan Choudhary wzruszyła ramionami.

– Coś wymyślił.

– To znaczy...

– Nie – powiedziała kapitan. – To może... to może się udać.

– Kapitanie! – zawołał ktoś z tyłu. – Mamy potwierdzenie kontaktu z przeciwnikiem na pokładach siedem i trzynaście. Proszę o pozwolenie na użycie ciężkiej broni.

– Udzielam pozwolenia – rzuciła kapitan, a potem zwróciła się do Aleksa. – To chyba znak dla pana, żeby się zbierać panie Kamal.

– Dziękuję, kapitanie – odpowiedział Aleks. – Zrobię co w mojej mocy.

Premier odpiął się od pryczy i unosił nad nią chwilę, aż jeden z dwóch pozostałych marine chwycił go i ustawił we właściwej orientacji. Premier uścisnął dłoń kapitan, a wtedy rozległ się kolejny głos z mostka.

– Kapitanie, odbieramy wiadomość od napastników. Z *Pelli*.

– To ich okręt dowodzenia – wytłumaczył premier, zwracając się do Aleksa.

– Kolejne żądania poddania się? – zapytała kapitan.

– Nie, sir. To transmisja szerokopasmowa, nie kierunkowa. To... jasna cholera.

– Proszę odtworzyć, panie Chou – poleciała kapitan. – Od początku.

Sygnał z kliknięciem przełączył się na głośniki. Zabrzmiały trzaski statyki, przycichły, potem wróciły. Ktoś sapnął i brzmiało to jak oznaka bólu. Kiedy w końcu zabrzmiał głos, był skupiony i poważny. Uderzył Aleksa jak kopniak w brzuch.

– Jeśli to odbieracie, proszę o retransmisję. Mówi Naomi Nagata z *Rosynanta*...

## Rozdział trzydziesty drugi

### Naomi

Wiedziała, że to nadchodzi, zanim przyszła pora. Jeszcze zanim wiedziała, co to będzie. Wrażenie na statku zmieniło się bez zmiany żadnych szczegółów, przynajmniej z początku. Załoga wciąż oglądała wiadomości i wykrzykiwała radośnie. Wciąż była nieustannie pilnowana i traktowana jak maskotka: oswojona dziewczyna Jamesa Holdena sprowadzona z powrotem do klatki, gdzie jej miejsce. Marco traktował ją uprzejmie, a Filip nie potrafił się zdecydować, czy z nią rozmawiać, czy jej unikać. Ale wyczuła różnicę. Na statku zapanowało napięcie i nie wiedziała jeszcze, czy wszyscy oczekują wiadomości o kolejnych okropnościach, czy czegoś bardziej osobistego i konkretnego. Z początku była tylko pewna tego, że trudniej jest jej spać lub jeść. Zbyt mocno ciążył jej w brzuchu niepokój.

Nikt jej niczego nie mówił i nie było żadnego konkretnego zdarzenia, z którego mogłaby wyciągać wnioski. Zamiast tego analizowała dni z perspektywy czasu spędzonego w niewoli. Kilka drobiazgów wybijało

się na czoło, wychwyconych przez niemal nadnaturalne poczucie istotności. Skrzydlaty popisujący się swoim marsjańskim mundurem, niewiele starsza od Filipa dziewczyna o szerokich ramionach, ćwicząca ze skupieniem kogoś szykującego się na coś, do czego nie była gotowa, Karal kierujący jej inwentaryzację w stronę zbrojowni i magazynu panczerzy wspomaganych, powaga, z jaką Cyn ważył w dłoniach każdy z karabinów. Jak pokłady kurzu osadzającego się w źle utrzymanym przewodzie powietrznym, wszystkie te drobiazgi z czasem składały się w kształt prawie równoznaczny z wiedzą. Lecieli, aby walczyć. Co więcej, atakowali Marsjan.

Gdy trafiła na Mirala i Aaman siedzących kolano w kolano na korytarzu przed ambulatorium, zrozumiała, że prawie przyszedł czas i w jej gardle dziko rozkwitła nadzieja ukrywana dotąd nawet przed sobą.

– Tu Pella – powiedział Miral, skupiając się na każdej sylabie. – Confermé zbieżność kursu.

– Potwierdzam – skorygowała go łagodnie Aaman.

Miral zacisnął dłonie w pięści i uderzył nimi w pokład.

– Kurwa. Co powiedziałem?

– Confermé. Chcesz potwierdzić.

– Jeszcze raz – rzucił Miral, a potem odchrząknął. – Tu Pella. Potwierdzam zbieżność kursu.

Aaman się uśmiechnęła.

– Zbieżność kursu potwierdzona, Pella.

Miral podniósł wzrok, zauważył zbliżających się Naomi i Cyna i wykrzywił usta. Naomi pokręciła głową.

– Dobrze mówisz – skomentowała. – Bardzo marsjańsko.

Miral się zawahał, jak podejrzewała niepewny tego, co wiedziała i powinna wiedzieć. W końcu uśmiechnął się, prawie potulnie. Naomi odpowiedziała uśmiechem i poszła dalej, udając, że jest jedną z nich. Że tu należy. Idący obok Cyn nie skomentował, ale obserwował ją kątem oka.

Posiłek pośrodku zmiany składał się z odsmażanego makaronu i piwa. Wiadomości prezentowały raport dotyczący sytuacji w całym Układzie i pierwszy raz oglądała go uważnie nie z powodu tego, co pokazywał, a tego, co pomijał. Kończyły się zasoby jedzenia i wody w Ameryce Północnej i Azji, Europa była tylko kilka dni do przodu. Wysyłkę pomocy z północnej półkuli utrudniał fakt, że coraz bardziej rosło lokalne zapotrzebowanie na zasoby. Nie obchodziło jej to. To nie dotyczyło Jima. Stacja Medyna przestała odpowiadać – podstawowy sygnał nośny dalej docierał, ale ignorowano wszystkie zapytania, choć to też jej nie obchodziło. Przywódca marsjańskiej opozycji parlamentarnej w Londres Nova wzywał do natychmiastowego powrotu premiera na Marsa, co interesowało ją tylko odrobinę. Każda historia, która nie dotyczyła statku wybuchającego na Tycho, była zwycięstwem. Jadła szybko, wciągając słodki, jasny makaron i wypijając piwo jakby szybkie zjedzenie posiłku mogło przyśpieszyć statek i atak.

Jej okazję.



Następną połowę zmiany spędziła z Cynem w maszynowni i warsztacie, upewniając się, że wszystko jest pozamykane i unieruchomione. Na statku pełnym Pasiarzy nie wątpiła, że tak było i nie znalazła niczego, co musiałaby poprawiać. Ale rytuał był uspokajający. Poczucie porządku i kontroli nad środowiskiem statku było synonimem bezpieczeństwa. Pasiarze, którzy nie sprawdzali wszystkiego trzy razy, zostali szybko wyeliminowani z puli genowej, a widok porządku w warsztacie dał jej niemal atawistyczne poczucie komfortu. Przy okazji mogła też bez wywoływania podejrzeń sprawdzić lokalizację skrzynki narzędziowej z uszkodzonym zatraskiem, a potem starannie więcej na nią nie patrzeć. Miała wrażenie, że jej zachowanie jest oczywiste, pewna, że nie zwracając uwagi na skrzynkę, tak naprawdę wzbudzała czujność Cyna.

Związek między mrocznymi myślami a prawie niemożliwym do wytrzymania, nabrzmiałym podnieceniem w sercu nie przyszedł jej do głowy aż do chwili, gdy zadzwonił ręczny terminal Cyna, co było sygnałem do przerwy w pracy.

– Return to tu prycza przeciążeniowa – powiedział, dotykając jej ramienia. Dotyk był łagodny, ale stanowczy.

Nie udawała ignorancji, nie próbowała ukryć niepokoju. I tak odebrałby to po prostu jak strach przed bitwą.

Gdy dotarli do jej kajuty, przypięła się, a Cyn sprawdził taśmy. A potem, ku jej zaskoczeniu, usiadł przy niej na chwilę, zmieniając swą masą równowagę pryczy.

Jego mięśnie poruszały się pod skórą nawet przy najdrobniejszych ruchach, ale i tak zdołał przybrać zawstydzony, chłopięcy wygląd, jakby to ciało było tylko kostiumem.

– Zuchtig tu, sa sa?

Naomi uśmiechnęła się tak, jak sądziła, że zrobiłaby to szczerze.

– Oczywiście, że będę uważać – zapewniła. – Jak zawsze.

– La, nie zawsze, ty – rzucił Cyn. Wyraźnie coś mu ciążyło, choć nie wiedziała, o co chodzi. – Mały dystans, będzie dużo manewrowania. Bez pryczy, która cię złapie, wylądujesz na ścianie, nie? Albo trafisz w jakiś kant.

Jej usta wypełniły się gorzkim smakiem strachu. Wiedział? Domyślił się? Cyn rozprostował ręce, nie potrafiąc jej spojrzeć w oczy.

– En buenas nastrój, ty. Zadowolony, od kiedy ty i Marco. Tak sobie myślę, może uważasz, że jest coś, z czego można się cieszyć, nie? Może wyjście nie ma drzwi.

*Samobójstwo*, pomyślała. *On mówi o samobójstwie. Boi się, że wyjdę z pryczy pośrodku bitwy i pozwolę, żeby statek mnie zabił.* Choć świadomie dotąd tego nie brała pod uwagę, była to jedna z tych rzeczy, którą mogły jej podsunąć mroczne myśli. Co gorsza, wcale nie poczuła zaskoczenia, tylko ciepło. I komfort. Zaczęła się zastanawiać, czy brała to pod uwagę, czy niebezpieczeństwo nieuchronnie wiążące się z jej planem było wadą, czy ukrytym sposobem na wyrażenie

mrocznych myśli. Zaniepokoiło ją, że nie była tego pewna.

– Zamierzam tu być, gdy będzie po wszystkim – oświadczyła, przycinając słowa, jakby chciała przekonać siebie w równym stopniu, co strażnika.

Cyn kiwnął głową. Systemy statku wyemitowały ostrzeżenie o manewrach, ale wielkolud nie wstał z jej pryczy. Jeszcze nie.

– Esá? To trudne dla nas i dla ciebie. Ale przejdziemy przez to, nie? My wszyscy i ty też. – Patrzył teraz na swoje ręce, jakby miał coś na nich napisane. – Mia familia – wydusił z siebie w końcu. – Pamiętaj o tym. Alles lá son rodzina, y tu bist też.

– Idź się przypiąć, wielkoludzie – odpowiedziała Naomi. – Dokończymy to później.

– Po wszystkim – rzucił Cyn, posłał jej uśmiech i wstał.

Zabrzmiało drugie ostrzeżenie i Naomi rozłożyła się na żelu, jakby zamierzała pozostać w jego chłodnych objęciach.

Marco na mostku był niewątpliwie gładki i spokojny, odgrywał rolę marsjańskiego kapitana, zapewniając wszystkich wokół, że ma wszystko pod kontrolą. I będą mu wierzyć. Leciał marsjańskim okrętem ze sprawdzonym, znanym transponderem. Prawdopodobnie używał marsjańskiego szyfrowania wojskowego. To, że mógł być kimkolwiek innym, niż się wydawał, było dla nich równie niepojęte, jak dla niej oczywiste.

Chciała się tym przejmować, ale nie potrafiła. Nie miała na to czasu.

Odgłosy wystrzeliwanych rakiet i warkot działek obrony punktowej rozległy się w chwili, gdy pokój skoczył trzydzieści stopni w lewo, a prycza zasyczała na zawieszaniu. Rozpięła taśmy i usiadła, odsuwając nogę od igły. Poczekałaby na zastrzyki, gdyby była pewna, że nie zawierają środka usypiającego. Za późno. Prycza wróciła do położenia neutralnego. Zeskoczyła na podłogę i szybkim, pewnym krokiem wyszła na korytarz. Ręce cały czas trzymała rozłożone, palce na ścianach po obu stronach, przesuwając stopami po pokładzie. Ugięte kolana, środek ciężkości nisko, powiedziała sobie.

*Bądź gotowa na zmianę, gdy nadejdzie.* Statek się szarpnął. Ściany i pokład niczego nie pokazały, a oczy obiecywały, że wszystko jest pewne, ciche i stabilne, choć jej masa pchnęła ją w stronę jednej ze ścian, a potem drugiej, po chwili zaś – co najgorsze – do przodu, gdzie nie miała się za co chwycić. To było gorsze od nieważkości. Wysiłki umysłu starającego się zinterpretować górę i dół przy braku ciężenia mogły prowadzić do dezorientacji, ale teraz miała do czynienia z czymś innym. Poturlała się w głąb korytarza jak kostka w kubku, sunąc do przodu, gdy mogła, zapierając się o ściany, gdy ruch robił się zbyt gwałtowny.

W windzie wybrała warsztat i zacisnęła dłonie na uchwytach w kabinie sunącej w głąb statku. Szarpnął ją wstrząs. Marsjanie odpowiadali ogniem. Bardzo dobrze. Niech strzelają. Nie mogła skupiać uwagi na tych zmaganiach, przynajmniej do czasu, aż skończą się jej wysiłki.

Warsztat był pusty, a wszystkie narzędzia zamocowane na tyle luźno, że gdy statek szarpnął, wszystkie zagrzechotały: metal o metal, jakby sam statek uczył się mówić. Podeszła do uszkodzonej skrzynki, ale pokład jej uciekł. Zatoczyła się i uderzyła głową o metalowe półki. Na kilka sekund grzechot jakby przycichł. Potrząsnęła głową, a na ścianach i pokładzie wylądowały krople krwi.

*Nic wielkiego, powiedziała sobie. Rany głowy zawsze mocno krwawią. To nie znaczy, że to coś poważnego. Ruszaj się.*

Zaterkotały działka obrony punktowej, ich dźwięk przenosił się przez cały statek. Znalazła skrzynkę, odpięła mocowanie, wyciągnęła ją i usiadła na pokładzie, trzymając ją w objęciach. Przez długą, mdlącą sekundę myślała, że zamek jest inny, sprawny, nie do ruszenia, ale myliła się. Umysł z nią igrał. Nic nie szkodzi. Pociągnęła za zatrzask, wsuwając czubki palców w szczelinę, której nie powinno tam być, poszerzyła ją i znowu naparła, wbijając do środka jak klin własną skórę i kość. Bolało jak diabli, ale zignorowała ból. Napór jej ciała na pokład nagle gwałtownie wzrósł. Przyśpieszali. Nie знаła powodu. Rozbolały ją plecy. Minęło wiele lat, od kiedy jej kręgosłup musiał dźwigać ciało podczas dużego przyśpieszenia. Zwykle w takich sytuacjach leżała w żelu.

Zatrzask ustąpił z oburzonym pyknięciem. Skrzynka się otworzyła, ale nic z niej nie wyleciało. Wszystkie klucze, dozowniki kleju epoksydowego, woltomierze i puszki z powietrzem i smarem były zamocowane

taśmami. Przecisnęła dłoń przez ciasno upakowane warstwy do rzędu kluczy imbusowych i wyciągnęła ten w rozmiarze 10 mm. To była jedna z przewag, jaką miała nad Marco i jego załogą: od lat mieszkała na marsjańskim statku. Jak własną kieszeń знаła klucze wymagane do otwarcia różnych paneli. Zabrała woltomierz, zaciskarkę do przewodów i małą lutownicę, a potem schowała sobie to wszystko do kieszeni. Przy odrobinie szczęścia będzie potrzebować tylko klucza, ale...

Pokład odleciał od niej, nagle bez ciężenia. Nie potrafiła stwierdzić, czy to ona obraca się w powietrzu, czy też okręt obraca się wokół niej. Sięgnęła do podłogi, w stronę ścian, ale nie potrafiła dotknąć niczego poza również unoszącą się skrzynką. To wystarczyło. Chwyciła ją, przycisnęła do brzucha, a potem odepchnęła jako masę odrzutową i wykręciła się, by złapać blat. Wróciło ciężenie i skrzynka z trzaskiem spadła za jej plecami, a ona się zatoczyła. Statkiem wstrząsnął kolejny grzmot. Pobiegnęła do windy, czując ból kolan i kręgosłupa.

Ciężenie ponownie zniknęło, gdy tylko wsiadła do kabiny. Działka wciąż terkotały, ale teraz już rzadziej. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz usłyszała odpalenie rakiety. Bitwa przygasała. Próbowwała siłą woli przyśpieszyć ruch windy. Jeśli zabrzmi sygnał zwolnienia i wszyscy wyjdą ze swoich prycz, zanim skończy, to Holden i *Rosynant*, oraz prawdopodobnie spora część stacji Tycho, zginą w nuklearnym ogniu. Wyobrażała to sobie z każdym bardzo powoli pokonywanym przez windę metrem: włączający się, a potem plujący plazmą reaktor,

pochłaniający wszystko, jaśniejszy od światła ogień. Statek skręcił, rzucając nią o ścianę dość mocno, by zostawić ślad, a potem znowu uwolnił ją w nieważkość. Wyłączyła windę między pokładem załogi a służą, przygotowując się odpowiednio, by hamowanie nie zostawiło jej uwięzionej pośrodku pustej przestrzeni.

Panele dostępu miały piętnaście centymetrów wysokości i czterdzieści szerokości, odsłaniając jedną z głównych szyn elektrycznych prowadzących przez środek statku. Gdyby zdołała przeciąć wszystkie przewody palnikiem spawalniczym, połączenia zostałyby natychmiast przekierowane przez inne obwody. Na pulpitych pojawiłyby się kontrolki ostrzegawcze, nic więcej. Nie szkodzi, wcale nie chciała psuć statku, tylko go wykorzystać. Zaparła się obiema stopami i jedną ręką o uchwyty i zaczęła pracować kluczem imbusowym. Śruby zintegrowano z płytą, więc nie wylatywały, ale poczuła, gdy metalowy gwint stracił chwyt. Odkręciła trzy połączenia. Cztery. Pięć.

Sześć.

Widziała już terminal przez szczelinę w miejscu, gdzie zaczynał odstawać panel. Okręt zadygotał i zaczął skręcać. Mocno zacisnęła klucz w dłoni, mając wrażenie, że wypada jej i spada w głąb, choć nic takiego się nie działo. Z jej włosów wyleciał gruby, czarno-czerwony skrzep, rozmazując się na jasnej ścianie. Ignorowała to wszystko. Odkręciła siedem śrub. Osiem. Usłyszała głosy z poziomu załogowego. Kobieta mówiła coś, czego Naomi

nie zrozumiała, a potem mężczyzna odpowiedział przeczeniem. Dziewięć. Dziesięć.

Płyta została uwolniona. Chwyliła terminal, sprawdzając ładunek. Baterie były prawie pełne, połączenie działało. Nie wiedziała, który obwód obsługiwał transmisję, pierwszy, którego spróbowała, odpowiedział jej kodem błędu. Klnąc melodyjnie pod nosem, przestawiła terminal w tryb diagnostyczny i rozpoczęła odpytywanie. Miała wrażenie, że na odpowiedź czekała w nieskończoność. Szybko przewijała raport, aż znalazła to, czego szukała. Kanał osiemnasty obsługiwał sprzęt łączności z użyciem protokołów D4/L4, które *Rosynant* stosował do transmisji szerokozakresowej. Wstukała kod złamania blokady, który pozwalał na wysyłanie trzydziestosekundowych sygnałów diagnostycznych, a potem skasowała plik z sygnałami. Kiedy pojawiło się ostrzeżenie o błędzie, kazała przełączyć na tryb ręczny. Prawie łkała. Prawa stopa ześlizgnęła się z uchwytu, więc złapała otwarty panel dostępu. Kostki otarły się o coś ostrego i zębatego. Syknęła z bólu, a potem odsunęła od siebie irytację. Nie ma czasu.

– Jeśli to odbieracie – powiedziała, przysuwając terminal blisko ust – proszę o retransmisję. Mówi Naomi Nagata z *Rosynanta*. Wiadomość jest przeznaczona dla Jamesa Holdena. Doszło do sabotażu jego oprogramowania sterującego polem magnetycznym reaktora. Nie wolno włączać reaktora bez wczytania sterowników sprzętowych ze znanego, bezpiecznego



źródła. Jeśli odbieracie tę wiadomość, proszę o retransmisję.

W połowie ostatniego słowa terminal wyemitował dźwięk oznaczający koniec trzydziestu sekund i powrót do podstawowego menu. Puściła terminal, puściła uchwyty i pozwoliła sobie odpłynąć od ściany. Rozłożyła szeroko ręce i puściła klucz imbusowy. Miała nadzieję, że jej się udało. W końcu trwała bitwa. Jeśli Marco chciał, by szczegóły starcia były niejasne, jego flota mogła prowadzić zagłuszanie, ale równie dobrze mógł po prostu sycić się spektaklem. A jeśli miała rację, jeśli rzeczywiście atakowali marsjańskiego premiera, dane z bitwy będą analizowane przez najlepsze wciąż jeszcze istniejące służby wywiadowcze.

Jim nie był bezpieczny, jeszcze nie. Wiedziała o tym, ale chwilowo tego nie czuła. Ciemność wróci, przynosząc ze sobą z powrotem dławiący lęk, poczucie winy i strach. Nie wątpiła w to, ale chwilowo czuła się lekko. Stworzyła plan i zrealizowała go. Jej ostrzeżenie do niego dotrze lub nie, ale tak czy inaczej, nie mogła zrobić nic więcej. A Marco na mostku w tej chwili próbował dojść, co właściwie zrobiła. Narastający w jej gardle śmiech miał smak zwycięstwa.

Głosy z poziomu załogowego zrobiły się głośniejsze, wyrażały zmieszanie. Choć nie ogłoszono końca manewrów, słyszała poruszających się tam ludzi. Rozpoznała podniesiony z przejęcia głos Cyna. Otarła nogą o ścianę i sięgnęła, by zaczepić się nadgarstkiem o uchwyt na ścianie. Nie miało sensu zawracać sobie

głowy windą. Uchwyt za uchwytem przeciągnęła się wzdłuż szybu, a potem do korytarzy. Twarze patrzące na nią z drzwi miały szeroko otwarte oczy. Jeden z mężczyzn na jej widok odskoczył do tyłu. Naomi kopnięciem pchnęła się przez korytarz i poleciała prosto jak strzała, nie dotykając po drodze żadnych uchwytów, by skorygować swój kurs. Bolał ją bark i znowu krwawiła rana na głowie. Czuła spokój.

Cyn wyłonił się zza rogu, a potem zapał tam i patrzył na nią z szeroko otwartymi oczami i opuszczoną szczęką. Przelatując obok niego, uniosła pięść w geście powitania.

– Gdyby ktoś mnie potrzebował – odezwała się – będę w mojej kajucie.

## Rozdział trzydziesty trzeci

### Holden

Przez większość historii ludzkość posługiwała się statycznymi mapami. Nawet w czasach zmian i chaosu, gdy cywilizacje upadały w ciągu jednej nocy, miejsca pozostawały z grubsza takie same. Odległość z Afryki do Ameryki Południowej zostanie taka jak zawsze, przynajmniej przez czas ludzkiej ewolucji. I niezależnie od tego, czy nazywało się to Francją czy Wspólnotą Europejską, z Paryża było bliżej do Orleanu niż Nicei. Dopiero gdy przenieśli się na Marsa, a potem do Pasa i obiektów poza nim, odległości między wielkimi ośrodkami ludzkiego życia stały się zależne od czasu. Ze stacji Tycho Ziemia i Luna były prawie po drugiej stronie Słońca. Mars był bliżej, ale z każdą godziną uciekał. Saturn znajdował się bliżej niż tamte ciała, a księżyce Jowisza dużo dalej. Fakt, że wszystko zbliżało się do siebie i oddalało, był stałym elementem życia Holdena, niewymagającym komentarza, oczywistym. Dopiero w sytuacjach takich jak ta elementy mechaniki orbitalnej zaczynały sprawiać wrażenie metafory czegoś głębszego.

Gdy tylko Fred podjął decyzję o locie na Lunę, Holden przeniósł swoje rzeczy z powrotem na *Rosynanta*. A potem resztę rzeczy załogi. Ubrania Amosa znalazł starannie poskładane i ułożone w torbie z grubego płótna. Rzeczy Aleksa zostały niechlujnie wrzucone do walizki, część znajdowała się w siatkowej torbie, część nie, choć Holden nie potrafił stwierdzić, które z nich były czyste, a które do prania. Rzeczy Naomi leżały w ich apartamencie. Zapasowa para butów, zapomniana para skarpet, bielizna. Na półce w łazience zostawiła model marsjańskiego mecha bojowego – jaskrawoczerwonego i matowoczarneho, nie większego od jego kciuka. Nie wiedział, czy model ma dla niej jakieś szczególne znaczenie, czy też w ogóle nie będzie pamiętać, skąd go miała. Na wszelki wypadek starannie go spakował, układając w wyściełanym pudełku. To było najbliższe opiece nad kobietą, do której należał przedmiot, więc tak właśnie zrobił.

Znalezienie się z powrotem na *Rosynancie* było jak powrót do domu, tyle że pustego. Wąskie korytarze pokładu załogowego wydawały się za szerokie. Okazjonalne tykanie i pykanie złącz kompensacyjnych dostosowujących się do zmian temperatury było jak sygnały od duchów. Gdy ekipa remontowa była w zasięgu słuchu, Holden miał im za złe głosy i kroki, które nie należały do jego załogi. Gdy wychodzili, cisza go przytłaczała.

Powtarzał sobie, że to tymczasowe. Że już niedługo będzie miał Aleksa z powrotem w kokpicie, a Amosa

w maszynowni. Naomi obok siebie, tłumaczącą mu łagodnie, jak pieprzyć różne rzeczy i jak może je naprawić. Poleci na Lunę i tam ich znajdzie. Wszystkich. W jakiś sposób.

Tylko że wciąż nie miał żadnych wieści od Naomi. Odebrał krótką, tylko tekstową wiadomość od mamy Tamary z informacją, że jego rodzice na razie sobie radzą, ale na farmę spada popiół jak śnieg w zimie. I ani słowa od Amosa.

Czasami ludzie wiedzieli, kiedy zegnali się ostatecznie, ale nie zawsze. Niezbyt często. Przeważnie ostatnie rozstania były tak nieznaczące, że uczestniczący w nich ludzie nawet ich nie zauważali. Teraz, w ciemności mostka z unoszącą się obok niego półlitrową bańką bourbona i głośnikami odtwarzającymi smętnego bluesa, Holden był prawie pewien, że sam kilka razy nieświadomie na zawsze pożegnał się z pewnymi ludźmi. Odtwarzał sobie wszystko w głowie, ze wspomnieniami za każdym razem mniej autentycznymi i bardziej bolesnymi.

– Jesteśmy wszystkim, co zostało – zwrócił się do statku. – Jesteś wszystkim, co mam.

*Rosynant* przez dłuższą chwilę nie odpowiadał, a potem, co dziwne, zrobił to. Na jego konsoli pojawił się jaskrawożółty alarm nadchodzącego połączenia. Holden przetarł załzawione oczy i odebrał wiadomość. Na ekranie pojawił się Fred Johnson ze zmierzwionymi brwiami.

– Holden?

– Fred?

– Wszystko w porządku?

– Ach... A co się dzieje?

Fred nachylił się do kamery, a jego głowa zajęła większość ekranu.

– Od kwadransa próbuję się połączyć z twoim terminalem ręcznym.

Holden rozejrzył się wokół po mostku, a potem kiwnął głową.

– Chyba zostawiłem go w spodniach. W kabinie. Chyba tak.

– Upiłeś się?

– Chyba. – Musiał się skupić, żeby mówić wyraźnie.

– Czy ty nie masz spodni?

– Nie jestem jeszcze gotowy, żeby wprowadzić nasz związek na ten poziom.

– To idź do ambulatorium i weź coś na otrzeźwienie, a potem wciągnij gacie. Wysyłam ci moją załogę.

Holden włączył światło i zatrzymał muzykę.

– Co się dzieje?

– Odbieramy raporty. Marsjański premier jest atakowany. Te statki, które znalazł Aleks, okazały się przynętą do odciążenia eskorty.

– Ale – zająknął się Holden – te nowe okręty eskorty...

– Właśnie one do niego strzelają.

Holden zaklął pod nosem.

– Aleks jest na tamtym statku. Czy mamy jakieś wieści od Aleksa?

– Nie mamy nic od nikogo. Kazałem skierować w tamtą stronę parę radioteleskopów, ale to wszystko, co mamy. Rozmawiałem z Drummer i personelem technicznym, mówią, że *Ros* jest czysty, a z każdą chwilą jestem mniej zainteresowany siedzeniem tu i czekaniem, aż ktokolwiek za tym wszystkim stoi, podejmie jeszcze jedną próbę.

Holden rozpiął pasy bezpieczeństwa i wyleciał z pryczy. Trochę kręciło mu się w głowie. Rozejrzał się po mostku. Jakaś część jego mózgu wciąż spodziewała się zobaczyć tu Aleksa, Naomi i Amosa. Do tej pory nie zdawał sobie nawet sprawy z tego odruchu: sprawdzenia swoich ludzi, zanim *Ros* wyruszy w drogę. Uświadomił sobie, że to pierwszy przypadek, gdy ich tu nie będzie. Wydało mu się to złym znakiem.

– Dobra – powiedział. – Przygotuję się na towarzystwo. Kiedy chcesz wylecieć?

– A jak szybko będzie to możliwe?

– Reaktor jest zimny i trzeba uzupełnić powietrze i wodę – stwierdził Holden. Opary alkoholu zdawały się już rozpraszać, ale nie był do końca pewien, czy faktycznie tak się działo, czy tylko miał takie wrażenie. – Poza tym powiedziano mi, że potrzebuję czegoś z ambulatorium na otrzeźwienie i powinienem okryć tyłek.

– Cieszę się, że słuchałeś – skomentował Fred. – To dwie godziny?

– Chyba damy radę.

– Dobra.

Holden przesunął się w głąb szybu windy dłoń za dłonią. Na jego *Rosynanta* wchodziła nowa załoga. Co w zasadzie było oczywiste. Od dawna miało to tak wyglądać, ale teraz ta perspektywa napełniała go niepokojem. Nieznane twarze przy konsolach i w kabinach załogi. Na statku będą rozbrzmiewały głosy inne niż te, do których przywykł w ciągu lat, jakie upłynęły od *Donnagera*. Nawet gdy przewozili pasażerów, w sercu statku przebywała jego załoga. Teraz czekało go coś innego, co mu się nie podobało.

Po drodze do swojej kajuty zatrzymał się w ambulatorium. Gdy otrzeźwiał, symboliczne implikacje obecności nowej, tymczasowej załogi podczas lotu na Lunę nie wyglądały już tak mrocznie, ale ta myśl i tak pozostawała w jego głowie: bez Naomi – bez jego załogi – *Rosynant* nie będzie tym, co wcześniej. Sprawdził swój terminal, ale czekały na niego tylko wiadomości od Freda. Milczenie Aleksa w niczym nie pomagało.

Połączenie korytarza transportowego ze służą statku zabrzmiało łagodnym stuknięciem, jak odchrząknięcie stacji Tycho. Holden poszedł do służy, żeby ich wpuścić. Do przestrzeni pomiędzy szafkami wleciało osiem osób – sześcioro Pasiarzy i dwóch, którzy wyglądali, jakby pochodzili z Ziemi, wszyscy w kombinezonach stacji Tycho, ciągnęli niewielkie torby z rzeczami osobistymi. Była z nimi Drummer w mundurze ochrony.

– Kapitanie Holden? – odezwała się Drummer. – Chciałabym przedstawić kapitana Foster Salesa i jego załogę.



Mężczyzna, który wysunął się na czoło ze złożonymi rękami, wyglądał na zbyt młodego, by być kapitanem. Krótko ścięte włosy przechodziły w lśniącą brodę, bezskutecznie próbującą nadać trochę powagi chłopięcym rysom. Przedstawiono mu pozostałych: pilotów Arnolda Mfume i Chavę Lombaugh, inżynierów Sandrę Ip i Zacha Tazantzakisa, techników uzbrojenia Gor Drogę i Sun-yi Steinberg oraz specjalistkę łączności Maurę Patel. Na zakończenie tej ceremonii Holden był prawie pewien, że zdążył pozapominać wszystkie imiona.

Drummer zdawała się zauważyć jego niepokój, bo gdy załoga rozeszła się na stanowiska, została z nim jeszcze chwilę.

– To dobrzy ludzie, kapitanie. Sama ich wszystkich sprawdziłam, nie ma wśród nich czarnych charakterów.

– No tak – odpowiedział Holden. – To dobrze.

Uśmiechała się łagodnie.

– Dla mnie to też dziwne.

– Tak? – zapytał.

– Na mojej zmianie wdarli się na stację i ukradli pieprzoną protomolekułę. Próbowali zabić szefa. Cały dzień spędzam, emanując aurą spokoju i opanowania, ale kiedy przychodzi pora na sen, zgrzytam zębami i bezsennie wpatruję się w ścianę. A teraz, gdy stary odlatuje... Szczerze mówiąc, sram ze strachu.

Holden westchnął głęboko.

– Dziękuję.

– Zawsze do usług. Każdy, kogo spotykasz, toczy własną bitwę.

– Czy powinienem coś wiedzieć o... – Holden kiwnął głową w stronę drzwi.

Drummer wprowadziła go krótkimi, prostymi zdaniami. Współlokatorka Ip była jedną z buntowniczek i kobieta wciąż czuła się zdradzona. Steinberg i Mfume mieli problemy z utratą twarzy i choć zwykle nie było to problemem, gdyby między nimi doszło do starcia, ktoś musiałby wkroczyć i rozładować sytuację. Droga miał rodzinę na Ziemi, więc był zmartwiony, zły i zrozpaczony. Holden zapamiętał sobie, żeby z nim porozmawiać przy najbliższej okazji. Z każdym drobiazgiem, każdą wadą i podatnością, każdą poznaną mocną stroną i zaletą czuł, jak coś w jego piersi się uspokaja.

Owszem, ci ludzie nie byli jego rodziną, ale stali się jego załogą. Nigdy nie będą znaczyć tyle, ile Aleks, Amos i Naomi, ale przez następnych kilka tygodni będzie ich kapitanem. I to wystarczy.

Na razie to wystarczy.

Gd Fred przeszedł przez śluzę, Drummer właśnie kończyła relacjonować problem bezsenności Maury Patel. Fred wylądował stopami na ścianie, zaczepiając kostkami o uchwyt, jakby urodził się w Pasie. Zatrzymał się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do nich, uśmiechając się do nich szeroko. Na grzbiecie miał mały plecak.

– Co tu kombinujecie?

– Drummer bardzo łagodnie instruuje mnie, jak wejść w buty dorosłego – odpowiedział Holden.

– Serio? – zapytał Fred.

– Możliwe, że zrobiłam się trochę cikliwa.

Fred kiwnął głową.

– Czasami zdarza się nawet najlepszym. Na czym stoimy?

Odpowiedziała mu Drummer.

– Załoga rozpoczęła przygotowanie statku. Jak na razie nikt nie zgłosił żadnych problemów, więc powinniście móc wylecieć zgodnie z planem.

– Doskonale – rzucił Fred. – Oczywiście, pewnie zajęli już wszystkie dobre prycze.

– Wszystkie prycze są takie same – obruszył się Holden. – Oprócz mojej. Ale jej nie dostaniesz.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło, kapitanie – zapewnił Fred. – Marsjański konwój zaczął wzywać pomocy. Pierwotna eskorta próbuje lecieć w ich stronę, ale teraz została zaatakowana przez te tajemnicze statki. Jak na pułapkę, ta wygląda na dość skuteczną.

– Przykro mi to słyszeć – skomentował Holden. – Wciąż ani słowa od Aleksa?

– No cóż. Można mieć nadzieję – rzucił Fred. – Według najnowszych danych napastnicy przestali strzelać, więc prawdopodobnie spróbują abordażu.

Holdenowi zmroziło krew.

– Zgodnie z procedurą mają wysadzić statek, jeśli napastnicy będą mieli realną szansę zdobyć maszynownię lub centrum dowodzenia.

– Celem jest niedopuszczenie, żeby przeciwnik poznał twoje kody – wtrąciła się Drummer. – Oni przylecieli na

marsjańskich okrętach wojennych, więc ewidentnie już je znają.

Przez chwilę wszyscy troje milczeli. Fred odezwał się w końcu niskim i sarkastycznym tonem.

– No cóż, wesoło. Idziesz nas wyprowadzić, kapitanie?

Holden spojrzał na Drummer. Wyprostowała się na baczność, ale miał wrażenie, że zobaczył w jej oczach błysk niepokoju. Fred Johnson kierował stacją Tycho od prawie dwóch dziesięcioleci, a teraz ją opuszczał. I może nigdy nie wróci. Podobnie jak Holden.

Każdy, kogo spotykasz, toczy własną bitwę.

– Oddajmy tę część Fosterowi – stwierdził Holden. – Niech wyczuje statek. Zanim odlecimy, chcę coś jeszcze załatwić na stacji.

\* \* \*

Monika była w swoim nowym apartamencie. Kiedy zobaczył ją siedzącą na kanapie, miał wrażenie, że widzi ją po raz pierwszy. Miesiące, które spędzili – jego załoga i jej ekipa – lecąc do Pierścienia, desperacka praca, którą wykonała na *Behemocie*, zanim stał się stacją Medyna, jej porwanie i ratunek. To wszystko przepadło. Miała uprzejmy wyraz twarzy, ale była zamknięta.

– No dobrze – odezwał się Holden. – Za chwilę odlatuję i nie jestem pewien, czy jeszcze kiedyś się spotkamy. A mam wrażenie, że nie rozstajemy się w dobrych stosunkach.

– Dlaczego tak uważasz?

– Nieoficjalnie?

Cisza zauważalnie ochłodziła pokój, a potem Monika wyjęła z kieszeni swój nowy ręczny terminal i dwukrotnie stuknęła w ekran. Zabrzęczał, a ona odłożyła go na udo.

– Dobrze. Nieoficjalnie.

– Bo cię okłamałem, a ty o tym wiesz. I jesteś z tego powodu zła. Oraz dlatego, że próbowałaś mnie skłonić do mówienia o rzeczach, o których nie chciałem rozmawiać, zadając mi niespodziewane pytania w środku wywiadu, a ja jestem z tego powodu zły na ciebie.

Monika westchnęła, ale jej twarz złagodniała. Wyglądała teraz starzej niż przy ich pierwszym spotkaniu. Wciąż odpowiednia do pokazywania się przed kamerą i cały czas doskonała, ale wymęczona przez świat.

– Co się z tobą stało, Holden? Byłeś człowiekiem, który niczego nie ukrywał. Byłeś tym jednym głosem, któremu wszyscy mogli ufać, bo nawet jeśli nie wiedziałeś wszystkiego, przynajmniej mówiłeś całą prawdę o tym, co wiesz. To całe odczytanie oświadczenia dla prasy? To nie ty.

– Fred poprosił o nieujawnianie, że to on był celem.

– Oraz tego, że ukradli mu próbkę protomolekuły – dodała, a potem uniosła swój ręczny terminal. – Mówimy nieoficjalnie, bez nagrywania. Bądź na tyle uprzejmy, żeby choć teraz nie kłamać.

– Oraz tego, że ukradli mu próbkę protomolekuły – potwierdził Holden.

Rysy Moniki złagodniały. Podrapała się po ramieniu, szeleszcząc paznokciami po materiale.

– To krytyczna informacja. Najbardziej przerażająca rzecz, jaka zdarzyła się od początku tego wszystkiego. Nie uważasz, że ludzie mają prawo wiedzieć, jakie grozi im niebezpieczeństwo?

– Fred wie. Powiedział Avasarali i Smithowi. Czyli wie Ziemia i Mars. Wie SPZ. Wzbudzanie w ludziach paniki bez powodu...

– Panikowanie teraz ma powody – wcięła się Monika. – A decydowanie za ludzi, co powinni wiedzieć, żeby zrobili to, co według ciebie powinni? Dobrze wiesz, że to sposób postępowania mrocznej strony. To paternalistyczne, protekcyjne i niegodne ciebie. Może nie ich. Polityków rządzących z cienia. Ale to niegodne ciebie.

Holden poczuł wzbierające w piersiach ciepło. Nie potrafił stwierdzić, czy to wstyd, gniew czy coś bardziej złożonego. Przypomniawszy sobie słowa mamy Tamary: najbardziej boli, jeśli jest w tym coś z prawdy. Miał ochotę powiedzieć coś nieprzyjemnego, odciąć się. Splótł palce.

– Czy to, co robisz, ma znaczenie?

– Co?

– Bycie reporterką. Mówienie ludziom rzeczy. Czy to daje jakąś władzę?

– Oczywiście, że tak.

– A więc to, jak używasz tej władzy, też ma znaczenie. Nie twierdzą, że mieliśmy rację, zmiatając pod dywan

sprawę z protomolekułą. Chcę powiedzieć, że mówienie o tym wszystkim – zwłaszcza teraz, gdy wciąż dzieje się to, cokolwiek ma to być – jest jeszcze gorsze. Gdy utknęliśmy w powolnej strefie, ty byłaś głosem, który nas wszystkich zebrał. Uformowałaś nas w czasie chaosu. A to sprawiło, że ludzie poczuli się bezpieczniej, spokojniej i zachowywali się racjonalniej. W bardziej cywilizowany sposób. Znowu tego potrzebujemy. Ja znowu tego potrzebuję.

– Jak możesz mówić... – zaczęła Monika, ale przerwał jej dzwonek terminala. Spojrzała na niego z irytacją, a potem coś nią wstrząsnęło. Podniosła palec. – Jedna chwila.

– O co chodzi? – zapytał Holden, ale czytała z terminala, z każdą chwilą szerzej otwierając oczy. – Monika? Jeśli to jakaś lekcja dotycząca tego, jakie paskudne jest nieudostępnianie informacji, to przyznaję, że jest dziwnie elegancka, ale czy możesz przestać...

– Atakujące okręty. Te, które napadły na marsjańskiego premiera. Z dowodzącego nimi statku wysłano wiadomość. – Spojrzała na niego. – Jest dla ciebie.

Głos Naomi z ręcznego terminala był słaby, cichy i kojarzył się z momentem budzenia się z koszmaru w coś znacznie gorszego.

– Jeśli to odbieracie, proszę o retransmisję. Mówi Naomi Nagata z *Rosynanta*. Wiadomość jest przeznaczona dla Jamesa Holdena. Doszło do sabotażu

jego oprogramowania sterującego polem magnetycznym reaktora. Nie wolno włączać reaktora...

Mówiła dalej, ale Holden już wyciągnął swój terminal. Bolały go palce i musiał się zmusić, by nie ścisnąć ich kurczowo na urządzeniu. Wysłał prośbę o połączenie do Drummer. Jego serce waliło o żebra, jakby spadał, jakby stanął na brzegu wieży i pośliznął się, schodząc z niej. Monika klęła cicho pod nosem. Brzmiało to jak modlitwa.

Jeśli reaktor zostanie włączony i pole magnetyczne zawiedzie, *Rosynant* ulegnie zniszczeniu w ułamku sekundy. Stacja Tycho może przetrwać, przynajmniej częściowo.

– Mówi Drummer – zabrzmiał głos z terminala. – W czym mogę pomóc, kapitanie?

– Włączyliście reaktor? – zapytał Holden.

Drummer zamilkła może na pół sekundy. Miał wrażenie, jakby trwało to lata.

– Tak jest, sir. Mamy sześćdziesiąt procent mocy i wszystko wygląda dobrze.

– Wyłączcie go – zażądał Holden. – Natychmiast go wyłączcie.

Na chwilę zapadła cisza. *Nie pytaj mnie o powód, pomyślał Holden. Nie kłóć się i nie proś, żebym to wyjaśnił. Proszę, nie.*

– Zrobione. Rdzeń wyłączony – zgłosiła Drummer. – Mogę teraz zapytać, o co chodzi?



## Rozdział trzydziesty czwarty

### Aleks

– ...Nie wolno włączać reaktora bez wczytania sterowników sprzętowych ze znanego, bezpiecznego źródła. Jeśli odbieracie tę wiadomość, proszę o retr...

Wiadomość została ucięta.

– Musimy to przesłać dalej – powiedział Aleks. – Musimy to wysłać Holdenowi.

– Zajmę się tym – zapewniła kapitan. – Pan musi się ewakuować z premierem. Natychmiast.

Aleks popatrzyła na nią zmieszany. Naomi była na atakujących ich okrętach. Na *Rosie* dokonano sabotażu. Miał wrażenie, jakby znalazł się w tej chwili zawieszenia między uderzeniem w głowę a wybuchem bólu. Jego pierwszą, nie do końca spójną myślą było: *jeśli Naomi jest z nimi, to może nie jest tak źle.*

– Panie Kamal?

– Nie, w porządku. Po prostu...

Premier popatrzył na niego, a jego spokojne, niewinne spojrzenie wydawało się kompletnie nie na miejscu.

– Czy to coś zmienia, jeśli o nas chodzi?

– Nie – przyznał Aleks. – Po prostu... Nie. Nie, musimy iść. Chwila. Bobbie...

– Gunny Draper wie, gdzie idziecie – zapewniła kapitan Choudhary. – Dopilnuję, żeby się nie zgubiła.

Ruszyli do windy, mając dwóch marines z przodu i dwoje z tyłu. Kabina windy, pchając ich w głąb statku, dała Aleksowi chwilę na zorientowanie się w sytuacji. Potrzebowała tylko kilka sekund na osiągnięcie zadanej prędkości, po czym znowu wróciła nieważkość, ale to wystarczyło, by jego umysł uznał jeden z kierunków za dół a przeciwny za górę. Kabina była dość obszerna, by pomieścić trzykrotnie więcej ludzi. Marines zajęli stanowiska przy drzwiach, gotowi stawić czoła niebezpieczeństwu, gdyby jakieś na nich czekało. Premier stanął z boku blisko wyjścia, gdzie miał niewielką osłonę. Nikt tego nie skomentował, tak po prostu było. Dynamika władzy politycznej zilustrowana pozycjami w windzie.

Tam była Naomi. Właśnie tutaj. Może niecałe tysiąc kilometrów stąd. To tak, jakby skręcił za róg i ją zobaczył. Tylko że oczywiście, wcale jej tam nie było. Nawet walka na małe odległości oznaczała dystanse olbrzymie w każdym innym kontekście. Gdyby statek był przezroczysty, jednostki wroga dałoby się zobaczyć tylko dzięki smugom z dysz ich silników – byłyby kropkami światła na niebie pełnym takich kropek. Pella mogła być teraz od niego w odległości takiej jak z Bostonu do Sri Lanki, co i tak oznaczałoby prawie intymną bliskość w potężnej skali Układu Słonecznego.

– Myśli pan o swojej przyjaciółce – odezwał się Smith.

– Tak, sir – potwierdził Aleks.

– Czy wie pan, dlaczego jest na *Pelli*?

– Nie wiem nawet, dlaczego nie ma jej na *Rosynancie*.

I bez urazy, ale też się zastanawiam, dlaczego w ogóle opuściłem mój statek. Im dłużej mnie na nim nie ma, tym gorszy okazuje się pomysł zejścia z pokładu.

– Myślałem to samo na temat mojego domu – przyznał Smith.

Jeden z marines – wyższy i z szeleszczącym akcentem, którego Aleks nie potrafił zlokalizować – kiwnął głową.

– Powinien się pan schować, sir. Będziemy musieli przejść przez obszar, którego możemy nie kontrolować.

Co oznaczało, że przeciwnik odciął im już drogę do hangaru. Aleks przycisnął się do kawałka ściany niezajętego przez premiera i spał się w duchu. Winda zwolniła i to, co przed chwilą było dołem, stało się górą, a potem nawet to nieznaczne ciężenie znowu ustąpiło. Marines się cofnęli i unieśli broń, drzwi się rozsunęły. Trwającą wieczność sekundę później wyszli na korytarz, a Aleks i premier za nimi.

Korytarze statku były puste, załoga była poprzypinana do prycz na czas bitwy lub przeniesiona gdzieś indziej, dzięki czemu miało tu być bezpiecznie, gdy czterech marines prowadziło ich do celu. Żołnierze na zmianę przechodzili od drzwi do skrzyżowań, potem do kolejnych drzwi. Odległość między nimi rosła z każdym skokiem i Aleks dogłębnie odczuwał fakt, że każde mijane drzwi w dowolnej chwili mogły zostać otwarte,

odslaniając przeciwnika. Chociaż pocieszał się myślą, że marines nie wydawali się tym martwić.

Korytarze wyłożono takim samym materiałem przeciwuderzeniowym jak mostek i mesę, ale naniesiono na nich kody lokalizacji i kolorowe paski ułatwiające poruszanie się po okręcie. Jedna z linii miała intensywnie czerwony kolor z żółtym tekstem HANGAR w hindi, angielskim, bengalskim, farsi i chińskim. Poruszali się zgodnie z jej wskazaniem.

Przemieszczali się szybko i cicho i Aleks sądził już, że dotrą do hangaru bez problemów, gdy przeciwnik w końcu ich znalazł.

Pułapkę zastawiono profesjonalnie. Ostrzał rozpoczęto, gdy marine o niewyraźnym głosie właśnie wybił się do przodu. Aleks z początku nie widział, skąd dochodzą strzały, ale automatycznie się zaczął i zaryzykował wyjrzenie do przodu. Na skrzyżowaniu na przedzie zobaczył błyski wystrzałów i małe kręgi hełmów. Napastnicy stali na ścianie i patrzyli w górę korytarza, jakby strzelali do komina. Nawet gdyby miał broń, cele miały bardzo małą powierzchnię.

– Jesteśmy ostrzeliwani – powiedział jeden z marines i Aleks potrzebował ćwierć sekundy na zrozumienie, że nie mówi do niego. – Trafili Tollivsen.

– Wciąż walczę – krzyknął głos z szeleszczącym akcentem.

Premier Smith ukrył się za krawędzią drzwi po przeciwnej stronie korytarza niż Aleks. Większość cywilów próbowała się przytulić do ściany, odbijała się

od niej i w efekcie lądowała na środku pustej przestrzeni, wystawiona na ostrzał. Smith tego nie zrobił, co dobrze świadczyło o jego przeszkoleniu.

Przez korytarz przemknęła kolejna seria pocisków, wyrrywając długie smugi na ścianach i podłodze, wypełniając powietrze wonią kordytu.

– Oyé – zawołał jeden z atakujących. – Oddajcie Smitha y pozwolimy wam odejść, sa sa?

Pierwszy marine wystrzelił szybko trzy razy, a zaraz potem rozległ się śmiech atakujących. Aleks nie był pewien, ale miał wrażenie, że strzelający do niego ludzie mieli na sobie marsjańskie mundury i lekkie pancerze.

– Hej! – zawołał. – Martwi do niczego się wam nie przydamy, nie?

Na chwilę zapadła cisza, jak w chwili zaskoczenia.

– Hoy, bist tu Kamal?

– Uch – rzucił Aleks. – Nazywam się Kamal.

– Pilot Kostek, tak?

– Kto to Kostki?

– Pinché zdrajczyni – odkrzyknął głos. – Idź do diabła i powiedz jej, że przysłał cię Salo.

– Granat – poinformował dziwnie spokojnym głosem pierwszy marine. – Aktywuję obronę.

Aleks obrócił się twarzą do ściany i przycisnął dłonie do uszu. Fala uderzeniowa wybuchu była jak uderzenie w cały bok. Musiał walczyć o oddech. W powietrzu wirowały płatki czegoś podobnego do śniegu, a smród plastiku i spalonego materiału wybuchowego był tak

gęsty, że aż dławił. Stukot wystrzałów zdawał się dochodzić z oddali.

– Granat unieszkodliwiony – krzyknął marine. – Ale przydałoby się jakieś wsparcie.

Przez wierzch dłoni premiera biegła jaskrawoczerwona krecha, a krew nasączała jego białe mankiety i unosiła się drobnymi kropkami w powietrzu korytarza. Aleks poczuł dłońmi wibrację, gdy coś w okęcie wybuchło zbyt daleko, by to usłyszeć. Ktoś u szczytu korytarza śmiał się i wykrzykiwał coś w pasiarskim narzeczu zbyt szybko, by rozumiał słowa. Aleks znowu na chwilę wysunął głowę i szybko się schował, próbując zorientować się w sytuacji w korytarzu. W miejscu, gdzie przed sekundą znajdowała się jego głowa, poleciały pociski.

Śmiech u szczytu korytarza zmienił się w krzyki, a ostre, płaskie odgłosy wystrzałów w coś głębszego i groźniejszego. Marines otworzyli ogień i w korytarzu zapanowało pandemonium. Obok Aleksa przeleciało ciało, bezwładne i martwe, z mundurem chłonącym krew z tuzina ran. Nie potrafił stwierdzić, do której strony należało.

Strzelanina ustała. Aleks poczekał dłuższą chwilę, a potem ponownie na moment wystawił głowę. Chwilę później wystawił ją na dłuższe spojrzenie. Skrzyżowanie, na którym zaczaili się wrogowie, było zamglone od dymu, krwi i systemu osłony przed granatem. Pośrodku przestrzeni unosiły się dwa ciała, jedno martwe, w lekkim pancerzu bojowym, drugie w pełnym sprzęcie

zwiadu marine. Postać w pancerzu wspomaganym uniosła rękę, sygnalizując czyste przejście.

– Uprzątnęliśmy to dla was – zawołała Bobbie, której głos zdawał się dochodzić z oddali, skądś, gdzie nie było tych wszystkich okropności. – Możecie wyjść. Choć lepiej wstrzymajcie tu oddech, w powietrzu jest trochę śmiecia.

Aleks przeciągnął się do przodu, mając premiera blisko za sobą. Minęli Bobbie i czterech nowych marines, którzy zwiększyli liczebność eskorty do sześciu. Nie widział Bobbie w pancerzu od czasu walki na Io. Mając wokół siebie innych marines i w potężnym pancerzu zwiększającym jeszcze jej rozmiary, wydawała się bardzo na miejscu. Co więcej, wydawała się smutna, wiedząc, że to wszystko jest tylko złudzeniem.

– Dobrze w tym wyglądasz, Draper – krzyknął Aleks, mijając ją.

Na wpół ogłuszony przez strzały i wybuchy tylko poczuł własne słowa w gardle, ale uśmiech Bobbie powiedział mu, że je usłyszała.

W hangarze *Finwal* wisiał trzymany przez klamry zaprojektowane do unieruchamiania statków znacznie większych od niego. Wyglądało to trochę jak przemysłowa tokarka z jedną wykałaczką w środku. Obsługa techniczna trzymała się uchwyty wokół, gestami poganiając Aleksa, Bobbie i premiera, żeby szybko weszli do środka. Gdy Aleks dostał się do statku, wielkie drzwi hangaru zaczęły już cykl otwierania. Bosman zarządzająca hangarem wciskała mu skafander próżniowy i krzyczała, żeby ją usłyszał.

– Koordynujemy ze sterowaniem ogniem. Obrona punktowa spróbuje dać wam czysty start, ale uważajcie. Jeśli wlecisz w nasze pociski, to też zginiesz.

– Rozumiem – odkrzyknął Aleks.

Ruchem głowy wskazała drzwi hangaru.

– Nie czekamy na całkowite odpowietrzenie hangaru, ale ściągniemy go do jakiejś połowy atmosfery. Trochę pyknie, ale nie powinno zrobić wam wycieku.

– A jeśli zrobi?

Znowu podsunęła mu skafander.

– Będiesz miał trochę powietrza w butelce do czasu, aż coś wymyślisz.

– Nie jest to najlepszy plan, ale plan.

– Takie warunki – zgodziła się bosman.

Aleks wcisnął się w skafander, gdy premier, już ubrany, wsunął się do ścigacza i przeszedł na pryczę na tyłach kabiny. *Finwal* był jachtem. Szybką jednostką zbudowaną do lotów poza atmosferą, duchowym spadkobiercą statków, które nigdy nie traciły widoku wybrzeża. Co więcej, był stary. Dziewczyna, która latała nim jako pierwsza, nie żyła – albo spotkało ją coś dziwniejszego – już od lat, a i wtedy statek nie był nowy. A teraz mieli nim lecieć przez rejon walk.

Sprawdził ostatnie uszczelki swojego skafandra i ruszył do *Finwala*. Bobbie unosiła się przy włązie, zaglądając do środka. Kiedy się odezwała, usłyszał jej głos przez radio skafandra.

– Mamy drobny problem, Aleks.



Przecisnął się obok niej. Nawet zanim wbiła się w pancerz bojowy, Bobbie sprawiała, że wnętrze stateczku wydawało się trochę za małe, ale teraz, gdy popatrzył na nią i na drugą pryczę, ta wydała się nedorzecznie mała. Nie było mowy, żeby się w niej zmieściła.

– Każę im zatrzymać sekwencję startową – rzucił Aleks. – Możemy cię wsadzić do normalnego skafandra próżniowego.

– Na tym okręcie są grupy abordażowe, które szukają właśnie nas. Jego – powiedziała Bobbie. – Nie ma na to czasu. – Obróciła się i popatrzyła na niego. Miała smutną twarz za osłoną hełmu. – Widzę tu tylko jedną opcję.

– Nie – zaprotestował Aleks. – Nie zostaniesz tu. Nic mnie nie obchodzi, nie zostawię cię tutaj.

Bobbie poruszyła się, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

– Co? Nie, chodziło mi o to, że wyjmę pryczę i użyję siłowników skafandra do zablokowania się. Myślałeś, że ja...

– Tak. Zrób tak. Już – rzucił Aleks.

Bobbie nachyliła się do przodu, blokując magnetyczne buty o pokład *Finwala* i jedną ręką zapierając się o ramię. Drugą chwyciła podstawę pryczy przeciążeniowej i pociągnęła. Nity zerwały się, jakby rwała papier, a ona wyrzuciła pryczę przez właz do hangaru. W wirującej pryczy przesuwało się i obracało zawieszenie kardanowe. Bobbie wcisnęła się do środka, zapierając się stopami i dłońmi o ściany i pokład i pchając, aż pancerz

zaklinował się na sztywno, jakby był elementem struktury kabiny.

– Dobra – rzuciła. – Jestem gotowa.

Aleks odwrócił się do bosman dowodzącej hangarem. Kobieta mu zasalutowała, a on odpowiedział tym samym, czując serce w gardle. Eskortujący ich marines – ci, którzy ryzykowali życiem, żeby ich tu doprowadzić – już odeszli. Aleks pożałował, że nie pomyślał o podziękowaniu im.

– Wrócę na moje stanowisko, a potem was wypuścimy – powiedziała bosman. – Uważajcie na siebie.

– Dziękuję – odpowiedział Aleks.

Wcisnął się do statku, zamknął właz i rozpoczął procedurę z listy kontrolnej. Reaktor był aktywny, a silnik Epsteina wyświetlał wszystkie kontrolki na zielono. Mieli pełny zapas powietrza i wody oraz gotowe wymienniki. – Jest pan tam na miejscu, sir?

– Tak gotowy, jak tylko mogę być w tej sytuacji – odpowiedział premier.

– Trzymaj się – Aleks zwrócił się do Bobbie. – Może być trochę ciężko, a ty nie siedzisz w pryczy.

– Owszem, nie siedzę – odpowiedziała ze słyszalnym w głosie uśmiechem. – Mam ją na sobie.

– Cóż – cicho rzucił Aleks. – No to w porządku.

Kontrolki klamer zmieniły się z czerwonych, przez żółte, do zielonych i *Finwal* unosił się swobodnie. Zabrzmiały sygnały ostrzegawcze, których dźwięk złagodziła rozrzedzona atmosfera, i olbrzymie drzwi hangaru zaczęły się otwierać. Zmiana zewnętrznego ciśnienia uderzyła w ścigacz jak walnięcie młotem. Aleks

wymierzył w rozszerzającą się szczelinę pełną ciemności i gwiazd i włączył silnik. *Finwal* skoczył w próżnię, chętny i głodny. Wyświetlacz oznaczył kilkanaście jednostek za małych, by zobaczyć gołym okiem, oraz długie, powyginane kształty ognia obrony punktowej, jak macki wijące się w przestrzeni.

– Przejmuję sterowanie laserem łączności – zgłosiła Bobbie.

– Potwierdzam – rzucił. – Będzie rzucało.

Wystrzelił *Finwalem* z hangaru na pełnym ciągu, lecąc w wąski tunel między strugami pocisków ze strzelających automatycznie działek obrony punktowej. Wykręcał ścigacz między liniami pędzącego z olbrzymią prędkością wolframu z nadzieją, że wystarczą do zatrzymania pocisków wystrzeliwanych do nich z bliska przez atakujące okręty. A potem za nim pojawiły się kolejne fale szybko sunących obiektów. Ekran *Finwala* zmienił się w jednolitą masę, pokonany zbyt dużą gęstością chmury lecących za nimi pocisków. Cały arsenał pancernika został wystrzelony równocześnie, przestrojony do częstotliwości lasera łączności ścigacza.

– Mamy naszą eskortę – rzucił Aleks. – Wynośmy się stąd. Jakie przeciążenie tam wytrzymasz, Draper?

– Dam ci znać, jeśli złamię zebro.

Aleks wyszczerzył zęby w uśmiechu, wykręcił ścigacz w stronę słońca i przyśpieszył – dwa g, trzy, cztery, cztery i pół – aż system zaczął narzekać, że nie może mu podać żadnych leków przez skafander próżniowy. Wdusił podbródkiem proste przyciski sterujące hełmu

i wstrzyknął sobie wszystkie amfetaminy z małego zestawu ratunkowego skafandra. Okręty wroga zdawały się niepewne tego, co właśnie się stało, ale potem zaczęły skręcać, wskazywane na ekranie przez wąskie czerwone trójkąty. Strugi wylotowe za jego plecami zaczęły konkurować jasnością z gwiazdami, gdy spadał w stronę Słońca, Ziemi, Luny i przerzedzonych pozostałości floty ONZ. Aleks poczuł rosnącą w piersi radość, jakby pozbył się wielkiego ciężaru.

– Nie możesz zabrać *Finwala* – powiedział do małych czerwonych trójkątów. – Nie ma nas i nie ma, i nie ma. – Przełączył radio na ogólny kanał skafandrów. – Jak tam sobie radzicie?

– Dobrze – sapnął premier. – Ale długo jeszcze będziemy tak przyśpieszać?

– Jeszcze trochę, tak – potwierdził Aleks. – Jak tylko będziemy mieć trochę więcej miejsca, zwolnię do jednego g.

– Trochę miejsca – powtórzył premier z wysiłkiem. – Zabawne.

– Pięć na pięć – rzuciła Bobbie. – Mogę bezpiecznie otworzyć hełm? Wolałabym nie zużywać całego powietrza z butli, gdy na statku jest świeże.

– Tak, można. To samo do pana, panie premierze.

– Proszę. Mów mi Nathan.

– Nie ma sprawy, Nate – odpowiedział Aleks.

Słońce było kulą bieli. Wywołał komputer nawigacyjny i zaczął wykreślać kursy na Lunę. Najszybsza zabrałaby ich wewnątrz orbity Merkurego,

ale parametry ścigacza nie przewidywały zbliżania się na mniej niż pół jednostki astronomicznej do powierzchni korony Słońca. Czyli mogło to stanowić pewien problem. Z kolei Wenus nie było w miejscu, gdzie mógłby rozsądnie użyć jej do asysty grawitacyjnej. Jednak jeśli Avasarala wyśle im na spotkanie jakąś eskortę, może być w stanie wykorzystać planetę. Czyli lot w tamtą stronę może mieć sens.

– Aleks? – odezwała się Bobbie.

– Jestem.

– To, co mówiłeś o nie zostawianiu mnie... Naprawdę tak myślałeś, prawda?

– Oczywiście, że tak.

– Dziękuję.

Poczuł, że się czerwieni nawet pomimo naporu ciągu.

– Proszę bardzo – rzucił. – Wiesz, jesteś teraz załogą, nie? Musimy się o siebie troszczyć.

– Nie zostawiamy żadnego żołnierza – powiedziała. Może był to efekt ciężenia, ale coś w jej głosie zasugerowało, że te słowa niosą głębsze znaczenie. Jakby składała obietnicę. Sapnęła. – Aleks, mamy dwa szybkie obiekty na kursie pościgowym. Chyba bandyci rzucają w nas pociskami.

– Jesteś gotowa ich rozczarować, Gunny?

– Cholera, tak – zapewniła Bobbie. – Ile pocisków mamy w tym magazynku?

Aleks przełączył wyświetlacz. Chmura eskortujących ich rakiet zmieniła się w numerowaną listę, wszystkie na białym z numerami seryjnymi obok każdej pozycji. Nawet

sama lista całkowicie zapełniła ekran. Przełączył się na zestawienie.

– Niecałe dziewięćdziesiąt.

– To nam powinno wystarczyć do celu. Choć wygląda na to, że prawie wszystkie ich statki ostro lecą za nami. Co byś powiedziała na zniechęcenie ich paroma pociskami?

– To przynajmniej utrzyma ich na dystans. Podejrzewam, że ich obrona punktowa zniszczy je, zanim będą w stanie im zaszkodzić, ale poza tym nie mam nic przeciwko – stwierdził Aleks. – Tylko... chwila. – Przełączył ekran z listą na wrogą flotyllę. To, czego szukał, znalazł po kilku sekundach. Oznaczył Pellę. – Do tego statku nie strzelamy.

– Zrozumiano – rzuciła Bobbie.

*Nie zostawiamy żadnego żołnierza, pomyślał Aleks. Ciebie to też dotyczy, Naomi. Nie mam pojęcia, co się tam, u diabła, dzieje i nie wiem, jak to wygląda z twojej strony, ale za nic cię tam nie zostawię.*

## Rozdział trzydziesty piąty

### Naomi

W dawnych czasach, gdy była jeszcze dziewczyną i wiedziała mniej, trudno było jej zobaczyć w Marco czarny charakter. Było to trudne nawet po *Gamarrze*. Nawet gdy zabrał jej Filipa. Dorastała w środowisku pełnym ubóstwa, wiedziała, jak wyglądają źli ludzie. Gwałcili swoje żony. Albo je bili. Znęcali się nad dziećmi. Po tym poznawało się, kim są naprawdę. Marco nigdy taki nie był. Nigdy jej nie uderzył, nigdy nie wziął jej przemocą, nigdy nie zagroził jej zastrzeleniem, wyrzuceniem przez służbę lub polaniem oczu kwasem. Tak dobrze udawał łagodność, że wątpiła w siebie samą, zastanawiała się, czy naprawdę jest nierozsądna, irracjonalna i taka, jak jej sugerował.

Nigdy nie zrobił niczego, co by jej ułatwiało sytuację.

Gdy wróciła do swojej kabiny, drzwi zostały zablokowane. Nie zawracała sobie głowy wzywaniem pomocy lub próbą opuszczenia swojego małego pokoju. Potrafiła rozpoznać więzienie, gdy do niego trafiła,

i z absolutną pewnością wiedziała, że prędzej czy później Marco do niej przyjdzie.

Siedział teraz naprzeciw niej, wciąż w marsjańskim mundurze wojskowym. Miał łagodne spojrzenie, a usta zaciskał w uśmiech rozbawienia i żalu. Wyglądał jak poeta. Mężczyzna doświadczony przez świat, lecz wciąż zdolny do namiętności. Zastanawiała się, czy ćwiczy ten wyraz twarzy w lustrze. Pewnie tak.

Rana na jej głowie przestała krwawić. Bolały ją wszystkie stawy, a po lewym biodrze rozchodził się olbrzymi siniak. Nawet czubki palców sprawiały wrażenie, jakby zdarła z nich wierzchnią warstwę naskórka, zostawiając je obolałe i ociekające limfą, choć tak naprawdę wyglądały tylko na nieco bardziej różowe niż zwykle. Piła tę samą wersję herbaty rumiankowej, którą parzył *Rosynant* i dzięki temu czuła się, jakby miała tu ukrytego sojusznika. Rozumiała, że nie jest to całkiem racjonalna myśl, ale przydawała się każda odrobina komfortu.

Mesa była pusta: ekrany wyłączono, a załogę odesłano. Nie było nawet Cyna i Karala. Oznaczało to, że ich rozmowa pozostanie prywatna, choć zapewne tak nie było. Mogła sobie wyobrazić Filipa obserwującego ich z innego pokładu. To wszystko sprawiało wrażenie ukartowanego. Wszystko w Marco sprawiało wrażenie ukartowanego. Bo z nim wszystko takie było.

– Nie wiem, dlaczego mi robisz takie rzeczy, Naomi – odezwał się Marco. W jego głosie nie było złości. Nie, to



nieprawda. Była i złość, ale ukryta pod maską rozczarowania. – Kiedyś byłaś lepsza.

– Tak mi przykro. Czyżbym zepsuła twoje plany?

– Owszem – przyznał Marco. – O to chodzi. Kiedyś byłaś, hm, mądrzejsza. Byłaś sobą i przynajmniej próbowałaś zrozumieć, co się dzieje, zanim w to wskoczyłaś. Byłaś profesjonalna. Ale to? Wtrąciłaś się w coś skomplikowanego i pogorszyłaś sytuację. Coś, co mogło być łagodne, będzie ostre. Chciałbym po prostu, żebyś zrozumiała, dlaczego zrobię to, co zrobię, żebyś wiedziała, że nie miałem wyboru.

Istniał rozsądny sposób postępowania. Wiedziała. Mądrzejsza kobieta zaczęłaby płakać i błagać o przebaczenie. Nie miało znaczenia, że byłoby to nieszczerze. Dawanie Marco czegoś prawdziwego było błędem. Lepiej, by uważał ją za słabą, lepiej, by jej nie doceniał i nie rozumiał. Wiedziała to, ale nie potrafiła się do tego zmusić. Kiedy spróbowała, coś w jej wnętrzu stanowczo się temu sprzeciwiło. Może gdyby zaczęła udawać słabą, po jakimś czasie stałoby się to prawdą. Może powinna udawać silną.

Naomi splunęła na pokład. W ślinie zobaczyła też odrobinę krwi.

– Oszczędź powietrze.

Nachylił się do przodu, ujmując jej dłonie. Trzymał je mocno, jakby pokazując jej, że mógł ją skrzywdzić, nawet jeśli teraz tego nie robił. *No proszę, to jeden ze sposobów na uczynienie podtekstu fizycznym*, pomyślała, a potem się zaśmiała.

– Naomi, wiem, że między nami nie jest dobrze, du y mé. Wiem, że się gniewasz. Ale wiem też, że kiedyś coś nas łączyło. Ty i ja byliśmy jednym ciałem. Choćbyśmy próbowali się rozejść, nasz syn oznacza, że nigdy nie będziemy całkiem osobno.

Spróbowała wyrwać swoją dłoń, ale jej nie puścił. Mogła szarpnąć mocniej albo pozwolić mu się dotykać, kontrolować jej ciało, choćby tylko w tak niewielkim stopniu. Błysk w jego oczach był przyjemnością. Jego uśmiech zrobił się trochę bardziej szczery, ostry.

– Musisz zrozumieć, że tego, co tu robię, nie robię dla siebie. Robię to dla nas.

– Nas?

– Pasiarzy. Wszystkich Pasiarzy. Dla Filipa. Żeby, kiedy przyjdzie jego pora, wciąż było dla niego miejsce. Nie tylko przypis. Kiedyś istniał lud mieszkający na księżycach i asteroidach oraz planetach, na których nie zrodziło się życie. Ale znaleźliśmy gwiazdne wrota i ten lud wymarł, bo ich już nie potrzebowaliśmy. To dlatego muszę to zrobić. Nie podobają ci się moje metody. Rozumiem. Ale są moje, a sprawa jest słuszna.

Naomi nie odpowiedziała. Procesor żywności wyemitował cichy dźwięk, który oznaczał, że kończy mu się zapas wody. Zaciekawilo ją, czy Marco to wie, czy był to dla niego tylko jeszcze jeden dźwięk bez znaczenia.

– Ładna przemowa. Ale nie wyjaśnia, dlaczego tu jestem. Nie potrzebujesz mnie tu, żeby zniszczyć system, tylko z innego powodu. Chcesz wiedzieć, co myślę?

– Powiedziałaś – rzucił Marco, odrobinę mocniej zaciskając dłoń. – Że po to, żeby wielki James Holden nie przyleciał tu rozwalić mojego domu. Poważnie, masz o nim zbyt wysokie mniemanie. Nie jest aż taki dobry.

– Nie, to coś dużo gorszego. Myślę, że chciałeś *Rosa*. Chciałeś mojego statku latającego u twojego boku, gdy będziesz robił to wszystko. Ale gdy go nie sprowadziłam, zmieniłeś plan. Sakai dokonał sabotażu, żeby go wysadzić. Bo nie ma w tobie niczego oryginalnego.

Jego uśmiech był ciepły, ale spojrzenie zrobiło się lodowate. Bez śladu rozbawienia.

– Nie nadażam – powiedział.

– Zaczynasz rozmowę od *dłaczego zmuszasz mnie do krzywdzenia cię, kiedy tak cię kocham?*, a teraz jesteśmy przy *jeśli ja nie mogę cię mieć, nikt inny też nie*. Jeśli chcesz, możesz udawać, że rozmawiamy o statku. Dla mnie to nie ma znaczenia.

Marco puścił ją i wstał. Nie był tak wysoki, jakim go zapamiętała.

– Od początku się myliłaś. Chciałem Freda Johnsona, Rzeźnika stacji Anderson, który zabijał ludzi takich jak ty, ja i Filip tylko dlatego, że byli Pasiarzami. Chciałem go odizolować, nie dopuścić, by korzystał z twojego statku. Próbowałem go tu sprowadzić, ale nie. Musiałem kazać Sakai, żeby spróbował go unieszkodliwić. Unieszkodliwić, sa sa? Ustawił go na wybuch przy trzech procentach mocy. Urwałoby mu rufę, ale może nikomu nie zrobiło krzywdy.

– Nie wierzę ci – powiedziała, ale on już się nakreślił, chodząc wzdłuż mesy z rękami rozłożonymi szeroko, jak człowiek przemawiający do niewidocznego tłumu.

– Nie planowałem zniszczenia statku. To ty mnie do tego zmusiłaś. To, co stanie się z Holdenem, to twoja wina, nie moja. Musisz to zrozumieć. Że wszystko robi się gorsze, gdy zaczynasz się zachowywać tak jak teraz. Nie wiesz, Naomi. Nie wiesz, bo ci nie powiedziałem.

Wypiła łyk herbaty i wzruszyła ramionami.

– To mi powiedz.

Marco wyszczerzył się w uśmiechu.

– Zauważyłaś, jak na kilka minut wyłączyliśmy ciąg? Dziwne jest robić coś takiego pośrodku pościgu, nie sądzisz?

Prawdę mówiąc, nie zauważyła. Gdy leżała obolała w pryczy, nie zwracała uwagi na zmiany ciężenia statku.

– Procedura dokowania – wyjaśnił, wyciągnął z kieszeni swój terminal i wybrał coś na ekranie.

Kliknęły i zasyczały głośniki ekranu ściennego. Nie pojawił się żaden obraz, ale rozbrzmiał głos.

Jej głos.

*Mówi Naomi Nagata z Rosynanta. Jeśli odbieracie tę wiadomość, proszę o retransmisję. Powiedzcie Jamesowi Holdenowi, że mam problemy. Radio nie działa, straciłam nawigację i kontrolę. Proszę o retransmisję.*

Marco dotknął jeszcze czegoś na swoim terminalu i ekrany obudziły się do życia. Kamery zewnętrzne, prawdopodobnie podłączone do systemu obrony punktowej. *Chetzemoka* leciał nie więcej niż sto metrów

obok, z rurą kołnierza dokowego połączoną ze śluzą jak pępowina. Statek, który – jeśli dobrze pogrzebać – da się z nią powiązać. Zapłacono za niego środkami z jej kont.

– Ustawiliśmy go na kursie z grubsza przechwytyjącym – powiedział Marco głosem zmęczonym i smutnym w sposób, który ukrywał złośliwą satysfakcję. – Reaktor skonfigurowano tak, żeby wybuchł po wykryciu zbliżenia statku. Nie musiało tak być, ale teraz musi.

W jej gardle wezbrała prawdziwa rozpacz, ale zdławiła ją z wysiłkiem. Tego właśnie chciał Marco, więc zrobi wszystko, poczuje cokolwiek, tylko nie to. Przyjrzała się ekranowi. Statek wyglądał jak pudełko posklejane byle jakim spawaniem i epoksydem.

– Kradniesz go swojemu synowi – powiedziała.

Marco zmarszczył brwi. Naomi ruchem podbródka wskazała ekran.

– *Chetzemoka*. Powiedziałam Filipowi, że kiedy tu dotrzemy, będzie jego. To jego statek. Okradasz go.

– Konieczność wojny – rzucił Marco.

– Gówniane wychowanie.

Wysunął szczękę do przodu i zacisnął dłonie w pięści. Przez chwilę sądziła, że wszystko jej ułatwi. Pokaże widowni, przed którą grał, kim i czym naprawdę jest. Opanował się na czas i nie była pewna, czy poczuła w związku z tym ulgę, czy rozczarowanie.

– Gdybyś została na swoim miejscu, James Holden by żył. Ale wyszłaś przed szereg. Ustawiaś się gdzieś, gdzie nie należysz. I przez ciebie on zginie.

Naomi wstała i potarła oko wierzchem dłoni. Jej sfalszowany głos powtarzał w mesie.

– Powiedzcie Jamesowi Holdenowi, że mam problemy...

– Coś jeszcze?

– Udajesz, że cię to nie obchodzi – stwierdził Marco. – Ale to nieprawda.

– Jeśli tak mówisz. – Wzruszyła ramionami. – Rozciąłam sobie głowę, trochę mnie to boli. W każdym razie od czegoś boli mnie głowa. Idę do ambulatorium po jakieś środki, dobra?

– Możesz udawać...

– A mogę udawać w ambulatorium? Czy musisz mi dalej imponować?

Tego było za wiele. Poczwała, jak za tym wszystkim, co powiedziała, wzbiera w niej fala słów. *Jesteś egomaniakiem i sadystą, nie wierzę, że kiedyś sądziłam, że cię kocham oraz jeśli Jim zginie, to na Boga, znajdę sposób, żeby zniszczyć ten statek i wszyscy pójdziecie za nim do piekła.* Ale angażowanie się też było pułapką, więc tego nie zrobiła. Pozwoliła, by cisza zaburzyła rytm wystąpienia Marco i zobaczyła, jak jego ramiona przesuwają się, gdy się poddał i w duchu zszedł ze sceny.

– Miral! – krzyknął, a gdy zaczęły się zbliżać odgłosy załogi wychodzącej ze swoich kabin, znowu zwrócił się do niej. – Dostałaś od nas swobodę, ale nadużyłaś nasze zaufanie. Nie możesz się spodziewać, że ją zachowasz.

– Jestem zbyt niebezpieczna, by zostawić mnie na swobodzie? – zapytała, a potem polizała czubek palca

i zaznaczyła pozycję na wyimaginowanej tablicy. – To jeden punkt dla mnie.

W ambulatorium nieznana jej kobieta przeprowadziła serię testów, upewniając się, że Naomi nie ma krwawienia wewnątrzczaszkowego, że żaden z jej siniaków nie oznaczał ran na tyle poważnych, żeby uszkodzić jej mięśnie, napełnić krew potasem i zatrzymać pracę serca. Miral opierał się o szafkę z wyposażeniem, przez cały czas recytując z przejęciem strumień obelg: dziwka, puta, pizda. Po dniach spędzonych na prowadzeniu inwentaryzacji Naomi doskonale знаła zawartość szafki. Pierwsza szuflada: opaski uciskowe i bandaże. Druga szuflada: jednorazowe karty na krew do wykonania może setki różnych testów polowych. Trzecia szuflada: ratunkowy sprzęt medyczny, w postaci zestawów dekompresyjnych, zastrzyków z adrenaliną czy taśm do defibrylacji. Przypatrywała się Miralowi recytującemu swą litanie. Odwrócił wzrok, a potem wbił w nią spojrzenie, trochę ostrzej wymawiając każde słowo.

Lekarka kazała jej usiąść, a poduszka na leżance zatrzeszczała pod nią przy zmianie rozłożenia wagi. Lek przeciwbólowy miał postać aerozolu podawanego do ust. Smakował jak sztuczne wiśnie i pleśń.

– Może się nie przemęczaj przez kilka dni, dobra? – zasugerowała lekarka.

– Zrobię, co się da – zgodziła się Naomi, zeskakując z leżanki.

A potem kopnęła prostą nogą Mirala w krocze, posyłając go na szafkę i uszkadzając kostki dwóch palców

stopy. Zignorowała ostry ból i rzuciła się na niego, waląc jego głową o pokład. Kiedy się przeturlała, przetoczyła się z nim. Drzwiczki szafki otworzyły się, wysypując na podłogę karty testów i ampułkostrzykawkę. Miral machnął łokciem, zaledwie ocierając się o jej szczękę, ale to wystarczyło, by zadzwoniło jej w uszach.

Upadła na bok, brzuchem na pokład, z zestawami dekompresyjnymi wielkości kciuka wgniatającym się jej w twarz, gdy Miral gwałtownie podrywał się, by wgnieść jej plecy kolanem. Lekarka krzyczała. Naomi próbowała się odwrócić, unikać uderzeń, ale nie potrafiła. Ból wykwitał między jej łopatkami. A potem, jakby przeskoczył czas, ciężar z jej pleców zniknął. Przetoczyła się na bok. Karal założył Miralowi nelsona. Miral wrywał się i kłął, ale oczy drugiego Pasiarza były martwe i niewzruszone.

– Możesz się złościć con sus séra, że dopadła cię niespodziewanie – powiedział Karal. – Marco pas ją pobić, ale tobie, kurwa, nie wolno, sabe pendejo?

– Sa sa – rzucił Miral, a Karal go puścił.

Stojąca w rogu lekarka była ucieleśnieniem milczącej furii. Miral potarł kark i posłał spojrzenie pełne furii wciąż leżącej na pokładzie Naomi. Karal podszedł i spojrzał na nią.

– Bist bien, Kostki?

Kiwnęła głową, a gdy Karal wyciągnął rękę, chwyciła ją i pozwoliła się dźwignąć na nogi. Gdy ruszyła do drzwi, Miral ruszył za nią. Karal zatrzymał go dłonią na piersi.

– Zajmę się tym, ja.



Naomi zwiesiła głowę, zasłaniając twarz woalką włosów. Stały napór przyśpieszenia sprawiał, że jej kolana i kręgosłup bolały jeszcze bardziej niż rany. Przez całą drogę w jej stronę obracały się gniewne twarze. Czuła nienawiść bijącą z nich jak żar z ognia. Gdy przechodziła przez mesę, na ekranie wciąż widać był *Chetzemokę*, z łączącym ich korytarzem. Przy odłączaniu będą musieli wyłączyć ciąg, inaczej odpadnie, ciągnąc się za statkiem jak bezwładna macka. W ten sposób dowie się, że jest już za późno: jeszcze tego nie zrobili.

Kiedy dotarła do swojej kabiny, Karal wszedł do środka i zamknął drzwi. Z ich dwójką w małej przestrzeni zrobiło się tam ciasno i nieprzyjemnie intymnie. Usiadła na swojej pryczy przeciążeniowej, składając ręce na piersi i chowając nogi pod siebie, patrząc na niego pytająco. Karal pokręcił głową.

– Musisz przestać, Kostki – powiedział zaskakująco łagodnym głosem. – Siedzimy w królewskim gównie. Esá la co robimy? Historię, nie? Wszystko zmieniamy, ale tym razem dla nas. Wiem, że z tobą i nim nie jest dobrze, ale tu muss go wysłuchać. Nie?

Naomi odwróciła wzrok. Chciała, żeby sobie poszedł, ale Karal nie wychodził. Usiadł na podłodze z plecami opartymi o ścianę i kolanami przy szerokiej piersi.

– Słyszałem plan, gdy mieliśmy gehst con du? Ściągnąć cię? Protestowałem, ja. Mal cóncep, powiedziałem. Czemu rozcinać bliznę? Marco powiedział, że warto. Powiedział, że kiedy to wszystko przyjdzie, będziesz

w niebezpieczeństwie, a Filip, on zasługuje na spotkanie matki, nie? A Marco jest Marco, so si.

Karal potarł głowę dłońmi. Tarcie wywołało bardzo ciche syczenie, na granicy słyszalności. Naomi poczuła nagle pragnienie dotknięcia go, zaoferowania pociechy, ale tego nie zrobiła. Gdy znów się odezwał, brzmiał na zmęczonego.

– Jesteśmy małymi ludźmi w wielkich czasach, nie? Czasach dla Rzeźników i Marco – sprawach i ludziach dla podręczników historii. Inne pinché światy. Kto tego chce? Choć ty odpuść, co? Może twój Holden nie złapie przynęty. Może coś innego to aktywuje, zanim się tam dostanie. Może zrobisz się mała i przetrwasz to wszystko z życiem. Czy to takie złe? Robić to, co trzeba do przeżycia?

Wzruszyła ramionami. Przez dłuższą chwilę jedynym dźwiękiem był szum wymienników powietrza. Karal dzwignął się ze stęknieniem. Wyglądał starzej, niż o nim myślała. Wydawało jej się, że to coś więcej niż tylko lata. Przez chwilę znowu była młoda, znowu była na Ceres z Filipem gaworzącym w kołysce, oglądała wiadomości o Augustín *Gamarra*. Po raz pierwszy pomyślała, że wszyscy na tym statku oglądali śmierć Ziemi w czasie rzeczywistym tak, jak ona oglądała rozbłysk śmierci *Gamarry* narastający i gasnący w wiadomościach, wielokrotnie powtarzany w pętli do słów reportera. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła, więc po prostu patrzyła, jak Karal otwiera drzwi, a potem je za sobą zamyka. Usłyszała aktywację blokady. Wytarła mokre

oczy i – gdy była pewna, że Karal nie wróci – wypluła na dłoń zestaw dekompresyjny.

Mokry od śliny i nie większy od kciuka był czymś, co nosił przy sobie każdy operator mecha. Mała ampułka wstrzykiwanej, natlenowanej sztucznej krwi i przycisk alarmowy, wysyłający żądanie awaryjnego, medycznego włączenia cyklu śluzy. Okręty wojskowe, takie jak *Pella* i *Ros*, ignorowały tego rodzaju żądania w ramach podstawowych procedur bezpieczeństwa, ale *Canterbury* i inne jednostki komercyjne zwykle je respektowały, przewożąc mnóstwo cywili, którzy stanowili dla siebie samych większe zagrożenie niż piraci. Nie wiedziała, jak zareaguje na to *Chetzemoka*, ale był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. Jedyne, czego jeszcze potrzebowała, to skafander próżniowy i ramy czasowe, kiedy statki mogą wyłączyć ciąg.

Wtedy była to tylko kwestia przejęcia kontroli nad statkiem, może zrzucenia rdzenia i ucieczki w diabły od Marco. Znowu. Poczowała ukłucie żalu na myśl o Filipie – oraz Cynie, Karalu i wszystkich ludziach, których kiedyś znała i którzy byli jej bliscy. Nawet kochani. Było to echo głębszego bólu i mogła je zignorować.

– Nie złamał mnie, gdy byłam dziewczyną – powiedziała do małego czarnego zestawu. – Nie wiem, dlaczego sądzi, że będzie mógł mnie złamać teraz.

## Rozdział trzydziesty szósty

### Holden

Bardzo chciał spać, ale sen nie przychodził. Najlepsze, co mu się udawało osiągnąć, to kilka godzin braku świadomości, po których robił się oszołomiony i rozdygotany. Zaoferowano mu przeniesienie się z powrotem na stację, ale odmówił. Choć zwykle spał lepiej z ciężeniem przyciskającym go do materaca, nie chciał opuszczać statku. Nie był pewien, ile czasu minęło, od kiedy ostatni raz się golił, ale zarost na policzkach i szyi trochę mu przeszkadzał. Podczas pracy nie było tak źle. Załoga sprawdzała systemy jak poprzednio, szukając śladów sabotażu przeoczonych poprzednio, a to dało mu zajęcie. Ludzi, z którymi mógł rozmawiać. Kiedy wychodzili, jadł w kambuzie, trochę próbował spać, a potem wędrował przez statek, jakby czegoś szukał, ale nie potrafił sobie przypomnieć, czego dokładnie.

A w końcu, nieuchronnie i wbrew rozsądkowi, oglądał wiadomości.

– Po tym, jak umilkła stacja Medyna, utracono wszelki kontakt ze skolonizowanymi planetami. Możemy tylko

spekulować na temat znaczenia tego fragmentarycznego raportu z osady Fólkvangr, dotyczącego aktywności obcych na południowej półkuli Nowego Trytona...

– Rzecznik kapitanatu portu powiedział, że neutralność Ganimedesa stanowi odbicie jego uniwersalnego znaczenia, a nie jego stanowiska politycznego...

– Siły ONZ są w drodze, ale nie jest jasne, czy premier Smith faktycznie znajduje się na pokładzie statku wyścigowego, czy ma on tylko odwrócić uwagę przeciwnika od bardziej tradycyjnego sposobu ewakuacji. Niezależnie od tego, pełniąc obowiązki sekretarz generalnej Avasarala ogłosiła ustanowienie strefy bezpieczeństwa, obejmującej trajektorię lotu ścigacza i wszystkie statki w okolicy otrzymały zalecenie usunięcia się poza zasięg broni do czasu, aż...

Uznał, że prędkość światła to przekleństwo. Dzięki niemu nawet najdalsze krańce zasiedlone przez ludzkość zdawały się bliskie, a to złudzenie było swoistą trucizną. Opóźnienie między stacją Tycho a Ziemią wynosiło niewiele poniżej piętnastu minut, ale pokonanie tej odległości zajęłoby dni. Gdyby Aleks lub Naomi zginęli, dowiedziałby się o tym zaledwie kilka minut później. Unosił się pod pasami, zgasił światło w kabinie i skakał po kanałach na wypadek, gdyby coś się stało, równocześnie mając świadomość, że jeśli tak będzie, nic nie zdoła zrobić. Miał wrażenie, że stoi na zamarzniętym jeziorze, patrząc w głąb przez lód, podczas gdy najważniejsi dla niego ludzie tonęli.

Gdyby nie wiedział, gdyby to wszystko działało się gdzieś, gdzie nie mógłby tego oglądać, to może potrafiłby odwrócić wzrok. Może zdołałby zamknąć oczy i przynajmniej o nich śnić. Gdy na jego terminalu pojawiła się prośba o połączenie, odebrał je z satysfakcją.

– Paula – powiedział Holden.

– Holden – przywitała go programistka. – Nie byłam pewna, jakiego harmonogramu się trzymasz, i bałam się, że zadzwonię do ciebie w porze snu.

– Nie – odpowiedział Holden. Nie wiedział, dlaczego czuł się winny, że nie śpi, ale tak było. – Wszystko w porządku, jest dobrze. Co dla mnie masz?

Uśmiechnęła się szeroko.

– Dymiący pistolet. Mogę ci przesłać raport...

– Nie. To znaczy tak. Zrób to. Ale czy zrozumiesz, na co patrzę?

Przeciągnęła się, wciąż z uśmiechem.

– Właśnie miałam iść na kolację. Spotkajmy się w La Fromagerie, a wszystko ci wyjaśnię.

Holden wywołał mapę stacji. Restauracja nie była daleko. Gdyby Naomi zginęła w tej chwili, wiadomość o jej śmierci dotarłaby do niego mniej więcej wtedy, gdy tam dojdzie. Może wcześniej. Przycisnął dłonie do suchych jako piasek oczu.

– W porządku – rzucił.

– Ty stawiasz.

– Dobrze, dobrze, masz na mnie haka. Zaraz tam będę.

Restauracja była mała, stoły wyglądały na prawdziwe drewno, ale na pewno wykonano je ze sprasowanego

bambusa hodowanego hydroponicznie na stacji, bo nikt biorący w miarę rozsądne ceny za posiłki nie mógłby zapłacić za coś z prawdziwego drzewa. Paula siedziała przy stoliku pod ścianą. Zajmowana przez nią ławka wyglądała całkiem normalnie, ale kiedy usiadł naprzeciw niej, jego stopy nie dotykały podłogi.

– Szefie – przywitała go Paula. – Zamówiłam już dla siebie.

– Nie jestem głodny. Co znalazłaś?

– Spójrz – powiedziała, podsuwając mu swój ręczny terminal.

Ekran pełen był kodu ze strukturami zagnieżdżonymi wewnątrz struktur, z powtarzającymi się sekcjami o różnicach na tyle małych, że prawie niewidocznych. Przypominało to patrzenie na wiersz zapisany nieznanym mu alfabetem.

– Na co patrzę?

– Te dwa wiersze – powiedziała. – Ten wysyła kod wyłączenia ograniczającego pola magnetycznego. To są warunki, które go wywołują. W twoim przypadku, gdybyś doszedł do dziewięćdziesięciu pięciu procent, zamieniłbyś się w gwiazdę. Gdybyście byli wtedy w doku, co jest wysoce prawdopodobne, oznaczałoby to zniszczenie przy okazji sporej części stacji.

– A to nowe oprogramowanie? To, na którym teraz działa statek?

– Nie ma nic takiego – zapewniła Paula. – To jest ten moment, kiedy robi na tobie wrażenie fakt, że znalazłam

dwa wiersze niekomentowanego kodu w sterowniku butelki magnetycznej reaktora fuzyjnego.

– Bardzo imponujące – powiedział posłusznie.

– Dziękuję, ale nie to jest najlepsze. Przyjrzyj się wierszowi aktywującemu. Widzisz te wszystkie wywołania ustawione na null? To wszystkie inne parametry systemu, które nie były wykorzystywane.

– Dobrze – odpowiedział Holden.

Sądząc po rozpromienionym wyrazie jej twarzy, miał wrażenie, że powinien doszukać się w jej słowach czegoś więcej. Może gdyby potrafił spać.

– To uniwersalna pułapka. Chcesz, żeby coś wybuchło, gdy będzie od sześciu dni poza portem? Ustaw to wywołanie tutaj na jakieś pół miliona sekund. Chcesz, żeby strzeliło po aktywacji systemów uzbrojenia? Ustawiasz tę zmienną tutaj na jeden. Jest tu kilkanaście sposobów na aktywację i możesz je dowolnie łączyć.

– To ciekawe...

– To cholerny dymiący pistolet – rzuciła Paula. – Katastrofy, w których dochodzi do awarii butelki magnetycznej, nie zostawiają po sobie wiele danych. To nigdy nie powinno się zdarzyć, ale czasem się dzieje. Zawsze się mówiło, że wypadki się zdarzają, i co zrobisz? Statki czasem wybuchają. To tutaj dowodzi, że ktoś stworzył narzędzie przeznaczone specjalnie do tego. Dzięki któremu może się to dziać dowolną ilość razy, o ile tylko uda im się wprowadzić ten kod do statku, który ich zdaniem powinien zginąć. To, co tu mamy, to kluczowy



dowód na może tysiące morderstw, o których nikt dotąd nie wiedział, że były morderstwami.

Podniecenie ścisnęło jej gardło i rozjaśniło wzrok. Nieprzyjemne uczucie w jego żołądku przybrało na sile.

*Muszę polecieć coś zrobić*, powiedziała Naomi w jego wspomnieniach. *Ale nie mogę pozwolić, żebyś się w to zaangażował. W ogóle.*

O to chodziło? Czy to właśnie próbowała trzymać z dala od niego, od *Rosynanta*? I co to znaczyło, jeśli rzeczywiście tak było? Paula wciąż patrzyła na niego wyczekująco. Nie wiedział, jak zareagować, ale cisza zaczynała się robić niezręczna.

– Super? – powiedział.

\* \* \*

Fred siedział przy biurku Drummer z łokciami opartymi o blat, dłońmi podpierając podbródek. Wyglądał na tak zmęczonego, jak Holden się czuł. Ekran pokazywał Drummer i Sakai w pokoju przesłuchań. Znajdujący się zwykle na środku stół został przesunięty na bok, a Drummer rozsiadła się na krześle i opierała na nim nogi. Oboje pili coś, co wyglądało na kawę. Sakai zaśmiał się z czegoś i pokręcił głową. Drummer uśmiechnęła się szelmowsko. Wyglądała młodziej. Holden z zaskoczeniem zauważył, że ma rozpuszczone włosy.

– Co to, do cholery, jest? – zapytał.

– Profesjonalizm – odpowiedział Fred. – Wzbudzanie nici porozumienia. Budowanie zaufania. Prawie udało jej

się go przekonać, że ten, dla kogo pracował, był gotów rozwalić stację z nim na pokładzie. Gdy wreszcie w to uwierzy, będzie nasz. Jeśli damy mu czas, ten człowiek powie nam wszystko, o co zapytamy, a potem spróbuje sobie przypomnieć rzeczy, o które nie przyszło nam do głowy zapytać. Nikt nie jest tak gorliwy, jak nawrócony.

Holdena złożył ręce na piersiach.

– Mam wrażenie, że zapomniałeś o opcji pobicia go kluczem francuskim. Wydaje mi się lepsza.

– Nie, wcale tak nie myślisz.

– W tym wypadku mógłbym zrobić wyjątek.

– Wcale nie. Tortury są dla amatorów.

– No i? Nie robię tego zawodowo.

Fred westchnął i odwrócił się, by na niego spojrzeć.

– Twoja wersja bezdusznego twardziela jest niemal równie męcząca, jak w przypadku wiecznego harcerzyka. Mam nadzieję, że wahadło w miarę niedługo przesunie się gdzieś na środek.

– Bezdusznego?

Fred wzruszył ramionami.

– Znalazłeś coś?

– Tak – potwierdził Holden – ale nie ma tego w nowym sterowniku. Mamy czystą kartę.

– Chyba że jest coś jeszcze.

– Owszem.

– Sakai mówi, że niczego nie ma.

– Nie jestem do końca pewien, czy wiem, jak mam na to zareagować – stwierdził Holden. A po chwili dodał: – Wiesz, zastanawiałem się.

– Na temat tej wiadomości z *Pelli*?

– Tak.

Fred wstał. Miał twardy wyraz twarzy, ale nie bez współczucia.

– Spodziewałem się tej walki, Holden, ale na szali leży coś więcej niż tylko Naomi. Jeśli protomolekuła zostanie zmieniona w broń lub po prostu znowu wypuszczona...

– To nie ma znaczenia – rzucił Holden. – Czekał, nie. Źle to zabrzmiało. Oczywiście, że to ma znaczenie, bardzo duże. Po prostu to niczego nie zmienia. Nie możemy... – urwał, przełknął ślinę. – Nie możemy za nią polecieć. Mam jeden statek, a oni pół tuzina. Wszystko we mnie chce odpalić silniki i pognać za nią pełnym ciągiem, ale to nie pomoże.

Fred milczał. Z ekranu dobiegł odległy dźwięk śmiechu Sakai. Obaj go zignorowali. Holden popatrzył na swoje dłonie. Czuł się, jakby składał jakieś wyznanie. I może tak było.

– Cokolwiek się tu dzieje – powiedział w końcu. – W cokolwiek się wplątała, nie zdołam tego naprawić, przywdziewając lśniąca zbroję i szarżując do bitwy. Jedyne sposoby, w jaki chyba mogę jej pomóc, to robić to, co zaplanowałem. Zawieźć cię na Lunę. Jeśli zdołasz użyć Dawesa, Sakai i Avasarali do otwarcia jakiegoś dialogu z tymi skurwysynami, Naomi może stać się kartą przetargową. Możemy ją wymienić na ich ludzi, których trzymasz w areszcie. Albo na Sakai. Czy coś takiego.

– Do takiego doszedłeś wniosku?

– Owszem – potwierdził Holden, a słowa smakowały jak pył.

– Trochę dojrzałeś od czasu, gdy pierwszy raz się spotkaliśmy – skomentował Fred. Holden usłyszał w jego głosie współczucie. Pocieszenie. – Zaczynam żałować swojego komentarza o „bezdusznym”.

– Nie jestem pewien, czy to dobrze. Zrobiłeś kiedyś coś takiego? Kochałeś kogoś jakby był częścią ciebie, a potem zostawiłeś w niebezpieczeństwie?

Położył dłoń na ramieniu Holdena. Pomimo kruchości, jaką wiek i problemy nadały jego twarzy i ciału, wciąż miał mocny chwyt.

– Cierpiałem po większej liczbie ludzi, synu, niż ty spotkałeś. Nie możesz w tym zaufać swojemu sercu. Musisz robić to, co wiesz, a nie jak czujesz.

– Ponieważ gdybym działał w zgodzie z uczuciami... – powiedział Holden, myśląc, że zakończenie zdania powinno brzmieć powybijałbym zęby Sakai albo doprowadziłbym do naszej śmierci. Fred go zaskoczył.

– To byśmy ją stracili.

\* \* \*

– Kurs wprowadzony – oznajmiła z kokpitu Chava Lombough. – Na pański rozkaz, sir.

Holden próbował odchylić się na pryczy przeciążeniowej, ale bez ciężenia ciągu nadającego mu wagę skończyło się tylko na rozprostowaniu szyi. Jego serce biło jak oszalałe, a do żył płynęła adrenalina.

To nie powinno tak wyglądać. Mostek wydawał się przepełniony. Sun-yi siedziała rozluźniona przy konsoli uzbrojenia. Maura obsługiwała konsolę łączności, monitorując ją bardziej z przyzwyczajenia niż z rzeczywistej potrzeby. To powinien być głos Aleksa. W pryzmach powinni siedzieć tylko on i Naomi.

Nie powinien się bać.

– W porządku – powiedział. – Zróbmy to.

– Sir – potwierdziła Chava.

Kontrolka zmieniła kolor z bursztynowej na czerwoną i Holden zapadł się w swoją pryzkę. Stacja Tycho zaczęła się od nich oddalać. Nie minie godzina, nim stanie się zbyt mała, by zobaczyć ją bez powiększenia. Holden czekał przez trzy długie, drżące oddechy. Cztery.

– Jak wyglądamy, pani Ip?

Z maszynowni odpowiedziała Sandra Ip – która powinna być Amosem.

– Wszystkie systemy w granicach tolerancji.

– Czyli nie wszystko wybuchło – rzucił Holden.

Przez chwilę na kanale panowała cisza.

– Tak jest, sir. Nie wszystko wybuchło, sir.

Holden nie znosił uczucia braku zaufania do własnego statku. *Rosynant* jak dotąd zawsze sprawował się doskonale, od kiedy tylko weszli na jego pokład. Ufał statkowi całym swoim życiem tak, jak ufał swemu sercu, że będzie bić. To było coś więcej niż instynkt, to był odruch. Zrobienie czegoś innego byłoby dziwne.

Ale to było przedtem. Sabotaż Sakai ich nie zabił, ale też nie zostawił bez blizn. Minie dużo czasu, zanim

Holden nabierze pewności, że na statku nie ukryto żadnych dodatkowych nieprzyjemnych niespodzianek. Oprogramowania czekającego na właściwą chwilę do wypuszczenia powietrza albo pchnięcia statku w zabójcze przyśpieszenie lub dowolnego z tysięcy innych sposobów, na które statek mógł zawieść i zabić swoją załogę. Wszystko sprawdzili i niczego nie znaleźli, ale zrobili to i wcześniej, a prawie zginęli z powodu przeoczenia. Żadne ponowne kontrole nie mogły nigdy dowieść, że niczego nie przeoczyli. Od tej pory – może przez długi czas, może już zawsze – będzie się zastanawiał nad rzeczami, które do tej pory nie przychodziły mu do głowy. Żałował naruszenia jego wiary i złościł się z tego powodu.

A potem zaczął się zastanawiać, czy wciąż myśli o *Rosynancie*.

– No dobrze – powiedział, odpinając pasy. – Idę zrobić sobie kawę. Nie zepsujcie tu niczego, a jeśli zepsujecie, to dajcie mi znać.

Chór potwierdzeń był dziwnie przygnębiający. Wolałby, żeby zrozumieli, że żartuje. Albo czuli się na tyle swobodnie, by też zażartować. Ich formalizm był kolejnym sposobem, przez który statek nie sprawiał już właściwego wrażenia.

W kambuzie zastał Freda mówiącego do swojego terminala ręcznego, nagrywał wiadomość, która wyraźnie była przeznaczona dla Andersona Dawesa. Holden cicho nalał sobie kawę przy akompaniamencie zwrotów w rodzaju *linie komunikacji i głęboki brak*

*zaufania*. Kiedy Fred skończył, złożył ręce i odwrócił się do niego.

– Ja też poproszę. Śmietanka, bez cukru.

– Już się robi – odpowiedział Holden. – Coś nowego?

– Poddały się jakieś dwie jednostki z oryginalnej marsjańskiej eskorty.

– Poważnie?

– Były zbyt daleko od rejonu działań, żeby wpłynąć na ich wynik, a zaczynały solidnie obrywać. Nie podoba mi się to, ale nie będę się wypowiadał za ich dowódców.

– Czy mnie się tylko zdaje, czy ci ludzie podają nam nasze tyłki na złotej tacy? – zapytał Holden, podchodząc do stołu z kubkami z kawą. – Naprawdę są tacy dobrzy, czy też my jesteśmy gorsi, niż się nam zdawało?

Fred napił się kawy.

– Słyszałeś kiedyś o bitwie pod Gaugamelą?

– Nie – odpowiedział Holden.

– Dariusz III, cesarz Persji, miał pod swoim dowództwem dwieście tysięcy żołnierzy. Baktryjczyków, Arachozjan, Scytów. Trochę greckich najemników. Po drugiej stronie było trzydzieści pięć tysięcy żołnierzy i Aleksander Macedoński. Aleksander Wielki. Pięciu Persów na każdego Macedończyka. To powinno się skończyć rzezią, ale Aleksander odciągnął na flankę tak duże siły przeciwnika, że pośrodku linii Persów otworzyła się szczelina. Aleksander polecił swoim ludziom uformować klin i prowadząc własną kawalerię, przebił się przez szczelinę, kierując się prosto na cesarza. Po obu stronach otaczały go wielkie siły, ale to nie miało

znaczenia, bo zobaczył, jak dotrzeć do Dariusza. Aleksander dostrzegł coś, czego nie widział nikt inny. Ci ludzie? Ta mała frakcja SPZ? Ziemia, Mars i ja, wszyscy mamy większą liczebność. Więcej broni. Ale to wszystko dzieje się dlatego, że ktoś zauważył okazję, której nie dostrzegł nikt inny. Mieli zuchwałość uderzyć tam, gdzie nikt inny w ogóle nie pomyślałby o ataku. Taka jest potęga zuchwałości, a jeśli generał do tego ma szczęście i silną wolę, może wykorzystać tę przewagę i nigdy nie pozwolić przeciwnikowi odzyskać równowagi.

– Myślisz, że na tym polega ich plan?

– Ja bym tak zrobił – przyznał Fred. – Tu nie chodzi o kogoś próbującego przejąć kontrolę nad Pasem czy księżycami Jowisza. Ktoś chce przejąć to wszystko. Wszystko. Potrzeba pewnego rodzaju umysłu, żeby zrealizować taki plan. Charyzmy, błyskotliwości, dyscypliny. Potrzeba Aleksandra.

– Brzmi to nieco zniechęcająco – skomentował Holden.

Fred uniósł swój kubek z kawą. Czerwono-czarne litery *TACHI* na boku, choć starte przez lata, wciąż były widoczne. Ale nie znikły. Jeszcze nie.

– Teraz lepiej rozumiem, jak czuł się Dariusz – stwierdził Fred. – Miał władzę, pozycję, przewagę. Zwłaszcza, gdy wydaje ci się, że wiesz, jak działają wojny. Robisz się ślepy na inne sprawy. A zanim je dostrzeżesz, pędzi na ciebie macedońska kawaleria z wymierzonymi włóczniami. Ale nie tak przegrał Dariusz.

– Nie? Bo to, co mi właśnie opowiedziałeś, zdecydowanie wyglądało na historię jego porażki.



– Nie. Uciekł.

Holden wypił kawę. Dobiegający z pomieszczeń załogi szmer nieznanomych głosów przypominał, że nie jest dobrze. Że zostały zerwane wzory przeszłości i może nigdy nie uda się ich przywrócić.

– Choć gdyby tego nie zrobił, zginąłby. Aleksander by go zabił.

– Może. A może Dariusz wytrzymałby szarżę. Albo by poległ, a jego armia zmiażdżyłaby Aleksandra, kierowana wściekłością i żalem. Koniec cesarstwa nie zawsze jest końcem cesarstwa. Patrzę na Ziemię i na to, co się tam stało. Przyglądam się Marsowi. Temu, co stało się na Tycho i co, obawiam się, zaszło na Medynie. I widzę klin Aleksandra przerywający front, gnający prosto na mnie. Czuję ten sam szok, co Dariusz, tę samą konsternację. Strach. Ale nie jestem Dariuszem. I nie sądzę, by była nim Chrisjen Avasarala.

– Czyli nie uważasz, że mamy przerąbane?

Fred się uśmiechnął.

– Jeszcze nie wiem, co myśleć. I nie będę wiedział, aż dowiem się więcej o wrogu. Ale kiedy spojrzysz na historię, to widać w niej znacznie więcej ludzi, którzy uważali się za Aleksandra Wielkiego, niż takich, którzy faktycznie nim byli.

## Rozdział trzydziesty siódmy

### Aleks

Lecieli przez pustkę zażarcie ścigani przez wroga. Cztery marsjańskie okręty wojenne z zamiarem na silnik statku Aleksa pędziły w ich stronę, gdy spadali w kierunku Słońca. Pozostałe dwa zostały z tyłu, żeby kontynuować atak na główne siły. Do pościgu za nim oderwała się ponad połowa napastników. Aleks miał nadzieję, że to wystarczy, by dać kapitan Choudhary realną szansę. Z tego miejsca nie mógł zrobić z tym nic, poza przyglądaniem się i podtrzymywaniem nadziei.

Przez pierwsze kilka godzin cały czas leciał z dużym ciągiem i manewrował, unikając pocisków. Gdy wreszcie udało mu się wypracować trochę dystansu między *Finwalem* a napastnikami, natura pościgu uległa zmianie. Nie chodziło już o złapanie lub bycie złapanym. Aleks miał przewagę, chmurę otaczających go siedemdziesięciu dwóch rakiet, czystą drogę do Luny i lecące mu na spotkanie posiłki. Jeśli nic się nie zepsuje, będzie bezpieczny za niecałe dwa dni.

Zadaniem przeciwnika było teraz zepsucie czegoś.

– Nadlatuje kilka kolejnych pocisków z działek – poinformowała Bobbie.

– Urocze – skomentował Aleks. – Robię unik. Dasz znać rakietom?

– Zrobione.

Wolframowe pociski działek obrony punktowej wroga miały w założeniu niszczyć wrogie rakiety z małej odległości. Przy dystansach, które teraz utrzymywali, były czymś pomiędzy zaproszeniem dla załogi *Finwala*, by wpaść na nie przez nieuwagę, a wystawionym środkowym palcem. Aleks prześledził nadlatujące pociski i spał się, gdy silniczki manewrowe pchnęły ich w dół i w lewo, by uniknąć łagodnie zakrzywionych łuków ognia przeciwnika, a potem w górę i w prawo, by skorygować na pierwotny kurs. Otaczająca ich chmura torped rozstąpiła się, by przepuścić pocisk przez stado dysz i głowic bojowych.

– Leci za tym jakaś rakietka? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała Bobbie po chwili.

– Miej na nie oko. Nasi przyjaciele robią się nerwowi.

– Tak bywa, gdy przegrywasz – rzuciła Bobbie.

Aleks nie musiał się obracać, by usłyszeć śmiech w jej głosie.

Z tyłu kabiny dochodziło ciężkie dyszenie Smitha. Nawet stosunkowo łagodny ciąg jednego g był trzykrotnie większy od tego, do czego przyzwyczał się polityk. Całymi godzinami zajmował pasmo wiązki kierunkowej. Czasami Aleks wychwytywał brzmienie nagranego głosu

Avasarali, innym razem ciepły męski głos z charakterystycznym akcentem. Ktoś z Marsa.

*Finwal* był kiedyś zabawką, i choć ekrany były już zdecydowanie przestarzałe, wciąż mieli trochę gadżetów. Ustawił na ekranie widok z zewnętrznych kamer i wokół nich pojawiły się gwiazdy. Słońce było tu większe i jaśniejsze, niż byłoby na Ziemi, ale ustawienia ekranu ograniczały je do zwykłej bieli. Wzdłuż płaszczyzny ekliptyki jarzyły się krzywizny Mlecznej Drogi, z miliardami gwiazd rozmazanymi przez odległość. Otaczające ich rakiety wyglądały jak unosząca się chmura świetlików, a za nimi błyszczały smugi z dysz napastników, jasne jak Wenus tuż po zachodzie Słońca na Ziemi.

Oraz Naomi.

Bobbie westchnęła.

– Wiesz, tysiąc z tych gwiazd należy teraz do nas. Ile to jest? Trzy dziesięciotysięczne procenta naszej galaktyki? Właśnie o to walczymy.

– Tak myślisz?

– A ty nie?

– Nie – zaprzeczył Aleks. – Uważam, że walczymy o to, kto dostanie najwięcej mięsa z polowania i pierwszy będzie mógł skorzystać z wodopoju. Prawo do kopulacji. Kto wierzy w jakich bogów. Kto ma najwięcej pieniędzy. Zwykłe sprawy naczelnych.

– Dzieci – rzuciła Bobbie.

– Dzieci?

– Tak. Wszyscy chcą dopilnować, żeby ich dzieci miały lepsze szanse niż oni. Albo niż cudze dzieci. Coś w tym stylu.

– Hm, pewnie tak – zgodził się Aleks.

Przełączył swój osobisty ekran z powrotem na podgląd taktyczny, wywołując najnowsze dane dotyczące *Pelli*. Wciąż miała przycumowany dziwny, wyglądający bardzo tanio statek cywilny. Aleks nie potrafił stwierdzić, czy kogoś z niego podejmowali, czy kogoś na niego przenosili. Jak na razie była to jedyna jednostka w tej grupie, która nie była wyraźnie bojowa. Nie było żadnych nowych wiadomości od Naomi. Nie wiedział, czy to dobrze, czy może jest to problem, ale nie potrafił się powstrzymać przed sprawdzaniem każdego statku co pięć minut, jakby obskubywał strup.

– Zdarza ci się martwić o twojego syna? – zapytała Bobbie.

– Nie mam syna – odparł Aleks.

– Nie? Wydawało mi się, że masz.

– Nie – zapewnił Aleks. – Nigdy tak naprawdę nie było warunków na dziecko, wiesz? Albo może nawet były, ale jakoś nie wyszło. A ty?

– Nigdy mnie do tego nie ciągnęło – wyznała Bobbie. – Wystarczyła mi istniejąca rodzina.

– No tak. Rodzina.

Bobbie milczała przez chwilę.

– Myślisz o niej – odezwała się w końcu.

– Mówisz o Naomi?

– Tak.

Aleks odwrócił się na pryczy. Pancierz Bobbie sięgał obu ścian, silniki blokowały kończyny, unieruchamiając ją. Wyglądała na ukrzyżowaną. Uszkodzenie pokładu w miejscu, gdzie wyrwała z niego pryczę przeciążeniową, sprawiało, że wydawała się wyłaniać z wnętrza statku. Wyraz jej twarzy był równocześnie współczujący i twardy.

– Oczywiście, że o niej myślę – powiedział Aleks. – Ona tam jest. I pewnie ma kłopoty. Ale przede wszystkim nie mogę dojść do tego, jak w ogóle tam trafiła. Niedługo dotrze tu kawaleria z ratunkiem, a kiedy się pojawią, nie jestem pewien, czy powinienem pomagać w ataku na Pellę, czy ją chronić.

– To trudne – zgodziła się Bobbie. – Ale wiesz, że mamy swoje zadanie: dowieźć Smitha na Lunę. Musimy je wypełnić.

– Wiem. Tylko że nie mogę przestać o tym myśleć. Wciąż wymyślam plany, w których używamy pozostałych nam rakiet do zmuszenia ich, by nam ją przekazali.

– Czy któryś z nich jest choćby odrobinę prawdopodobny?

– Ani jeden – przyznał Aleks.

– Nie ma nic gorszego niż trzymanie się obowiązku, gdy oznacza to pozostawienie kogoś ze swoich w niebezpieczeństwie.

– Serio? – Aleks spojrział na odczyty z *Pelli*. – Wiesz, może...

– Stój na warcie, marynarzu. I uwaga. Mamy nadlatujące pociski z działek.

Aleks zdążył je już zobaczyć i rozpoczął przygotowywanie korekt kursu.

– Jedno trzeba im przyznać, nie brakuje gnojkom optymizmu.

– Może liczą na to, że zrobisz się śpiący.

Przeładowanie ścigacza było niezręczne i dziwne. Przejście z fotela pilota do ubikacji oznaczało, że zarówno Aleks, jak i premier Marsa musieli przeciskać się obok pancierza wspomaganego Bobbie. Albo, w przypadku Bobbie, wygnanie Smitha w puste miejsce po jej pryczy na czas, gdy używała maleńkiej kabiny do rozmontowania pancierza i wejścia do niego z powrotem. Nikt nie zasugerował spania na zmianę w kabinie.

Sam Smith wydawał się miłym człowiekiem, uprzejmym i pełnym refleksji. Na opisanie go najbardziej nasuwało się słowo nieszkodliwy. Aleks przestał śledzić marsjańską politykę podczas pobytu w powolnej strefie, więc nie miał żadnych przyjętych wcześniej osądów dotyczących tego człowieka i jego polityki. Kiedy zdarzało im się rozmawiać, najczęściej dotyczyło to drobiazgów – popularnej kultury Marsa, w której obaj dorastali, wdzięczności Smitha za wysiłek, jaki razem z Bobbie wkładali w utrzymanie go przy życiu, pytań o wygląd i klimat Ilusa. Aleks miał wrażenie, że Smith czuje się przy nim onieśmielony. Co było zdecydowanie dziwne, gdy się nad tym zastanawiał.

Mimo wszystko, gdy Smith wystawił głowę z kabiny, by powiedzieć Bobbie, że przyszła do niej wiadomość od Avasarali, wyglądał trochę jak sekretarz odczuwający

lekki niepokój z powodu przeszkadzania szefowej. Aleks poczuł dziwny impuls – pragnienia zapewnienia go, że wszystko jest w porządku, ale nie był pewien, jak to powiedzieć, by sytuacja nie stała się jeszcze bardziej niezręczna.

Bobbie mu podziękowała, potem przez chwilę się nie odzywała. Aleks obserwował przeciwnika, Słońce i dane docierające ze zbliżających się okrętów eskorty ONZ, wciąż ukrytych przez koronę słoneczną.

– Aleks? – Bobbie brzmiała na sfrustrowaną.

– Tak.

– Nie potrafię przekierować tego strumienia do swojego skafandra. Czy możesz go dla mnie wyświetlić na ekranie? Sama bym to zrobiła, ale...

Przełączył się na system łączności, otworzył okno na ekranie ściennym i przerzucił do niego wiadomość. W oknie pojawiła się Chrisjen Avasarala. Wyglądała starzej, niż Aleks ją pamiętał. Miała ciemne cienie pod oczami, a jej skóra przybrała szarawy odcień, którego tam nie powinno być. Sari sprawiało, że wydawała się jeszcze bledsza. Choć gdy się odezwała, jej głos brzmiał równie pewnie, jak zawsze.

– Bobbie, potrzebuję wszelkich danych, jakie masz na temat zaginionych marsjańskich okrętów. Wiem, powiesz mi, że już mi wszystko przekazałaś, i oczywiście ufam ci i wierzę we wszystko co mówisz, bla, bla, bla i tak dalej. Ale ich potrzebuję. Teraz. Mam potwierdzoną wiadomość o ponad dwudziestu marsjańskich okrętach lecących z dużym ciągiem w stronę Pierścienia. Wszystko od



*Barkeitha* do kilku barek zaopatrzeniowych. To wygląda jak cała niezależna flota. Smith mówi, że się temu przyjrzy, co może znaczyć wszystko, od tego, że dokładnie wie, co się dzieje, tylko nie zamierza mi powiedzieć, do tego, że Mars znajduje się w środku przewrotu, a on nie chce mi nic powiedzieć. W taki czy inny sposób ścisnął gębę jak szczurzy tyłek.

– Przepraszam – rzuciła Bobbie przez ramię.

– Nie mówi niczego, czego nie usłyszałbym od niej prosto w twarz – odpowiedział Smith.

– Mam zatrzymać odtwarzanie? – zapytał Aleks, ale *Avasarala* już mówiła dalej.

– Jeśli to kolejne okręty, które zostały sprzedane ścigającym was ludziom, muszę to wiedzieć. Jeśli to wszystko jednostki FMRK z faktycznymi marsjańskimi załogami, to coś zupełnie innego. A ponieważ nie odpowiadają, nie mam żadnego sposobu, żeby się czegoś dowiedzieć. Jeśli czegoś mi nie powiedziałaś – czegoś wrażliwego, czegoś, czym nie chciałaś się ze mną dzielić – absolutnie to rozumiem. Twoje oddanie i lojalność względem Marsa są dla mnie cierniem w boku, od kiedy tylko cię spotkałam, ale je szanuję. To bardzo dobrze świadczy o tobie jako o żołnierzu i osobie, ale teraz przyszła pora, żeby to wszystko sobie odpuścić. Dodatkowo, Nathan, jeśli tego słuchasz, a zakładam, że tak jest, to jestem najlepszą i jedyną przyjaciółką, jaką teraz masz. Udziel jej zgody na podzielenie się ze mną wszystkim, co wie, albo przysięgam na Boga, że wylądujesz, zarabiając na życie tanimi sztuczkami przed

barakiem na poboczu autostrady. Próbuję tu uratować ludzkość, byłoby dobrze, gdyby ktoś mi pomógł.

Jej głos załamał się na ostatnim słowie i w jej oczach pojawiły się łzy. Aleks poczuł ucisk w piersi i rozkwitło w nim ignorowane do tej pory poczucie żalu. Avasarala odetchnęła głęboko, prychnęła i znowu popatrzyła do kamery. Gniewnie przetarła oczy wierzchem dłoni. Jakby ją zdradziły.

– No dobrze. Koniec pieprzenia. Kocham cię i uwielbiam, i nie mogę się doczekać, aż wszyscy doleciecie gdzieś, gdzie będę mogła wam zapewnić bezpieczeństwo. Uważajcie na siebie. I przyślij mi te pieprzone dane. Już.

Koniec wiadomości. Bobbie odetchnęła głęboko, z drzeniem. Aleks był prawie pewien, że gdyby się obejrzał, zobaczyłby łzy w jej oczach. Z drzwi kabiny dobiegł głos Smitha.

– Powiedziałem jej wszystko, co o nich wiem – zapewnił. – Te statki nie zostały zgłoszone jako zaginione. Załogi na ich pokładach w całości składają się z obywateli Marsa. Ale podobnie było w przypadku fałszywych okrętów eskorty. Do czasu, aż zostanie przeprowadzony pełny audyt personelu wojskowego i baz danych zaopatrzenia, nie będę wiedział, z czym mamy do czynienia.

Aleks odkaslnął, żeby oczyścić gardło, zanim się odezwał.

– Avasarala nie zawsze należy do ufnych osób, Nate. Nie chodzi tylko o ciebie.

– Jest bardzo drobiazgowa – przyznał Smith. – I znajduje się w trudnej sytuacji. Sierżant Draper?

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Kiedy Aleks się obejrzał, zobaczył jej nieprzeniknioną twarz. Wargi zacisnęła w wąską linię.

– Z własnej inicjatywy i nie kierując się zaleceniami Avasarali, ja... Kiedy znalazłam dowody na to, że coś zniknęło, sprawdziłam, którzy oficerowie odpowiadali za brakujące zaopatrzenie i jednostki. Nie znalazłam w tym żadnego wzoru, ale może ktoś będzie umiał. Jeśli zobaczą te dane.

Aleks wyłączył panel, na którym wcześniej odtwarzał nagranie Avasarali. Atmosfera zrobiła się bardzo delikatna. Smith sapnął, a potem wydał niezobowiązujący dźwięk z głębi gardła.

– Proszę mnie też przesłać kopię, sierżant Draper.

Zamknął za sobą drzwi do kabiny. Aleks wyprostował się na fotelu.

– Wiesz – odezwał się – masz naprawdę dziwny stosunek do zdrady. Z jednej strony uważam, że możesz być najbardziej patriotyczną osobą, jaką spotkałem, a z drugiej...

– Wiem. Dla mnie to też nie jest łatwe. I to już od dawna.

– Jeśli twoja lojalność względem korpusu i lojalność względem tej kobiety kiedyś staną w sprzeczności, będziesz miała ciężki dzień.

– Nie dojdzie do tego – powiedziała Bobbie. – Ona do tego nie dopuści.

– Nie?

– Przegrałaby – stwierdziła Bobbie. – A ona nie znosi przegrywać.

\* \* \*

Wiadomość z *Pelli* nadeszła trzy godziny później. Od pierwszej chwili było jasne, że to materiał prasowy. Odpowiedź na zadawane przez wszystkich pytania: kto to wszystko zrobił i dlaczego? Mężczyzna siedział przy biurku, mając na ścianie za sobą dwie różne flagi z rozerwanym kręgiem SPZ. Ubrany był w elegancki, nieznany mundur, miał wzrok pełen smutku, jednocześnie łagodny do tego stopnia, że prawie przepraszający. Mówił niskim, głębokim głosem.

– Jestem – rozpoczął – Marco Inaros, dowódca Wolnej Floty. Jesteśmy legalnymi siłami zbrojnymi planet zewnętrznych i możemy teraz wyjaśnić zarówno ciemnościom z Ziemi i Marsa, jak i oswobodzonym obywatelom Pasa warunki, na jakich opiera się ten nowy rozdział ludzkiej wolności, godności i swobód. Uznajemy prawo Ziemi i Marsa do istnienia, ale ich suwerenność kończy się wraz z atmosferą. Próżnia należy do nas. Wszystkie podróże między planetami Układu Słonecznego są prawem i przywilejem SPZ, a przywileju tego będzie strzegła Wolna Flota. Wszystkie podatki i cła nałożone przez Ziemię i Marsa są nielegalne i nie będą respektowane. Odszkodowania za szkody wyrządzone przez planety wewnętrzne wolnym obywatelom Układu

zostaną wycenione, a odmowa ich pokrycia na rzecz całej rasy ludzkiej będzie uznana za przestępstwo.

W głosie mężczyzny pojawiło się pulsowanie, choć zdawało się w żaden sposób nie wpływać na jego słowa lub ich melodię. Nachylił się w stronę kamery, co wydawało się równocześnie potężne i poufale.

– Po otwarciu obcych wrót znaleźliśmy się na rozdrożu ludzkiej historii. Widzieliśmy już, jak łatwo byłoby zabrać nasze dziedzictwo wyzysku, niesprawiedliwości, uprzedzeń i ucisku do tych nowych światów. Ale istnieje alternatywa. Reprezentantami tej nowej drogi są Wolna Flota i kultura Pasa. Zaczniemy od nowa i przekształcimy ludzkość bez zepsucia, pazerności i nienawiści, z których nie potrafiły się wyzwolić planety wewnętrzne. Owszem, weźmiemy to, co się nam należy, ale co więcej, nadamy Pasowi nową, lepszą postać. Bardziej humanitarną postać. Od tej chwili wrota do innych planet są zamknięte. Statki kolonizacyjne planet wewnętrznych zostaną skierowane do istniejących stacji w naszym Układzie, a przewożone przez nie towary przyczynią się do budowania silnych planet zewnętrznych, na które zawsze zasługiwaliśmy. Nie uznajemy już ani nie akceptujemy jarzma planet wewnętrznych w tym Układzie. Księżyce Saturna i Jowisza należą do nas. Stacja Pallas, stacja Ceres, każda bańka powietrza w Pasie, w której znajduje się choć jeden człowiek, wszystkie są naturalną i legalną własnością ich mieszkańców. Przysięgamy poświęcić życie w obronie tych ludzi, obywateli wielkiej ludzkości, przed

historycznymi i sankcjonowanymi dotąd zbrodniami ekonomii i przemocy, które znosili pod rządami Ziemi i Marsa. Jestem Marco Inaros, dowodzę Wolną Flotą. Wzywam wszystkich wolnych mężczyzn i wszystkie kobiety Pasa, by powstali w radości i szlachetnym oddaniu. Wolna Flota obiecuje wam bezpieczeństwo i ochronę. Ten dzień należy do nas. Jutro należy do nas. Przyszłość ludzkości jest w naszych rękach. Dziś i na zawsze, jesteśmy wolni.

Marco Inaros na ekranie uniósł rękę w pasiarskim geście powitania, precyzyjnymi ruchami i skupieniem czyniąc z niego salut. Jego twarz była ucieleśnieniem stanowczości, siły i męskiej urody.

– Jesteśmy waszym ramieniem – powiedział. – I uderzymy w waszych wrogów, gdziekolwiek są. Jesteśmy Wolną Flotą. Obywatele Pasa i nowej ludzkości, należymy do was.

Wznoszący się akord przeszedł w tradycyjną pasiarską pieśń protestu, zmienioną w coś wojskowego i podrywającego. Nowy hymn wymyślonego narodu. Obraz przygasł do rozerwanego kręgu, a potem na ekranie została tylko biel. Załoga *Finwala* milczała.

– No cóż – odezwała się Bobbie. – Przystojny. I charyzmatyczny. Ale rety, ta przemowa.

– Pewnie dla niego brzmiała dobrze – odpowiedział Aleks. – Zresztą, kiedy zaczynasz od zamordowania kilku miliardów ludzi, cokolwiek powiesz, i tak zabrzmie megalomańsko i upiornie, prawda?

Głos Smitha był spokojny, ale wyraźnie przebijał w nim niepokój.

– On nie mówił do nas. – Premier stał w drzwiach do kabiny z rękami rozłożonymi do obu stron framugi. Jego łagodny uśmiech nie zmienił się, choć zmieniło się jego znaczenie. – To było przeznaczone dla Pasiarzy. A to, co oni od niego usłyszeli, co w nim zobaczyli, będzie czymś innym niż my usłyszeliśmy i zobaczyliśmy. Im właśnie ogłosił zwycięstwo.

## Rozdział trzydziesty ósmy

### Amos

Popiół opadał, pokrywając wszystko kilkoma milimetrami szarości. Wszystko nim śmierdziało. Dwa razy schodzili z drogi, żeby przepuścić konwoje z pomocą, i raz, gdy przejechała obok stara ciężarówka elektryczna, wioząc na pace sześć czy siedem skulonych postaci. Spali, gdy robiło się zbyt ciemno, by coś widzieć, ukrywali wtedy rowery w krzakach lub zaułkach. Żelazne racje zabrane zabitemu miały paskudny smak, ale wyglądało na to, że nie są trujące.

Po czterech dniach rośliny wzdłuż drogi zaczęły wykazywać oznaki umierania: zielone liście brązowiały i zwijały się w stronę ziemi. Z drugiej strony ptaki wariowały. Wypełniały powietrze ćwierkaniem, śpiewem i wszelkimi innymi odgłosami. Prawdopodobnie było to wymawiane w języku wróbli *cholerny świat, co się dzieje, wszyscy zginiemy*, ale brzmiało bardzo ładnie. Amos próbował trzymać się z dala od większych miast, ale w tej części świata nie zostało dużo miejsca niepokrytego betonem.



Gdy przejeżdżali przez Harrisonburg przez dobre dziesięć kilometrów biegły za nimi psy, wyraźnie zbierając odwagę do ataku. Na wszelki wypadek puścił wtedy Złotko przodem, ale sytuacja nie zrobiła się na tyle poważna, by musiał zużywać naboje. Kiedy zaczęli zbliżać się do Baltimore, unikanie ludzi przestało być realną opcją.

Byli wciąż o dzień drogi od arkologii, a zapach świata zmienił się na zapach słonej wody i zgnilizny, gdy trafili na inną grupę. Jechali środkiem ulicy wzdłuż licznych sklepów, cicho sycząc oponami i łańcuchami rowerów, gdy Amos zauważył w mroku kierujących się w ich stronę ludzi. Zwolnił, ale się nie zatrzymał. Złotko dopasowała prędkość. Na podstawie plamy światła na wschodzie zgadywał, że jest około dziesiątej rano, choć było jeszcze na tyle ciemno, że trudno było się zorientować w liczebności zbliżających się ludzi. Na pewno widział czterech. Może jeszcze paru, dalej na tyłach. Trudno powiedzieć.

Byli umazani pyłem, tak jak wszystko dookoła. Jeśli mieli broń, Amos jej nie widział. Może mieli pistolety. Miał więc nad nimi przewagę dystansu, gdyby chciał zacząć strzelać. Byli pieszo, więc potencjalnie mogli im uciec, gdyby do tego przyszło. Problem w tym, że Złotko nie wyglądała wcale na takie zagrożenie, jakim była, a wszystko tutaj będzie się rozgrywać na podstawie wyglądu. Tego rodzaju nieporozumienia prowadziły ludzi na śmierć.

Tamta grupa zwolniła, ale się nie zatrzymała. Ostrożni, ale wciąż zainteresowani. Amos stanął na pedałach.

– Złotko? Może trzymaj się trochę z tyłu.

– Przygotować broń?

– Nie. Zacznijmy przyjacielsko.

Jej rower zwolnił i został z tyłu. Z przodu na ulicy tamci dokonali własnych oszacowań i doszli do odmiennego wniosku. Wszyscy czterej razem wyszli naprzeciw Amosa ze szczękami wysuniętymi w innym powitaniu. Żadnych kłopotów, chyba że będą kłopoty. Amos uśmiechnął się dobrodusznie i pomyślał, że takiego uśmiechu nauczyły go dokładnie takie sytuacje.

– Cześć – powiedział.

– Cześć. – Jeden z czwórki wysunął się trochę do przodu.

Był starszy. Poruszał się płynnie, utrzymując środek ciężkości nisko. Może był weteranem, może po prostu amatorsko boksował. Amos wycelował uśmiech najpierw w niego, potem w pozostałych trzech. Napięcie wspięło mu się po plecach, sięgając karku i ramion. Odetchnął głęboko, zmuszając się do odprężenia.

– Idziecie z Baltimore?

– Monkton – odpowiedział wojownik.

– Tak? Wieże czy bloki?

Usta wojownika drgnęły w lekkim uśmiechu.

– Wieża Z – wyznał.

– Zadisław – stwierdził Amos. – Kiedyś miałem kumpla, który tam mieszkał. Dawno temu. Jak tam teraz

wygląda?

– Jak dziesięć tysięcy ludzi bez jedzenia i prawie bez wody.

– Czyli nie najlepiej.

– Stale są problemy z zasilaniem. A w Baltimore jest jeszcze gorzej. Bez urazy, ale chyba jedziecie w złą stronę.

– Wojownik oblizwał wargi. – Niezłe rowery.

– Robią to, czego od nich chcemy – zgodził się Amos. – Na południe stąd robi się jeszcze gorzej. Uciekamy od uderzenia.

– Ale jak pójdzie się dalej na południe, znowu zrobi się ciepło. Tam właśnie się wybieramy. Kompleks Baja.

Jeden z pozostałych odchrząknął.

– Mam tam kuzyna.

Amos zagwizdał cicho przez zęby.

– To macie przed sobą cholerny kawał drogi.

– Do wyboru mamy iść tam albo zamarznąć tutaj – odparł wojownik. – Powinniście iść z nami.

– Doceniam zaproszenie, ale spotykamy się z paroma osobami w Baltimore.

– Jesteś tego pewien?

– To raczej hipoteza robocza, ale na razie taki jest plan.

Spojrzenie wojownika znowu skupiło się na rowerze, potem przeniósł je z powrotem na twarz Amosa. Bardzo starannie unikał patrzenia na przewieszony przez jego plecy karabin. Czekał, żeby zobaczyć, jak się to potoczy. Mężczyzna kiwnął głową.

– No cóż, powodzenia. Wszyscy będziemy go potrzebować.

– To prawda – zgodził się Amos. – Pozdrówcie Baja ode mnie, gdy tam dotrzecie.

– Pozdrowimy.

Wojownik ruszył ulicą, a pozostali poszli za nim. Amos poluzował taśmę karabinu, ale nie wyciągnął broni. Czterech piechurów wędrowało popielatoszarą drogą. Złotko podjechała, mijając ich. Ostatni w szeregu odwrócił się, oglądając jej przejazd, ale nikt nie zaatakował.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Jasne – potwierdził Amos.

Cienie tamtej grupy zniknęły w mroku.

– Przekonałeś ich, że nie warto próbować nieprzyjemności?

– Ja? Nie. Głównie przekonali się sami. Naszą najlepszą obroną w tej chwili jest fakt, że nikt nie jest przyzwyczajony do zabijania innych, żeby zabrać ich rzeczy. Już niedługo ludzie zaczną zakładać, że każdy nieznajomy planuje im poderżnąć gardło. Jeśli będą mieli szczęście.

Spojrzała na niego. Twarz miała gładką, a oczy inteligentne i twarde.

– Mówisz, jakby niepokoiła cię ta wizja.

– Nie wzrusza mnie to.

\* \* \*

Z każdym pokonanym kilometrem coraz bardziej zbliżali się do morza, narastał smród zgnilizny i soli. Dotarli do brzegu fali: miejsca, w którym załamała się szarża powodzi. Linia śmieci była tak wyraźna i jednoznaczna, że wyglądała, jak zrobiona celowo. Niska ściana ze zniszczonych przedmiotów, zabetonowana błotem. Kiedy ją minęli, popiół zrobił się mokry od błota, a drogi były pokryte kawałkami połamanego drewna i plastiku, zniszczonych ubrań i przesiąkniętych wodą mebli oraz szerniałymi roślinami zabitymi przez mrok, popiół i słoną wodę. Były też ciała martwych ludzi i zwierząt, których nikt nie zamierzał sprzątać. Rowery wyrzucały spod kół wodniste błoto i musieli mocniej naciskać, napierając całymimi ciałami, żeby utrzymać koła w ruchu.

Gdy byli jeszcze około dwudziestu kilometrów od arkologii, Amos wjechał do zamaskowanej warstwą popiołu dziury pełnej wody. Uderzenie wygięło obręcz przedniego koła. Zostawił rower na miejscu, Złotko zrobiła to samo ze swoim.

Zdawał sobie sprawę z dobiegających zewsząd głosów. Obserwowano ich na każdym kroku, ale ponieważ mieli broń i wydawało się, że nic więcej, nikt nie próbował ich zatrzymać. Wszędzie wokoło partery budynków były wypatroszone – zawartość sklepów, mieszkań i biur leżała na ulicy, ściany popękały od działania bezlitosnej wody. Miejscami równie źle wyglądało pierwsze piętro, gdzie indziej było lepiej. Na wyższych poziomach miasto wydawało się prawie nietknięte. Amos ciągle wyobrażał

sobie to miejsce jako zdrowo wyglądającego faceta z odsłoniętą kością i gangreną od kostki w dół.

– Coś cię tak bawi? – zapytała Złotko.

– Nie – odparł Amos. – Tak tylko sobie coś pomyślałem.

Arkologia wyglądała podobnie. Wznosiła się pośród ruin, górując nad zasłanymi śmieciem ulicami tak samo, jak wcześniej górowała nad sprzątanymi. Reaktor zasilający olbrzymi budynek zdawał się wciąż pracować, bo w połowie okien widać było światła. Gdyby przysłonił dłonią dolną część, Amos mógłby prawie udawać, że popiół to śnieg i to tylko najgorsze Boże Narodzenie w historii.

Z trudem doszli do najniższego poziomu. Lodowate błoto przykleiło mu spodnie do skóry aż do kolan. Szklane lufki i ślady stóp zdradzały, gdzie przebywali ludzie, ale nie zastali nikogo na straży. Przynajmniej nikogo nie zobaczyli.

– A jeśli twojego przyjaciela tu nie ma? – zapytała Złotko, gdy Amos wciskał przycisk przywołania windy.

– Wtedy pomyślimy o czymś innym.

– Masz jakiś pomysł, o czym?

– Jeszcze nie.

Był bardziej niż tylko trochę zaskoczony, gdy otworzyły się drzwi windy. Powódź mogła uszkodzić mechanizm. Oczywiście, nadal istniało ryzyko, że winda utknie w pół drogi do góry i umrą w niej. Gdy wybrał poziom klubu, ożył ekran. Popatrzyła na niego kobieta o szerokiej twarzy z blizną biegnącą przez górną wargę.

– Czego?

– Amos. Jestem kumplem Ericha.

– Niczego tu nie rozdajemy.

– Nie szukam jałmużny – zapewnił Amos. – Chcę pogadać o robocie.

– Nie dajemy też pracy.

– Jesteś w tym nowa, Misia? – Amos się uśmiechnął. – Mam robotę. Przyszedłem zapytać, czy Erich chce w to wejść. Teraz jest ten moment, gdy idziesz mu powiedzieć, że w windzie jest jakiś świr, który chce z nim rozmawiać, on się pyta, kto to, a ty mówisz, że facet przedstawił się jako Amos, a Erich próbuje nie wyglądać na zaskoczonego i mówi ci, żebyś mnie wpuściła i...

– Do jasnej cholery! – Głos Ericha był odległy, ale rozpoznawalny. – Wpuść go, bo będzie gadał cały dzień.

Misia skrzywiła się do ekranu i zniknęła, zastąpiło ją niebieskie menu arkologii. Ale winda ruszyła do góry.

– Dobra wiadomość jest taka, że tu jest – stwierdził Amos.

Biuro Ericha wyglądało tak samo, jak podczas poprzedniej wizyty Amosa – ten sam ekran ścienny prezentujący widok na ocean, ta sama gumowa piłka zamiast krzesła, biurko pełne monitorów i klawiatur. Nawet Erich się nie zmienił. Może nawet był lepiej ubrany. Za to kompletnie zmienił się kontekst. Ekran wyświetlał szarobiały ocean, a ubranie Ericha wyglądało jak kostium.

Misia i pozostałych czterech, silnie uzbrojonych zbirów, którzy z profesjonalną dyscypliną eskortowali ich od windy, wyszli na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi.

Erich poczekał z odezwaniami się na ich wyjście, ale drobna pięść jego zdeformowanej ręki otwierała się i zamykała jak zawsze, gdy był nerwowy.

– No proszę. Amos. Wyglądasz bardziej żywo, niż się spodziewałem.

– Ty też nie wyglądasz na trupa.

– O ile dobrze pamiętam, miałeś nigdy nie wracać do mojego miasta. Mówiłem o ogłoszeniu polowania.

– Jedną chwilę – odezwała się Złotko. – Powiedział, że cię zabije, jeśli tu wrócisz?

– Nie – zaprzeczył Amos. – Zasugerował niedwuznacznie, że zrobi to jeden z jego pracowników.

Złotko uniosła brew.

– Jasne, bo to coś innego.

– Jeśli chodzi o staruszkę, to nie sprawdzałem, czy przeżył. Umówiliśmy się, że zatrzyma dom, i tego dopilnowałem. Jeśli dojdzie coś więcej, będziemy mieć inne problemy.

– Nie przyszedłem tu, żeby sprawiać kłopoty – powiedział Amos. – Pomyślałem, że sytuacja zmieniła się na tyle, że może stare zasady nie pasują za dobrze do nowych warunków.

Erich, kulejąc, podszedł do ekranu ściennego. Na tle bezbarwnego nieba krążyło kilka mew. Z poprzedniej wizyty Amos znał kilka budynków, które powinny znajdować się na pierwszym planie. Większość z nich wciąż znajdowała się na miejscu, ale bliżej brzegu krajobraz się zmienił.



– Byłem tutaj, gdy to się stało – powiedział Erich. – To nie wyglądało jak fala, wiesz? Jak fala do surfing. Po prostu cały pieprzony ocean wezbrał i wspiął się na brzeg. Zniknęły całe dzielnice, po których kiedyś ganiałem.

– Ja niczego nie widziałem – wyznał Amos. – Ale wystarczyły mi wiadomości i bajzel po wszystkim.

– Gdzie byłeś?

– Bethlehem – rzuciła Złotko.

Erich odwrócił się z powrotem do nich. Na jego twarzy nie było złości, strachu ani nawet czujności. Co było dobre.

– Czyli kierujecie się na południe, tak? Jak źle to wygląda w tamtych rejonach?

– Nie to Bethlehem – poprawił Amos. – To w dystrykcie administracyjnym Karoliny.

– Gdzie znajduje się Dół – uzupełniła Złotko, unosząc rękę jak dziecko w szkolnej klasie. – Znajdował się – poprawiła po chwili.

Erich zamrugał i oparł się o biurko.

– Tam, gdzie poszło trzecie uderzenie?

– Owszem, całkiem blisko – potwierdził Amos. – Straciłem tę tequilę od ciebie razem z hotelem, co nie było fajne.

– No dobrze. To jakim cudem jeszcze żyjesz?

– Wprawa – odpowiedział radośnie Amos. – Ale wiesz, jest tak. Mam robotę. W zasadzie to robotę ma Złotko, a ja w to wchodzę. Przydałaby pomoc.

– Jakiego typu robotę? – zapytał Erich.

W jego głosie zabrzmiały ostre tony biznesowej rozmowy. Jakby dopiero się obudził. Amos odwrócił się do Złotka i gestem zaprosił ją do wyjaśnień. Objęła swój tors chudymi rękami.

– Znasz jezioro Winnepesaukee?

Erich równocześnie przytaknął i zmarszczył brwi.

– Sztuczne jezioro?

– Tak, odtworzone – potwierdziła. – Na wyspie Rattlesnake jest enklawa. Całe to miejsce jest obstawione murem. Niezależna ochrona. Jakieś pięćdziesiąt posiadłości.

– Słucham – rzucił Erich.

– Na jeziorze znajduje się prywatne stanowisko startowe. Cały sens tego miejsca polega na tym, że można tam skoczyć promem suborbitalnym ze stacji w punktach Lagrange'a albo prosto z Luny i znaleźć się tuż przy domu. Wszyscy tam mają hangary. Pewnie nie ma tam nic z Epsteinem, ale na pewno będzie coś, czym można dolecieć na Lunę. Gdyby próbować dostać się tam drogą, nie da się pokonać punktów kontrolnych, ale można tam wejść od strony wody. Zamek hangaru na łodzi ma obejście, wystarczy wpisać właściwy kod i drzwi się otworzą, nawet bez odpowiedniego czipu w zasięgu.

– A skąd to wiesz? – zapytał Erich.

– Zdarzało mi się spędzać tam lato. Tak wymykaliśmy się i wracaliśmy z imprez.

Erich popatrzył na Złotko, jakby nie był pewien, jak udało się jej wejść do jego gabinetu. Jego śmiech był

krótki i głośny, ale nie oznaczał odmowy. Amos przejął prezentację.

– Wejdziemy tam, zgarniemy statek i polecimy na Lunę.

Erich wyprostował się na piłce z szeroko rozstawionymi nogami i przeturlał się kilka centymetrów do tyłu, a potem do przodu, mrużąc oczy.

– To co jest łupem?

– Łupem? – zapytała Złotko.

– Co zgarniamy? Za co bierzemy kasę?

– Niczego tam nie ma – odparła Złotko.

– To co mam z tego mieć?

– Wydostaniesz się stąd – wyjaśnił Amos. – To miejsce i tak było zadupiem, zanim ktoś rzucił w nie Atlantykiem. Lepiej nie będzie.

Erich się otrząsnął, mocno przyciskając do ciała zniekształconą rękę.

– Czy ja cię dobrze rozumiem? Proponujesz mi akcję, w której muszę pojechać siedemset czy osiemset kilometrów, prześlizgnąć się za plecami najemnych zabójców i zwinąć statek, a w nagrodę mogę zostawić wszystko i wszystkich, których tu mam? I co dalej? Rosyjska ruletka, w której wygraną jest zatrzymanie kuli? – mówił wysokim i napiętym głosem, przycinając wypowiedziane słowa. – To moje miasto, moje miejsce. Wyrzezałem sobie życie z pieprzonej skóry Baltimore i dużo mnie to kosztowało. Bardzo dużo. A teraz mam schować ogon między nogami i uciec, bo jakiś pierdolony Pasiarz postanowił udowodnić, że ma maleńkiego fiutka,

a mamusia nie tuliła go dość, gdy był dzieckiem? Pierdolę! Słyszysz, Timmy? Pierdolę!

Amos spuścił wzrok na dłonie i próbował wymyślić, co teraz. W pierwszym odruchu chciał wyśmiać wybuch Ericha, ale był pewien, że nie zostałyby to dobrze przyjęte. Próbował pomyśleć, co powiedziałyby Naomi, ale zanim wykombinował coś dobrego, Złotko wystąpiła w stronę Ericha, rozkładając ręce, jakby chciała go objąć.

– Wiem – powiedziała głosem zdławionym jakimiś emocjami, których Amos nie potrafił rozpoznać.

– Wiesz? Co ty, kurwa, wiesz?

– Jak to jest wszystko stracić. Jakie to trudne, bo ciągle myślisz, że tak naprawdę wcale nie mogło przepaść. Że można to odzyskać. A może, jeśli będziesz się zachowywał, jakbyś wciąż to miał, nie zauważysz, że przepadło.

Twarz Ericha stężała. Jego zniekształcona dłoń zamykała się i otwierała tak szybko, że wydawało się, że chce strzelać maleńkimi różowymi paluszkami.

– Nie wiem, o czym mówisz...

– Siedziałam z taką kobietą. Zabiła swoje dzieci. Pięcioro. Wiedziała o tym, ale mówiła o nich tak, jakby wciąż żyły. Jakby była pewna, że będę przy niej, kiedy jutro się obudzi. Sądziłam, że oszalała, i chyba to po sobie pokazałam, bo któregoś dnia zatrzymała mnie na stołówce i powiedziała „Wiem, że one nie żyją. Ale wiem, że ja też jestem trupem. Jesteś tu jedyną suką, której wydaje się, że jeszcze żyje”. I gdy tylko to powiedziała, od razu zrozumiałam, o co jej chodziło.

Ku zdumieniu Amosa w oczach Ericha pojawiły się łzy, a potem się rozszochał. Padł w rozłożone ramiona Złotka, obejmując ją zdrową ręką i płacząc na jej ramieniu. Głaskała go po włosach i mówiła mu coś po cichu do ucha, co mogło być wiem, wiem. Albo czymś innym. Czyli wyraźnie wydarzyło się właśnie coś słodkiego i wzruszającego, nawet jeśli nie miał pojęcia, co to, kurwa, było. Amos przestąpił z nogi na nogę i czekał. Łkanie Ericha przybrało na sile, a potem stopniowo zaczęło się uspokajać. Minęło dobre piętnaście minut, zanim mężczyzna wysunął się z objęć Złotka, wrócił za swoje biurko i znalazł chusteczkę do wydmuchania nosa.

– Tutaj dorastałem – odezwał się drżącym głosem. – Wszystko, co kiedykolwiek zrobiłem, każdy mój posiłek, każdy kibel, do którego szczałem, każda dziewczyna, z którą się zadawałem... To wszystko działo się w obrębie 695. – Przez chwilę wyglądał, jakby znowu miał się rozplakać. – Widziałem, jak różne rzeczy przychodzą i odchodzą, widziałem, jak gówniane czasy wracają do normy i znowu robią się gówniane. Wciąż powtarzałem sobie, że to też coś takiego. Po prostu młyn. Ale to nie tym razem, prawda?

– Owszem – potwierdziła Złotko. – Nie tym razem. To coś nowego.

Erich odwrócił się do ekranu, dotykając go czubkami palców zdrowej ręki.

– To moje miasto. To paskudne, gówniane miejsce i złamie każdego, kto będzie udawał inaczej, ale... ono przepadło, prawda?

– Prawdopodobnie – potwierdziła Złotko. – Ale zaczynanie od nowa nie zawsze jest złe. Nawet to, jak ja to zrobiłam, niosło w sobie trochę światła. A ty masz przed sobą coś dużo lepszego niż ja.

Erich spuścił głowę. Jego westchnięcie zabrzmiało, jakby wypuścił z ciała coś większego od siebie. Złotko ujęła jego zdrową dłoń obiema swoimi i przez dłuższą chwilę oboje milczeli.

Amos odchrząknął.

– No dobrze. To chyba znaczy, że w to wchodzisz, tak?

## Rozdział trzydziesty dziewiąty

### Naomi

Nie miała dni. Może kilka godzin, ale równie dobrze mogły to być minuty, a plan wciąż był dziurawy.

Siedziała w mesie skulona nad miską z leguminą. Z kabin załogowych wchodzili tu ludzie, niektórzy w mundurach marsjańskich, część w normalnych ubraniach, inni w nowych mundurach Wolnej Floty, ale większość stołów pozostawała pusta, była tylko ona i Cyn. Wcześniej była prawie częścią załogi, teraz była więźniarką, a przez to zmienił się jej harmonogram. Jadła wtedy, gdy inni nie jedli, ćwiczyła, gdy nie robili tego inni, spała w ciemności z drzwiami zamkniętymi od zewnątrz.

Była za to wdzięczna. Potrzebowała teraz ciszy swojego umysłu i – co dziwne – było jej z tym dobrze. W ciągu ostatnich dni coś zaszło. Nie potrafiła sprecyzować, kiedy ani jak, ale ogarniające ją wcześniej mroczne myśli zniknęły albo zrobiły się tak potężne, że nie dostrzegała ich granic. Nie posądzała siebie o to, że zwariowała. Już parę razy w życiu zdarzyło jej się poczuć,

że umysł zaczyna świrować, ale to było zdecydowanie inne. Rozumiała, że może zginąć, że może zginąć Jim, że Marco może szybować od sukcesu do sukcesu, a Filip może nigdy jej nie wybaczyć ani nawet nie zrozumieć. I wiedziała, że to wszystko ma dla niej znaczenie, i to duże. Tylko że nie przytłaczało ją to. Już nie.

Pępowina łącząca statki miała pięćdziesiąt metrów długości. Nawet nie tyle, co boisko do piłki nożnej na Ziemi. Statki połączono na poziomie szluz towarowych, gdzie łatwiej było dostać się do maszynowni i przenieść zaopatrzenie, przez co śluzy na poziomie załogowym były nieużywane. W szafkach obok znajdowały się skafandry próżniowe. Mając pasek taśmy spawalniczej albo łom, mogłaby zdobyć jeden w kilka minut. Wbić się w skafander, wyjść przez śluzę *Pelli* i pokonać śluzę *Chetzemoki*, wszystko to w czasie między wyłączeniem głównych silników a odpaleniem silniczków manewrowych *Chetzemoki*. Nie dało się tego policzyć. Będzie bardzo, bardzo blisko, ale uważała, że da się to zrobić. A skoro było to możliwe, to było też konieczne.

Oczywiście, wciąż istniały problemy wymagające rozwiązania. Po pierwsze, nie miała taśmy spawalniczej ani łomu, a z nieufnie traktującą ją eskortą przepadła szansa na ukradnięcie czegoś podczas inwentaryzacji. Po drugie, gdy tylko Marco zorientuje się, że zabrała skafander próżniowy i skoczyła, nie miała sposobu na powstrzymanie go przed posłaniem pocisku w *Chetzemokę*. Albo, co gorsza, znalezienie sposobu na wyłączenie pułapki zbliżeniowej i powrót po nią.



Z drugiej strony, gdyby zdołała ukraść skafander tak, by według stanu magazynowego wszystkie wciąż były na swoim miejscu, mogliby uznać, że się zabiła. A martwa nie stanowiła zagrożenia. Znała system magazynowy na tyle dobrze, że prawdopodobnie zdołałaby wymusić aktualizację stanu. Właściwie wiedziała, że jest to do zrobienia przy odpowiedniej ilości czasu i możliwości dostępu. Ale miała tylko godziny. Może godziny, może mniej.

Z ekranu odtwarzającego w pustej sali wiadomości dobiegł znajomy, ostry głos.

– Sekretarz generalna Gao była kimś więcej niż tylko przywódcą naszego rządu. Była też moją bliską przyjaciółką i będzie mi bardzo brakować jej towarzystwa.

Avasarala przybrała starannie kontrolowany wyraz twarzy. Emanowała pewnością i spokojem nawet z ekranu, z odległości kilkuset tysięcy kilometrów. Naomi wiedziała, że to może być gra, ale przynajmniej była w tym bardzo dobra. Jej rozmówcą był młody dziennikarz z krótko ściętymi ciemnymi włosami, wychylający się do przodu i próbujący dorosnąć do zadania wywiadu z nią.

– Inni polegli w wojnie...

– Nie – ucięła mu Avasarala. – Nie w wojnie. Nie polegli. Oni nie polegli, zostali zamordowani. To nie jest wojna. Jeśli chce, Marco Inaros może się nazywać admirałem dowodzącym wielką flotą, może się nazywać pie... Buddą. Ale to nie znaczy, że tak jest naprawdę. To

przestępca z dużą liczbą skradzionych statków, który ma na rękach więcej niewinnej krwi niż ktokolwiek w dziejach. To potworny mały chłopiec.

Naomi wzięła do ust kolejną porcję leguminy. Czegokolwiek użyli w charakterze rodzynek, nie było przekonujące, ale nie smakowało źle. Na chwilę przestała myśleć o taśmie spawalniczej i oszukiwaniu oprogramowania magazynowego.

– Czyli nie traktuje pani jego słów jak wypowiedzenia wojny?

– Wojny z kim? Wojna to konflikt rządów, prawda? Jaki rząd on reprezentuje? Kiedy został wybrany? Kto dał mu stanowisko? Teraz, po fakcie, usiłuje twierdzić, że reprezentuje Pasiarzy. I co z tego? Każdy bandyta na jego miejscu nazwałby to wojną, bo dzięki temu wygląda poważnie.

Dziennikarz zrobił minę, jakby niespodziewanie przełknął coś kwaśnego.

– Przepraszam, ale czy twierdzi pani, że ten atak nie jest poważny?

– Ten atak to największa tragedia w dziejach ludzkości – odpowiedziała Avasarala głębokim i chrapliwym głosem. Dominowała na ekranie. – Ale został przeprowadzony przez krótkowzrocznych, narcystycznych kryminalistów. Chcą wojny? Nic z tego. Czekają ich aresztowania, więzienie i uczciwy proces z adwokatami, na których będzie ich stać. Chcą, żeby Pasiarze się zbuntowali, żeby mogli się ukryć za mieszkającymi tam dobrymi, przyzwoitymi ludźmi?

Pasiarze nie są bandytami, to nie mordercy. To mężczyźni i kobiety, którzy kochają swoje dzieci tak samo, jak my wszyscy. Są dobrzy, źli, mądrzy i głupi, ale przede wszystkim ludzcy. A ta cała „Wolna Flota” nigdy nie zdoła zabić dość ludzi, by Ziemia zapomniała o wspólnym dziedzictwie. Niech Pas sprawdzi swoje sumienie, a znajdzie tam współczucie, przyzwoitość i dobro kwitnące niezależnie od obecności czy braku ciąży. Ziemia została zraniona, ale nie da się upodlić. Po moim cholernym trupie.

Staruszka wyprostowała się na fotelu, patrząc ognistym spojrzeniem w kamerę. Reporter zerknął w stronę obiektywu, a potem z powrotem do notatek.

– Oczywiście, działania pomocowe na Ziemi są olbrzymim przedsięwzięciem.

– Owszem – potwierdziła. – Reaktory w każdym większym mieście na planecie działają z maksymalną wydajnością, by zapewnić...

Ekran zgasł. Cyn odłożył swój ręczny terminal na stół z gniewnym stuknięciem. Naomi obejrzała się na niego zza włosów.

– Esá suce trzeba wyciąć sa yutak – rzucił Cyn. Jego twarz pociemniała ze złości. – Lekcja á totas jak ona, nie?

– Po co? – Naomi wzruszyła ramionami. – Zabijesz ją, to jej miejsce zajmie ktoś inny. Jest dobra w tym, co robi, ale nawet gdybyś faktycznie poderżnął jej gardło, na tym samym fotelu usiadłby ktoś inny i mówił dokładnie to samo.

Cyn pokręcił głową.

– Nie w ten sposób.

– Ale podobnie.

– Nie – rzucił, wysuwając szczękę o centymetr do przodu. – Nie w ten sposób. Alles la o dużych ruchach społecznych y wieków historii, y sa? Historie wymyślane później, żeby to wszystko miało sens. Nie w ten sposób, nie prawdziwe. To ludzie robią rzeczy. Marco. Filipito. Ty. Ja.

– Jeśli tak mówisz – odpowiedziała Naomi.

– Esá coyo na Marsie, który sprzedał nam te wszystkie statki i powiedział, gdzie znaleźć wyposażenie? On nie jest „marsjańską rozpaczą ekonomiczną”, „rosnącym zadłużeniem” ani „nierównościami w zakresie przychodów i dostępu”. – Przy każdym wymyślonym, pretensjonalnym terminie Cyn gestykułował jak nauczyciel przed klasą i było to na tyle zabawne, że Naomi parsknęła śmiechem. Zamrugał, słysząc ten dźwięk, a potem uśmiechnął się nieśmiało. – La coyo la to tylko jakiś coyo. To facet, który dogadał się z gościem, który rozmawiał z jakimiś otras i to zrobiliśmy. Kim są ludzie, to ważne, nie? Nie można ich zastąpić.

Patrzył teraz na nią nie jak nauczyciel przed klasą, tylko jak pouczający ją Cyn. Włożyła sobie do ust ostatnią porcję leguminy.

– Mam wrażenie, że chcesz mi coś powiedzieć – stwierdziła z pełnymi ustami.

Cyn spuścił wzrok, zbierając się w sobie. Bardziej widziała jego wysiłek, niż go rozumiała.

– Filipito, on cię potrzebuje. No sabez la, ale tak jest. Ty i Marco to ty i Marco, ale nie uciekaj jak tchórz.

Jej serce na chwilę stanęło. Myślał, że jest pogrążona w rozpacz, że poddaje się mrocznym myślom. Zastanawiała się, co doprowadziło go do tego wniosku i czy się mylił, czy też dostrzegał w niej coś, czego sama nie widziała. Przełknęła ślinę.

– Mówisz mi, żebym się nie zabijała?

– Czy to źle tak powiedzieć?

Wstała z brudną miseczką w dłoniach. Wstał zaraz po niej, idąc za nią w stronę recyklera. Odczuwana waga ciała była pocieszająca. Wciąż był czas. Jeszcze nie wyłączyli silników. Wciąż mogła wymyślić jakiś sposób.

– To co powinnam zrobić?

Tym razem to Cyn wzruszył ramionami.

– Chodź z nami. Bądź Wolną Flotą. Latamy tam, gdzie nas potrzeba, robimy to, co konieczne. Pomagamy, gdzie potrzebują pomocy, nie? Mamy już na celu osiem statków kolonizacyjnych.

– Na celu do czego?

– Redistribué, nie? Alles la żarcie i sprzęt, co zabrali, lecąc do Pierścienia? Más niż ktoś kiedyś dał Pasowi. Weźmiemy to, nakarmimy Pas i go zbudujemy. Zobaczymy, co es vide, gdy nie będziemy musieli walczyć o powietrze i masę odrzutową. Ogrody w próżni. Miasta, przy których stacja Tycho będzie wyglądać jak pryszcz. Nowy świat bez żadnych planet, co nie? Żadnych obcych świństw. Wysadzić pierścień, spalić go. Wrócić do bycia ludźmi, nie?

Obok przeszły dwie kobiety z głowami nachylnymi ku sobie, zajęte pełnej pasji rozmową. Bliższa zerknęła w jej stronę, odwróciła wzrok, znowu popatrzyła. Z jej spojrzenia wylewał się jad. Nienawiść. Kontrast był uderzający. Z jednej strony wizja przyszłości Cyna, w której Pasiarze uwalniali się od ekonomicznego ucisku planet wewnętrznych, podstawowych aksjomatów formujących światopogląd Nomi od dzieciństwa. Przez całe życie. Cywilizacja zbudowana przez nich i dla nich, przekształcenie ludzkiego życia. Z drugiej – prawdziwi Pasiarze, nienawidzący jej, ponieważ ośmieliła się działać przeciw nim. Bo nie była Pasiarką w dostatecznym stopniu.

– Kiedy to się skończy, Cyn? Gdzie to wszystko się skończy?

– Wcale. Przynajmniej jeśli zrobimy to, jak należy.

\* \* \*

W kabinie nie miała niczego, co mogłoby jej pomóc, ale ponieważ była tam zamknięta i była sama, tam właśnie szukała. Godziny. Nie dni.

Pryczę przeciążeniową przynitowano do pokładu grubą stalą i ceramiką rozstawioną tak, by niezależnie od kierunku działania siły zawsze przynajmniej jedna noga była ściskana. Każdy pojedynczy pręt mógł nadać się do użycia jako dźwignia do podważania, ale nie miała sposobu na odmontowanie pryczy lub wyrwanie któregoś. A więc nie to. Szufłady wykonano z cieńszego metalu, mniej więcej tej samej grubości, co szafki.

Wyciągnęła je najdalej jak się dało, analizując budowę blokad i spoin na złożeniu metalu, szukając wskazówek lub inspiracji. Niczego nie znalazła.

Mały, czarny walec zestawu dekompresyjnego trzymała schowany w ubraniu, gotowy do użycia, gdyby tylko znalazła jakiś sposób. Czuła, jak wymyka się jej czas, sekunda po sekundzie, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Musiała znaleźć jakiś sposób. Znajdzie go. *Chetzemoka* był za blisko, by wciąż znajdować się za daleko.

Jeśli nie spróbuje ucieczki, gdy zwiną łączący statki tunel? Gdyby zdołała się tam przemknąć teraz i ukryć, aż do rozdzielenia... Gdyby zamiast tego dostała się do zbrojowni i może znalazła mecha ratowniczego, którego użyłaby jako skafandra... albo wykorzystałaby go do przebicia się przez ściany na tyle szybko, żeby nikt nie strzelił jej w tył głowy...

– Myśl – powiedziała. – Nie kręć się w kółko skamłając. Myśl.

Ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Sen był serią krótkich drzemek. Nie mogła sobie pozwolić na sen ze strachu, że gdy się obudzi, *Chetzemoki* już nie będzie. Położyła się na podłodze z dłonią zaciśniętą na podstawie pryczy przeciążeniowej, żeby obudziła ją w przypadku zmiany ciągu.

Co zrobiłby Aleks? Co zrobiłby Amos? Co zrobiłby Jim? Co ona by zrobiła? Nic nie przychodziło jej do głowy. Czekwała na nadejście rozpacz, mroku, przemożnego poczucia porażki i nie rozumiała, dlaczego nic z tego jej

nie ogarniało. Miała wszelkie powody czuć się zdruzgotana, a jednak tak nie było. Zamiast tego czuła tylko pewność, że jeśli mroczne myśli wrócą, pochłoną ją z taką siłą, że nie będzie miała z nimi żadnej szansy. O dziwo, nawet ta pewność była uspokajająca.

Gdy zapukała, by wypuścili ją do łazienki, drzwi otworzyła Sárta. Nie, żeby miało to znaczenie. Poszła korytarzem za Naomi, a potem została na zewnątrz. W łazience też nie było niczego, co nadawałoby się do wykorzystania, ale Naomi się nie śpieszyła na wypadek, gdyby coś przyszło jej do głowy. Lustro było wmontowaną w ścianę wypolerowaną płytą stopu. Nie pomoże. Gdyby zdołała wymontować łopatki mechanizmu odsysania ubikacji...

Usłyszała głosy z drugiej strony drzwi. Sárta i ktoś jeszcze. Rozmowa była zbyt cicha, by wyłapać słowa. Skończyła myć ręce, wrzuciła ręczniczek do recyklera i wyszła na korytarz. Popatrzył na nią Filip. Był jej synem, a ona nie rozpoznała jego głosu.

– Filip – przywitała go.

– Cyn powiedział, że chciałaś ze mną rozmawiać. – Filip wypowiedział te słowa tak, że były w równym stopniu pytaniem, co oskarżeniem.

– Doprawdy? Miło z jego strony.

Zawahała się. Ręce swędziały ją od pragnienia znalezienia jakiegoś sposobu zdobycia skafandra próżniowego, ale coś w głębi jej umysłu szeptało: *jeśli uznają, że żyjesz, polecą za tobą*. Płaszczyny i kąty



twarży Filipa tworzyły złość i nieśmiałość. Cyn i tak już uważał, że planuje się zabić. To dlatego przysłał Filipa.

Zrobiło jej się ciężko na żołądku, jeszcze zanim zrozumiała powód. Jeśli Filip też będzie tak myślał, to kiedy zniknie, a jej syn stanie przed Marco jako świadek skłonności samobójczych, łatwiej będzie w to uwierzyć. Mogą nawet nie sprawdzić, czy nie brakuje skafandra.

– Chcesz rozmawiać tutaj, w korytarzu? – zapytała powoli, czując ciężar warg. – Tu blisko jest takie miejsce. Niezbyt obszerne, ale da trochę prywatności.

Filip kiwnął głową, a Naomi odwróciła się i ruszyła korytarzem, prowadząc za sobą Sárte i Filipa. W duchu szykowała sobie teksty. *Jestem taka zmęczona, że chcę tylko, żeby to wszystko się skończyło i to, co się ze mną stanie, nie będzie twoją winą oraz już dłużej tego nie zniosę.* Był tysiąc sposobów przekonania go, że była gotowa na śmierć. A jednak pod tym wszystkim coraz bardziej narastał ciężar w trzewiach. Manipulacja była równie okrutna, co zimna. To było jej dziecko, utracony syn, a ona planowała go wykorzystać. Okłamać go tak dobrze, że to, co powie Marco, nie da się odróżnić od prawdy. Żeby, gdy zniknie na Chetzemoce, uznali, że popełniła samobójstwo i nie próbowali jej szukać. A przynajmniej do czasu, gdy będzie za późno.

Mogła to zrobić. Nie mogła. Mogła.

W kabinie usiadła na pryczy na złożonych pod siebie nogach. On oparł się o ścianę, mocno zaciskając wargi i wysoko unosząc podbródek. Zastanawiała się, o czym

myśli. Czego pragnął, bał się i co kochał. Zastanawiała się, czy ktoś kiedyś pytał go o takie rzeczy.

*Już dłużej nie mogę, pomyślała. Po prostu powiedz, że już dłużej nie możesz.*

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

– A dlaczego nie miałbym?

– Nie wiem – przyznała. – Martwię się o ciebie.

– Nie aż tak, żeby mnie nie zdradzić – rzucił, a to rozwiązało supeł.

Tak, jeśli go okłamie, to go zdradzi, a mimo wszystkich swoich niedostatków, tego nigdy nie robi. Mogła. Mogła to zrobić. Nie chodziło o to, że nie miała siły na podjęcie decyzji, po prostu postanowiła tego nie robić.

– Chodzi o wysłane przeze mnie ostrzeżenie?

– Poświęciłem swoje życie dla Pasa, poświęciłem się uwolnieniu Pasiarzy. A po wszystkim, co zrobiliśmy, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo, ty splunęłaś nam w twarz. Tak bardzo kochasz swojego ziemskiego chłopaka, że wolisz go od swojego rodzaju? O to chodzi?

Naomi kiwnęła głową. Usłyszała wreszcie te wszystkie rzeczy, których Marco nie mówił na głos. Kryło się za nimi prawdziwe uczucie, którego nigdy nie usłyszałyby od Marco. Może nigdy go nie znał. Wchłaniał wszystkie teksty swojego ojca, tylko że tam, gdzie dusza Marco kryła się bezpieczna i nieosiągalna za pancierzem samouwielbienia, Filip swą duszę wciąż nosił na dłoni. Jego oczy jarzyły się od bólu nie tylko dlatego, że go zostawiła, ale dlatego, że zrobiła to dla mężczyzny z Ziemi. Zdrada nie było zbyt mocnym słowem.

– Mój rodzaj – powiedziała. – Opowiem ci coś o moim rodzaju. W tym wszystkim rzeczywiście są dwie strony, ale wcale nie planety wewnętrzne i zewnętrzne. Pasiarze kontra wszyscy inni. To wcale nie tak. To ludzie, którzy chcą więcej przemocy, i tacy, którzy chcą ją ograniczyć. I niezależnie od wszelkich innych zmiennych, które z tego wyciągniesz, znajdziesz je po obu stronach. Byłam dla ciebie ostra w dniu, gdy spadły kamienie. Ale wierzę w każde wypowiedziane przeze mnie słowo. Jesteśmy z twoim ojcem teraz po różnych stronach i zawsze tak było. Nigdy, absolutnie nigdy się nie pogodzimy, ale pomimo wszystko wierzę, że ty wciąż możesz wybrać swoją stronę. Nawet teraz, gdy wydaje się, że zrobiłeś coś, czego nie da się odkupić, możesz wybrać, co to dla ciebie znaczy.

– To wszystko gównem – warknął. – Jesteś gównem. Jesteś pieprzącą Ziemią kurwą i zawsze nią byłaś. Markietanką wciskającą się do łóżka każdemu, kto wydaje się ważny. Takie było całe twoje życie. Jesteś nikim!

Złożyła ręce. To wszystko, co powiedział, było tak nietrafione, że nawet nie bolało. Jakby nazywał ją terierem. Do głowy przychodziło jej tylko *to ostatnie słowo, które powiesz swojej matce? Będziesz ich żałował przez resztę życia.*

Filip odwrócił się i otworzył drzwi.

– Zasługujesz na lepszych rodziców – powiedziała, a on zatrzaskał je za sobą.

Nie wiedziała, czy ją usłyszał.

## Rozdział czterdziesty

### Amos

Przy jeździe rowerami, marszu piechotą, zdobywaniu żywności i wybieraniu trasy pozwalającej uniknąć gęsto zamieszkanym obszarów okręgu administracyjnego Waszyngtonu pokonanie siedmiusetkilometrowej trasa z Bethlehem do Baltimore zajęło im prawie dwa tygodnie. Przebycie nieco ponad czterystu kilometrów z arkologii do jeziora Winnepesaukee – tylko kilka godzin. Erich wezwał Misię, która naprawdę nazywała się inaczej, ale Amos nie potrafił zapamiętać, i dwóch innych, a potem wysłał jego i Złotko, żeby poczekali w innym pokoju, gdy on będzie prowadził kilka rozmów.

Dwadzieścia minut później Amos, Złotko, Erich i jeszcze dziesięć osób stało na dachu arkologii, wsiedli do dwóch helikopterów transportowych z wymalowanym na bokach logo Ochrony Al Abbiq. Erich nie powiedział, czy zostały ukradzione, czy wypożyczone odpłatnie, a Amos nie pytał. Na tym etapie nie miało to żadnego znaczenia.

Krajobraz w dole wyglądał ponuro. Opady popiołu osłabły, ale nie ustały. Słońce było rdzawą plamą nad

zachodnim horyzontem. W dole miasta przechodziły z jednego w drugie, nierozdzielone nawet pojedynczymi drzewami czy pasami trawy. Większość okien była pusta. Na ulicach i autostradach było pełno samochodów, ale tylko nieliczne się poruszały. Po minięciu Nowego Jorku skręcili na wschód. Wielka bariera chroniąca przed morzem została roztrzaskana i ulice wyglądały jak kanały. Upadło kilka wielkich wież, zostawiając po sobie dziury w krajobrazie.

– Gdzie są wszyscy? – Złotko wykrzyczała przez warkot wirników.

– Są tam – odkrzyknął Erich, wskazując zniekształconą ręką, zdrową trzymając się taśmy. – Wszyscy tam są, po prostu teraz już jest mniej niż w zeszłym tygodniu. I więcej niż będzie za tydzień.

Nad Bostonem ktoś wystrzelił w nich raketę z dachu kompleksu handlowego, ale helikoptery ją zestrzeliły. Niebo na wschodzie miało sinoczarny kolor, który kojarzył się Amosowi z chmurami burzowymi. Zachód z drugiej strony miał barwę krwi.

– Nie będziemy mieć problemów z oblodzeniem wirników? – Amos zagadnął pilota, ale nie dostał odpowiedzi.

Wylądowali na lotnisku kilka kilometrów na południe od jeziora. Przed lądowaniem Amos dobrze przyjrzał się okolicy: niskie wzgórza obejmowały wodę, jakby trzymano ją w zagłębieniu dłoni. Na powierzchni jeziora zauważył kilkanaście wysp, niektóre równe jak brzeg, inne porośnięte wypielęgnowanymi lasami. Platforma

lądowiska była kwadratem ceramiki na tafli wody, z wciąż mrugającymi czerwonymi i bursztynowymi światłami.

Gdy w końcu dotarli na brzeg wody, nie wyglądało to już tak ładnie jak z góry. Woda śmierdziała martwymi rybami, a na jej powierzchni unosiła się warstwa popiołu, jakby ktoś posypał wszystko kredowym pyłem. Ludzie Ericha weszli po pas do jeziora i rzucili na powierzchnię trzy pakiety, które rozwinęły się w twarde, czarne pontony. Do czasu, gdy ruszyli nimi w stronę enklawy na wyspie Rattlesnake, niebo zrobiło się całkiem czarne. Żadnych gwiazd, księżycy ani odbitych światła. Noc była czarna jak po wsadzeniu głowy do worka.

Skręcili do północnej strony wyspy, gdzie w stronę platformy lądowiska rozciągał się szeroki most na stalowych filarach. Brzeg pełen był hangarów na statki kosmiczne i łodzie, pudełek na zabawki bogaczy, wielkości bloków mieszkalnych mieszczących tysiąc osób na podstawowym utrzymaniu. Ich pontony gładko sunęły po pokrytej popiołem wodzie. Wybrany przez nich hangar na łodzie był błękitny, ale gdy nie otaczał go blask światła, mógł być w zupełnie innym kolorze. Znalezienie klawiatury na słupie sterczącym z wody zajęło im tylko trzy minuty. Złotko się nachyliła, wyciągnęła chudą rękę i wstukała sekwencję cyfr. Przez chwilę zdawało się, że nie zadziałały, a potem drzwi hangaru uniosły się bezdźwięcznie, a w środku zapaliły się światła. Wnętrze wyłożono panelami cedrowymi i mogło pomieścić kort

tenisowy. Gdy ruszyli do środka, z ciemności rozległo się gniewne szczekanie.

Na pokładzie małej motorówki stał wilczarz z pazurami na relingu. Pontony ścisnęły się, przepływając obok motorówki. Amos wstał, a wilczarz warcząc, skoczył w jego stronę. Zwierzę było piękne, zapewne zmodyfikowane genetycznie w celu uzyskania lśniącego futra i wdzięcznych krzywizn pyska.

– Cześć. – Amos przysiadł do poziomu psa. – Ktoś nie zawracał sobie głowy zabranieniem cię, gdy odlatywałeś, co? To strasznie wredne.

Pies się cofnął, niepewny i przestraszony.

– To może zrobimy tak – zaproponował Amos. – Ty nas nie będziesz zaczepiał, a my cię nie zastrzelimy.

– On nie mówi – rzucił Erich, a pies cofnął się jeszcze bardziej, nadal szczekając.

– Skąd wiesz? Dupki z takimi pieniędzmi mogli mu wszczepić do mózgu jakiś automat do tłumaczenia.

– Nie da się tego zrobić – stwierdził Erich, a potem obrócił się do Złotka. – Nie da się, prawda?

– To posiadłość Cooków – odpowiedziała Złotko. – Mieszkali tu Darwa i Khooni. Zdarzało mi się u nich sypiać w lecie we środy. – Zadrżała lekko, a Amos przekrzywił głowę. – Minęło dużo czasu, od kiedy tu ostatnio byłam. Mam wrażenie, że wszystko powinno bardziej się zmienić.

– Wiesz, jak dostać się do ich hangaru? – zapytał Erich.

– Tak.

Jednak kiedy się tam dostali, hangar był pusty. Po przejściu szerokiego zwirowanego dziedzińca do sąsiedniego budynku – należącego do Davidowicsów – też niczego nie znaleźli. W trzecim nie zastali statku, za to było tam kilkunastu ludzi. Stali na środku przestrzeni z pistoletami i tanimi aerozolami obronnymi, sprzedawanymi bez pozwolenia w każdym sklepie z chemią. Mężczyzna na ich czele miał może pięćdziesiątkę, siwiejące włosy i zaczątki brody.

– Wy tam, stać! – krzyknął, gdy Amos, Misia i jeszcze trzech ludzi przeszli przez drzwi. – To teren prywatny!

– Och, należy do was? – zadrwiła Misia. – To wasze miejsce?

– Pracujemy dla Quartermansów. Mamy prawo tu być. – Mężczyzna pomachał pistoletem. – Wynocha!

Amos wzruszył ramionami. Do środka weszło kolejnych sześciu ludzi Ericha, większość z karabinami automatycznymi trzymanymi spokojnie przy bokach. Służący skulili się na samym środku hangaru. Gdyby mieli jakieś umiejętności lub wprawę, ukryliby dwóch lub trzech snajperów wśród krokwi, gotowych do zdjęcia przeciwników w czasie, gdy ci na dole odwracali ich uwagę, ale Amos nikogo nie zauważył.

– W zasadzie nie sędzę, żeby Quartermansowie mieli tu wrócić. Zamierzamy zabrać trochę ich rzeczy, ale możecie brać wszystko, co nie będzie nam potrzebne.

Twarz mężczyzny stwardniała i Amos przygotował się na mnóstwo trupów, ale zanim ludzie Ericha unieśli broń, wtrąciła się Złotko.



– Ty jesteś... jesteś Stokes, prawda?

Mężczyzna na przedzie – najwyraźniej Stokes – opuścił broń, zmieszany na widok wychodzącej z grupy Złotko.

– To ja. Clarissa Mao.

– Panna Clarissa? – Stokes zamrugał. Pistolet zadrżał.

Amos usłyszał, jak Misia mruczy pod nosem „Kurwa, poważnie?”, ale nikt nie zaczął strzelać.

– Panna Clarissa! Co panienka tu robi?

– Próbuję odlecieć – Złotko odpowiedziała ze śmiechem w głosie. – Co wy tu robicie?

Stokes uśmiechnął się do niej, a potem nerwowo do Amosa, Ericha i wszystkich pozostałych, świecąc zębami jak promieniem z bardzo chwiejnej latarni.

– Kiedy spadł drugi głąz, przyszedł rozkaz ewakuacji. Wszyscy Quartermansowie odlecieli. Zabrali statek i już. Wszyscy uciekli. Cookowie, Falknerowie, nawet stary Landborn. Wszyscy, po prostu wsiedli do statków i odlecieli. Powiedzieli, że ochrona zapewni nam bezpieczeństwo do czasu przybycia pomocy, ale pomoc nie nadchodzi, a ochrona? To bandyci. Powiedzieli nam, że skoro Quartermansowie uciekli, to my mamy im płacić, ale czym?

– Całym sprzętem Quartermansów – rzucił Amos. – Co sprowadza nas z powrotem do mojej pierwszej uwagi.

– Zostały jakieś statki? – zapytała Złotko. – Potrzebujemy statku, takiego, który zabierze nas na Lunę. Po to tu przyszliśmy.

– Tak, tak, oczywiście. Bergavinowie zostawili *Zhang Guo*. Stoi w ich hangarze. Możemy was tam zabrać, panno Clarisso, ale...

Od bocznych drzwi zabrzmiał głośny gwizd. Z uliczki na zewnątrz. Misia spojrzała w oczy Amosowi.

– Towarzystwo – rzuciła.

Ulice wyspy były szerokie. Przestronne. Na tyle obszerne, by przewieźć nimi statek do mostu na lądowisko. Samochód patrolowy ochrony miał na boku logo Pinkwater, ze szponem i okiem. Jego reflektory wycinały w ciemności szerokie stożki. Erich stał, osłaniając oczy zdrową ręką. W jego stronę szli pewnym krokiem dwaj mężczyźni.

– No proszę – odezwał się jeden z nich. – Co my tu mamy?

Erich zaczął się cofać, kuśtykając.

– Żadnych kłopotów, proszę pana.

– Może ja o tym zdecyduję – stwierdził idący bardziej z przodu. – Na ziemię!

Na głowie nosił kowbojski kapelusz, a rękę trzymał na rękojeści pistoletu. Amos się uśmiechnął. Ciepło odczuwane w brzuchu i rękach było takie samo, jak po usłyszeniu znajomej piosenki sprzed lat. Po prostu przyjemne.

– Powiedziałem na ziemię, kaleki sukinsynu! Zrób to już albo wyrucham cię w oczodoły!

– Złotko? – zawołał Amos, wychodząc w blask światła. Obaj ochroniarze wyciągnęli pistolety i wycelowali w niego. – Hej, Złotko, jesteś tam?

– Tak? – odpowiedziała.

Brzmiało to tak, jakby stała w bocznych drzwiach. Zobaczył, jak ochroniarze dostrzegają w mroku pozostałych ludzi Ericha. Przeważnie byli tylko sylwetkami, ale wyraźnie się spięli. Moment zrozumienia, że zabrało się nóż na strzelaninę, nigdy nie był przyjemny.

– Widzisz, właśnie o tym mówiłem – zawołał Amos. – Gdy wszystko się sypie, plemiona się kurczą. Ci ludzie pewnie są bardzo przyzwoici, gdy mają nad sobą jakiegoś szefa. Klientów. Udziałowców. – Zwrócił się do mężczyzny w kapeluszu i wyszczerzył przyjaźnie. – Cześć – rzucił.

– Uch. Cześć – odpowiedział Kapelusz.

Amos kiwnął głową i znowu krzyknął w stronę hangaru.

– Ale jak się to zabierze, to robią się tylko facetami z bronią. Zachowują się jak faceci z bronią. Tak postępują. Prawda?

– Rozumiem – zapewniła Złotko.

– Powinniście odłożyć broń. – Amos zwrócił się do Kapelusza. – Mamy jej w cholerę więcej od was. Serio.

– Słyszeliście – rzuciła Misia. – Broń na ziemię, proszę. Ochroniarze spojrzeli na siebie.

– Moglibyśmy po prostu was zastrzelić – przypomniał Amos. Gdy Kapelusz i jego partner powoli opuszczali pistolety na ziemię, Amos znowu podniósł głos. – Więc Złotko, jeśli chodzi o tych gości... Zmieniają się z chroniących wielkie plemię z tym-jak-mu-tam i nimi

wewnątrz na chroniących własne plemię, z wszystkimi innymi poza nim. Wszystko sprowadza się do tego, kto jest w środku, a kto na zewnątrz.

Kapelusz uniósł ręce z dłońmi na zewnątrz, mniej więcej na wysokości ramion. Amos walnął go w szczękę. Uderzenie było solidne i zaboląły go od niego kostki. Kapelusz zatoczył się do tyłu, a Amos poszedł za nim, wykręcając ciało do kopnięcia. Trafiło w lewą rzepekę Kapelusza i mężczyzna wrzasnął.

– Problem w tym – krzyknął Amos – że większość z nas nie ma w życiu miejsca na więcej niż sześć osób. – Kopnął próbującego wstać Kapelusza w plecy. – Może siedem. Jeśli grupa robi się większa, musisz zacząć opowiadać o niej historie.

Kapelusz czołgał się w stronę wozu. Amos przygwoździł go kolanem, nachylił się i zaczął opróżniać jego kieszenie i pas. Gaz obezwładniająca. Paralizator. Portfel z kartami identyfikacyjnymi. Krótkofalówka. Drugi pistolet znalazł w kaburze przymocowanej do kostki faceta. Wszystkie zabrane rzeczy wyrzucił do wody, słuchając plusku. Kapelusz płakał, a masa Amosa na plecach sprawiała, że trudno mu było oddychać. Ten drugi stał w kompletnym bezruchu, jakby mając nadzieję, że jeśli się nie poruszy, Amos go nie zauważy. W sumie i tak nie mógł zrobić nic lepszego.

Amos uśmiechnął się do niego.

– Hej.

Facet nie odpowiedział.

– Wszystko w porządku – zapewnił Amos. – Ty nie mówiłeś, że wyruchasz mojego kolegę, nie?

– Tak – potwierdził mężczyzna.

– No dobra. – Amos wstał. – Pewnie powinieneś go zabrać do lekarza. A potem opowiedz swoim kumplom na tej zaszraney wysepce, co zrobiłem i jak ciebie nie ruszyłem, bo ty mi nie podskakiwałeś. Dobra?

– Tak jest.

– Świetnie. A potem tu nie wracaj.

– Nie wrócę.

– Nie wrócimy – poprawił go Amos. – Chciałeś powiedzieć, że wy nie wróćcie. Ani ty, ani twoje plemię.

– Nie wrócimy.

– Doskonale. Czyli nie mamy problemu. I daj Misi swój sprzęt, dobra? Drugi pistolet też.

– Tak jest, proszę pana.

Amos ruszył w stronę hangaru. Faktycznie, Złotko stała w drzwiach z założonymi na piersi rękami. Wytarł dłonie. Krwawiły mu kostki.

– Widzisz, tym właśnie jest cywilizacja – rzucił. – Zestawem opowieści. To wszystko.

– A nawet jeśli, to co? – zapytała Złotko. – Jesteśmy naprawdę dobrzy w snuciu opowieści. Wszystko trafił szlag, a my już znajdujemy sposoby, żeby to z powrotem naprawić. Stokes i pozostali służący byli gotowi z nami walczyć lub zginąć, ale kiedy wypowiedziałam jego nazwisko i mnie sobie przypomniał, teraz mamy opowieść o tym, jak chce nam pomóc. A ty wyszedłeś tam i wysłałeś wiadomość o tym, że ci faceci powinni zostawić

nas w spokoju. Nas wszystkich, nie tylko sześcioro czy siedmioro. A tak na marginesie, zdajesz sobie sprawę, że goście z Pinkwater wrócą tu i spróbują cię za to zabić, prawda?

– Po prostu chciałem dopilnować, żeby zużyli dużo czasu na zebranie sprzętu – odpowiedział Amos. – Pomyślałem, że kiedy tu wrócą, już nas nie będzie.

Zza Złotka wychylił się Stokes z przepaszającym wyrazem twarzy.

– W tej sprawie? Jest drobny problem.

\* \* \*

Hangar był wysoki jak katedra, a *Zhang Guo* stał na środku niczym jakieś olbrzymie dzieło sztuki. Powierzchnię statku wykończono tak, by wyglądała jak złoto-srebrny filigran na lazurycie. Na dyszach silników wymalowano ideogramy wyglądające jak ze złota, choć musiały być wykonane z czegoś, co nie topiło się w wysokiej temperaturze. Po wyglądzie statku od razu wiedział, że nie ma silnika Epsteina. Był dwukrotnie większy od *Rosynanta* i może – może – w ćwierci tak funkcjonalny, stanowił w równym stopniu prom orbitalny co wyznanie dekadencji.

Ale co ważniejsze, nie działał.

– Akumulatory domu się wyczerpały – wyjaśnił Stokes.  
– Bez zasilania nie ma wymienników wody, ogrzewania, połączeń sieciowych.

– No dobra – rzucił Amos. – Uznaliście, że dobrym pomysłem będzie, żeby grupa ludzi, którzy nigdy nie

widzieli z bliska silnika fuzyjnego, po prostu odpaliła go, żeby sobie naładować baterie? Takiego samobójczego optymizmu nie widuje się na co dzień.

Stokes wzruszył ramionami.

– Statek i tak był tutaj tylko dlatego, że wymagał naprawy. I tak nie mieliśmy szans go uruchomić.

Amos klepnął go w ramię.

– Po prostu idź i zbierz wszystkie narzędzia, których użyliście. To coś, na czym się znam.

Stokes odmaszerował, wykrzykując coś do innych ze swojej grupy. Ludzie Ericha wydawali się po równo podzieleni między ustanawianie obrony i szukanie najdroższych rzeczy, które zmieszczą im się do kieszeni. Erich i Złotko podeszli do niego.

– Jak bardzo mamy przesrane? – zapytał Erich.

– Jeszcze nie wiem – przyznał Amos. – Pierwsze, co się nasuwa, to jakiś problem z zasilaniem. Za dużo szumu. Wadliwy sprzęt. Coś, co aktywowało procedurę wyłączenia awaryjnego. Ale muszę wejść między kadłuby i się temu przyjrzeć.

– Pomogę ci sprawdzić obwody – zaoferowała Złotko.

Erich popatrzył na nią zmieszanym wzrokiem.

– Spędziłam kilka miesięcy jako techniczna elektrochemii – wyjaśniła.

– No, kurwa, oczywiście, że tak – rzucił Erich.

– Masz ze sobą swój komputer? – zapytał Amos.

– Jasne – odpowiedział Erich. – Dlaczego pytasz?

Amos ruchem głowy wskazał dyszę.

– Możesz uruchomić diagnostykę, a ja ci powiem, co znaczą wyniki.

Erich zmarszczył brwi i w zamyśleniu podrapał się po szyi zniekształconą dłonią.

– Jasne. Pewnie mogę to zrobić.

Złotko odkaszlnęła, a potem się roześmiała.

– Erich? Czy ty kiedyś, no wiesz, zabiłeś kogoś?

– Kieruję imperium narkotykowym w Baltimore – odpowiedział urażonym tonem. – Oczywiście, że zabiłem. Dlaczego pytasz?

– Nic takiego – rzuciła. – Po prostu pomyśl: troje morderców, ale jeśli się nam uda, to tyłki uratuje nam fakt, że przypadkiem umiemy naprawić silnik fuzyjny.

Erich się uśmiechnął.

– Nieźle się dobraliśmy, co?

– Ale dobrze będzie ustawić kogoś na czatach, gdy będziemy się tym zajmować – zasugerował Amos. – Mój plan zabrania się stąd, zanim wrócą kłopoty, może się nie udać.

– Mogę poprosić Stokesa, żeby pomógł i z tym – zaoferowała Złotko. – Nie potrafią walczyć, ale mogą stać na straży. I pewnie mogłabym znaleźć paru bystrzejszych do pomocy w naprawie statku.

– Im więcej, tym lepiej – skomentował Amos. – O ile tylko nie będą niczego ruszać, dopóki im nie każemy.

– Zabierzemy ich ze sobą, odlatując? – zapytała Złotko.

– Jasne – potwierdził Amos.

Uśmiechnęła się.

– Bo są plemieniem?



– Cholera, nie. Moim plemieniem jest załoga na *Rosie*, może was dwoje i martwa kobieta. Tak naprawdę wcale mnie nie obchodzi, czy ktoś z nich przeżyje.

– To po co ich zabierać?

Jeden z ludzi Ericha coś krzyknął. Inny się roześmiał, a jeden ze służących ostrożnie się przyłączył. Amos pomasował zdartą skórę na kostkach i wzruszył ramionami.

– Bo to wygląda na coś, co zrobiłby Holden.

## Rozdział czterdziesty pierwszy

### Naomi

Naomi uniosła uchwyty maszyny oporowej nad głowę, a potem powoli ściągnęła je w dół. Sárta siedziała na skrzyni żelu oporowego i patrzyła na nią jak ktoś znudzony w zoo. Naomi się tym nie przejmowała. Nie rozmawiały. Pod każdym względem poza tym najważniejszym, Naomi była sama.

Doszła do wniosku, że sztuczka polegała nie na tym, żeby zabrać jeden *skafander* próżniowy, a wszystkie. Jeśli do tego uszkodzi dane, nikt nie zorientuje się, czy coś zabrała, czy nie. Tylko że jeśli uszkodzi dane magazynowe samych skafandrów, to też będzie coś sugerować. Uniosła dźwignie. Bolały ją mięśnie rąk i ramion. Pociągnęła w dół, smakując ból. Gdyby zdołała zdobyć jeden z używanych wcześniej skanerów, mogłaby wprowadzić do systemu fałszywe dane. Wypełnić go paroma tysiącami fałszywych wpisów. Milionem skafandrów próżniowych wypełniających każdy centymetr sześcienny statku. Wtedy nawet gdyby nie

potrafiła usunąć danych, sprawiłaby, że stałyby się bezużyteczne. Problem w tym...

Zabrzmiał klakson ostrzegawczy. Serce Naomi zamarło. Przygotowywali się do nieważkości. Skończył się jej czas. Nie była gotowa. Na zewnątrz statku korytarz łączący wciąż znajdował się na miejscu. Gdy tylko zostanie wciągnięty, Pella i *Chetzemoka* się rozstaną, a jej krucha nadzieja umrze. Puściła uchwyty maszyny. Linki pociągnęły je na miejsce, gotowe dla następnego ćwiczącego.

Nie była gotowa. Nie będzie gotowa. Co nie znaczyło, że nie spróbuje.

Podeszła kilka kroków do skrzyni z żelazem oporowym i kiwnęła głową strażniczce.

– Idę do kibla.

– Dopiero byłaś.

– Idę znowu – odpowiedziała i odwróciła się.

– Za cholerę. Hej!

Naomi udała, że ją ignoruje, słuchając, jak kobieta schodzi i rusza za nią. Do tej pory była wzorową więźniarką, więc jej bunt zaskoczył Sárte. Cóż, o to chodziło. Znowu zabrzmiało ostrzeżenie, a potem zaczęło się odliczanie. Nieważkość za trzy. Dwa. Naomi chwyciła się obiema rękami framugi. Jeden. Góra i dół zniknęły, a ona zwinęła ciało w ciasny kłębek i wystrzeliła w stronę Sárty. Obiema stopami trafiła strażniczkę w brzuch, posyłając ją przez puste powietrze sali. Kobieta zdołała chwycić lewy but Naomi i zerwała go, odlatując. Upłynie kilka sekund, zanim dotrze do drugiego końca sali

i czegoś, od czego będzie mogła się odbić. Tyle miała przewagi. Sárta już zaczęła krzyczeć.

Naomi przeleciała przez właz, a potem w głąb korytarza, za szybko, ignorując bezpieczeństwo. Zostały jej tylko minuty. Mniej niż dziesięć minut. Czy naprawdę sądziła, że uda jej się otworzyć szafkę, wyciągnąć skafander i aktywować słuzę? Wtedy to wszystko się składało, ale teraz sobie tego nie wyobrażała.

Sárta była gdzieś z tyłu, krzyczała. Podnosiła alarm. Ale Naomi była już za rogiem. Gdy zniknie z pola widzenia, Sárta będzie musiała zgadywać, w którą stronę się udała. Przy odrobinie szczęścia zyska dzięki temu kilka dodatkowych sekund. Potrzebowała tylko sekund i tylko tyle miała. Śluza załogowa była zamknięta. Otworzyła wewnętrzne drzwi, a potem zaczęła szarpać drzwiczki szafek. Na wypadek, gdyby ktoś – ktokolwiek – się zapomniał. Zostawił jedne niezamknięte. Metal dzwonił i stukał pod jej palcami, gdy szarpała i szarpała. Czy pępowina została już odłączona? Czy już ją zwijali? Miała wrażenie, że musi tak być.

W korytarzu rozległy się podniesione głosy. Krzyki mężczyzn i kobiet. Jedną z nich była Sárta, usłyszała też Cyna. Pozwoliła sobie na łkanie i zignorowała je. Nie mogła zawieść. Nie mogła. Nie tym razem, nie teraz.

Przez koszmarną sekundę nie potrafiła wymacać zestawu dekompresyjnego ukrytego za pasem. Potem mocniej nacisnęła dłonią miejsce, gdzie opierał się o jej skórę i był na miejscu. Gdyby tylko zdołała zdobyć *skafander*. Złapała za kolejną szafkę. Jej serce zamarło,

gdy drzwi się otworzyły. Wisiał tam prosty skafander próżniowy, zawieszony w nieważkości na cienkiej elastycznej taśmie. Sięgnęła po niego.

Zatrzymała się.

*Będą wiedzieć, że brakuje skafandra, powiedział cichy głos w głębi umysłu. Będą wiedzieć, gdzie uciekłaś. Polecą po ciebie.*

Oddychała szybko i płytko, a jej serce pracowało w szalonym tempie. W jej umyśle jak stary przyjaciel pojawiło się to, o czym bardzo starała się nie myśleć. *Niecałe pięćdziesiąt metrów. To niedaleko. Dasz radę.*

Zamknęła szafkę. Wewnętrzne drzwi śluzy były otwarte. Odbiła się w ich stronę, zmuszając się do dyszenia. Do natlenowania krwi. Nie potrafiła stwierdzić, czy zawroty głowy są wynikiem zbyt dużej ilości tlenu, czy jakiegoś egzystencjalnego oszołomienia. Naprawdę to robi. Naga w próżni. Zaparła się nadgarstkami o zewnętrzne drzwi śluzy. Spodziewała się, że będą zimne. Fakt, że miały tę samą temperaturę, co wszystkie inne powierzchnie, wydawał się niewłaściwy.

Pięćdziesiąt metrów w całkowitej próżni. Może mniej. Może było to do zrobienia. Nie mogła najpierw obniżyć ciśnienia. Długie sekundy dopasowywania śluzy do pustki po drugiej stronie zabrałyby jej za dużo czasu. Będzie musiała to wysadzić. Od pełnego ciśnienia do zera w ułamku sekundy. Jeśli wstrzyma oddech, rozerwie jej płuca. Trzeba będzie zrobić wydech, pozwolić się wypełnić próżni. Wokół jej serca. Nawet jeśli się uda, drogo za to zapłaci.

Poradzi z tym sobie.

Głosy robiły się coraz głośniejsze.

– Znajdźcie tę sukę – krzyknął ktoś.

Za szafek wyłonił się Cyn. Szerzej otworzył oczy. Sárta była tuż za nim. Dobrze, pomyślała. Doskonale. Niech patrzą. Kontrolka pod jej kciukiem zmieniła kolor z zielonego na czerwony. Cyn rzucił się przez pomieszczenie z bezgłośnym krzykiem w chwili, gdy wewnętrzne drzwi zaczęły się zamykać. Przez chwilę myślała, że nie zdoła do nich dolecieć, ale jego dłonie złapały krawędź i wciągnął się do środka. Próbowała go odepchnąć, ale nie dała rady.

Drzwi śluzy zamknęły się za nim z trzaskiem magnetycznych blokad. Naomi trzymała uchwyt przy panelu sterowania, czekając, żeby ją uderzył. Kopnął. Zaczął dusić. Śluza była na tyle mała, że mogła oprzeć się dłońmi o obie pary drzwi. Nie zdołałaby przed nim uciec, gdyby ją zaatakował, ale tego nie zrobił. Sárta krzyczała po drugiej stronie drzwi. Naomi wdusiła przycisk obojczyka awaryjnego. Na ekranie pojawiły się trzy opcje: OTWÓRZ DRZWI STATKU, OTWÓRZ DRZWI ZEWNĘTRZNE, WRÓĆ DO CYKLU.

– Kostki, nie hagas eso. – Dłonie rozłożył przed sobą, wielkie i puste. – Bist bien. Bist bien alles.

– Co ty robisz? – zapytała Naomi, zaskoczona cierpieniem w swoim głosie. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo jesteś moim ludem, tak? Jesteśmy Pasem. Urodzonymi w pustce. Ty. Ja. Alles la.

W jej oczach wezbrały łzy, fale zatapiające źrenice i tęczęwki bez ciężenia, które pokonałoby napięcie powierzchniowe.

– Podróżujemy tak daleko, vide – uns ziemia obiecana. I trafimy tam wszyscy razem. Tu y mé y alles.

– Nie uratujesz mnie – powiedziała.

Wielkolud złożył ręce na piersiach.

– To zginę, próbując to zrobić. Jesteś moim ludem, troszczymy się o siebie. Dbamy. Nie będę stał z boku, gdy będziesz umierać. Nie.

Powinna dyszeć, zmuszając krew do wchłonięcia jak największej ilości tlenu. Powinna lecieć przez pustkę. Cyn się unosił, obracając się powoli w prawo o stopień na raz, z mocno zaciśniętymi wargami, wyzywając ją, co sprzeciwienia mu się. Zmuszając ją, by zrozumiała, że jest tu kochana, że ma tu rodzinę, że to jej miejsce.

Ktoś uderzył w wewnętrzne drzwi śluzy. Głosy przybrały na sile. Było ich więcej. Naomi wiedziała, że może otworzyć drzwi, ale gdyby to zrobiła, Cyn nie byłby jedynym po tej stronie. Gdyby chciał, mógł ją pobić. Ale to nie znaczyło, że zrezygnował z tej myśli. Naomi miała wrażenie, że jej serce wylądowało między młotem a kowadłem. Nie mogła wysadzić drzwi. Musiała to zrobić. Nie mogła zabić Cyna. Nie mogła go ocalić. Cokolwiek teraz zrobię, pomyślała, będę tego żałować do końca życia. Mijały sekundy.

Kolejny głos. Filip po drugiej stronie drzwi śluzy. Słyszała, jak krzyczy, każąc jej otworzyć drzwi. Brzmiał gorączkowo.

Jak, u diabła, ciągle lądowała w takich sytuacjach?

– Bądź silna – odezwał się Cyn. – Dla Filipito, bądź silna.

– Dobrze – odpowiedziała. Pchnęła szczękę w ziewnięciu, otwierając gardło i trąbki *Eustachiusza*.

Cyn krzyknął, gdy uderzyła w OTWÓRZ DRZWI ZEWNĘTRZNE. Wylatujące powietrze szarpnęło nią tylko raz, ale mocno. Adrenalina strzeliła do krwi, gdy każdy centymetr jej ciała został zaatakowany. Z jej płuc wyleciało powietrze, próbując zabrać płuca ze sobą. Cyn chwycił framugę śluzy, próbując zatrzymać się w środku, zawirował, zniknął.

Z pustymi płucami nie miała żadnej rezerwy. Nie wstrzymywała oddechu, wspomagając się gazem trzymanym w ciele. Byli ludzie, którzy potrafili wstrzymywać oddech na kilka minut, ale w próżni mogła przetrwać bez pomocy najwyżej piętnaście sekund.

*Tysiąc jeden.* Naomi przesunęła się dłoń za dłoń, aby zaprzeć się o drzwi wewnętrzne i wyrzeć na zewnątrz. Zobaczyła pustkę, wielką kopułę gwiazd. *Chetzemoka* jarzył się w słońcu jaśniejszy niż Ziemia. Łącząca statki pępowina wisiała z lewej, zbyt jasna, by patrzeć na nią wprost i w połowie zwinięta. Bolały ją żebra, bolały ją oczy. Przepona napierała na trzewia, próbując napełnić zbite pustką płuca. Skafander próżniowy miałby silniczki korekcyjne. Bez nich miała tylko jedną szansę i ani jednej chwili, by się nad tym zastanowić. *Tysiąc dwa.* Odbiła się.

Kątem oka przez chwilę widziała Cyna, smugę niewyraźnego ruchu. Słońce miała w dole, olbrzymie



i jasne. Promienisty żar napierał na jej gardło i twarz. Droga Mleczna rozciągała się wokół, wygięta w łuk na bezkresnym niebie. W jej krwi gromadził się ditlenek węgla, czuła coraz większą potrzebę oddychania. *Chetzemoka* powoli robił się coraz większy. Tysiąc pięć. Jego boki znaczyły smugi cienia rzucanego przez każdą wypukłość i śrubę. Jej oczy ulegały zniekształceniu i wszystko robiło się trochę nieostre. Gwiazdy zmieniały się z jaskrawych punktów kręgi światła, jakby cały wszechświat się rozpuszczał. Myślała, że będzie cicho, ale słyszała bicie własnego serca, jakby ktoś walił młotem w pokład obok.

*Jeśli tu umrę, pomyślała, przynajmniej jest tu pięknie. To byłby uroczy sposób na śmierć. Tysiąc osiem.*

Zarys śluzy *Chetzemoki* zrobił się na tyle wyraźny, by zdołała ją zobaczyć. Bez magnetycznych butów będzie musiała złapać uchwyty gołymi dłońmi, ale była blisko. Prawie na miejscu. Świat zaczął się zawężać, a na skraju pola widzenia zaczęła panować ciemność, choć statek robił się większy. Traciła przytomność. Zaczynała tracić przytomność. Wyciągnęła zza pasa czarny cylinder, przekręciła, by odsłonić igłę i wbiła ją sobie w nogę. *Tysiąc dziesięć.*

Przez jej ciało rozpełzło się zimno, ale barwy wróciły, niesione przez odrobinę super natlenionej krwi. Dodatkowy oddech bez luksusu wcześniejszego wydechu. Wskaźnik śluzy *Chetzemoki* zamrugał, potwierdzając odebranie sygnału ratunkowego i rozpoczęcie cyklu. Statek robił się coraz większy. Uderzy w niego, ale nie

mogła sobie pozwolić na odbicie się. Wysunęła ręce palcami do przodu, szykując się do zaciśnięcia ich na uchwycie. Powierzchnia oferowała liczne uchwyty – niektóre były do tego przewidziane, inne były po prostu wystającymi antenami czy kamerami. Uderzyła z tą samą energią, z jaką się odepchnęła, waląc ciałem w statek. Wiedziała, że musi się tego spodziewać. Była gotowa. Zaciśnęła dłoń na uchwycie. Pęd ciała wykręcił jej bark i łokieć, ale nie puściła. Tysiąc trzynaście.

Po drugiej stronie otchłani pępowina schowała się już w *Pelli*. Na burcie okrętu rozjarzyły się silniki manewrowe, wyrzucając strumienie przegrzanej wody zmienionej w świecąca plazmę. Gdzieś tam było też ciało Cyna, teraz już nieprzytomnego, ale go nie widziała. On już przepadł, a przynajmniej Sárta i Filip, a może ktoś jeszcze, widzieli ich razem. Cyn i Naomi w służbie bez skafandrów, a potem przepadli. Odessani w próżnię. Martwi.

Jeszcze nie martwa. Musiała się ruszyć. Jej umysł zgubił ułamek sekundy. Nie mogła na to pozwolić. Zaczęła się ostrożnie podciągać, sunąc tuż nad powierzchnią statku. Jeśli ruszy za szybko, nie zdoła się zatrzymać, zbyt wolno i straci przytomność, zanim dotrze w bezpieczne miejsce. Mogła tylko mieć nadzieję, że uda się jej osiągnąć coś pośrodku. Tysiąc... zgubiła się. Piętnaście? Całe jej ciało było mieszanką bólu i zwierzęcej paniki. Nie widziała już gwiazd, Pella zmieniła się w rozmazaną plamę. Ślina w jej ustach bąbelkowała.

Gotowała się. Jej uszy wypełnił wysoki, cichy jęk, złudzenie dźwięku tam, gdzie nie istniał dźwięk.

*Mnóstwo może się zdarzyć*, pomyślała niejasno świadoma, że sama niedawno komuś to powiedziała. *Nawet to*. Poczwała ogarniającą ją falę spokoju. Euforii. To był zły znak.

Śluzą była niedaleko, pięć metrów od niej. Potem cztery. Jej umysł przeskoczył i wejście przeleciało obok. Wystrzeliła ręką, sięgając po nią, i framuga uderzyła ją w nadgarstek. Chwyciła się jej, łapiąc jak Cyn. Obracała się – uderzenie zmieniło jej pęd w ruch wirowy. Ale była nad śluzą. Jej blada paszcza unosiła się pod jej stopami, znikwała nad głową i pojawiała się ponownie. Gdy wyciągnęła rękę, jej dłoń znalazła się wewnątrz statku, ale nie potrafiła dosięgnąć ramy. Nie mogła się wciągnąć. Pella oddalała się, tracąc kolor wraz z utratą jej świadomości. Tak blisko. Była już tak bardzo blisko. Wystarczyłoby kilka centymetrów, żeby przeżyła, ale kosmos nie wybaczał. Ludzie ciągle w nim ginęli. Pella wypuściła kolejną smugę z silników manewrowych, jakby się z nią zgadzała.

Nie zastanawiając się, podkuliła nogi, zwiększając tym samym szybkość obrotów. Ściągnęła drugiego buta, którego nie zerwała jej Sárta. Jej dłonie były dziwne. Niezdarne, niezręczne, prawie bez czucia. Gdy znowu się rozciągnęła, obroty zwolniły do początkowej szybkości. Spróbowała ocenić właściwą chwilę, ale zostało jej zbyt mało przytomności. W końcu zobaczyła Pellę na końcu

głębokiego, długiego tunelu i rzuciła but najmocniej, jak pozwoliła jej niknąca siła.

Masa odrzutowa. Wirowanie zwolniło. Jej ręce sięgnęły głębiej do śluzy. Dryfowała do środka. Piętami uderzyła o stalową ramę, ból był równocześnie potworny i bardzo odległy. Jej umysł mignął. Odniosła wrażenie widzenia panelu sterowania śluzą, którego kontrolki próbowały jej powiedzieć coś niezwykle ważnego. Nie dostrzegała kolorów ani symboli na klawiaturze. Świadomość odpłynęła i przepadła.

\* \* \*

Obudziła się, kaszląc. Pokład napierał na jej twarz. Nie potrafiła stwierdzić, czy jest wyjątkowo słaba, czy leci z dużym ciągiem. Brzegi śluzy wokół niej były nieostre. Znowu zakaszłała, głębokim, mokrym kaszlem. Oczyma duszy zobaczyła krwawiące płuca, ale wypluty płyn był przejrzysty. Jej dłonie prawie nie przypominały ludzkich kończyn. Palce grubości kielbas, pełne osocza i płynu. Skóra bolała za bardzo, by jej dotykać, jakby doznała silnego oparzenia słonecznego. Bolały ją wszystkie stawy, od palców stóp do kręgów w szyi. Brzuch sprawiał wrażenie, jakby ktoś kilkadziesiąt razy w niego kopnął.

Zmusiła się do odetchnięcia. Mogła oddychać. Wdech, wydech. Coś zabulgotało jej w płucach. Ale nie krew. Powiedziała sobie, że to nie krew. Przewróciła się na bok, podsunęła nogi pod ciało, dźwignęła się, by usiąść, a potem położyła z powrotem, gdy świat zawirował. To

było więcej niż jedno g. Musiało być dużo więcej. Przecież nie mogła być aż tak słaba, prawda?

*Chetzemoka* mrucał wokół niej. Zaczęło do niej docierać, że słyszy słowa. Głosy. Głos. Wiedziała, że to nie ma sensu, choć nie rozumiała powodu. Przycisnęła dłonie do twarzy. Szalała w niej burza emocji – ulga, żal, triumf, furia. Jej umysł nie działał jeszcze na tyle dobrze, żeby z czymś je powiązać. Po prostu się działy, a ona obserwowała, czekała i zbierała w jedno porozrzucane fragmenty swojej istoty. Zaczęły ją boleć dłonie i stopy, wykrzykując w nią protest wymęczonych nerwów. Zignorowała je. W końcu ból to tylko ból. Bywało gorzej.

Za drugim razem udało się jej wstać. Mały czarny cylinder zestawu dekompresyjnego wciąż tkwił w jej nodze. Wyciągnęła go, uniosła na wysokość oczu i upuściła. Spadał, jakby leciała z półtora, może dwoma g. Nie było źle. Gdyby czuła się tak źle przy jednym g ciągu, miałyby powody do zmartwień. Choć chyba i tak powinna się martwić.

Otworzyła wewnętrzne drzwi śluzy i, zataczając się, wyszła do pokoju z szafkami. Drzwiczki były pootwierane, a skafandry zwisały w środku lub leżały rozrzucone na podłodze. Nie było butli z powietrzem. Głos – to był tylko jeden głos, ale jej uszy zdawały się utracić zdolność słyszenia wysokich tonów i zostały jej tylko niezrozumiałe basowe brzmienia – wydawał się znajomy. Miała wrażenie, że powinna go znać. Powędrowała przez opuszczony statek. Zastanawiała się, jak długo była nieprzytomna i czy był jakiś sposób, by

dowiedzieć się, gdzie jest, jakim kursem leci statek i jak szybko.

Dotarła do panelu sterowania i spróbowała wywołać system nawigacji, ale był zablokowany. Podobnie jak system łączności, stanu statku, naprawy i diagnostyki. Oparła czoło o konsolę bardziej z wyczerpania niż z rozpaczy. Bezpośredni kontakt kości z ceramiką zmienił głos, przenosząc dźwięk dzięki przewodnictwu kostnemu, jak przy zetknięciu hełmów i krzyku. Znała ten głos. Znała słowa.

*Mówi Naomi Nagata z Rosynanta. Jeśli odbieracie tę wiadomość, proszę o retransmisję. Powiedzcie Jamesowi Holdenowi, że mam problemy. Radio nie działa, straciłam nawigację i kontrolę. Proszę o retransmisję.*

Roześmiała się, wykasła przejrzysty płyn, wypluła go na pokład i znowu się zaśmiała. Wiadomość była kłamstwem sfabrykowanym przez Marco, żeby zwabić Jima na śmierć.

I każde jej słowo było prawdą.

## Rozdział czterdziesty drugi

### Holden

Arnold Mfune, który nie był Alekssem, wyszedł z kabiny załogowej, wciąż susząc włosy. Skrzywił się na widok Holdena i Fostera – dwóch kapitanów – przy ekspresie do kawy.

– Jest pan nieco spóźniony, panie Mfume – odezwał się Foster Sales.

– Tak jest, sir. Przed chwilą zwróciła mi na to uwagę Chava. Już idę.

– Kawy? – zaoferował Holden, wyciągając rękę ze świeżo zaparzoną bańką. – Trochę mleka, bez cukru. To może nie być pana ulubiona, ale ta jest gotowa.

– Nie odmówię – przyznał Mfume z szybkim, nerwowym uśmiechem.

Holden nie potrafił rozpoznać jego akcentu. Płaskie samogłoski i połykane spółgłoski. Skądkolwiek pochodził, u niego brzmiało to dobrze.

Gdy Holden podawał mu bańkę, Foster odchrząknął.

– Wie pan, że spóźnianie się na zmianę to zły zwyczaj.

– Wiem, sir. I przepraszam. To się więcej nie powtórzy.

A potem Mfume zniknął, pędząc po drabinie w stronę kokpitu szybciej, niż zabrałaby go tam winda. Foster westchnął i pokręcił głową.

– Dobrze być młodym – rzucił – ale niektórzy wyglądają z tym lepiej niż inni.

Holden wybrał z panelu ekspresu jeszcze jedną kawę.

– Nie chciałbym, żeby ludzie oceniali mnie po tym, co robiłem przed trzydziestką. A pan? Kawy?

– Ja raczej wolę herbatę – wyznał drugi kapitan. – Jeśli jest taka opcja.

– Nie wiem, chyba nigdy nie próbowałem.

– Nie?

– Zawsze była kawa.

Poranne spotkanie z początku było elementem dostrajania się załogi. Przy nowej załodze i braku pełnego zaufania do statku wydało się dobrym pomysłem, by Holden i Foster Sales spotykali się, by porozmawiać, porównać notatki i upewnić się, że wszystko toczyło się tak, jak powinno. Troska, jaką Foster wkładał w traktowanie *Rosa* z szacunkiem, zdecydowanie pomagała Holdenowi. Nowa załoga nie była jego i nie czuł się z nimi komfortowo, ale nie grzebali szafkach prawdziwej załogi, gdy nikt nie patrzył. I każdego dnia ich obecność robiła się coraz bardziej znajoma. Mniej obca.

Kiedy dzwonił na dół do maszynowni i odbierał Kazantzakis albo Ip, nie było to już tak bardzo niewłaściwe. Trafienie na Sun-yi i Gor z założonymi goglami do gier i tłukących się zażarcie w symulowanych



bitwach – bo jako technicy uzbrojenia bez kogoś do strzelania robili się nerwowi – przestało być dziwne, a zaczęło być zabawne. Cierpiąca na bezsenność Maura Patel spędzała nocne zmiany, wprowadzając ulepszenia do systemu łączności kierunkowej. Holden wiedział, że Naomi miała to na swojej liście projektów do realizacji, ale pozwolił Maurze się tym zająć. A po długich, cichych dniach w doku, spaniu we własnej pryczy i wędrowaniu po pustym statku jakaś jego część nawet cieszyła się z towarzystwa. Może to nie byli właściwi ludzie, ale byli ludźmi. Goście w domu powstrzymywali go przed pogrążeniem się w strachu i niepewności. Zakładał tylko maskę odważnego, ale przez nią faktycznie czuł się odrobinę odważniejszy.

– Jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć? – zapytał Foster.

– Chcę tylko wiedzieć, jeśli coś zmieni się z *Finwalem* lub Pellą – odpowiedział Holden. – Albo jeśli dostaniemy wiadomość z Ziemi. Od Amosa Burtona albo mojej rodziny.

Jakby Amos też nie był rodziną.

– Chyba dość jednoznacznie zakomunikował to pan załodze – stwierdził Foster poważnie, choć z błyskiem rozbawienia w oku.

Holden chyba przypominał o tym kilka razy. Każdemu. Ekspres do kawy zadzwęczał i wydał Holdenowi świeżą bańkę. Foster skierował się do drabiny, a potem zszedł do wyrzutni torpedowych, gdzie Kazantzakis czyścił rzeczy, które i tak były już czyste.

Holden poczekał kilka sekund, a potem skierował się na mostek. Trafił na schodzącą z góry Chavę i odprawili niezręczny rytuał przepuszczania się, zanim w końcu się minęli.

Fred siedział w pryczy przeciążeniowej, z której zrobił swoje biuro. Właz do kokpitu był zamknięty, ale Holden i tak słyszał wycie raï, którego Mfume lubił słuchać podczas swoich zmian w fotelu pilota. Przy tej muzyce i kawie nie będzie tam spał, ale Fred miał na uszach słuchawki, więc nie usłyszał przyścia Holdena. Obraz na jego ekranie był znajomy. Marco Inaros, samozwańczy dowódca Wolnej Floty i twarz zniszczenia Ziemi. Oraz – Holden ostrożnie zważył tę myśl na wypadek, gdyby była zbyt bolesna – jeśli Naomi zginęła, to prawdopodobnie jej zabójca. Poczul bolesny ucisk w piersi i odsunął od siebie tę myśl. Rozważania na temat Amosa i Naomi były zbyt niebezpieczne.

Fred odwrócił się gwałtownie, zauważył go i ściągnął słuchawki.

– Holden. Od dawna tu jesteś?

– Właśnie wszedłem.

– Dobrze. Nie chciałbym myśleć, że zrobiłem się zbyt nieudolny, by zauważyć czyjąś obecność w pokoju. Wszystko w porządku?

– Poza tym, że jesteśmy w samym środku przewrotu ogólnoukładowego i zaginęła połowa mojej załogi? Doskonale. No wiesz, nie śpiam, a kiedy już usnę, od początku do końca mam tylko koszmary, ale doskonale.

– No cóż, w zasadzie to było głupie pytanie. Przepraszam.

Holden usiadł na pryczy obok Freda i nachylił się w stronę ekranu.

– Co wiemy o tym gościu?

– Inarosie? – zapytał Fred. – Był dość wysoko na mojej liście potencjalnych sprawców, gdy spadły kamienie. Nie na szczycie, ale w pierwszej piątce. Przewodzi niezależnej grupie bardzo ubogich Pasiarzy. Ludzi mieszkających na nieszczęlnych statkach, ludzi, którzy publikują manifesty o tym, jakim złodziejstwem są podatki. Rozmawiałem z nim raz czy dwa, zwykle, żeby załagodzić sytuację, w której chciał doprowadzić do wybuchu.

– Myślisz, że stoi za tym wszystkim?

Fred odchylił się do tyłu przy akompaniamencie syku zawieszenia. Z jego słuchawek, nawet przez dźwięki rań, Holden usłyszał męski głos.

– Zaczniemy od nowa i przekształcimy ludzkość bez zepsucia, pazerności i nienawiści, z których nie potrafiły się wyzwolić planety wewnętrzne...

Fred westchnął i pokręcił głową.

– Nie bardzo to widzę. Inaros jest charyzmatyczny oraz inteligentny. Jego komunikaty prasowe pokazują faceta, który ewidentnie uważa, że to on dowodzi, ale oczywiście on musi tak myśleć. To narcyz najwyższej próby, do tego sadysta. Nigdy nie podzieli się z nikim władzą, jeśli tylko będzie mógł tego uniknąć. Ale ten poziom organizacji? Koordynacji? To wydaje się poza jego zasięgiem.

– Jak to?

Fred machnął w stronę ekranu. W jego oczach odbijało się światło, dwa maleńkie obrazy salutującego Inarosa.

– Coś tu nie pasuje. To facet, który ma dużo do powiedzenia w bardzo małym kręgu. Granie na taką skalę nie jest jego najmocniejszą stroną. Nie jest złym taktykiem i wybór czasu ataków był spektakularny w sposób, który bardzo do niego pasuje. Jest też czarujący przy stole negocjacyjnym. Ale...

– Ale?

– To nie jest umysł pierwszej klasy, a to zdecydowanie pierwszej klasy operacja. Nie wiem, jak mam to lepiej uzasadnić. Mam przeczucie, że nawet jeśli przypisuje sobie zasługę, ktoś go prowadzi.

– Co twoje przeczucie powiedziałyby, zanim spadły kamienie?

Fred zaśmiał się chrapliwie.

– Że jest irytującą zadrą i graczem małego kalibru. Więc owszem, może po prostu odstawiam kwaśne winogrona. Wolałbym myśleć, że zostałem pokonany przez kogoś, kto genialnie radzi sobie z czymś więcej niż tylko autoprezentacją.

– Czy masz jakiś pomysł, dlaczego Naomi mogłaby się znajdować na jego okręcie?

Fred skupił spojrzenie na Holdenie.

– Czy naprawdę chcesz w to teraz wchodzić?

– A ty?

– Ja nie. Ale mogę spekulować. Naomi jest Pasiarką i z tego, co o niej wiem, dorastała w tych samych kręgach, co Inaros i jego załoga. Muszę przyjąć, że ich ścieżki już się zetknęły i mieli jakieś niedokończone sprawy. Może byli po tej samej stronie, może byli wrogami, może jedno i drugie. Ale zdecydowanie któraś z tych możliwości.

Holden nachylił się do przodu, opierając się łokciami o kolana. Choć te słowa były bardzo ogólne i zostały wypowiedziane łagodnie, i tak odebrał je jak uderzenia młotem. Przełknął ślinę.

– Holden. Każdy ma jakąś przeszłość. Kiedy ją spotkałeś, Naomi była dorosłą kobietą. Nie sądziłeś chyba, że wyskoczyła z pudełka tuż przed tym, jak ją zobaczyłeś, co?

– Nie, oczywiście, że nie. Wszyscy na *Canterbury* latali tam, bo mieli ku temu jakiś powód. Włącznie ze mną. Po prostu jeśli miała za sobą coś dużego, na skalę spisku planującego zniszczenie Ziemi, to nie wiem, dlaczego nie miałyby mi o tym powiedzieć.

– Pytałeś?

– Nie. To znaczy, wiedziała, że jestem zainteresowany. Że może mi powiedzieć wszystko, co tylko zechce. Uznałem, że skoro tego nie robi, to jej decyzja.

– Ale teraz jesteś zły, że tego nie zrobiła. To co się zmieniło? Dlaczego teraz masz prawo wiedzieć rzeczy, do których nie miałeś prawa wcześniej?

Dochodząca z kokpitu muzyka raï ucichła i na mostku zapanowała cisza. Na ekranie Freda nagranie dotarło do rozerwanego kręgu zanikającego w bieli.

– Mogę być – wyznał Holden – małym, małostkowym człowiekiem. Ale jeśli mam ją stracić, to przynajmniej muszę znać powód.

– Zobaczymy, czy uda się nam postawić cię w sytuacji, w której sam będziesz mógł zapytać. – Z kokpitu znowu rozbrzmiała muzyka, a Fred skrzywił się, zerkając w stronę włazu. – Jeśli cię to pocieszy, uważam, że mamy szansę. Nie sądzę, żebyśmy musieli długo czekać na propozycję negocjacji.

– Nie? – zapytał Holden.

To była bardzo wątła iskierka nadziei, ale i tak natychmiast się na nią rzucił.

– Nie. Ma nad nami przewagę taktyczną, tego zdecydowanie nie można mu odmówić. Ale następnym krokiem jest konieczność skonsolidowania i utrzymania władzy. To już nie taktyka, to strategia, a nie widzę w nim nic, co sugerowałoby, że potrafi sobie z tym poradzić.

– A ja tak.

Fred machnął ręką, jakby słowa Holdena były tylko dymem, który należy rozwiąć.

– On gra krótkodystansowo. Owszem, w tej chwili jego akcje stoją wysoko i pewnie zostanie tak jeszcze przez jakiś czas, ale stoi na drodze do wrót. Wszystko to ma na celu powstrzymanie ludzi przed wylatywaniem tam i zakładaniem nowych kolonii. Tylko że głód już został rozbudzony. Smith nie potrafił powstrzymać Marsa przed utratą ludności. Avasarala nie potrafiła zahamować tego procesu, a Bóg wie, że próbowała. Marco Inaros uważa, że może to zrobić pod lufami dział, ale nie wydaje mi się,

żeby to się udało. Nie na długo. Plus on nie rozumie kruchości.

– Mówisz o Ziemi?

– Tak – potwierdził Fred. – To ślepa plamka typowa dla Pasiarzy. Przez ostatnie dziesięciolecia ciągle się z tym spotykałem. Mają w sobie wiarę w technologię, w ideę utrzymywania sztucznego ekosystemu. Skoro możemy hodować żywność na Ganimedesie, to uważają, że ludzkość wyzwoliła się z okowów Ziemi. Nie myślą o tym, ile pracy musieliśmy włożyć w to, żeby te plony tam wyrastały. Lustra skupiające światło Słońca, modyfikacje genetyczne roślin. Ile zajął nam proces uczenia się przygotowania gleby z substratu, grzybów i pełnozakresowego światła. A to wszystko na bazie złożoności życia na Ziemi. A teraz te nowe planety... cóż, tobie nie muszę mówić, o ile mniej są gościnne, niż napisano na pudełku. Gdy stanie się jasne, jak bardzo się pomylił...

– Tylko że nie – rzucił Holden. – No dobrze, może nie przemyślał sobie do końca kwestii ekologicznych, ale jeśli chodzi o Pas, to ma rację. Przyjrzyj się ludziom, którzy właśnie zebrali wszystko i ruszyli do pierścieni. Ilus, Nowa Ziemia, czy jak tam jeszcze chcesz to nazwać... To straszna, paskudna planeta, a jednak żyją na niej ludzie. Wszystkie te statki kolonizacyjne, które wyleciały z Marsa, żeby spróbować terraformacji miejsc, które mają już powietrze i magnetosferę? Mnóstwo z tych ludzi jest bardzo, bardzo inteligentnych. Nawet teraz, w tej chwili, sam powiedziałaś, że presja na dotarcie do

nowych układów jest znacznie większa, niż ten facet się spodziewa i na jaką jest przygotowany. To może znaczyć, że na dłuższą metę przegra, ale nie znaczy, że nie ma racji. To my musimy sprawić, żeby tak było.

– Myślisz, że tego nie wiem? – zapytał Fred. – To, co robiłem ze stacją Medyna, mogło...

– Mogło doprowadzić do powstania miejsca dla wszystkich ludzi mieszkających na stacji Medyna. Ale poszukiwacze minerałów? Ludzie transportujący wodę? Załogi, które ledwie wiążą koniec z końcem? To do nich mówi Marco i ma rację, ponieważ nikt inny nie bierze ich pod uwagę. Nawet ty. Patrzą w przyszłość i widzą, że nikt nie będzie ich już potrzebował. Wszystko, co robią, będzie łatwiejsze w studni grawitacyjnej, a oni nie mogą tam polecieć. Musimy stworzyć jakąś przyszłość, która będzie uwzględniała miejsce dla nich, bo jeśli nie, to całkiem dosłownie nie będą mieli nic do stracenia. Ich przyszłość już przepadła.

System zadzwonił i z głośników zabrzmiał głos Maury.

– Kapitanie Holden, sir?

– Jestem – odpowiedział Holden, wciąż patrząc na wykrzywioną w irytacji twarz Freda. – Nie powinna pani mieć wolnego czasu, pani Patel?

– Nie pracuję teraz, sir. Ale nie mogłam spać, więc zajęłam się diagnostyką. Tylko że kapitan Sales powiedział, że chce się pan dowiedzieć, jeśli zmieni się sytuacja *Finwala* i ścigających go statków?

Usta Holdena wypełnił metaliczny smak strachu.

– Co się dzieje?



– Mamy raporty, że okręty Wolnej Floty odpuszczają. Siły ONZ są wciąż pół dnia drogi od spotkania, ale sądzi się, że jednostki Wolnej Floty starają się uniknąć konfrontacji w dużej skali.

– Pella? – zapytał Holden.

– Razem z Wolną Flotą, ale kiedy zmienili kurs, od ich grupy oderwał się statek cywilny, skręcając w inną stronę. Ma do pokonania sporo inercji, ale jeśli nie zmieni profilu przyśpieszania, to wygląda na to, że jego kurs doprowadzi go mniej niż milion kilometrów od nas.

– To nie przypadek – odezwał się Fred.

– Owszem – potwierdziła Maura. – Statek zarejestrowano pod nazwą *Chetzemoka* i nadaje w pętli wiadomość. Puszczam.

Holdena rozboleły kostki, więc zmusił się do rozluźnienia dłoni ściskanych w pięści. Mostek wypełnił głos Naomi. Holden poczuł się jak umierający z odwodnienia, któremu podano szklanekę wody. Choć wiadomość brzmiała groźnie, Holden czuł, jak każda sylaba rozluźnia jego napięcie. Gdy komunikat Naomi się skończył, opadł na pryczę bezwładny jak szmaciana lalka. Miała kłopoty, ale taki rodzaj, na który potrafił coś poradzić. Była w drodze do niego.

– Dziękuję, pani Patel – powiedział. – W podzięcie może pani wziąć wszystkie moje rzeczy. Już nie są dla mnie ważne.

– Włącznie z ekspresem do kawy, sir?

– Prawie wszystkie moje rzeczy.

Kiedy Fred się odezwał, jego głos brzmiał twardo. Ostro. Niespokojnie.

– Pani Patel, czy w okolicy są jakieś jednostki lecące z pomocą?

– Dane transponderów niczego nie pokazują, sir. Wewnętrzna część Układu została prawie zablokowana. Rozkaz ONZ.

Holden obrócił się i wywołał połączenie z Mfume. Z konsoli ryknęła muzyka. W połączeniu z dźwiękami docierającymi przez właz mostek wydał się większy niż był w rzeczywistości.

– Mfume! – krzyknął Holden, a po paru sekundach jeszcze raz. – Panie Mfume!

Muzyka przycichła, ale nie została wyłączona.

– Sir?

– Proszę przyrzeć się trasie lotu *Chetzemoki* i sprawdzić, czego by trzeba, żeby wyrównać z nim kurs.

– Jakiego statku? – zapytał Mfume.

– *Chetzemoka* – powtórzył Holden. – Niech pan sprawdzi wiadomości, wszystkiego się pan dowie. I proszę dać znać, jak tylko skończy pan obliczenia. Najlepiej natychmiast.

– Już się robi – rzucił Mfume, a muzyka dobiegająca z głośników i włazu w końcu całkowicie ucichła.

Holden głęboko wciągnął powietrze, potem jeszcze raz, a w końcu się roześmiał. Ulga nie była emocją, była na to zbyt fizyczna i potężna. Była stanem bytu. Narkotykiem, który w niewidzialny sposób wstrzyknięto

mu do żył. Zaczął się śmiać, ale dźwięk zmienił się w jęk brzącający jak ból albo jego pozostałość.

Fred cmoknął.

– No dobrze. A gdybym zasugerował, żebyśmy nie spotykali się z tym statkiem?

– Z przyjemnością zaproponowałbym możliwość opuszczenia statku w dowolnym miejscu przed tym spotkaniem. Bo o ile nie postanowisz oddać się piractwu i wyrzucić mnie przez śluzę, polecimy właśnie tam.

– Tak myślałem – skomentował Fred. – Czy możemy przynajmniej zgodzić się, żeby zachować przy tym ostrożność?

Holden poczuł wzbierającą w sobie furię. Chciał krzyczeć na Freda, ukarać go za odebranie mu tej chwili i zepsucie jej wątpliwościami. Sugestią, że może to być pułapka, a nie wracająca wreszcie do domu Naomi. Ogarnął potężne uczucie ulgi i spróbował je odłożyć na bok wraz z rosnącą złością.

– Tak – powiedział. – Masz rację. To może być pułapka.

– Może nie być – zgodził się Fred. – Mam nadzieję, że nią nie jest, ale...

– Ale żyjemy w ciekawych czasach – dokończył Holden. – W porządku. Rozumiem. Będę ostrożny. My będziemy ostrożni. Ale jeśli to ona i naprawdę ma kłopoty, to mój pierwszy priorytet. Tak po prostu jest.

– Wiem – potwierdził Fred, a sposób, w jaki to zrobił, oznaczał *Wiem, i wie każdy, kto choć trochę cię zna. I dlatego właśnie powinieneś uważać.*

Holden odwrócił się do monitora i wywołał dane nawigacyjne. Ekran wyświetlał kurs wytyczany przez Mfunę, by zabrać go do Naomi. Czy tego, co jeszcze czekało na tym statku. Zasiane przez Freda wątpliwości zdążyły już zapuścić korzenie. Nie wiedział, czy powinien być wdzięczny staruszkowi, czy mieć do niego pretensje. Przy uwzględnieniu odległości i prędkości obu statków wyrównanie kursów nie będzie łatwe. Naomi leciała z dużym ciągiem w stronę Ziemi, a rosnąca prędkość *Chetzemoki* była skierowana prawie całkowicie w niewłaściwą stronę do spotkania. Jeśli to nie była pułapka i Naomi faktycznie miała kłopoty, wciąż mógł do niej dotrzeć za późno. Siły ONZ mogłyby pomóc, ale jej kurs oddalał ją od ich trasy.

Mimo wszystko nadal miał jeszcze parę dodatkowych opcji. Przełączył się na panel łączności i zaczął nagrywanie.

– Aleks, ponieważ jesteś w okolicy i kiedy ostatnio poprosiłem cię o przysługę, wszystko poszło tak świetnie, to zastanawiałem się, czy możesz być zainteresowany dorzuceniem sobie małego objazdu.

## Rozdział czterdziesty trzeci

### Aleks

Najgorszy był brak wiedzy. Wiadomości były pełne informacji, ale bardzo niewiele z nich składało się w spójny obraz. Na Ziemi zginęły cztery miliardy ludzi. Albo siedem. Popiół i para, które zmieniły błękitną kulę w białą, zaczynały się już przerzedzać – dużo szybciej, niż przewidywały modele atmosferyczne. Albo powierzchnia Ziemi nie zobaczy słońca i błękitnego nieba jeszcze przez lata. Był to początek odrodzenia naturalnej flory i fauny dzięki wymieraniu ludzkości albo też ostatnia kropla, która całkowicie zniszczy nadmiernie obciążony ekosystem.

Kolejne trzy statki kolonizacyjne w drodze do wrót pierścienia zostały przechwycone i zawrócone lub też doszło do abordażu i ich załoga została wyrzucona w próżnię, albo schwytano siedem lub tylko jeden. Oświadczenie stacji Ceres, że Wolna Flota może korzystać z jej doków, było prowokacją lub dowodem na to, że SPZ się zjednoczyła, lub też na to, że administracja stacji uległa strachowi. Wszędzie w całym Układzie statki

wyłączały transpondery, a system wizualnego śledzenia światła dysz wydechowych był zapyłany lub przeprogramowywany na języki, których nie potrafiły przetworzyć współczesne systemy. Aleks powtarzał sobie, że to tymczasowe, że za kilka miesięcy, może rok, wszyscy z powrotem włączą transpondery. Że Ziemia nadal pozostanie centrum ludzkiej kultury i cywilizacji. Że wróci na *Rosa* z Holdenem, Naomi i Amosem.

Wciąż to sobie powtarzał, ale za każdym razem robił to coraz mniej przekonująco. Brak wiedzy był najgorszy. Drugą najgorszą rzeczą było bycie ściganym przez bandę nowoczesnych okrętów, które bardzo chciały go zabić.

Na wyświetlaczu jeden z pocisków eskorty zmienił kolor z zielonego na bursztynowy, a potem zaczął migać na czerwono.

– Szlag – rzuciła Bobbie. – Straciłam rakietę.

– Wszystko w porządku. Mamy ich jeszcze całkiem sporo.

W ciągu kilku ostatnich godzin Pella i koledzy wpadli na genialny pomysł skupiania laserów łączności na określonym pocisku, a potem pakowaniu w niego całej dostępnej energii, aż przegrzewały się jego układy. Pociski przestawały reagować. Alternatywnie mogli odkryć strategię przeciwnika, gdyby jeden z chmury eskortowej wybuchł, prowadząc do potężnej reakcji łańcuchowej. Zamiast tego stracili cztery rakiety w pół godziny i w końcu domyślili się, co się dzieje. Bobbie za pomocą przestarzałego i nieposiadającego dostatecznej mocy komputera przygotowała system rotacji dla rakiet,

dzięki któremu żadna nie pozostawała widoczna dla przeciwnika przez dłużej niż kilka sekund na raz. Obserwującemu ich ruch na ekranie Aleksowi przypomniały się filmy dokumentalne o rybach morskich na Ziemi, których olbrzymie ławice wirowały i skręcały jak jeden organizm. Tylko w tym przypadku była to ich mała grupa pozostałych rakiet.

Od czasu oświadczenia wyemitowanego przez Wolną Flotę premier siedział z powrotem w swojej maleńkiej kabinie, używając ich wiązki kierunkowej do czegoś, co brzmiało jak setka wściekłych rozmów, prowadzonych tym samym tonem. Aleks nie do końca słyszał słowa i bardzo się starał nie słuchać na wypadek, gdyby ktoś pytał go o jego wiedzę, jednak nieustannie docierały do niego powtarzające się zwroty w rodzaju nieuzasadnione, istotna porażka czy wciąż badamy, które Aleks rozpoznawał już jak piosenkę słyszaną tyle razy, że jej słowa zaczynały robić się zrozumiałe.

Obraz na monitorze podzielił między wielkoskalową mapę Układu Słonecznego z podświetlonymi istotnymi dla niego elementami – *Finwalem*, lecącą im na spotkanie eskortą ONZ, *Rosynantem*, Pellą i jej stadem, stacją Tycho, Marsem, Ziemią i Luną – oraz mniejszy panel z danymi diagnostycznymi systemów wewnętrznych *Finwala*. Mały ścigacz w zasadzie nie był przeznaczony do podróży międzyplanetarnych, a przy bieżących pozycjach Marsa i Ziemi ich lot będzie bliski jego maksymalnym możliwościom. Reaktor miał dość peletek, by działać całymi miesiącami, ale gdy skończy się masa odrzutowa,

sam silnik na wiele się nie zda. Jak na razie wciąż mieścili się w słupkach błędów. Co dla niego oznaczało, że nawet jeśli masa odrzutowa się wyczerpie, będą lecieć na tyle wolno, że ktoś będzie mógł ich odholować. Uratowanie przez profesjonalistów wciąż zaliczał do zwyczajstwa.

System nawigacyjny wyświetlił mu ostrzeżenie na monitorze. Otworzył je.

– Co tam masz? – zapytała Bobbie.

– Pella i jej mały przyjaciel znowu wyłączyli silniki – wyjaśnił Aleks. – I... hej! Chyba... niektóre jednostki odchodzą. Chyba zrezygnowali!

Bobbie wykrzyknęła radośnie, a Smith przerwał rozmowę na tyłach na tyle długo, by wyjść i zobaczyć, co się dzieje. Zanim Aleks wyjaśnił sytuację, Pella też z powrotem włączyła silnik i zawracała z pozostałymi. Nie robili pełnego zwrotu, a coś w rodzaju skrętu po paraboli, co pozwalało im zachować sporą część dotychczasowego pędu przy skierowaniu na kurs w kierunku Pasa i układu Jowisza, z dokładnością do kilku milionów kilometrów. *Chetzemoka* oderwał się w przeciwnym kierunku. Jakąkolwiek misję wyznaczyła sobie Pella, zostawiała *Finwala* w spokoju.

Z Aleksa zaczęło uchodzić napięcie, z którego do tej pory świadomie nie zdawał sobie sprawy, a Bobbie co chwila wybuchała śmiechem i wykrzykiwała. Zgłosiła się eskorta ONZ. Strumienie materii wyrzucane przez wybuchy słoneczne nie zbliżały się nawet do przecięcia ich trajektorii, a radiatory *Finwal* całkiem dobrze radziły



sobie z usuwaniem ciepła. Aleks pozwolił sobie na odprężenie.

Trwało prawie godzinę.

\* \* \*

– Mówi Naomi Nagata z *Rosynanta*. Jeśli odbieracie tę wiadomość, proszę o retransmisję. Powiedzcie Jamesowi Holdenowi, że mam problemy. Radio nie działa, straciłam nawigację i kontrolę. Proszę o retransmisję.

A potem, czterdzieści minut później:

– Aleks, ponieważ jesteś w okolicy i kiedy ostatnio poprosiłem cię o przysługę, wszystko poszło tak świetnie, to zastanawiałem się, czy możesz być zainteresowany dorzuceniem sobie małego objazdu. Mój tymczasowy pilot wykreśla kurs z dużym ciągiem, który zaprowadzi mnie do Naomi, ale jesteś bliżej i lecisz prawie w tym samym kierunku. Istnieje ryzyko, że to zbiry próbują nas wciągnąć w pułapkę, więc miej oczy szeroko otwarte, ale jeśli to Naomi, dopilnuj, żeby wciąż oddychała, gdy do niej doleczę. Daj znać, co o tym myślisz.

Aleks zacisnął szczęki tak mocno, że rozboleły go zęby. Wiedział bez pytania, co powie Bobbie, więc zamiast zaczynać tę rozmowę, zaczął cicho wprowadzać dane do systemu nawigacyjnego, żeby zobaczyć, jakie faktycznie ma opcje, w zależności od tego, jak dużego ciągu chciałby użyć, ile zostało mu paliwa i co telemetria mówiła o małym statku i konwoju, od którego się oderwał. Ekrany ścienne ustawiono na wyświetlanie widoku na zewnątrz, więc kiedy podniósł wzrok znad danych

nawigacyjnych, udało mu się zobaczyć plamkę światła z dyszy jej silnika. Wywołał też strumień audio nadawany ze statku.

– Mówi Naomi Nagata z *Rosynanta*. Jeśli odbieracie tę wiadomość, proszę o retransmisję...

Czuł promieniującą za jego plecami dezaprobatę. Z początku Bobbie nic nie mówiła, nawet nie sapnęła. To nie miało znaczenia. Wiedział. Kiedy w końcu się odezwała, wypowiedzenie tego na głos było prawie ulgą.

– Co ty tam robisz, żeglarzu? – zapytała Bobbie.

– Szukam najlepszego sposobu polecenia za Naomi.

– Masz jakiś powód, żeby to robić?

– Taki, że lecimy za Naomi.

– Prawie dotarliśmy do punktu rozpoczęcia hamowania. Wszelkie wykonane teraz zmiany kursu zużyją mnóstwo paliwa.

Aleks nie obejrzał się, tylko wskazał na ekran.

– Jak dla mnie to wezwanie o pomoc. Zarejestrowaliśmy je, więc mamy obowiązek udzielić pomocy.

– Nie rób tego – powiedziała Bobbie.

– Takie są przepisy.

– Nie częstuj mnie przepisami. Mamy do wykonania zadanie. Nie podoba mi się to ani trochę bardziej niż tobie, ale musimy je wypełnić. Mamy rozkazy.

Ból zębów Aleksa jeszcze się nasilił. Spróbował ziewnąć, żeby rozciągnąć mięśnie szczęk. Nie zadziało. Obrócił pryczę przeciążeniową w jej stronę. Bez hełmu i z włosami ściągniętymi do tyłu w ciasny, praktyczny

kucyk, jej głowa wydawała się bardzo mała. Pancierz wspomagany wciąż był zablokowany w ramie, pięści zaparła o boki statku. Gdyby postanowiła go unieszkodliwić i przejąć kontrolę nad ścigaczem, nie miał z nią żadnych szans. Musiał też pamiętać, że jej blokady były dość prowizoryczne i prawdopodobnie nie zdołałaby się utrzymać na miejscu przy naprawdę dużym ciągu.

– Owszem – zgodził się. – Mamy rozkazy. Ale ty masz rozkazy od Nate’a i Avasarali, a ja bezwzględnie szanuję to, jak się nimi opiekowałaś. Tylko że ja mam rozkazy od swojego kapitana, a moje zadanie znajduje się w tamtym kierunku i z każdą chwilą coraz bardziej się oddala.

– Nie myślisz logicznie – odpowiedziała Bobbie. – Przyjrzyj się profilowi ryzyka, Aleks, bo jeśli tam polecimy, będziemy ryzykować. Jeśli wygramy, wyciągniemy Naomi Nagatę z kłopotów, ale jeśli przegramy, przywódca jednej z najważniejszych organizacji politycznych rasy ludzkiej zginie w chwili, gdy jedność i ciągłość władzy mają krytyczne znaczenie. Nie, przestań. Wiem, co sobie myślisz. Ja też tak myślałam o paru innych osobach. Naomi jest twoja. Jest jedną z osób w twoim kręgu i pieprzyć, jeśli zaryzykujesz jej życiem, a co dopiero poświęcić ją w imię jakiegoś niejasnego większego dobra, prawda?

Aleks zamknął usta, chwilę milczał.

– Właśnie.

– Rozumiem to – zapewniła Bobbie. – Naprawdę. I musiałam zaliczyć bardzo dużo treningu, by zrozumieć, że nie to jest naszym zadaniem. Ty też masz za sobą ten

trening. Nie ma znaczenia, czy jesteś w aktywnej służbie. Służymy Marsowi, bo złożyliśmy przysięgę. Jeśli robienie tego, co właściwe, byłoby równoznaczne z podejmowaniem łatwych decyzji, nie musielibyśmy przysięgać. Mamy na pokładzie tego statku premiera Marsa. Mamy wojskową eskortę, która leci, żeby bezpiecznie sprowadzić go na Lunę.

– I mamy tam wroga – powiedział Aleks, nienawidząc własnych słów. – To pułapka, prawda?

– Nie wiem – przyznała Bobbie. – Może nią być. Okaleczenie kogoś i zastrzelenie ratowników to wredna sztuczka, ale te dranie mogą się do tego posunąć.

– Nie bardzo widzę, jak polecenie za nią naraziłoby nas na większe niebezpieczeństwo niż utrzymanie kursu – powiedział Aleks. – Jeśli celują w nas z działa szynowego, mogą nam wybić dziurę równie dobrze tu, jak tam.

– Koń trojański – odpowiedziała Bobbie. – Mogli to coś napakować żołnierzami. Jeśli zadokujemy do niego, te wszystkie rakiety w niczym nam nie pomogą. Albo jeśli podleci do niego *Rosynant*, zgarną Freda Johnsona.

– Szansa na...

– Nie myśl o szansie – poprosiła Bobbie. – Myśl o stawce. Pomyśl, ile stracimy, jeśli zaryzykujemy i przegramy.

Aleks czuł się otumaniony, jak na pierwszym etapie choroby. Obejrzał się na panel nawigacyjny. Odległość między *Finwalem* a *Chetzemoką* rosła z każdą sekundą.

Głęboko wciągnął powietrze, potem je wypuścił. Z radia zabrzmiał cichy głos Naomi.

– Powiedźcie Jamesowi Holdenowi, że mam problemy. Radio nie działa, straciłam nawigację...

Głos, który dobiegł z kabiny, był cichy, łagodny i konwersacyjny.

– Interesująca analiza, ale niekompletna.

Nathan Smith stał w drzwiach. Włosy miał tłuste i w nieładzie, ubranie wyglądało, jakby w nim spał. Oczy zaczerwienione, z gniewnymi czerwonymi brzegami. Aleks pomyślał, że wygląda na dziesięć lat więcej, niż kiedy startowali. Premier uśmiechnął się do Aleksa, potem do Bobbie i znowu do Aleksa.

– Sir – rzuciła Bobbie.

– Pominęliście człon wyrażenia, sierżancie. Proszę się zastanowić, co stracimy, jeśli nie podejmiemy próby.

– Powód, dla którego to robimy – odpowiedział Aleks.

– Powód robienia tego wszystkiego. Jeśli jest szansa – a uważam, że jest całkiem spora – że Naomi zdołała uciec, jest na tym statku i ma kłopoty, że wzywa pomocy, to wiesz jakie są zasady? Lecimy na pomoc. Nawet jeśli to ktoś, kogo nie znamy. Nawet jeśli to głos kogoś obcego. Takie są zasady, takie są przepisy, bo tutaj sobie pomagamy. A jeśli przestaniemy to robić, bo jesteśmy ważniejsi albo zasady już nas nie obowiązują, to sam będę mógł całkiem nieźle uzasadnić, że przestaniemy stać po dobrej stronie.

Smith się rozpromienił.

– To było piękne, panie Kamal. Zamierzałem wyjaśnić Chrisjen Avasarali, że zostawilibyśmy za sobą jedyne go rzetelnego świadka tego, co działo się na *Pelli*, ale chyba pańska wersja podoba mi się bardziej. Proszę ustawić kurs i powiadomić eskortę ONZ o zmianie planów.

– Tak jest, sir – potwierdził Aleks. Gdy zamknęły się za nim drzwi, zwrócił się do Bobbie. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj – powiedziała Bobbie. – Przecież to nie tak, że nie chciałam do niej lecieć.

– A jeśli okaże się, że statek jest pełen żołnierzy?

– Mogę odblokować ten pancierz – stwierdziła Bobbie.

– Przyda mi się trochę ruchu.

Wyliczenie optymalnego kursu przechwytyjącego zajęło tylko kilka minut, jeszcze mniej trwało wysłanie go okrętom eskorty ONZ. Później nagrał wiadomość wysłaną wiązką kierunkową do Holdena.

– Czołem, kapitanie. Lecimy, ale będziemy ostrożni. Podejdziemy, przyjrzymy się, a jeśli coś się nam nie spodoba, nie będziemy wchodzić na pokład. I możesz powiedzieć swojemu pilotowi, że kto doleci na miejsce jako drugi, stawia pierwszemu piwo.

## Rozdział czterdziesty czwarty

### Naomi

Nawet stałe przyśpieszenie jednego g było dla niej nieprzyjemne. Nieustanny napór dwóch g był powolną torturą. Zaczęło się od głębokiego bólu w kolanach i u podstawy kręgosłupa, potem szybko narosło do bólu ostrego, jak igły wbite w stawy. Naomi oceniała *Chetzemokę* etapami, przechodząc przez pokład, a potem kładąc się, aż ból osłabł, i powtarzała to na następnym pokładzie. Nogi i stopy bolały ją nawet po ustąpieniu opuchlizny. Kaszel się nie poprawił, ale też nie ulegał pogorszeniu.

Jej pierwszym rozczarowaniem był fakt, że sterowanie zostało zablokowane. Spróbowała kilku haseł – WolnaFlota, Marcojestwielki i Filip – ale nawet gdyby zgadła, nie miała powodu oczekiwać, że wyłączono profile biometryczne.

Szafki przy śluzie były otwarte i puste. Trzy pozostawione przy nich skafandry próżniowe nie miały butli ani baterii. Zabrano racje żywnościowe. Spodziewała się, że zabiorą skrzynki z narzędziami

z warsztatu, ale wyniesiono też półki na nie, szuflady z szafek i wymontowano oświetlenie ze ścian. Prycze przeciążeniowe porozcinano, żel i wyściółka leżały w kałużach na pokładzie pod nimi. Zabrano system podawania leków i zbiorniki z lekami. Jedyna woda pozostała w silnikach – masa odrzutowa do wyrzucania z rufy statku. Jedyną żywnością były pozostałości w recyklerach, ale nie przetworzono ich w nic jadalnego. W powietrzu wciąż unosił się smród palników, więc pewnie nie działało oczyszczanie powietrza.

Naomi leżała na pokładzie z głową opartą na dłoniach i zamkniętymi oczami. Statek zbudowano w jednym celu: do odebrania odszkodowania z ubezpieczenia. Zaplanowano go jako coś jednorazowego użytku, a potem go jeszcze ograbiono. Wymontowano i wyniesiono nawet fizyczne panele i monitory. Jak na prezent dla Filipa nie był imponujący. Pokład trząsał się pod nią, wibracje silnika wzbudzały rezonanse, których nie próbowały tłumić żadne układy. Przy dużym ciężeniu i płynie zalewającym jej płuca z powodu uszkodzeń próżniowych oddychanie wymagało więcej wysiłku, niż powinno.

To wcale nie był statek. Musiała przestać o nim myśleć w ten sposób. To była bomba. Był tym, co zrobiła przed laty Augustínowi *Gamarrze* i co nosiła ze sobą od tamtej pory jak ołowiany szalik. Jim znał typ ludzi, którzy trafiali na lodowcowiec w rodzaju *Canterbury*. Powiedział, że każdy miał swoje powody, żeby tam wylądować. Istniały powody, dla których statek, który próbowała ofiarować swojemu synowi, został odarty ze wszystkiego



i zmieniony w bombę, zabójczą nie tylko dla niej, lecz także dla każdego, kto się do niej zbliży. Istniały powody. Jeśli zdoła ją rozbroić, usunąć zagrożenie, będzie mogła pociągnąć sprawę. Zabrać ją na Ceres, gdzie to wszystko się zaczęło. Powinna być jakaś droga przez warsztat. Wszystkie warsztaty powinny być połączone na tyłach.

Wyciągnęła ręce, tylko że to nie były ręce. Śniła. Zmusiła się do otwarcia oczu i z łkaniem wyczerpania obróciła się na plecy.

Dobrze. Jeśli teraz przestanie się ruszać, będzie spać. Dobrze wiedzieć. Usiadła i oparła głowę o ścianę. *Spać będziesz później. Wyśpisz się po śmierci. Albo jeszcze lepiej, gdy będziesz bezpieczna.* Uśmiechnęła się pod nosem. Bezpieczna. To wyglądało na dobry plan. Mogłaby spróbować czegoś takiego dla odmiany. Zacisnęła dłonie w pięści. Wszystkie stawy krzyczały z bólu, ale kiedy je rozprostowała, palce lepiej się ruszały. To zapewne było metaforą czegoś.

Musiała ustawić sobie priorytety. Nie miała dużo zasobów. Jeśli przygarnie pierwszy pomysł, jaki przyjdzie jej do głowy, łatwo będzie zużyć siły, nie robiąc nic naprawdę ważnego. Musiała zdobyć żywność i wodę oraz upewnić się, że nie braknie jej powietrza. Musiała ostrzec wszystkich lecących jej na ratunek, żeby się nie zbliżali. Musiała rozbroić pułapkę. Może zrzucić rdzeń, może zastąpić sterowniki kopiami, które nie zawierały jej zatrutego kodu.

I musiała to zrobić, zanim statek wybuchnie. Przy dwóch g. Bez narzędzi ani dostępu do konsoli. Ale... czy

na pewno? Dostęp do konsoli sterowania będzie trudny, ale powinna móc zrobić improwizowane narzędzia. Skafandry próżniowe nie miały zasilania ani butli z tlenem, ale za to miały uszczelki i wzmocnienia. Mogła rozerwać tkaninę i wydłubać z niej trochę drutu. Może dość mocnego, żeby dało się nim ciąć. Może uda jej się użyć klamer hełmów jako czegoś w rodzaju imadła? Nie była pewna.

A nawet jeśli tak, to co jej to da?

– Więcej, niż masz teraz – powiedziała na głos.

Jej głos zabrzmiał pogłosem w pustej przestrzeni.

No dobrze. Pierwszy krok, zrobić narzędzia. Drugi krok, zrzucić rdzeń. Albo ostrzec zbliżających się. Wstała i z wysiłkiem ruszyła z powrotem do szafek przy śluzie.

\* \* \*

Pięć godzin później siedziała w skromniutkim warsztacie statku, ręcznie uszczelniając właz. Dwa skafandry próżniowe oddały, co mogły, na rzecz jej skromnego, prostego zestawu narzędzi. Nie udało się jej zrobić nic z panelem sterowania. Mogła zachować się jak szczur w pudełku albo zrezygnować z pośrednika. W końcu wszystkie pulpity sterowania łączyły się z urządzeniami, a do urządzeń – przynajmniej ich części – mogła się dostać.

W przestrzeni między kadłubami panowała próżnia, a ona nie miała wielkiej nadziei na to, że zewnętrzny kadłub jest hermetyczny. Ostatni pozostały skafander bez butli mógł pomieścić powietrze na jakieś pięć minut

i mogła ustawić radio na odbiór, dzięki resztkom ładunku w przewodach odbierając delikatne echo emitowanych przez nadajnik własnych słów. Prosta śluza, która mogła umożliwić jej dostęp do włazu technicznego, została wymontowana na części, ale mogła zmienić w śluzę cały pokład techniczny. Zamknąć wąż do reszty statku, wypchnąć panel dostępowy w przestrzeń między kadłubami. Przydzieliła sobie dwie minuty na znalezienie czegoś użytecznego – rozdzielacza zasilania, który mogłaby uszkodzić w celu wyłączenia silnika, okablowania systemu łączności, niezabezpieczonej konsoli rozmawiającej z komputerami – a potem dwie minuty na powrót. Trzydzieści sekund na zamknięcie i uszczelnienie panelu technicznego, a potem otwarcie włazu. Za każdym razem straci całe powietrze z pomieszczenia, ale nie więcej.

Założyła hełm i sprawdziła uszczelki, a potem otworzyła panel. Z początku się jej opierał, a potem gwałtownie ustąpił. Miała wrażenie, że słyszy szum uciekającego powietrza, choć pewnie tylko to sobie wyobraziła. Minęło już dwadzieścia sekund. Wczołgała się w próżnię między kadłubami. Ciemność była tak całkowita, jakby zamknęła oczy. Stuknęła w przyciski sterowania skafandra, ale nie włączyły się żadne reflektory.

Wycofała się, zamknęła panel, otworzyła wąż i zdjęła hełm.

– Światło – powiedziała w pustkę. – Będę potrzebowała światła.

\* \* \*

Monitor zwisał na kablach, żądając podania hasła. Ledwie mieścił się przez panel dostępowy i wypełniał przestrzeń między kadłubami światłem tak słabym, że nie widziała w nim żadnych kolorów. Cienie wsporników i rozpór pogłębiały czerń wokół, tworząc kształty, którym nie potrafiła nadać żadnego sensu. Miała czterdzieści pięć sekund, zanim będzie musiała wrócić. Już piąty raz próbowała się przebić przez powłokę kabli. Na prawdziwym statku byłyby chronione rynienką, na tym śmieciu przewody zostały zamocowane bezpośrednio do kadłuba warstwą pożółkłego epoksydu. Z jednej strony było to błogosławieństwem, z drugiej przerażało ją, że powierzyła temu statkowi swoje życie. Gdyby skontrolowała przestrzeń między kadłubami przed wylotem z Ceres, całą drogę do *Pelli* spałaby w skafandrze próżniowym.

Powłoka się oderwała. Trzydzieści sekund. Chwyciła kawałek odzyskanego drutu i zwarła obwód. Przeskoczyła solidna iskra i światem szarpnęło. Gdzieś głębiej, może cztery metry dalej, zapaliła się bursztynowa kontrolka, a ona zaczęła spadać w bok. Dzięki dodatkowemu oświetleniu zobaczyła zaokrąglony, potrójny korpus silnika manewrowego. Wyciągnęła rękę, chwytając się stalowego pręta. Kiedy przycisnęła do niego hełm, dudnienie silnika stłumiło echo sygnału radiowego. Sięgnęła do drutu, zerwała połączenie i dudnienie ustało.

Skończył się jej czas, więc zawróciła, czując zawroty głowy. Czyli statek skręcał. Nie miała sposobu na określenie szybkości obrotu, ale siła Coriolisa była na tyle zauważalna, że zataczała się, wracając.

Po zamknięciu panelu, otwarciu wjazdu i zerwaniu hełmu usiadła nieruchomo, aż prawie udało jej się odzyskać równowagę. Potem ostrożnie, niepewnie wydrapała na ścianie zdobyte właśnie informacje. Zaczynała tworzyć zgrubną mapę tajnego wnętrza statku i notowała wszystko, czego się dowiedziała. Była tak zmęczona, że nie mogła zaufać swojej pamięci. Na podstawie zapisów wiedziała, że odbyła już trzydzieści wycieczek. I dopiero teraz po raz pierwszy coś osiągnęła. To był tylko jeden silnik, ale statek wirował, kręcąc się w kółko, zamiast lecieć przed siebie po prostej. Całe przyspieszenie przejdzie w zmienny moment obrotowy i nie będzie tak szybko lecieć w stronę Jima. Może udało się jej kupić trochę czasu. Teraz będzie jej trudniej, ale dorastała w Pasie i na statkach. Coriolis i radzenie sobie z mdłościami i zawrotami głowy – to wszystko nie było dla niej niczym nowym. Zdawała sobie sprawę, że odczuwane wrażenie mocy i osiągnięć nie przystawało do skali tego, co faktycznie udało jej się osiągnąć, ale i tak się uśmiechała.

Trzydzieści wycieczek. Dwie i pół godziny spędzone w próżni. Nie uwzględniając minut spędzonych na wymianie powietrza w skafandrze i planowaniu następnego wyjścia. Może w sumie pięć godzin, od kiedy zaczęła. Była wyczerpana. Czuła to w mięśniach i w bólu

stawów. Niczego nie jadła – nie mogła jeść. Była spragniona i czuła pierwsze objawy bólu głowy wywołanego odwodnieniem. Nie miała powodu się spodziewać, że to przeżyje, więc zaskoczyło ją odkrycie, że czuje się szczęśliwa. Nie była to potężna irracjonalna i groźna radość ataku euforycznego, ale rodzaj przyjemności i satysfakcji.

Z początku sądziła, że czuje się tak, bo nie ma tam z nią nikogo, nikt jej nie pilnował ani nie osądzał. I uznała, że to jeden z elementów tego uczucia, ale znacznie istotniejszy był fakt, że po prostu robiła to, co trzeba, bez konieczności martwienia się tym, co pomyślą inni. Nawet Jim. Czy to nie było dziwne? Niczego nie pragnęła bardziej niż obecności Jima – oraz Amosa, Aleksa, dobrego posiłku i łóżka z jakimś ludzkim ciężeniem – ale była w niej jakaś część, która rozwijała się w ciszy bycia po prostu sobą i całkiem samą. Nie ogarniały jej żadne mroczne myśli, w głębi umysłu nie dręczyły żadne wątpliwości. Albo była na to zbyt zmęczona, albo gdy zwracała uwagę na inne sprawy, coś się z nią stało.

Pomyślała, że to różnica między samotnością a izolacją. I wiedziała teraz o sobie coś, czego nie wiedziała wcześniej. Było to nieoczekiwane zwycięstwo, a dzięki temu jeszcze słodsze.

Zacząła się szykować do trzydziestej pierwszej wycieczki.

\* \* \*

Miała prawie minutę, bo przekonała się, że wspinanie się po przewodach zasilania nadajników łączności zajmowało więcej niż schodzenie z powrotem. Było to coś, co zrozumiałaby dużo szybciej, gdyby jej umysł działał prawidłowo.

System łączności był zamocowany nie tylko epoksydem. Nadajnik przytrzymywany był przez długie metalowe taśmy, ze spawami wciąż tak jasnymi, jakby zrobiono je wczoraj. Trzy wycieczki temu – numer czterdzieści cztery – sądziła, że znajdzie przy nim zestaw diagnostyczny. Nie, żeby mogła do niego coś powiedzieć, ale może dałoby się wystukać wiadomość. Niestety, pomimo faktu, że tego typu zestawy były standardowym, wymaganym wyposażeniem, nie znalazła go.

Potrzebowała trochę czasu na złożenie alternatywnego planu.

Puszczana w pętli wiadomość rozbrzmiewała jej w uszach od wielu godzin, szepcząc na resztkach ładunku w kablach.

– Mówi Naomi Nagata z *Rosynanta*. Jeśli odbieracie tę wiadomość, proszę o retransmisję. Powiedzcie Jamesowi Holdenowi, że mam problemy. Radio nie działa, straciłam nawigację i kontrolę. Proszę o retransmisję.

Trzyście sekund długości, ledwie głośniejsza od jej oddechu, nawet gdy była o metr od nadajnika. Po odsłonięciu przewodów radiostacji była gotowa. Będzie musiała to zrobić cztery razy, żeby liczba powtórzeń nie mogła zostać uznana za przypadkowe interferencje.

Przycisnęła głowę do kadłuba, żeby odwrócić uwagę od wirowania w uchu środkowym.

– Mówi Naomi Nagata – powiedziała, dopasowując tempo i ton głosu do fałszywego komunikatu. – Jeśli odbieracie tę wiadomość, proszę o retransmisję. Powiedzcie Jamesowi Holdenowi, że mam... – wbiła drut w odsłonięte przewody. Poczowała prąd w palcach nawet przez osłonę rękawic skafandra. Radio ucichło, ale dalej powtarzała słowa, odtwarzając je jak piosenkę, która utkwiała jej w głowie aż do właściwego momentu, a potem wyrwała drut – ... kontrolę. Proszę o retransmisję. Mówi Naomi Nagata z *Rosynanta*. Jeśli odbieracie tę wiadomość, proszę o retransmisję. Powiedzcie Jamesowi Holdenowi, że mam – przerwa – kontrolę. Proszę o retransmisję.

Po czwartym razie wyciągnęła kawałek stalowej sprężyny używany jako nóż i odcięła nadajnik. Jej fałszywy głos umilkł. Zeszła w dół, schodząc od wspornika do wspornika, przy każdym ruchu patrzyła na ręce i nogi, żeby na pewno dobrze ocenić odległość. Ciężenie przyśpieszenia sprawiało, że jej kostki i nadgarstki wydawały się niestabilne. Powietrze w skafandrze nie sprawiało wrażenia dusznego ani dławiącego, filtry ditlenku węgla nawet w trybie pasywnym działały na tyle dobrze, że nie czuła paniki duszenia się. Gdyby w nim została, po prostu straciłaby przytomność i umarła.

Wyszła do warsztatu i zamknęła panel dostępu. Po drodze do wjazdu ugięło się jej kolano. Otworzyła wąż, zerwała hełm i usiadła, jęcząc z bólu. Jej pole widzenia



uległo zawężeniu, po bokach pojawiły się jasne rozbłyski. Zwymiotowała na sucho, przestała, zrobiła to ponownie i pozwoliła, by masa ciała wtłoczyła ją w pokład.

*Powiedzcie Jamesowi Holdenowi, że mam kontrolę, dla bardzo szerokiej definicji kontroli*, pomyślała i roześmiała się. A potem rozkaszała się, aż żebra rozboleły ją jeszcze bardziej. I znowu się śmiała.

\* \* \*

Podczas siedemdziesiątego pierwszego wyjścia wpadła na ścianę. Nie było to delikatne. Zamknęła włącz do pozostałej części statku, domknęła uszczelki i założyła hełm skafandra próżniowego. Zanim zdołała go zamocować i rozpocząć kolejne pięciominutowe odliczanie, opadły jej ręce. Nie chciała robić niczego takiego, po prostu tak się stało. W odległy, niejasny sposób przejęta usiadła na pokładzie, opierając się plecami o ścianę i spróbowała nimi poruszyć. Gdyby właśnie została sparaliżowana, zmieniłoby to sytuację. Pozwoliłoby jej przestać. Ale jej dłonie wciąż się zaciskały, ramiona nadal ruszały. Była po prostu wyczerpana. Nawet przełknięcie wymagało heroicznego wysiłku. Zamknęła oczy, zastanawiając się, czy od razu zaśnie, ale była na to zbyt zmęczona. Więc siedziała.

Gdyby skafander miał baterię, pewnie katalogowałyby teraz niedostatki jej ciała. Wywołany odwodnieniem ból głowy nasilał się, przechodząc w stronę mdłości. Jej skóra piekła w miejscach, gdzie oparzyły ją bezpośrednie promienie słońca. Choć nie wykasływała już za wiele,

wciąż kaszlała. I na tym etapie jej krew zawierała już pewnie tyle samo osocza, co toksyn zmęczenia.

Jej dwa małe zwycięstwa – silnik i nadajnik – okazały się ostatnimi. Od tamtej pory wszystkie jej wysiłki osłabły, wszystko zrobiło się bardziej skomplikowane, albo obie te rzeczy na raz. Przetworniki, które mogły wymusić wyłączenie rdzenia, albo nie zostały zainstalowane, albo upchnięto je gdzieś, gdzie nie mogła dotrzeć z przestrzeni między kadłubami. Cudownie byłoby uzyskać dostęp do zestawu czujników, które wywołają wyłączenie pola magnetycznego po zbliżeniu się statku, ale wyglądało na to, że zamontowano je na zewnątrz, gdzie nie mogła się do nich dostać. Znalazła kilka miejsc, gdzie mogłaby spróbować wpiąć się do systemu komputerowego, ale w żadnym z nich nie było interfejsu, a nie miała żadnego, który mogłaby zabrać ze sobą. Od czasu do czasu przez jej umysł niczym świetliki przemykały inne plany i strategie. Niektóre z nich mogły być nawet dobre. Nie potrafiła się na nich skupić na dość długo, by to ocenić.

Może usypiała, a może przeskoki czasu były po prostu sposobem, w jaki działał teraz jej umysł. Głos był tylko szeptem, cichszym od jej własnego głosu, ale wyrwał ją do przytomności.

– Czołem, *Chetzemoka*. Mówi Aleks Kamal, obecnie na pokładzie *Finwala*. Naomi? Jeśli tam jesteś, doceniłbym jakiś znak. Wolałbym się upewnić, że to ty, zanim podejmiemy. Twój statek zachowuje się cholernie dziwnie, a my jesteśmy trochę nerwowi. A tak na

wypadek, gdyby to nie była Naomi Nagata? Mam wycelowanych w was piętnaście rakiet, więc kimkolwiek jesteś, lepiej będzie, jeśli się odezwiesz.

– Nie – powiedziała, wiedząc, że jej nie usłyszysz. – Nie zbliżaj się. Nie zbliżaj się.

Wszystko bolało. Wszystko wirowało. Nic nie było proste. Gdy wstała, zakręciło jej się w głowie. Bała się, że może stracić przytomność, ale gdyby się schyliła, mogłaby nie mieć dość sił, by z powrotem się wyprostować. Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby go odgonić. Nie mogła dopuścić, żeby podleciał dość blisko, by oberwać wybuchem. Nie miało znaczenia, czy to uratuje jej życie, czy nie. Miała już swój dobry dzień. Był lepszy niż się spodziewała, ale była tak bardzo zmęczona...

Dysząc ciężko, po raz ostatni otworzyła włącznik warsztatu i ruszyła do windy. A z niej do śluzy.

## Rozdział czterdziesty piąty

### Amos

Choć sieć działała wyłącznie lokalnie, przez system *Zhang Guo*, miło było znowu mieć działające terminale ręczne. Amos leżał na wsporniku wciśnięty w wąską przestrzeń między kadłubami. Reszta jego ekipy była teraz tylko cichymi dźwiękami blokad magnetycznych i delikatnym, uspokajającym zapachem spawania. Miernik podpięty przez niego do linii zasilania wskazywał zero.

– A teraz? – zapytała Złotko.

– Nic.

Minęło kilka sekund.

– Teraz?

– Nic.

Kolejna sekunda. Miernik zaćwierkał, a jego odczyt z zera skoczył na osiemdziesiąt dziewięć. Amos uśmiechnął się szeroko.

– Trafione, Złotko. Mam tu prawie dziewięćdziesiąt.

– Blokuję – odpowiedziała, i choć terminale ustawiono wyłącznie na dźwięk, i tak wiedział, że się uśmiechnęła.

Odpiął miernik i spryskał pianką uszczelniającą zrobione przez siebie otwory na odprowadzenia. – Erich? Jeśli tam jesteś, możemy zrobić kolejną próbę.

– Oczywiście, że jestem – potwierdził Erich. – Gdzie miałbym iść? Uruchamiam procedurę diagnostyczną. Idźcie rozprostować nogi czy coś.

Amos gwizdnął przez zęby, a wibrujący pogłos sprawił, że dźwięk wydał się głośniejszy.

– Robię sobie przerwę. Jeśli uda się wam otworzyć ten kanał, po prostu poczekajcie na mnie. Nie próbujcie robić niczego mądrego.

Rozbrzmiał chór potwierdzeń, a on podciągnął się i zaczął wspinać się do panelu dostępowego, korzystając ze wsporników i uchwytów na kadłubie. Zespół B nie pomagał za bardzo, ale mogli wykonać niektóre proste, ale czasochłonne prace, podczas gdy Amos, Złotko i Erich starali się doprowadzić *Zhang Guo* do stanu umożliwiającego lot. Jak na razie zajmował się głównie naprawianiem niezdarnych prób naprawy statku, podejmowanych przez służących, próbował też znaleźć powód jego unieruchomienia. Choć z zewnątrz statek był wersją bardzo na pokaz, jego budowa wewnętrzna była niemal całkowicie standardowa. W maszynowni Amos znalazł szmatkę i starł z palców i nadgarstka twardniejącą powłokę uszczelnacza. W najciemniejszych miejscach materiał zdążył już stwardnieć, odrywając się od skóry jak pancerzyk z krewetki.

Drzwi do śluzy stały otworem, a na podłogę hangaru prowadziły schodki na kółkach. Za oknami wciąż było

czarno, a w panele uderzał brudny, gęsty deszcz. Powietrze pachniało ozonem i zimnem, a oddech Amosa tworzył białe obłoczki. Zamontowane pod sufitem panele LED rzucały ostre światło, wycinając cienie tak ostre, że wyglądały na sztuczne. Stokes i pozostali służący zebrali się pod jedną ze ścian, trzymając torby i walizki. Rozmawiali ze sobą nerwowo. Misia opierała się o jedną ze ścian z dłonią przy uchu, emanując aurą skupienia. Amos przyglądał się jej, schodząc po schodach. Kobieta emanowała poczuciem ledwie hamowanej przemocy. Znał całe mnóstwo ludzi o bardzo podobnym nastawieniu. Niektórzy byli przestępcami, inni policjantami. Zauważyła, że się jej przygląda, i uniosła podbródek w geście będącym równocześnie pozdrowieniem i wyzwaniem. Uśmiechnął się łagodnie i pomachał.

Zszedł na podłogę hangaru mniej więcej wtedy, gdy Złotko wyszła ze śluzy na schody. Stokes oderwał się od grupy i podbiegł do Amosa, uśmiechając się nerwowo.

– Panie Burton? Panie Burton?

– Mów mi Amos.

– Tak, dziękuję. Zastanawiałem się, czy Natalia mogłaby pójść do domu Silasów? Jej mąż pilnuje tam porządku i ona się boi, że jeśli odleci bez niego, nigdy więcej się nie zobaczą. Bardzo się martwi, proszę pana.

Złotko zeszła za nim ze schodów krokami cichymi jak kroki kota. Jej cień rozciągał się przed nią na podłogę. Amos podrapał się po rękę.

– Jest tak. Jestem prawie pewien, że zdołamy rozpocząć ostateczny rozruch za jakieś czterdzieści pięć minut. Każdy, kto będzie tutaj, kiedy skończymy, może się zabrać, o ile tylko będzie miejsce. Ale kto nie wejdzie na pokład, powinien znaleźć się dostatecznie daleko, żeby nie został spalony na atomy podczas startu. Poza tymi dwoma sprawami tak naprawdę w ogóle mnie nie obchodzi, co będziecie robić.

Stokes zaśmiał się i krótko, po ptasiemu, poruszył głową.

– Bardzo dobrze, panie Burton. Dziękuję.

Amos patrzył, jak mężczyzna odchodzi.

– Teraz jesteś panem Burtonem? – odezwała Złotko.

– Najwyraźniej – potwierdził Amos, a potem wskazał Stokesa kciukiem. – Czy on myśli, że ja żartowałem czy coś? Bo ja po prostu mówiłem mu, że słońce wschodzi na wschodzie.

Złotko uniosła jedno ramię.

– W jego świecie jesteśmy tymi dobrymi. Tak interpretuje wszystko, co mówimy. Jeśli mówisz, że nie obchodzi cię, czy on przeżyje czy zginie, to musi być surowy, wisielczy humor.

– Poważnie?

– Tak.

– To naprawdę głupie podejście do życia.

– Większość ludzi tak ma.

– To większość ludzi jest bardzo głupia.

– A jednak dotarliśmy do gwiazd – skomentowała Złotko.

Amos przeciągnął się, czując przyjemny ból mięśni barków.

– Wiesz, Złotko, to miło, że mamy całą tę pomoc i wszystko, ale w zasadzie było fajniej, gdy byliśmy tylko we dwoje.

– Mówisz takie słodkie rzeczy. Idę, spróbuję znaleźć jakąś kawę albo herbatę. Albo amfetaminę. Chcesz czegoś?

– Nie, radzę sobie.

Przyglądał się jej, gdy odchodziła. Wciąż była zdecydowanie za chuda, ale od czasu, gdy zobaczył ją w Dole w Bethlehem, tak jakby nabrała pewności siebie. Zaczął się zastanawiać, czy gdyby musiała tam wrócić, wciąż chciałaby, żeby ją zabił. Pewnie warto byłoby zapytać. Stłumił ziewnięcie i stuknął w swój terminal.

– Jak to wygląda tam na górze?

– Jeszcze nic nie rzuca błędami – odparł Erich. – To tym się teraz zajmujesz?

– Robię to od lat.

– I da się z tego wyżyć?

– Jasne, jeśli tylko nie przeszkadzają ci cholernie dziwni obcy i próbujące cię czasem zabić dupki z korporacyjnej ochrony.

– Nigdy dotąd mi to nie przeszkadzało – rzucił Erich. – Dobra, zrobione. Doszliśmy do końca przebiegu. Mam jedno ostrzeżenie z układu oczyszczania wody, ale wszystko inne jest na zielono.

– Jeśli będziemy siedzieć w tej cegle dość długo, by oczyszczać wodę, coś będzie musiało pójść bardzo nie tak.



– Też tak myślałem. Mam zacząć uruchamiać reaktor? Mają do tego skrypty i listę kontrolną.

– Jasne, może wezmę...

Terminal ręczny zaskrzeczał i dobiegł z niego męski głos, którego Amos nie rozpoznał.

– Szefie? Chyba mamy towarzystwo.

– Co tam masz? – rzucił Erich.

– Trzy ciężarówki.

– Dobra, pieprzyć – warknął Erich. – Włączam reaktor.

Amos podbiegł do frontowych drzwi hangaru. Wartownicy stojący przy oknach wyglądali na spiętych. Wiedzieli. Służący wciąż kręcili się w ich kącie, nie wchodząc im w drogę.

– Dobra, ale proponuję najpierw puścić listę kontrolną – rzucił. – Szkoda byłoby przejść przez to wszystko tylko po to, żeby pokazać fajerwerki gościom w Vermont.

Cisza była lodowata. Amos nie rozumiał problemu, dopóki Erich nie odezwał się ponownie.

– Nie słucham twoich rozkazów. *Burton*.

Amos przewrócił oczami. Nie powinien był tego mówić na otwartym kanale. Tyle lat i tyle katastrof, a wszystko wciąż sprowadzało się do nietracenia twarzy.

– Myślałem o tym raczej jako o opinii eksperta – odpowiedział. A po chwili dodał: – Sir.

– Rozumiem. Przypilnuję tego, a może ty w tym czasie idź pomóc pilnować perymetru – rzucił Erich, a Amos się uśmiechnął. Jakby już tego nie robił. Erich mówił dalej. – Walt, zacznij wprowadzać pasażerów na statek. Clarissa może pomóc przy rozruchu.

– Już idę – potwierdziła, a Amos zobaczył, że biegnie przez hangar w stronę schodów.

Stokes patrzył na nią z przejęciem. Amos wezwał go do siebie gestem.

– Panie Burton? – zapytał go mężczyzna.

– Ta dziewczyna, która chciała iść po swojego starego... Może powinna to przemyśleć.

Stokes zbladł, a przez okna hangaru wdarły się jaśniejsze od słońca światła reflektorów. Z głośnika zabrzmiał głos, wykrzykujący sylaby zbyt zniekształcone przez echo, by rozpoznać w nich słowa. To nie miało znaczenia. Wiedzieli, co się dzieje. Zanim Amos dotarł do frontowych drzwi, w świetle reflektorów pojawiły się czarne postacie. Ludzie w pancerzach do tłumienia zamieszek podchodzili do hangaru, trzymając w dłoniach karabiny szturmowe, które wyglądały poważniej niż sugerowały potrzeby pacyfikacji potencjalnych zamieszek. Służący ustawili się na schodach do śluzy statku, ale poruszali się za wolno. Jeden z ludzi Ericha – może dwudziestoletni, z czerwoną chustką na szyi – z uśmiechem podał Amosowi karabin.

– Celować w reflektory?

– Każdy plan jest lepszy od jego braku – zgodził się Amos i rozbił szybę kolbą karabinu.

Strzały rozległy się, zanim zdążył obrócić lufę i wymierzyć. Grzmot przypominał burzę, bez żadnych przerw między jednym wystrzałem a następnym. Gdzieś krzyczeli ludzie, ale Erich i Złotko byli w środku, Holden, Aleks i Naomi poza planetą, Lydia zaś była już

bezpiecznie martwa. O to wszystko nie musiał się już martwić. Chłopak obok niego krzychał bezdźwięcznie. Amos wycelował, wypuścił powietrze, nacisnął spust. Karabin szarpnął i jeden z reflektorów zgasł. Potem ktoś trafił kolejny. Jeden z żołnierzy Pinkwater odciągnął rękę do tyłu, żeby czymś rzucić, ale Amos strzelił mu w biodro. Chwilę później upuszczony granat eksplodował z ostrym błyskiem, rozsiewając w padającym deszczu chmurę gazu łzawiącego.

Ktoś – na podstawie głosu chyba Misia – krzyknęła „Odepchnąć ich!”, a Amos się skulił i pobiegł z powrotem za *Zhang Guo*. Cywile już prawie weszli, ze Stokesem na tyłach poganiającym ich krzykami i ruchami rąk. Coś wybuchło, wybijając szkło z ocalałych dotąd okien. Fala uderzeniowa walnęła w pierś Amosa, jakby wybuch go kopnął. Wstał, wyjrzał przez okno i strzelił w twarz najbliższej postaci. Z zewnątrz rozległ się głębszy terkot, z rozbłyskami wystrzałów z lufy jaśniejszymi od pozostałych świateł. W ścianie pojawiły się dziury, świecąc smugami światła w przestronne wnętrze hangaru.

– Musimy stąd uciekać! – krzyknął chłopak z chustą.

– Jestem za! – odkrzyknął Amos i zaczął iść tyłem, strzelając przez okno.

Pół sekundy później chłopak znalazł się przy nim. Pozostali albo ich zauważyli, albo doszli do takich samych wniosków. Dwoje wbiegło już na schody, cały czas strzelając. Na tym etapie nikt już nie próbował celować, po prostu starali się powstrzymać przeciwnika na tyle,

żeby wszyscy zdążyli dostać się na pokład. W karabinie Amosa skończyły się naboje. Rzucił broń i pobiegł do schodów, trzymając przy uchu ręczny terminal.

– Jak nam idzie? – krzyknął.

– Miałeś rację – odkrzyknęła Złotko. – Zrobił się skok zasilania przy rozruchu. Stracilibyśmy silniki manewrowe.

– Teraz też je stracimy?

– Nie sądzę.

– Dobrze.

Zatrzymał się u podstawy schodów. Chłopak z chustą przykucnął za nim, przeładowując swój karabin szturmowy. Gdy tylko włożył nowy magazynek, Amos wyrwał mu go z rąk i ruchem głowy wskazał schody. Chłopak kiwnął w podzięcie i ruszył w górę, starając się stwarzać jak najmniejszy cel. W oknach tańczyły cienie i boczne drzwi otworzyły się gwałtownie, wpuszczając do środka trzech ludzi. Amos powalił ich serią. Na schodach tłoczyło się teraz pół tuzina ludzi Ericha, niektórzy wciąż strzelali. Jedna z nich – Misia – zachwiała się po wejściu na czwarty stopień. Na ręce i z boku szyi miała mnóstwo krwi. Amos uniósł karabin, posłał serię po ścianach i przyklęknął obok niej.

– Chodź – powiedział. – Pora się zbierać.

– Chyba nic z tego – odparła Misia.

Amos westchnął. Schował swój terminal do kieszeni, chwycił jedną ręką kołnierz kobiety, drugą złapał za rękę karabinu i wbiegł po schodach przy akompaniamencie grzechotu swojej broni. Kobieta

krzyczała, uderzając o schody. Coś wybuchło, ale Amos nie zatrzymał się, żeby się obejrzeć. Na górze przeciągnął Misię przez śluzę, puścił w dół ostatnią serię i wcisnął przycisk zamykający zewnętrzny właz.

Wszędzie wokół niego kulili się ludzie Ericha i służba domowa. Niektórzy byli zakrwawieni. Sam miał na sobie mnóstwo krwi. Był prawie pewien, że cała należała do Misi, ale nie na sto procent. Czasami, w ogniu emocji, zdarzało mu się nie zauważać takich drobiazgów jak bycie postrzelonym. Opuścił Misię na pokład i wyciągnął swój ręczny terminal.

– Dobra – powiedział. – Dobrze byłoby wystartować.

– Plazma z dyszy zabije wszystkich w okolicy – ostrzegł Erich.

– Obchodzi nas to? – odkrzyknął Amos.

– Chyba nie.

Silnik z rykiem obudził się do życia.

– Położyć się! – wrzasnął Amos. – Nie mamy czasu na dotarcie do prycz. Wszyscy na podłogę. Ciąg trzeba rozłożyć na całą powierzchnię ciała!

Sam położył się obok Misi. Patrzyła na niego w sposób, który mógł sugerować ból albo złość. Nie odzywała się, on też nie. Z głośników statku rozległ się głos Ericha, nakazujący im się przygotować, a potem Amos zaczął ważyć dużo więcej niż kilka sekund temu. Pokładem zatrzęsł głośny chrupot – *Zhang Guo* przepchnął się przez dach hangaru w drodze do nieba. Statkiem zatrzęsło, opadł nieco, a potem znowu się wzniósł. Pokład wpychał się w plecy Amosa. Jeśli będą musieli wykonywać jakieś

ostre manewry, w rogu na styku podłogi ze ścianą zostanie zgniecionych przynajmniej ze dwanaście osób.

Obudził się do życia ekran nad pulpitem kontroli silników, wyświetlając chmury i deszcz spadający na dziobową kamerę startującego promu. Światło zamigotało i przez statek przetoczył się grzmot. Nie pamiętał, czy standardowa orbitalna prędkość ucieczki wymagała trzech czy czterech g przyśpieszenia, ale ile by to nie było, dużo przyjemniej znosiłoby się je w pryczy przeciążeniowej. Bolała go szczeka i musiał sobie przypomnieć, żeby zacisnąć ręce i nogi, by nie stracić przytomności. Otaczający go ludzie nie przypominali sobie o tym na czas, albo – co bardziej prawdopodobne – w ogóle o tym nie wiedzieli. Dla większości była to pierwsza podróż poza studnię grawitacyjną.

W ciągu kilku długich minut chmury na ekranie przeredziły się. Błyskawice zostały w tyle. A potem z bezbarwnej szarości wyłoniły się pierwsze gwiazdy. Amos roześmiał się i krzyknął radośnie, ale nikt mu nie zawtórował. Rozejrzał się wokół i wyglądało na to, że jest jedyną przytomną osobą w okolicy, więc po prostu leżał spokojnie, czekając, aż ciążenie ciągu osłabnie, gdy znajdą się na orbicie.

Gwiazdy powoli robiły się coraz jaśniejsze, z początku migąły, gdy mijali ostatnie warstwy atmosfery, a potem świeciły stałym blaskiem. Droga Mleczna pojawiła się jak oświetlona z tyłu ciemna chmura. Ciężenie ciągu zaczęło słabnąć, więc wstał. Ludzie wokół niego zaczęli odzyskiwać przytomność. Chłopak z chustką i kilku

innych przenieśli Misię do windy, zapewne zawieźli ją do ambulatorium, jeśli *Zhang Guo* miał jakieś na pokładzie. Stokes i pozostali śmiali się, płakali lub patrzyli w ekran w szoku i niedowierzaniu. Amos sprawdził, czy nie ma żadnych ran, ale poza czterema głębokimi zadrapaniami na lewym udzie, których pochodzenia nie potrafił sobie przypomnieć, wydawał się nienaruszony.

Przełączył swój terminal na kanał ogólny.

– Tu Amos Burton. Mogę wejść na mostek?

– Możesz przyjść, Burton – odpowiedział Erich.

Miał wrażenie, że w jego głosie usłyszał nutę samozadowolenia.

Ta sprawa z zachowywaniem twarzy Ericha robiła się bardzo nużąca, ale chwilowo czuł się za dobrze, żeby się nią przejmować.

Mostek był wręcz obrzydliwie pluszowy. Wyściółkę przeciwuderzeniową wystrojono tak, żeby wyglądała jak czerwone aksamitne tapety, a światło dochodziło ze złoto-srebrnych kinkietów na ścianach. Erich siedział w fotelu kapitana. Jego zdrowa ręka wędrowała po klawiaturze trzymanej na kolanach, zniekształconą trzymał się pasów. Złotko siedziała w pryczy nawigatora z zamkniętymi oczami i uśmiechem na twarzy.

– Siadaj w pryczy – rzucił Erich z uśmiechem. Jego stary przyjaciel, nie szef podziemnego światka, który musiał pokazywać Amosowi jego miejsce. Przełączył się na interkom okrętowy. – Przygotować się na manewry. Powtarzam, przygotować się na manewry.

– Tak naprawdę wcale tak się tego nie robi – skomentował Amos, przypinając się przy konsoli łączności. – Takie rzeczy mówią tylko w filmach.

– Na razie wystarczy – odpowiedział Erich, a prycze przesunęły się pod nimi, gdy silniki manewrowe obróciły statek.

Powoli w polu widzenia pojawił się Księżyc, a za nim Słońce. Oświetlona z tyłu Luna była czarnym kręgiem poza wąską krawędzią bieli i siecią świateł miast. Złotko roześmiała się perłście, teraz już z otwartymi oczami i dłońmi przyciśniętymi do warg. W jej oczach lśniły łzy.

– Nie sądziłaś, że jeszcze to zobaczysz, co, Złotko?

– Jest piękny – powiedziała. – Wszystko jest piękne, a nie myślałam, że cokolwiek jeszcze takie będzie.

Przez chwilę wszyscy milczeli, a potem Erich zmienił widok, powoli ściągając go w dół. Ziemia pod nimi była plamą szarości i bieli. Tam, gdzie w nieustannym blasku świateł powinny rysować się kontynenty, zobaczyli tylko nieliczne słabo jarzące się plamy. Morza i lądy pozostawały ukryte. Planetę skrywał pogrzebowy całun, a wszyscy świetnie wiedzieli, co skrywa się pod nim.

– *Kurwa* – rzucił Erich z olbrzymim ładunkiem przejęcia i rozpacz.

– Właśnie – zgodził się Amos.

Znowu przez dłuższą chwilę milczeli. Kolebka ludzkości, źródło życia w Układzie Słonecznym, była piękna w spazmach umierania, ale żadne z nich nie miało wątpliwości, na co patrzą.



Przerwał im sygnał z konsoli łączności. Amos przyjął połączenie i na panelu wysokiego priorytetu pojawiła się młoda kobieta w mundurze floty ONZ.

– *Zhang Guo*, tu baza Luna. Nie mamy dla ciebie zatwierdzonego planu lotu. Ostrzegam, że ta przestrzeń podlega ograniczeniom wojskowym. Natychmiast się zidentyfikuj albo otworzymy ogień.

Amos otworzył kanał.

– Cześć, baza Luna. Nazywam się Amos Burton. Nie zamierzamy nikomu deptać po palcach. Jeśli macie tam jakąś Chrissie Avasaralę, to jestem pewien, że za mnie poświadczy.

## Rozdział czterdziesty szósty

### Aleks

– Czołem, *Chetzemoka*. Mówi Aleks Kamal, obecnie na pokładzie *Finwala*. Naomi? Jeśli tam jesteś, doceniłbym jakiś znak. Wolałbym się upewnić, że to ty, zanim podejdziemy. Twój statek zachowuje się cholernie dziwnie, a my jesteśmy trochę nerwowi. A tak na wypadek, gdyby to nie była Naomi Nagata? Mam wycelowanych w was piętnaście rakiet, więc kimkolwiek jesteś, lepiej będzie, jeśli się odezwiesz.

Aleks wyłączył mikrofon i potarł się po policzku. Lecieli teraz w nieważkości po wyrównaniu kursu z tajemniczym statkiem odległym o zaledwie pięćdziesiąt kilometrów we względnej osi Z. W dole jarzyło się Słońce, zdecydowanie większe niż widziane z Marsa, ogrzewając mały ścigacz prawie do granic jego możliwości pozbywania się energii. Bobbie z tyłu oglądała ten sam obraz z kamer.

– To nie wygląda dobrze – skomentowała.

– Nie.

Kiedy był jeszcze chłopcem, mieszkając na Marsie, jeden z jego kolegów robił czasem dla zabawy improwizowane fajerwerki. Potrzebny był tylko kawałek lekkiej rurki, klin górniczy i jednorazowy silniczek raketowy. Klinem przebijało się jeden koniec rurki i wbijało go do płaskiego kawałka ściany, a potem na drugim końcu rurki przyklejało się epoksydem lub taśmą przemysłową silniczek. Po odpaleniu silniczka powstawał pierścień dymu i ognia, z rurką obracającą się coraz szybciej wokół klina, z migotliwym i oślepiającym blaskiem dyszy. Czasami silniczek się odrywał i odbijał się po korytarzu, stwarzając zagrożenie dla wszystkich obserwatorów. Czasami klin wypadał ze ściany. Najczęściej po prostu zostawiał po sobie krąg zadrapań i spalenizny na kamieniach ściany, niezmiernie denerwując ekipy konserwatorów. Nazywali je ognistymi łasicami. Nie wiedział, dlaczego.

*Chetzemoka* nad nimi wirował jak ognista łasica. Obroty nie wyglądały na całkowicie niekontrolowane, ale krąg, po którym latał, był dość ciasny. Całe przyśpieszenie, z którym tak ostro leciał w stronę Pasa i Holdena, wygasało, z każdym punktem na trasie kontrowanym przez punkt o sto osiemdziesiąt stopni od niego na obwodzie koła. Smuga z dyszy była strumieniem ognia i plazmy, który stopiłby na szkło wszystko, co próbowałoby się do niego zbliżyć, chyba że można by podlecieć z góry lub z dołu. A gdyby to zrobili...

– Jak myślisz, co się stało? – zapytała Bobbie.

– Odpalił silnik manewrowy i skręt nie został wyrównany.

– Możemy z nim wyrównać kurs? To znaczy, gdybyśmy uznali, że tego chcemy?

Aleks przycisnął czubek języka do zębów i w myślach prosił Naomi, żeby zadzwoniła. Żeby dała mu jakiś znak, że żyje. Nie zamierzał ryzykować statku, życia swojego i pasażerów, żeby uratować trupa.

– Może będziemy musieli wymyślić coś mądrego.

Wywołał ekran taktyczny. *Finwal* i jego chmura pocisków, które nie miały do kogo strzelać. *Chetzemoka* goniący za własnym ogonem jak terier, który zjadł za dużo smakołyków. A dużo dalej hamująca od strony Słońca eskorta ONZ i *Ros* robiący to samo od strony Pasa. Wszystko zbiegało się właśnie tutaj – szef SPZ, premier Marsa, najlepsza kawaleria *Avasarali* – ponieważ tutaj znajdowała się Naomi Nagata, a jak długo Aleks i Holden oddychali, zamierzali dbać o swoich.

Na ekranie pojawił się komunikat o nadchodzącej wiadomości, ale nie została nadana z *Chetzemoki*. Aleks odebrał i zobaczył obraz Holdena. Przez kilka sekund kapitan niczego nie robił, tylko patrzył w kamerę i drapał się po nosie. Wyglądał na chudego i zmęczonego. Aleks sam tak się czuł. Potem na twarzy Holdena pojawił się uśmiech i znowu zaczął przypominać siebie.

– Aleks! Świetnie. Powiedz, z czym mamy do czynienia.

– Nie mieliśmy żadnych wiadomości, od kiedy przestali nadawać, ale jeśli to była celowa wiadomość, to

wyduje się najgorszą definicją „mam kontrolę”, jaką widziałem od dawna. Może nie jest to całkiem niekontrolowane wirowanie, ale wiele mu nie brakuje. Przy tym jak gania za własnym ogonem, nie będzie łatwo do niego podlecieć, ale pracuję nad pomysłem. *Finwala* nie zbudowano z myślą o dokowaniu do śluzy, taką bryką ląduje się w hangarze. Ale mamy skafandry próżniowe dla mnie i dla Nate'a, to jest premiera. Teraz mówię mu po imieniu. Nie bądź zazdrosny. W każdym razie pomyślałem, że ustawimy *Finwala* na środku kręgu wykonywanego przez Naomi z nosem do góry i tyłkiem w dół, a potem wyrównamy obroty z jego wirowaniem. Wtedy jak długo nikt nie wyrzyga się do hełmu, będziemy mogli wysłać kogoś do ich śluzy. Nie jestem pewien, czy to zadziała, ale to jak na razie mój najlepszy pomysł.

Nachylił się do przodu, czekając, aż laser wiązki kierunkowej pokona cztery sekundy świetlne do *Rosynanta*, a potem cztery sekundy z powrotem. Sądząc po kształcie twarzy Holdena, leciał z więcej niż standardowym przyśpieszeniem. Nawet gdyby *Chetzemoka* nie zaczął niespodziewanie kręcić się w kółko, *Finwal* i tak dotarłby do niego pierwszy. Tymczasowy pilot Holdena będzie musiał postawić Aleksowi piwo, o ile nie wybuchnie im w twarz nic nowego i niespodziewanego. Choć wolałby tego nie obstawiać.

Po pięciu sekundach przypomniał sobie, że chciał wspomnieć o pancerzu wspomaganym Bobbie. Teraz już tego nie powiedział, bo po prostu przerwałby słowa

Holdenowi, a jego wiadomość nie dotrze jeszcze przez kilka sekund. Rozmowy z opóźnieniem światła wymagały ścisłego przestrzegania etykiety i mówienia na zmianę.

– Czemu tego nie spróbować? – powiedział Holden. – Jeśli będzie to wyglądało na wykonalne, mogę nawet ustawić *Rosa* na waszym miejscu, gdy już tam dotrzemy. Wtedy w razie potrzeby będziemy mogli nawet przeciąć kadłub. Masz jakiś znak od Naomi?

– Jeszcze nie... – zaczął Aleks, ale okazało się, że Holden jeszcze nie skończył, tylko nabrał powietrza.

– Bo to całe „Powiedz Jamesowi Holdenowi, że mam kontrolę” było cholernie dziwne na wielu poziomach. Sprawdziłem profil głosowy wiadomości nadawanej przez *Chetzemokę*, a właściwie zrobił to Fred. Mnie by to nie przyszło do głowy. W każdym razie to, jak powiedziała „James Holden” w pierwszym ostrzeżeniu o sabotażu sterowników pola magnetycznego, i to, jak robi to w tej wiadomości? Dokładnie tak samo. Fred uważa, że ta nowa wiadomość może być oszukana. Tylko że to, jak została zmodyfikowana przed jej wyłączeniem... coś tu widzę, Aleks. Ale nie wiem, co to takiego.

Tym razem Aleks poczekał z mówieniem, aż nabrał pewności, że Holden skończył.

– Nie mieliśmy żadnych sygnałów, ale wydaje mi się, że ktoś na tym statku próbował nam coś powiedzieć. A to latanie w kółko sprawia, że zdecydowanie mniej prawdopodobna wydaje się teoria konia trojańskiego. Niczego by w ten sposób nie zyskali, poza wywołaniem silnych mdłości u każdego na pokładzie. Szczerze

mówiąc, też nie wiem, z czym mamy tu do czynienia, kapitanie, ale nie sądzę, żebyśmy mieli się dowiedzieć do czasu, aż ktoś wejdzie do środka.

Osiem długich sekund tam i z powrotem.

– Martwię się po prostu, że jeśli tam jest i nie ma kontroli nad statkiem, to będziemy tu siedzieć i kombinować w czasie, gdy ona nas potrzebuje. Nie potrafię znieść myśli, że dotarliśmy tak blisko, a teraz moglibyśmy ją stracić. Wiem, że to trochę zwariowane, ale sam jestem teraz trochę zwariowany. Wciąż myślę, że jest rozgniatana o ściany przez te zakręty, a ja siedzę tutaj i niczego nie mogę zrobić.

– No tak, tylko że awarie silników manewrowych nie działają w taki sposób – stwierdził Aleks. – Nie dostaniesz impulsu bocznego, chyba że silnik faktycznie działa. Potem masz trochę obrotu pchającego ludzi za środkiem osi obrotu w dół, a tych przed nim do góry, ale to będzie w osi ciągu głównego silnika, więc dostaniesz jedynie...

– Aleks! – odezwała się Bobbie. – Coś się dzieje.

Wykręcił się na pryczy, potem obrócił ją w stronę Bobbie. Wzrok utkwiała w ekranie ściennym. Znajdowało się na nim nowe okno z widokiem z górnej kamery. *Chetzemoka* nadal dziko się kręcił, ale coś z niego wyleciało, szybując teraz przez pustą, czystą próżnię z gwiazdami za nim jak migocząca źrenica wielkiego oka. Oka burzy. Bobbie próbowała powiększyć obraz równocześnie z Alekssem i system wyemitował zirytowane ostrzeżenie, ostrość skakała dziko, zanim się uspokoiła. Postać w skafandrze próżniowym. Na

skafandrze nie świeciły się żadne kontrolki i był zwrócony do nich tyłem, a intensywne światło Słońca sprawiało, że szary materiał lśnił prawie za mocno, by dostrzec szczegóły.

– Ona żyje? – zapytał Aleks.

– Rusza się.

– Jak dawno temu wyszła?

– Niedawno – stwierdziła Bobbie. – Minęły sekundy.

Postać w skafandrze próżniowym uniosła rękę, krzyżując je nad głową. Sygnał Pasiarzy na niebezpieczeństwo. Aleks poczuł, jak przyspiesza jego serce.

– Aleks! – cztery sekundy temu wykrzyknął Holden. – Co się dzieje?

– Ktoś wyszedł ze statku. Zorientuję się w sytuacji i oddzwonię z raportem – rzucił Aleks, a potem się rozłączył.

Na ekranie Bobbie postać zmieniła ułożenie rąk w oznaczenie czasu. Pięć minut.

– Co mamy? – zapytał Aleks.

– Robi te same znaki – odpowiedziała Bobbie. – O, od nowa. „Niebezpieczeństwo. Nie zbliżać się. Groźba wybuchu”. A potem „Mało powietrza” i „pięć”..., cholera, „cztery minuty”.

– Czy to ona? – zapytał Aleks, choć wiedział, że nie ma na to odpowiedzi.

Nawet gdyby postać odwróciła się twarzą w ich stronę, to przy blasku i ciemnej szybie hełmu skafandra Aleks i tak mógłby nie zdołać zidentyfikować Naomi. W tej



chwili był to po prostu człowiek w skafandrze próżniowym, któremu kończyło się powietrze, ostrzegający ich wciąż na nowo o pułapce.

Jednak Aleks uważał, że niezależnie od tego, kto to naprawdę jest, porusza się bardzo podobnie do Naomi. I oboje zaczęli mówić o „niej”. Mogli nie wiedzieć, ale byli mocno przekonani. Kabina *Finwala* wydała się nagle bardzo ciasna. Jakby pojawienie się Naomi w miejscu, w którym ją widział, wymuszało więcej przestrzeni do ruchu. Dość miejsca, by móc jej sięgnąć. Aleks wymierzył systemy ścigacza w jaskrawy skafander i zaczął obliczenia.

– Gdzie leci? – zapytała Bobbie.

– Wygląda na to, że znowu przetnie trasę statku – odpowiedział Aleks. – Jeśli jej nie trafi, może przeleci za niego, ale wtedy spali ją plazma z dyszy.

– Albo będziemy się przyglądać, jak się dusi? – rzuciła Bobbie.

– Mogę podprowadzić statek – zaproponował Aleks.

– I spalić ją hamowaniem?

– No... tak.

– Załóż hełm – Bobbie krzyknęła na tyle głośno, by słowa dotarły do kabiny z tyłu. – Wychodzę.

– Czy ten skafander ma dość ciągu, żeby pokonać pięćdziesiąt kilometrów w niecałe cztery minuty? – zapytał Aleks, uszczelniając już swój skafander.

– Nie – odpowiedziała Bobbie, jedną ręką sięgając po hełm, drugą po zapasową butlę z powietrzem. – Ale ma bardzo dobre magnetyczne buty i rękawice.

Aleks sprawdził uszczelki i przygotował się na otwarciu *Finwala* na próżnię.

– Nie bardzo rozumiem, w czym to pomoże.

Kabina premiera wskazywała, że jest uszczelniona. Postać na monitorze – Naomi – sygnalizowała *niebezpieczeństwo. Nie zbliżać się. Groźba wybuchu.* Bobbie krzyknęła, a potem z drżeniem wciągnęła powietrze. Jej głos dochodził teraz z radia skafandra.

– Szlag, minęło sporo czasu, od kiedy brałam koktajl. To cholernie nieprzyjemny syf.

– Bobbie, zaczyna nam brakować czasu. W jaki sposób buty magnetyczne pomogą ci dotrzeć do Naomi?

Bobbie wyszczerzyła się z głębi hełmu.

– Jak dobrze potrafisz kontrolować te rakiety? – zapytała.

## Rozdział czterdziesty siódmy

### Naomi

Ostatnie opuszczenie śluzy było najspokojniejszą rzeczą, jaką Naomi potrafiła sobie wyobrazić. Gdy tylko wyleciała przez zewnętrzne drzwi, Słońce i gwiazdy przestały szaleńczo wirować. Oderwała się po stycznej od wirującego kręgu życia i teraz miała przed sobą prostą trasę. Właściwie nie po stycznej. Po siecznej, i prędzej czy później musiała znowu przeciąć kurs statku, tylko może już nie za życia.

Przez chwilę pozwoliła sobie na cieszenie się dryfowaniem. Słońce napierało jej na plecy, światło promieniowało obok, a ona rzucała cień na całe gwiazdy i galaktyki. Wrażenie wirowania trochę osłabło i zaczęła się zastanawiać, gdzie pośród tych gwiazd znajduje się Aleks. Przypomniała sobie, że powinna zacząć liczyć. Tysiąc... ile? Od jak dawna była już na zewnątrz? Siedem? Osiem? Równie dobrze mogła przyjąć najgorsze. Tysiąc trzydzieści. Czemu nie? Uniosła ręce nad głowę. *Niebezpieczeństwo. Potem Nie zbliżać się. Groźba wybuchu.* Miała wrażenie, jakby próbowała ostrzegać

gwiazdy. Drogę Mleczną. *Nie zbliżaj się tu. Trzymaj się z dala. Tu są ludzie, nie możesz im ufać.*

Rozciągała się z każdym ruchem, odpuszczając wszystko. Powinna się bać, ale nic takiego nie czuła. Czekala ją śmierć i to nie było fajne. Wolałaby jeszcze trochę pożyć. Znowu zobaczyć Jima. I Aleksa. Amosa. Chciałaby powiedzieć Jimowi te wszystkie rzeczy, które przez tak długi czas tak starannie pomijała. Tysiąc sześćdziesiąt. Czas na zmianę znaków. Zostały jej cztery minuty. Cztery minuty i całe życie.

Gdzieś tam Filip był ze swoim ojcem, tak jak od lat. Od małości. A Cyn, biedny Cyn, był już równie martwy, jak ona niedługo, bo zobaczył ją w śluzie i myślał, że powstrzymanie jej oznacza ratunek. Sądził, że życie, które prowadziła z Marco, było warte czegokolwiek. Zastanawiała się, co by się stało, gdyby została. Gdyby *Chetzemoka* poleciał bez niej. Czy Jim aktywowałby bombę? Musiała myśleć, że tak. Nie był człowiekiem, który dobrze znosił ciekawość. Gwiazdy zamigotały i rozmazały się. Płakała. *Niebezpieczeństwo. Nie zbliżać się. Groźba wybuchu.*

Gdyby skafander miał zasilanie, wrzeszczałaby do niej ostrzeżenia. Teraz prawie się cieszyła, że nie ma baterii. Nawet nie czuła jeszcze zawrotów głowy. Zdarzało jej się widzieć, jak ludzie tracą przytomność. O ile tylko będzie działać wychwytywanie CO<sub>2</sub>, będzie to bardzo spokojna śmierć. Żadnego dławienia się ani paniki. Po prostu chwilowa dezorientacja, a potem łagodne gaśnięcie. Oto ona, po tylu latach jednak rzuciła się z kolejnej śluzy.

Wciąż pamiętała tamtą pierwszą, na Ceres. Oczywiście, osadzono ją w podłodze, ale wciąż potrafiła przywołać uczucie ciśnienia w palcach, gdy kazała się jej otworzyć, wierząc, że oznacza to jej śmierć. Chociaż nawet wtedy wcale nie chciała zginąć. Po prostu chciała, żeby już było po wszystkim. Żeby się od tego uwolnić. Nie czuć już bólu i poczucia winy. Nie czuć się więźniem. Mogła znieść wszystko inne, ale nie wrażenie, że została schwytana.

Ta śmierć była zupełnie inna. Tym razem rzuciła się na wystrzeloną kulę, żeby ta nie trafiła w jej przyjaciół. Jej rodzinę. Rodzinę, którą sama wybrała. Stworzoną z ludzi narażających dla niej swoje życie. Chciałaby, żeby Cyn poznał Jima. Żeby zrozumiał, jak daleką drogę pokonała od dziewczyny, którą w dawnych czasach znał na Ceres. Jak bardzo nie była już tylko Kostkami.

Nie była religijna, ale znała całkiem sporo wierzących. *Groźba wybuchu. Mało powietrza. Trzy minuty.* Zaciekawilo ją, czy uznaliby, że to, co teraz robi, jest grzechem. Dobrowolne oddanie się pustce w nadziei, że Aleks ją zobaczy, zrozumie, uratuje się.

I ją. Byłoby miło, gdyby jakoś zdołał znaleźć sposób, żeby ją uratować. Albo gdyby nagle z gwiazd wyłonił się Jim i zabrał ją stąd. Zaśmiała się. Bóg wie, że by próbował. Jej Jim zawsze bezwstydnie odgrywał bohatera. Teraz będzie wiedział, jak ona czuła się za każdym razem, gdy zaciskał szczękę i pędził na niemal pewną śmierć, bo tak należało postąpić. Szkoda, że nie będzie mogła zwrócić mu na to uwagi. Sam może nie

zauważyć analogii. A może tak. Zmienił się przez te lata i nie wróci do dawnego siebie.

*Niebezpieczeństwo. Nie zbliżać się. Groźba wybuchu.* Znowu zgubiła się w liczeniu. Dwie minuty? Jedna? Nie wiedziała. Stwierdziła, że nuci melodię z dzieciństwa. Nie znała nawet słów do niej. Mogła nawet nie być śpiewana w żadnym znanym jej języku. To nie było istotne. Cieszyła się z towarzystwa piosenki. Była za nią wdzięczna. Co więcej, cieszyła się, że nie umrze z mdłościami. *No dobrze. Jeśli taki mój los, to taki mój los. Nie mogę powiedzieć, że niczego nie żałuję, ale nie było w nim niczego, czego bym nie zniosła. Niczego, z czym nie mogę odejść.*

*Mimo wszystko, pomyślała do wszechświata, jeśli to nie problem, to nie odmówiłabym jeszcze trochę.*

Coś poruszyło się z jej lewej strony, wysuwając się zza jej pleców. Wielkie, metalowe i świecące jasno w Słońcu. Wyglądało jak rakieta skierowana w stronę Słońca. Jej silnik nie pracował, co wydawało się dziwne i trochę przypadkowe. Zaczęła się zastanawiać, czy...

Uderzenie trafiło w środek pleców, twarde jak napaść. Wokół jej ramienia owinęła się ręka, a wokół talii noga, unieruchamiając ją. Odruchowo próbowała się wyrwać, uciec przed atakiem, ale ktokolwiek to był, zablokował ją na dobre. Nie mogła się ruszyć. Poczowała, że wolna ręka tamtej osoby obmacuje jej skafander. Coś twardego i metalicznego przyciśnięto do uda, gdzie podłączało się butle z powietrzem.

Jej uszy pyknęły od nagle rosnącego ciśnienia w skafandrze. W nos uderzył czysty, lekko aseptyczny zapach. Świeża butla. Prawie się roześmiała. Trzymano ją w chwycie ratunkowym. Trzymająca ją osoba zrobiła coś jeszcze, czego nie widziała, a potem przypięła jej do talii linkę i puściła. Gdy obróciła się do ratownika twarzą, postać chwyciła hełm Naomi i przycisnęła do niego własny.

– Bobbie? – powiedziała Naomi.

– Cześć – krzyknęła była marsjańska marine i wyszczerzyła się w uśmiechu. Dźwięk przenosił się między skafandrami dzięki wibracjom i brzmiał strasznie odlegle jak na kogoś, kto trzymał Naomi w objęciach. – Co za spotkanie, nie?

– Powiedziałabym, że dobrze cię widzieć – odkrzyknęła Naomi – ale to wydaje się mocnym niedopowiedzeniem. Statek! Rdzeń zostanie uwolniony, jeśli inna jednostka aktywuje jego alarm zbliżeniowy.

Bobbie zmarszczyła czoło i kiwnęła głową. Naomi zobaczyła, że jej usta się poruszają, przekazywała komuś tę informację. Aleksowi. Patrzyła, jak Bobbie słucha niesłyszalnej dla siebie odpowiedzi. Wyglądała starzej, niż kiedy Naomi ostatnio ją widziała. Była piękna. Powiedziała coś jeszcze do mikrofonu, a potem znowu zetknęła ich hełmy.

– Zacznę nas przemieszczać – wykrzyczała Bobbie. – Musimy się ustawić stopami do Słońca, zmniejszyć profil. Wchłaniać mniej promieniowania, dobra?

W głowie Naomi szumiało od pytań, na które nie musiała poznać odpowiedzi.

– Dobra – odkrzyknęła.

– Czy potrzebujesz pilnej opieki medycznej?

– Chyba tak. To był bardzo ciężki dzień.

– Zabawne – odkrzyknęła Bobbie głosem znaczącym, że wcale takie nie jest. – Czy potrzebujesz pilnej opieki medycznej?

– Nie. Raczej nie.

– Dobrze. Obejmij mnie za ramiona i chwyć swoje dłonie. – Bobbie cofnęła się kilka centymetrów i zademonstrowała zaczepienie dłoni.

Naomi wykonała pasiarski gest znaczący z grubsza *przyjęłam i rozumiem*. Kilka sekund później pancierz Bobbie odpalił silniczki i Naomi wróciła waga. Była dźwigana, unoszona do gwiazd. Minęła ich jasna jak Słońce struga wydechowa z dyszy *Chetzemoki*, większa od małego, czarnego pudła statku. Zaczęła się oddalać w stronę Słońca i powoli, w ciągu nieskończonej długich minut, zniknęła pod nimi.

\* \* \*

Nie mieścili się w ścigaczu. Nie bardzo. Zbudowano go z myślą o jednej, może dwóch osobach, a w środku znajdowały się cztery, z tego jedna w pancierzu wspomaganym. Powietrze zrobiło się gorące i gęste, a wymienniki powietrza zaczynały rzucać ostrzeżeniami i błędami. Aleks wyłączył reaktor i przełączył zasilanie na baterie, żeby generowali jak najmniej ciepła.



– No wiecie – odezwał się Aleks. – Mógłbym polecić, ale ludzie lecą do nas z obu stron, a prycz przeciążeniowych mamy o połowę mniej niż ludzi.

Sam siedział w jedynej pryce widocznej z przodu ścigacza. Bobbie siedziała skulona przy uszkodzonym pokładzie w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się druga pryca. Drzwi do kabiny były otwarte i unosił się w nich premier Marsa w przepoconym podkoszulku. Wszystko to nadawało miejscu nierealny wygląd. Sama Naomi unosiła się pod sufitem. Aleks ustawił ekrany ściennie na widok z zewnątrz, ale wszystko wyglądało dużo mniej żywo niż przez szybę hełmu. Nie dała się oszukać.

*Chetzemoka* znajdował się pod nimi, kręcąca się w kółko czarna kropka na tle przytłaczająco białego Słońca. Widziała go chwilami przy brzegu podłogi, gdzie kończył się ekran. Aleks polecił też systemom *Finwala* powiększyć nadlatujące okręty eskorty ONZ oraz – na niebiesko – *Rosynanta*.

– No dobrze – odezwał się Aleks. – Pierwsza. Jesteś... ach. Tutaj. To było trochę niespodziewane.

– Ja też nie spodziewałam się tu ciebie spotkać, Aleks – odpowiedziała Naomi.

Jej krew w żyłach sprawiała dziwne wrażenie. Równocześnie oporna i jasna. I miała problemy ze skupieniem wzroku. Ale przynajmniej dłonie nie były już tak opuchnięte. Godziny pracy między kadłubami prawdopodobnie odpompowały cały dodatkowy płyn z powrotem tam, gdzie jego miejsce. Czy coś w tym stylu. Bolało ją całe ciało i wciąż odkrywała, jak silne miała

mdłości w miarę, jak powoli ustępowały kolejne warstwy. Dwudziestosekundowe oparzenie słoneczne, którego doznała podczas skoku z *Pelli*, było nabrzmiałe i bolesne w dotyku, ale nie miała pęcherzy. Oderwie się, gdy dostatecznie się wygoi. Gdy dotarła na *Finwala* i statek został uszczelniony, wypła litr wody z bańki i od tamtej pory jeszcze nie chciało jej się sikać. Powoli ustępował ból głowy z powodu odwodnienia. Bobbie zaoferowała jej środki przeciwbólowe, ale coś w Naomi sprzeciwiało się robieniu czegokolwiek więcej z jej ciałem do czasu, aż trafi do ambulatorium.

Zrozumiała, że na chwilę straciła przytomność, dopiero wtedy, gdy ją odzyskała. Bobbie i premier rozmawiali o dobrych restauracjach z makaronem w głównych osiedlach Londres Nova. Powietrze było gęste, duszne i śmierdziało potem. Pociła się w swoim tanim skafandrze próżniowym. Wokół niebieskiej kropki *Rosynanta* pojawiła się aureola plazmy z dyszy skierowanej w ich stronę i hamującej statek, by dopasować kurs.

Na skraju pola widzenia zamigotała czerń i zniknęła.

– Aleks – odezwała się, a potem rozkaszała się na tak długo i tak mocno, że Bobbie musiała ją przytrzymać. Kiedy trochę oczyściła płuca, spróbowała jeszcze raz. – Aleks. Możesz poświęcić parę z tych pocisków?

– To zależy, pierwsza – odparł Aleks. – Co miałbym z nimi zrobić?

– Zniszczyć ten statek – wyjaśniła Naomi.

– Nie ma takiej potrzeby – rzucił Aleks. – Ostrzeżliśmy wszystkich, że to pułapka. Nikt nie będzie...

– Nie dlatego. Po prostu przyszedł czas, by z nim skończyć.

*Bo próbowałam dać go synowi zamiast dzieciństwa. Bo kupiłam go za własne pieniądze, a on zmienił się w pułapkę dla mnie i ludzi, których kocham. Bo wszystko związane z tym statkiem było błędem.*

– Ach. Wygląda na to, że jest zarejestrowany na spółdzielnię Nieznaczna Redukcja Ryzyka Edwarda. Nie będą mieć pretensji, że strącimy ich ptaszka do Słońca?

– Nie będą protestować – zapewniła Naomi.

Premier uniósł palec.

– Wydaje mi się, że...

– Pociski poszły – oznajmił Aleks, a potem uśmiechnął się przepraszająco. – Jesteś szefem mojego rządu, Nate, ale to moja pierwsza oficer.

– Nate? – rzuciła Naomi. – Mówicie sobie teraz po imieniu?

– Nie bądź zazdrosna – odpowiedział Aleks i wywołał panel.

Na tle Słońca statek był niczym. Drobną, czarną kropką krążącą w dole jak mucha. A potem zniknął.

*Przepraszam, Filip,* pomyślała.

Odwróciła głowę w stronę nadlatującego *Rosynanta*. Był bliżej.

## Rozdział czterdziesty ósmy

### Holden

Gdyby ambulatorium mogło unosić brwi i prychać z dezaprobatą, z pewnością by to robiło. Zamiast tego na ekranie pojawiła się lista bursztynowych ostrzeżeń tak długa, że pierwszych kilka zniknęło z ekranu, zanim Holden zdążył je przeczytać. Naomi stęknęła, gdy w jej żyłę wbiła się igła, a w jej układ krążenia wstrzyknięto pierwsze dawki koktajlu przygotowanego dla niej przez system ekspercki. Holden siedział obok, trzymając ją za drugą rękę.

Przeniesienie z *Finwala* było bardzo proste. Gdy tylko wyrównali kurs, Aleks podprowadził ścigacz pod ich służę i cała czwórka przeszła razem. Holden czekał po drugiej stronie służy, nie do końca gotów uwierzyć, że naprawdę wrócili. Był tam też Fred Johnson w swoim najlepszym stroju do spotkań politycznych. Dziwne było widzieć, jak Fred w widoczny sposób zmienia rolę, inaczej trzymając ciało i zmieniając wyraz twarzy równocześnie nieznacznie i tak głęboko, że miał wrażenie, jakby zmienił się kształt jego czaszki. Holden

zaczął się potem zastanawiać, ile z wyglądu staruszka podczas ich rozmów było dopasowaniem do sytuacji. Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowie.

Gdy otworzyły się wewnętrzne drzwi, zapomniał o Fredzie i premierze Marsa, zniszczeniu Ziemi oraz w zasadzie o wszystkim, co nie było Naomi. Jej skóra była szara tam, gdzie nie wyglądała na śliską i obrzmiałą od oparzeń z promieniowania. Oczy miała przekrwione i opuchnięte z potężnego wyczerpania. Wychodząc ze służby, poruszała się ostrożnie, jakby każda niespodziewana nierówność mogła ją zabołec. Była najpiękniejszym widokiem, jaki zobaczył od lat. Poczuli się, jakby z chwilą jej wejścia na pokład wreszcie znalazł się w domu. Na jego widok uśmiechnęła się, a on rozpromienił się do niej. Gdzieś blisko albo na drugim końcu wszechświata witali się formalnie Fred Johnson i Nathan Smith. To nie miało żadnego znaczenia.

– Cześć – powiedział.

– Cześć. Dbalesz o statek, gdy mnie nie było?

– Miałem trochę problemów z wykonawcą, ale chyba wszystko naprostowałem – odpowiedział.

A potem Bobbie położyła mu na ramieniu wielką, silną dłoń, potrząsnęła nim lekko i powiedziała:

– Ambulatorium.

Zaraz potem Naomi skierowała się do windy, opierając się na Aleksie. Wyglądała na ranną, wyczerpaną i w pół drogi do śmierci. Ale widziała go i uśmiechnęła się, a to zdjęło mu ciężar z serca.

Rozbrzmiał sygnał ostrzeżenia, potem odliczanie i wróciło ciężenie. Naomi zakaszłała. Był to mokry, bolesny dźwięk, ale ambulatorium nie wydawało się przejęte. Maszyna miała fatalne maniery.

– Myślisz, że powinniśmy zatrudnić lekarza? – zapytał Holden. – Może powinniśmy jakiegoś przygarnąć.

– W tej chwili? – zapytała Naomi.

– Albo później. Na twoje urodziny. Wszystko jedno. – Słowa wylatywały z jego ust bez zatrzymywania się w mózgu, ale wcale nie starał się ich hamować.

Naomi wróciła. Była tutaj. Przetoczył się przez niego potężny strach, którego do tej pory starannie nie zauważał, a potem zaczął ustępować.

Pomyślał, że ona tak właśnie musiała się czuć. Gdy poleciał na *Agathę King* i na stację w powolnej strefie. Kiedy zleciał na powierzchnię Ilusa. Te wszystkie razy, gdy sądził, że chronił ją przed ryzykiem, to właśnie jej robił.

– Rety – odezwał się. – Chyba jestem dupkiem.

Otworzyła oczy w dwie jasne szczeliny i uśmiechnęła się lekko.

– Coś mnie ominęło?

– Tak jakby. Właśnie gdzieś poszedłem na chwilę, ale już wróciłem. Tak jak ty, co jest bardzo, bardzo dobre.

– Dobrze być w domu.

– Tylko kiedy byłaś... to znaczy, kiedy byliśmy... Słuchaj, kiedy byłem jeszcze na Tycho, rozmawiałem z Moniką. I Fredem. To znaczy, rozmawiałem z Fredem o tobie i o nas i że czułem się uprawniony do tego, żeby

wiedzieć i dlaczego tak sądziłem. A Monika mówiła o tym, dlaczego skłamałem i czy to, co zrobiła, miało jakieś znaczenie i jak wykorzystanie tego było etyczne i odpowiedzialne. I myślałem...

Naomi podniosła rękę dłonią na zewnątrz. Na jej czole pojawiły się zmarszczki.

– Jeśli chcesz mi powiedzieć, że miałeś romans z Moniką Stuart, to może nie być najlepsza chwila.

– Co? Nie, oczywiście, że nie.

– To dobrze.

– Po prostu myślałem sobie. Właściwie o mnóstwie różnych rzeczy. I chciałem ci powiedzieć, że cokolwiek robiłaś i przez co przechodziłaś, ale nie chciałaś, żebym był tego częścią? Nie musisz mi mówić, jeśli tego nie chcesz. Jestem tego bardzo ciekaw i chciałbym wiedzieć, ale cokolwiek to było, to moja sprawa tylko, jeśli ty zechcesz, żeby tak było.

– Dobrze – odpowiedziała i znowu zamknęła oczy.

Holden pogłaskał ją po dłoni. Miała poobijane kostki, zobaczył też siniak na jej nadgarstku.

– Czyli kiedy mówisz „dobrze”...

– Ja też za tobą tęskniłam i cieszę się, że wróciłam, ale czy mógłbyś mi przynieść bańkę zielonej herbaty czy czegoś podobnego?

– Tak – potwierdził Holden. – Mogę.

– Nie śpiesz się. Mogę się chwilę zdrzemnąć.

Holden zatrzymał się we włączu i obejrzał się. Naomi przyglądała się, jak odchodzi.

Spojrzenie miała zmęczone, ciało nieruchome z wyczerpania, ale uśmiechała się lekko. Dobrze było wiedzieć, że cieszyła się z powrotu.

Z kambuza dobiegał gwar rozmów prowadzonych równocześnie przez kilkoro ludzi, tworząc coś w rodzaju symfonii wspólnego podniecenia. Brzmiało to tak, jak się czuł. Holden wszedł do środka. Aleks siedział przy jednym ze stołów z nogami na ławce, rozmawiając z Chavą Lombaugh i Sun-yi Steinberg. Opowiadał coś na temat szybkozmiennego wybierania celów i przyśpieszenia. Chava mówiła w tym samym czasie, machając rękami, prezentując jakiś fizyczny opis tego, o czym rozmawiali. Sun-yi przenosił wzrok między nimi i wyglądał na rozbawionego. Siedząca przy sąsiednim stole Bobbie Draper i tak wydawała się górować nad Sandrą Ip i Maurą Patel. Bobbie zamieniła swój pancierz wspomagany na trochę przyciasny kombinezon z wyszytą na plecach nazwą *TACHI*. Zauważyła go, uśmiechnęła się i pomachała. Pomachał jej w odpowiedzi, ale Sandra Ip już zdążyła z powrotem ściągnąć na siebie jej uwagę i Bobbie kręciła głową, odpowiadając na pytanie, którego nie usłyszał.

Holden doznał nagle bardzo żywego wspomnienia bycia w domu z rodziną, ośmiorgiem rodziców siedzących razem przy stole do kolacji z jedynym synem, prowadzących ze sobą równocześnie kilka niezwiązanych rozmów. Choć rozpoznał, że było to kwestią warunkowania z dzieciństwa, ogarnęło go przemożne poczucie pokoju i satysfakcji. Tak właśnie



wyglądała, brzmiała i zachowywała się rodzina. Nawet nowa załoga, której wciąż próbował nie mieć za złe tego, czym była, sprawiała teraz wrażenie bardziej odległych kuzynów, którzy przybyli z wizytą, niż intruzów.

Aleks podniósł się z miejsca i podszedł do niego z szerokim uśmiechem. Stali przez dłuższą, niezręczną chwilę, aż w końcu się poddali i padli sobie w objęcia, poklepując się i śmiejąc.

– Żadnych więcej przepustek – powiedział Holden.

– Cholerny szlag. Prawda? – zgodził się Aleks. – Wystarczy sobie zrobić parę tygodni urlopu, a wszystko pogrąży się w chaosie.

– Bardzo, bardzo głęboko. – Holden podszedł do ekspresu do kawy, mając Aleksa tuż za sobą. – To chyba musi się kwalifikować do najgorszych wakacji w dziejach.

– Co z Naomi?

Holden wybrał ulubioną herbatę Naomi. Urządzenie wydało dźwięczny odgłos.

– Głównie wymaga nawodnienia. Wysłała mnie, żebym przyniósł jej coś do picia, ale chyba tak naprawdę chciała, żebym przestał przy niej siedzieć i nie próbował z nią rozmawiać.

– Może potrzebować trochę czasu, żeby dojść do siebie.

– Intelktualnie to wiem – stwierdził Holden, podnosząc gotową bańkę z herbatą. Pachniała trawą cytrynową i miętą, choć na statku nie było niczego, co choć trochę przypominałoby te zioła. Holden się

uśmiechnął. – Chemia jest niezwykła, wiesz? Naprawdę bardzo, bardzo niezwykła.

– Jakież wieści od Amosa? – zapytał Aleks, a jego uśmiech osłabł na widok odpowiedzi w oczach Holdena. Gdy znów się odezwał, próbował z powrotem nadać swojemu głosowi radosny ton, ale Holdena nie oszukał. – Cóż, to nie musi nic znaczyć. Nie byłyby to pierwszy przypadek, gdy planeta wybuchła mu pod nogami.

– Zaczynają zbierać potwierdzone listy ofiar – stwierdził Holden. – Wciąż jest wcześnie, mnóstwo rzeczy tam na dole ciągle się rozpada i zanim zrobi się lepiej, będzie dużo gorzej. Ale na razie nie ma go na liście.

– Czyli nie jest źle. Zresztą, no wiesz. To Amos. Jeśli zginą wszyscy na Ziemi, to pewnie po prostu poustawia trupy w stos i wejdzie po nich na Lunę.

– Ostatni na nogach – rzucił Holden, ale do ambulatorium wracał już w mniej radosnym nastroju.

Naomi zniknęła, igła wbita wcześniej w jej żyłę leżała na żelu łóżka, a system ekspercki wyświetlał łagodny monit o interwencję. Z bańką herbaty w dłoni Holden sprawdził najpierw łazienkę, zanim przyszło mu do głowy pójść do kabin załogowych.

Leżała na ich łóżku, z kolanami podciągniętymi do piersi, zamkniętymi oczami i włosami rozsypnymi na żelu. Trochę pochrapywała, wydając ciche zwierzęce odgłosy spokoju i zadowolenia. Postawił herbatę na biurku obok, żeby czekała na nią, gdy się obudzi.

\* \* \*

Mostek był stosunkowo spokojny. Gor Droga, technik uzbrojenia, siedział przy konsoli, monitorując statek i słuchając czegoś rytmicznego w słuchawkach. Holden słyszał tylko nieznacznie zmieniające się basy i okazjonalnie parę słów, gdy Gor próbował śpiewać do muzyki. Słowa brzmiały trochę jak język francuski, choć nie do końca.

Było dość ciemno, większość światła pochodziła z monitorów. Ponieważ nie miał pod ręką słuchawek, Holden ustawił niski poziom głośności i oglądał wywiad z Moniką Stuart. Mężczyzna, z którym rozmawiała, przebywał na stacji L5, ale przerwy w transmisji zostały usunięte, dzięki czemu wydawało się, że są w tym samym pokoju.

– Nie, wcale mnie nie dziwi, że SPZ udziela pomocy w eskortowaniu premiera Smitha. Fred Johnson od lat głośno wypowiadał się i działał na rzecz wprowadzenia SPZ do rozmów dyplomatycznych, często wbrew oporowi planet wewnętrznych. Jeśli już, to widzę prawdziwą ironię losu w fakcie, że ta seria ataków dokonanych przez Wolną Flotę stała się katalizatorem cementującym wiarygodność SPZ w oczach Ziemi i Marsa.

Kamera przełączyła się na mężczyznę.

– Czyli nie uważasz Wolnej Floty za część SPZ?

I znowu na Monikę. Holden się zaśmiał. Między pytaniami zmieniała bluzkę. Zaciekawilo go, ile wynosiło opóźnienie rozmowy, zanim zostało usunięte w edycji na potrzeby emisji.

– Absolutnie. Wolna Flota jest interesująca w części przez to, że daje radykalnym obrzeżom SPZ osobny sztandar. Reprezentuje coś w rodzaju samodzielnie podjętego odsiewu elementów, które uniemożliwiały uznanie Pasa za równorzędnego partnera przez planety wewnętrzne. I pamiętaj też, że Mars i Ziemia nie były jedynymi celami przewrotu Wolnej Floty. Stacja Tycho jest dla Pasiarzy historią sukcesu na miarę Ceres, a ona też została zaatakowana.

– A jednak inni eksperci nazywają to zmianą warty na najwyższych szczeblach SPZ. Dlaczego uważasz, że to coś zewnętrznego?

Monika przytaknęła poważnie. Był to wyćwiczony ruch, dzięki któremu sprawiała wrażenie inteligentnej i zamyślanej, a przy tym bliskiej. W tym, co robiła, było coś z artyzmu.

– No cóż, Michael, czasami, gdy wprowadzamy takie rozróżnienia, tak naprawdę bardziej je tworzymy niż opisujemy faktycznie istniejącą sytuację. Obserwujemy bardzo duże zmiany na więcej niż jednym froncie. Wydaje się jasne, że w zaopatrzeniu Wolnej Floty maczały palce elementy marsjańskiej armii, a ich celem był także premier Smith. Czy nazwałbyś to zbuntowanym elementem Marsa czy wewnętrznymi zmaganiem o władzę? Właściwie uważam, że najlepszym opisem, na jaki możemy się w tej chwili zebrać, nie są zmagania między ONZ, Republiką Marsjańską i SPZ, a spojrzenie na to wszystko jak na tradycyjny system, który zwiera szyki w sytuacji nowego zagrożenia. Ta sytuacja ma korzenie

w obszernej historii konfliktów, ale właśnie rysowane są nowe podziały.

Fred zaśmiał się cicho. Holden nie usłyszał jego przyjścia, ale mężczyzna był tuż za nim, zaglądając mu przez ramię. Wstrzymał odtwarzanie, a Fred zajął miejsce na sąsiedniej pryczy.

– Po tym można poznać, że twój zespół prasowy spisuje się dobrze, gdy dziennikarzom zostaje robienie wywiadów ze sobą nawzajem – skomentował Fred.

– Mam wrażenie, że ona dobrze sobie radzi – powiedział Holden. – Przynajmniej próbuje postawić wszystko w takim świetle, w jakim ma to sens.

– A przy okazji przedstawia się jako ekspertka na mój temat. I twój, skoro o tym mowa.

– No dobrze, to trochę dziwne. Jeszcze jakieś wieści, o których powinienem wiedzieć?

Fred obejrzał się na Gora, zmarszczył brwi, a potem wychylił się i poklepał go po ramieniu. Gor zdjął słuchawki.

– Zrób sobie przerwę – powiedział Fred. – Dopilnujemy, żeby nic się nie działo.

– Tak jest, sir. Proszę pamiętać, że jesteśmy blisko korony i trochę gromadzimy ciepło.

– Będziemy to mieć na uwadze.

Gor odpiął się i zsunął po drabinie. Fred przyglądał mu się ze smutnym uśmiechem.

– Pamiętam, gdy sam potrafiłem tak zjeżdżać po drabinie. Ale minęło kilka lat.

– Ja też już tak nie robię.

– I tak wiek z nas wszystkich robi tchórzy. A może to tylko sumienie – powiedział Fred, a potem westchnął ciężko. – Inaros i jego okręty nie dotarły jeszcze nawet do orbity Saturna, a piractwo w planetach zewnętrznych zdecydowanie narasta. Statki kolonizacyjne są dobrze wyposażone, prawie nieuzbrojone i jest ich dużo.

– Nie spodziewali się wojny domowej.

– Z tym mamy do czynienia?

– A nie?

– Cóż. Może. Rozmawiałem ze Smithem. Aleks i Bobbie pewnie nie słyszeli za wiele z tego, co robił na *Finwalu*?

Holden nachylił się w jego stronę.

– Owszem, nie spodziewam się, żeby go szpiegowali. Sądziłeś, że będą to robić?

– Miałem nadzieję, że twój człowiek mógł. Draper jest za dużą patriotką. Tak więc bez potwierdzenia z zewnątrz historia Smitha wygląda tak, że doszło do załamania w dowództwie floty. Jest całkiem możliwe, że ktoś sprzedał sporą część ich sprzętu Inarosowi. A może był tam ktoś jeszcze, kto był gotów dokonać wymiany.

– Za protomolekułę – rzucił Holden. – To była cena tego wszystkiego, prawda?

– O jej zabraniu nie wie nikt oprócz ciebie, mnie, ludzi Drummer i tego, kto ją zabrał. Będę to trzymał w tajemnicy najdłużej, jak zdołam, ale po dotarciu na Lunę chyba będę musiał powiedzieć Smithowi i Avasarali.

– Oczywiście – potwierdził Holden. – Dlaczego miałbyś im nie mówić?

Fred zamrugał. Kiedy w końcu się roześmiał, śmiech brzmiał szczerze i głęboko. Wydobywał się z głębi przepony i wypełniał przestrzeń.

– Kiedy już myślałem, że się zmieniłeś, mówisz coś tak unikalnie typowego dla Jamesa Holdena. Nie wiem, co o tobie myśleć. Naprawdę.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo – rzucił Fred. A po chwili: – Są jeszcze te okręty lecące w stronę wrót. Marsjańskie okręty bojowe. Bardzo by mi pomogło, gdybym wiedział, czy należą do Inarosa czy kogoś innego.

– Na przykład tego, kto ma próbkę protomolekuły?

– Tak naprawdę do kogokolwiek. Chcę porozmawiać z Nagatą.

Na mostku natychmiast spadła temperatura.

– Chcesz ją przesłuchać.

– Owszem.

– I prosisz mnie o pozwolenie?

– Uznałem to za uprzejme.

– Porozmawiam z nią, gdy trochę dojdzie do siebie – zapewnił Holden.

– Nie mógłbym prosić o nic więcej – stwierdził Fred i wstał z fotela.

Zatrzymał się przy drabinie. Holden przyglądał się, jak zastanawia się nad zjechaniem po niej tak, jak zrobił to Gor. Zobaczył, jak rezygnuje z tego pomysłu. Fred zszedł na dół szczebel po szczeblu, zamykając za sobą właz. Holden z powrotem włączył wiadomości, potem je zatrzymał. Czuł się tak, jakby głowę wypchano mu watą.

Od tak dawna skupiał się na niezwracaniu uwagi na nieobecność Naomi, że teraz, gdy wróciła, czuł się prawie przytłoczony. Monika miała rację. Sytuacja się zmieniła i nie wiedział już, jakie było jego miejsce w tym wszystkim. Nawet gdyby odwrócił się od Freda, Avasarali oraz politycznych implikacji swojego statusu celebryty, to co w tym nowym, zmienionym Układzie Słonecznym mógłby robić niezależny statek? Czy istniały jeszcze banki, które mogłyby mu zapłacić za przewożenie towaru na księżyc Jowisza? Oraz koloniści, którzy przelecieli już przez pierścienie do nowych, obcych światów? Czy Wolna Flota naprawdę powstrzyma wysyłanie im zaopatrzenia oraz transporty surowców i dokonanych tam odkryć przed przesłaniem tutaj?

Ataki wydawały się przede wszystkim nieuniknione i małostkowe. Gdyby planety wewnętrzne nie spędziły czasu życia całych pokoleń, dowodząc Pasiarzom, że się nie liczą, może byłby jakiś sposób... sposób na dostosowanie ich umiejętności i sposobów życia do tej szerszej ekspansji ludzkości. Sposób na rozwój całej ludzkości, nie tylko jej części.

I jak długo Inaros i ludzie jego pokroju będą naprawdę zdolni powstrzymać falę kolonizacji? A może kryło się za tym coś jeszcze, jakaś warstwa planu, której jeszcze nie dostrzegli? Ten pomysł napełnił go uczuciem, które postanowił nazwać obawą, bo brzmiało lepiej od strachu.

Zabrzączał monitor. Aleks, z prośbą o połączenie. Holden odebrał z wdzięcznością.



– Czołem, kapitanie – Aleks przywitał go z uśmiechem.

– Jak leci?

– Chyba dobrze. Siedzę sobie poza kabiną, żeby nie budzić Naomi. Uznałem, że będzie spać ze dwanaście, czternaście godzin.

– Dobry z ciebie człowiek – skomentował Aleks.

– A ty?

– Pokazywałem twojemu tymczasowemu pilotowi wszystkie sposoby, na które mógłby mnie pokonać w wyścigu do *Chetzemoki*, gdyby tylko o nich pomyślał.

– Bądź miły – powiedział Holden, choć wcale tak nie myślał. – Gdzie jesteś? Przyjdę do ciebie.

– Maszynownia – odpowiedział Aleks. – I to po części powód, dla którego chciałem z tobą rozmawiać. Właśnie dostałem dobre wieści z Luny.

## Rozdział czterdziesty dziewiąty

### Amos

Mechy załadunkowe przenosiły palety z szarymi i białymi skrzyniami z plastiku wzdłuż całych doków Aldrina, tłumiąc zgiełk ludzkich głosów metalicznymi brzękami i wyciem silników. Stokes i pozostali ocaleni z wyspy Rattlesnake zebrali się w grupie pod jedną z szarych ścian, próbując nie blokować za mocno ruchu wózków w czasie, gdy urzędnik z wielkim terminalem pojedynczo rejestrował ich dane. Przed wjazdem *Zhang Guo* stała ochrona w czarnych pancerzach, blokując wejście. Ekran ścienny ustawiono na szary krajobraz księżycowy na powierzchni.

W tym wszystkim wyróżniało się czerwone sari Chrisjen Avasarali, stanowiące jaskrawą plamę koloru, a jej głos ciął zgiełk, jakby w ogóle go tam nie było.

– Co to, kurwa, ma znaczyć, że nie możemy wejść na statek? – powiedziała.

– Nie masz nakazu – odpowiedział Amos. – Nikt nie wejdzie na moją łajbę bez nakazu.

Avasarala przekrzywiła głowę, a potem obejrzała się na kobietę dowodzącą oddziałem ochrony.

– Ponieważ wyraźnie zna pani tego człowieka, uznałam – odezwała się tamta – że lepiej będzie poczekać na panią.

Avasarala niecierpliwie machnęła ręką, jakby rozpraszała chmurę dymu.

– Po pierwsze, Burton, to nie twój pieprzony statek.

– Jasne, że mój – odparł Amos. – Odzysk.

– Nie. Kiedy włamujesz się do czyjegoś prywatnego hangaru i wylatujesz z niego ich statkiem, to nie odzysk, tylko najzwyczajniejsza kradzież.

– Jesteś tego pewna? Bo tam na dole wyglądało to wszystko na totalnie spieprzone. Jak dla mnie to odzysk.

– Po drugie, obowiązuje stan wojenny, więc mogę zrobić praktycznie co tylko, do cholery, zechcą. Włącznie z przemaszerowaniem przez ten twój stateczek, ciągnąc cię za sobą z kneblem i w koronkowej bieliźnie. Te bzdury z nakazem? Możesz to sobie zwinąć w rulonik i wsadzić w dupę. A teraz wyjaśnij mi, po co mnie tu ściągnąłeś.

– Wiesz, fakt, że możesz coś zrobić, nie oznacza, że powinnaś. Wcale nie wyglądałam dobrze w koronkach.

Złożyła ręce na piersi.

– Dlaczego tu jestem, Amos?

Amos podrapał się po policzku i obejrzał na *Zhang Guo*. Stokes i wszyscy służący wysiedli, ale Erich, Złotko i ekipa z Baltimore wciąż pozostawali w środku. Niektórzy z nich, włącznie z Erichem, posługiwali się

falszymi dokumentami, ale byli i tacy, których w ogóle nie było w systemie.

– Jest tak – odezwał się. – Gdybyś tam weszła, mogłabyś uznać, że musisz coś zrobić. A wtedy ja mógłbym stwierdzić, że też muszę coś zrobić. A wtedy wszyscy robilibyśmy różne rzeczy i w końcu dzień zrobiłby się bardzo nieprzyjemny.

Na twarzy Avasarali pojawił się spokój i skupiła spojrzenie kilka centymetrów na lewo od Amosa. Szefowa ochrony zaczęła coś mówić, ale Avasarala uniosła dłoń, uciszając ją. Po kilku sekundach sapnęła, pokręciła głową i zwróciła się do kobiety.

– Możecie go zostawić. Idźcie na piwo czy coś. Wszystko w porządku.

– Tak jest, proszę pani – odpowiedziała szefowa ochrony.

– Burton? Dopilnujesz, żebym nie miała z tego powodu żadnych problemów, a potem zabierzesz ją z mojego księżyca tak, żeby nikt jej nie zobaczył.

– Masz to jak w banku, Chrissie.

– Nie nazywaj mnie tak, kurwa. Jestem P.O. sekretarz generalnej Organizacji Narodów Zjednoczonych, a nie twoją ulubioną striptizerką.

Amos rozłożył ręce.

– Jedno nie wyklucza drugiego.

Śmiech Avasarali odbił się echem od ścian doku. Odchodząca ochrona zatrzymała się na chwilę i zaraz poszła dalej. Mechy załadunkowe zmieniły pozycję.

Wózki jeździły dalej po swych trasach, pracowicie jak w mrowisku.

– Cieszę się, że udało ci się wydostać – powiedziała, kiedy zdołała opanować śmiech. – Świat bez ciebie byłby mniej ciekawym miejscem.

– Ja też się cieszę. Jak idzie opanowanie sytuacji?

– Koszmarnie – odparła, kręcąc głową. – Nadal każdego dnia giną tysiące ludzi. Może dziesiątki tysięcy. Na dole zaczyna brakować żywności i nawet gdybym miała dość ryżu, żeby wszystkich nakarmić, infrastruktura jest tak spieprzona, że nie ma dobrego sposobu rozprowadzania go. Nie wspominając już o tym, że w każdej chwili mogą spaść kolejne pieprzone kamienie.

– Twoja córka żyje?

– Ashanti i jej rodzina przeżyli. Są już tu, na Lunie. Dziękuję, że spytałeś.

– A twój facet? Arjun?

Avasarala uśmiechnęła się, ale jej oczy zrobiły się smutne.

– Ciągle mam nadzieję – stwierdziła. – *Rosynant* jest w drodze. Będiesz miał furę, która nie wygląda, jakbyś miał fiutka wielkości pryszczka niemowlaka.

– Dobrze to słyszeć. W sumie to i tak nie ja ukradłem tę łajbę.

Avasarala odwróciła się, niezdarnie szurając nogami w stronę ludzi. Nie wyglądała zbyt swobodnie w niskim ciężeniu. Uznał, że zapewne nie spędziła za wiele czasu poza studnią grawitacyjną. Poruszanie się w przestrzeni

wymagało wprawy. Przeciągnął się, rozprostował stopy i poczekał, aż reszta ochrony wyjdzie z pola widzenia. Ryzyko, że będą dalej próbować wejść na pokład po wyrzuceniu, było niewielkie, ale i tak wolał poczekać, aż całkiem sobie pójda.

Czekając, zauważył dwóch Pasiarzy w kombinezonach pracowników Aldrina, szli razem z opuszczonymi głowami. Pomyślał, że przez jakiś czas Luna będzie fatalnym miejscem dla Pasiarzy. Choć pewnie wcześniej też nie było najlepiej. Ruszył z powrotem na *Zhang Guo*, a właz otworzył się przed nim, witając go w środku.

Wnętrze statku było piekielnie brzydkie. Wyściółka pochłaniająca uderzenia na korytarzach miała ciemnoczerwony kolor i udawała aksamit ze złotymi liliami rozmieszczonymi w dziwnym, niepowtarzającym się wzorze. Włazy pokryto błękitno-złotą emalią. Wszędzie pełno było przesadnie wielkich prycz przeciążeniowych – w kątach pokojów, w niszach w korytarzach. Wymienniki powietrza emitowały smród kadzidelka z drewna sandałowego bez dymu. Ogólnie rzecz biorąc, statek stanowił ucieleśnienie stereotypowego burdelu zaprojektowanego przez kogoś, kto nigdy nie był w prawdziwym. Stanowisko wartownicze było bardzo niedbałe: źle zaprojektowane i ze skromnym wyposażeniem, ale ludzie Ericha rozstawili się wokół niego najlepiej, jak mogli. Nawet Misia, wciąż w bandażach, trzymała w rękach wycelowany w głąb korytarza karabin.

– Hej – rzucił Amos. – Załatwione. Nie wejdą tu.

Spadek napięcia był niczym łagodny wiatr, gdyby łagodnym wiatrom towarzyszyły dźwięki wyciągania magazynków z karabinów szturmowych.

– Dobra – odezwał się Erich, unosząc zdrową ręką pistolet. – Tyce, zgarnij całą broń. Joe i Kin, pilnujcie służby. Nie chcę zostać zaskoczony, jeśli pojawi się ktoś niespodziewany.

– Nie przyjdą – zapewnił Amos. – Ale pewnie, rób jak chcesz.

– Masz wolną chwilę? – zapytał Erich podając pistolet mężczyźnie z grubym karkiem. Zapewne miał na imię Tyce.

– Jasne – potwierdził Amos.

Ruszyli ramię w ramię w stronę windy.

– To naprawdę była kobieta, która teraz rządzi Ziemią?

– Przynajmniej do czasu, aż pozwoli przeprowadzić wybory. Nigdy tak naprawdę nie zwracałem uwagi, jak to wszystko działa.

Erich wydał cichy, wieloznaczny dźwięk. Zniekształcone ramię trzymał przy piersi, z małą dłoń zwiniętą w pięść. Zdrową dłoń wcisnął głęboko w kieszeń, a wszystko to sprawiało, że wyglądał, jakby go coś gryzło.

– A ty... ty ją znasz. Na tyle, żeby prosić ją o przysługi.

– Tak.

W windzie Erich wybrał przycisk mostka. Amos nie tam chciał jechać, ale wyglądało na to, że rozmowa ku czemuś zmierza, więc nie protestował. Winda szarpnęła,

a potem wzniosła się łagodnie przez wysoko sklepione pokłady.

– Nie potrafię zdecydować, czy to statek, czy pieprzona poduszka – burknął Amos.

– Ja nie wiem – odpowiedział Erich. – To pierwszy statek, na jakim jestem.

– Poważnie?

– Nigdy dotąd nie byłem poza atmosferą. To niskie ciśnienie jest naprawdę dziwne.

Amos odbił się lekko na palcach. Ciężenie na Lunie wynosiło zaledwie około jednej szóstej ziemskiego i w zasadzie nie zastanawiał się nad tym zbyt. Zbyt.

– Przyzwyczaisz się.

– Ty się przyzwyczaiłeś – stwierdził Erich. – To jak ją poznałeś?

– Wpakowaliśmy się po same uszy w paskudną sytuację, a ludzie, z którymi ona walczyła, próbowali nas zabić. Weszła w to wszystko i próbowała utrzymać nas przy życiu.

– I teraz jesteście przyjaciółmi.

– Raczej przyjaznymi znajomymi – skorygował Amos.

– Nie mam za wielu, jak byś to nazwał, przyjaciół.

Winda zatrzymała się z lekkim szarpnięciem, które nie powinno się zdarzyć. Mostek pełen był ciemnych powierzchni, z pokładem w barwie ciemnej czekolady, ścianami udającymi drewno i konsolami oraz pryczami obłożonymi sztuczną skórą. A może nawet prawdziwą. I tak nie potrafiłby ich rozróżnić. Erich usiadł na jednej z prycz i zdrową dłonią przeczesał włosy.



– Wiesz – powiedział. – Bez nas byś sobie z tym nie poradził. Beze mnie i twojej koleżanki z więzienia. A teraz szefowa pieprzonego rządu, co, przepraszam, ale trochę miesza mi w głowie.

– Cóż, ja...

– Nie, wiem, że coś byś wymyślił. Po prostu nie to. Nie dałbyś rady zrobić dokładnie tego. Ten plan? Do niego potrzebowaleś nas. Nas wszystkich. A jedyne, co mieliśmy wspólnego, to ty.

Amos usiadł naprzeciw niego. Erich nie chciał mu spojrzeć w oczy.

– Plan to nie najlepsze słowo na to wszystko – stwierdził. – Chwytałem się, czego tylko mogłem.

– No tak, ale miałeś się czego złapać. Spędziłem mnóstwo czasu w Baltimore. Znam je jak własną kieszeń. Znałem. Teraz mam tu wszystkich moich najlepszych ludzi i żadnego cholernego pojęcia, jak tu wygląda, wiesz? Kto tu kontroluje prochy? Jak się podrabia dokumenty? To znaczy, pewnie logika za tym wszystkim jest taka sama, ale...

Erich wpatrywał się w ścianę, jakby widział na niej coś ciekawego. Amos wykręcił szyję, by spojrzeć, tak na wszelki wypadek.

– Nie wiem, co mamy teraz robić. Nie wiem, co ja mam robić. Mam ludzi, którzy liczą na mnie, że przeprowadzę ich przez największy możliwy sztorm, ale nie mam pojęcia, gdzie ich zabrać ani co robić.

– No tak, paskudnie.

– Ty tak – rzucił Erich.

– Jestem paskudny?

– Ty wiesz. Byłeś tam. To? To wszystko? To twoje okolice. Znasz ludzi, wiesz jak to wszystko działa. Wiesz, jak utrzymać ludzi przy życiu.

– Możesz trochę przeceniać ilość czasu, jaką poświęcam na analizowanie spraw – odpowiedział Amos.

– Mam jeden statek i troje ludzi. To jak dla mnie całkiem sporo. Cała reszta po prostu działa się po drodze.

– Ale doprowadziłeś nas tutaj. – Erich przeniósł spojrzenie. Miał twarde spojrzenie. – Odłożyłem wystarczająco dużo pieniędzy, może wystarczy na kupienie małego statku, jeśli uda mi się dostać do kasy. Nie dobrego, ale czegoś. Albo przenieść gdzieś ludzi. Do jednej ze stacji w punktach Lagrange’a, na Pallas, albo... wszystko jedno. Zacząć od nowa. Znaleźć sobie nową niszę. Jeśli chcesz przejąć dowodzenie, oddam ci je.

– Och – wydobył z siebie Amos. – No wiesz, nie.

– Będzie im lepiej z tobą na czele niż ze mną.

– Tak, ale nie znam ich dość, żeby mnie obchodzili. Mam własne sprawy i zamierzam się ich trzymać.

Nie potrafił stwierdzić, czy złagodzenie spojrzenia Ericha było skutkiem ulgi czy rozczarowania. Może obu. Lydia by wiedziała. Albo Naomi czy Holden. Może nawet Aleks. Dla niego była to po prostu lekka zmiana napięcia mięśni. Mogła znaczyć cokolwiek.

– W takim razie znajdę swój sposób – oświadczył Erich. – Zabierzemy się stąd w ciągu kilku dni, jeśli tylko dam radę.

– To dobrze – rzucił Amos.

Miał wrażenie, że powinien powiedzieć coś więcej, w końcu Ericha znał chyba dłużej niż kogokolwiek żyjącego. Nawet jeśli jeszcze kiedyś się spotkają, dopiero co odbyta rozmowa stanowiła znak końca. Ich życie mogło wyglądać bardzo inaczej, gdyby Amos powiedział kilka innych słów. Miał wrażenie, że powinien coś w związku z tym powiedzieć, ale ponieważ nic nie przychodziło mu do głowy, wrócił do windy i zjechał do warsztatu.

Przejsie do technicznego końca *Zhang Guo* – miejsc, gdzie zwykle nie wchodzili właściciele statku ani ich goście – było jak wejście na pokład zupełnie innej jednostki. Cały blask i ozdoby ustępowały miejsca czystemu, praktycznemu wystrojowi, który może nie był tak dobry jak na *Rosie*, ale i tak lepszy od innych statków, na których pracował Amos. Wszystkie rogi były zaokrąglone i zmiękczone w przewidywaniu uderzeń, wszystkie uchwyty zamocowane podwójnym zestawem śrub. Szufłady i szafki w warsztacie zablokowano zasuwami w dwóch płaszczyznach. Powietrze pachniało świeżymi filtrami i smarem. Ktoś utrzymywał to miejsce w czystości i porządku większym, niż zasługiwał na to przesadnie zdobiony prom orbitalny. Amosa zaciekawiło, czy ten człowiek jeszcze żył. Nie potrafił udzielić odpowiedzi na to pytanie, więc nie zużył na nie wiele energii.

Złotko siedziała przy blacie roboczym. Strój, który zdobyła podczas rowerowej jazdy do Baltimore, wyglądał bardzo niechlujnie w czystym i wysprzątanym

pomieszczeniu. Naderwany na ramieniu i wciąż dla niej za duży. Wyglądała, jakby w nim pływała. Włosy zebrała w kucyk trytytką, a jej dłonie poruszały się szybko i ostrożnie nad otwartą skrzynką z modułami elektronicznymi. Ruchy miała równie precyzyjne i płynne, jak na starym nagraniu pianisty przy fortepianie. Nie podniosła wzroku, gdy wszedł, ale się uśmiechnęła.

– Mam coś dla ciebie. Odzyskałam ręczny terminal, bardzo dobry. Udało mi się go nawet nakłonić do rozmowy z siecią lokalną. Dokończ konfigurację i możesz go używać.

Amos wyciągnął ze ściany krzeselko obok niej. Podążyła mu terminal, ale nie spojrzała w oczy.

– Według Chrissie to nie odzysk.

– W takim razie go zdobyłam. Chciałam wziąć jeden dla siebie, ale nie mogę. Nie mam się z czym łączyć.

– Mogłabyś go użyć jak jednorazówki – zasugerował Amos, zaczynając wprowadzać swoje dane konfiguracji. – Przynajmniej będziesz miała dostęp do wiadomości.

– Czy to ma znaczenie?

– Cóż, jeśli nie uważasz, że będzie, to może nie.

Westchnęła. Na twarzy miała uśmiech, ale w oczach łzy.

– Udało nam się. Dotarliśmy bezpiecznie na Lunę. Tak jak chcieliśmy.

– Właśnie.

– Wiesz, czego naprawdę mi brakowało, gdy siedziałam w Dole? Czegokolwiek, co miałoby jakieś

prawdziwe znaczenie. Karmili mnie i utrzymywali przy życiu, mieliśmy tam też coś w rodzaju grupy wsparcia, z którą mogliśmy rozmawiać o urazach z dzieciństwa i takich tam bzdetach, ale nie mogłam robić niczego, co naprawdę się liczyło. Nie mogłam pracować, nie mogłam rozmawiać z ludźmi spoza więzienia. Po prostu byłam, byłam i byłam, aż, prędzej czy później, umarłabym i wsadziliby do mojej celi kogoś innego.

Nachyliła się do przodu, opierając łokcie na blacie. Oparzyła sobie o coś bok kciuka – lutownicę, lufę broni, coś innego – i miała tam gładką, różową i boleśnie wyglądającą skórę.

– Nie wrócę tam.

– Nie ma do czego wracać, Złotko. Zresztą jestem przekonany, że Chrissie wie, że jesteś tu na pokładzie. Nie porusza tematu, więc jak długo zachowamy spokój i będziemy się stosownie zachowywać...

Jej śmiech był krótki i gorzki.

– To co? Dalej mnie ze sobą nie zabierzesz, Amos. Nie mogę wejść na *Rosynanta*. Próbowałam zabić Holdena. Próbowałam zabić was wszystkich. I zabiłam ludzi. Niewinnych. To nigdy się nie zmieni.

– W moim świecie to po prostu dopasowanie – skomentował Amos. – Rozumiem, że ponowne spotkanie załogi może cię postawić w nerwowej sytuacji, ale wszyscy wiemy, kim jesteś. Co zrobiłaś. Włącznie z tym, co zrobiłaś nam. To nic nowego. Przegadamy to, coś wypracujemy.

– Boję się po prostu, że jeśli nie poprze twojej zagrywki, wyślą mnie z powrotem i...

Amos uniósł rękę.

– Coś ci tu umyka, Złotko. I całej kupie ludzi. Powiem to jeszcze raz: nie ma powrotu, i nie chodzi tylko o lokal. Rząd, który wsadził cię do więzienia, działa tylko w małej części. W ciągu krótkiego czasu na planecie, która wsadziła cię do więzienia, zginie kilka miliardów ludzi. Dopilnowanie, żebyś odsiedziała cały swój wyrok, nic dla nich nie znaczy. Między nami a Pierścieniem jest nowa flota, a za nim wciąż znajduje się tysiąc układów słonecznych, które możemy spieprzyć tak, jak ten. To, co teraz robisz? Wiesz, martwisz się, jak wyglądała twoja sytuacja, gdyby to wszystko się nie zdarzyło. A mnie się zdaje, że robisz to, bo nie przyjmujesz do wiadomości faktów.

– Jakich faktów?

– Że teraz już tak nie jest.

– Co nie jest?

– Nic – wyjaśnił Amos. – Przy Ziemi umierającej w męczarniach i pustym Marsie wszystko jest do zgarnięcia. Kto co ma. Kto decyduje, kto co ma. Jak działają pieniądze. Kto będzie wysyłał ludzi do więzienia. Erich przed chwilą nazwał to największym możliwym sztormem i nie mylił się. To nowa gra i...

Zadzwoił jego ręczny terminal. Amos na niego popatrzył. Wyglądał ładniej od poprzedniego, ale interfejs był trochę inny. Potrzebował kilku sekund na

zorientowanie się, co oznacza sygnał. Zagwizdał cicho przez zęby.

– O co chodzi? – zapytała Złotko.

Odwrócił do niej ekran.

– Siedemdziesiąt wiadomości i dwadzieścia trzy prośby o połączenie. Niektóre jeszcze zanim spadły kamienie.

– Od kogo?

Amos przyjrzał się liście.

– Głównie od Aleksa. Kilka od kapitana. Szlag, mam sześć godzin nagrań Aleksa, który próbuje do mnie mówić.

Uśmiech Złotka był krzywy, ale się uśmiechnęła.

– Przynajmniej kogoś masz.

## Rozdział pięćdziesiąty

### Aleks

– Rower?

Amos nachylił się nad bufetem śniadaniowym.

– Jasne. Nie potrzebują paliwa, nie chorują. Większość napraw możesz zrobić własnymi rękami. Jeśli szukasz transportu na wypadek globalnej katastrofy, rowery to świetna inwestycja.

Aleks napił się piwa. Było lokalne, z pubu znajdującego się kawałek dalej, czerwonawe, z bogatym chmielowym smakiem.

– Chyba nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

Apartament na Lunie był większy od tego na stacji Tycho, ale tego samego typu. Cztery sypialnie wychodziły na obszerny, obniżony salon. Na zakrzywionej ścianie salonu zamontowano wielki ekran, który prezentował wyidealizowany krajobraz księżycowy, ładniejszy od rzeczywistego. Co jakiś czas zza skał wyłaniała się animowana dziewczyna „obcych”, rozglądała się zaskoczona i chowała z powrotem. Chyba było to urocze, choć wolałyby rzeczywisty krajobraz Luny.



– W każdym razie, nie chciałem przejeżdżać przez Waszyngton. Jest tam za dużo ludzi, a pompy przestały działać, więc nie miałem ochoty pedałować w szambie po kolana, nie?

– Racja – zgodził się Aleks.

Holden był na *Rosynancie*, Naomi spała w swoim pokoju. Sypiała bardzo dużo od czasu, gdy *Rosynant* zgarnął ich wszystkich z próżni. System medyczny twierdził, że jej stan się poprawia i wszystko jest z nią dobrze. A jednak Aleks się martwił. Nie dlatego, że potrzebowała snu, a raczej, że nie tyle go potrzebuje, co udaje, że tak jest. Bycie tu z Holdenem, Amosem i Naomi niosło potężną ulgę. Chciał, żeby na tym skończyła się ich separacja, żeby wszystko wróciło na właściwe miejsca, jakby nigdy nic się nie stało, ale tak nie było. Nawet rozmawiając z Amosem, zauważał w nim drobne zmiany. Coś w rodzaju oderwania, jakby przez cały czas myślał o czymś innym i tylko udawał, że całą uwagę poświęca Aleksowi. Od czasu ich przybycia Naomi ciągle pozostawała pod intensywnym nadzorem medycznym i lekarze nie pozwalali jej się spotykać z nikim poza Holdenem. Jeśli Naomi szukała wymówek, żeby trzymać się od nich z daleka, to nie mógł być dobry znak. Wciąż nie wiedzieli wiele na temat tego, jak trafiła w ręce Wolnej Floty i jak od nich uciekła, ale jej głębokie urazy wydawały się oczywiste. Próbował więc cieszyć się spokojem i przyjemnością ponownego zebrania załogi, ignorując narastający w głębi duszy niepokój, wrażenie,

że – podobnie jak w przypadku rządów, planet i całego Układu Słonecznego – sytuacja się zmieniła.

Odezwał się terminal ręczny Amosa. Wypił pół szklanki piwa, a potem odsłonił zęby.

– Muszę iść coś załatwić.

– Jasne – rzucił Aleks, wylewając do zlewu resztę swojego piwa. – Gdzie idziemy?

Amos się zawahał, ale tylko na moment.

– Dok. Muszę coś przenieść do warsztatu.

– Świetnie – rzucił Aleks. – Chodźmy.

Stacje na Lunie były najstarszymi osiedlami ludzkości poza Ziemią. Rozciągały się na powierzchni Księżyca i zanurzały w jego głębiach. Światła osadzone w ścianach emitowały ciepły żółty blask i tworzyły kolorowe plamy na sklepieniach. Ciężenie – mniejsze nawet niż na Marsie, Ceres czy Tycho – wydawało się dziwne i przyjemne, jak lot na statku, który nigdzie się nie śpieszył. Prawie można było zapomnieć o tragedii wciąż rozgrywającej się niecałe czterysta tysięcy kilometrów nad ich głowami. Prawie, ale nie do końca.

Amos dalej opowiadał o wszystkim, co działo się, gdy był w studni, ale Aleks słuchał tylko jednym uchem. Szczegóły historii będą tematem setek rozmów, gdy już wrócą na statek i będą gdzieś lecieć. Nie miało znaczenia, czy teraz wszystko zapamięta, a znajome tony głosu Amosa były jak słuchanie lubianej piosenki, której od dawna nie słyszał.

W doku Amos rozejrzał się na wszystkie strony, aż zobaczył kogoś znajomego, kto siedział na plastikowej

skrzyni. Skrzynia była niebieska, z białymi, falistymi maziakami albo rysami na bokach, które kojarzyły się z falami. Kobieta była mocno zbudowana, miała czarne warkoczyki, ciemnobrązową skórę i rękę na temblaku.

– Cześć, Misia – rzucił Amos.

– Wielkoludzie – odpowiedziała kobieta. Aleksa całkowicie zignorowała. – To właśnie to.

– No to dzięki.

Kobieta kiwnęła głową i odeszła, szurając nogami trochę bardziej sztywno niż inni w okolicy. Amos wynajął mecha załadunkowego, złapał skrzynię i ruszył w stronę *Rosa*, a Aleks podbiegał truchtem obok niego.

– Czy powinienem zapytać, co tam jest? – odezwał się.

– Chyba nie – odpowiedział Amos. – W każdym razie, trafiliśmy na tę wyspę, gdzie mieszkali bogacze, zanim spieprzyli studnię, nie? Tyle że praktycznie nie było tam statków...

*Rosynant* miał dla siebie cały hangar, włącznie z atmosferą, a nie tylko miejsce na lądowisku z korytarzem prowadzącym do śluzy. Nowy pancierz zewnętrzny wykonano ze stopu tytanu i ceramiki, wypolerowany metalowy kadłub, pokryty czarną matową farbą, był upstrzony działkami obrony punktowej i czujnikami. Paszcza stępkowego działa szynowego wyglądała jak zdumione „o” na dziobie. W sztucznym świetle hangaru wyglądał znacznie mniej imponująco niż w nieprzefiltrowanym blasku Słońca, ale nadal pięknie. Jego blizny zniknęły, ale nie stracił przez to charakteru. Amos podprowadził mecha do śluzy rufowej i otworzył

ją, nie przerywając powolnego snucia opowieści. Wewnątrz opuścił skrzynię na pokład, ale nie włączył blokad elektromagnetycznych, które utrzymałyby ją na miejscu. Zamiast tego wysunął się z mecha i wszedł do wnętrza statku. Maszynownia, ładownia, warsztat. Rufa zawsze była dziedziną Amosa.

– A ci inni? – powiedział Amos. – Ludzie Johnsona? Skończyli już grzebać w moich rzeczach, prawda?

– Tak – potwierdził Aleks. – Znowu należy do nas. Tylko do nas.

– To dobrze. – Amos podszedł do skrzyni.

– To ci służący, pokojówki, szoferzy i kto tam jeszcze – powiedział Aleks. – Najpierw wezwali ochronę, a potem po prostu zmienili stronę? Czy... no wiesz, jak to wyglądało?

– No cóż – odpowiedział Amos, otwierając blokady skrzyni. – Widzisz, ktoś nas przedstawił.

Pokrywa skrzyni uniosła się samodzielnie. Aleks odskoczył, źle ocenił sytuację w nietypowym ciężeniu i potknął się. Ze skrzyni wyłoniła się ciemnowłosa głowa, ze szczupłą twarzą, bladą jak u ducha, i oczami czarnymi jak atrament. Serce Aleksa zaczęło bić jak szalone. Uśmiechała się do niego nieśmiało Clarissa Mao, morderczyni i psychopatka.

– Cześć – powiedziała.

Aleks odetchnął głęboko, z drzeniem.

– Uch. Cześć?

– Widzisz? – rzucił Amos, klepiąc dziewczynę w ramię.

– Mówiłem ci, że to nie będzie problem.

\* \* \*

– Musisz mu powiedzieć – stwierdził Aleks cichym głosem.

Bobbie opowiadała Holdenowi o pracy, którą wykonywała w ośrodku pomocy dla weteranów w Londres Nova, więc nie zwracał na nich uwagi.

– Zrobię to – rzucił Amos.

– Musisz mu teraz powiedzieć. Ona jest na naszym statku.

Amos wzruszył ramionami.

– Była na nim przez całe miesiące, gdy wracaliśmy z powolnej strefy.

– Wtedy była więźniem. Z powodu tych wszystkich ludzi, których zabiła. A teraz jest sama na naszym statku.

– Przyznaję, że to trochę zmienia sytuację – stwierdził Amos.

– Jakiś problem? – spytał Holden. – O czym rozmawialiście?

– O jednym drobiazgu, który chciałem z tobą obgadać – powiedział Amos. – Ale to może poczekać, aż skończy się ten cyrk.

Salę konferencyjną w kompleksie ochrony zbudowano w niemodnym już stylu: z szerokimi łukami i rozległym, błękitnym sufitem z pośrednim oświetleniem i z delikatnymi geometrycznymi wzorami. Wszystko tu było celowo sztuczne, jak idea popołudniowego ogrodu bez popołudnia i ogrodu. Głos Avasarali dotarł przed nią, szybki i niecierpliwy. Gdy przeszła przez jeden z łuków,

mając u boku młodego, poważnie ubranego mężczyznę, Bobbie wstała. Holden zrobił to samo.

– ...jeśli chcą głosu w podejmowaniu tej decyzji. Nie będziemy się bawić w pieprzone gierki przedwyborcze.

– Tak jest, proszę pani – odpowiedział młodzieniec.

Avasarala machnęła ręką, żeby usiedli, a potem sama zajęła miejsce, nie przestając rozmawiać z asystentem.

– Idź z tym najpierw do Kleinmanna. Gdy będzie po mojej stronie, Castro i Najjar będą mieli potrzebną im wymówkę.

– Jeśli tak pani mówi.

– Jeśli tak mówię?

Asystent przekrzywił głowę.

– Za pozwoleniem, Chung ma silniejszą pozycję od Kleinmanna.

– Poddajesz w wątpliwość moje decyzje, Martinez?

– Tak, proszę pani.

Avasarala wzruszyła ramionami.

– No to Chung. A teraz idź. – Gdy tylko młodzieniec wyszedł, przeniosła uwagę na nich. – Dziękuję wam wszystkim za... gdzie jest Nagata?

– W szpitalu – wyjaśnił Holden. – Lekarze wciąż decydują, czy jej stan ustabilizował się dostatecznie, żeby ją wypuścić.

Avasarala uniosła brew i wystukała wiadomość na ręcznym terminalu.

– Mogą zrobić pieprzony wyjątek. Chcę, żeby tu była. Dziękuję za przybycie pozostałym. Mogłabym bić pianę i pomiziać wszystkim ego, ale od trzydziestu sześciu

godzin ciągle uczestniczę w spotkaniach, więc jestem marudna. Wszyscy wiemy, że Ziemia ma przesrane, prawda?

– Cholera, tak – rzucił Amos.

– No to dobrze – powiedziała Avasarala. – Nie muszę więc tego podkreślać. Na dodatek marsjańska flota rozpadła się na drobniutkie kawałeczki, a Smith za bardzo się boi, żeby nazwać to zdradą.

– Czy mogę zapytać – odezwała się Bobbie, przesuając się bliżej stołu. Jej rozłożone na nim dłonie wyglądały, jakby szykowała się na uderzenie. – Jak bardzo źle to wygląda?

– Nie wygłaszamy żadnych oficjalnych oświadczeń, zwłaszcza z Jamesem Holdenem w pokoju. Bez obrazy, ale twoje chlapanie ozorem w bardzo nieszczęśliwych momentach jest już wręcz legendarne.

– Poprawiam się, jeśli o to chodzi – skomentował Holden. – Ale jasne. Rozumiem.

– Mamy do czynienia z czymś – powiedziała Avasarala – co dzieje się, gdy niewyobrażalne staje się wyobrażalne. Ogarnął nas chaos, wszystko jest do wzięcia. Włącznie z legalną władzą. Tak wygląda sytuacja. Ten gnojek Inaros? Kręci się wokół księżyców Jowisza, gdzie możemy tylko oglądać, jak bawi się w pirata. Ustawił własną wersję historii. Pas zbuntował się po dziesięcioleciach ucisku, a teraz przejmuje należne mu, bla bla bla. Moja pozycja...

– Ale ma trochę racji – odezwał się Holden, a spojrzenie Avasarali stwardniało. Gdyby wzrok mógł

zabijać, Holden zostałby wyniesiony nogami do przodu, ale tylko pokręcił głową. – Jeśli Pasiarze kupią tę całą Wolną Flotę, to tylko dlatego, że nie będą mieli nadziei na nic innego. Nowe układy i kolonie...

– Wymazały ich niszę – dokończyła Avasarala. – To wredne i może mogliśmy znaleźć sposób, żeby zapewnić im byt. Umieścić ich na czymś w rodzaju spółdzielczej podstawy, tylko że wsadzili domowej roboty bombę w dupę największej działającej ekosfery w tym układzie i teraz minie trochę czasu, zanim dawanie im darmowego jedzenia będzie dla mnie realną opcją, zarówno praktycznie, jak i politycznie.

– Nigdy się nie zamkną w zamian za jałmużnę – rzucił Amos. – Ci dranie siedzą tam od trzech, czterech generacji właśnie dlatego, że nie chcieli żyć na podstawowym utrzymaniu. Jestem równie przeciwny eugenicie, co każdy inny, ale Pas nie rodził ludzi, którzy mogliby po prostu siedzieć beczynnym i sprawdzać, ile zdołają się naruchać i oglądać kanałów rozrywkowych, zanim wymrą.

– Zdaję sobie sprawę z problemu kulturowego – zapewniła Avasarala. – I jak już mówiłam, to i tak nie ma żadnego pieprzonego znaczenia. Nawet gdyby byli skłonni przyjąć pomoc, i tak nie mogłabym im jej dać. Muszę znaleźć inny sposób rzucenia Wolnej Floty na kolana, jednak ponieważ flota Ziemi będzie zajęta pilnowaniem, żeby nie spadły na nas żadne kolejne kamienie niewidoczne dla radaru, a Mars usiłuje ignorować fakt, że właśnie przeszedł mały przewrót wojskowy, nie będzie to łatwe. Jutro zamierzam wygłosić



oświadczenie, którego treść poznacie już dzisiaj. Szczęściarze. Organizacja Narodów Zjednoczonych z pomocą Republiki Marsjańskiej i we współpracy z SPZ stworzy grupę uderzeniową, której zadaniem będzie wyeliminowanie zbrodniczego porozumienia piratów i terrorystów nazywających się Wolną Flotą. To nie będzie wojna, tylko grupa porządkowa. I tu wy wchodzicie do gry.

– Chcesz, żebym nią kierował – powiedział Holden.

– Tak – rzuciła Avasarala. – Bo tak się złożyło, że dosłownie każdy oficer ONZ, który nie został zwolniony dyscyplinarnie, jest nagle niedostępny. Do jasnej cholery, Holden, mam całe skrzynie leków przeciw opryszczce, które mają więcej od ciebie związku z flotą ONZ.

Staruszka pokręciła głową z niesmakiem i niedowierzaniem. Zmarszczonym brwiom Holdena towarzyszył nasilający się rumieniec. Bobbie próbowała ukryć śmiech, ale Aleks musiał przyznać, że było to nieco zabawne. Nawet jeśli tylko w duchu. W końcu to Bobbie zabrała głos.

– Czego właściwie oczekuje pani od nas?

– Po pierwsze chcę waszej obecności i współpracy podczas odprawy. Ale co ważniejsze, muszę wiedzieć to, co wy. Czego się dowiedzieliście. Musimy znaleźć sposób, jak ten trzeciorzędny szef gangu zdołał pokonać nas na każdym kroku...

– Wcale tego nie zrobił – oświadczyła Naomi, wychodząc z jednego z łuków z eskortą przy boku.

W bezcieniowym oświetleniu wyglądała dziwnie delikatnie. Łuszczyła się jej skóra. Naomi poruszała się ostrożnymi ruchami kogoś przygotowanego na nagłe ataki bólu. Ale jej twardówka nie była już czerwono-biała, odzyskała żółtawą barwę kości słoniowej, co wyglądało dużo zdrowiej, a jej głos przestał brzmieć, jakby była pijana. Aleks poczuł, że spada mu kamień z serca.

– Więźniarka, proszę pani – oznajmił strażnik.

– Tak, dziękuję zauważyłam – rzuciła Avasarala, a potem skupiła uwagę na Naomi. – Co masz na myśli, mówiąc, że tego nie zrobił?

– Proszę spojrzeć na to wszystko, czego próbował, i mu się nie udało. Nie zabił Freda Johnsona. Nie zabił premiera Smitha. Nie przejął stacji Tycho ani jej nie zniszczył. *Rosynant* jest w jednym kawałku. Nie zdołał mnie zatrzymać. Tak właśnie działa. Jeśli wygra, to coś ważnego, ale jeśli przegra, sprawy w ogóle nie było.

– A skradziona przez niego próbka protomolekuły?

Naomi zamrugnęła, przez chwilę wydawało się, że straciła koncentrację, potrząsnęła głową.

– Nigdy nic o tym nie mówił.

– A powiedziałały?

Naomi usiadła na krześle obok Holdena. Wziął ją za rękę, czemu się nie sprzeciwiła, ale uwagę skupiała na Avasarali. Aleks nie był pewien, dlaczego tak bardzo go to niepokoiło. To spotkanie nie było zaproszeniem, żeby mogli sobie wyjaśnić status swojego związku. A jednak, gdyby tylko była trochę bardziej otwarta na niego...

– Tak – odpowiedziała Naomi. – Powiedziałyby mi. Lubi się chwalić.

Intymność tej informacji wypełniła pierś Aleksa nieprzyjemnym przeczuciem. Twarz Holdena była spokojna. Nieprzenikniona.

– To dobrze – rzuciła ostrym głosem Avasarala. – Bardzo dobrze wiedzieć. – Przez chwilę w milczeniu przyglądała się Naomi. – Wygląda na to, że lepiej się czujesz. Słyszałaś coś z tego, co mówiłam?

– Wystarczająco dużo – potwierdziła Naomi.

– Będziesz mogła nam pomóc?

Pytanie zawisło w powietrzu, pełne niuansów i złożonego znaczenia. Nie *dlatego byłaś na jego statku*. Nie *skąd go znasz*. Nie *kim dla niego jesteś, że chwali się przed tobą swoimi planami*. Po prostu *będziesz mogła nam pomóc?*

– Wszystko z tobą w porządku? – cicho zapytał Amos.

– Co? Tak, w porządku – zapewniła.

– Bo wyglądasz, jakbyś się denerwowała – powiedział Amos, równocześnie z Naomi:

– Chcę immunitetu.

Wrażenie było takie, jakby w sali zapanowała próżnia. Nie było to wyznanie, ale jej słowa naszkicowały obraz, którego realności żaden z nich nie chciał przyjąć do wiadomości. Żądanie immunitetu było przyznaniem się do winy, nawet jeśli nie wiedzieli, na czym polegała jej wina.

Uśmiech Avasarali był ciepły i przyjazny oraz niemal na pewno zwodniczy.

– Nietykalności w ciemno?

– Dla nas wszystkich.

– Kogo obejmuje „nas wszystkich”? – spytała Avasarala, ostrożnie formułując i wypowiadając słowa. – Twoich znajomych w Wolnej Flocie?

– Załogi *Rosynanta* – odpowiedziała Naomi, a potem się zawahała. – I może jeszcze jednej osoby.

Aleks rzucił spojrzenie Amosowi. Czy wiedziała o Clarissie? Czy to o nią jej chodziło? Uśmiech Amosa był przyjazny i pusty. Avasarala postukała paznokciami w stół.

– Nie za Ziemię – odpowiedziała. – Zrzucanie kamieni? Za to nikt nie dostanie immunitetu.

Aleks zobaczył, jak to w nią trafiło. W oczach Naomi pojawiły się łzy, lśniąc srebrzyście.

– Załoga *Rosynanta* – oznajmiła. – W przypadku tamtej osoby... mogę później poprosić o łagodne traktowanie i uwzględnienie okoliczności. Jeśli będzie ku temu okazja.

– Dla Inarosa?

– Nie – rzuciła Naomi. – Jego możesz spalić.

– Muszę to w pełni zrozumieć – powiedziała Avasarala. – Ty, jako była członkini grupy Inarosa, jesteś gotowa przekazać pełne i dokładne informacje dotyczące jego działań przed bombarowaniem Ziemi i tuż po, w zamian za całkowity immunitet dla załogi *Rosynanta* w każdej sprawie niezwiązanej z obecnymi atakami? – Fakt, że w jej słowach nie pojawiło się żadne przekleństwo, nadał im powagę, która zaniepokoiła Aleksa.

– Tak – potwierdziła Naomi. – Zgadza się.

Ulga na twarzy Avasarali była twarda jak stal.

– Dobrze to słyszeć, skarbie. Martwiłam się, że źle cię oceniłam. – Wstała, a potem szybko złapała się stołu, klnąc pod nosem. – Brakuje mi wagi. Przez połowę czasu mam wrażenie, że jestem na cholernej trampolinie. Idę się położyć i łyknąć tabletkę nasenną, zanim ogarnie mnie załamanie nerwowe, ale ta odprawa? Zacznie się jutro rano.

– Będziemy tam, gdzie pani zechce – zapewnił Holden.

– Niczego nie będziemy ukrywać.

Wciąż trzymał dłoń Naomi, której palce zwinęły się wokół jego. Czyli może jednak była jeszcze nadzieja. A jeśli chodzi o nieukrywanie niczego... cóż, Amos wciąż się nie odezwał.

Spotkanie się skończyło, chociaż nie do końca. Avasarala wyszła, ale pozostali, włącznie z Bobbie, razem przeszli do holu, potem przez punkt kontrolny i na publiczny korytarz. Poważna cisza powoli ustąpiła miejsca całkiem codziennym rozmowom: czy było jakieś lepsze miejsce na posiłek niż mesa *Rosa*. A jeśli nie lepsze, to przynajmniej inne. Czy Naomi mogła już pić alkohol, bo na jednym z niższych poziomów był pub, który podobno oferował bardzo dobre miejscowe piwa. Nikt nie pytał, czy Bobbie do nich dołączy, wydawało się to oczywiste. Przesuwając nogami i podskakując w niskim ciężeniu, Naomi i Holden wciąż trzymali się za ręce. Amos i Bobbie wymieniali się pikantnymi żartami. Była to tak bardzo zwyczajna sytuacja, że dawała Aleksowi

nadzieję. Pomimo wszystkiego, co się stało, co ciągle się działo, co czekało na nich w niepewnej i mrocznej przyszłości, wciąż trafiały się chwile takie jak ta. A więc może jednak będzie dobrze.

Na szerokim skosie Chandrayaan Plaza, gdzie ruch wózków, mechów i podskakujących ludzi skręcał w dół rampy prowadzącej dalej w głąb księżycy, Amos odchrząknął.

– Ta cała sprawa z immunitetem dla załogi?

– Nie chodziło tylko o ciebie – powiedziała Naomi, zmieniając sprawę w żart, choć nie do końca.

– No tak, domyśliłem się – odpowiedział Amos. – Ale jest taka sprawa. Myślałem, żeby może zatrudnić czeladnika. Wiecie, trochę powiększyć załogę, zapewnić redundancję umiejętności.

– To świetny pomysł – odpowiedział Holden. – Masz na myśli kogoś konkretnego?

## Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

### Naomi

– Cholera, nie – rzucił Jim, gdy zostali sami w pokoju. – Absolutnie nie. Za żadne skarby. Musi być chyba milion sposobów na odmowę, a i tak muszę zaliczyć wszystkie kilka razy, żeby naprawdę wyrazić głębię mojego sprzeciwu. Clarissa Mao? Na *Rosie*? Jak może to być coś innego niż potężne „nie róbmy tego”?

– A jednak – powiedziała, opadając powoli na łóżko – powiedziałaś Amosowi, że się nad tym zastanowisz.

Jim próbował pełnego złości chodu, ale utrudniało mu to zbyt małe księżycowe ciążenie. Zrezygnował i stanął u stóp łóżka.

– Dopiero co zebraliśmy z powrotem załogę. I była tam Bobbie, nie chciałem zepsuć chwili.

– Ach. Chwila.

Zamknęła oczy. Wszystko ją bolało. Bolała ją skóra. Oczy sprawiały wrażenie spuchniętych i pełnych piasku. Bolały ją stawy dłoni i stóp. Kolana. Czubki palców wydawały się starte i nadwrażliwe. Cierpiała na rodzaj bólu głowy, wyrażający się poczuciem silnej kruchości,

chyba że poruszyła się za szybko, wtedy zmieniał się w pulsowanie. Choć i tak było już lepiej. I będzie się dalej poprawiać. Powoli, w ciągu dni albo tygodni, dojdzie do siebie. A przynajmniej do jakiejś wersji siebie samej. Jednak nawet jeśli część uszkodzeń okaże się trwała, będzie się czuć lepiej niż teraz. Jeszcze nie, ale niedługo.

Aleks, Amos i Bobbie odeszli. Na piwo i jedzenie. Ich jedzenie. Pizzę, falafel albo sashimi. Ziemskie potrawy. Na Lunie nie było żadnego czerwonego kibble, a jeśli było, nie serwowano go w miejscach, do których by poszli. Jakaś jej część żałowała, że nie ma energii na wyjście z nimi. Inna część żałowała, że Jim nie dołączył do nich, tylko poszedł z nią. A jakaś część szalała z radości i była na skraju łez, bo była tutaj, uciekła, wszystko się skończyło. Miała wrażenie, że jej dusza była wciąż toczącymi się kośćmi, a to, na czym się zatrzymają, określi kształt reszty jej życia.

– No wiesz... Clarissa Mao? – powiedział Jim. – Jak ktoś może to uznać za dobry pomysł?

– Amos nie boi się potworów – powiedziała.

Słowa brzmiały gorzko, ale nie wyłącznie. A raczej nie gorzko. Skomplikowanie.

– Odpowiada za śmierć mnóstwa ludzi – przypomniał Jim. – Wysadziła *Seung Un*. Zginęło przez to ćwierć załogi. A to ciało, które znaleźli? To, które nosiła w skrzynce na narzędzia? Pamiętasz?

– Tak.

– Ten facet był jej przyjacielem. Nie zabijała tylko anonimowych wrogów. Mordowała znane sobie osoby,



patrzac im przy tym prosto w oczy. Ludzi, których lubila. Jak mozna przejść od czegoś takiego do „wiem, przyjmijmy ją do załogi”?

Wiedziala, że powinna go powstrzymać. Nie mówił o niej, o *Augustinie Gamarrze* ani o żadnych innych statkach, które zostały zniszczone za pomocą napisanego przez nią kodu. Nie mówił o Cynie ani o tym, jak próbował powstrzymać ją przed udawanym samobójstwem. Gdyby zaczął, znalazłoby się tego więcej. Jak mogła porzucić swojego syna? Jak mogła pozwolić Filipowi myśleć, że się zabiła? Jak mogła coś tak ważnego ukrywać przed ludźmi, którzy wedle jej słów byli jej bliscy? Wszystkie noszone przez nią grzechy, których nie dopuściła się Clarissa Mao.

Wiedziala, że powinna go powstrzymać, ale tego nie zrobiła. Jego głos był jak odrywanie strupów. Słowa bolały, zostawiając ją odsłoniętą, wrażliwą i bolącą w dotyku, ale ból był miły. Gorzej, wydawał się właściwy.

– Nie twierdę, że powinno się ją zabić. To, co Amos powiedział, że jeśli miałyby z powrotem trafić do więzienia, musiałyby ją zastrzelić? Rozumiem, że żartuje...

– Wcale nie.

– No dobrze, udaję, że żartuje, ale nie twierdę, że należy to zrobić. Nie chcę, żeby zginęła. Nawet nie chcę, żeby zamknięto ją w nieludzkim, gównianym więzieniu. Ale przecież nie o tym tu rozmawiamy. Latanie z kimś oznacza dosłownie zaufanie mu swoim życiem, przez cały czas. I dobrze, byłem na *Canterbury* i mieliśmy tam trochę ludzi o bardzo, bardzo wątpliwej przeszłości. Ale

nawet Byers zabiła tylko swojego męża. Clarissa Mao postanowiła zniszczyć właśnie mnie. Mnie. Ja po prostu... ja nie... jak ktoś może to uznać za dobry pomysł? Ktoś, kto zrobił rzeczy takie jak ona, nie może się zmienić.

Odetchnęła głęboko, wciągając powietrze do obolałych płuc. Wciąż trochę charczały, ale przyjmowała tyle leków hamujących odruch kaszlu, że już nie dostawała od niego zawrotów głowy. Nie chciała otwierać oczu, nie chciała rozmawiać. Otworzyła je i usiadła. Oparła się plecami o zagłówek, objęła kolana rękami. Holden ucichł, czując wagę tego, co miało nastąpić. Uwolniła włosy, przeciągając je sobie przed oczy jak welon, a potem gniewnym ruchem odsunęła je z powrotem, odsłaniając oczy.

– No dobrze – powiedziała. – Musimy porozmawiać.

– Jak kapitan z pierwszą oficer? – zapytał ostrożnie.

Pokręciła głową.

– Jak Naomi z Jimem.

Niepokój w jego oczach ukłuł ją w serce, ale spodziewała się go. Wydawał się być echem tego, co działo się w jej piersi. Dziwne było, że po tym wszystkim, co zrobiła – po wszystkich demonach, z którymi się mierzyła i którym uciekła – było to takie trudne. Zabrzączał terminal Holdena, ale nawet nie spojrzął na ekran. Bruzdy wokół jego ust pogłębiły się tak samo, jak wtedy, gdy próbował czegoś, co mu nie zasmakowało. Złożył dłonie: silny, opanowany, spokojny. Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie, wieki temu, na pokładzie *Canterbury*. Urok, który z niego emanował, i pewność

siebie, czego z początku tak bardzo nie znosiła. Jak bardzo nienawidziła go za zbytne podobieństwo do Marco. A potem jak bardzo pokochała go za to, że wcale go nie przypominał.

A teraz przerwie wreszcie swoje milczenie i to, co ich łączyło, przetrwa albo nie. Ta myśl była straszna. Marco wciąż potrafił sprawić, że czuła się pusta w środku i nawet nie wymagało to od niego żadnego wysiłku. Wystarczyło istnienie.

– Ja nie... – powiedział Jim i urwał. Spojrzał na nią spod brwi, jakby czuł się winny tego wszystkiego. – Wszyscy mamy przeszłość, wszyscy mamy swoje tajemnice. Gdy odleciałaś, czułem się... zagubiony. Zmieszany. Jakbym stracił część mózgu. A teraz, gdy tu jesteś, po prostu tak niezmiernie się cieszę, że cię widzę. To mi wystarczy.

– Czy ty twierdzisz, że nie chcesz wiedzieć?

– O Boże, nie. Mógłbym sobie odciąć za to palec. Praktycznie szaleję w duchu z dzikiej ciekawości i szaleńczej zazdrości, ale mogę sobie z tym poradzić. Nie mam teraz żadnego większego prawa zmuszać cię do mówienia mi czegoś, czego nie chcesz powiedzieć. Jeśli jest coś, czego nie chcesz mówić...

– Nie chcę mówić niczego z tych rzeczy – stwierdziła Naomi. – Ale chcę, żebyś wiedział. Więc musimy przejść przez tę część, prawda?

Jim klęknął u stóp łóżka, a potem przysiadł na swoich nogach. Miał włosy koloru kawy z odrobiną mleka, oczy

błękitne jak głęboka woda. Takie, jakie powinno być wieczorne niebo.

– To poradzimy sobie z tym – oświadczył z prostym, bezgranicznym optymizmem, który wziął ją z zaskoczenia i wymusił śmiech, nawet teraz.

– No cóż – zaczęła. – Gdy byłam nastolatką, mieszkałam z kobietą nazywaną przez nas Tia Margolis, zaliczałam kursy inżynierii dostępne w sieci najszybciej, jak mogłam, a przez doki przewijały się statki. Pasiarskie. Z tych najbardziej radykalnych.

Jim przytaknął i nagle – ku jej zaskoczeniu – zrobiło się łatwo. W jej wyobrażeniach wyjawienie swojej przeszłości Jimowi – komukolwiek – kojarzyło się z gniewem, niesmakiem i wzajemnymi oskarżeniami. Albo jeszcze gorzej, litością. Jim, który pomimo wszystkich swoich wad czasami potrafił być idealny, słuchał uważnie i całym sobą. Była kochanką Marco Inarosa. Wcześniej zaszła w ciążę. Była zamieszana – z początku nieświadomie – w sabotaż statków planet wewnętrznych. Miała syna imieniem Filip, którego jej zabrano, żeby ją kontrolować. Zrelacjonowała mroczne myśli i zdała sobie sprawę, że był to praktycznie pierwszy raz, gdy mówiła o nich otwarcie, nie kryjąc się za ironicznym humorem. *Próbowałam się zabić, ale się nie udało.* Samo powiedzenie tych słów na głos było niczym sen. Albo obudzenie się ze snu.

A potem, w jakiś sposób w głębinach jej wyznania, odsłonięcia wymęczonej duszy, która zawsze miała skrywać przerażenie i cierpienie, po prostu rozmawiała

z Jimem. Zdołała znaleźć sposób na przekazanie mu wiadomości w trakcie bitwy, a on powiedział jej, jak do niego dotarła, i o rozmowie z Moniką Stuart oraz dlaczego czuł się przez nią zdradzony. Od tego musiał się cofnąć do jej porwania, a potem jeszcze wcześniej, do jej planu użycia próbki protomolekuły jak planszy ouiija do rozmowy z duchami w sprawie zaginionych statków. A potem wrócili do *Chetzemoki* i awaryjnego planu Marco, który wywołał jego sposób na zagnieżdżanie planów w planach, i zanim wróciła do Cyna, wrócili Aleks, Amos i Bobbie z głosami przeplatającymi się prawie jak w ptasim świergocie. Jim zamknął przed nimi drzwi sypialni, a potem usiadł obok niej, też opierając się na wezgielciu.

Kiedy opowiedziała o zabiciu Cyna swoim skokiem, Jim wziął ją za rękę. Oboje milczeli, gdy na nowo przeżywała tamten żal. Był prawdziwy i głęboki, ale też przeplatany złością na starego przyjaciela i porywacza. Wtedy nie pozwoliła sobie tego uświadomić, ale z perspektywy czasu cały jej pobyt na *Pelli* wydawał się ćwiczeniem z chowania się w sobie. Poza chwilami, gdy sprzeciwiała się Marco. Przypomniała sobie, jak powiedziała, że Jim jest tym wszystkim, co on tylko udaje, i zaczęła się zastanawiać, czy powinna to opowiedzieć, a potem to zrobiła. W pierwszej chwili Jim wyglądał na przerażonego, a potem się roześmiał. Pogubili się w swoich opowieściach i spędzili dziesięć minut na uzgadnianiu przebiegu czasu: *Chetzemoka* oderwał się od *Pelli* po tym, jak Jim z Fredem wylecieli z Tycho, czy

wcześniej? Czy poprosił Aleksa o sprawdzenie *Pau Kanta*, zanim kamienie spadły na Ziemię? Ach tak. Dobrze. Teraz rozumiała.

Oboje zrobili się śpiący, przytuliła się do jego boku. Przerwy robiły się coraz dłuższe i mniej ostre. *Och, naprawdę powinniśmy porozmawiać o Amosie i Clarissie Mao*, pomyślała, ale zaczęła śnić, że znajduje się na statku lecącym z pełnym g dla wszystkich innych, bo ona unosiła się w nieważkości. Pozostali członkowie załogi tkwili przyciśnięci do pokładów, podczas gdy ona pływała w powietrzu, sięgając do przewodów i narzędzi, do których nie potrafili się dostać. We śnie Aleks wyjaśnił jej, że to wynik nagromadzonej przez nią inercji: pozostali będą potrzebowali sporo czasu, by dotrzeć do jej poziomu. Wtedy wydawało się to rozsądne.

Obudziła się. Nie wiedziała, ile czasu minęło, ale z salonu nie dobiegały już żadne głosy. Jim zwinął się na boku, plecami do niej. Oddychał powoli i głęboko. Przeciągnęła się powoli, uważając, żeby go nie obudzić. Ból mięśni, skóry i stawów był odrobinę mniejszy, ale przede wszystkim czuła ciepło w piersi. Ulgę.

Od lat ukrywała tajemnice. Trzymała je jak zawleczkę w granacie. Przez cały ten czas narastał strach, wstyd i poczucie winy, a ona nawet tego nie zauważyła. Jej złe uczynki i błędy – a było ich tak wiele – zyskiwały coraz większą moc. Dziwnie się czuła, nie czując ich nieustannego naporu na zębra. Na swój sposób pusto, ale była to spokojna pustka.

Oczywiście, to nie tak, że nagle wypełniło ją światło i szczęście. Przez nią zginął Cyn. Porzuciła Filipa. Ponownie. Marco nadal stanowił bezdenną studnię gniewu i nienawiści. Pod tym względem nie zmieniło się nic i zmieniło się wszystko. Stary obraz zmieniony w coś nowego przez wymianę ramy. Jim poruszył się we śnie. Pośród rzadkich, ciemnych włosów na jego karku zobaczyła kilka jaśniejszych. Pierwszy ślad siwizny.

Coś się zmieniło między nimi. Nie tylko podczas jej urlopu w piekle, także teraz, gdy wynurzyła się z prywatnych podziemi. Nie była pewna, kim w tej chwili dla siebie byli, ona i Jim, poza tym, że wiedziała, że teraz będzie inaczej. Ponieważ ona się zmieniła, a jej zmiana go nie złamała. Nie będzie próbował zmusić jej, żeby została Naomi, którą sobie wyobrażał.

Wszystko się zmieniało i nie wracało do początku. Ale czasami zmieniało się na lepsze.

Powoli wstała z łóżka, szurając nogami do małego biurka w rogu pokoju. Leżały na nim ich ręczne terminale oraz mała buteleczka z lekami przeciwnowotworowymi Jima, skoro nie był na *Rosie*. Sięgnęła po swój terminal, zatrzymała się w pół ruchu i podniosła jego. Powinna najpierw zapytać, ale spał, a nie chciała go budzić i nie sądziła, żeby miał coś przeciwko.

Pochodzące od Moniki Stuart nagranie *Rabia Balkhi*, który przechodził przez wrota pierścienia, nie wyglądało szczególnie. Nic w nim nie wyglądało na niezwykle, poza wiążącą się z nim historią. Zastanawiała się, co Marco

z nim zrobił. Dlaczego rozpoczął działania pirackie tak długo przed faktycznym przewrotem, który pozwolił mu działać na tak dużą skalę? Sam wysiłek zmodyfikowania wszystkich rejestrów z Medyny wiązał się z ryzykiem, którego nie musiał podejmować. Może miało to jakiś związek z układem, do którego kierował się *Balkhi*...?

Przełączyła się na własny terminal, łącząc się z systemem *Rosa* i wysyłając serię prostych zadań dopasowania do wzorca. Nie było to trudne. Większość danych, z którym pracowała Stuart, to były informacje publiczne. A od czasu, gdy Marco rozpoczął swój atak na marsjański konwój, wszystkie teleskopy w układzie śledziły Wolną Flotę. Lista układów, w których zaginęły statki, nie była długa, ale nie nasuwał się też żaden schemat. Spróbowała sobie przypomnieć, czy ktoś na *Pelli* mówił o którymś z nich: Tasnim, Jerozolima, Nowy Kaszmir. Oczywiście, sam system nazewnictwa był wielkim chaosem. Nowy Kaszmir był też nazywany Sandalphonem, Górnym Teksasem i LM-422. Wywołała alternatywne nazwy wszystkich pozostałych układów. Teraz, gdy Jim poznał najgorsze tajemnice z jej przeszłości, prawie nie mogła się doczekać na odprawę z ludźmi Avasarali, a gdyby zdołała podsunąć jakąś wskazówkę zdobytą dzięki pobytowi na *Pelli*...

Zmarszczyła czoło. Uruchomiła schemat dopasowania ponownie, ale z innymi parametrami tolerancji. Z tyłu usłyszała ziewnięcie Jima. Pościel zaszeleściła, gdy siadał. *Ros* przesłał listę możliwości, a ona szybko je przewinęła. Ankarą Slough miał z grubsza podobne parametry jak



*Rabia Balkhi*, ale przyglądając się różnicom, stwierdziła, że mają inne sygnatury napędu. Taniej byłoby zbudować nowy statek, niż wymienić cały zespół silnika w istniejącym. W salonie Aleks coś rzucił, a Amos udzielił odpowiedzi. A potem – ku swojemu zaskoczeniu – usłyszała Bobbie. Poczwała dłoń Jima na ramieniu.

– Hej. Wszystko w porządku?

– Tak – rzuciła Naomi. – W porządku.

– Od dawna nie śpisz?

Zerknęła na zegarek i jęknęła.

– Od trzech i pół godziny.

– Śniadanie?

– O Boże, tak.

Jej plecy zaprotestowały po wstaniu, ale tylko trochę. Po raz pierwszy od wielu tygodni umysł sprawiał wrażenie skupionego i należącego tylko do niej. Może od czasu, gdy odebrała pierwszą, toksyczną wiadomość od Marco. Nie toczyła wojny ze sobą, i to było wspaniałe uczucie, ale...

Jim miał mocno zmierzwiłone włosy, ale dobrze tak wyglądał. Ujęła go za rękę.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedziała.

– Czy kawa pomoże, cokolwiek to jest?

– Na pewno nie zaszkodzi – przyznała.

W głównym salonie apartamentu Amos i Bobbie rozmawiali o metodach lotów bez napędu, starając się wzajemnie przebić swoje wersje, najwyraźniej dobrze się przy tym bawili. Aleks uśmiechnął się szeroko do niej i do

Jim, gdy usiedli przy stole śniadaniowym, a potem nalał obojgu małe filiżanki espresso z gęstą, brązową pianką na wierzchu. Naomi napiła się, ciesząc się ciepłem i bogatą złożonością ukrytą w goryczy.

– Lepiej wyglądasz – skomentował Aleks.

– Lepiej się czuję. Dzięki. Bobbie, te zaginione statki, których szukałaś. Wszystkie należały do FMRK, prawda? Floty?

– Statki. Broń. Wyposażenie. Wszystko – potwierdziła Bobbie. – Teraz chyba wiemy, co się z nimi stało.

– Ale żadnych statków kolonizacyjnych?

Potężna kobieta zmarszczyła brwi.

– Żadnych nie szukałam.

– O co chodzi? – zapytał Jim.

Naomi pokręciła filiżanką koloru kości, przyglądając się, jak kawa z pianką tworzy wiry zanikające powoli w niskim ciśnieniu.

– Zaginione statki można podzielić na dwie kategorie. Okręty bojowe Marsa, które trafiły do rąk Wolnej Floty, oraz statki kolonizacyjne, które zaginęły w drodze do nowych układów. I szacuję, że sześćdziesiąt do siedemdziesięciu procent jednostek Wolnej Floty pasuje do starych rejestrów wojskowych, ale nie znalazłam ani jednego dopasowania do brakujących statków kolonizacyjnych. Nie znalazłam żadnego wzoru w zakresie tego, do jakich układów leciały ani co wiozły. I nie mam pojęcia, co przejęcie ich dałoby Marco.

Amos wydał cichy dźwięk z głębi gardła.

– Więc tak – powiedziała Naomi, jakby ten dźwięk był słowami. – Coś we wrotach pierścieni zjada te statki.

## Epilog

### Sauveterre

– Mam numer listu przewozowego. – Kapitan małego frachtowca powtórzył to już szósty albo siódmy raz. – Mam dokumenty lądowania i numer listu przewozowego prosto z Amatix Pharmaceuticals. Wiem, że transport dotarł na Medynę sześć miesięcy temu. Mam *numer listu przewozowego*.

Sauveterre, słuchając, napił się wędzonej herbaty z bańki. Wolałby whiskey ze szkła, ale był na służbie, a *Barkeith* był w nieważkości. Pierwsze wykluczało whiskey, drugie użycie szkła. Owszem, kajuta kapitańska była prywatna i mógłby robić, co tylko chciał. I pewnie na swój sposób to robił. Wypełnianie obowiązków było dla niego przyjemniejsze od whiskey, i tak właśnie powinno być.

– Sabez masz numer listu przewozowego, Toreador – zabrzmiał głos ze stacji Medyna. – Ale Amatix? Esa są z Ziemi. Na Medynie nie ma żadnych ziemskich firm.

*Barkeith* był pancernikiem klasy *Donnagera*. Małym miastem w kosmosie, kierowanym z maszynową precyzją

i zdolnym do zmiany na cząstki mniejsze od ziaren piasku nie tylko małego frachtowca, lecz także stacji Medyna. A jednak wraz z resztą floty Duarte czekał na pozwolenie kontroli ruchu Medyny na przejście przez następne wrota pierścienia i rozpoczęcie drugiej, dziwniejszej części podróży. Ze strony floty był to nadmiar uprzejmości, ale istniały ku temu powody, a nie najmniejszym z nich była niechęć do używania ciężkiej broni zbyt blisko stacji obcych, wiszącej bezwładnie w nie do końca przestrzeni między pierścieniami. Nie byli gotowi na jej ponowne przebudzenie. Jeszcze nie.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

Sauveterre poprawił bluzę.

– Wejść.

Drzwi otworzyła porucznik Babbage, trzymając się uchwytu przy framudze. Zasalutowała z przejęciem. Sauveterre trzymał ją chwilę w tej pozycji, zanim odpowiedział salutem i pozwolił jej wejść.

– Leciałem tutaj przez dziesięć miesięcy! – wrzasnął kapitan *Toreadora*. – Jeśli kolonia nie dostanie tego transportu, będą mieli przesrane.

– Słuchała pani tego? – zapytał Sauveterre, kiwając głową w stronę głośników.

– Nie, sir – odpowiedziała Babbage.

Pod brązowym zabarwieniem jej skóra wyglądała na szarą. Mocno zaciskała wargi.

– Üzgün, *Toreador* – powiedział kontroler z Medyny. – Jeśli potrzebujesz dokować ze względów medycznych, wir koennen...

– Nie potrzeba mi pomocy medycznej! Chcę mojego pieprzonego zaopatrzenia! Mam numer listu przewozowego, według którego jest na stacji i nie...

Sauveterre wyłączył głośniki i napił się herbaty.

– Rozmawiają w ten sposób już prawie od godziny. To naprawdę zawstydzające.

– Tak jest, sir.

– Wie pani, dlaczego chciałem, żeby pani tego posłuchała?

Stłumiła swój strach, co było dobrą oznaką, a gdy się odezwała, jej głos nie drżał, co było jeszcze lepsze.

– Żeby zademonstrować, co się dzieje w przypadku załamania dyscypliny.

– A przynajmniej jednego z elementów takiej sytuacji. Tak. Słyszałem, że naruszyła pani regulamin mundurowy. Czy to prawda?

– To była bransoletka, sir. Należała do mojej mamy i myślałam... – Umilkła. – Tak jest, sir. Ten raport jest prawdziwy.

– Dziękuję, porucznik. Doceniam szczerść.

– Czy mogę mówić szczerze, sir?

Sauveterre się uśmiechnął.

– Proszę.

– Z całym szacunkiem, sir, ale regulamin mundurowy to przepisy FMRK. Gdybyśmy mieli wytykać wszystkie naruszenia regulaminu mundurowego, to warto byłoby się też przyjrzeć niektórym poważniejszym wykroczeniom. Sir.

– Chcecie powiedzieć, że na przykład przylotowi tutaj.

Przybrała kamienny wyraz twarzy. Przesadziła i zdawała sobie z tego sprawę. Takie rzeczy się zdarzały. Zawstydzenie i dziecięca potrzeba tupnięcia nóżką i stwierdzenia, że to niesprawiedliwe. Na jej miejscu by tego nie robił, ale skoro już tak postąpiła, nie mógł tego zignorować. Zostało tylko iść do przodu.

– Jesteśmy w okresie przejściowym, to prawda. Ponieważ wybrany rząd nie wypełnił swoich zobowiązań, admirał Duarte przejął na swoje barki odpowiedzialność za flotę i dowodzenie nią. A ja, zgodnie ze strukturą dowodzenia, wypełniam jego rozkazy. Pani również powinna wykonywać moje, zgodnie ze strukturą dowodzenia. To niezależna inicjatywa floty, a nie jakaś zabawa w anarchię.

– Sir – powiedziała.

Chciała powiedzieć „tak jest, sir”, ale pominęła pierwszą część.

– Czy wie pani, co się stanie, jeśli napiszę naganę za nieprzestrzeganie dyscypliny floty?

– Mogłabym zostać zdegradowana, sir.

– Owszem. Jeśli będzie pani tak dalej postępować, może pani zostać zdegradowana. Usunięta ze służby. Zwolniona dyscyplinarnie. Oczywiście, nie z powodu tego przewinienia, ono jest drobne, ale może urosnąć do czegoś większego. Rozumie pani?

– Tak, sir.

– Jak pani myśli, co by się stało, gdyby została pani wyrzucona?

Popatrzyła na niego zmieszana. Machnął wolną ręką, sugerując, że może się odezwać.

– Ja... nie... – zająknęła się.

– Ja też tego nie wiem – powiedział. – Na Marsie zostałaby pani zwolniona do cywila, ale tam, gdzie lecimy, nie ma życia cywilnego. Żadnego ludzkiego życia. Czy mam panią wypuścić, żeby sama szukała pani dla siebie miejsca w lokalnym łańcuchu pokarmowym? Czy mam tracić czas i zasoby wymagane do odesłania pani z powrotem, a jeśli tak, to gdzie? Siły, które przejęły kontrolę nad Marsem, widziałyby w pani zdrajczynię w równym stopniu, co we mnie. Wsadziliby panią do więzienia na resztę życia, chyba że poszłaby pani na współpracę z nimi. A gdyby miała pani z nimi współpracować, to nie miałyby sensu w ogóle pani tam wysłać, prawda?

– Tak jest, sir.

Zobaczył w jej oczach budzące się zrozumienie. Choć dopiero jego początki. Ludzkość jest tak niedoskonała. Nie tylko ona, wszyscy. Połowa populacji miała inteligencję poniżej średniej. Połowa poniżej średniego poświęcenia. Średniego poświęcenia obowiązkom. Okrutne prawo statystyki. To było zdumiewające, że pomimo tego udało im się osiągnąć tak wiele.

– Teraz, gdy przejmujemy inicjatywę – odezwał się – zachowanie ścisłej dyscypliny jest jeszcze ważniejsze niż kiedykolwiek. Jesteśmy niczym pierwsze loty dalekiego zasięgu w czasach, gdy jeszcze nie istniał silnik Epsteina. Spędzimy miesiące, może lata, jako społeczność



wojowników i badaczy. Nie ma miejsca dla outsiderów w miejscu, gdzie nie ma niczego poza nami. Wiem, że jest pani niezadowolona...

– Nie, sir, wcale nie...

– Wiem, że jest pani niezadowolona, że tak poważnie traktuję taką drobnostkę jak bransoletka. Wydaje się to trywialne, i to prawda. Ale jeśli poczekamy, aż przewinienia przestaną być trywialne, bardzo, bardzo szybko dotrzemy do kwestii życia i śmierci. Nie mam warunków na okazywanie pobłażliwości.

– Rozumiem, sir.

– Cieszę się, że to słyszę.

Wyciąnął rękę, dłonią do góry. Babbage starła wierzchem dłoni łzę, a potem przez chwilę grzebała w kieszeni. Oddając mu bransoletkę, na chwilę się zawahała, trzymając ją sekundę dłużej, niż było to konieczne. Cokolwiek dla niej znaczyła, oddanie jej było poświęceniem. Zamknął dłoń na wąskim srebrnym łańcuszku z zawieszka w kształcie wróbla. Odzywając się, spróbował nadać uśmiechowi możliwie łagodny wyraz.

– Odmaszerować.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, odwrócił się z powrotem do swojej konsoli. Dotarła nowa wiadomość od Cortázara. Przebiegł go lekki dreszcz. Od kiedy Pas pociągnął za spust, ulubiony naukowiec Duarte wysyłał coraz więcej wiadomości. Jego entuzjazm niepokoił Sauveterrego. Charakter naukowca nie należał do najprzyjemniejszych, a przyjemność czerpana przez niego z projektu

podejmowanego na nowej stacji Lakonia miała w sobie coś z niemal seksualnego oczekiwania.

Jednak służba to służba. Wrzucił biżuterię Babbage do recyklera i otworzył wiadomość. Cortázar siedział za blisko kamery, albo z siebie tylko wiadomych powodów ustawił obraz tak, by był trochę nieostry. Jego szeroka szczęka i rzadkie, czarne włosy powinny sprawiać, że nie wyróżniałby się z tłumu. Sauveterre potarł dłonie, jakby podświadomie próbował je umyć.

– Kapitanie Sauveterre – odezwał się dziwny człowieczek. – Miło mi poinformować, że próbka dotarła nienaruszona. Bardzo dziękuję za zaopiekowanie się nią po jej uwolnieniu. Jednak niepokoi mnie wiadomość, że flota ma opóźnienie w stosunku do harmonogramu.

– To kilka dni na przestrzeni wielu miesięcy – Sauveterre mruknął pod nosem do ekranu. – Nadrobimy to.

– Oczywiście, zdaje pan sobie sprawę, że mamy niewiele czasu i zaopatrzenia do chwili, gdy uda nam się opanować artefakt. Aby nadrobić te braki, grupa naukowa przygotowała plany i specyfikacje pewnych modyfikacji, których *Barkeith* będzie wymagał do zadokowania do artefaktu. Realizację części z nich pańscy inżynierowie mogą rozpocząć w drodze. I oczywiście w razie jakichkolwiek pytań pozostaję do dyspozycji. Rozłączam się.

Na ekranie pojawiła się seria rysunków technicznych. W nich też było całkiem sporo niepokojących rzeczy. Technologię obcych nazywali mianem protomolekuły, ale

oczywiście wędrujący przez kosmos zestaw przechwytyjących życie mikrocząstek był tylko jednym z narzędzi w znacznie większym zestawie. I jeśli Cortázar prawidłowo zinterpretował oznaczone najwyższym poziomem tajności dane z sond FMRK, to, co znaleźli, będzie znacznie łatwiej oswoić i wykorzystać.

Mimo wszystko zmiany, które Cortázar chciał wprowadzić na *Barkeith*, wyglądały nieprzyjemnie organicznie. Znacznie mniej przypominało to montowanie na statku nowej śluzy, a bardziej rzeźbienie go w jakiegoś typu olbrzymią protezę.

*To początek czegoś bardzo nowego i bardzo potężnego, a jeśli dobrzy ludzie nie wyjdą przed szereg, by przyjąć tę potęgę, zrobią to źli.* To właśnie powiedział admirał Duarte tego wieczoru, gdy przeciągnął Sauveterrego na swoją stronę. Było to prawdą wtedy i pozostawało nią teraz. Włączył kamerę, poprawił sobie włosy i rozpoczął nagrywanie.

– Wiadomość przyjęta. Natychmiast przekażę plany moim inżynierom. Skontaktuję się, jeśli będą mieli jakieś wątpliwości. – Krótko, do rzeczy, konkretnie bez nieuprzejmości. Skutecznie. Miał nadzieję, że zostanie to odebrane jako skuteczność. Obejrzał nagranie, by upewnić się, że wygląda odpowiednio i rozważył zmianę wątpliwości na pytania, ale uznał, że przesadza. Gdy tylko ją wysłał, rozległ się sygnał konsoli.

– Kapitanie, mamy zgodę z Medyny.

– Doprawdy, panie Kogoma? Miło z ich strony. Jak rozwiążali tę sytuację z numerem listu przewozowego?

– Frachtowiec zadokuje do stacji, sir.

No cóż, chuderlaki będą mogły przejąć kolejny statek. Gdyby *Toreador* wiedział, z której strony wieje wiatr, zawróciłby na swoją mizerną planetę, z której przyleciał, i spróbowałby sobie poradzić bez tego, co i tak stracili. W obecnej sytuacji Wolna Flota będzie po prostu dalej zgarniać statki przelatujące przez wrota, prowadząc do zagłodzenia kolonii. Osłabiając je. Zanim Pasiarze zrozumieją, że walczą na przegranych pozycjach z historią, Duarte będzie gotowy.

Lecąc korytarzem na mostek, Sauveterre pomyślał, że wojna już dawno przestała sprowadzać się do kontrolowania terenu. Zadaniem wojskowych było uniemożliwienie działania wrogów. Całe pokolenia prowadzonej na małą skalę wojny w Pasie nie były próbą przejęcia i utrzymania stacji Vesta, Ceres czy żadnego z dziesiątków unoszących się w pustce ośrodków zaopatrzenia. Jej celem zawsze i wyłącznie było uniemożliwienie SPZ i jakiegokolwiek innej grupie Pasa zebranie się w zorganizowaną siłę. Aż do czasu, gdy zmieniły się zasady i taka siła stała się przydatna. Wolna Flota powstałaby dziesiątki lat temu, gdyby pozwolili jej na to ludzie pokroju Duarte'go. Teraz, gdy Pas w końcu ją miał, przekonają się, jak bardzo jest bezużyteczna.

Wystarczy, żeby zajęła Ziemię i pozostałości Marsa przez najbliższych kilka lat. Potem... Nagrodą za śmiałość była szansa sterowania przebiegiem historii.

Na mostku panował porządek. Wszyscy siedzieli przypięci do prycz, ekrany były wyczyszczone, panele

wypolerowane. *Barkeith* przybędzie na stację Lakonia równie nieskazitelny jak wtedy, gdy opuszczał Marsa. I nie będą nosić żadnych bransoletek. Przeciągnął się do swojego stanowiska dowodzenia i przypiął do fotela.

– Panie Taylor, proszę włączyć ostrzeżenie przed przyśpieszeniem. Panie Kogoma, proszę poinformować flotę i stację Medyna, że ruszamy.

– Sir – odezwał się oficer taktyczny – proszę o pozwolenie na otwarcie wyrzutni.

– Spodziewamy się walki, panie Kuhn?

– Nie spodziewamy się, sir. Chodzi o nadmiar ostrożności.

Kuhn też nie ufał chuderlakom. Całkiem słusznie. Byli bandą złodziei i kowbojów uważających, że posiadanie broni daje im władzę. Sauveterre uważał, że było jeszcze za wcześnie, by Wolna Flota zaczęła się sprzeciwiać Duartemu, ale przecież byli głupi i impulsywni. Nie należało zakładać, że siły amatorskie będą podejmować takie same decyzje, jak profesjoniści.

– Udzielam pozwolenia. Proszę też przy okazji rozgrzać działka obrony punktowej. Panie Kogoma, proszę poinformować flotę, by postąpili tak samo.

– Tak jest, sir – potwierdził Kogoma.

Rozbrzmiał klakson i Sauveterre opadł na pryczę, w ciągu kilku sekund odzyskując poczucie wagi. Przelot do pierścienia Lakonii był krótki. Przestrzeń między pierścieniami była niemal klaustrofobiczna w porównaniu z bezmiarem prawdziwej, otwartej próżni. I ciemna. Bez gwiazd. Fizycy twierdzili, że po drugiej

stronie pierścieni przestrzeń nie istnieje, że bańka, wewnątrz której wszyscy się znajdowali, nie kończyła się żadną barierą, a czymś dużo bardziej fundamentalnym, czego nie potrafił sobie wyobrazić. I nie musiał.

Wrota Lakonii znalazły się bliżej, z garścią gwiazd świecących jasno i wyraźnie po drugiej stronie, rosły w miarę podlatywania. Gazy wylotowe z dysz przedniej straży rozjarzyły się nieco jaśniej, gdy przelatywali. Będą tam nowe gwiazdozbiory. Inny kąt widzenia galaktyki, zupełnie nowe niebo.

– Zbliżamy się do pierścienia, sir – poinformowała Keller. – Przechodzimy za trzy. Dwa...

Keller się rozpadła. Nie, to nie tak. Keller wciąż była na swoim miejscu, siedząc, jak siedziała, ale teraz zmieniła się w chmurę. Wszyscy byli chmurami. Sauveterre podniósł ręce. Widział je doskonale: bruzdy na opuszkach palców, przestrzenie między cząsteczkami, zawirowania i przepływ krwi w naczyniach. Widział cząsteczki powietrza – azot, tlen, ditlenek węgla, wszystkie objające się o siebie szaleńczo, zasłaniając bardziej elementarną przestrzeń między nimi. Próżnię przenikającą ich wszystkich.

*Mam udar, pomyślał. A potem: nie, dzieje się coś innego.*

– Wyłączyć silnik! – krzyknął. – Zawrócić!

Fale jego słów rozeszły się przez widoczne, lecz niewidoczne powietrze w rozszerzającej się sferze, odbijając się od ścian, drgając w miejscach przecięcia z okrzykami strachu i ryczącym klaksonem. Widok był

piękny. Chmura będąca Keller poruszyła rękami i w cudowny sposób nie przeniknęła przez olbrzymią pustkę panelu sterowania.

Zobaczył dźwięk sunący w zgęstkach cząsteczek, zanim do niego dotarły i usłyszał słowa.

– Co się dzieje? Co tu się wyprawia?

Nie widział obrazu na ekranach, by sprawdzić, czy były tam gwiazdy. Czuł tylko atomy i fotony rzeczy, a nie wzór, który tworzyła. Ktoś krzyczał. Potem ktoś zaczął mu wtórować.

Odwrócił się i zobaczył jakiś ruch. Ruszało się coś innego, nie kolejna chmura jak on, jak pozostali, jak materia. Coś stałego, ale zasłanianego przez pustkę materiałów, jak forma mgły. Wiele kształtów, ani jasnych, ani ciemnych, będących czymś innym, trzecią stroną tej monety, przenikających przez przestrzeń między przestrzeniami. Pędzących w ich stronę. Ku niemu.

Sauveterre nie zauważył własnej śmierci.

## Podziękowania

Choć napisanie każdej książki jest aktywnością znacznie mniej samotną, niż mogłoby się zdawać, w ciągu ostatnich kilku lat znacząco wzrosła liczba osób zaangażowanych w *Expanse* we wszystkich ucieleśnieniach cyklu, włącznie z tym. Ta książka nie powstałaby bez ciężkiej pracy i poświęcenia Danny'ego i Heather Baror, Willa Hinton, Tima Holmana, Anne Clarke, Ellen Wright, Alex Lencicki i całej genialnej ekipy wydawnictwa Orbit. Szczególne podziękowania należą się DongWon Songowi i Carrie Vaughn za pomoc w charakterze pierwszych czytelników, Benowi Jonesowi i Jordin Kare za pomoc w opracowaniu tego, co stanie się po niezamierzonym uruchomieniu silnika manewrowego oraz grupie z Sakeriver: Tomowi, Sake Mike'owi, Non-Sake Mike'owi, Porterowi, Scottowi, Raji, Jeffowi, Markowi, Danowi, Joemu i Erikowi Slaine, którzy wprowadzili wszystko w ruch.

Grupa wsparcia *Expanse* też się rozrosła, obejmując teraz także, między innymi, Sharon Hall i Bena Robertsa, Billa McGlodricka, Marka Fergus, Hawka Ostby'ego i Narena Shankara oraz wiele osób w Alcon Television,



Sean Daniel Company i SyFy. Szczególne podziękowania dla Alana za Boom Coffee i Kennetha za w zasadzie wszystko inne.

Oraz, jak zwykle, nic z tego nie powstałoby bez wsparcia i towarzystwa Jayné, Kat i Scarlet.

## O autorze

James S. A. Corey to pseudonim piszących fantastykę autorów Daniela Abrahama i Ty'a Francka, asystenta George R. R. Martina. Obaj mieszkają w Albuquerque, stan Nowy Meksyk, USA.

Więcej informacji na temat tej serii znajdziesz na:  
[www.the-expanse.com](http://www.the-expanse.com).